



**Tom Clancy**

**SUMA WSZYSTKICH STRACHÓW**

**TOM 2**

**(Przełożył: Piotr Siemion)**



# ZWIĄZKI

Poszukiwania zajęły aż dwa tygodnie, lecz dały pewien rezultat Oficer KGB, który pracował dla CIA, rozejrzał się w sytuacji i przyniósł pogłoskę na temat operacji trwającej w Niemczech. Coś z bombami atomowymi. Coś, co prowadzi bezpośrednio centrala w Moskwie pod osobistym nadzorem Gołowki. Ludzie w placówce KGB w Berlinie nie mieli dostępu do sprawy. Koniec meldunku.

- I co ty na to? - zapytał Ryan Goodleya.

- Wszystko się pokrywa z meldunkiem ŻAGLA. Jeżeli coś jest w tej historii o brakujących głowicach, na pewno musi to mieć jakiś związek z wycofywaniem wysuniętych sił ze wschodnich Niemiec. Przy przeprowadzkach zawsze coś ginie. Mnie też, kiedy się tu przenosiłem, wcięło dwa kartony książek.

- Można by sądzić, że bomb jądrowych będą pilnować uważniej - zauważył cierpko Ryan, przekonując się znowu, że Goodley musi się jeszcze cholernie dużo nauczyć. - Tylko tyle?

- Próbowałem znaleźć dane, które by podważyły ten meldunek. Oficjalnie przyczyna, dla której Rosjanie nie mogą w terminie zdemontować swoich SS-18, to niewydolność zakładów rozbiórkowych. Zbudowali je specjalnie w tym celu, ale coś sknocił, tak twierdzą. Nasi inspektorzy na miejscu nie potrafią potwierdzić ani zaprzeczyć, chodzi o jakieś sprawy techniczne. W głowie mi się nie mieści to wszystko, bo przecież skoro Rosjanie sami budują te rakiety, i to od dawna, SS-18 to stary model, powinni umieć też zaprojektować bezpieczny zakład rozbiórkowy. Ich wersja głosi, że mają kłopot z układami paliwowymi rakiet i z niektórymi postanowieniami traktatu, bo mianowicie ich osiemnastki są na paliwo ciekłe i mają kadłuby pod ciśnieniem. Innymi słowy, cała rakietka jest sztywna tylko wtedy, jeśli we wnętrzu panuje wysokie ciśnienie. Rosjanie mogą więc spuścić z nich w każdej chwili paliwo, ale nie mogą wyciągnąć tych rakiet z silosów, nie uszkadzając ich. Tymczasem traktat nakazuje odwieźć kompletne, nie uszkodzone rakiety do zakładu rozbiórkowego. W porządku, tylko że w zakładzie nie ma jak spuścić z rakiet paliwa, więc koło się zamyka. Nie ma jak, bo spuszczenie paliwa poza wyrzutnią nie jest proste i grozi skażeniem środowiska. Ich paliwo raketowe to podobno jakieś straszne świństwo, łatwo można się nim otruć, a zakłady leżą tylko trzy kilometry od sporego miasta, i tak dalej. - Goodley pomyślał chwilę. - Wyjaśnienie ma ręce i nogi, chociaż można się długo zastanawiać, kto i dlaczego tak spieprzył całą sprawę.

- Życie spieprzyło - odpowiedział Jack. - Rosjanie nie mogą, na przykład, zbudować tych zakładów w jakiejś dalekiej Pipidówce, bo przy tej liczbie prywatnych samochodów robotnicy nie mieliby jak dojeżdżać, trzeba by im organizować transport i co tam jeszcze. Właśnie przez takie rozmaite drobiazgi ni cholery nie potrafimy zrozumieć, co siedzi w Rosjanach.

- Dobrze, ale w ten sposób mogą zwalić na głupi błąd, co tylko zechcą. - Prawidłowe spostrzeżenie, Ben - ucieszył się Jack. - Teraz myśli pan jak prawdziwy pies.

- O, rany, gdzie ja trafiłem.

- Ciekłe paliwo raketowe, dające się składować, to rzeczywiście syf. Żrące, korodujące, toksyczne. Pamięta pan, jakie kłopoty mieliśmy z raketami Titan-II?

- Nie pamiętam - przyznał się Goodley.

- Kłopotu z obsługą tyle, że można było dostać kota. Na każdym kroku potrzebne zabezpieczenia,

a mimo to co chwila następował wyciek. Paliwo przeżerało co tylko spotkało na drodze, parzyło ludzi...

- Mam rozumieć, że zgadzamy się z tym, co mówią Rosjanie?

- Tego nie powiedziałem. - Ryan uśmiechnął się i przymknął oczy.

- Powinniśmy zdobyć konkretne informacje, a nie takie... Przecież od tego jest CIA, żeby wszystko wiedzieć.

- Jasne, sam tak kiedyś myślałem. Ludzie sądzą, że mamy u siebie teczkę na temat każdej skały, kałuży czy polityka na świecie. - Jack ożywił się nagle. - Nie mamy i nie będziemy mieli nigdy. Smutne, co? Wszędobylskie CIA. Próbuujemy odpowiedzieć na ważne pytanie, ale mamy w rękę jedynie rozmaite możliwości, żadnych pewników. W jaki sposób prezydent ma podjąć właściwą decyzję, jeśli zamiast faktów dostaje od nas lepiej czy gorzej uzasadnione opinie? Od dawna powtarzam, nawet o tym pisałem, że nasze oficjalnie usankcjonowane informacje to przeważnie zgadywanki. Wiadomo, nikt nie ma ochoty rozsyłać takich analiz jak ta.

Jack wskazał na końcowy raport pionu rozpoznania. Zespół ekspertów od Rosji przez tydzień ślezczał nad meldunkiem ŻAGLA i ocenił, że choć najprawdopodobniej odpowiada rzeczywistości, może też być wynikiem niezrozumienia pewnych faktów. Jack znów przymknął oczy, modląc się, by ból głowy ustąpił nareszcie.

- Na tym polega nieszczęście CIA jako instytucji. Rozpatrujemy rozmaite możliwości. Jeśli podamy później jednoznaczną opinię, może się zdarzyć, że będzie ona błędna. A wtedy? Ludzie znacznie dłużej pamiętają o pomyłkach niż o trafnych ocenach, i dlatego każdy z nas stara się włączyć do oceny wszystkie możliwe warianty. Intelktualnie to nawet cenna strategia, człowiek jest później kryty na wszystkie strony. Kłopot w tym, że ludziom, którzy zamawiają u nas te raporty, chodzi o coś zupełnie innego. Im nie zależy na tym, żeby się dowiedzieć, że może będzie tak, a może owak, przeciwnie, chociaż, moim zdaniem, lepiej by zrobili, gdyby poznali wszelkie ewentualności. Tak jak mówię, Ben, można ocipieć z tego wszystkiego. Biurokraci z rządu proszą o bajkę na dobranoc, a biurokraci z CIA posłusznie piszą, bo nie będą się przecież wychylać. Taka jest smutna rzeczywistość wywiadu.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że taki z pana cynik.

- Nie cynik tylko realista. Wiele rzeczy wiemy, masy innych nie wiemy. Tu pracują ludzie, a nie maszyny liczące. To ludzie szukają odpowiedzi i zamiast nich znajdują następne pytania. W tym budynku pracuje masa zdolnych ludzi, ale niestety, system krępuje im ruchy, mimo że jedna osoba dowiaduje się różnych rzeczy szybciej niż cała komisja.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

- Proszę!

- Doktorze Ryan, nie było pańskiej sekretarki, więc...

- Nancy wybiegła coś zjeść.

- Mam tu coś dla pana. - Goniec wręczył Ryanowi kopertę. Ryan podpisał mu pokwitowanie, odprawił go, po czym otworzył kopertę.

- Nieocenione All Nippon Airlines - zauważył. Miał przed sobą kolejny meldunek NITAKI. Na widok pierwszych zDan podskoczył w fotelu. - O, kurwa żesz...!

- Kłopoty? - zapytał Goodley.

- Nie powiem, bo nie ma pan upoważnienia.

- Co się tam znowu u was dzieje? - zapytał Narmonow.

Gołowko miał trudne zadanie, gdyż musiał zameldować o udanej operacji, która przyniosła

bardzo nieprzyjemne skutki.

- Prezydencie, od dłuższego czasu pracujemy nad złamaniem amerykańskiego systemu szyfrów. Poniekąd nam się to udało, zwłaszcza jeśli chodzi o łączność z ich ambasadami. Tu mam właśnie depeszę, którą Waszyngton rozesłał do kilku placówek dyplomatycznych. Udało nam się rozszyfrować całość.

- I co dalej?

- Kto rozesłał tę depeszę?!

- Opanuj się, Jack - mitygował Ryana Cabot. - Liz Elliot tak się przejęła ostatnim meldunkiem ŻAGLA, że postanowiła skonsultować sprawę z Departamentem Stanu.

- Ach tak? Wspaniale. Dowiedzieliśmy się przynajmniej, że KGB złamało szyfr naszej służby dyplomatycznej. NITAKA czytał tę samą depeszę, którą dostał nasz ambasador w Tokio. Narmonow nareszcie wie, czego się tak boimy.

- Biały Dom uzna, że to najlepsze, co się mogło stać. Co w tym złego, że Narmonow pozna nasz punkt widzenia? - zapytał dyrektor.

- Nie wdając się w dyskusję: bardzo dużo złego. Czy pan nie rozumie, że nie miałem pojęcia o tej depeszy? Wie pan, skąd dostałem jej tekst? Nie z Departamentu Stanu, tylko od agenta KGB z Tokio! Chryste Panie, nie zdziwię się, jeśli nasza ambasada w Zimbabwie też ją dostała.

- Rosjanie mieli pełny tekst?

- Chciałby pan może porównać oryginał z przekładem? - zapytał Jack jadowitym tonem.

- Niech pan jedzie do Olsona.

- Właśnie pędzę.

Czterdzieści minut później Ryan i Clark wpadli do kancelarii generała broni Ronalda Olsona, dyrektora Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Centrala agencji mieści się w Fort Meade w stanie Maryland, pomiędzy Waszyngtonem i Baltimore, a jej budynki najbardziej przypominają Alcatraz, choć bez miłej dla oka oprawy w postaci Zatoki San Francisco. Główny gmach otacza podwójny płot, wzdłuż którego krążą nocą psy (nawet CIA uznała ten środek ostrożności za zbyt operetkowy), co dobitnie świadczy o panującej tam manii na punkcie tajemnicy państwowej. Narodowa Agencja Bezpieczeństwa zajmuje się szyfrowaniem, łamaniem obcych szyfrów i nagrywaniem wszystkich transmisji radiowych na całej planecie. Jack Ryan zostawił kierowcę, dając mu do czytania "Newsweeka", a sam wkroczył do usytuowanego na najwyższym piętrze gabinetu Olsona, dyrektora firmy wielokrotnie większej od CIA.

- Ron, straszna obsuwa.

- Dobrze, ale o co chodzi?

Jack podał Olsonowi meldunek NITAKI.

- Pamiętasz, jak was ostrzegałem?

- Kiedy to od nas wyszło?

- Trzy doby temu.

- Z Departamentu Stanu, zgadza się?

- Zgadza się. Dokładnie osiem godzin później w Moskwie czytali już ten tekst.

- Czyli, że albo ktoś w Departamencie Stanu puścił to w obieg, a ich ambasada przesłała tekst przez satelitę do Moskwy - zastanowił się Olson - albo dał im to któryś z szyfrantów czy pięćdziesięciu innych dyplomatów...

- Albo też złamali nasz cały system szyfrujący.

- Nie, Jack, ręczę za moje maszyny.

- Wiesz, Ron, szkoda, że w porę nie rozbudowałeś KANKANA.

- Załatw mi budżet, to rozbuduję.

- Ten nasz agent ostrzegął, że KGB dobrało się do naszych szyfrów. Grzebią nam w korespondencji, Ron, masz w ręku najlepszy dowód.

- To żaden niezbity dowód. - Generał nie dał się przekonać.

- Jak sobie chcesz. Nasz agent zażądał, żeby dyrektor dał mu osobiście słowo, że nigdy nie prześlemy jego meldunków przez radio ani telefon. Te depeszę przysłał nam na dowód, że jest się czego obawiać. Żeby to zdobyć, ryzykował, że mu odstrzelą dupę... Ile osób korzysta z tego systemu?

- Z PASKA? Wyłącznie Departament Stanu, chociaż podobnych maszyn używają też w Pentagonie. Ta sama zasada działania, trochę inne transpozycje. Wiem, że w marynarce wojennej przepadają za tym systemem. Bardzo prosty w obsłudze - dodał Olson.

- Ron, od trzech lat mamy gotowy patent na szyfrowanie według szumów. Wasza pierwsza wersja, KANKAN, wykorzystywała szumy z kaset magnetofonowych, zmieniliśmy to na płyty kompaktowe i czytnik laserowy. Prosty, tani, skuteczny. Za parę tygodni cała CIA przechodzi na nowe szyfry.

- Chcesz nas namówić na to samo?

- Tak podpowiada rozsądek.

- Dobrze wiesz, co usłyszę, jeśli każę moim ludziom zmałpować system od CIA.

- Jaki to problem, do cholery? Przecież KANKAN to wasz patent!

- Jack, pracujemy w tej chwili nad czymś podobnym, tylko jeszcze prostszym i jeszcze bardziej bezpiecznym. Jest z tym trochę kłopotów, ale warsztatowcy mówią mi, że niedługo zaczną próby.

Niedługo, czyli może za trzy miesiące, a może za trzy lata, pomyślał Ryan, lecz powiedział tylko:

- Generale, oficjalnie zawiadamiam w imieniu agencji: mamy dane o przeciekach z waszych linii łączności.

- Co w związku z tym?

- W związku z tym muszę o tym powiadomić Kongres. I prezydenta.

- Dam głowę, że to ktoś z Departamentu Stanu chlapnął Rosjanom. Zresztą skąd wiadomo, że KGB nie wprowadza was rozmyślnie w błąd? Dostajemy coś ciekawego od tego agenta? - zapytał dyrektor Narodowej Agencji Bezpieczeństwa.

- Owszem, kupę pożytecznego materiału. O nas i Japonii.

- Ale nic o Związku Radzieckim?

Jack zawahał się przy tym pytaniu, choć mógł w stu procentach zawierzyć lojalności Olsona. Jego inteligencji także.

- Zgadza się.

- Jesteś pewien, że nie chcą nas wprowadzić w maliny? Powtarzam, absolutnie pewien?

- Wiesz lepiej ode mnie, Ron, że w tej branży absolutna pewność nie istnieje.

- Muszę mieć w ręku pewniejsze dowody, zanim poproszę Kongres o kolejne kilkaset milionów dolarów z budżetu. Mieliśmy już fałszywe alarmy, sami też bawiliśmy się w manipulację. Kiedy nie potrafisz złamać szyfrów przeciwnika, musisz go nakłonić, żeby je zmienił. Jak? - Udając, że je złamałeś. - Tak można było rozumować pięćdziesiąt lat temu, ale nie dzisiaj.

- Powtarzam jeszcze raz: zanim z tym pójdę do Trenta, muszę mieć konkretne dowody. Mówimy o ogromnym przedsięwzięciu, przy którym ten twój MERKURY to mały gówniarz. Potrzebne będą tysiące maszyn szyfrujących, obsługa, sprzęt, to wszystko kosztuje. Zanim się z tym wychylę, muszę mieć w ręku bardzo konkretne dowody. - Doskonale rozumiem. W porządku, powiedziałem, co

miałem powiedzieć.

- Jack, dokładnie sprawdzimy to, o czym mi powiedziałaś. Mam od takich spraw specjalną brygadę tygrysa, zaraz jutro rano posadzę ich do roboty. Dziękuję, że się fatygowałeś. Zrozum, nie musisz się na mnie obrażać.

- Przepraszam, Ron. Za dużo ostatnio pracuję.

- Może powinieneś wziąć urlop. Wygląda, że masz dosyć.

- Wszyscy mi to mówią.

Następnym przystankiem Ryana był gmach FBI.

- Już słyszałem - przywitał go Dan Murray. - Aż tak niedobrze?

- Według mnie, tak. Ron Olson twierdzi co innego. - Jack nie musiał wyjaśniać, na czym polega nieszczęście. Spośród wszystkich kataklizmów, jakie mogły spotkać rząd, jedynie wojna była czymś gorszym niż utrata bezpiecznych połączeń. Od bezpiecznego przepływu informacji z jednego miejsca w drugie zależały wszystkie inne przedsięwzięcia. Za sprawą przechwyconej przez przeciwnika depeszy przegrywano już wojny. Jeden z najbardziej oszałamiających sukcesów dyplomacji amerykańskiej, jakim był układ waszyngtoński z tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku w sprawie zbrojeń na morzu, zawdzięczać należy Departamentowi Stanu, ponieważ znalazł on sposób odczytywania depesz, które przybyli dyplomaci z innych państw wymieniali ze swoimi rządami. Rząd, który nie ma tajemnic, nie jest w stanie sprawować władzy.

- Bywały już takie historie, z Walkerami, Peltonem i kim tam jeszcze - zauważył Murray. KGB posiadało rzadki talent do werbowania agentów spośród amerykańskich szyfrantów wojskowych i cywilnych. W ambasadach szyfranci mieli w rękach wszystkie najważniejsze informacje, lecz płacono im bardzo źle i traktowano na równi ze sprzątaczkami, jako "personel pomocniczy". Nic dziwnego, że niektórzy szyfranci zateśknili za lepszym życiem i wystawili posiadane informacje na sprzedaż. Poniewczasie zorientowali się, że obce wywiady płacą dość marnie (wyjątkiem jest tu CIA, która zdradę wynagradza poważnymi kwotami), ale nie mogli się już wycofać. Od braci Walkerów Rosjanie dowiedzieli się szczegółów na temat amerykańskich maszyn szyfrujących i systemów kodowania. Sprzęt ten nie zmienił się zasadniczo w ciągu dziesięciu lat, jakie upłynęły od tamtej pory. Dzięki ulepszeniom udało się usprawnić pracę maszyn, bardziej niezawodnych od mechanicznych urządzeń szyfrujących z dawnych czasów, wykorzystujących do kodowania metalowe bębny i przełączniki. Nadał jednak budowa tych urządzeń opierała się na dziedzinie matematyki, zwanej teorią złożoności. Stworzyli ją sześćdziesiąt lat wcześniej łącznościowcy, próbując przewidzieć zachowanie się wielkich central telefonicznych. Rosjanie mieli u siebie najlepszych matematyków na świecie. Byli i tacy, którzy twierdzili, że znajomość budowy urządzeń szyfrujących pozwala wybitnemu matematykowi odczytać kod. Czyżby jakiś nikomu w świecie nie znany Rosjanin dokonał przełomu w nauce? Jeżeli tak...

- Musimy założyć, że przechwycili więcej depesz, tylko my nic o tym nie wiemy. Doliczając ich umiejętności techniczne, jest się czym martwić.

- Całe szczęście, że nie rusza to mojego biura. I dzięki Bogu - odetchnął Murray. FBI przesyłało większość tajnych depesz przez telefon i chociaż urządzenia zakłócające podsłuch nie miały pełnej skuteczności, informacje dotyczyły przeważnie spraw bieżących. Prócz tego urozmaicano rozmowy slangiem i mnóstwem kryptonimów, co zaciemniało planowane zamiary Biura. Były jeszcze względy praktyczne: ostatecznie, na ilu liniach przesyłowych naraz mógł działać podsłuch przeciwnika?

- Mógłbym cię poprosić, żeby Biuro przewąchało tę sprawę?

- Jasne. Chcesz to puścić drogą służbową?

- Chyba nie mam wyjścia, Dan.



- Zrobisz koło pióra paru ważnym instytucjom.
- Walczę o słuszną sprawę, nie? - Ryan wyszczerzył zęby do gospodarza.
- Myślałem, że już się czegoś nauczyłeś. - Murray zawtórował mu śmiechem.

- I jeszcze te skurwysyny Amerykanie! - pieklił się Narmonow.

- Co takiego znowu wymyślili, Andrieju Iljiczu?

- Nie macie nawet pojęcia, Olegu Kiryłowiczu, co to znaczy mieć do czynienia z podejrzliwością obcego państwa.

- Na razie nie mam - przyznał Kadyszew. - Dotąd miałem tylko do czynienia z podejrzliwością rodaków.

Faktyczna likwidacja Politbiura jak na złość odebrała pnącym się do góry politykom radzieckim możliwość zapoznania się z zagranicznymi mechanizmami władzy państwowej. Doszło do tego, że Rosjanie pod względem politycznego prowincjonalizmu doszłusowali do Amerykanów. Swoją drogą, warto o tym pamiętać, pomyślał Kadyszew.

- O co im znowu chodzi?

- Tylko do waszej wyłącznej wiadomości, młody człowieku.

- Rozumie się.

- Amerykanie rozesłali do swoich ambasad okólnik z poleceniem, żeby zbadano, jak chwiejna jest moja pozycja polityczna.

- Naprawdę? - Kadyszew pozwolił sobie tylko na to jedno słowo. Poraziła go dwuznaczność sytuacji. Jego meldunek wywołał odpowiedni skutek w administracji amerykańskiej, lecz ponieważ dowiedział się o tym także Narmonow, wzrosło ryzyko wpadki. Ciekawe jest życie agenta, powiedział sobie Kadyszew z nieczęstą u niego obiektywnością. Jego działania zmieniały się odtąd w grę hazardową, w której ryzyko było równie ogromne jak ewentualny zysk. Trudno, wiedział przecież, w co się łąduje. Postawił coś więcej niż swoją miesięczną pensję. Po krótkim namyśle zapytał:

- Skąd mamy takie informacje?

- Tego nie mogę wyjawiać.

- Rozumiem.

Cholera! Dobrze, i tak dał się wyciągnąć na zwierzenia. Ale może chce mnie tylko podejść? Całkiem w stylu Andrieja Iljicza.

- Ale czy to pewna wiadomość?

- Całkowicie.

- Mógłbym wam jakoś pomóc?

- Moglibyście, Olegu Kiryłowiczu. Ponawiam mija propozycję.

- Tak się przejęliście tym, co mówią Amerykanie?

- Oczywiście, że tak!

- Rozumiem, że ich stanowisko jest ważne, ale ostatecznie co ich obchodzi nasza polityka wewnętrzna?

- Przecież wiecie, o co im chodzi.

- Wiem.

- Dlatego potrzebne mi wsparcie z waszej strony - powtórzył Narmonow.

- Musiałbym się porozumieć z kolegami.

- Ale proszę, możliwie szybko.

- Postaram się. - Kadyszew opuścił gmach i znalazł swój samochód. Obywał się bez kierowcy,

nieczęsty obyczaj wśród radzieckiej elity władzy. Czasy się zmieniają. Politycy wysokiego szczebla musieli dziś kokietować lud, a to oznaczało, że nie mogą już mknąć przez Moskwę wydzielonym pasem szybkiego ruchu ani cieszyć się innymi widocznymi przywilejami władzy. Wielka szkoda, pomyślał Kadyszew, choć dobrze wiedział, że gdyby nie te i pozostałe przemiany, nadal byłby samotnym delegatem z dalekiej obłosi, zamiast przywódcą ważnej frakcji w Zjeździe Deputowanych Ludowych. Dlatego uważał, że warto się obejść bez daczy w lasach na wschód od Moskwy, bez luksusowego mieszkania, bez ręcznie wyklepanej limuzyny z kierowcą i tylu innych rzeczy, których zazdrozczono władcom jego wielkiej i nieszczęśliwej ziemi. Kadyszew sam jeździł do legislatury, gdzie na otarcie łez mógł liczyć na zarezerwowane miejsce na parkingu. Kiedy zatrzasnął wreszcie za sobą drzwi gabinetu, zasiadł przy ręcznej maszynie do pisania i wystukał na niej krótki list, który następnie złożył i schował do kieszeni. Tego dnia czekało go jeszcze dużo pracy. Ponownie opuścił budynek i przeszedł ulicą do gmachu obrad Zjazdu. W olbrzymim foyer oddał płaszcz szatniarce, która podała mu numer. Kadyszew podziękował jej grzecznie. Szatniarka odwiesiła płaszcz, wyjęła z jego wewnętrznej kieszeni list i przełożyła do swojej kieszeni. Cztery godziny później list Kadyszewa dotarł już do ambasady amerykańskiej.

- Stany lękowe? - zapytał Fellows.

- Można to i tak nazwać, panowie - oświadczył Ryan.

- Śmiało, mów, o co chodzi - przynaglił Trent, popijając herbatę.

- Mieliśmy następne sygnały o przecieku na liniach łączności.

- Znowu? - Trent wznosił oczy do nieba.

- Uspokój się, Al, znamy już tę śpiewkę - burknął Fellows. - Konkretnie, Jack, proszę konkretnie.

Ryan przedstawił obu kongresmenom konkrety.

- Co na to Biały Dom?

- Jeszcze nie wiem, idę tam prosto od was. Szczerze mówiąc, wolałem najpierw porozumieć się z wami, mam zresztą jeszcze jedną sprawę. - Jack opisał meldunek ŻAGLA na temat tarapatów Narmonowa.

- Od dawna masz ten materiał?

- Od paru tygodni.

- Dlaczego mówisz nam dopiero teraz? - obruszył się Trent

- Bo biegałem jak pies z wywieszonym ozorem, żeby uzyskać jakieś potwierdzenie - odparł Jack.

- I jak?

- Nie wiem, Al. Nie dostałem bezpośredniego potwierdzenia, że to wszystko prawda. KGB prowadzi jakieś dyskretne poszukiwania w Niemczech, podobno nie mogą się doliczyć taktycznych głowic atomowych.

- Dobry Boże! - skwitował wieść Fellows. - Jak to: "nie mogą się doliczyć"?

- Sami nie wiemy. Jeżeli ma to jakikolwiek związek z meldunkiem ŻAGLA, może się okazać, że armia radziecka prowadziła podwójną buchalterię w składach.

- A ty co myślisz?

- Powtarzani, nie wiem. Róbcie co chcecie, nie wiem. Nasi analitycy też nie wiedzą, połowa wierzy w meldunek, połowa nie. Przeważnie wolą siedzieć cicho.

- Wiemy nie od dziś, że w ich wojsku kipi - rzekł z namysłem Fellows. - Goły budżet, utrata prestiżu, likwidacja jednostek i etatów... Ale żeby aż tak zakopiało?

- Aż przyjemnie pomyśleć - dodał Trent - Walka o władzę w kraju pełnym atomówek... Jak oceniasz meldunki ŻAGLA?

- Dotąd znakomite. Pięć lat wiernej służby.

- To jeden z ich parlamentarzystów, prawda? - upewnił się Fellows.

- Owszem.

- Pewnie wysoko w hierarchii, skoro ma dostęp do takich spraw... Nieważne, lepiej żebyś nam nie mówił, który to - dodał Fellows. Trent przytaknął tym słowom, dodając:

- Może go nawet spotkaliśmy. Masz nosa, Al, chciał dodać Jack.

- Te doniesienia wzięliście poważnie?

- O, tak. Wyłazimy ze skóry, żeby zdobyć potwierdzenie.

- Było coś nowego od NITAKI? - zapytał Trent

- Wiesz, tutaj...

- W Białym Domu słyszałem, że szykuje się jakaś afera z Meksykiem - naparł na Ryana Al Trent

- Prezydent chce, żebym go poparł, ale nie znam sprawy. Dał zezwolenie, żebyś mógł nas w to wprowadzić. Słowo honoru, Jack, prezydent sam zezwolił.

Ryan zdawał sobie sprawę, że narusza przepisy, lecz nie pamiętał, by Trent kiedykolwiek złamał słowo. Powtórzył więc także meldunek NITAKL

- Te skośnookie skurwysynki! - wściekł się natychmiast Trent. - Wiesz, ile mnie kosztowało, żeby dopchać jakoś do końca tamte rozmowy handlowe? I po co? Żeby za sześć miesięcy złamali układ! Bo mówisz nam, Jack, że dokładnie na to się zanoszą?

- Istnieje taka możliwość.

- Co ty na to, Sam? Farmerzy z twojego okręgu wyborczego też pewno stosują te paskudne chemikalia. Komu sprzedadzą plany?

- Al, trzeba uszanować zasadę wolnego handlu - przypomniał Fellows.

- Trzeba uszanować raz dane słowo!

- Z tym się nie będę kłócić, Al. - Fellows wdał się w rozważania, ilu farmerów zbankrutuje wskutek zmiany stanowiska Tokio w sprawie układu, o który bił się tak zaciekle w Izbie Reprezentantów. - Jak tu się dowiedzieć, czy to prawda?

- Jeszcze nie wiem.

- Może założyć złotemu podsłuch w samolocie? - zaproponował Trent i zachichotał. - Jeżeli będziemy wiedzieć z góry, co się szykuje, chciałbym widzieć, jak Fowler udupi tego premiera. I bardzo dobrze! Ile głosów kosztował mnie tamten układ handlowy! - Trent taktownie nie wspominał, że w ostatnich wyborach dostał pięćdziesiąt osiem procent głosów, a jego rywal tylko czterdzieści dwa. - Prezydent chce, żebyśmy mu pomogli w tej sprawie. Masz coś przeciwko temu, Sam? Ty albo twoja partia?

- Nie przypuszczam.

- Panowie, szczegóły polityczne uzgadniajcie już beze mnie. Ja tu jestem tylko gońcem.

- Jack Ryan, ostatnia płochliwa dziewica - zakpił Trent - Dobrze informacje, należą ci się dzięki. Daj nam znać, czy prezydent chce, żebyśmy się podpisali pod tym ulepszonym KANKANEM.

- Nawet nas o to nie zapyta. Chodzi o dwieście albo trzysta milionów dolarów, a budżet aż piszczy - skomentował rzecz Fellows. - Zanim sami zacniemy wrzawę, chciałbym widzieć najpierw więcej dowodów. Za dużo pieniędzy idzie w waszą czarną dziurę.

- Rozumiem, naturalnie, ale dla mnie to bardzo alarmująca sprawa. Podobnie jak dla FBI.

- Ron Olson też tak myśli?

- Nie, zabarykadował się i czeka.

- Byłyby większe szanse, gdyby to Olson wystąpił o fundusze - poinformował Ryana Fellows.
- Wiem. Tyle dobrego, że nasz własny system szyfrowania rusza za trzy tygodnie. Zaczęliśmy wypuszczać pierwsze płyty kompaktowe, robimy na razie próby.
- W jaki sposób?
- Kazaliśmy komputerowi szukać powtarzających się cech w zaszyfrowanym materiale. Duży superkomputer, Cray YMP. Do tego jeszcze sprowadziliśmy konsultanta z Zakładu Sztucznej Inteligencji z Massachusetts Institute of Technology, żeby wypróbował nowy program do wyłapywania zbitek. Za tydzień, góra za dziesięć dni, dowiemy się, czy system naprawdę działa i będziemy mogli rozesłać urządzenia do placówek.
- Naprawdę wolałbym, żebyś się mylił - rzekł Trent do Jacka Ryana na zakończenie spotkania.
- Ja też chciałbym się mylić. Ale coś mi mówi, że mam rację.

- No więc, ile to ma kosztować? - zapytał Fowler znad talerza.
- O ile się orientuję, dwieście do trzystu milionów.
- Nic z tego. Budżet wali nam się i tak.
- Ja też tak myślę - potwierdziła Liz Elliot - ale chciałam się najpierw przekonać, co ty na to. Autorem pomysłu jest Ryan. Olson z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa mówi, że Ryan bredzi, i że linie łączności są bezpieczne, ale rzecz w tym, że Ryan ma hopla na punkcie nowego systemu szyfrującego. Dopominał się już o forszę przez swoje kanały w CIA. Więcej, sam z tym poleciał do Kongresu.

- Coś takiego! - Fowler odłożył widelec. - Zamiast puścić to drogą służbową? Co się dzieje?
- Jak to co, Bob? Zdążył sprzedać ten nowy system z Agencji Trentowi i Fellowsowi, zanim się w ogóle dowiedziałam od niego, że jest taka sprawa.
- Co on sobie, do cholery, wyobraża?
- Ja też się pytam, Bob!
- Wylatuje, Elizabeth. Ryan wy-la-tu-je! Najlepiej od razu się tym zajmij.
- Wspaniale. Chyba nawet wiem, od kogo zacząć.

Całą sprawę ułatwił przypadek. Jeden z wywiadowców Ernesta Wellingtona przez tydzień obserwował sklepik sieci "7-11" przy szosie numer pięćdziesiąt między Waszyngtonem i Annapolis. Większość klientów pochodziła z pobliskiego osiedla mieszkaniowego. Inspektor zaparkował furgonetkę na końcu ulicy, skąd mógł dogodnie obserwować sklep i odległy o pięćdziesiąt metrów domek Zimmerów. Furgonetka była typowym wozem obserwacyjnym, przerobionym ze zwykłego samochodu przez specjalistyczną firmę. W wystającym wywietrzniku ukryto doskonały peryskop, którego obiektywy połączone były z kamerą telewizyjną i aparatem fotograficznym Canon. We wnętrzu inspektor miał do dyspozycji lodówkę z napojami chłodzącymi, duży termos z kawą i muszlę klozetową z oczyszczaniem chemicznym. Czuł się w tym ciasnym wnętrzu jak w prywatnym statku kosmicznym, nie bez powodu zresztą, gdyż część urządzeń dorównywała klasą wyposażeniu promów kosmicznych NASA.

- Bingo! - zachrypiało radio. - Samochód obiektu zjeżdża z autostrady. Przerywam śledzenie.
- Zrozumiałem, przejmuję - odpowiedział do mikrofonu lokator furgonetki.
- Clark zauważył forda mercury dwa dni wcześniej. Nie miał jednak pewności, bo kiedy dojeżdża się do pracy ciągle tą samą trasą, w nieunikniony sposób widuje się stale te same samochody. Zlekceważył więc forda, który ani razu nie podjechał blisko i nie zjeżdżał w ślad za nimi z autostrady. Clark zaczął więc myśleć o czymś innym. Nigdy w końcu nie widział, żeby kierowca

forda mówił do mikrofonu... Dzięki telefonom komórkowym można jednak przemawiać do słuchawki przypiętej do daszka przeciwsłonecznego nad kierownicą. Ileż wygody z tymi wynalazkami! Dobry wóz pościgowy nie musiał już zdradzać swojej misji. Clark zaparkował na placyku przed "7-11" i rozejrzał się dookoła. Spokój. Trzasnął drzwiczkami równocześnie z Ryanem. Umyślnie nie zapiął płaszcza i marynarki, żeby łatwiej było wyszarpnąć dziesięciomilimetrową beretę, noszoną u lewego biodra. Słońce zachodziło właśnie, spowijając czerwienią połowę nieba. Jak na tę porę roku, było bardzo ciepło, pogoda w sam raz na krótkie rękawy, a nie na gruby prochowiec. Pogoda w Waszyngtonie była, oczywiście, równie nieprzewidywalna jak gdziekolwiek na świecie.

- O, pan doktor Ryan - odezwał się jeden z małych Zimmerów. - Mama jest w domu.

- Aha - Ryan wyszedł ze sklepu i po kamiennym chodniku ruszył w stronę domostwa. Z daleka dojrzał, że Carol jest w ogródku i huśta na nowej huśtawce najmłodszą córeczkę. Clark szedł za nim, jak zwykle rozglądając się czujnie. Widział jednak tylko zielone trawniki, samochody, grupkę dzieci podrzucających jajowatą piłkę. Ochroniarz zmartwił się, że początek grudnia jest tak ciepły. Najlepsza oznaka, że zima będzie po zbójcu surowa.

- Cześć, Carol! - zawołał Jack. Pani Zimmer nie zauważyła go, wpatrzona w córkę na huśtawce.

- Pan doktor! Ładna huśtawka, proszę?

Jack przytaknął, choć poczuł się głupio, bo przecież sam powinien był dopomóc w zmontowaniu huśtawki. Nie miał sobie równych, gdy szło o składanie różnych zabawek. Nachylił się nad krzeselkiem.

- Jak tam nasz skrzacik?

- Nie chce zejść, a tu kolacja - powiedziała Carol. - Może doktor?

- A w ogóle, co słyhać?

- Peter dostał się na studia! Pełne stypendium na MIT!

- Massachusetts Institute of Technology? Wspaniale! - Ryan uściskał Carol Zimmer, powtarzając w myślach stary dowcip o nadziejach całej rodziny: "Nasz doktor ma już pięć latek, a adwokat trzy!". Jaki dumny byłby Buck, gdyby dożył tego widoku! Zauważyła, oczywiście, azjatycka obsesja na punkcie starannego wykształcenia, to samo dążenie, które pozwoliło wyjść amerykańskim Żydom poza wszelką konkurencję. Jeśli nadarzyła ci się szansa, łap ją za gardło i ciśnij! Ryan nachylił się nad najmłodszą Zimmerówną, która wyciągnęła rączki do wujka Jacka.

- No, chodź, Jackie - powiedział do niej i dźwignął ją z huśtawki. W nagrodę otrzymał pocałunek w nos. Nagle rozległ się klakson, więc Jack podniósł głowę.

- Mam cię - mruknął inspektor. Sztuczka była stara jak świat, lecz zawsze skuteczna. Kwestia instynktu. We wnętrzu furgonetki znajdowało się kilka guzików, które uruchamiały klakson. Mózg śledzonej osoby rozpoznawał sygnał o niebezpieczeństwie, instynktownie każąc rozejrzeć się za źródłem dźwięku. Inspektor nacisnął najbliższy. Jak na zamówienie, Ryan, trzymający w objęciach dzieciaka, zwrócił głowę w stronę furgonetki. Udało się więc sfotografować go obejmującego Zimmer, pocałunek dziecka i zbliżenie twarzy, zarejestrowane na szybkim filmie o czułości 1200 ASA. Oprócz tego wszystko zarejestrowała kamera wideo. Proste, prawda? Nareszcie mieli w rękę materiał na tego całego Ryana. Zadziwiające, że facet, który ma tak śliczną żonę, jeszcze ma ochotę puszczać się w bok, ale widocznie takie jest życie. Do tego jeszcze ochroniarz z CIA, żeby było bezpiecznie, proszę proszę. A te czułości z dzieckiem... Ależ sobie facet zasrał sprawę, pomyślał inspektor, słysząc, jak automatyczny canon przewija film.

- Zostańcie coś jeść! Dziś musicie jeść! Peter dostał stypendium!

- Trudno odmówić, doktorze - stwierdził Clark.

- No, dobrze. - Ryan postawił Jacqueline Theresę Zimmer na ziemię. Ani Clark, ani on sam nie

zauważyli furgonetki, która po kilku minutach ruszyła od krawężnika pięćdziesiąt metrów dalej.

Zbliżała się najtrudniejsza część zadania. Pluton, umieszczony w żaroodpornych tyglach z siarczku ceru, zniknął za drzwiczkami pieca elektrycznego. Fromm szczelnie zamknął zatrzaski i uruchomił pompę, która powietrze w palenisku zastąpiła obojętnym argonem.

- W powietrzu jest tlen - mądrzył się Niemiec. - Argon to gaz obojętny. Nie możemy ryzykować: Pluton łatwo wchodzi w reakcje, może się zapalić. Co prawda tygle ceramiczne są pod tym względem bezpieczne, ale i tak trzeba było rozdzielić materiał, żeby nie utworzył masy krytycznej i nie zaczęła się reakcja.

- Chodzi o te przejścia fazowe? - zapytał Hosni.

- Właśnie o nie.

- Ile to potrwa? - dopytywał się Kati.

- Dwie godziny. Teraz nie wolno się spieszyć. Tygle wydobędziemy z pieca pod przykryciem, odlewać też będziemy w osłonie z obojętnego gazu. Teraz wiesz, po co nam był potrzebny właśnie taki piec.

- To odlewanie jest, mówisz, naprawdę bezpieczne?

- Absolutnie - zapewnił Fromm. - Pod warunkiem, że będziemy ostrożni. Forma ma taki kształt, że masa krytyczna po prostu nie ma prawa powstać. Wiele razy ćwiczyłem takie odlewanie na sucho. W innych krajach zdarzały się z tym wypadki, ale zawsze chodziło o duże ilości materiału rozszczepialnego, zresztą w tamtych czasach nie znano się jeszcze tak dobrze na obróbce plutonu. Uwaga, teraz powoli i ostrożnie. Udawajcie, że odlewacie złoto - napomniał Fromm obecnych.

- Ile czasu potrwa szlifowanie?

- Trzy tygodnie. Potem jeszcze dwa, żeby poskładać i sprawdzić wszystkie elementy.

- A kiedy tryt? - zapytał Hosni.

Fromm nachylił się nad wziernikiem pieca.

- Sam oddestyluję tuż przed końcem montażu. I na tym zakończymy zabawę...

- Podobna czy niepodobna? - zapytał inspektor. Wellington nie miał zdania.

- Nieistotne, ważniejsze jest to, że tak się czulą z tą małą na zdjęciu. Śliczniutka. Patrzyłem tydzień temu, jak składają tę huśtawkę. Mała, nawiasem mówiąc, ma na imię Jackie - Jacqueline Theresa...

- Ciekawe, prawda? - Wellington uczynił kolejną notatkę.

- No, właśnie. Mała uwielbia się huśtać.

- Wygląda, że doktora Ryana też uwielbia.

- Pan naprawdę myśli, że to on jest ojcem?

- Może i tak - oświadczył Wellington, zajęty porównywaniem obrazu na wideo ze zdjęciami. -

Kiepskie światło, co?

- Mogę poprosić chłopaków w laboratorium, żeby podostrzyli. Fakt, że z taśmą będą się bawić kilka dni, bo leci się klatka po klatce.

- Nie szkodzi, to dobry pomysł. Chcę mieć porządny materiał.

- Będzie jak trzeba. Ciekawe, co będzie z tym Ryanem.

- Namówi się go, żeby zrezygnował z pracy w rządzie.

- Wie pan, gdyby chodziło o zwykłego faceta, ktoś mógłby to nazwać szantażem, ingerencją w prywatne sprawy i tak dalej...

- Nie chodzi o zwykłego faceta ani o szantaż. Ryan ma dostęp do różnych tajnych spraw, a

tymczasem prowadzi podwójne życie.

- Fakt. Robimy co do nas należy, co?

- Dokładnie tak.





# REPERKUSJE

- Do diabła, Ryan, na co pan sobie pozwala!

- Właśnie, na co? - zdziwił się Jack.

- Bez mojej wiedzy poleciał pan do Kongresu.

- Że co proszę? Owszem, dałem Trentowi i Fellowsowi do zrozumienia, że szykują się problemy. Na tym polega moja rola.

- To niepewne informacje - upierał się dyrektor.

- Niech mi pan pokaże pewne informacje w tej branży.

- Proszę bardzo. - Cabot podał Ryanowi nową teczkę.

- Od ŻAGLA. Dlaczego mi tego nie dostarczono?

- Proszę czytać! - uciął Cabot.

- Potwierdza przeciek... - Meldunek był krótki, więc Jack błyskawicznie dotarł do końca.

- Owszem, chociaż uważa, że przeciek nastąpił w naszej ambasadzie w Moskwie. Szyfrant albo ktoś taki.

- Z jego strony to czyste domysły. ŻAGIEL pisze tylko, że odtąd jego doniesienia mają do nas wędrować przez posłańca. To jedyna pewna informacja w tym meldunku.

Cabot nie podjął rękawicy, mówiąc zamiast tego:

- Używaliśmy już posłańców.

- Owszem, pamiętam - przytaknął Ryan. Dziś, po uruchomieniu bezpośrednich lotów Nowy Jork-Moskwa, powinno to być jeszcze łatwiejsze.

- Jak się w tej chwili przedstawia szcurzy łańcuch?

Jack skrzywił się, słysząc to. Cabot uwielbiał roboczy żargon Agencji, lecz określenie "szcurzy łańcuch", opisujące drogę dokumentu od agenta do oficera prowadzącego, dawno wyszło z mody.

- Bardzo prosto: ŻAGIEL zostawia meldunek w kieszeni płaszcza. Szatniarka w Pałacu Zjazdów wyciąga kartkę i przekazuje ją jednemu z naszych, który ociera się o nią w przejściu. Wszystko szybko i sprawnie. Mała chwila i meldunek nasz. Nie powiem, żeby mi się podobał ten system, ale na razie działa.

- Już drugi agent mówi nam, że boi się o nasze linie łączności! To okropne. Muszę osobiście lecieć do Japonii, żeby spotkać się z tym NITAKĄ!

- Agenci z reguły chcą osobistych spotkań z kierownictwem Agencji, dyrektorze. Ziemia pali im się pod nogami, potrzebują moralnego wsparcia od ludzi ze świecznika.

- Zmarnuję przez to cały tydzień! - zdenerwował się Cabot

- I tak ma pan lecieć w początkach lutego do Korei - przypomniał mu Ryan. - Wracając wpadnie pan do naszego przyjaciela. Przecież nie żąda natychmiastowego spotkania, powiedział tylko, że "niedługo".

Ryan powrócił do meldunku ŻAGLA, zastanawiając się, dlaczego Cabot przejmuje się głupstwami. Oczywiście wiedział, dlaczego. Cabot był dyletantem i leniem, który nie lubił przegrywać w dyskusji.

Meldunek informował, że Narmonow bardzo się obawia, iż Zachód zorientuje się w katastrofalnych stosunkach między nim a wojskiem i KGB. ŻAGIEL nie wspominał więcej o zaginionych głowicach, rozpisywał się za to o przesunięciach wśród frakcji w Radzie Najwyższej. Ryan miał wrażenie, że meldunek poskładano z kilku różnych części. Postanowił pokazać tekst Mary

Pat, która jedyna w całej Agencji jako tako rozumiała swego podopiecznego.

- Domyślałam się, że zabiera pan to do prezydenta.

- Tak, chyba powinienem.

- Jeżeli mógłbym coś doradzić, proszę mu przypomnieć, że do dzisiaj nie uzyskaliśmy żadnego pewnego potwierdzenia poprzednich doniesień Kadyszewa.

- Co z tego? - zdziwił się Cabot

- Nic, tylko tyle. Kiedy informacje pochodzą wyłącznie z jednego źródła, szczególnie takie ważne, wypada o tym wspomnieć.

- Ja tam wierzę Kadyszewowi.

- A ja mniej.

- Cała sekcja rosyjska wierzy w te meldunki - rzekł z triumfem Cabot.

- Owszem, uznali je, ale czułbym się o wiele lepiej, mając w ręku potwierdzenie z niezależnego źródła - upierał się Jack.

- Na jakiej podstawie powątpiewa pan w meldunki ŻAGLA?

- Nie opieram się na niczym konkretnym. Po prostu, myślę, że po tylu tygodniach powinniśmy już uzyskać jakieś potwierdzenie.

- Jednym słowem namawia mnie pan, żebym poszedł do Białego Domu, wręczył im meldunek i oświadczył, że może to być jedna wielka bzdura? - Cabot zdusił w popielniczce cygaro, ku wielkiej uldze Jacka.

- Tak jest.

- Tego jeszcze brakowało!

- Musi pan to zrobić, trudno. Musi pan, bo tak się właśnie mają sprawy. Obowiązuje nas taka zasada,

- Panie Ryan, trochę mnie już męczą pańskie ciągłe uwagi o zasadach, jakie tu obowiązują. Nie wiem, czy pan zauważył, że to ja tu rządzę.

- Panie dyrektorze - Jack starał się ukryć drżenie głosu. - Ten meldunek z Moskwy jest naprawdę rewelacyjny i jeśli zdołamy go potwierdzić, może odmienić bieg naszych stosunków z ZSRR. Jeżeli, bo na razie nie został potwierdzony. Przysłała go jedna osoba. Mogła się pomylić. Mogła coś źle zrozumieć. Mogła nawet nakłamać.

- Jakże ma pan podstawy do takich podejrzeń?

- Żadnych, dyrektorze. Myślę po prostu, że w tak ważnej sprawie nie byłoby rzeczą rozsądną ani rozważną zmieniać całej polityki zagranicznej na podstawie listu od jednego człowieka.

Ryan wiedział, że do Cabota najbardziej przemawiają takie argumenty, jak rozsądek i rozważa.

- Odnotowałem sobie to, co pan powiedział, Ryan. Samochód już czeka, będę z powrotem za parę godzin.

Cabot zdjął płaszcz z wieszaka i ruszył w stronę dyrektorskiej windy. Służbowy wóz rzeczywiście czekał. Jako dyrektorowi CIA przysługiwała Cabotowi para ochroniarzy, z których jeden kierował, a drugi siedział z przodu. Tkwili jednak w korkach drogowych jak wszyscy. Jadąc wzdłuż autostrady George'a Washingtona, Cabot pomyślał, że Ryan zrobił się nieznośny ze swoim przypieprzaniem się do wszystkiego. Co z tego, że on sam, Marcus, piastował urząd od niedawna? Owszem, brakuje mu doświadczenia. Owszem, wolał pozostawiać młyn codziennych spraw swoim podwładnym. W końcu nie po to się jest dyrektorem, żeby się grzebać w byle głupstwach, od których są inni. Cabot miał serdecznie dosyć powtarzających się dwa razy na tydzień wykładów Ryana na temat zasad służby, miał dosyć Ryana, który mu jeździł po głowie, miał dosyć Ryanowych spekulacji, których struga zaczynała płynąć, ilekroć przyszedł do Agencji jakiś smaczniejszy meldunek Kiedy

zajeżdżali przed skrzydło Białego Domu, dyrektor CIA był już porządnie wściekły.

- Witaj, Marcus - przywitała go Liz Elliot.

- A, dzień dobry. Mam ze sobą nowy raport ŻAGLA. Muszę to zaraz pokazać prezydentowi.

- Pokaż, co takiego wymyślił nasz przyjaciel Kadyszew.

- Skąd znasz nazwisko? - najeżył się Cabot

- Od Ryana. To nie wiesz?

- Niech go nagły szlag trafi - rozsierdził się dyrektor CIA. - Nic mi nie powiedział.

- Uspokój się, Marcus. Mamy parę minut, porozmawiajmy. W ogóle, to jak ci się układa praca z

Ryanem?

- Czasem zapomina, kto tu jest dyrektorem, a kto tylko zastępcą.

- Woda sodowa, prawda?

- I owszem - rzekł lodowatym tonem Cabot.

- Jest dobry w tym, co robi, chociaż nie zawsze. Ale osobiście miewam już trochę dosyć jego zachowania.

- Zupełnie się z tobą zgadzam, Liz. Ciągłe mówi mi, co mam robić, jak mam robić. Do tego meldunku też się wtrącał.

- Jak to, nie wierzy w twój rozsądek? - Doradczyni do spraw bezpieczeństwa starannie dobrała nową szpilę.

Cabot podniósł wzrok.

- Rzeczywiście, sprawia takie wrażenie.

- Trudno, zostało nam trochę zabytków po poprzedniej ekipie. Oczywiście, Ryan to zawodowiec... - Liz Elliot rozmyślnie urwała.

- A ja nie? - obruszył się Cabot

- Jasne, że tak, Marcus. Wiesz, co miałam na myśli!

- Przepraszam, Liz. Oczywiście, wiem. Jak mowa o Ryaniu, zaraz coś się we mnie gotuje, wszystko przez to.

- Chodźmy do szefa.

- Na ile pewna jest ta informacja? - zapytał Fowler pięć minut później.

- Tak jak mówiłem, agent pracuje dla nas od pięciu lat, a jego meldunki zawsze się sprawdzały.

- A w tej sprawie macie potwierdzenie?

- Niezupełnie - odrzekł Cabot. - Sprawdzić nie będzie łatwo, ale sekcja rosyjska uważa rzecz za autentyczną, ja zresztą także.

- Ryan jakoś nie dowierzał.

Cabot miał już serdecznie dosyć rozmów na temat Ryana.

- Ale ja wierzę, panie prezydencie, a co więcej, domyślam się, że Ryan chciał po prostu zaimponować nam swoimi nowiutkimi poglądami na temat radzieckich rządów, chciał nam wmówić, że wyzbył się odruchów z czasów zimnej wojny!

Liz Elliot pomyślała, że Cabot jak zwykle skupia całą uwagę na głupstwach.

- Elizabeth? - Fowler zwrócił oczy w jej stronę.

- Moim zdaniem, jest całkiem prawdopodobne, że radziecki aparat bezpieczeństwa chce umocnić swoją pozycję - zaczęła miłym, równym, nie za głośnym tonem. - Nie podoba im się liberalizacja, nie podoba im się utrata władzy, nie podoba im się Narmonow, który, ich zdaniem, nie potrafi rządzić. Dlatego meldunek zgadza się z wieloma faktami, o których wiedzieliśmy wcześniej. Myślę, że jest prawdziwy.

- Jeżeli tak, musimy trochę odpuścić z tym naszym popieraniem Narmonowa. Inaczej bezwiednie

dopomożemy w umocnieniu centralnej dyktatury, co gorsza, w wykonaniu grup, które w oczywisty sposób nie cierpią. Ameryki.

- Zgadza się - oświadczyła Liz. - Lepiej już spisać na straty Narmonowa. Jeżeli nie potrafi zmusić wojska do posłuszeństwa, będzie to musiał zrobić kto inny. Oczywiście, musimy mu jeszcze dać szansę... W ogóle nie bardzo mamy tu jak manewrować. Przecież nie o to nam chodzi, by wydać Związek Radziecki w ręce wojskowej dyktatury?

- Czyś ty zgłupiała? - zapytał prezydent Fowler.

Stali na stalowej kładce, przerzuconej wysoko pod sklepieniem bunkra, w którym przygotowywano do wyjścia w morze okręty podwodne z raketami Trident. W dole załoga USS "Georgia" ładowała kolejne porcje zapasów.

- Wywinał ci się spod paznokcia, Bart? - zapytał Jones. - Ciebie też by przekonały jego wyjaśnienia, Ron.

- Kiedy ostatnio przyłapałeś mnie na pomyłce?

- Jak by na to nie patrzeć, teraz jest pierwszy raz.

- Nie pomyliłem się, szefie - rzekł niegłośnie doktor Jones. - Mam takie przeczucie.

- W porządku, dlatego chciałbym, żebyś jeszcze trochę posiedział w symulatorze z jego hydroakustykami.

- Czemu nie - zgodził się Jones. - A wiesz, fajnie byłoby tak, jeszcze raz, ostatni raz...

Mancuso przyjrzał się bacznie Jonesowi.

- Zgłaszasz się na ochotnika?

- Ee, nie. Kim mogłaby źle zrozumieć, że zniknąłem na trzy miesiące z domu. Dwa tygodnie to i tak długo. Za długo, szczerze mówiąc. Nic, tylko siedziałbym teraz w domu, Bart, pierniczał i obrastał w ogólny szacunek. Niech pływają młodzi, którym wszystko jeszcze dziwne.

- Jak ci się podobają, a propos?

- Ci akustycy? Znają się na rzeczy. Namiarowcy też. Po kim objął dowództwo Ricks? Po Jimie Rossellim, prawda?

- Zgadza się.

- Widać, że dobrze przeszkoleni. Mogę coś tak, na osobności?

- Jasne.

- Ricks nie jest dobrym kapitanem. Za twardy dla załogi, za bardzo wymagający, wiecznie niezadowolony. Ty byłeś zupełnie inny, Bart.

- Każdy dowódca ma swój styl. - Mancuso udał, że nie słyszy komplementu.

- Wiem o tym, ale nie chciałbym pływać pod Ricksem. Po ostatnim rejsie jeden z szefów sekcji poprosił o przeniesienie, tak samo jak pół tuzina bosmanów.

- Wszyscy mieli jakieś historie z rodziną - bąknął Mancuso, który musiał podpisać wszystkie wnioski o przeniesienie, łącznie z tym, który złożył młody szef torpedystów.

- Ale, gdzie tam - sprzeciwił się Jones. - Potrzebowali jakiegoś pretekstu, to znaleźli.

- Słuchaj, Ron, jestem dowódcą dywizjonu, zgadza się? Dowódców okrętów oceniam na podstawie wyników. Ricks nie dostałby okrętu, gdyby był taki zły.

- Z góry gorzej widać, Bart. Ja patrzę z samego dołu i widzę z takiej perspektywy, że Ricks nie jest dobrym dowódcą. Nikomu innemu bym tego nie powiedział, ale pływałem razem z tobą, i... Rozumiem, byłem wtedy tylko podoficerem, zapchajdziurą, ale nawet mnie nigdy nie traktowałeś, jak Ricks swoich. Był z ciebie dobry dowódca, tak jak z Ricksa żaden. Załoga go nie lubi, nie ufają mu ani trochę.

- Do diabła, Ron, co mnie obchodzą plotki, ja wiem swoje.

- Wiem, wiem. Annapolis, promocja oficerska, tylko to się liczy dla absolwenta Akademii Kajakarstwa, jak ty czy Ricks. Musisz spojrzeć jakoś inaczej. Mówię ci, nikomu nie śmiałybym powiedzieć tego, co tobie teraz. Gdybym pływał na jego okręcie, już składałbym prośbę o przeniesienie.

- Ja też pływałem z kapitanami, których nie lubiłem. Kwestia stylu.

- Według rozkazu, admirale - zażartował Jones. - Ale powiem ci jeszcze tylko jedno, Bart. Jest wiele sposobów, żeby zdobyć punkty u przełożonego, ale tylko jeden, żeby przekonać do siebie załogę.

Fromm nalegał, żeby się nie spieszyć. Odlew dawno już ostygł, a teraz ramię maszyny odłupywało ścianki formy pod szczelnym kloszem i w osłonie z obojętnego gazu. Chropowaty odlew znalazł się w uchwytach obrabiarki. Niemiec osobiście sprawdził sekwencję poleceń w pamięci komputera maszyny i wcisnął pierwszy włącznik. Automat ożył. Ruchome ramię maszyny wybrało odpowiednią głowicę skrawającą, umieściło ją w obrotowym uchwycie i powróciło na miejsce. Całą przestrzeń pod kloszem maszyny wypełniał argon, a z przewodów chłodzących trysnął teraz freon, który miał równomiernie rozkładać temperaturę na całą powierzchnię plutonowego odlewu. Fromm dotknął ekranu komputera, wybierając właściwy program. Oś z głowicą tnącą poszła w ruch, osiągając tysiąc obrotów na minutę, i dotknęła plutonowej skorupy w sposób ani mechaniczny, ani ludzki, lecz jeszcze inny, jak gdyby maszyna parodiowała człowieka. Na oczach obserwatorów za przesłoną z leksanu, spod głowicy poleciała pierwsza srebrna wstążka skrawanego metalu.

- Ile surowca stracimy? - zapytał Hosni.

- Ach, w sumie nie więcej niż dwadzieścia gramów - zapewnił go Fromm, który dawno to obliczył. - Nie ma się czym przejmować.

Spojrzał na następny licznik, który podawał ciśnienie pod kloszem i na zewnątrz. Niewielką maszynę udało się całkowicie odizolować od reszty pomieszczenia, a ciśnienie pod kloszem było odrobinę niższe niż poza nim, dzięki czemu cięższy od powietrza argon nie dopuszczał do środka tlenu. Zapobiegało się w ten sposób reakcji opiłków z tlenem, wskutek której powstałby plutonowy pył, śmiertelna trucizna, wedle zapewnień Fromma. Pluton jako ciężki metal jest rzeczywiście toksyczny, a ponadto radioaktywny. Wydziela wprawdzie głównie cząstki alfa o małej energii, lecz tylko nieznacznie osłabiłoby to śmiertelne męki. Teraz nadzór nad obróbką mogli już przejąć Palestyńczycy, którzy okazali się nadzwyczaj sprawni. Zdaniem Fromma, wiele już umieli, kiedy przyszli, a ich talenty wzrosły jeszcze pod jego światłym kierunkiem. Palestyńczycy prawie dorównywali załodze szkolonej w Niemczech, choć brakowało im wykształcenia. Dla Fromma był to jeszcze jeden dowód, że praktyka okazuje się cenniejsza od teorii

- Długo jeszcze? - zapytał Kati.

- Ile razy mam ci mówić? Wszystko idzie dokładnie według planu. Ta faza budowy jest najbardziej czasochłonna. Rdzeń bomby musi być doskonały, absolutnie doskonały. Jeżeli ta część zawiedzie, wszystkie inne mogą iść na szmelc.

- To samo można powiedzieć o każdej części! - zauważył Hosni.

- Teoretycznie tak, mój młody przyjacielu, ale przy tej najłatwiej o pomyłkę. Pluton jest bardzo trudny w obróbce, nawet jeśli nie brać pod uwagę jego przejść fazowych. Lepiej sprawdźmy teraz materiał wybuchowy.

Hosni miał rację: każda część była równie ważna. Właśnie Hosniemu Fromm zlecił sporządzenie kostek materiału wybuchowego o odpowiednim kształcie, zostawiając mu rysunki.

Najlepszy do tego celu okazał się zwykły trotyl z dodatkiem zgęstniającym, tworzywem sztucznym, które gotowym kostkom nadawało twardość, nie zmieniając ich właściwości chemicznych. Materiały wybuchowe są z natury miękkie i łatwo dają się formować. Tym razem okazało się to wadą, gdyż od dokładnego kształtu bloczków zależało, w którą stronę skieruje się energia wybuchu. Hosni przygotował aż sześć tysięcy kostek, z których każda naśladowała kształtem segment pełnego cylindra. Siedemdziesiąt z nich idealnie wpasowywało się w siebie, tworząc pierścień materiału wybuchowego o średnicy zewnętrznej trzydziestu pięciu centymetrów. W każdej kostce tkwiła splotka, zaopatrzona w przełącznik krytonowy. Przewody od wszystkich przełączników musiały mieć dokładnie taką samą długość. Fromm podrzucił w rękę jedną z kostek.

- Powiadasz, że wszystkie są identyczne?

- Całkowicie. Zrobiłem dokładnie, jak kazałeś.

- Wybierz siedemdziesiąt na chybił trafił. - Przygotuję jedną z tych makiet ze stali, wypróbujemy ten trotyl.

Miejsce na próbę było oczywiście gotowe od dawna: na pół zasypany krater po amerykańskiej bombie Marie 84, zrzuconej kilka lat wcześniej przez izraelskie Phantomy F-4. Ludzie Katiego wzniesli nad kraterem drewniane rusztowanie, kładąc na wierzch trzy warstwy worków z piaskiem. Całości dopełniały siatki maskujące. Składanie próbnego ładunku zajęło trzy godziny. Wewnątrz stalowego odlewu znalazł się elektroniczny miernik siły zgniatania, od niego biegł dwustumetrowy przewód do następnego leja, w którym siedział Fromm z oscyloskopem. Zakończyli prace równo z zachodem słońca.

- Gotowe - zawołał Hosni.

- Odpalaj - rozkazał Fromm, wpatrując się w oscyloskop. Ibrahim trzasnął przełącznikiem. Rusztowanie rozpadło się na ich oczach, zostało z niego tylko kilka wyrzuconych w powietrze worków i tuman piasku. Na ekraniku oscyloskopu najwyższe ciśnienie zamarło zieloną falką, zanim jeszcze przetoczył się nad nimi grzmot fali uderzeniowej. Boćka i Katiego trochę rozczarowały bezpośrednie skutki wybuchu, osłabionego przez worki z piaskiem. Tak mizerna eksplozja ma zapoczątkować reakcję jądrową?

- I jak? - zapytał Hosni, patrząc, jak jeden z ludzi Katiego zaczyna biec w stronę pogłębionego krateru.

- Dziesięć procent odchylenia - poinformował go Fromm, podnosząc wzrok od oscyloskopu, po czym dodał z uśmiechem: - Na plus.

- Co to znaczy? - Kati zaniepokoił się nie na żarty, że coś poszło im źle.

- To znaczy, że mój młody uczeń dobrze przyswoił sobie lekcję. Piętnaście minut później mogli się sami o tym przekonać. Rdzenia musiało szukać dwóch ludzi, którzy później mozolili się pół godziny, oddzielając wolframową otulinę od stali, lecz widok nie zostawiał wątpliwości. Lata stalowa masa, gruba jak pięść mężczyzny, zmieniła się w pogięty pręt, nie grubszy od cygara. Gdyby zamiast stali w rdzeniu znajdował się pluton, musiałyby zajść w nim reakcja jądrowa, Fromm ręczył za to. Zadowolony wyciągnął dłoń do Ibrahima.

- Herr Hosni - rzeki, wracając do oficjalnych form - Ma pan talent do materiałów wybuchowych. Jest pan świetnym inżynierem. W NRD dopiero za trzecim razem wyszło nam jak trzeba, panu zaś od razu.

- Kiedy powtarzamy?

- Słusznie - przytaknął Fromm. - Jutro zrobimy następną próbę. Musimy oczywiście wykorzystać wszystkie stalowe formy.

- Po to je w końcu wytoczyliśmy - zgodził się Hosni.

W powrotnej drodze do kryjówki Bock zaczął rachować w myśli. Fromm twierdził, że siła eksplozji równać się będzie wybuchowi ponad czterystu pięćdziesięciu tysięcy ton trotylu. Bock wolał zawsze ostrożność, przewidując liczbę ofiar, więc dla świętego spokoju ocenił siłę bomby tylko na czterysta kiloton. Stadion i jego otoczenie i tak zmienia się w pył. Nie, nieprawda, poprawił się Bock. Bez przesady, to nie żadna magiczna broń, tylko zwyczajna duża bomba. Stadion i wszystko, co na stadionie, przestanie istnieć, lecz pozostały gruz rozleci się na setki metrów, może na kilometry. Ziemia wokół miejsca eksplozji zostanie zmielona wybuchem na cząsteczki niewiele większe od atomu, a pył ten zostanie wessany przez kulę ognistą, wewnątrz której promieniotwórcze resztki bomby połączą się z kipiącym kurzem. Bock dopiero niedawno dowiedział się, że tak właśnie powstaje opad promieniotwórczy, przez połączenie się pyłu z resztkami bomby. Wybuch miał nastąpić tuż nad powierzchnią gruntu, co zwielaokrotniało zasięg opadu promieniotwórczego. Wiatr poniesie pył na setki kilometrów, choć większość osiadzie w promieniu trzydziestu kilometrów od punktu zero. Wiatry mogą ponieść pył nad Chicago i St. Louis, może nawet nad Waszyngton. Ile osób umrze wskutek napromieniowania?

Dobre pytanie, pomyślał Bock. Liczbę ofiar bezpośrednio po wybuchu dawało się określić na dwieście tysięcy, nie więcej. Wtórne skutki wybuchu pozwolą doliczyć jeszcze pięćdziesiąt do stu tysięcy ofiar, uwzględniając zachorowania na nowotwory, które dadzą o sobie znać dopiero po latach. Kati słusznie mógł się czuć rozczarowany bilansem zniszczeń. Bardzo łatwo uwierzyć, że broń atomowa to czarnoksiężskie narzędzie zniszczenia, a przecież to nieprawda. Chodzi o zwykłe, potężne bomby, które wywołują ciekawe skutki po tygodniach i latach. Chodzi o najlepszą broń, jaką kiedykolwiek mieli do swojej dyspozycji terroryści.

- Terroryści? - zapytał Bock sam siebie. - Czy ja jestem terrorystą?

Oczywiście nie, choć trudne się dziwić, że tak go oceniali nie wtajemniczeni. Bock jednak od dawna wyrobił sobie bardzo konkretne zdanie na temat swojej opinii u innych. Nadchodząca akcja miała to wykazać ponad wszelką wątpliwość.

- John, potrzebny mi jakiś pomysł - zaczął Ryan.

- O co chodzi? - ożywił się Clark.

- Chodzę, kurczę, w kółko. W lutym przylatuje do Meksyku japoński premier, potem leci do Waszyngtonu na rozmowy z prezydentem. Jak tu się dowiedzieć, o czym rozmawia na pokładzie samolotu?

- Doktorze, jak przebiorę się w mini i będę udawał stewardesę, zobaczą mi kaburę. Z ceremonią herbacianą też u mnie nie bardzo... - ochroniarz, który latami działał w polu, spoważniał jednak - Może by tak podsłuch w samolocie? Technicznie byłby to normalny przewrót.

- Znasz się może na tym? John zamieszał kawę w kubku.

- Zakładałem już w życiu podsłuchy, pewnie, ale tylko na ziemi. Z samolotem jest kłopot, bo w tle słyhać zawsze pełno szumu, poza tym człowiek do końca nie wie, gdzie usiadzie ten namierzany. W samolocie rządowym jest jeszcze problem z ochroną. Ale najtrudniejsza jest strona techniczna - oznajmił Clark. - Najbardziej będą pilnować u siebie w domu, chociaż ma być jeszcze międzylądowanie w Detroit, tak? Stolica Meksyku. O, właśnie, mówią tam po hiszpańsku, a mój hiszpański ujdzie w tłoku, zresztą wezmę przecież ze sobą Dinga. O jaki to samolot chodzi?

- Premier ma lecieć Boeingiem 747 z linii JAL. Górny pokład za kabiną pilotów zmieniają w salę konferencyjną, zamierzają też wstawić parę łóżek. Tam masz rąbać podsłuchy. Ich premier lubi kibicować woźnicom, poza tym podróże to dla niego nie pierwszozna, więc próbuje w locie odespać zaległości.

Clark wiedział już, co zrobi.

- Ktoś musi im umyć okna. W końcu nie przylatują do własnej bazy lotniczej, jak nasz prezydent, który ma całą obsługę za miejscu. Jeżeli JAL utrzymuje regularną linię do Meksyku, ma na miejscu stałą ekipę zamiataaczy, Meksykan. Sprawdzę, ile się da, o 747. Dostać się na pokład to żadna sztuka, jakoś sobie poradzę, albo wyślę Dinga przodem, z papierami, żeby nam załatwił posadę. Tak będzie łatwiej. Rozumiem, że dostaliśmy zgodę aa operację?

- Prezydent powiedział, żeby mu znaleźć sposób. Musi zatwierdzić ostateczny plan.

- Pogadam z facetami z technicznego. - Clark miał na myśli wydział techniczno-naukowy CIA. -

Jedyny prawdziwy problem to ten szum... Mam się z tym spieszyć, doktorze?

- Masz się pospieszyć.

- Już się robi. - Clark podniósł się z miejsca. - Słowo daję, znów będę węszył w polu... Może mnie pan znaleźć w nowym gmachu. Potrzeba mi parę dni, żeby zobaczyć, co się da zrobić. Czy to znaczy, że nie jadę do Anglii?

- Przeszkadza ci to? - zapytał Jack.

- Ale gdzie tam. Nawet wolę zostać w domu.

- No to pięknie. Ja jadę, muszę zrobić gwiazdkowe zakupy w Hamley's.

- Nawet pan nie wie, jakie to szczęście mieć małe dzieci. Moje córki to chcą teraz tylko ciuchów i ciuchów, a gdzie ja się na tym znam?

Clark nie znosił kupowania damskich ubrań.

- Sally zaczyna nie dowierzać, ale mały Jack już czeka. Clark pokręcił głową i zauważył:

- Jak tylko przestanie człowiek wierzyć w świętego Mikołaja, zaraz wszystko inne mu schodzi na psy.

- Święte słowa, John.





# OPINIE

- Marnie wyglądasz, Jack - zauważył sir Basil Charleston.
- Jeśli jeszcze raz ktoś mi tak powie, chyba dam mu wycisk.
- Kiepski lot?

- Rzuciło przez całą drogę. Nie wyspałem się za bardzo.

Wyraźniejsze niż zwykle cienie pod oczami Ryana świadczyły, że to prawda.

- Cóż, może przekąska postawi cię na nogi.

- Jaki ładny dzień - zauważył Jack, kiedy idąc Westminster Bridge Road ruszyli w kierunku parlamentu. Jak na początek angielskiej zimy dzień był rzeczywiście niezwykle jasny, a niebo czyste i bezchmurne. Od Tamizy zawiewał chłodny wiatr, lecz nie przeszkadzało to Jackowi. Miał na sobie gruby płaszcz i szalik. Zimny powiew wyrwał go z sennego odrętwienia. - Mówiłeś o kłopotach w pracy, Bas?

- Znaleźliśmy pluskwę, wyobrażasz sobie? Podłuch dwa piętra pod moim gabinetem! Teraz przetrząsamy cały budynek.

- Takie czasy, kolego. KGB?

- Tego nie wiem - odrzekł Charleston, kiedy szli przez most. -Zaczęło się od tego, że leciał nam tynk z fasady, ot, łuszczył się, zupełnie jak parę lat temu fasada Scotland Yardu. Tynkarze zaczęli łątać mur i znaleźli jakiś przewód, nie wiadomo od czego. Poszli za nim i... Nasi rosyjscy przyjaciele nadal działają w najlepsze, a w dodatku nie są jedyną służbą w okolicy. Widziałeś kiedyś takie rzeczy na swoim podwórku?

- Nie widziałem. Langley jest w lesie, odwrotnie niż twój Century House.

Jack miał na myśli położenie centrali wywiadu brytyjskiego w gęsto zaludnionej dzielnicy (tuż obok Century House stał, na przykład, duży blok mieszkalny), gdzie do podsłuchu wystarczał mikronadajnik o bardzo małej mocy. Centrala CIA w Langley mieści się w parkowo-leśnej okolicy, skąd trudniej wyprowadzić podsłuch, a ponieważ i budynki są nowsze od brytyjskich, Amerykanie mogli w nich założyć skomplikowane systemy wygłuszania fal radiowych.

- Powinniście zrobić to, co my i zainstalować pelengatory.

- Kosztowałyby nas to majątek, a pieniędzy nie znajdziemy teraz za diabła.

- I bardzo dobrze, przynajmniej mamy powód, żeby się przejść. Jeżeli ktoś potrafi nagrać nas tutaj, przegraliśmy i tak.

- Zauważ, nie ma końca naszej zabawie. Wygraliśmy zimną wojnę, ale przedstawienie trwa dalej.

- Pamiętam, był taki grecki bohater. Ten, którego bogowie skazali na wtaczanie głazu na stromy szczyt. Ilekroć mu się udało, skubany kamień zaraz się staczał na drugą stronę.

- A, tak. Syzyf. Czy może Tantal? Tak dawno pożegnałem się z Oksfordem, że sam nie pamiętam. W każdym razie masz rację. Docieramy na szczyt i co widzimy? Następny cholerny szczyt. Szli wciąż nadbrzeżem Tamizy, oddalając się od gmachu parlamentu, za to coraz bliżsi pory obiadowej. Spotkania tego typu miały swoją etykietę. Do spraw zasadniczych przechodziło się więc dopiero po dłuższych pogwarkach i znamiennej chwili milczenia. Tym razem Ryan i Charleston zamilkli na widok spóźnionej gromadki amerykańskich turystów, pstrykającej zdjęcia. Obaj szpiedzy obeszlą całą grupę bokiem. Dopiero wtedy Jack zaczął:

- Mamy taki kłopot, Bas.

- Mianowicie? - zapytał Charleston, nie oglądając się nawet. Za dwójką rozmówców kroczyło trzech agentów ochrony, a z przodu kolejna para.

Jack także się nie rozglądał, lecz przeszedł do rzeczy.

- Mamy swojego człowieka na Kremlu. Widuje się z Narmonowem. Powiedział nam, że Andriej Iljicz obawia się puczu wojska i KGB. Dalej, że Rosjanie mogą się wycofać z układu o broni strategicznej. I jeszcze, że prawdopodobnie z magazynów w Niemczech zginęły taktyczne głowice atomowe.

- Doprawdy? Pocieszające nowiny. Ufacie temu człowiekowi?

- Jak mało komu.

- Cóż, Jack, powiem ci w takim razie, że pierwsze słyszę.

- A temu waszemu człowiekowi ufacie?

- Owszem.

- I nie donosił wam o niczym takim?

- Meldował, oczywiście, o rozmaitych pogłoskach, Narmonow ma przecież ostatnio co robić. Najpierw te okropne historie z Bałtami, Gruzja, do tego jeszcze muzułmanie. Zdaje się, że jest takie wasze jankeskie powiedzonko, "uwija się jak jednoręki tapeciarz". Dokładnie tak wygląda życie Narmonowa. Wiemy, że dogadywał się z bezpieczeństwem, ale żeby zamach stanu? - Charleston potrząsnął głową. - Nie. Fusy nic nam takiego nie mówią.

- Za to nasz agent mówi. Może chociaż wiesz coś o tych głowicach?

- Niestety, nasz pomocnik nie orientuje się w tych sprawach. Jego zainteresowania to cywilne życie państwa. - Jack wiedział, że Basil ograniczy się do ogólników. - Widzę, że potraktowałeś serio te sygnały?

- Bardzo serio. Taka już moja rola. Poza tym agent od lat przysyłał nam pierwszorzędne informacje.

- Jeden z podopiecznych pani Foley? - zapytał Charleston ze śmiechem. - Cóż to za wyjątkowa dama. Podobno doczekała się niedawno kolejnego dziecka?

- Urodziła dziewczynkę. Emilia Sara, kubek w kubek podobna do matki. - Jack pomyślał, że tym razem bardzo zręcznie uchylił się od odpowiedzi. - Mary Pat wraca do pracy zaraz po nowym roku.

- Ach, oczywiście, przecież macie tam u siebie całe ufortyfikowane przedszkole.

- Najmądrzejsza inwestycja w historii CIA. Szkoda, że sam na to nie wpadłem.

- Jakie to amerykańskie! - Sir Basil spowaźniał jednak. - Brakujące głowice atomowe. Rzeczywiście, warto się bardzo poważnie przyjrzeć tej sprawie. Domniemana zмова między wojskiem i KGB, z taktyczną bombą jądrową jako atutem. Muszę przyznać, że to dość przerażająca perspektywa, ale dotąd nie słyszeliśmy o tym ani słówka, a sam przyznasz, że taką sprawę niełatwo utrzymać w tajemnicy. Wiadomo, szantaż nie może okazać się skuteczny, jeśli ofiara nie wie nawet, że jest szantażowana.

- Usłyszeliśmy też pogłoskę, że KGB prowadzi w Niemczech poszukiwania, chodzi znów o broń jądrową. To tylko pogłoska, nie wiem, o co naprawdę chodzi.

- Owszem, ja też tak słyszałem - odrzekł Charleston, kiedy skręcali na trap "Tattersall Castle", starego bocznokołowca, który dawno przerobiono na restaurację.

- No i?

- I co? Też wysłaliśmy ludzi, żeby sprawdzili, o co chodzi. Wygląda na to, że Erich Honecker pozazdrościł Ameryce Projektowi Manhattan. Na szczęście plan upadł w zarodku. Iwan mało ze skóry nie wyskoczył, kiedy NRD tuż przed zjednoczeniem przysłało bratniemu narodowi, radzieckiemu swój zapasik plutonu. Sądzę, że KGB bada ten sam trop.

- Dlaczego nas nie informowaliście, Bas? - zapytał Ryan, powtarzając sobie w myśli: ci faceci długo nie zapominają uraz.

- Nie ma o czym mówić, Jack. - Charleston skinął na kelnera, który poprowadził ich ku stolikowi daleko w głębi sali. Agenci ochrony rozsiedli się między podopiecznymi i resztą posilającej się ludzkości. - Nasi niemieccy partnerzy okazali się bardzo pomocni. Pokazali nam, że całkowicie zaprzestano baDan, teraz i po wsze czasy. Nasi eksperci obejrzelі sobie wszystko i potwierdzili każde słowo Niemców.

- Kiedy się to działo?

- Kilka miesięcy temu. Jadłeś już tutaj kiedyś? - Charleston zmienił temat na widok zbliżającego się kelnera.

- Jeszcze nigdy. Za to jadałem na paru innych parowcach.

Basil zamówił ciemne gorzkie, Jack wolał jasne piwo z kontynentu. Odprowadzili kelnera wzrokiem.

- Ta operacja KGB zaczęła się niedawno.

- Ciekawe. Chociaż może im chodzić o tę samą sprawę, po prostu później się spostrzegli.

- Później, kiedy chodzi o atomówki? - Ryan pokręcił głową. - Nasi koledzy ze Wschodu nie są aż tacy durni, Bas, poza tym akurat w tych sprawach mają lepszy refleks niż my. Jeszcze jedna cecha, za którą ich szanuję.

- Co racja, to racja. Czegoś ich jednak nauczyły te Chiny. - Charleston odłożył kartę i przywołał kelnera, który miał przynieść napoje. - Zatem twierdzisz, że to poważna historia?

- Jakbyś zgadł.

- Na ogół można ufać twoim ocenom, Jack. Dziękuję - Basil odprawił kelnera z zamówieniem. - Chciałbyś pewnie, żebyśmy nadstawili ucha?

- Myślę, że nie zaszkodzi.

- Załatwione. Chyba że chcesz mi coś jeszcze powiedzieć?

- Niestety, Bas, wiem dokładnie tyle.

- Wasza wtyczka musi siedzieć naprawdę wysoko. - Sir Basil upił tyk piwa. - Masz, zdaje się, pewne wątpliwości.

- Pewnie, że mam, ale... Kto w tej naszej dziadowskiej branży nie ma wątpliwości?

- Sygnały, które by temu przeczyły?

- Żadnych, po prostu nijak nie możemy potwierdzić tego meldunku. Dlatego przyleciałem. Wasz człowiek też musi być niezły, sądząc z tego, co nam przysyłacie. Kimkolwiek jest w ich hierarchii, chyba tylko on mógłby nam potwierdzić doniesienie.

- A jeżeli nie zdołamy tego potwierdzić?

- Wtedy trudno, i tak przyjmujemy, że raport był prawdziwy - przyznał Jack, niezbyt zachwycony taką perspektywą.

- Mimo twoich zastrzeżeń?

- Nie są takie istotne, z dwóch powodów. Po pierwsze, sam nie wiem, czy się podpisać pod informacjami, czy nie. Po drugie, nie wszystkich w Waszyngtonie interesują moje zastrzeżenia.

- Może właśnie dlatego nikt nie wspomniał, że wymyśliłeś ten traktat?

Ryan odpowiedział zmęczonym uśmiechem, gdyż prawie nie spał od trzydziestu sześciu godzin.

- Nie zrobię ci przyjemności, Basil, i nie zapytam, jak ci się udała ta sztuczka, ale...

- Ale co?

- Ale żałuję, że nikt u was nie puści tego po cichu do prasy, albo coś. - Ryan roześmiał się w końcu.

- Obawiam się, że to nie w naszym stylu. Puściłem farbę tylko jednej osobie.

- Premierowi?

- Jego Książęcej Wysokości. Umówiłeś się z nim dzisiaj na kolację, prawda? Wydawało mi się, że warto mu o tym wspomnieć.

Jack zastanowił się przez chwilę. Książę Walii na pewno zachowa dyskrecję. Ryan sam nigdy by nawet nie wspomniął o swojej roli, lecz... Hmm...

- Dzięki, Bas.

- Każdy chce się czuć doceniany, chociaż w twoim czy w moim przypadku oczywiście nie wchodzi to w rachubę. Mało sprawiedliwe urządzenie świata, ale co zrobić. Jednak w tym przypadku musiałem złamać jedną ze swoich zasad, a jeżeli mnie zapytasz, dlaczego, odpowiem: bo dokonałeś fantastycznej rzeczy, Jack. Gdyby była na tym świecie jakaś sprawiedliwość, Jej Królewska Wysokość nadałaby ci Order Zasługi.

- Jej już nie możesz nic mówić, Basil. Trudno, może sama wpadnie na ten pomysł.

- Nie zdziwię się, jeśli wpadnie, a wówczas nasza mała tajemnica wyjdzie na jaw, prawda?

Musieli znów uczynić przerwę, gdyż podano im dania.

- Oprócz mnie pracowali nad tym inni. Przecież wiesz, że Charlie Alden bardzo się przyczynił. Tak samo Talbot, Bunker, Scott Adler, cała masa innych.

- Twoja skromność imponuje mi jak zwykle.

- Przyznaj się, Bas, chciałeś przez to powiedzieć "frajer".

Sir Basil Charleston uśmiechnął się tylko. Brytyjczycy mają w tym wprawę.

Fromm sam nigdy by nie uwierzył. Wyszlifowali na maszynach pięć form ze stali, naśladowujących kształt plutonowego rdzenia bomby, a Hosni przygotował kostki TNT. W każdej z pięciu kolejnych prób trotyl niezawodnie spełniał swoje zadanie. Młody Arab okazał się facetem utalentowanym. Oczywiście korzystał w pracy ze szczegółowych planów, które Fromm sporządził za pomocą dobrego komputera, lecz mimo to rezultat był nadzwyczajny. W inżynierii mało co udaje się za pierwszym podejściem.

Plutonowy odlew był już po wstępnej obróbce. Wyglądał zaskakująco porządnie, niczym odkuwka z wysokojakościowej stali, stanowiąca część jakiegoś silnika. Dobry początek. Automatyczne ramię obrabiarki zdjęło odlew z wrzeciona i odłożyło do hermetycznej skrzynki, wypełnionej oczywiście argonem. Ramię szczelnie zamknęło pokrywę i przesunęło skrzynkę kil wyjściu. Fromm wyjął pojemnik spod klosza nad maszyną i przeniósł go do obrabiarki, resorowanej na poduszce powietrznej. Operacja powtórzyła się w odwrotnej kolejności: skrzynka powędrowała pod klosz, pompa próżniowa od góry wyssała powietrze, od dołu zaś wtłoczono argon. Kiedy obojętny gaz wypełnił już całą przestrzeń, kolejne automatyczne ramię otworzyło pojemnik, wydobyło plutonowy element i nałożyło go precyzyjnie na nowe wrzeciono. Precyzja miała podstawowe znaczenie, toteż Fromm bacznie się przyglądał pierwszemu ruchom urządzenia, rozpędzanego do piętnastu tysięcy obrotów na minutę.

- Wygląda na to, że... Stop! - Fromm zaklął. A już myślał, że udało się wszystko dopasować. Wrzeciono tokarki zatrzymało się powoli, automatyczne ramię poprawiło uchwyt. Fromm tym razem jeszcze dłużej sprawdzał wyważenie metalowego rdzenia. Potem znów rozpędził maszynę. Wszystko było jak trzeba, toteż nawet gdy zwiększył obroty do dwudziestu pięciu tysięcy, obyło się bez jakichkolwiek drgań.

- Twoi ludzie dobrze się przyłożyli do pierwszego szlifowania - rzucił przez ramię do Hosniego.

- Ile surowca zeszło?

- Straciliśmy dokładnie osiemnaście przecinek pięćset dwadzieścia siedem tysięcznych grama - wyrecytował Fromm, wyłączając napęd. - Nie mogę się nachwalić naszych techników. Aha, proponuję, żeby końcowy szlif zacząć dopiero jutro. Pośpiech bywa zgubny. Umęczyliśmy się, najwyższa pora coś zjeść.

- Jak pan sobie życzy, Herr Fromm.

- Mów mi Manfred - odezwał się Niemiec ku zaskoczeniu młodego Araba. - Słuchaj, Ibrahimie, musimy porozmawiać.

- Nie tutaj. - Hosni wyprowadził Niemca za drzwi. Na dworze zapadał zmrok.

- Nie wolno zabijać tych ludzi. Są zbyt cenni. Skąd weźmiesz takich, jeżeli znów nadarzy się okazja?

- Przecież się zgodziłeś.

- Bo nigdy bym nie przypuszczał, że wszystko pójdzie tak gładko. Kiedy opracowywałem plan, urządziłem wszystko tak, żebyśmy obaj mogli... Uczciwie mówiąc, żeby sam mógł osobiście nadzorować każdy szczegół. Nie doceniłem twoich talentów, Ibrahimie. Udało nam się stworzyć wspaniały zespół, nie wolno nam go likwidować. - Ciekawe, skąd weźmiesz następne dziesięć kilo plutonu - chciał zapytać Hosni, lecz zmilczał i aby uspokoić Niemca, odrzekł: - Masz oczywiście rację. Sam porozmawiam w tej sprawie z komendantem. Musisz pamiętać...

- O ryzyku, ja, ich weiss es schon. Na tym etapie nie wolno narażać akcji, więc proszę cię tylko, żeby w imię uczciwości, jak specjaliści wobec specjalistów, ja? Żeby mieć jakiś wzgląd na tych ludzi, rozumiesz?

- Tak, Manfredzie. Rozumiem i zgadzam się z tobą - odrzekł Hosni, zaskoczony faktem, że w Niemcu pojawiły się pierwsze ludzkie uczucia. Szkoda, że tak późno. - Jakkolwiek postanowimy, zgadzam się z tobą w innej sprawie: najwyższa pora coś zjeść. Dzisiaj będziemy mieli świeżą jagnięcinę. Zdobyliśmy dla ciebie niemieckie piwo, Bitbergera. Będzie ci smakowało.

- Dobrze, regionalne piwko. Żałuj, Ibrahimie, że religia nie pozwala ci go skosztować.

- W taki wieczór Allah wybaczy mi brak wstrzeźliwości - oznajmił Hosni, który uznał, że każdy sposób jest dobry, by zdobyć zaufanie niewiernego.

- Jack, wydaje mi się, że przesadnie się pan zapracowuje.

- Wykańczają mnie te dojazdy, sir. Co dzień dwie albo trzy godziny w samochodzie.

- Może warto się przenieść trochę bliżej? - zaproponował delikatnie następca tronu.

- I stracić Peregrine Cliff? - zgorszył się Ryan. - Co byłoby wtedy z Cathy, z jej pracą w klinice Johna Hopkinsa? Dzieci musiałyby zmienić szkołę... Nie, to żadne rozwiązanie.

- Nie wątpię, że pamięta pan naszą pierwszą rozmowę. Dość dobitnie skomentował pan wówczas mój stan fizyczny i psychiczny, prawda? Śmiem przypuszczać, że nawet wtedy nie wyglądałem tak marnie jak pan dzisiaj.

Jack domyślił się, że sir Basil Charleston przekazał następcy tronu jeszcze jedną informację, która tłumaczyła fakt, że do kolacji nie podano alkoholu.

- Taką mam pracę, to pożar, to znów powódź. W tej chwili mamy pożar.

- Czyżbyśmy mieli wrócić do powiedzenia Trumana? "Jeśli ci za gorąco, wynocha z kuchni"?

- Dobrze powiedziane, sir, ale niedługo wszystko się powinno uspokoić, tyle że na razie mamy urwanie głowy. Kiedy dowodził pan okrętem, też bywały takie dni, prawda?

- Pływanie to dużo zdrowsze zajęcie. Nie wspomnę już, że miałem bliżej do pracy niż pan. Około pięciu metrów - dodał książę wesoło.

Śmiech Ryana był dziwnie minorowy.

- To mi się podoba. U mnie akurat tyle mam do biurka sekretarki.

- Co na to rodzina?

Nie było sensu oszukiwać.

- Mogłoby być lepiej. Moja praca wszystko rozwała.

- Coś pana gnębi, Jack. Nietrudno się domyślić, że tak jest.

- Nie, wszystko przez to napięcie. Trochę za dużo piję, trochę za mało się gimnastykuję, jak to zwykle bywa. Przejdzie. Po prostu miałem ostatnio fatalną serię w pracy. Milo, że się pan tak przejmuje, ale bez obawy, wyciągnę się z tego. - Jack sam prawie uwierzył we własne słowa. Prawie.

- Cóż, sam pan wie najlepiej.

- Otóż to. Muszę powiedzieć, że to najlepsza kolacja, jaką jadłem od niepamiętnych czasów. Właśnie, kiedy odwiedzi pan naszą stronę sadzawki? - zapytał Ryan, zadowolony, że ma okazję zmienić temat rozmowy.

- Późną wiosną, jak sądzę. Pewien hodowca z Wyoming ma dla mnie kilka koni. Czy raczej kucyków, do gry w polo.

- Musi pan mieć źle w głowie, żeby w to grać. Hokej na koniach!

- Przynajmniej mogę odetchnąć świeżym powietrzem. Cóż za wspaniała okolica, Wyoming. Planuję także wycieczkę do Yellowstone.

- W życiu tam nie byłem - zauważył Jack.

- Może miałby pan w takim razie ochotę dołączyć do naszej gromadki? Mógłbym pana nauczyć jeździć konno.

- Może - odpowiedział ostrożnie Jack, który z trudem wyobraził sobie siebie na koniu. Nie miał też pojęcia, jakim cudem mógłby się urwać na cały tydzień z Agencji. - Byleby nikt nie wymachiwał w moją stronę tą pałą.

- Młotkiem, do gry w polo używa się młotków. Nie, nie zamierzam wprowadzać pana w tajniki tej gry. Skutek byłby zapewne taki, że uśmierciłby pan biednego konia. A zatem spodziewam się, że znajdzie pan czas.

- Oczywiście spróbuję. Przy odrobinie szczęścia świat powinien się do wiosny trochę uspokoić.

- Już się uspokoił, i to nie bez pańskiej zasługi.

- Widzę, że Basil przejął moją rolę w tym wszystkim. Byłem tylko małym trybikiem w maszynie.

- Skromność także potrafi występować w nadmiarze. Swoją drogą szkoda, że nikt nie uznał pańskiej roli w Traktacie Watykańskim - zauważył następca tronu.

- Co zrobić, takie jest życie. - Jacka zaskoczyły własne słowa. Spodziewał się, że łatwiej mu będzie ukryć prawdziwe uczucia.

- Zgodziłbym się z tym. Owszem, Jack, takie jest życie, a życie bywa niesprawiedliwe. Czy nie przyszło panu do głowy, żeby zmienić pracę? Powiedzmy, odejść z urzędu?

- Ejże, nie wyglądam chyba aż tak źle? - Jack uśmiechnął się przekornie. - Przecież nie obejdą się beze mnie.

Jego Książęca Wysokość spoważniał nagle.

- Jack, czy jesteśmy przyjaciółmi? Ryan wyprostował się.

- Nie mam ich zbyt wielu, ale jest pan pośród nich.

- Zda się pan na moje wyczucie?

- Oczywiście.

- Radzę panu zatem, żeby pan odszedł. Ustąpił. Zawsze będzie można wrócić na stanowisko.

Osoba o pańskich talentach może wrócić w każdej chwili, doskonale pan o tym wie. Widzę, co się z panem dzieje. Za długo zajmuje się pan tym wszystkim. A czy w ogóle zdaje pan sobie sprawę, jak to dobrze móc odejść? Pan zawsze ma taką możliwość, ja niestety nie. Dlaczego z niej nie skorzystać?

- Dobrze podejście, ale... przecież pan na moim miejscu też by nie zrezygnował. Powiem nawet, że z tej samej przyczyny. Nie zostawia się niczego w połowie, i tyle. Pan też tak uważa. To takie proste.

- Duma bywa czasem zgubna - przypomniał następca tronu.

- Jaka tam duma. - Jack nachylił się nad stołem. - Takie są fakty. W Waszyngtonie potrzebują mnie jak nigdy. Sam żałuję, że tak jest, ale trudno. Szkoda tylko, że oni sami o tym nie wiedzą.

- Wasz nowy dyrektor jest rzeczywiście taki zły?

- Marcus? Nie tyle zły, ile po prostu leniwy. Kocha swoje stanowisko, ale obowiązki już mniej. Nie przypuszczam, żeby rząd USA różnił się pod tym względem od innych. Ja mam inną zasadę, podobnie jak książę. Obowiązek przede wszystkim. Kiedy się ktoś urodził następcą tronu, może naprawdę nie mieć wyjścia, ale co do mnie, tkwię w Agencji, bo najlepiej ze wszystkich robię, co do mnie należy.

- A słuchają się pańskich rad? - przerwał dość niegrzecznie książę.

- Nie zawsze - odparł Jack, wzruszając ramionami. - Do licha, pewnie że się czasem pomylę, ale musi być przecież ktoś, kto utrzyma to wszystko w kupie, czy chociaż spróbuje. Kto, jeśli nie ja, sir? Dlatego właśnie nie mogę dać dyla. Wiem, że panu nie muszę tego tłumaczyć.

- Nawet jeśli sam pan sobie w ten sposób szkodzi?

- Nawet jeśli szkodzę.

- Podziwiam pana obowiązkowość, sir John.

- Miałem paru dobrych nauczycieli. Kiedy biorą człowieka na muszkę, najgorsza rzecz to uciekać i kryć się. Sam pan mógł tak zrobić, książę, podczas zamachu, i co?

- Nie, nie mógłbym tak postąpić. Gdybym to zrobił...

- Tamci zrobiliby swoje - dokończył myśl Jack. - Przyzna pan, że jestem dziś w podobnej sytuacji. Właśnie od pana nauczyłem się, jak się zachować. To takie dziwne?

- Owszem - przytaknął książę.

- Pan nie uciekał, więc i ja nie uciekam.

- Za to w szermierce słownej jest pan jak zwykle górą.

- A widzi pan. Jeszcze coś potrafię - powiedział Jack z nutką zadowolenia.

- Spraw mi pan przykrość, jeżeli nie wybieriecie się z nami całą rodziną do Wyoming.

- Zawsze może pan uderzyć wyżej. Na przykład porozmawiać z Cathy.

- Może właśnie tak zrobię - następca tronu roześmiał się. - Jutro wraca pan do siebie?

- Tak jest. Muszę jeszcze wpaść do Hamley's po jakieś zabawki.

- Lepiej niech się pan dobrze wyśpi. Po nowym roku wrócimy do naszej dyskusji.

W Waszyngtonie zegary pokazywały o pięć godzin wcześniejszą porę dnia. Liz Elliot świdrowała wzrokiem Boba Holtzmana, którego poprosiła do siebie jako korespondenta prasowego przy Białym Domu. Holtzman miał jedną wspólną cechę z personelem rezydencji: choć zmieniały się kolejne ekipy polityczne, wciąż trwał na miejscu i w paradoksalny sposób lepiej znał się na mechanizmach władzy niż niejeden polityk. Ci ostatni wiedzieli wprawdzie, co im wolno, a czego nie, Holtzman zdawał sobie sprawę, na przykład, że o niektórych wydarzeniach dowie się dopiero po latach, kiedy zainteresują nie dziennikarza lecz co najwyżej historyka, lecz wprawa, z jaką korespondent odczytywał niuanse i wychwytywał najrozmaitsze pogłoski zapewniłaby mu miejsce



wśród kierownictwa każdej agencji wywiadowczej. Gazeta płaciła mu jednak znacznie więcej niż wynosiłaby jego pensja w rządzie, zwłaszcza że Holtzman napisał w życiu kilka dokumentalnych bestsellerów na temat życia Wśród elity władzy.

- Informacja ściśle anonimowa?

- Oczywiście - potwierdziła doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Holtzman przytaknął i odnotował sobie tę wskazówkę. Od tej pory wiedział, jak ma spisywać informacje. Zamiast "Elizabeth Elliot" w artykule znajdą się słowa o "jednym z członków władz federalnych" lub wręcz o "źródłach zbliżonych do rządu". Kiedy skończył, podniósł głowę znad notatnika, gdyż magnetofon także był zabroniony, i czekał. Liz Elliot uwielbiała teatralne napięcie. Nie była głupia, i choć nie brakowało jej snobizmu, co stanowiło częstą cechę wśród prominentów Białego Domu, miała tę zaletę, że z całego otoczenia stała zdecydowanie najbliższej prezydenta Fowlera. Tak przynajmniej podpowiadały Holtzmanowi rozmaite sygnały. Ta sprawa nie powinna jednak obchodzić czytelników prasy. Domniemany romans prezydenta z doradczynią do spraw bezpieczeństwa narodowego nie był już zupełną tajemnicą. Personel Białego Domu zachowywał dotychczas dyskrecję; ba, nawet większą niż dotąd, co Holtzmanowi wydało się dziwne. Fowler nie dawał się specjalnie lubić, więc być może dyskrecja brała się ze współczucia dla samotnika, który w dobrze znanych okolicznościach utracił żonę, zdobywając tym sobie jeszcze więcej głosów u pełnych ubolewania wyborców. Personel uważał zapewne, że długotrwały romans odmieni charakter wdowca, choć mógł też milczeć przez zwykłą zawodową dyskrecję. (Zdaniem Holtzmana, ta ostatnia cecha odróżniałaby zdecydowanie pracowników Białego Domu od polityków z nominacji, dla których nie istniało nic świętego). Kolejna możliwość to przeraźliwa ostrożność Fowlera i Elliot. Jakkolwiek było, korespondenci prasowi z Białego Domu przedyskutowali pogłoskę raz i drugi w "Pewnym Źródle", barze w gmachu Narodowego Klubu Prasy dwie ulice od siedziby prezydenta i rada w radę zadecydowali, że intymne życie Fowlera nie jest materiałem na czołówki gazet, jeśli oczywiście nie przeszkadza w sprawowaniu władzy. Co tu kryć, polityka zagraniczna Fowlera była ostatnio jednym pasmem sukcesów. Euforia Traktatu Watykańskiego i skutków, jakie przyniósł ten układ, trwała w najlepsze, a trudno przecież przyłomotać prezydentowi, który spisuje się na medal.

- Możemy mieć kłopoty z Rosjanami - zaczęła Liz Elliot.

- Jak to? - Nawet tak starego wygę jak Holtzmana udawało się czasami zaskoczyć. - Mamy powody przypuszczać, że Narmonow traci kontrolę nad swoją generalicją. Może to negatywnie wpłynąć na realizację postanowień, układów rozbrojeniowych.

- W jaki sposób?

- Mamy powody przypuszczać, że Kreml będzie się sprzeciwiał eliminacji części swojego stanu rakiet SS-18. Już dziś opóźniają się z harmonogramem niszczenia tych pocisków.

"Mamy powody przypuszczać". Powtórzone dwukrotnie. Holtzman zastanowił się przez chwilę. Informacja zapewne z bardzo poufnego źródła, raczej od szpiega niż z przechwyconej depechy.

- Rosjanie tłumaczą się problemami w zakładach rozbiórki rakiet. Nasi inspektorzy w ZSRR wydają się im wierzyć. Kto wie, może od początku wpisano do projektu tych zakładów, bo ja wiem, twórczą niemożność?

- A co na to CIA? - zapytał Holtzman, pospiesznie kreśląc zdania na papierze.

- Dostarczyli nam wstępne opracowanie w tej sprawie, ale nie potrafią przedstawić jakiegokolwiek wiążącej opinii.

- Nawet Ryan? On się najlepiej zna na ZSRR.

- Zawiedliśmy się niestety na Ryanie - oświadczyła Liz. - Powiem więcej, choć nie wolno tego panu napisać ani wymienić nazwiska Ryana: prowadzimy w jego sprawie małe dochodzenie, które

pozwoła wykryć różne niepokojące fakty.

- Jak na przykład?

- Na przykład, moim zdaniem, otrzymujemy wykrzywione raporty. Na przykład, moim zdaniem, wysoki urzędnik państwowej agencji nie powinien nawiązywać romansu z cudzoziemką ani mieć z nią dziecka.

- Ryan?

- Nie potwierdzę ani nie zaprzeczę. Zna. pan nasze zasady - odrzekła doradczyni do spraw bezpieczeństwa.

- Zachowam je w pamięci. - Holtzman z trudem ukrył złość. Czy ta klempa wyobraża sobie, że ma przed sobą Jimmiego Olsena czy co?

- Na czym polega problem: otóż Ryan wie, że nie podoba nam się to, co przynosi, i dlatego próbuje naginać wszystkie dane, żeby odpowiadały naszym oczekiwaniom. Takie rzeczy akurat w chwili, kiedy Langley powinno nam przysyłać możliwie dobry materiał.

Holtzman w zamyśleniu pokiwał głową. Biały Dom miał od niepamiętnych czasów te same kłopoty z CIA, ale po Ryanie nikt by się nie spodziewał podobnych numerów. Dziennikarz postanowił odłożyć tę sprawę i zapytał:

- Ale co z Narmonowem?

- Jeżeli w ogóle można wierzyć naszym informacjom, grozi mu zamach stanu, nie wiadomo, czy prawicowy, czy lewacki. Wygląda na to, że wszystko wymknęło mu się z rąk.

- To pewne informacje?

- Tak wygląda. Najbardziej niepokojące są wieści o szantażu ze strony wojska i bezpieczeństwa. Tylko, co zrobić, skoro nasze służby w Langley. .. - Liz bezradnie rozłożyła ręce.

- Proszę, a wszystko tak już świetnie szło. Domyślam się, że macie kłopoty z Cabotem?

- Ależ nie, bardzo szybko wciągnął się do tej pracy. Gdyby miał więcej wsparcia od podwładnych, byłby świetny.

- Bardzo się pani niepokoi?

- Ogromnie. W takiej chwili wywiad powinien stanąć na wysokości zadania. Co z tego, kiedy tak nie jest. Jak tu się dowiedzieć, co będzie z Narmonowem, bez dobrych informacji? - W głosie Liz Elliot pobrzmiwała rozpacz. - Nasz bohater tymczasem skacze sobie to tu, to tam i zajmuje się sprawami, które w ogóle nie powinny obchodzić CIA. Ostatnio, nie pytając nikogo o zdanie, poleciał do Kongresu. Wtyka nos w cudze sprawy, zamiast dostarczyć Cabotowi danych na temat ogromnie poważnej historii. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że trudno mu się skoncentrować na obowiązkach...

”Nasz bohater” - pomyślał Holtzman. Jakże ciekawe sformułowanie. Elliot chyba naprawdę nienawidzi tego faceta. Dziennikarz od dawna zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie znał przyczyny nienawiści. Liz Elliot nie miała żadnych powodów, by zazdrościć Ryanowi, który nigdy nie wykazywał wielkich ambicji, przynajmniej politycznych. Dał się poznać pod każdym względem jako porządny człowiek. Holtzman pamiętał dobrze jedyne publiczne faux pas Ryana, słynną kłótnię z Alem Trentem. Wyreżyserowaną, tego Holtzman był pewien, zwłaszcza że obecnie Trent i Ryan żyli w najlepszej zgodzie. Z jakiej to ważnej przyczyny umówili się wówczas, żeby odegrać słynną pyskówkę? Ryan otrzymał też dwa odznaczenia za zasługi dla wywiadu. Za jakie, tego Holtzman nigdy nie zdołał ustalić, choć oczywiście słyszał różne plotki, pięć rozmaitych wersji czterech różnych historii, zapewne zmyślonych co do jednej. Prasa nie przepadała za Ryanem, delikatnie mówiąc, gdyż nigdy nie dopuszczał do przecieków i trochę jakby zbyt serio traktował tajemnicę państwową. Trzeba jednak powiedzieć, że nigdy się też nie umizgiwał do dziennikarzy, a Holtzman

ogromnie szanował podobnych ludzi. Jednego mógł być zupełnie pewien: w tragiczny sposób nie docenił antypatii, jaką darzyła Ryana ekipa prezydenta Fowlera.

- Ktoś chce mną pomanipulować - rzekł w duchu Holtzman. Rzuciło się to w oczy jak zakonnica w burdelu. Zagranie oczywiście bardzo perfidne, bo na przykład sprawa z Rosjanami zapewne odpowiadała rzeczywistości. To znów, że Centralna Agencja Wywiadowcza nie potrafi dostarczyć prezydentowi wszystkich informacji, także nie było nowiną i trudno w to wątpić. Dwie prawdziwe informacje, lecz gdzie w takim razie szukać kłamstwa? Czy w sprawie kryło się kłamstwo? Może ludziom Fowlera chodzi jedynie o ujawnienie prawdziwych, lecz niezręcznych faktów w... zwykły sposób. Holtzman nie po raz pierwszy odbywał podobne spotkanie w gabinecie w północno-zachodnim narożniku Białego Domu.

Ale czy on, Holtzman mógł zachować te informacje dla siebie?

- Wybij to sobie z główki, chłopczyku - rzekł sobie w duchu dziennikarz.

Z powrotem lecieli gładko jak po szosie. Ryan mógł się wreszcie porządnie zdrzemnąć, podczas gdy sierżant obsługujący pasażerów pocił nad instrukcjami obsługi do zabawek, które Jack kupił w Anglii. - Hej, sierżancie! Co to takiego? - zapytał pilot, który opuścił fotel, aby rozprostować kości.

- Bo tak, panie majorze: nasz pasażer kupił to wszystko dla dzieciaków. Niech pan posłucha, co tu napisali: "Bolec 1 wsunąć w otwór A, zabezpieczyć nakrętką siedem ósmym cala i docisnąć kluczem nasadowym, używając...

- Nie, to ja już wolę reperować silniki...

- Zgadza się - przytaknął sierżant. - Ten nasz pasażer nawet jeszcze nie wie, co go czeka.



# OBJAWIENIE

- Nie lubię, jak mnie biorą za durnia - powiedział Holtzman, odchylając się do tyłu i splatając ręce na karku.

Siedział właśnie w sali konferencyjnej w towarzystwie redaktora wydania, który tak jak on zjadł zęby na śledzeniu politycznych korowodów Waszyngtonu, a dziennikarskie ostrogi zdobył podczas drapieżnych miesięcy, kiedy runął prezydent Richard Nixon. Owe szampańskie czasy zaszczyły amerykańskim gazetom żądzę krwi, której nigdy się już nie . wyzbyły. Holtzman uważał, że taki stan rzeczy ma nawet swoje dobre strony, bo przynajmniej dziennikarze nie musieli się do nikogo przymilać. Każdy polityk stanowił potencjalną tarczę strzelniczą dla znieważonych w swej moralnej uczciwości kapłanów amerykańskiego dziennikarstwa. Zjawisko był samo w sobie bardzo zdrowe, choć czasami przekraczało granice zdrowego rozsądku.

- Nieważne, za kogo cię biorą, nikt tego nie lubi. Powiedz lepiej, ile z tych wiadomości to fakty? - zapytał redaktor.

- Musimy uwierzyć tej babie, kiedy mówi, że Biały Dom nie dostaje porządnych informacji. W CIA to nic nowego, dawniej bywało z tym jeszcze gorzej. Powiedziałbym nawet, że Agencja trochę się ostatnio podciągnęła, inna rzecz, że Cabot pościł masę głów. W to, co Elliot mówiła o generalicji i Narmonowie, też nam wypada uwierzyć.

- A w Ryana?

- Spotykałem go tylko na różnych imprezach, nigdy oficjalnie. Właściwie to całkiem fajny facet, z poczuciem humoru, ma poza tym jakieś niesamowite zasługi, dwóch Gwiazd Wywiadu nie dostaje się za darmo, ale za co, tego właśnie nie wiadomo. Żarł się z Cabotem o redukcję etatów w CIA, udało mu się uratować parę stanowisk. Bardzo szybko awansował. Al Trent nadal go lubi, mimo że parę lat temu tak się starli. Coś się na pewno za tym kryje, chociaż kiedy raz spytałem o to Trenta, zbył mnie z miejsca. Obaj powiedzieli, że co było, a nie jest, i tak dalej. Jasne, wierzę im, w garbate aniołki też wierzę.

- Ryan to babiarz? - zaciekał się redaktor wydania.

- A jak mam to poznać? Myślisz, że babiarzom stawiają na czole pieczętkę z dużym "B"?

- Bardzo śmieszne, Bob. O co ci w takim razie chodzi?

- Piszemy o tym w końcu czy nie piszemy? Redaktor wydania otworzył oczy ze zdumienia.

- Żarty sobie robisz, czy co? Jak możemy o tym nie napisać?

- Nie lubię, jak mnie biorą za durnia.

- Mówiliśmy już o tym. Nikt nie lubi. Fakt, że tym razem manipulują nami na bezczelnego, ale to ważny materiał. Jeśli zdecydujemy się go nie drukować, zrobi to za nas "New York Times", więc powiedz mi lepiej od razu, kiedy będziesz gotowy z artykułem.

- Niedługo - przyobiegał Holtzman. Znów przekonał się, jak dobrze zrobił, nie dając się awansować na zastępcę sekretarza redakcji. Nie interesowała go podwyżka, zwłaszcza że dzięki dochodom z książek mógłby w ogóle darować sobie dziennikarstwo. Lubił jednak to zajęcie, zachował jeszcze odrobinę idealizmu i nie przestał się interesować tym, co robi. Mógł sobie więc pogratulować, że los nie zmusza go do podejmowania decyzji za innych.

Komandor Dubinin z radością stwierdził, że nowa pompa obiegu wody zachowuje się dokładnie tak, jak obiecywał główny konstruktor przed remontem. Żeby ją zamontować, trzeba było opróżnić z

urządzeń cały przedział maszynowy i wypalić dziurę w podwójnym stalowym kadłubie okrętu. Gdyby Dubinin podniósł teraz głowę, zamiast beczkowatego sklepienia ujrzałby niebieskie niebo. Dla dowódcy okrętu podwodnego widok taki nie należy do przyjemnych, lecz nie było rady, gdyż należało dokładnie wypróbować nowe urządzenie, zanim pozwoli się spawaczom zasklepić "otwór montażowy", przez który wjechała pompa. I tak nie było źle, bo przecież "Admirał Łunin" miał kadłub ze stali. Przy spawaniu kadłubów okrętów podwodnych z tytanu można było oszaleć.

Przedział pomp i wymiennika ciepła mieścił się tuż za komorą reaktora. Sam reaktor przylegał tylną częścią do grodzi, za którą mieściła się pompa wraz z osprzętem. Zadaniem pompy było utrzymywać ciągły obieg cieczy chłodzącej w reaktorze. Przegrzana para z rur pierwszego obiegu wpadała do wymiennika ciepła, gdzie przekazywała energię wodzie z obiegu zewnętrznego. Wolna od radioaktywności ciecz w obiegu zewnętrznym w mgnieniu oka zmieniała się w parę obracającą turbiny, które przez przekładnie redukcyjne napędzały z kolei śrubę. Schłodzona para w obiegu wewnętrznym wpadała do skraplarki, gdzie zimna woda morska w kolejnym wymienniku znów zmieniała ją w ciecz, pompowaną następnie do zbiornika u podstawy reaktora. Cały cykl powtarzał się w nieskończoność. Wytwornica pary i skraplarka tworzyły jedną całość i napędzane były tą samą wielostopniową pompą. Ze wszystkich maszyn i urządzeń właśnie pompa stanowiła pod względem hałaśliwości piętę achillesową okrętów o napędzie atomowym. Pompa musiała bowiem przemieszczać olbrzymie ilości gorącej wody (gorącej dosłownie i w przenośni, ze względu na jej radioaktywność). Wykonywanie tej pracy przez mechanizm z konieczności musiało powodować hałas. Do czasu.

- Sprytnie obmyślane - stwierdził Dubinin.

- Trudno się dziwić. Amerykanie dziesięć lat udoskonalali tę pompę. Mieli ją zastosować w swoich raketowych okrętach podwodnych, ale zrezygnowali. Projektanci wyli z wściekłości.

Komandor odchrząknął tylko, świadomy faktu, że na nowych okrętach amerykańskich reaktory wykorzystują naturalną konwekcję cieczy, obywając się bez pomp. Jeszcze jedna przewaga Amerykanów. Ci jak coś wymyślą... Główny konstruktor stoczni i komandor czekali, aż reaktor osiągnie odpowiednią moc. Z rdzenia wysunęły się pręty sterownicze, pozwalając rozpięchnąć się swobodnym neutronom z elementów paliwowych. Rozpoczęła się kontrolowana reakcja jądrowa. Obsługa siedząca przy konsoli za plecami Dubinina i konstruktora zaczęła odczytywać temperaturę w stopniach Kelvina.

- No, zaraz ruszy... - rzekł w napięciu główny konstruktor.

- Widziałeś już tę pompę w działaniu?

- Nie.

Ładne kwiatki, pomyślał komandor, wpatrując się w niebo. Koszmar z najgorszych snów marynarza okrętu podwodnego...

- A to co?

- Pompa ruszyła.

- Wolne żarty. - Dubinin spojrzał na masywny, wieloczęłonowy kadłub urządzenia. Ani drgnie...

Podszedł do tablicy przyrządów i...

Dubinin roześmiał się w głos.

- Działa jak trzeba, komandorze - oświadczył pierwszy mechanik.

- Dodajcie mocy.

- Dziesięć procent mocy, dodaję więcej.

- Podkręćcie do dechy, do stu dziesięciu procent.

- Komandorze...

- Wiem, wiem. Nigdy nie wychodzimy poza sto procent.

Reaktor miał moc znamionową pięćdziesięciu tysięcy koni mechanicznych, lecz, jak zwykle przy podobnych specyfikacjach, parametry oceniono ostrożnie, z dużym zapasem. Raz już reaktor przekroczył pięćdziesiąt siedem tysięcy koni. Było to podczas prób morskich i zakończyło się niewielkim uszkodzeniem rur wewnętrznego obiegu. Maksymalna moc użyteczna wynosiła pięćdziesiąt pięć tysięcy koni. Dubinin wycisnął ją z reaktora tylko raz, wkrótce po objęciu dowództwa, wiedziony tym samym nakazem, który zmusza pilota myśliwskiego, by się przynajmniej raz przekonał, jak prędko da się przesyć maszyną przestwór.

- Tak jest - odpowiedział więc mechanik.

- Miejcie oko na wszystko, Iwanie Stiepanowiczu. Gdyby coś zaczęło się dziać nie tak, natychmiast wyłączcie reaktor. - Dubinin poklepał mechanika po ramieniu i wrócił do przedniej części pomieszczenia. Przez sekundę naszała go obawa, czy spawacze aby dobrze wykonali zadanie, lecz otrząsnął się natychmiast. Wszystkie spawy prześwietlono promieniami rentgenowskimi, szukając wad. Nie można zamartwiać się każdym szczegółem, od tego ma się dobrego mechanika, żeby dbał o gospodarstwo.

- Dwadzieścia procent mocy.

Główny konstruktor rozejrzał się dookoła. Pompę zamontowano na resorującym postumencie, podobnym do stołu ze sprężynowymi nogami, które zapobiegały przenikaniu drgań urządzenia do kadłuba i otaczającej wody. Postument nie spodobał się konstruktorowi. Nie szkodzi, marny projekt można zawsze ulepszyć. Budowa okrętów stanowiła jedną z nielicznych dziedzin prawdziwej sztuki inżynierskiej.

- Dwadzieścia pięć.

- Teraz zaczynam coś słyszeć - zauważył Dubinin.

- Jaki ekwiwalent prędkości?

- Z normalnym obciążeniem hotelowym... - mechanik miał na myśli moc potrzebną do zasilania rozmaitych układów okrętu, od klimatyzacji do lampek nocnych -... dziesięć węzłów.

Wewnętrzne układy okrętów typu Akula pożerały mnóstwo energii elektrycznej. Winne były tutaj zwłaszcza prymitywne urządzenia klimatyzacyjne, pochłaniające do dziesięciu procent całej mocy reaktora. - Siedemnaście procent mocy musi pójść w hotel, zanim możemy puścić obroty na śrubę. Zachodnie systemy mają lepszą wydajność.

Główny konstruktor pokiwał ponuro głową.

- Pewnie, skoro u nich połowa przemysłu pracuje nad klimatyzacją i środowiskiem. U nas nie ma nawet instytutów badawczych.

- Fakt, że klimat mają gorętszy niż u nas. Byłem kiedyś w Waszyngtonie, w lipcu, i powiem wam, że było goręcej niż w piekle.

- Naprawdę aż tak?

- Facecina z naszej ambasady, który mnie oprowadzał, mówił mi, że cały Waszyngton zbudowano na malarycznych bagnach. Zdarzały się nawet epidemie żółtej febry. Cholera, nie klimat.

- Nic o tym nie wiedziałem.

- Trzydzieści procent! - zawołał mechanik.

- Kiedy zdarzyło ci się tam być? - zapytał Dubinina admirał.

- Ponad dziesięć lat temu, w czasie rokowań nad układem o ratowaniu rozbitków. Moja pierwsza i ostatnia przygoda z dyplomacją. Jakiś kretyn z dowództwa wyobraził sobie, że nie obejdą się bez podwodniaka. Zabrali mnie ciupasem z Akademii Frunzego i jazda. Kompletna strata czasu - dodał Dubinin.

- I jak tam było?

- Nudno. Amerykanie z okrętów podwodnych strasznie zadzierali nosa. Nie powiem, żeby byli przyjaźni. Nie, inaczej - zreflektował się Dubinin. - Klimat polityczny był wtedy zupełnie inny, więc i powitanie zgotowali nam serdeczne, ale pełne rezerwy. Pamiętam, zabrali nas na mecz baseballowy.

- I jak? -zapytał znów admirał.

- Jedzenie i piwo dały się wytrzymać. - Komandor uśmiechnął się do wspomnień. - Sama gra kompletnie bez sensu, a kiedy nam próbowali tłumaczyć zasady, nic już nie rozumiałem.

- Czterdzieści procent!

- Dwanaście węzłów - przeliczył Dubinin. - Hałasuje bardziej niż przedtem,, ale...

- Ale co?

- Sam wiesz, że to ułamek hałasu starej pompy. Moi ludzie musieli wkładać ochraniacze na uszy, żeby tu w ogóle wejść. Na pełnej prędkości huczało tu aż strach.

- Zobaczymy, jak będzie teraz. Nauczyłeś się czegoś ciekawego w tym Waszyngtonie?

- A i owszem - Dubinin znowu odchrząknął. - Nauczyłem się nie włóczyć samemu po ulicach. Wyszedłem sobie, rozumiesz, na spacer i widzę, że jakaś kobietę atakuje chuligan. Wyobrażasz sobie? Dwie ulice od Białego Domu!

- Naprawdę?

- Ten młody złodziej wyrwał babie torebkę i próbował uciekać, akurat w moją stronę. Jak na filmie, słowo daję.

- Jak to "próbował"?

- Nie mówiłem ci, że w młodości grałem w nogę? Podhaczyłem go, może trochę za entuzjastycznie, bo fiknął i rozwalił sobie zupełnie rzepkę kolanową. - Dubinin uśmiechnął się na myśl o tym, jak zręcznie unieszkodliwił tamto ladaco. Betonowy chodnik to nie murawa boiska...

- Pięćdziesiąt procent!

- No i co potem?

- W ambasadzie strasznie mi zmyli głowę. Sam ambasador darł się na mnie, byłem pewien, że mnie z miejsca odeślą do domu, za to miejscowa policja wymyśliła, żeby mi dać medal. Sprawę wyciszono, a ja nie jeździłem już więcej w misje dyplomatyczne. - Dubinin roześmiał się szczerze. - Wyszło na moje. Osiemnaście węzłów.

- A po coś się wtrącał?

- Bo byłem młody i głupi - wyjaśnił Dubinin. - Nigdy by mi wtedy nie przyszło do głowy, że może to być prowokacja CIA albo coś. Dokładnie to, czego bał się ambasador. Ale nie, to był zwykły napad, ot, młody oprych i stara Murzynka. Pięknie sobie roztrzaskał to kolano. Ciekawe, jak mu teraz idzie bieganie. Jeżeli naprawdę był z CIA, to też nie szkodzi, jednego szpiega mniej.

- Moc sześćdziesiąt procent, idzie równo! - zameldował pierwszy mechanik. - Ani śladu fluktuacji ciśnienia!

- Dwadzieścia trzy węzły. Powyżej sześćdziesięciu już się tak wiele nie zmienia, za to wokół kadłuba robią się zawirowania. Ano, Wania, podkręć go jeszcze!

- Tak jest, komandorze!

- Jaką miałeś największą prędkość na "Łuninie"?

- Trzydzieści dwa węzły z maksymalną mocą znamionową. Trzydzieści trzy z reaktorem nad czerwoną kreską.

- Słyszałem coś o nowej farbie do kadłubów.

- Tej, co ją wynaleźli Anglicy? Wywiad mówi, że dzięki niej amerykańskie patrolowce suną jeden węzeł szybciej.



- Zgadza się - potwierdził admirał. - Słyszałem, że poznaliśmy już skład farby, ale trudniej jest ją zrobić, nie mówiąc już o nakładaniu.

- Ledwo przekroczę dwadzieścia pięć węzłów, zaczyna odlatywać od kadłuba okładzina głuszająca. Zdarzyło mi się to raz, jak jeszcze byłem starpomem na "Swierdłowski Komsomolcu". - Dubinin potrząsnął głową. - Jakbyś w bębnie siedział, kiedy wszystkie te gumowe płytki zaczynają walić w kadłub.

- Niestety, na to wiele nie poradzimy.

- Siedemdziesiąt pięć procent mocy!

- Gdyby zdjęć z kadłuba okładzinę, wyciągnąłbym jeszcze węzeł.

- Nie radzisz nam tego poważnie?

- Nie - zgodził się Dubinin. - Jak puszczą w nas torpedę, ta guma może zdecydować o życiu lub śmierci.

Rozmowa urwała się w tejże chwili, gdyż po dziesięciu minutach pracy reaktor osiągnął pełną moc pięćdziesięciu tysięcy koni. Hałas pompy wzmógł się znacznie, lecz nadal słyszało się w pomieszczeniu głos rozmówcy. Przy podobnym obciążeniu stara pompa hałasowała jak zespół rockowy na koncercie. Dubinin dobrze zapamiętał, jak dźwięk wwierał mu się w ciało. Teraz nareszcie cisza, w dodatku z tym amortyzowanym postumentem.. Komendant stoczni obiecywał, że znacznie obniży się emisja hałasu i dotrzymał słowa. Po kolejnych dziesięciu minutach Dubinin osłuchał i opukał wszystko, co potrzeba.

- Zmniejszyć moc! - rozkazał.

- No i jak, Walentinie Borisowiczu?

- KGB wykradła to Amerykanom?

- Tak sobie wyobrażam - odrzekł admirał.

- Niech no spotkam jakiegoś szpiega, zaraz go wycaluję!

Motorowy frachtowiec "George McReady" brał przy nabrzeżu ładunek. Statek był sporych rozmiarów, dziesięcioletni, napędzany potężnymi morskimi silnikami Diesla i przeznaczony do przewozu drewna. W ładowniach mieściło się trzydzieści tysięcy ton tarcicy lub, jak w tym wypadku, okorowanych pni. Japończycy woleli przeważnie sami ciąć budulec, gdyż w ten sposób pieniądze na przeróbkę zostawały w kraju, zamiast odpływać za granicę. Transportem zakupionego budulca miała się zająć strona amerykańska, lecz nawet to ustępstwo Japończyków wymagało dziesięciu miesięcy negocjacji. Japonia to kraj może malowniczy dla turystów, lecz niesłychanie drogi.

Pod czujnym okiem pierwszego oficera żurawie portowe przenosiły drzewne pnie z ciężarówek do specjalnie przystosowanych ładowni statku. Załadunek toczył się wyjątkowo sprawnie; jeszcze jeden znak, że automatyzacja czynności dokerskich odmieniła postać żeglugi handlowej. Z załadunkiem "George'a McReady'ego" można było się uwinąć w czterdzieści godzin, rozładować zaś cały statek w trzydzieści sześć, dzięki czemu jednostka bardzo prędko mogła wyruszyć w kolejny rejs. Niestety, załoga nie cieszyła się przez to zbyt długo z pobytu na lądzie. Armatorzy przejmowali się jednak bardziej swoimi opłatami portowymi i czasem straconym na wyładunku niż stratami, jakie z powodu nowej techniki poniesie personel portowych spelunek i innych przybytków dla marynarskiej klienteli.

- Pete, złapałem pogodę - zawołał trzeci oficer. - Nie za dobrze. Pierwszy oficer spojrzął na wydruk prognozy i jęknął tylko.

- Właśnie, jakiś gigantyczny niż znad Syberii. Ledwo wypłyniemy, zacznie nami huścić, a front za szeroki, żeby próbować opłynąć bokiem.

Pierwszy oficer aż gwizdnął na widok liczb.

- Lepiej dobrze gap się w ten swój radar, Jimmy.

- Spokojna głowa. Jak nasz ładunek pokładowy?

- Tylko te trzy patyki, co widzisz.

Oficer pokiwał głową i wydobył ze schowka lornetę.

- Rany boskie, pospinane łańcuchami!

- Dlatego nie możemy ich wsadzić pod pokład.

- Niesamowite! - Trzeci oficer nie wierzył własnym oczom.

- Już rozmawiałem o tym z bosmanem. Kazałem mu na mur przywiązać te pnie, żeby ani drgnęły.

- Dobry pomysł, Pete. Jeżeli sztorm będzie taki jak w prognozie, nie wychodź na pokład bez deski surfingowej.

- Kapitan ciągle na plaży?

- Na razie tak, miał się zjawić o czternastej.

- Tankowanie skończone. O siedemnastej mechanik zapuszcza diesle. To co, podnosimy trap o szesnastej trzydzieści?

- Zgadza się.

- Niech to szlag, człowiek nawet nie ma czasu pójść na dziewczynki.

- Powiem staremu o prognozie meteo. Ta pogoda może nam przedłużyć rejs.

- Kapitan się ucieszy.

- Jak my wszyscy.

- Ty, ale zaraz... Jeżeli popieprzy się od tego harmonogramu portu, może uda mi się...

- A mnie razem z tobą, kolego - Pierwszy oficer uśmiechnął się marzycielsko. Obaj byli kawalerami.

- Piękny, prawda? - odezwał się Fromm. Pochylił się i jeszcze raz spojrział przez przezroczystą taflę na metal. Ramię manipulatora zdjęło plutonowy element z wrzeciona obrabiarki, umożliwiając oględziny. Kontrola niewiele już wprawdzie wносиła, ponieważ jednak i tak trzeba było przenieść rdzeń przed dalszym ciągiem obróbki, Fromm postanowił przyjrzeć się dziełu. Najpierw oświetlił metal mocną latarką, lecz zaraz pstryknął wyłącznikiem, gdyż zupełnie wystarczało światło spod sufitu.

- Naprawdę olśniewający - zauważył Hosni.

Przedmiot, który oglądali, był tak gładki, że wydawał się zrobiony ze szkła. W istocie jego powierzchnia miała o wiele większą gładkość niż szkło. Zewnętrzna powierzchnia została wyszlifowana tak równo, że jedyne zniekształcenia spowodowała siła przyciągania ziemskiego. Gołym okiem nie dało się dostrzec jakichkolwiek nierówności, mieszczących się swobodnie w zakresie, który określił Fromm, obliczając kody hydro-kinetyczne na swoim komputerze.

Zewnętrzna powierzchnia wywiniętego cylindra była doskonale gładka i odbijała światło niczym przedziwna soczewka. Kiedy mechaniczne ramię obracało cylinder wzdłuż osi podłużnej, odbicie lamp sufitowych w metalu nie przesunęło się i nie zamigotało, co nawet Niemiec uznał za rzecz zupełnie niezwykłą.

- Nigdy bym nie uwierzył, że się nam tak uda - szepnął Hosni.

- Jeszcze niedawno moglibyśmy wybić to sobie z głowy - przytaknął Fromm. - Te obrabiarki wynaleziono raptem piętnaście lat temu, a czujniki laserowe jeszcze później. W przemyśle wciąż używa się ich przede wszystkim do produkcji superprecyzyjnych instrumentów, teleskopów astronomicznych, zwierciadeł wysokiej jakości, specjalnych części do wirówek... - Niemiec

wyprostował się. - Dobrze, musimy teraz przeszlifować wnętrze cylindra. Tego już nie da się obejrzyć.

- Dlaczego szlifowaliśmy najpierw z zewnątrz?

- Wiemy przynajmniej, że maszyna pracuje jak trzeba. Szlif we wnętrzu sprawdzą za nas lasery. Dowiedzieliśmy się na razie, że podają nam prawdziwe dane. - Fromm sam nie wierzył w swoje wyjaśnienie, lecz nie chciał zdradzić prawdy i powiedzieć, że wybrał taką kolejność olśniony pięknem swojego dzieła. Młody Arab mógłby tego nie zrozumieć. Das ist die schwarze Kunst... Ich prace są rzeczywiście rodem z "Fausta", pomyślał skrycie Fromm. Hosni dziwował się tymczasem, że przedmiot o tak pięknym kształcie potrafi...

- Wszystko nadal idzie po naszej myśli.

- Naturalnie - odrzekł Fromm i wskazał gestem wnętrze klosza. Przy prawidłowej obsłudze precyzyjna tokarka odcinała od elementu pojedynczą metaliczną nitkę, widoczną głównie dlatego, że odbijała światło. Niezwykle cenną nić zbierano z zamiarem przetopienia i późniejszego wykorzystania.

- Dobra chwila, żeby zrobić przerwę - oświadczył Fromm, odwracając się od klosza.

- Nie powiem nie - ucieszył się Hosni, który od czternastu godzin tkwił przy urządzeniach. Odprawił techników, po czym wraz z Frommem opuścił salę, zostawiając wnętrze pod opieką dwóch strażników.

Strażnikom brakowało wykształcenia Hosniego. Byli to członkowie osobistej ochrony komendanta, weterani wielu lat partyzantki. Jak na ironię, o wiele częściej przychodziło im walczyć z arabskimi rodakami niż z syjonistycznym wrogiem. Ugrupowań terrorystycznych było przecież całe mrowie, a ponieważ wszystkie wywodziły się ze społeczności palestyńskiej, musiały ścigać się między sobą o zwolenników. Jak zwykle, kiedy konkurują ze sobą ludzie uzbrojeni po zęby, często prowadzi to do walk i śmierci, lecz strażnikom pozwala okazać swą lojalność wobec organizacji. Każdy strażnik dał się poznać jako doskonały strzelec, prawie tak dobry jak nowy, amerykański nabytek organizacji w postaci poganina Russella.

Jeden z dwójki strażników, Ahmed, oparł się o ścianę i zapalił papierosa. Czekala go kolejna nudna noc. Kiedy patrolowało się okolicę albo czuwało przed kwaterą Katiego, można było przynajmniej zająć czymś wzrok. Za każdym samochodem i w każdym oknie mógł się przecież kryć izraelski agent... Podobne myśli skutecznie odpędzały senność. Jednak czuwanie we wnętrzu pełnym głupich, martwych maszyn usypiało tylko czujność. Dla rozrywki, a zarazem dopomagając sobie w zadaniu, strażnicy pilnowali techników, chodzili za nimi z pomieszczenia do pomieszczenia, stali im nad głową w trakcie posiłków i w sypialniach, dozorowali ich nawet podczas mniej skomplikowanych czynności przy warsztacie. Ahmed nie zdobył wykształcenia, lecz miał swój rozum, szybko się uczył i wyobrażał sobie, że błyskawicznie mógłby wciągnąć się do pracy jako technik, gdyby tylko zdobył parę miesięcy czasu, żeby osiąść ten fach. Umiał przecież znakomicie obchodzić się z bronią, a określić przyczynę zacięcia czy wyregulować podstawę celownika potrafił równie dobrze, jak zawodowy rusznikarz.

Spacerując po sali, strażnik wsłuchiwał się w szum wentylatorów w rozmaitych przewodach klimatyzacji, a podchodząc do tablic przyrządów sprawdzał, co podają wskaźniki. Tablice ukazywały także pracę zapasowych generatorów prądu i stan paliwa w ich bakach.

- Ależ się martwią, żeby zdążyć - zauważył głośno Ahmed, kontynuując obchód sali. Miał wielką nadzieję, że któreś ze światełek zamruga nagle, że coś się zacznie dziać. Wraz z kolegą zatrzymał się wreszcie przed metalowym przedmiotem, który tak starannie oglądali przedtem Fromm i Hosni.

- Ciekawe, co to takiego.

- Jakaś niezwykłość - domyślił się Ahmed. - Sam powiedz, inaczej po co by robili taką tajemnicę?

- Moim zdaniem, to jakaś część bomby atomowej. Ahmed odwrócił się do towarzysza.

- Dlaczego tak myślisz?

- Któryś z techników zaklinał się, że może chodzić tylko o to.

- Fajnie byłoby toto podłożyć naszym przyjaciołom w Izraelu.

- Jasne, tylu naszych zginęło przez ostatnich parę lat. Izraelczycy czy Amerykanie też powinni...

Nie ma co, świetny prezent. - Strażnicy ponownie ruszyli w obchód między uśpionymi maszynami. - Ciekawe, skąd taki pośpiech?

- Cokolwiek tu robią, chcą skończyć na czas - zauważył Ahmed, zapatrzony w plątaninę metalowych i plastikowych części na stole montażowym. Bomba atomowa, powtórzył w myśli. Chyba nie, bo przecież części wyglądały jak... Jak długie, plastikowe słomki do wody sodowej, splecione w ciasne, lekko poskręcane wiązki. Słomki? W bombie atomowej? Niemożliwe. Bomba atomowa ma w środku zupełnie co innego, na przykład... Właśnie, co? Ahmed przyznał w duchu, że nie ma o tym pojęcia. Owszem, umiał czytać, czytywał Koran, gazety i instrukcje obsługi broni. Nie jego wina, że nie udało mu się zdobyć wykształcenia tak jak Hosniemu, któremu Ahmed trochę zazdrościł, mimo że go lubił. Wykształcenie to taka cenna rzecz. Gdyby ojciec nie był chłopem wypędzonym ze swojej ziemi, tylko kimś innym, na przykład sklepikarzem, albo gdyby dało się łączyć trochę pieniędzy...

Podczas kolejnej rundy wokół sali Ahmed spostrzegł coś, co wyglądało jak puszka po farbie albo bardzo podobnie. Pojemnik zawierał struzyny metalu spod tokarki, gromadzące się w wypełnionej freonem komorze maszyny. Ahmed przyglądał się obróbce dostatecznie często, by wiedzieć, w jaki sposób wióry, które przypominały cieniutką metalową nić, ładowano przez grubą szybę i specjalne rękawice do puszek. Puszki wydobywano następnie przez podwójną klapę i zabierano do drugiego pomieszczenia, gdzie zawartość przeładowywano przez identyczną klapę do dziwnego tygla.

- Idę się odlać - powiedział do Ahmeda drugi strażnik.

- Miłego spaceru - rzucił w odpowiedzi, zdjął broń z ramienia i wypuścił przyjaciela za podwójne drzwi. Sam miał niedługo wyjść na dwór, jako że zbliżała się pora obchodu posterunków. Ahmed jako starszy stopniem czuwał w warsztacie i był jednocześnie odpowiedzialny za wartość wokół całego terenu. Całe szczęście, że obchód już blisko, nareszcie będzie się można choć na chwilę wyrwać ze sztucznej atmosfery warsztatu. Jak ludzie mogą żyć w takich warunkach? Strażnik nie mógł pojąć, że ktoś chce tkwić hermetycznie zamknięty w czterech ścianach, niczym na statku kosmicznym albo w łodzi podwodnej. Sam pragnął wiedzy, lecz przecież nie po to, by pracować w biurze, siedzieć i cały dzień przeglądać różne tam papiery. Nie, najlepiej zostać inżynierem, jednym z tych, którzy budują drogi i mosty, tak jak tego niegdyś pragnął. Hoże jego synowi uda się to osiągnąć, gdyby nadeszła wreszcie okazja, by się ożenić i spłodzić syna. Było o czym pomarzyć. Teraz jednak nawet marzenia Ahmeda stały się przyziemne: niech się już skończy to wszystko, tak aby można było odłożyć karabin, zacząć normalnie żyć... O tym strażnik marzył właściwie bez przerwy.

Najpierw jednak muszą zginąć syjoniści.

Ahmed stanął pośrodku pomieszczenia, ogarnięty przeraźliwą nudą. Wartownicy na zewnątrz mogli sobie chociaż popatrzeć na gwiazdy. Co tu zrobić, czym by tu się zająć...

Wewnątrz przezroczytego pudła stała puszka po farbie, gotowa do przeniesienia w inne miejsce. Ahmed setki razy widział, jak robią to technicy. Jaka sprawa? Wyjął puszkę zza drzwiczek

śluży i przeszedł z nią do sali, w której stały piecyki elektryczne. Technicy wsadzali puszkę do piecyka, a potem... Wszystko było bardzo proste. Nareszcie coś nowego, nareszcie można się przysłużyć dziełu, niezależnie od tego o co w nim naprawdę chodziło.

Puszka okazała się bardzo lekka, Ahmed mógłby wręcz przysiąc, że jest pusta. Pusta? Wieczko domknięto szczelnie zaciskami, więc... Nie, lepiej nie. Ahmed postanowił zrobić dokładnie to, co technicy. Podszedł do piecyka, otworzył grube drzwiczki, sprawdził, czy prąd jest wyłączony - wiedział w końcu, że inaczej może się sparzyć, ten piec topił przecież metal! - po czym założył grube gumowe rękawice. Zapomniał tylko wcisnąć przełącznik pompy, zastępującej powietrze argonem. Zsunął zaciski z wieczka i obrócił puszkę otworem do siebie, żeby sprawdzić, czy coś jest w środku. Sprawdził, a jakże.

Kiedy tylko zsunął wieczko, bogate w tlen powietrze pomieszczenia zaatakowało plutonowe nici, które weszły natychmiast w reakcję, eksplodując prosto w twarz Ahmeda. Nastąpił nagle błysk, jak przy eksplozji spłonki karabinowej, ot, obłoczek gorąca i chwilowa jasność. Nic niebezpiecznego, tego Ahmed był pewien, zwłaszcza że obyło się nawet bez dymu. Kichnął tylko raz i drugi.

Mimo to Ahmeda zdjęło nagłe przerażenie. Zrobił coś, co było zabronione. Co pomyśli o nim komendant? W jaki sposób ukarze go komendant? Strażnik wsłuchał się w mruczenie wentylatora i ujrzał, jak cienka strużka dymu znika w otworach wyciągu sufitowego. Całe szczęście. Elektrofiltry oczyszczą wszystko jak trzeba. Ahmed musiał więc tylko...

Tak jest. Starannie zamknął puszkę i odniósł ją z powrotem do sali warsztatowej. Drugi strażnik nie powrócił jeszcze, na szczęście. Ahmed odstawił puszkę na dawne miejsce i upewnił się, że wszystko wygląda tak jak było. Dla odprężenia zapalił następnego papierosa, znowu gryząc się myślą, że nie potrafi rzucić nałogu. Przekłête papierosy, to przez nie człowiek dostaje zadyszki w biegu.

Ahmed nie wiedział, że jest już trupem, któremu zapomniano tylko wypisać akt zgonu, a wydmuchiwany dym może być równie dobrze jego ostatnim tchnieniem.

- Wiem, co i jak - oznajmił Clark, przekraczając próg gabinetu jak John Wayne, który wjeżdża do Alamo.

- Opowiadaj, opowiadaj. - Jack Ryan wskazał mu fotel.

- Przyleciałem dopiero co z Dulles, rozmawiałem z paroma gośćmi, i co się okazuje? Boeingi 747 linii JAL z trasy przez Pacyfik mają konfigurację kabiny jak znalazł do naszych celów. Na górnym pokładzie, w pierwszej klasie, są łóżka, jak w wagonie sypialnym. Nasze szczęście. Akustycznie górny pokład jest w porządku, mikrofon łatwo wychwyci co trzeba. - Clark rozłożył schemat samolotu. - Tutaj i tu są stoły. Zasadzimy tam dwie radiowe pluskwy z czterema kanałami przekazu.

- Wyjaśnij mi to - zażądał Jack.

- Pluskwa z nadajnikiem wysyła sygnał na wszystkie strony. Transmisja idzie do nadajnika superwysokiej częstotliwości, a ten przekazuje sygnał poza samolot.

- To po co aż cztery kanały?

- Największy kłopot będzie z odfiltrowaniem szumów z samolotu, wycia silników, powietrza i czego tam jeszcze. Na dwóch kanałach popłyną nagrywane rozmowy z wnętrza, a na dwóch reszta częstotliwości. W ten sposób będzie można odfiltrować cały harmider. Nasi ludzie z technicznego pracowali nad tym od dawna. Nagrywa się osobno hałas tła, żeby określić stopień interferencji i wykasować wszystkie te częstotliwości z zasadniczego nagrania. Z odpowiednim osprzętem

komputerowym, łatwizna. Mamy takie komputery, więc nie kłopot. Przekażnik ładujemy do butelki i celujemy anteną kierunkową w stronę okna. To też łatwizna, sprawdziłem. Dalej, potrzebny będzie samolot pościgowy.

- Niby jaki?

- Jeśli dobrze dopasować sprzęt, wystarczy mały gulfstream, chociaż lepszy będzie EC-135, a najlepiej kilka, żeby mogły na zmianę lecieć za boeingiem.

- W jakiej odległości mają lecieć?

- Odległość nie ma znaczenia, byle utrzymały łączność. Powiedzmy, pięćdziesiąt kilometrów. Mogą nawet lecieć na innej wysokości, nie to, że musimy lecieć skrzydło w skrzydło z boeingiem.

- Trudno będzie zbudować ten podsłuch?

- Bardzo prosto. Najtrudniej ukryć zasilacz, ten pójdzie na dno butelki, tak jak mówiłem. Butelka będzie z tych, które zawsze sprzedają w sklepach wolnocłowych, wysłałem już kogoś, żeby posprawdzał co trzeba. Chodzi o to, żeby znaleźć alkohol w ceramicznej flaszce, a nie w butelce ze szkła. Są takie, na przykład ten droższy typ whisky Chivas. Japończycy lubią sobie wypić szkockiej.

- Da się to wykryć?

Clark wyszczerzył zęby niczym uczeń, który przytarł nosa nauczycielowi.

- Budujemy cały układ wyłącznie na japońskich częściach, poza tym umieścimy w samolocie odbiornik, nastrojony na te same częstotliwości. Premier leci ze zwykłą świtą pismaków, więc jeśli wsadzę ten lewy odbiornik na dno kosza na śmieci, w którejś z toalet na dolnym pokładzie, w razie wpadki pomyślą, że to ich operacja. Wszystko będzie wyglądało na robotę jakiegoś dziennikarza.

- Pierwszorzędny pomysł, John - pochwalił Jack Ryan.

- Tak myślałem, że się panu spodoba. Kiedy samolot usiądzie, wyślemy kogoś po tamtą butelkę. Zabezpieczymy ją oczywiście, znaczy się tak, żeby nie dało się wyciągnąć korka. Zaszpuntujemy klejem cementowym, albo coś.

- Jak dostaniesz się w Meksyku na pokład?

- Wysłałem Dinga, żeby się rozejrzał. Najwyższy czas, żeby zajął się planowaniem akcji, akurat się przyda. Mój hiszpański też ujdzie, Meksykane nabiorą się na niego.

- Dobrze, wróćmy lepiej do podsłuchów. Nie będziemy mogli równocześnie spisywać ich rozmów, tak?

- Nie da rady - Clark rozłożył ręce. - To, co złapiemy, będzie nieczytelne, zniekształcone. Zapiszemy transmisję na taśmie, na dużej prędkości i wsadzimy do komputera na dole, żeby dostać czysty zapis. Powiedzmy, że to dla nas dodatkowe zabezpieczenie, bo faceci w samolotach nie będą wiedzieli, co nagrywają, a o tym, że mają lecieć za boeingiem, powie się tylko pilotom. Zaraz, im też można nic nie mówić. Najlepiej będzie, jak to sprawdzę.

- Ile czasu potrzeba, żeby wyczyścić taśmę i ją spisać?

- Musimy najpierw ściągnąć taśmy na ziemię, do centrali... Powiedzmy, że kilka godzin. Tak twierdzą ci z naukowo-technicznego. Wie pan, co jest najpiękniejsze w tym wszystkim?

- Co takiego?

- Samolot to ostatnie miejsce, gdzie da się założyć podsłuch. Nasz pion naukowo-techniczny bawił się z tym od dłuższego czasu. Zasadniczy przełom po tym co podpowiedzieli nam fachowcy z marynarki wojennej. Akurat pracują nad czymś supertajnym, więc nikt nie ma pojęcia, że to umiemy. Potrzebne są bardzo skomplikowane programy komputerowe, i w ogóle. Na całym świecie masa ludzi siedzi nad tym problemem, ale co z tego, kiedy rozwiązanie to czysta matematyka. U nas wpadł na nie w końcu jeden gość z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Powtarzam, sir John, na razie nikt nie wie, że to w ogóle możliwe. Ochroniarze premiera będą smacznie chrapać, a jeżeli nawet znajdą

nadajnik, pomyślą, że to robota amatora. Tylko my potrafimy odczytać zapis z odbiornika, tego, który schowam na pokładzie.

- Ten zapis też się nam przyda przy zgrywaniu i praniu taśm.

- Dlatego chcę go wydostać. Mamy podwójny czy nawet potrójny system nagrywania, redundantny czy jak tam się mówi. Trzy osobne kanały przesyłania informacji: jeden w samolocie i dwa wprowadzone na zewnątrz maszyny.

Ryan wznosił kubek z kawą w toaście.

- Brawo, wygląda na to, że strona techniczna nie sprawi nam trudności. Pora na wstępną ocenę skuteczności operacji.

- Właśnie, pora na wstępną ocenę! Kurczę, dobrze jest znowu poczuć się szpiegiem. Bez urazy, ale żeby pilnować pańskiej dupy nie muszę aż tak wyęźać wszystkich talentów.

- Pochlebca z ciebie, John - skwitował to ze śmiechem Ryan. Roześmiał się pierwszy raz od długiego czasu. Jeżeli operacja się powiedzie, może ta zdzira Elliot odczepi się nareszcie. Ba, może nawet prezydent zrozumie, że prawdziwe akcje w wykonaniu prawdziwych fachowców zachowały sens. Dla Jacka Ryana stanowiłoby to mały triumf.





# ROZWIĄZANIE

- Może mi ktoś powie, co to takiego? - zapytał drugi oficer, spoglądając na pokład ładunkowy.
- Podobno mają być z tego jakieś krokwie do świątyni. Na oko mała pagoda. - Pierwszy oficer zastanowił się. - Czy ten sztorm ma się jeszcze nasilić?
- Lepiej będzie przystopować obroty, Pete.
- Już dwa razy mówiłem o tym staremu. Gdzie tam, powtarza tylko, że mamy przyplłynąć punktualnie.
- Niech to powie tym pierdolonym falom.
- Tego nie próbowałem. Do kogo dzwonić w tej sprawie?

Drugi oficer parsknął gniewnie. Nie dość, że miał wachtę, to jeszcze pierwszy, czyli zastępca kapitana, kręcił mu się po mostku, "żeby mieć oko na wszystko". Nadzór tego rodzaju należał do obowiązków kapitana, który jednak od dawna chrapał w łóżku.

MV "George McReady" przebijał się przez dziesięciometrowe fale, usiłując utrzymać prędkość dwudziestu węzłów. Nie udawało się to, mimo że maszyny pracowały pełną mocą. Niebo zasnuło się chmurami, zza których czasem tylko wynurzał się księżyc w pełni. Sam sztorm nawet trochę przycichł, lecz wiatr nadal wiał z prędkością stu kilometrów na godzinę, a fala podnosiła się. Typowy sztorm z północnego Pacyfiku, poskładany bezsensownie z różnych kawałków, stwierdzili zgodnie obaj oficerowie. Powietrze miało rozkoszną temperaturę minus dwunastu stopni Celsjusza, a wyrzucona w powietrze piana, zamarzając w locie, tłukła w okna pomostu nawigacyjnego jak śrut w szczycie sezonu polowań na kaczkę. Jediną pociechę stanowił fakt, że morze napierało na statek prosto od dziobu. "George M" był frachtowcem, a nie statkiem wycieczkowym i brakowało mu stabilizatorów przechyłu, lecz mimo to żeglowało się wcale gładko. Nadbudówka mieściła się na rufie, co skutecznie wytłumiało kołysanie kadłuba, normalne w czasie sztormu. Umieszczenie pomostu blisko rufy miało jeszcze jeden skutek, a mianowicie uniemożliwiała oficerom orientację w tym, co dzieje się z przodu, zwłaszcza że ulatująca piana dodatkowo psuła widoczność.

Żegluga była tym ciekawsza, że ilekroć w dziób uderzała szczególnie wysoka fala, cały statek wręcz zamierał w miejscu. Rozmiary kadłuba sprawiały jednak, że dziób zwalniał bieg szybciej niż część rufowa. Kiedy więc wodna przeszkoda hamowała bieg, całym kadłubem wstrząsało drżenie torturowanego metalu. Choć trzeba to zobaczyć, żeby uwierzyć, stalowy kadłub zginał się za każdym razem o dobre dziesięć centymetrów.

- Służyłem kiedyś na lotniskowcu. Te w czasie sztormu gną się na śródokręciu i o trzydzieści. Pamiętam, mieliśmy raz...

- Uwaga, idzie prosto na nas! - wykrzyknął nagle sternik.
- O, kurwa, idzie grzywacz! - ostrzegł drugi oficer.

Wodna góra wysokości trzydziestu metrów wyrosła nieoczekiwanie przed tępym dziobem "George'a M". Czegoś podobnego należało się właściwie spodziewać. Nakładające się na siebie dwie fale rosły w potężny grzywacz, by znowu się rozdzielić... Tymczasem jednak dziób statku wznosił się w górę na jednej z mniejszych fal i opadł ciężko, prosto w nadciągający zielony odmęt.

- No, uwaga!

Statek nie miał najmniejszych szans, żeby wspiąć się na nową falę. Zielonkawa woda zamknęła się po prostu nad dziobem, a fala przetoczyła się, jak gdyby nigdy nic, przez sto pięćdziesiąt metrów pokładu, mierząc w nadbudówkę. Obaj oficerowie obserwowali widowisko z fascynacją, choć

niezbyt nim przejęci. Statkowi nie zagrażało niebezpieczeństwo; powtarzali sobie przynajmniej, że nie grozi mu żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Lita zielonkawa masa z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę przetoczyła się ponad żurawiami ładunkowymi i osprzętem pokładowym. Przez kadłub znowu przebiegło drżenie, gdyż dziób wrył się w dolną część grzywacza, hamując statek. Fala miała taką wysokość i szerokość, że dziób nie wynurzył się jeszcze spod wody, kiedy spieniona grzywa uderzyła w malowaną na biało, stalową ścianę, prostopadłą do kierunku fali.

- Trzymać się! - krzyknął drugi oficer do sternika.

Grzywa fali nie sięgnęła aż do poziomu mostka, lecz całą siłą uderzyła w okna kajut oficerskich. Świat zasłoniła na chwilę ściana bielejącej piany, która trwała w powietrzu przez sekundę wlokąca się jak minuta. Nagle piana opadła, a oficerowie znowu ujrzeli pokład, wciąż pokryty wodą, która umykała przez szpigaty. Frachtowiec zatoczył się o piętnaście stopni, po czym wszystko wróciło na miejsce.

- Zmniejszyć prędkość do szesnastu węzłów, na moją odpowiedzialność - rozkazał pierwszy oficer.

- Aye, aye - odkrzyknął sternik.

- Póki ja jestem na mostku, nie będziemy rozwalać tego statku - dodał pierwszy.

- Niby racja, Pete - przytaknął drugi oficer, który przy tablicy alarmowej sprawdzał, czy fala nie zalała którejs z ładowni. Światelka na tablicy upewniały, że wszystko w porządku. Motorowiec zaprojektowano z myślą o sztormach gorszych niż ten na zewnątrz, lecz na morzu czujności nigdy za wiele. - Pete, na oko wszystko gra.

Zaburczał telefon wewnętrzny.

- Mostek, pierwszy oficer.

- Co się tam, do diabła, dzieje? - usłyszeli głos pierwszego mechanika. — Walnęliśmy w fale, panie chief - odparł lakonicznie Pete. - Coś nie tak?

- W fale? Wolne żarty - Tak pieprznięto w nadbudówkę, że myślałem, że zjem własne okno. Iluminator pękł, nie moglibyście trochę zwolnić? W mokrym łóżku kiepsko się śpi.

- Kazałem już zwolnić.

- To w porządku. - Mechanik wyłączył się.

- Co wy wyrabiacie? - padło pytanie kapitana, który stanął na progu pomostu w pizamie i szlafroku. Zdążył w samą porę, by obejrzeć, jak reszta wody spływa powoli z pokładu.

- Fala, ze dwadzieścia metrów. Kazałem zwolnić do szesnastu. Dwadzieścia to za dużo w taką pogodę.

- Może i racja - burknął kapitan. Każda nadprogramowa godzina dokowania przy kei kosztowała piętnaście tysięcy dolarów, armatorzy zaś nie cierpieli zbędnych wydatków. - Dajcie z powrotem dwadzieścia, kiedy tylko będzie można.

Kapitan wycofał się z mostka, zanim zmarzły mu bose stopy.

- Zrobi się - odkrzyknął Pete w pustkę.

- Prędkość piętnaście i osiem - zameldował sternik.

- Tak trzymać.

Obaj oficerowie rozsiedli się i nalali sobie kawy. Przeżycie nie wstrząsnęło nimi, przeciwnie, podniecała ich ta sytuacja, której przydawały jeszcze piękna bryzgi sztormowej piany rozświetlonej księżycem. Pierwszy oficer omiótł spojrzeniem pokład. Dopiero po chwili zrozumiał, co się stało.

- Zapal pokładowe.

- O co chodzi? - zapytał drugi oficer, podchodząc do tablicy rozdzielczej. W jednej sekundzie cały pokład zalało światło reflektorów.

- Przynajmniej jedna została.

- Jedna? O czym ty... - młodszy oficer spojrział w dół. - Ojej. A tamte trzy...

Pierwszy oficer pokręcił głową z niedowierzaniem. Jak opisać siłę drżącą w zwykłej wodzie?

- Taki gruby łańcuch, a trzasnął jak nitka. Popatrz, popatrz. Drugi oficer podniósł już słuchawkę i wystukał numer.

- Bosman, tu mostek. Zmyło nam za burtę cargo z pokładu. Niech pan sprawdzi uszkodzenia na przedzie nadbudówki.

Nie musiał dodawać, że oględzin należy dokonać od wewnątrz, a nie od strony pokładu.

Godzinę później okazało się, że mieli szczęście. Pnie porwane z pokładu uderzyły tylko raz w przednią ścianę nadbudówki, i to akurat w miejscu, gdzie jej poszycie wzmacniały stalowe dźwigary. Uszkodzenia nie były wielkie, trochę spawania i malowania. Nie zmieniało to faktu, że trzeba będzie ściąć kolejne drzewo. Na pokładzie został jeden drewniany bal, reszta poszła za burtę, japońska świątynia musiała więc poczekać.

Trzy grube pnie, nadal spięte łańcuchami, kołysały się w falach daleko za rufą "George'a M". I tak pełne soków, teraz zaczęły także chłonać morską wodę, nabierając dodatkowego ciężaru.

Cathy Ryan odprowadziła wzrokiem samochód męża. Przestała już żałować Jacka, teraz było jej żal siebie samej. Mąż nie chciał z nią porozmawiać, nie próbował się tłumaczyć, przeproszać, nie udawał nawet, że... Że co? Czasem także, kiedy Jack twierdził, że źle się czuje, że jest zbyt zmęczony, Cathy chciała sama podnieść kwestię, lecz nic wiedziała, jak zacząć. Doktor Caroline Ryan zdawała sobie sprawę, jak krucha jest męska duma, zwłaszcza na tym punkcie. Niemoc Jacka brała się z napięcia nerwowego, znużenia i alkoholu. Nic dziwnego, nie był przecież maszyną. Obecne życie wyniszczało go. Cathy wiele miesięcy temu dostrzegła pierwsze objawy, które zaostrzała jeszcze konieczność dojazdów do pracy. Dwie i pół albo trzy godziny w samochodzie, dzień w dzień. Owszem, Jack miał do dyspozycji kierowcę, ale co z tego? Trzy godziny dłużej niż trzeba przebywał poza domem, zajęty myślami i pracą, a nie rodziną, do której należał.

A ja, zapytała samą siebie Cathy, czy pomagam mu, czy wcale nie? Może to także moja wina?

Przeszła do łazienki i badawczo przyjrzała się sobie w lustrze. Trudno, nie była już pyzatą dziewczynką. Wokół ust i oczu pojawiły się pierwsze zmarszczki, niedługo przyjdzie pora na wizytę u okulisty, gdyż coraz częściej czuła bóle głowy podczas operacji, co mogło oznaczać postępującą wadę wzroku. Z jednej strony jako chirurg oczny wiedziała o tym, lecz z drugiej wiecznie nie miała czasu i podobnie jak inni odkładała w nieskończoność wizytę u któregoś z kolegów z Instytutu Okulistycznego Wilmera. Zdawała sobie sprawę, że postępuje głupio. Jej oczy wciąż były ładne i zachowały barwę, choć zaczynały się psuć wskutek długich godzin wyęźniania wzroku podczas precyzyjnych operacji w klinice.

Nadal zachowała też szczupłą figurę. Oczywiście nie zaszkodziłoby zrzucić ze dwa, trzy kilo, a już najlepiej przenieść w jakiś sposób zbędną część tkanki tłuszczowej na piersi. Niestety, Cathy miała mały biust, podobnie jak wszystkie kobiety w jej rodzinie, podczas gdy świat upodobał sobie biusty, wobec których bladły wymiona krów-rekordzistek. Broniąc się przed kompleksami z tego powodu, żartowała zwykle, że rozmiary biustu pozostają w odwrotnej proporcji do rozmiarów mózgu, lecz sama oczywiście marzyła o tym, żeby mieć duże piersi, tak jak mężczyźni marzą o większym penisie. Bóg albo geny wzbronili jednak Cathy tej przyjemności, a chirurgia plastyczna jako oszustwo nie wchodziła w rachubę. Dodatkową przyczynę niechęci do sztucznego powiększania piersi stanowiła statystyka: za często słyszało się o powikłaniach spowodowanych przez wkładki

silikonowe.

Co do reszty ciała... Fryzura pani doktor była wiecznie w nieładzie, lecz widać taki już los kobiet-chirurgów. Cathy miała krótkie, ładne włosy o jasnym odcieniu. Jack uwielbiał je, kiedy już przyszło mu do głowy, żeby spojrzeć na żonę. Również jej twarz zachowała świeżość, mimo pierwszych linii obok ust i kurzych łapek przy oczach. Nogi miała pierwszorzędne, i to od dawna, a ciągła biegania po korytarzach kliniki jeszcze je wzmocniła. Cathy doszła więc do wniosku, że nie wygląda tragicznie, na pewno nie tak, by psy zaczynały wyc na jej widok. Mówiąc szczerze, nadal mogła się podobać, utwierdzały ją zresztą w tej myśli uwagi kolegów ze szpitala. Co starsi spośród studentów również rozplýwali się nad nią, to także dawało się odczuć. Nikt w każdym razie nie unikał obchodów w jej towarzystwie.

Była też dobrą matką. Nawet w tej chwili, choć Sally i mały Jack jeszcze spali, myślała o dzieciach. Jacka wiecznie nie było w domu, więc Cathy musiała wystarczyć dzieciom i za niego, do tego stopnia, że w sezonie sportowym ćwiczyła z synem rzuty i łapanie piłki baseballowej (Jack czuł straszliwe wyrzuty sumienia, kiedy się wreszcie o tym dowiedział). Jeśli miała czas, gotowała wspiane obiady, dokonywała też napraw domowych albo "wzywała zawodowców", jak mawiał Jack.

Nadal kochała męża i nie ukrywała przed nim tego faktu. Wiedziała, że ma poczucie humoru i nie zamierzała martwić się z byle powodu. Ilekroć mogła, starała się głaskać Jacka swoimi delikatnymi lekarskimi dłońmi. Rozmawiała z mężem, zasięgała jego rady w różnych sprawach, wciąż dawała mu do zrozumienia, że bardzo go lubi i ceni sobie jego opinie. Jack nie mógł więc mieć cienia wątpliwości, jak wiele dla niej znaczy. Cathy kochała go najlepiej, jak potrafiła. Wniosek płynął z tego dla niej jeden: to nie ona była czemukolwiek winna.

Jeśli tak, dlaczego - dlaczego Jack nie...

Z twarzy widzianej w zwierciadle przebijało więcej zdziwienia niż bólu. Tak wydawało się Cathy. Czy mogę zrobić coś więcej? - zapytała własnego odbicia.

Nic.

Cathy spróbowała więc odsunąć od siebie ponure myśli. Zaczynał się nowy dzień, niedługo trzeba będzie wyprawić dzieci do szkoły, obudzić je, przygotować śniadanie. Może to niesprawiedliwe, że chirurg czy wręcz profesor chirurgii musi zajmować się takimi sprawami, lecz Cathy była nie tylko chirurgiem, ale także matką, na którą spadały wszystkie matczyne obowiązki. Mąż nie wyręczał jej w nich, w każdym razie nie o tej porannej godzinie. Można było sobie darować opowieści o wyzwoleniu kobiet. Cathy otuliła się szlafrokiem i zeszła po schodach do kuchni. Nie było tak źle, obydwójce dzieci przepadało na szczęście za owsianką, i to błyskawiczną, z torebki. Cathy zagrzała wodę, odstawiła garnuszek na mały ogień i pobiegła na górę zbudzić malców. Dziesięć minut później Sally i mały Jack wyszorowani maszerowali już do kuchni. Sally wbiegła tam pierwsza i włączyła natychmiast telewizor na kanale Walta Disneya. Myszka Miki prowadziła gimnastykę poranną. Mając dziesięć minut spokoju, Cathy mogła przejrzeć poranną gazetę i wypić kawę.

Na dole pierwszej szpalty, w prawej kolumnie, znalazła artykuł o Rosji. Przyszło jej- do głowy, że może właśnie tym tak się zamartwia Jack. Warto przeczytać. Może łatwiej będzie dotrzeć do męża, albo chociaż zrozumieć przyczynę jego... roztargnienia? Czy chodzi o zwyczajne roztargnienie?

"... wyraził rozczarowanie niezdolnością CIA do znalezienia informacji o tej sprawie. Co więcej, krążą pogłoski o wszczęciu śledztwa na zbliżony temat. Jeden z przedstawicieli ekipy rządzącej potwierdził plotkę, że wysokiego rangą funkcjonariusza CIA podejrzewa się o nadużycia finansowe i rozwiążyły tryb życia. Nie ujawniono nazwiska funkcjonariusza, lecz podobno chodzi o

osobę ze ścisłego kierownictwa Agencji, odpowiedzialną za zbieranie danych dla Białego Domu...”

Rozwiąży tryb życia? Co się kryje za tym wyrażeniem? O kogo chodzi?

O niego.

Osoba ze ścisłego kierownictwa, odpowiedzialna za...

Chodzi o Jacka. O jej męża. Podobnych zwrotów używa się tylko wobec osób na jego stanowisku. W chwili olśnienia Cathy zrozumiała, że notatka nie może dotyczyć nikogo poza Jackiem.

Jack... ma kochankę? Mój Jack?

Niemożliwe.

A jednak?

Jego ospałość, jego łózkowa niemoc, picie, w którym szuka zapomnienia? Czy to możliwe, że nie chce... Nie chce z nią spać, bo podnieca go ktoś inny? Nie. To niemożliwe. Nie Jack. Jej Jack.

Dlaczego w takim razie...? Cathy nadal mogła się podobać, wszyscy tak uważali. Nadal była dobrą żoną, co do tego nikt nie mógł żywić wątpliwości. Jack nie zapadł na żadną chorobę. Nie zauważyła u niego jakichkolwiek znaczących objawów, a przecież jako lekarz, i to dobry lekarz, umiałaby rozpoznać dolegliwość. Starła się, jak mogła, być dla męża miła, rozmawiać z nim, okazywała mu wciąż uczucie, i...

Może to niezbyt prawdopodobne, ale czy możliwe?

Możliwe.

Niemożliwe. Cathy odłożyła gazetę i napiła się kawy. Nie. Nie jej Jack.

Zbliżała się ostatnia godzina końcowej fazy produkcji Hosni i Fromm obserwowali pracę tokarki niby to beznamiętnie, lecz w skrytości ducha czuli uniesienie. Zza kurtyny tryskającego na metal freonowego chłodziwa nie widzieli obrabianej części, co trochę psuło im nastrój, choć obaj zdawali sobie sprawę, że oględziny w niczym by nie pomogły. Nawet gdyby nie chodziło o obróbkę wnętrza elementu, zasłoniętego przed ich wzrokiem przez metalowe ścianki, oko ludzkie było instrumentem zbyt prymitywnym, by wykryć ewentualne niedoróbki. Hosni i Fromm zadowolili się obserwacją czytnika komputerowego, który wskazywał, że szlif ma dokładność większą niż dwanaście angstromów, którą określił Herr Fromm. Komputerowi trzeba wierzyć na słowo.

- Jeszcze parę centymetrów - oświadczył Hosni, gdy dołączyli do nich Bock i Kati.

- Nie objaśniłeś nam nigdy budowy wtórnej części mechanizmu - zwrócił się do Fromma komendant, który przywykł już nazywać bombę wodorową “mechanizmem”.

Frommowi nie w smak było, że mu przeszkadzają, choć zwykle cenił sobie uwagę otoczenia. Odwrócił się jednak do Katiego:

- Co takiego was interesuje?

- Rozumiem, jak działa ładunek inicjujący, ale co z wtórnym? - padło proste i rozsądne pytanie

Katiego.

- Cóż, posłuchajcie. Strona teoretyczna jest zupełnie prosta dla kogoś, kto zrozumiał ogólną zasadę. Najtrudniej było, uważacie, odkryć, na jakiej zasadzie działa mechanizm. Z początku konstruktorzy sądzili, że do detonacji ładunku wtórnego potrzebna jest wysoka temperatura, tak jak we wnętrzu gwiazdy, ja? W rzeczywistości nie o temperaturę idzie, lecz o ciśnienie, co umknęło uwagi pierwszych badaczy. Z perspektywy wygląda to dziwnie, ale tak już bywa przy pionierskich pracach. Kluczem do ładunku wtórnego jest odpowiednie pokierowanie energią. Trzeba ją przekształcić w ciśnienie, wykorzystać część ciepła, a zarazem odwrócić o dziewięćdziesiąt stopni kierunek jej strumienia. Zadanie niebagatelne, gdy trzeba zawrócić z drogi siedemdziesiąt kiloton energii - dodał Niemiec z wyższością w głosie. - Powiem jednak od razu, że opowieści o

niesłychanych trudnościach teoretycznych przy budowie ładunku wtórnego to zwyczajne bajki. Ułam i Teller potrafili zrozumieć rzecz genialnie prostą, jak to bywa przy takich odkryciach, mianowicie, że ciśnienie i temperatura to jedno i to samo. W tajemnicy ich odkrycia nie było więc żadnej tajemnicy. Kiedy raz zrozumiemy mechanizm zjawiska, reszta jest już zadaniem dla inżynierów. Strona techniczna to głupstwo, dużo trudniejsze są niezbędne obliczenia. Chodzi o to, by mechanizm miał odpowiednio małe rozmiary. Czysta sztuka inżynierska! - powtórzył Fromm.

- A te słomki? - Bock zadał pytanie, gdyż wiedział, że jego pyszałkowaty krajan spodziewa się je usłyszeć.

- Nie mogę być oczywiście do końca pewien, ale zdaje się, że wpadłem na ten pomysł jako jedyny. Materiał nadaje się doskonale, jest lekki, pusty w środku i łatwo go zwinąć w pożądany kształt. - Fromm podszedł do stołu montażowego i powrócił z plastikową słomką. - Podstawowy materiał to polietylen pokryty, jak widzicie, od zewnątrz miedzią, a od środka rodem. Każda "słomka" ma sześćdziesiąt centymetrów długości i średnicę wewnętrzną poniżej trzech milimetrów. Tysiące słomek tworzą otulinę wokół ładunku wtórnego, w wiązках skręconych o sto osiemdziesiąt stopni w helisę, to taka figura, jak wieloczęściowa spirala. Bardzo użyteczny kształt. Helisa zmieni kierunek energii, rozsyłając jednocześnie na wszystkie strony ciepło.

Kati pomyślał, że w każdym inżynierze drzemie niespełniony wykładowca. Zapytał jednak:

- Więc po co są te słomki?

- Also, od ładunku pierwotnego najszybciej rozejdzie się gęste promieniowanie gamma, a zaraz po nim promienie rentgenowskie. W obu wypadkach mowa o fotonach o bardzo wysokiej energii, cząsteczkach kwantowych, które posiadają wysoką energię przy zerowej masie...

- Jak promienie świetlne? - wtrącił Bock, który mętnie przypominał sobie gimnazjalną fizykę. Fromm skinął głową.

- Dokładnie. Chodzi o niezwykle silne fale świetlne o innej, bo wyższej, częstotliwości. A zatem, z ładunku pierwotnego emanuje teraz potężna ilość energii, którą możemy odbić lub za pomocą naszych kanałów nadać jej bieg w stronę ładunku wtórnego. Większość tej energii oczywiście się rozproszy, lecz ponieważ będziemy jej mieli mnóstwo, wystarczy nam ułamek. Promienie rentgenowskie odchylą się zgodnie z biegiem naszych "słomek", a większość ich energii pochłonie lub poda dalej metal, napyłony na ścianki. Metal przekaże energię dalej. Również polietylen pochłonie olbrzymie ilości energii. Jak myślicie, co się wówczas stanie?

- Jeśli pochłonie tyle energii, na pewno eksploduje - powiedział Bock, zanim to samo zdążył wtrącić Kati.

- Dobra odpowiedź, Herr Bock. Kiedy słomki eksplodują, a właściwie nie eksplodują, tylko przemienia się w plazmę... Nie dzielmy zresztą włosa na czworo, wystarczy, że robimy to ze słomkami, W każdym razie plazma zacznie rozchodzić się promieniście od osi podłużnej każdej słomki, zmieniając energię emanującą osiowo od ładunku pierwotnego w energię, która promieniście spowije i skupi się na ładunku wtórnym.

Kati poczuł, że coś go wreszcie oświeciło.

- Wspaniale, ale tracimy połowę energii, tę która będzie promieniować na zewnątrz, a nie do środka. - I tak, i nie. Nawet rozchodząc się na zewnątrz, plazma utworzy otoczkę energetyczną, jakiej potrzebujemy. Po drugie, uranowe płyty wokół ładunku wtórnego również przemienia się w plazmę, za sprawą tego samego strumienia energii, lecz wolniej od słomek, z uwagi na dużą masę. Plazma uranowa będzie o wiele gęstsza, a tym samym będzie ciężać ku środkowi. Wewnątrz pancerzyka ładunku wtórnego zostaną dwa centymetry próżni, bo wypompujemy stamtąd powietrze. Tym łatwiej będzie więc plazmie podążać ze wszystkich kierunków do środka, a nie na zewnątrz.

- Już wiem: weźmiemy energię ładunku pierwotnego, odwrócimy jej kierunek o dziewięćdziesiąt stopni, a wtedy plazma spełni w ładunku wtórnym tę samą funkcję, co w ładunku pierwotnym materiał wybuchowy - domyślił się Kati.

- Znakomicie, komendancie! - pochwalił go Fromm, kolejny raz dając mu poznać swoją wyższość. - Będziemy więc mieli do czynienia z masą ciężkiej plazmy, ciężącej ku środkowi. Dzięki temu, że pozostawimy tam próżnię, plazma będzie się mogła rozpędzić, zanim trafi ze wszystkich stron naraz w ładunek wtórny i ściśnie go. Ładunkiem będzie dawka deuterku litu i wodoru litu, zmieszanych z trytem i otoczonych uranem 238. Implodująca plazma skruszy tę mieszaninę, bombardowaną równocześnie neutronami z ładunku pierwotnego. Połączenie temperatury, ciśnienia i strumienia neutronów sprawi, że lit zacznie się rozpadać i zmieniać w tryt. Tryt natychmiast wejdzie w reakcję syntezy, znów wyzwalaając wielkie ilości prędkich neutronów i swobodną energię. Neutrony zaatakują U 238 i spowodują kolejną błyskawiczną reakcję rozszczepienia, zwiększając moc ładunku wtórnego.

- Jak już powiedział Manfred, kluczem jest odpowiednie pokierowanie energią - dodał Hosni tytułem wyjaśnienia.

- Czyli słomki - zgodził się Bock.

- Właśnie o nich mówię - dorzucił Hosni. - To naprawdę genialna koncepcja, jak most zbudowany z papieru.

- Jaką siłę będzie miał ładunek wtórny? - zapytał Kati, który nie znał się na fizyce, ale umiał pojąć końcowy wynik.

- Ładunek pierwotny da nam około siedemdziesięciu kiloton, wtórny będzie miał moc około czterystu sześćdziesięciu pięciu kiloton. Mówię około, bo musimy uwzględnić błędy konstrukcyjne bomby, a poza tym, nie możemy doświadczalnie dokonać pomiarów.

- Jaką mamy pewność, że bomba zadziała?

- Stuprocentową - odrzekł Fromm.

- Ale sam mówiłeś, że bez doświadczeń...

- Komendancie, przecież wiadomo było od początku, że musimy się obejść bez doświadczeń. W NRD mieliśmy dokładnie ten sam problem i właśnie dlatego w projekcie znalazło się tyle zabezpieczeń. Niektóre części mają działać z zapasem czterdziestoprocentowym, niektóre są dwa razy mocniejsze niż trzeba. Musicie wiedzieć, że amerykańskie, brytyjskie, francuskie czy nawet radzieckie bomby o tej samej mocy są pięć razy mniejsze niż nasz mechanizm, ale tego rodzaju udoskonalenia wymiarów i parametrów to kwestia długich prób. Fizyczna zasada działania jest niezmiernie prosta, ale ulepszenie konstrukcji można osiągnąć tylko przez praktykę. Słyszeliście, co Hen Hosni mówił o budowaniu mostów? Rzymskie mosty z czasów starożytnych to wyjątkowo niewydajne konstrukcje, bo z naszego punktu widzenia szło na nie zbyt dużo materiału, a tym samym zbyt duży nakład pracy, ja? Od tamtej pory nauczyliśmy się budować mosty zręczniejszymi metodami, z mniejszej ilości materiałów i mniejszym wysiłkiem, ale nie zapominajcie, że sporo rzymskich mostów wciąż stoi. Most to most, nawet jeśli ma toporną budowę. Nasza bomba też jest toporna i marnujemy w niej mnóstwo materiału, ale co z tego, skoro spełni zadanie. Bo że je spełni, za to daję głowę.

Odwrócili się wszyscy, gdyż na tokarce odezwał się brzęczyk. Mrugające zielone światelko informowało, że zadanie wykonane. Fromm podszedł do urządzenia i nakazał technikom spuścić freon spod klosza. Po pięciu minutach mogli się delektować widokiem przedmiotu, któremu poświęcili tyle troskliwej uwagi. Ramię manipulatora przysunęło plutonowy cylinder do szyby. Był skończony.

- Doskonale - ucieszył się Fromm. - Musimy dokładnie obejrzyć powierzchnię, a potem weźmiemy się za montaż. Meine Herren, najtrudniejsze już za nami. - Kiedy wypowiadał te słowa, przyszło mu do głowy, że warto uczcić tę chwilę nową skrzynką piwa. Przypomniawszy sobie też, że nie zatroszczył się jeszcze o sprowadzenie palladu. Wiecznie te szczegóły, ale ostatecznie na nich zasadza się cała sztuka inżynierska.

- Co tu jest grane, Dan? - zapytał Ryan przez słuchawkę bezpiecznego telefonu. Przegapił poranną gazetę w domu, lecz nieuchronnie znalazł feralny artykuł na swoim biurku, wkomponowany w szpalte Ptaszka.

- Jedno ci powiem, Jack, że to nie myśmy wpadli na taki pomysł. Chyba ktoś z twojej firmy.

- Nie wiem, byłem już powyrywać nogi z dupy naszemu szefowi od tajności, ale tylko piszczał, że nie ma z tym nic wspólnego. A w ogóle, co to znaczy "osoba ze ścisłego kierownictwa"?

- Najwyżej tyle, że nasz pan Holtzman dobiera określeń z fantazją. Słuchaj, Jack, i tak ci za dużo powiedziałem. Nawet mnie nie wolno rozmawiać o toczącym się śledztwie, nie?

- Mało mnie to obchodzi. Ktoś puścił w obieg informacje z bardzo poufnego źródła. W normalnym świecie pan Holtzman siedziałby już przed żarówką! - warknął Ryan w słuchawkę.

- Może byś się trochę opanował, chłopcze?

Zastępca dyrektora CIA umilkł na te słowa i wziął głęboki oddech. Rzeczywiście, Holtzman był tu najmniej winien.

- Mów dalej, już nie wrzeszczę.

- Jeżeli ktoś prowadzi dochodzenie, to na pewno nie Biuro.

- Bez kitu.

- Masz na to moje słowo - zapewnił Ryana Murray.

- W takim razie w porządku, Dan - odezwał się Ryan spokojniejszym tonem. Wiedział, że jeśli nie zawiniło FBI ani służba dochodzeniowa CIA, doniesienia o śledztwie musiały być zmyślane.

- Ale kto mógł o tym wszystkim chlapać prasie?

- Kto mógł? - Jack roześmiał się sarkastycznie. - Dziesięciu albo piętnastu kongresmenów, prócz nich jeszcze z pięć osób w Białym Domu, u mnie w Langley następnych dwadzieścia albo i czterdzieści. - W takim razie reszta artykułu może być zwyczajną zasłoną dymną. A może ktoś chce zrobić komuś koło pióra. - Ostatnie zdanie Murraya brzmiało nie jak pytanie, lecz stwierdzenie. W ocenie Murraya co najmniej jedna trzecia przecieków do prasy miała na celu załatwienie prywatnych porachunków. - Źródło przecieku na pewno poufne.

- Ej, nie zapominaj, że ta linia nie jest aż tak bezpieczna.

- Już nic nie mówię. Posłuchaj, spróbuję po cichu, nieoficjalnie wybadać Holtzmana. To odpowiedzialny facet, fachura, da się lubić. Porozmawiamy z nim na osobności i damy mu delikatnie do zrozumienia, że wypisując takie rzeczy szkodzi naszym ludziom i metodom.

- Musiałbym poprosić Marcusa o zgodę.

- A ja pogadać o tym z Billem, ale Bill na to pójdzie.

- Dobra, idę prosto do dyrektora, zaraz do ciebie oddzwonię. - Ryan odłożył słuchawkę i wrócił do sąsiedniego gabinetu.

- Już czytałem - przywitały go słowa Cabota.

- W FBI nie wiedzą nic o żadnym śledztwie, u nas też nie. Możemy wywnioskować, że te doniesienia o skandalach to zwyczajny pic. Gorzej, że ktoś puścił w obieg informacje od ŻAGLA. Od takich przecieków giną agenci.

- Co pan proponuje? - zapytał dyrektor.



- Umówimy się, ja i Dan Murray, na prywatną rozmowę z Holtzmanem. Damy mu do zrozumienia, że nastąpił nam na odcisk i poprosimy, żeby poluzował.

- Poprosicie?

- Serio, poprosimy. Nie mamy prawa wydawać dziennikarzom poleceń, przynajmniej jeśli nie od nas biorą czeki - poprawił się Jack. - Nie prowadziłem jeszcze takich rozmów, ale Dan i owszem. To on wpadł na taki pomysł.

- Muszę poprosić na górze o zezwolenie - oświadczył Cabot.

- Co pan opowiada, przecież góra to właśnie my!

- Chodzi o prasę. O takich sprawach musi decydować góra.

- Świetnie, niech pan bierze samochód, wali do Białego Domu i ładnie ich tam poprosi, może się łaskawie zgodzą! - Jack odwrócił się na pięcie i wypadł z gabinetu, zanim Cabot zdążył spurpurowieć na tę obelgę.

Jack, zanim dotarł do swojego gabinetu, poczuł, że drżą mu ręce. Dlaczego ta szuja nie mogła poprzeć go w żadnej sprawie? Wszystko waliło się na głowę. Ryan rąbnął pięścią w blat, czując że razem z bólem wraca mu opanowanie. Na szczęście mała akcja Clarka miała szansę powodzenia. Przynajmniej tyle, lepsza mała operacja niż nic.

Lepsza? Niewiele lepsza. Jack spojrział na oprawne zdjęcie swojej żony i dzieci.

- Kurwa żesz mać - zaklął w duchu. Nie mógł liczyć na poparcie Cabota w jakiegokolwiek sprawie, zaniedbał dzieci, a na dodatek nie mógł ostatnio uchodzić za wzorowego męża.

Liz Elliot nie kryła przed sobą zadowolenia, czytając artykuł Holtzmana. Dziennikarz wywiązał się z zadania co do słowa. Jak łatwo manipulować tą zgrają! Świadomość ta, choć przyszła może zbyt późno, odsłaniała przed Liz Elliot zupełnie nowe perspektywy. Skoro Marcus Cabot był tak chwiejny i bez żadnego oparcia wśród biurokracji CIA, nim także mogła Liz manipulować do woli. Prawda, że to już coś?

Usunięcie Ryana ze stanowiska nie było teraz kwestią zemsty, choć miło jest działać z prostych pobudek. To właśnie Ryan odpowiedział kilka razy odmownie na rozmaite prośby Białego Domu, to właśnie on bez porozumienia z nią konsultował się z Kongresem na temat wewnętrznych spraw kraju... To właśnie on wzbraniał Liz Elliot bliższego dostępu do CIA. Gdyby usunąć go z drogi, mogłaby wydawać rozkazy, ukryte w postaci "propozycji", które Cabot wypełniałby następnie co do joty bez najmniejszego sprzeciwu. Dennis Bunker zachowałby wprawdzie fotel sekretarza obrony i swoich kretyńskich futbolistów, a Brent Talbot kierownictwo Departamentu Stanu, ale za to ona, Elizabeth Elliot, zapanowałaby niepodzielnie nad całym aparatem bezpieczeństwa; zwłaszcza że to jej słuchał się prezydent, we dnie i w nocy.

Zadzwiećwał telefon.

- Przyszedł dyrektor Cabot.

- Proszę wpuścić. - Liz wstała i podeszła do drzwi. - Jak się masz, Marcus.

- Witam naszą doktor Elliot.

- Co cię do nas sprowadza? - Liz Elliot wskazała Cabotowi miejsce na kanapie.

- Ten artykuł w gazecie.

- Ach, widziałam go już - rzekła współczującym tonem doradczynie do spraw bezpieczeństwa.

- Autor przecieku śmiertelnie naraża cenne źródło informacji.

- Przecież wiem. Ktoś od was, prawda? Tak się domyślam z tych doniesień o wewnętrznym dochodzeniu.

- Nie prowadzimy wcale dochodzenia.

- Naprawdę? - zdumiała się Liz Elliot, skubiąc palcami błękitny fular. - W takim razie kto?

- Nie mamy pojęcia, Liz - przyznał Cabot z miną jeszcze bardziej zakłopotaną, niż się spodziewała. Przyszła jej do głowy zabawna myśl, że Cabot być może obawia się śledztwa w swojej sprawie. Swoją drogą, ciekawy pomysł. - Chcemy odbyć rozmowę z Holtzmanem.

- Jak to, rozmowę?

- Razem z FBI. Pogadamy z nim, oczywiście nieoficjalnie, i wytłumaczymy, że pisze rzeczy nieodpowiedzialne.

- Kto wpadł na taki pomysł, Marcus?

- Ryan z Murrayem.

- Co ty powiesz? - Liz Elliot uczyniła pauzę, jak gdyby rozważała sprawę. - Moim zdaniem to, bardzo zły pomysł. Wiesz, jacy są nasi dziennikarze. Lubią, jak ich głaskać, ale jeśli pogłaskasz któregoś pod włos... Hmm. Jeśli chcesz, sama się zajmę tą sprawą.

- Tu nie ma żartów. ŻAGIEL to nasza najważniejsza wtyczka. Kiedy się go zdenerwowało, Cabot powtarzał w kółko to samo.

- Wiem o tym. Ryan nie zostawił nam co do tego cienia wątpliwości podczas narady, wtedy kiedy byłeś chory. Nadal nie udało się wam potwierdzić jego raportów?

- Nie. - Cabot potrząsnął głową, dodając wagi swoim słowom. - Jack specjalnie pojechał do Anglii poprosić Brytyjczyków, żeby też przewąchali sprawę, ale nie spodziewamy się szybkiej odpowiedzi.

- Powiedz, co chciałbyś przekazać przeze mnie Holtzmanowi?

- Może powiedz mu, że naraża bardzo ważnego agenta. W Rosji za takie rzeczy zabijają, sprawa może mieć poważne reperkusje polityczne - oznajmił Cabot.

- Zgadza się, wpadka mogłaby wstrząsnąć moskiewską sceną polityczną, prawda?

- O ile ŻAGIEL pisze nam prawdę, w ZSRR szykuje się olbrzymia czystka. Jeśli ujawnimy, ile wiemy na ten temat, narazimy go jako informatora. Nie zapominaj, że...

- Że Kadyszew to w razie czego nasze ostatnie oparcie - przerwała Liz Elliot. - Nie zapominam o tym, tak jak nie zapominam, że jeśli wpadnie, możemy pozostać bez oparcia. Uważam, że postawiłeś sprawę bardzo jasno, Marcus. Dziękuję ci, sama się tym wszystkim zajmę.

- Tak chyba będzie najlepiej - powiedział Cabot po dłuższym wahaniu.

- Świetnie. Miałeś mi dziś jeszcze coś do zakomunikowania?

- Nie, przyjechałem specjalnie w sprawie przecieku.

- Co do mnie, uważam, że pora ci coś pokazać. Coś, nad czym sami pracujemy od pewnego czasu. Wyjątkowo poufna sprawa - przestrzegła jeszcze. Cabot w mig pojął, że to nie żarty.

- Co tam masz? - zapytał ostrożnie.

- Materiał jest absolutnie poufny - przestrzegła go jeszcze raz Liz Elliot, podnosząc z biurka dużą żółtą kopertę. - Absolutnie poufny, Marcus. Ani słowa poza obrębem tego budynku, zgoda?

- Zgoda! - oświadczył zaciekawiony dyrektor CIA.

Liz Elliot otworzyła kopertę i wręczyła Cabotowi kilka fotografii. Cabot przejrzał je pospiesznie.

- A ta kobieta?

- Carol Zimmer, wdowa po jakimś lotniku, zabił się nie tak dawno temu. - Liz Elliot przytoczyła jeszcze kilka szczegółów.

- Żeby Ryan miał boki? Niech mnie kule biją!

- Znasz może jakiś sposób, żeby zdobyć więcej informacji w samej Agencji?

- Jeśli masz na myśli inwigilację bez wzbudzania podejrzeń Ryana, to chyba się nie uda -

oświadczył z miejsca Cabot - Jego oficerowie ochrony to Clark i Chavez. Nie da rady. Trzymają się razem. Chciałem powiedzieć, że to trójka dobrych przyjaciół.

- Ryan przyjaźni się z agentami ochrony? Poważnie? - W głosie Liz Elliot pobrzmiwało autentyczne niedowierzanie. Równie dobrze można by przecież czulić się do mebli.

- Ten Clark to stary agent z oddziałów specjalnych. Chavez to młodzik, najął się jako ochroniarz, żeby skończyć studia wieczorowe, potem też chce do oddziałów specjalnych. Przeglądałem ich teczki. Za parę lat Clark idzie na emeryturę, do tego czasu zostawiliśmy go dla świętego spokoju na etacie oficera ochrony. Ma na koncie parę naprawdę ciekawych spraw. Porządny człowiek i dobry oficer.

Liz Elliot nie spodobały się takie słowa, lecz zmilczała, wnioskując z uwag Cabota, że i tak niewiele wskóra. - Chcemy odsunąć Ryana na boczny tor.

- Moim zdaniem, to nie takie proste. W Kongresie przepadają za nim.

- Sam powiedziałeś, że nie możesz z nim dojść do ładu.

- Dobrze, ale jak to przedstawić w Kongresie, żeby uwierzyli? Sama wiesz, że się nie bardzo tak da. Chcesz się go pozbyć? Najlepiej, jeśli prezydent poprosi go o rezygnację ze stanowiska.

Liz wiedziała jednak, że i na to Fowler nie uzyska zgody Kongresu. Zrozumiała w jednej chwili, że nie będzie miała wielkiej pociechy z Cabota. Wcale zresztą na to nie liczyła. Dyrektor CIA był za miękki.

- Jeśli chcesz, sami przejmujemy całą sprawę.

- Może to dobry pomysł. Niech się ktoś dowie w Langley, że sam się przyczyniłem, zaczną szeptać, że to z zawiści... Nie mogę ryzykować - zgodził się Cabot. - Trzeba dbać o morale.

- Świetnie. - Liz Elliot wstała, na co Cabot także się podniósł, i dodała: - Dziękuję, że się fatygowaleś:

Dwie minuty później siedziała znów na obrotowym krześle z nogami na szufladzie biurka. Wszystko szło świetnie, dokładnie jak zaplanowała.

- Robię się coraz lepsza...

- Co znowu?

- Ten artykuł ukazał się dziś rano w Waszyngtonie - oznajmił Gołowko. W Moskwie była już siódma wieczór, niebo pociemniało i nabiegło chłodem, jak to w Moskwie. Myśl, że musi donieść o artykule w amerykańskim dzienniku, także nie zagrzewała zastępcy przewodniczącego KGB.

Andriej Iljicz Narmonow wziął podane mu przez Gołowkę tłumaczenie artykułu i przestudiował je. Kiedy skończył, pogardliwie cisnął obie kartki na biurko.

- Co za bzdury mi tu przynosicie?

- Holtzman to w waszyngtońskiej prasie poważna figura. Ma dostęp do czołówki polityków z ekipy Fowlera.

- A nie zajmuje się przypadkiem beletrystyką, jak nasze pismaki?

- Naszym zdaniem, nie. Uważamy, że ton artykułu wskazuje na informacje z Białego Domu.

- Coś takiego? - Narmonow wydobyl chusteczkę i wydmuchał nos, przeklinając katar, który zstąpił na niego wraz z nagłą odmianą pogody. Jeżeli nie mógł sobie na coś pozwolić, to właśnie na chorobę, nawet bląhą. - Nie wierzę w ani jedno słówko. Osobiście rozmawiałem z Fowlerem o trudnościach z rozbiórką rakiet, reszta artykułu to zwykłe politykierstwo. Co z tego, że musiałem wziąć za twarz tych zapaleńców w mundurach, którzy z własnej inicjatywy zaczęli pacyfikować Bałtów? Amerykanie też męczą się z generalicją! W głowie się nie mieści, że mogą brać poważnie takie brednie. Wywiad dawno im przecież przekazał, jak sprawy mają się w rzeczywistości:

dokładnie tak, jak powiedziałem Fowlerowi!

- Towarzyszu prezydencie - Gołowko ugryzł się w język. Za nic nie mógł pozbyć się nawyku mówienia per "towarzyszu". - U nas też znajdzie się dosyć ugrupowań, które nie wierzą Amerykanom, więc i w Waszyngtonie niemało jest takich, którzy nas nienawidzą. Wszystkie zmiany przyszły przecież bardzo niedawno i nagle; dla wielu ludzi zbyt nagle, by potrafili się przestawić. Nie wykluczam, że wśród amerykańskich polityków znajdą się tacy, którzy uwierzą w artykuł.

- Fowler to zarozumialec i tchórz, chociaż przed innymi odgrywa twardego mężczyznę. Ma mnóstwo kompleksów, ale nie jest durniem, a tylko dureń uwierzy w ten artykuł, szczególnie po spotkaniu i rozmowie ze mną.

Narmonow zwrócił Gołowce tłumaczenie artykułu.

- Mój dział analiz mówi co innego. Naszym zdaniem, Amerykanie naprawdę gotowi są w to wszystko uwierzyć.

- Podziękujcie tym z analiz za fatywę, ale ja uważam inaczej.

- Jeżeli Amerykanie dostają takie informacje, może to tylko oznaczać, że mają wtyczkę w naszych władzach.

- Nie mam cienia wątpliwości, że nawsadzali nam szpiegów. My też nie byliśmy im dłużni, nieprawdaż? Ale znów, nie sądzę, by w tym wypadku chodziło o szpiega, z bardzo prostej przyczyny, a mianowicie: żaden szpieg nie mógłby zameldować o czymś, czego nigdy nie powiedziałem. Zgoda? Nie mówiłem nikomu nic podobnego, bo to po prostu nieprawda. Jak postępujemy ze szpiegiem, jeśli nam nakłamię?

- Zaczynamy się na niego gniewać - zapewnił prezydenta Gołowko.

- Myślę, że Amerykanie wyznają taką samą zasadę. - Narmonow namyślał się przez chwilę, po czym dodał z uśmiechem: - Wiecie, z czym możemy tu mieć do czynienia?

- Moje biuro jest zawsze otwarte na sugestie.

- Wczujcie się w rolę polityka. Ten artykuł może być po prostu objawem tarć wewnątrz waszyngtońskich władz, a nasza rola jest tylko przypadkowa.

Gołowko zastanowił się nad tym wytłumaczeniem.

- Słyszeliśmy w samej rzeczy, że coś się tam dzieje. Dokładniej, że nowa ekipa nie kocha Ryana, zastępcy dyrektora CIA...

- Ryan? Ach, oczywiście, pamiętam go. Wasz godny przeciwnik, Siergieju Nikołajewiczu?

- Tak bym go określił.

- Na dodatek jeszcze honorowy. Dał mi raz swoje słowo i dotrzymał go po dziś dzień.

Gołowko pomyślał, że każdy polityk długo pamięta o podobnych zdarzeniach.

- Co mają w Waszyngtonie do Ryana? - zaciekał się Narmonow.

- Podobno niezgodność charakterów.

- Nietrudno mi w to uwierzyć. Przy próżności naszego Fowlera... - Narmonow wznosił ramiona do góry. - Ot, i macie. Co, dobry byłby ze mnie analityk dla waszych służb?

- Pierwszorzędny - przytaknął Gołowko. Nie mógł oczywiście powiedzieć nic innego, a co więcej, prezydent podsunął mu myśl, której ludzie z KGB nie rozwinęli do końca w swoich analizach. Z zakłopotaną miną Gołowko opuścił dostojne towarzystwo w osobie głowy państwa. Choć dezercja przewodniczącego KGB Gierasimowa - przygotował ją i przeprowadził ten sam Jack Ryan - nastąpiła dobrych kilka lat temu, od tamtej pory zamorska działalność KGB kulała. W Stanach Zjednoczonych wpadło sześć kompletnych siatek szpiegowskich, osiem następnych w Europie Zachodniej. Dopiero od niedawna na ich miejscu pojawiły się nowe organizacje, co sprawiało, że KGB z najwyższą trudnością zdobywało informacje o pracy amerykańskiego rządu. Na osłodę musiał

Gołowce wystarczyć fakt, że KGB odczytywało coraz większe fragmenty szyfrowanych depeesz amerykańskich służb dyplomatycznych i wojska; w dobrym miesiącu udawało się wyłapać cztery do pięciu procent wszystkich wiadomości. Łamanie szyfrów nigdy jednak nie zastąpi działalności żywych agentów. W Waszyngtonie działy się tymczasem bardzo dziwne rzeczy. Co dokładnie, tego Gołowko nie wiedział. Niewykluczone, że prezydent ma rację mówiąc, że wieści z artykułu to tylko kręgi na powierzchni wody, oznaczające, że w głębinach toczy się walka o władzę. Mogło jednak chodzić o coś zupełnie innego. Stan ogólnej niewiedzy nie ułatwiał Gołowce zadania.

- Zdążyłem akurat w sam czas - ucieszył się Clark - Opukiwali nam dzisiaj bryczkę?

- Jeśli dziś środa... - zaczął Jack. Co tydzień jego samochód służbowy przechodził kontrolę, mającą wykryć ewentualne urządzenia podsłuchowe.

- Czyli mogę mówić bez obawy?

- Tak.

- Chavez miał rację, że to nic trudnego, kwestia wsunięcia komu trzeba małej mordidy. Facet, który zwykle sprząta samolot, zachoruje w oznaczony dzień, a nas dwóch przydzielą do obsługi boeinga. Będę się bawił w pokojówkę, wyszoruję umywalki i kible, uzupełnię bar i w ogóle. Jutro będzie pan miał na biurku wstępną ocenę akcji, ale już dziś powiem krótko: tak, potrafiemy wszystko zorganizować, a ryzyko wpadki jest minimalne.

- Wiesz, co będzie, jeśli się nie uda?

- A, pewnie. Skandal na międzynarodową skalę, dla mnie zwolnienie na wcześniejszą emeryturę. Nic mi to nie przeszkadza, mogę iść na emeryturę, kiedy zechcę. Byłoby mi tylko żal Dinga, bo chłopak zapowiada się naprawdę doskonale.

- A jeśli ktoś was nakryje?

- Wytlumaczę moją najlepszą hiszpańszczyzną, że namówił mnie do tego jeden japoński dziennikarz, zapłacił mi mnóstwo pesos, żebym podłożył nadajnik. Na tym polega cała sztuczka; Japończycy nie będą rozdmuchiwać sprawy, jeżeli pomyślą, że zrobił to ktoś od nich. Utrata twarzy, co sobie pomyślą inni, i tak dalej.

- Z ciebie, John, kawał cwane go sukinsyna.

- Ojczyzna żąda poświęceń - skwitował to ze śmiechem Clark. Kilka minut później, zjeżdżając z autostrady, zauważył:

- Mam nadzieję, że się nie spóźnimy.

- Miałem dziś w pracy urwanie łba.

- Widziałem, co napisali w gazecie. Co my na to?

- Biały Dom ma porozmawiać z Holtzmanem, namówią go, żeby się odczepił.

- Któryś ptaszek skalał własne gniazdko?

- Nie u nas, wiem tylko tyle. W FBI też nie.

- Zasłona dymna, żeby coś załatwić?

- Na to wygląda.

- Zastrane podchody - podsumował Clark, zajeżdżając przed sklepik Zimmerów.

Okazało się, że Carol poszła już do domu, żeby pozmywać po obiedzie. Na choince w dużym pokoju Zimmerów płonęły żaróweczki. Clark przynosił z bagażnika kolejne prezenty, z których część Jack kupił jeszcze w Anglii. Clark i Nancy Cummings pomogli je ładnie zapakować, jako że Jack był w tej sztuce beznadziejny! Niestety, kiedy przekroczyli próg, przywitał ich rzewny płacz.

- Nic się nie stało, doktorze - oświadczył Ryanowi w kuchni jeden z dzieciaków. - Jackie miała przygodę. Mama jest z nią w łazience.

- Aha - Jack poszedł w tamtą stronę i zastukał w uchylone drzwi.

- Okay, okay, można wejść - usłyszał głos Carol.

W łazience Jack ujrzał kobietę, pochyloną nad wanną. Siedząca w wodzie dziewczynka wyla jednostajnie, jak każde dziecko, które wie, że nabroiło. Na glazurze podłogi leżało dziecięce ubranko, a w całym po mieszczeniu biła w nos woń kwiatnych płatków.

- Co się stało?

- Jackie myślała, moje perfumy - jej perfumy, takie same, wylała flakon, cały, cały flakon... - powiedziała szorując córeczkę Carol.

Ryan podniósł z podłogi koszulkę.

- Rzeczywiście, to się czuje.

- Cały flakon! Taki, taki drogi! Niegrzeczna dziewczynka!

Płacz Jacqueline zabrzmiał jeszcze żałośniej. Na pewno dostała klapsa, co nie ucieszyło wcale Ryana, który w razie potrzeby umiał zaprowadzić dyscyplinę wśród własnego potomstwa, lecz nie lubił przyłapywać innych rodziców na tym samym. Była to jedna z jego nielicznych słabostek. Przenikliwy zapach nie zniknął, nawet kiedy Carol wyjęła najmłodszą pociechę z wanny.

- Ależ się niesie ten zapach! - nie mógł się nadziwić Jack. Przytulił dziewczynkę, co jednak nie uspokoiło jej na tyle, by przestała płakać.

- Osiemdziesiąt dolarów! - dodała jeszcze Carol, której minął już gniew. Przy swoim doświadczeniu w chowaniu dzieci wiedziała aż za dobrze, że psoty są nieodłączną częścią życia. Jack zaniósł dziewczynkę do dużego pokoju. Widok sterty prezentów sprawił, że płacz ucichł natychmiast.

- Za dużo, a wy za dobrzy - skomentowała to Carol.

- O co chodzi, akurat miałem okazję, kupić parę drobiazgów, zgoda?

- Wy w Boże Narodzenie każdy ze swoją rodziną, nie tutaj, to dlaczego?

- Wiemy, że ze swoją, ale co to za Gwiazdka bez gwiazdkowych zakupów?

Clark wniósł w tejże chwili ostatnią porcję prezentów, tym razem od siebie. Jack pochwalił go w myślach. Ach, ten Clark.

- Ale my, my nic wam nie damy? - zmartwiła się Carol Zimmer.

- Jak to: nic? Jackie już mnie porządnie wyściskała.

- To teraz mnie - zaczął się dopraszać Clark.

Jack podał mu Jackie. Sytuacja była zabawna, bo wielu ludziom jedno spojrzenie na Clarka kazało mieć się przed nim na baczności, podczas, gdy dzieci Carol Zimmer traktowały go niczym olbrzymiego pluszowego niedźwiedzia. Jeszcze kilka minut i zrobiło się późno.

- Ładnie, że też im coś przywiozłeś - odezwał się Jack do agenta, kiedy odjeżdżali.

- Żaden kłopot. Wie pan, jaka to uciecha kupować dzieciakom prezenty? Sto razy wolę zabawki od tych biustonoszy z wysp Bali. Maggie chce na gwiazdkę właśnie taki, wpisała mi na listę: seksowny biustonosz w stylu z wysp Bali. Niech to grom spali, jak można prosić własnego ojca, żeby wszedł do domu towarowego i kupił coś podobnego swojej córce?

- Na lalkę Barbie już za duża.

- A szkoda, doktorze, wielka szkoda.

- W takim biustonoszu... - Jack uśmiechnął się na samą myśl.

- Niech no ją przyłapię na rozbieranym randkach, przerobię tego jej amanta na pasztet.

Ryan roześmiał się na cały głos, choć wiedział, że dobrze mu się śmiać. Jego córka wolała na razie lalki. Pewnie, ciężko będzie się z nią rozstać, oddać ją w opiekę komuś innemu. Clarkowi przychodziło to zapewne jeszcze ciężiej.

- Jutro o zwykłej porze?

- Aha.

- No to dobranoc.

Jack wkroczył w progi domostwa za pięć dziewiąta. Kolacja czekała na zwykłym miejscu. Nalał sobie, jak zawsze, kieliszek wina, przełknął odrobinę, zdjął płaszcz i odwiesił go do szafy. Potem ruszył na górę, żeby się przebrać. Uśmiechnął się po drodze do Cathy, która schodziła właśnie do kuchni, lecz nie ucałował jej na przywitanie. Był zbyt zmęczony nawet na takie gesty. Ot, i właśnie. Gdyby tak znaleźć trochę czasu na odpoczynek... Clark ma rację, parę dni urlopu, pełny relaks, i Wszystko będzie dobrze. Jack powtarzał to sobie, przebierając się z garnituru.

Cathy otworzyła szafę, żeby z wewnętrznej kieszeni swojego płaszcza wydobyć kilka ankiet medycznych. Już miała zamknąć drzwi, gdy nagle zorientowała się, że coś jest nie tak. Zdziwiona wsunęła głowę do wnętrza szafy. Po chwili wiedziała już i węsząc nosem, szukała źródła zapachu. Komuś, kto nie widział wyrazu jej twarzy, scena mogła wydawać się komiczna. Znalazła wreszcie: elegancki płaszcz Jacka z wielbłądziej wełny. Kupiła mu go sama rok temu.

Jej perfumy miały inny zapach.





# SCALANIE

Przed montażem bomby trzeba było zakupić jeszcze kilka przyrządów. Cały długi dzień zajęło im mocowanie ciężkiego bloku zużytego uranu z elektrowni w dalekim zakamarku wewnątrz pancerza.

- Wiem, jakie to wszystko żmudne - Fromm miał ton niemalże przepaszający. - W Ameryce i innych krajach jest do tego specjalne oprzyrządowanie, platformy, narzędzia, ludzie montują kolejno takie same głowice, a my musimy sobie radzić bez tego.

- W dodatku musimy zachować przy montażu równą dokładność, komendancie - przypomniał Hosni.

- Mój młody przyjaciel ma słuszość. Fizyka dotyczy wszystkich nas jednakowo.

- Nie będę wam w takim razie przeszkadzał - rzekł Kati.

Fromm natychmiast powrócił do przerwanej czynności. W myślach przeliczał już pieniądze, jakie otrzyma, lecz nadal pochłaniało go przede wszystkim zasadnicze zadanie. Nad konstrukcją "fizycznych" komponentów bomby pracowała tylko połowa palestyńskich techników. Reszta w tym samym czasie zajęła się wyrobem pozostałych części mechanizmu, zwłaszcza metalowych kołysek z mocnej nierdzewnej stali, mających podtrzymywać poszczególne elementy we wnętrzu bomby. Każdą przegrodę i podstawę trzeba było przytwierdzić do pancerza w odpowiedniej kolejności. Bomba była znacznie bardziej skomplikowana niż większość mechanizmów, a tym samym przy montażu obowiązywał ścisły porządek czynności. Zadanie nie przerastało jednak ich sił, ze względu na znakomity projekt i dokładność obróbki części. Nawet sami operatorzy maszyn nie wierzyli własnym oczom, gdy się przekonali, że wszystkie elementy znakomicie do siebie pasują. Choć między sobą nazywali Fromma rozmaicie, a niektóre z ich określeń były niesłychanie barwne i bogate, wszyscy zgadzali się co do tego, że Niemiec jest nieludzko zdolnym projektantem. Najtrudniej było zamocować w środku poszczególne płytki uranu. Montaż części z lżejszych i bardziej miękkich materiałów nie sprawiał już kłopotu.

- Jaka jest procedura przy ładowaniu bomby trytem? - zapytał Hosni.

- Zostawimy to sobie, oczywiście, na sam koniec - zaczął Fromm, podnosząc się z suwmiarką w ręku.

- Ale wystarczy podgrzać akumulator i oddestylować gaz, prawda?

- Owszem - przytaknął Fromm. - Z tym, że... Nie, nie! Nie tak!

- Zrobiłem coś źle?

- Tę część trzeba zawinąć do środka - odpowiedział Fromm technikowi i podszedł do niego, by zademonstrować właściwy sposób. - O, właśnie tak, rozumiesz?

- Już rozumiem. Dziękuję.

- Te owalne płyty muszą pójść na to miejsce...

- Tak, dziękuję, teraz już będę wiedział.

- Wyśmienicie. Chodź tu i przyjrzyj się - Fromm przywołał Hosniego i wskazał mu dziewiętnaście wklęsło-wypukłych płytek z rozmaitych materiałów, włożonych jedna w drugą. - Rozumiesz teraz, jak to będzie działać? Energia ładunku pierwotnego uderzy w płytki, niszcząc je jedną po drugiej, lecz zarazem...

- Już wiem. Prawda, że łatwiej obejrzeć model niż wyobrazić sobie wszystko na podstawie wzorów?

Budowa tej części bomby zasadzała się na fakcie, że choć fale świetlne mają zerową masę, posiadają pęd i w tym sensie nie są bezpostaciowym "światłem", lecz energią (która tak czy inaczej występuje w postaci fotonów). Uderzenie energii miało rozpylić jedną po drugiej kolejne eliptyczne powierzchnie, z których każda powinna wówczas odbić drobną cząstkę otrzymanego impulsu w inną stronę, potęgując dawkę, jaką miał otrzymać ładunek wtórny.

- Jaki hojny budżet energetyczny - po raz kolejny zdumiał się Hosni. Niemiec wzruszył ramionami.

- Owszem, inaczej się nie da. Kiedy nie sposób przeprowadzić prób, trzeba projektować z zapasem. Pierwszą bombę amerykańską, a właściwie drugą, tę zrzuconą na Hiroszimę, także zbudowano z zapasem, bez testów. Marnowało się w niej mnóstwo materiału, bomba miała koszmarnie niską sprawność, ale zadziałała, dzięki zapasowi mocy. Gdybyśmy mogli przeprowadzić serię prób...

Gdyby Fromm mógł przeprowadzić serię prób, poznałby skutki działania swojej konstrukcji, mógłby więc dokładnie określić ilość energii niezbędną do wybuchu, pokierować nim, sprawdzić niezawodność poszczególnych części, ulepszyć co trzeba i zmniejszyć wymiary niepotrzebnie masywnych elementów. Amerykanie, Rosjanie, Brytyjczycy i Francuzi zajmowali się tym wszystkim od długich dziesięcioleci, wciąż ulepszając swoje modele, zwiększając ich niezawodność i sprawność, a tym samym miniaturyzując je i zmniejszając koszt każdej bomby. Fromm uważał tę dziedzinę za szczyt sztuki inżynierskiej i był niezmiernie wdzięczny losowi, że po długich latach mógł sam popróbować w niej szczęścia. Jego model był prymitywny i ciężki, a projekt pozostawiał wiele do życzenia. Bomba będzie działać, tego Fromm był najzupełniej pewien, lecz gdyby mieć więcej czasu, można by obmyślić wszystko o wiele lepiej...

- Rozumiem, oczywiście, że ktoś o twoim talencie mógłby z czasem zmniejszyć mechanizm, powiedzmy, do rozmiarów wiadra.

Nie był to mały komplement.

- Pochlebiasz mi, Ibrahimie. Może nie aż do takich rozmiarów, ale na pewno na tyle, żeby zmieścić bombę w przedniej części rakiety.

- Gdyby nasi iraccy bracia zaczekali jeszcze trochę...

- Izrael zniknąłby z powierzchni ziemi. Ale Irakijczycy okazali się za głupi, i tyle.

- Najwyżej niecierpliwi - sprostował Hosni, w myślach przeklinając zapaleńców z Bagdadu.

- W tych sprawach trzeba kalkulować na zimno. Musimy się kierować logiką, a nie emocjami.

- Słusznie.

Ahmed czuł się coraz gorzej. Nie ukrywał tego przed kolegami, prędko też zwolnił się i poszedł szukać pomocy u osobistego lekarza komendanta. Tak polecił mu sam Kati. Ahmed unikał dotąd medyków jak zarazy. W walce nieraz przyszło mu oglądać śmierć i rany, lecz sam wychodził zawsze cało. Wolałby jednak ranę postrzałową od tej dziwnej niemocy. Dziura od pocisku czy odłamku to nic niezwykłego, lecz jak nazwać tę nagłą i tajemniczą chorobę, która bez ostrzeżenia zamieszkała w ciele?

Lekarz wysłuchał Ahmeda, zadał parę pytań, rzeczywiście nawet niegłupich i uczeplił się faktu, że pacjent pali papierosy. Bojownik potrząsnął głową i skrzywił się, dając do zrozumienia, że papierosy nie mają nic wspólnego z jego stanem. Co za bzdury! Ahmed nie dodał nawet, że codziennie biega sześć kilometrów, czy przynajmniej biegał, do niedawna.

Doktor kazał się Ahmedowi rozebrać i osłuchał go stetoskopem. Pacjent zauważył natychmiast, że jego dobroczyńca przybiera nagle obojętną minę, jak bojownik, który nie chce zdradzić

prawdziwych uczuć.

- Wdech! - nakazał lekarz. Ahmed posłuchał. - Powoli, wydech. Stetoskop zmienił pozycję.
- Jeszcze raz, wdech! - Doktor sześciokrotnie powtórzył badanie.
- I co tam? - zapytał go wreszcie Ahmed.
- Prawdę mówiąc, nie wiem. Muszę was wysłać do specjalisty, kogoś, kto się lepiej zna na płucach.
- Ja nie mogę, nie mam czasu...
- Znajdziecie czas. To nie żarty. Jeśli trzeba, osobiście porozmawiam z komendantem.
- No, dobrze - rzekł Ahmed, powstrzymując się, by nie sychnąć przekleństwami.

Miarą fatalnego położenia Ryana było to, że sam nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje, a objawiało to się choćby już tym, iż chłód i milczenie żony przyjął z wdzięcznością. Mógł w tej sytuacji bez rozpraszania się zająć innymi sprawami. Podejrzewał zresztą, że Cathy sama pojęła, iż trzeba go zostawić w spokoju. Obiecywał sobie zresztą, że wynagrodzi żonie brak uwagi. Pewnie, wynagrodzi jej to zawiązką, jeszcze jak, znów będą razem i w ogóle. Czuł niewyraźnie, że te obietnice są mrzonką, lecz nie dopuszczał tej myśli do świadomości. Spróbował ograniczyć picie, lecz ponieważ miał teraz w domu mniej obowiązków, mógł więcej spać, a żeby zasnąć, musiał się najpierw napić wina. Wiosną, kiedy się zrobi ciepłej, trzeba będzie wrócić do zdrowszego trybu życia. Właśnie, świetny plan. Jack obiecywał też sobie, że będzie biegał, znajdzie chwilę, by podczas południowej przerwy wybiec na alejkę wokół obrzeża terenów CIA w Langley wraz z innymi maniakami kondycji fizycznej. Clark będzie najlepszym trenerem. Clark, jego opoka. Tak, lepiej Clark niż Chavez, który jest wiecznie w świetnej formie i śmieje się w żywe oczy tym, którzy przestali o nią dbać. Pewnie głupie przyzwyczajenia z lat służby w piechocie. Jack dałby sobie głowę uciąć, że kiedy Ding Chavez zacznie dobijać trzydziestki, zmądrzeje jak inni. Trzydziestka była tą magiczną liczbą, która leczyła ze złudzeń, każąc wreszcie zrozumieć, że nie jest się wiecznie młodym, a wszystko ma swoje granice.

Siedząc za biurkiem, Jack Ryan wspominał nieudane święta. Przypadały w połowie tygodnia, co dla dzieci oznaczało prawie dwa tygodnie wakacji, lecz zarazem, niestety, odrywały Cathy od pracy zawodowej. Cathy lubiła swoją klinikę, więc chociaż kochała dzieci i była dla nich dobrą matką, wolała poświęcać jak najwięcej czasu swoim pacjentom z John Hopkins. Uczciwie mówiąc, obecny podział obowiązków nie był zbyt sprawiedliwy, Jack musiał sam to przyznać. Cathy piastowała równie poważne stanowisko jak on, lecz mimo to musiała wiecznie zajmować się dziećmi. Inna sprawa, że w Ameryce są tysiące chirurgów ocznych, ba, kilkuset profesorów chirurgii ocznej, lecz tylko jeden zastępca dyrektora CIA, a co za tym idzie... Podział może niesprawiedliwy, lecz konieczny.

Ryan powiedział sobie, że w tych warunkach przydałby mu się jakiś sukces. Czuł, że niepotrzebnie się zgodził, by cholernym dziennikarzem z "Post" zajęła się Liz Elliot, choć z drugiej strony, czegoż można się było spodziewać po tym trutniu, Cabocie? Truteń, i tyle. Cabot lubił zaszczyty, jakie wiązały się ze stanowiskiem, ale widać było, że w pracy nie kiwnie palcem, zwalając wszystko na Ryana. Kiedy szło dobrze, zasługę przypisywał sobie Cabot; kiedy źle, winien był on, Ryan. Może nareszcie się to odmieni. Przygotowania do akcji w Meksyku szły pełną parą pod osobistym nadzorem Jacka, który wyłączył z tej sprawy pion operacyjny. W ten sposób miał przynajmniej pewność, że to jemu przypiszą całą zasługę. Może wtedy poprawi się atmosfera. Jack wydobył teczkę z planem operacyjnym i jeszcze raz, punkt po punkcie, przestudiował każdy szczegół, każdą możliwość wpadki. Plan musiał się powieść, a wtedy... Wtedy buce z Białego Domu nareszcie

zmienia ton.

- Marsz do swojego pokoju! - wrzasnęła Cathy na małego Jacka. Krzyk był rozkazem i jednocześnie przyznaniem się do klęski. Cathy wyszła, czując nagłe łzy w oczach. Wiedziała, że postępuje głupio, krzycząc na dzieci, zamiast porozmawiać wreszcie z mężem, ale... Ale jak? Co mogła mu powiedzieć? A jeżeli - jeżeli to wszystko prawda? Co wtedy? Powtarzała wciąż sobie, że słyszy fałszywe plotki, lecz nawet jej samej trudno było w to uwierzyć. Jak inaczej wytłumaczyć zachowanie Jacka, który jeszcze nigdy w życiu nie sprawił jej zawodu? Cathy wciąż odczuwała dumę na wspomnienie chwil, kiedy Jack z narażeniem życia ratował ją i dzieci, chwil, kiedy sama szła ze ściśniętym gardłem wzdłuż plaży, patrząc, jak jej mąż skrada się ku uzbrojonym napastnikom, kładąc na szali życie całej rodziny. Czy ktoś taki mógłby zatem zdradzać później żonę? Cóż za bezsensowna myśl.

Jakie jednak znaleźć inne wytłumaczenie? Może przestała się podobać Jackowi? Jeżeli tak, z jakiej przyczyny? Czyżby zbrzydła? Czyżby Jack nie wiedział, że Cathy robi w łóżku wszystko, czego można oczekiwać od żony, a nawet jeszcze więcej? Nie jest miło czuć się odrzuconą, gorzej, kiedy się zostało odepchniętą przez męża, który całą męską siłę i wigor kieruje ku innej, obcej kobiecie, amatorce tanich perfum.

Cathy postanowiła postawić sprawę jasno, porozmawiać z Jackiem i dowiedzieć się wreszcie prawdy. Tylko... w jaki sposób? Oto pytanie. Może porozmawiałaby najpierw z kimś z kliniki, na przykład...z psychiatrą? Może fachowa opinia coś by tu zmieniła?

A ryzyko, że hańba wyjdzie na jaw? Że świat dowie się, iż Caroline Ryan, profesor nauk medycznych, śliczna, bystra Cathy Ryan nie potrafi utrzymać przy sobie męża? Zaczną się szeptać dociekania, o co poszło i czego jej brakuje. Wszyscy koledzy z kliniki przytakną oczywiście, że to nie jej wina, lecz zaraz, po chwili dziwnego milczenia, zaczną roztrząsać, czy i Cathy zrobiła wszystko, co do niej należało, czy nie powinna była zorientować się szybciej w sytuacji, bo przecież wiadomo, jak rzadko ruina małżeństwa jest sprawką tylko jednej ze stron, a przecież trudno podejrzewać Jacka Ryana o skoki w bok... Cathy najbardziej ze wszystkiego obawiała się publicznej anatemy, zapominając, że spotykały ją już w życiu groźniejsze sytuacje.

Cała sprawa nie miała sensu, co nie zmieniało faktu, że Cathy była wobec niej bezradna. Wiedziała jednak, że bezczynnością pogorszy tylko stan rzeczy. A może to wszystko pułapka? Czy pozostawał jeszcze inny wybór?

- Czym się tak martwisz, mamó? - zapytała Sally, ściskając w rączkach lalkę Barbie.

- Niczym się nie martwię, kochanie, ale proszę, zostaw mnie na chwilę?

- Jack mówi, że przeprasza. Pyta, czy może już wyjść z pokoju.

- Może, jeżeli obieca, że już więcej nie będzie.

- Hura! - Sally pobiegła na górę.

Czyżby i ich problem dało się rozwiązać tak prosto? Cathy wiedziała, że umiałyby przebaczyć mężowi prawie wszystko. Czy także i to? Nie, tym razem przebaczyć nie było tak łatwo. Nie chodziło tylko o zniewagę, rzecz dotyczyła przecież także dzieci, a dzieci potrzebują ojca, nawet takiego, który je zaniedbuje. Co jest ważniejsze, urażona duma czy dobro dzieci? Choć z drugiej strony, co to za dom, w którym ojciec i matka chadzają różnymi ścieżkami. Takie rozwiązanie mogło się okazać jeszcze gorsze. Cathy wiedziała, że w ostateczności zawsze może znaleźć...

...kogoś nowego? Nowego Jacka?

Rozpłakała się. Płakała z żalu nad sobą, z powodu niemożności podjęcia decyzji, z powodu doznanej urazy. Płacz nie przynosił ulgi, potęgował jedynie ból. Cathy chciała, by Jack zniknął z jej życia, a zarazem, by do niej powrócił. Co zrobić, tego nie wiedziała zupełnie.

- Rozumie pan, oczywiście, że nasza rozmowa jest ściśle poufna - zaczął inspektor śledczy tonem nie znoszącym sprzeciwu. Jego rozmówca był niziutki, otyły, o pulchnych, różowych dłoniach. Sumiasty wąs miał zapewne nadrobić inne niedostatki postury. Rozmówca raczej nie wzbudzał więc respektu, zanim nie spojrzało mu się w twarz i nie uświadomiło, że piwne oczy rejestrują nieomylnie każdy szczegół.

- Dla lekarza poufność to nie nowina - odparł Bernie Katz, oddając inspektorowi urzędowy list - Proszę się tylko streszczać. Za dwadzieścia minut mam obchód.

Inspektora ucieszyło nowe, jakże eleganckie zadanie, choć nie był do końca pewien, czy sprawa jest taka czysta. Chodziło o to, że zdrada małżeńska nie jest w ścisłym rozumieniu tego słowa przestępstwem, choć zwykle sam jej fakt pociągał za sobą ograniczenie dostępu delikwenta do tajemnic państwowych. Trudno się temu dziwić, bo skoro ktoś mógł złamać przysięgę złożoną w kościele, mógł równie łatwo złamać ślubowanie spisane na zwykłym papierze.

Bernie Katz usiadł wygodniej i starał się cierpliwie czekać, co będzie dalej. Cierpliwość nie była jego mocną stroną, bo jako chirurg zwykł podejmować decyzje i natychmiast wcielać je w życie bez oglądania się na innych. Zaczął się więc kiwać na krześle i podkręcać wąsa.

- Jak dobrze zna pan doktor Caroline Ryan?

- Cathy? Pracuję z nią, z przerwami, od jedenastu lat.

- Jak by ją pan w takim razie scharakteryzował?

- Cathy to doskonały chirurg, pod tym względem ma wielki dar podejmowania decyzji i ogromne umiejętności. Jest jednym z najlepszych instruktorów na naszym wydziale. A także moją dobrą przyjaciółką. Ale o co chodzi?

- Przepraszam, ale to ja zadaję pytania.

- Widzę, a jakże. No więc, proszę pytać - ponaglił chłodnym tonem Katz, obserwując śledczego, rejestrując każdy jego gest, minę, wyraz twarzy. Inspektor nie spodobał mu się, delikatnie mówiąc.

- Czy profesor Ryan mówiła coś może ostatnio o... Powiedzmy, o kłopotach w domu czy tego typu sprawach?

- Orientuje się pan, mam nadzieję, że jestem lekarzem, i że obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

- Mam rozumieć, że Caroline Ryan jest pańskim pacjentem?

- Badałem ją w przeszłości. To u nas normalne.

- Jest pan psychiatrą?

Katz prawie wybuchnął na te słowa, bo jak większość chirurgów, łatwo wpadał w złość.

- Przecież zna pan odpowiedź.

Inspektor podniósł wzrok znad notatek i oznajmił rzeczowo:

- W takim razie tajemnica lekarska nie ma tu nic do rzeczy. Proszę więc odpowiedzieć na moje pytanie.

- Nie.

- Co: "nie"?

- Nie, o ile pamiętam, Cathy Ryan nie mówiła niczego podobnego.

- Nie czyniła komentarzy na temat męża, jego zachowania albo zmian w jego zachowaniu?

- Żadnych. Zresztą ja też dobrze znam Jacka i naprawdę go lubię. W mojej ocenie Jack to wzorowy mąż. Ryanowie mają dwójkę kapitalnych dzieci, a co przydarzyło im się kilka lat temu, wie pan lepiej ode mnie, prawda?

- Prawda, ale ludzie się zmieniają.

- Nie Ryanowie. - Uwaga Katza miała nieodwołalność wyroku śmierci.

- Taki pan tego pewien?

- Jestem doktorem. Żyję z tego, że jestem czegoś pewien. To, co pan mi tu wmawia, to bzdury. -

Niczego panu nie wmawiam - oświadczył inspektor, choć wiedział, że kłamie i wiedział, że Katz pozna się na kłamstwie. Nie omylił się w pierwszej ocenie rozmówcy. Katz to nerwus. Nie będzie umiał zachować dla siebie sekretu, zwłaszcza takiego, w który sam nie wierzył. Katz to zapewne także pierwszej klasy lekarz.

- Powróćmy do mojego pierwszego pytania. Czy Caroline Ryan zmieniła się w jakikolwiek sposób, powiedzmy od ubiegłego roku?

- Postarzała się, dokładnie o rok. Ryanowie mają dzieci, dzieci rosną, zawsze jest z nimi urwanie głowy. Wiem, bo sam mam dzieci. Nie dziwię się, że Cathy przytyła o kilo czy dwa, ale to jej nie zaszkodziło, przedtem wyglądała, jakby się głodziła. Co jeszcze? Cathy jest jakby bardziej zmęczona. Dojeżdża z daleka do kliniki, ciężko pracuje, a jeszcze musi się zajmować dziećmi.

- Myśli pan, że to już wszystko?

- Ja się zajmuję oczami, a nie stałością małżeństw. Nie moja działka.

- Skąd przyszło panu do głowy nadmienić o stałości małżeństw? Katz przestał podkreślać wąsa. Podziwiał intuicję przesłuchującego.

Skurwiel musiał ukończyć psychologię... A może to samouk. Gliniarze potrafią jak mało kto czytać w ludzkich myślach.

Nawet w moich? - zdziwił się Katz w duchu, lecz na głos wycedził:

- U osoby zamężnej kłopoty w domu z reguły oznaczają kłopoty małżeńskie. Nie, nie słyszałem z ust Cathy żadnych uwag na ten temat.

- Jest pan pewien?

- Jestem najzupełniej pewien.

- No, dobrze. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas, doktorze. Jeszcze raz przepraszam za kłopot. - Inspektor wręczył Katzowi swoją wizytówkę. - Gdyby pan coś jednak usłyszał, byłbym bardzo wdzięczny za telefon.

- Ale o co chodzi? - zapytał po raz ostatni Katz. - Jeśli chce pan, żebym tu coś pomógł, muszę najpierw wiedzieć. Szpiegowanie ludzi dla zabawy to nie w moim stylu.

- Zdaje pan sobie sprawę, doktorze, że mąż Caroline Ryan zajmuje ważne i nadzwyczaj odpowiedzialne stanowisko. Względy bezpieczeństwa narodowego każą nam pilnować takich ludzi. W pańskiej klinice panują takie same zasady, nawet jeśli nikt nie mówi o nich głośno. Jeśli któryś z chirurgów przyjdzie do pracy na chuchu, zostanie to zauważone, prawda?

- Takie rzeczy nigdy, nigdy się u nas nie zdarzają - przerwał Katz.

- Ale gdyby się zdarzały, zauważyłby je pan?

- Jasne, że tak.

- Miło słyszeć. Jak pan wie, Jack Ryan ma dostęp do najrozmaitszych tajnych informacji. Brak nadzoru nad takimi osobami, jak on, byłby czystą nieodpowiedzialnością z naszej strony. Tymczasem... Doktorze, powtarzam, że to bardzo poufna sprawa.

- Rozumiem to doskonale.

- Tymczasem pewne poszlaki wskazują, że mąż doktor Ryan może... Jego zachowanie może odbiegać od przyjętych norm. Musimy przekonać się, czy to prawda. Rozumie pan? Musimy, i kropka.

- Aha.

- I tylko o to nam chodzi.

- W takim razie zgoda.

- Dziękuję, że zechciał pan nam pomóc. - Inspektor podał Katzowi dłoń i wyszedł.

Dopiero kiedy za śledczym zamknęły się drzwi, Katz pozwolił sobie na rumieniec. W rzeczywistości prawie nie znał Jacka Ryana, spotkał go pięć czy sześć razy na różnych przyjęciach, gdzie miał z nim okazję pożartować i porozmawiać o baseballu, pogodzie oraz polityce międzynarodowej. Jack nigdy nie uchylał się od odpowiedzi, nigdy nie zasunął słów w rodzaju "na ten temat nie wolno mi nic powiedzieć", więc Bernie uznał go za równego gościa. Ryan był też na pewno dobrym ojcem. Ale co racja to racja: Bernie nie miał pojęcia, co może siedzieć w Ryanie.

Wiedział za to doskonale, co siedzi w Cathy, którą znał nie gorzej niż pozostałych lekarzy kliniki. Cathy była uosobieniem wdzięku i talentu. Gdyby któreś z dzieci Katza musiało przejść operację oka, Cathy była jedną z trzech osób na świecie, którym doktor powierzyłby to zadanie. W jego ustach był to najwyższy możliwy komplement. Cathy asystowała mu przy operacjach, on też niejednokrotnie się jej odwzajemniał, u niej też szukał w razie potrzeby fachowej porady. Bernie i Cathy byli parą przyjaciół i parą współników. Gdyby przyszło im kiedyś do głowy porzucić Instytut Wilmera, bez wahania założyliby razem prywatną praktykę, mimo że w medycynie podobne związki są na dłuższą metę jeszcze trudniejsze niż w małżeństwie. Katz wyobrażał sobie nawet, że gdyby nadarzyła się okazja, cjiętnie poprosiłby Cathy o rękę. Kochana dziewczyna. Z pewnością jest świetną matką. Również w klinice wciąż zajmowała się małymi pacjentami, częściej niż inni lekarze, gdyż przy operowaniu dzieci chirurg musi mieć małe ręce - dokładnie takie jak dłonie Cathy, małe, zwinne i niesamowicie sprawne. Cathy była niezwykle serdeczna dla malców, czym zjednała sobie miłość pielęgniarek z oddziału dziecięcego. Prawdę mówiąc, kochał ją cały szpital, a zespół chirurgiczny, którym kierowała, dałby się za nią pokrajać. Nie było na świecie lepszej kobiety niż Caroline.

Kłopoty rodzinne? Jack znalazł sobie kogoś i krzywdzi żony?

- Co za niewdzięczny skurwysyn.

Spóźniał się jak zwykle. Cathy spostrzegła, że tym razem mąż zjawił się grubo po dziewiątej wieczór. Dlaczego nie może przyjść do domu o normalnej godzinie?

Dobre pytanie. Właśnie, dlaczego?

- Cześć, Cath - pozdrowił ją w drodze do sypialni. - Przepraszam, że tak późno.

Kiedy zniknął na górze, podeszła do szafy i powąchała płaszcz. Nic. Zaraz na drugi dzień Jack oddał go do czyszczenia, tłumacząc, że zrobił na nim plamę. Rzeczywiście, plamę. Cathy zatrzęsała się cała.

Co robić?

Poczuła, że zaraz znowu się rozplacze.

Kiedy Jack ruszył z sypialni do kuchni, Cathy siedziała już w swoim fotelu. Nie zauważył wyrazu jej twarzy, nie zwrócił też uwagi na milczenie żony, która siedziała bez ruchu, patrząc niewidzącym wzrokiem w telewizor i szukając w myślach odpowiedzi. Zamiast niej znajdowała w sobie wyłącznie gniew.

Potrzebna jej była porada. Nie chciała przecież dać za wygraną, rozejść się. Na własnej skórze czuła teraz, jak emocje i gniew biorą górę nad miłością i rozsądkiem. Wiedziała, że to niedobry znak i że powinna się temu opierać, lecz nie potrafiła. Gniew wciąż więc tylko narastał. Cathy cicho przeszła do kuchni i ukradkiem nalała sobie alkoholu. W planie na następny dzień nie miała żadnych operacji, więc jeden kieliszek nie zaszkodzi. Jeszcze raz spojrzała na męża, który znów nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Dlaczego? Dlaczego jej nie zauważał? Jakby jej życie i bez tego nie było dość ciężkie. W porządku, lata spędzone razem w Anglii okazały się świetne, Cathy przez pewien

czas uczyła personel w Guy Hospital, podobało jej się to i nie zaszkodziło w otrzymaniu etatu profesorskiego na John Hopkins, ale co do innych stron życia... Jacka nigdy nie było w domu, do cholery! Najpierw wciąż jeździł do Rosji, mieszał się do rokowań rozbrojeniowych i nie tylko do nich, bawił się w szpiega, a jej kazał siedzieć z dziećmi w domu i zaniedbywać pracę. Kilka razy ominęły ją niezmiernie ważne operacje, gdyż nie mogła w porę znaleźć opiekunki do dzieci i musiała zwalić na Berniego zabieg, który powinna wykonać sama.

Cóż takiego robił w tym czasie Jack? Niegdyś Cathy pogodziła się na zawsze z faktem, że nie wolno jej nawet o to zapytać, lecz dziś ponowiła pytanie: co robi Jack? Może śmieje się jej w nos? Może tu i tam funduje sobie upojną noc z piękną agentką, jak w kiepskim filmie? Mogła go sobie wyobrazić, jak w egzotycznej scenerii, w cichym, -romantycznie oświetlonym barku spotyka się z kobietą-szpiegiem i od słowa do słowa...

Cathy rozsiadła się znów przed telewizorem, upiła alkoholu i prawie natychmiast wypluła zawartość do szklanki. Nigdy nie piła dotąd bourbona bez lodu.

Wszystko było jakąś pomyłką.

Caroline wydało się nagle, że w jej głowie wrze wojna między siłami zła i dobra - a może między naiwnością i realnością? Nie wiedziała, jakimi, a co więcej, była zbyt zdenerwowana, by się nad tym zastanawiać.

Dzisiejszy wieczór i tak przecież nie mógł niczego zmienić. Cathy uświadomiła sobie, że właśnie ma okres, więc gdyby nawet Jack chciał się z nią kochać (choć wiedziała, że nie zechce), musiałaby mu odmówić. Dlaczego miał się od niej czegokolwiek dopraszać, skoro radził sobie poza domem? A jeśli poprosi, co odpowiedzieć? Dlaczego miały ją zadowalać resztki, dlaczego nie ona jest najważniejsza?

Następny łyk Cathy upiła ostrożniej.

- Muszę się kogoś poradzić, muszę z kimś porozmawiać. Ale z kim?! -pomyślała. Przyszedł jej do głowy Bernie. Tak, Berniemu mogła zaufać. Porozmawia z nim zaraz po powrocie do kliniki. Jeszcze dwa dni.

- Eliminacje mamy z głowy.

- Nie da się ukryć, szefie - przytaknął trener Szturmowców. - A jak ci leci w Pentagonie, Dennis?

- Mam trochę mniej zabawy niż ty z drużyną, Paul.

- Co kto lubi. Jedni się bawią, inni rządzą.

- Wszyscy chłopcy w formie?

- A jak! Tyle meczów za nami, a kontuzji jakoś nie widać, za to cała drużyna rozkręciła się jak trzeba. Chciałbym jeszcze znów spróbować się z Wikingami.

- Nie ty jeden - rzucił do słuchawki sekretarz Bunker, który rozmawiał ze swojego biura w wewnętrznym kręgu Pentagonu. - Naprawdę myślisz, że powstrzymamy Tony'ego Willsa?

- Co nam szkodzi spróbować. Prawda, jaki to świetny chłopak? Nie widziałem, żeby ktoś tak umiał biegać od czasów Gayla Sayersa. Jak moi obrońcy mają upilnować skubańca?

- Nie wybiegajmy za daleko, ale faktycznie chciałbym za te parę tygodni być w Denver.

- Jasne, Dennis, liczy się tylko ten najbliższy mecz. Nawet nie wiemy jeszcze, kto będzie w naszej grupie. Wolałbym Los Angeles, z tymi nie byłoby żadnego kłopotu - brzmiała opinia trenera. - Potem musielibyśmy tylko dowalić Miami. Trudniejsza sprawa, ale stać nas na to.

- I ja tak myślę.

- Przyślę ci trochę kaset z meczu.



- Doskonale. Pamiętaj, liczy się tylko najbliższy, ale chcę widzieć trzy zwycięstwa.
- Możesz już zapraszać prezydenta do Denver. Wyjdziemy mu na spotkanie. Ten rok należy do San Diego; Szturmowcy idą na całość.

Dubinin przyglądał się, jak woda z otwartych śluz zaczyna kipieć w suchym doku. "Admirał Łunin" był gotowy do rejsu. Nowa pława hydrolokatora spoczywała wraz ze zwiniętym na szpuli holem w obłej gondoli na szczycie stewy rufowej. Remontowcy sprawdzili i wypolerowali śrubę o siedmiu łopatach, odlaną ze stopu brązu i manganu. Kadłubowi przywrócono pełną szczelność. Okręt był gotowy do wyjścia w morze.

Gotowa była również załoga. Dubinin pozbył się osiemnastu poborowych i zastąpił ich taką samą liczbą oficerów. Radykalne zmniejszenie stanu radzieckiej floty podwodnej pociągnęło za sobą redukcję sporej liczby etatów oficerskich. Odesłać tych ludzi do cywila oznaczałoby zmarnować ich umiejętności, zresztą i tak gospodarka cywilna cierpiała na nadmiar siły roboczej. Oficerów skierowano więc na ponowne przeszkolenie i zamustrowano jako ekspertów technicznych na pozostałe okręty podwodne. Przedział hydrolokacyjny na okręcie Dubinina obsadzili więc prawie wyłącznie oficerowie, z wyjątkiem dwóch miczmanów zajmujących się konserwacją i naprawą urządzeń. Oficerowie rzeczywiście okazali się ekspertami w swoim fachu, a co ciekawsze, nie utyskiwali zbyt na utratę dawnego statusu. Okręty typu Akula oferowały jak na radziecką flotę niezwykle wygodne warunki służby, lecz od przytulnych kabin ważniejszy był fakt, iż nowych gości w mesie oficerskiej poinformowano szczegółowo o następnym patrolu i wyczynie, jaki udał się załodze (prawdopodobnie się udał, sprostował Dubinin) w czasie poprzedniego rejsu. W nowych członkach załogi przebudziła się żyłka sportowa. Dla podwodniaka tropienie innych okrętów tego typu stanowiło wyzwanie najwyższej klasy. Nowi byli zgodni, że pokażą, co potrafią.

Zupełnie to samo twierdził komandor, który za cenę niezliczonych długów wdzięczności u kolegów, wymuszając wciąż coś poprzez wstawiennictwo głównego konstruktora stoczni, dokonał cudów w czasie remontu jednostki. Wymieniono więc wszystkie prycze, wyszorowano, całe wnętrze, osiągając chirurgiczną sterylność i pomalowano pomieszczenia w jasne, pogodne barwy. Dzięki kilku sesjom z kwatermistrzami Dubinin zgromadził też najlepsze zapasy żywności, jakimi dysponowała flota. Nakarmiona załoga to zadowolona załoga; zresztą, która załoga nie doceni wysiłków swojego dowódcy? Na tym polegały nowe, zawodowe porządki w radzieckiej marynarce wojennej. Walentin Borisowicz Dubinin wyuczył się rzemiosła u najlepszego nauczyciela w całej flocie i przyrzekł sobie, że stanie się nowym Markiem Ramiusem. Miał najlepszy okręt, najlepszą załogę... W nadchodzącym rejsie udowodni, na co stać radziecką Flotę Pacyfiku.

Jeżeli oczywiście dopisze mu szczęście.

- Wszystkie części już mamy - podsumował Fromm. - Teraz tylko...
- Pozostał tylko montaż mechanizmu. Zauważyłem, że zmieniłeś trochę projekt?
- Tak. W środku będą dwa zbiorniczki trytu. Woląłem skrócić kanał wtrysku. Pod względem mechanicznym nic się nie zmieniło, akurat tu nie musimy dokładnie zgrywać czasu, a próżnia w bombie będzie dodatkową gwarancją działania.
- I łatwiej będzie załadować tryt do środka - zauważył Hosni. - Dlatego zmieniłeś projekt.
- Zgadza się.

Wnętrze mechanizmu wzbudzało w Hosnim skojarzenia z rozmontowanym samolotem z obcej planety. Delikatne, precyzyjnie wykonane części przypominały z wyglądu elementy rodem z lotnictwa, połączone jednak w zaskakujący, przedziwny sposób. Urządzenie jak z filmu

fantastycznego, pomyślał Hosni, na sekundę oddając się próżnym marzeniom. Inna rzecz, że do niedawna bomba wodorowa należała wyłącznie do repertuaru science fiction. Pierwszym, który napisał o broni atomowej, był nie kto inny jak H. G. Wells, wcale nie tak dawno temu.

- Komendancie, byłem u tego lekarza - mówił tymczasem Ahmed w drugim kącie sali.

- I jak tam? Ciągle źle wyglądasz, przyjacielu - Kati przyjrzał się strażnikowi. - Co ci jest?

- Doktor chce mnie wysłać do specjalisty, do Damaszku. Katiemu z miejsca nie spodobał się ten pomysł. Ahmed był jednak towarzyszem broni, który służył w organizacji od lat. Jakże tu odmówić komuś, kto dwukrotnie ocalił życie swojemu dowódcy, raz zasłaniając go nawet własnym ciałem?

- Pamiętaj, Ahmed, że cokolwiek tu robimy...

- Komendancie, prędzej umrę niż zdradzę, gdzie jest baza. Poza tym i tak nie mam pojęcia, co tu robicie. Prędzej umrę.

Nie sposób było wątpić w szczerłość żołnierza. Kati sam wiedział, co to znaczy dla młodego, zdrowego człowieka poważnie zachorować. Nie mógł odmówić podwładnemu opieki lekarskiej, z której sam regularnie korzystał. Gdyby się sprzeciwił, natychmiast utraciłby autorytet wśród swoich ludzi.

- Wyślę z tobą dwóch naszych. Sam ich dobiore.

- Dziękuję, komendancie. Nie gniewaj się, że tak osłabłem.

- Osłabłeś? - Kati potrząsnął Ahmeda za ramię. - Co ty opowiadasz, jesteś najsilniejszy w oddziale! Potrzebujemy cię tu, ale potrzebujemy cię zdrowego. Jedź jutro.

Ahmed skinął głową i wycofał się rakiem do sąsiedniego pomieszczenia, gdyż wstyd mu było za siebie. Dobrze wiedział, że komendant sam stoi w obliczu śmierci. Tyle razy bywał u lekarza, pewnie to rak. Rak czy co innego, komendant uwijał się razem z innymi. Odważny człowiek.

- Na dziś przerwa? - zapytał Hosni.

- Nie - oświadczył Fromm. - Spróbujmy jeszcze godzinkę czy dwie popracować nad otuliną wybuchową. Może uda nam się umocować chociaż część, zanim wszystko zacznie nam lecieć z rąk.

Na widok Katego obaj podnieśli głowy.

- Nadal zgodnie z planem?

- Herr Kati, nie wiem, jaki plan pan obmyślił, ale za to wiem, że zakończymy montaż dzień wcześniej, niż planowałem. Ibrahim zaoszczędził nam dobę swoją pracą z trotylem.

Niemiec wyciągnął w stronę komendanta małą sześciokątną kostkę materiału wybuchowego. Tkwiły już w niej spłonki, od których ciągnął się przewód. Fromm przyjrzał się dwóm następnym kostkom i nachylił się, by umieścić pierwszą z nich w przewidzianym miejscu. Upewnił się następnie, że kostka doskonale pasuje, przyczepił do przewodu znaczek z numerem porządkowym i złożył zwinięty drucik w skrzynce z przegródkami. Kati osobiście przytwierdził drugi koniec przewodu do zapalarki, upewniając się, że liczba na znaczku jest taka sama, jak numer gniazdka w urządzeniu. Fromm także sprawdził połączenie. Cały proces zabrał im cztery minuty. Zawczasu sprawdzili wszystkie elementy elektryczne, lecz teraz nie dało się już powtórzyć tej próby. Pierwotny ładunek bomby został uzbrojony.



# SYNTEZA DANYCH

- Wyszło jednak na moje, Bart - oznajmił Jones, kiedy jechali już na lotnisko.

- Mówisz, że aż tak źle?

- Załoga go nienawidzi. Dał im szkołę, ale wcale sobie tym nie pomógł. Nieważne, co mówią, sam przy tym byłem i wiem. Siedziałem w symulatorze z obsługą hydrolokatora, no i z nim. Nie dałbym się wsadzić z nim na jeden okręt. Prawie na mnie nawrzeszczał.

- Coś ty? - Teraz już nawet Mancuso się zdumiał.

- A tak, bo powiedział coś, co mi się nie spodobało - zupełną bzdurę, szefie - a kiedy zwróciłem mu na to uwagę, trzeba było widzieć jego reakcję. Myślałem, kurwa, że apopleksji dostanie. W dodatku nie miał racji, Bart. Sam przygotowałem tę taśmę. Jeździł swoim ludziom po głowie, że nie wychwycili echa, którego w ogóle nie było na tej taśmie, rozumiesz? Mam trochę taśm z takimi sztuczkami, załoga zaraz się połapała, że to pic, ale dowódca gdzie tam, od razu w krzyk! Hydroakustyków ma bardzo w porządku, ale zamiast z tego korzystać i dać im spokój, lubi sobie pokibicować. Potem, kiedy sobie poszedł, chłopakom rozwiązały się języki. Nie im jednym tak dopiekl, bo słyszałem od mechaników, że chodzą na uszach, żeby dogodzić temu pajacowi. Czy to prawda, że wyrównali rekord KOZR-u?

Mancuso przytaknął, choć wcale nie podobało mu się, że musi wysłuchiwać tego wszystkiego.

- Owszem, o mały włos a pobiliby rekord.

- Co z tego, skoro ten ich stary nie chce rekordu. Chce pełnego wyniku, a najbardziej by mu się podobało, gdyby mógł sam ustalać, co to jest pełny wynik. Mówię ci, chłopie, gdybym trafił do tej załogi, zaraz po pierwszym rejsie cisnąłbym workiem przez właz. Zdezerterowałbym, kurwa, żeby tylko nie służyć pod tym facetem! - Jones zamilkł, świadomy, że posuwa się za daleko. - Słyszałem te aluzje, które ci posyłał jego pierwszy oficer. Dziwiłem się, że się tak wychyla, ale teraz już się nie dziwię, powiem więcej: to bardzo lojalny pierwszy oficer. Ricks nie cierpi poza tym jednego ze swoich młodszych oficerów, chłopaka od namiarów. Bosman, który przyucza tego młodego, podporucznika Shawa czy jak mu tam, powiada, że chłopak ma talent, ale stary jeździ na nim jak na łysej kobyle.

- Świetnie. Co niby mam z tym wszystkim zrobić, co?

- Nawet mnie nie pytaj, Bart. Jestem w końcu tylko podoficerem rezerwy.

Zwolnij skurwysyna ze służby, pomyślał oczywiście Jones, lecz zdawał sobie sprawę, jak beznadziejny to pomysł. Żeby kogoś zwolnić, trzeba mieć powody.

- Porozmawiam z Ricksem - przyobiegał Mancuso.

- Bo wiesz, zawsze się słyszało o takich dowódcach, ale kto by tam uwierzył. To na twoim okręcie tak się rozpuściłem - dodał doktor Jones, kiedy zbliżali się do hali odlotów. - Nic a nic się nie zmieniłeś, wiesz?

Nawet jak ktoś wrzeszczy na ciebie, dalej słuchasz, co ma do powiedzenia.

- Trzeba słuchać ludzi, Ron. Sam wszystkiego nie wymyślisz.

- Zaskoczę cię, ale nie wszyscy o tym wiedzą. Aha, mam jeszcze jedną propozycję.

- Mam nie pozwolić mu polować?

- Na twoim miejscu zabroniłbym mu tego. - Jones otworzył drzwiczki. - Przepraszam, że psuję nastrój, ale jest coś takiego, jak zawodowa wnikliwość. Ricks nie nadaje się do tych spraw. Gdzie mu tam do takiego dowódcy, jak ty w swoim czasie.

”Jak ty w swoim czasie”. Marnie sformułowany komplement, ale na pewno prawdziwy, pomyślał Mancuso. Jasne, o wiele łatwiej jest dowodzić jednym okrętem niż dywizjonem. O ileż zabawniej!

- Zwijaj się, bo się spóźnisz na samolot - Mancuso wyciągnął dłoń na pożegnanie.

- Szefie, miło było wpaść.

Mancuso odprowadził specjalistę wzrokiem. Jones nigdy, przenigdy nie udzielił mu złej rady, a co więcej, z biegiem lat zmądrzał jeszcze bardziej. Szkoda, że nie chciał zostać w czynnej służbie, mógł przecież zostać oficerem. Mancuso dopiero po chwili zreflektował się, że plecie. Ron okazałby się, oczywiście, znakomitym dowódcą, lecz nie mógł marzyć o awansie do korpusu oficerskiego. Aby pójść w górę, musiałby najpierw pogodzić się z systemem.

Kierowca, nie czekając na polecenie, zawrócił do sztabu. Mancuso bił się tymczasem z myślami. System obowiązujący w marynarce nie zmienił się nic a nic. Bart Mancuso także doszedł do obecnego stanowiska w zwykły sposób: akademia, szkoła reaktorów, staż inżynierski. Za mało prawdziwych dowódców, za dużo inżynierów - właśnie to gubiło marynarkę. Jak wielu innych kapitanów, Mancuso umiał przeskoczyć próg dzielący sprawnego inżyniera od sprawnego dowódcy, lecz i tu zdarzały się wyjątki. W szeregach znalazło się zbyt wielu takich, dla których podwładni stanowili liczby, zepsute urządzenia, maszyny, którym wydaje się rozkazy. Zbyt wielu dowódców, dla których parametry liczbowe okazywały się ważniejsze niż końcowy wynik ich działań. J im Rosselli nie należał na szczęście do podobnych osób. Ani on, ani Bart Mancuso. Ale Harry Ricks?

Otóż właśnie. Co tu zrobić z takim fantem?

Trzeba było zacząć od tego, że nie istniały żadne podstawy, by pozbawić Ricksa dowództwa. Gdyby kto inny, nie Jones, powtórzył dowódcy dywizjonu całą historię, ten nie uwierzyłby w ani jedno słowo i wzięłby doniesienie za próbę porachunków. Jonesowi jednak trzeba było wierzyć. Mancuso raz jeszcze przypomniał sobie, czego się dowiedział i porównał te informacje z niezwykle wysoką liczbą próśb o przeniesienie z USS “Maine”, a także z dwuznacznymi słowami, jakie padły z ust Szkota Claggetta. Właśnie, pierwszy oficer znajdował się między młotem a kowadłem. Czekał już na niego awans na dowódcę, ale jedno złe słowo kapitana mogło zniweczyć tę perspektywę. Z drugiej strony dobro floty było dla Claggetta ważniejsze niż stosunki z Ricksem, którego jednak Szkot musiał się słuchać, jako dowódcy. Niemożliwa sytuacja, z której oficer wychodził jak dotąd obroną ręką.

Odpowiedzialność za całą sprawę spoczywała na Mancusie jako dowódcy dywizjonu. To do niego należały okręty, jego rozkazów słuchali dowódcy wraz z załogami. To on oceniał kapitanów. Koniec, kropka.

Czy miał jednak prawo podjąć decyzję? Opierał się przecież wyłącznie na domysłach i informacjach z drugiej ręki. Może jednak Jones próbował się odegrać na facecie? Może próśby o przeniesienie to tylko figiel statystyki?

Nie chowaj głowy w piasek, Bart. Za to ci płacą, żebyś umiał podjąć trudną decyzję. Od łatwych są podporucznicy i mechanicy.

”Komandor zawsze wie, jak postąpić”. Jedna z popularniejszych bajek w całej marynarce.

Mancuso podniósł słuchawkę radiotelefonu.

- Za pół godziny chcę u siebie widzieć pierwszego oficera z “Maine”.

- Rozkaz - odpowiedział podoficer z kancelarii.

Mancuso przymknął oczy i drzemał przez całą drogę do sztabu. Nie ma to jak drzemka, żeby się przejaśniło w głowie. Na USS “Dallas” ten sposób sprawdzał się zawsze.

Szpitalne jedzenie, pomyślała z odrazą Cathy. Nawet tu, w klinice uniwersytetu Johna Hopkinsa. Zawsze takie samo, pewnie jest jakaś specjalna szkoła dla szpitalnych szefów kuchni. Na początku kursu oducza ich się jakichkolwiek innowacji, zniechęca do używania przypraw, wybija im się z głowy przepisy... Skutek jest taki, że jedynym daniem, jakiego nie potrafią zepsuć, jest woda na herbatę.

- Bernie, musisz mi coś doradzić.

- Co się stało, Cath? - zapytał doktor Katz, choć z miny Caroline Ryan i z tonu głosu domyślił się natychmiast, o co chodzi. Czekał więc cierpliwie, ze współczującą miną. Wiedział, jak trudne są podobne wyznania dla tak dumnej kobiety. Cathy miała wszelki tytuł do dumy. Tym bardziej zabolęła ją pewnie cała historia.

- Widzisz... Bo Jack... - zaczęła spazmatycznie Cathy, by znów zamilknąć.

Doktor Katz nie mógł już znieść bólu, jaki ujrzał w oczach Cathy.

- Myślisz, że Jack ma...

- Co takiego? Nie, nie. To znaczy... A skąd wiesz?

- Cathy, nie powinienem tego robić, ale dla mnie liczysz się bardziej niż jakieś pieprzone przepisy! Widzisz, w zeszłym tygodniu był u mnie taki ktoś, rozpytywał się o ciebie i Jacka.

Na twarzy Cathy pojawił się jeszcze większy ból.

- Jaki ktoś? Kto to był? Kto go przysłał?

- Ktoś z rządu. Inspektor śledczy. Przepraszam cię, Cathy, ale zapytał mnie, czy... Czy mówiłaś mi coś o kłopotach w domu. Facet sprawdzał Jacka i chciał, żebym mu mówił o wszystkim, co powiesz na ten temat

- A ty co zrobiłaś?

- Powiedziałem, że nie wiem o niczym takim. Powiedziałem jeszcze, że jesteś najlepszą dziewczyną, jaką znam. Poważnie tak myślę, Cathy. Nie bój się, nie jesteś sama z tym wszystkim. Masz przyjaciół, więc jeżeli możemy coś dla ciebie zrobić, wszyscy tutaj ci pomożemy. Jak rodzina. Wiem, jak cię boli ta sprawa, pewnie się wstydzisz wyciągać to na widok publiczny, ale niepotrzebnie. Głupio robisz, Cathy, jeżeli się wstydzisz, bardzo głupio. Sama wiesz, że nie ma się czego wstydzić, prawda?

Błękitne oczy Caroline były pełne łez. Berniego przez chwilę zdjęła chęć, by zamordować Jacka Ryana, rozłożyć go na przykład na stole i ciachnąć ostrym, małym skalpelem.

- Cathy, sama zagryziesz się takimi myślami. Po to masz przyjaciół, żeby do nich pójść. Naprawdę nie jesteś sama.

- Nie wierzę w to wszystko, Bernie, po prostu nie wierzę!

- Chodźmy do mnie, będziemy mogli spokojnie pogadać. Żarcie i tak dzisiaj do niczego. - Katz wyprowadził Cathy ze stołówki. Na szczęście nikt nie zauważył, że coś się stało. W dwie minuty znaleźli się w gabinecie. Bernie zdjął z drugiego fotela stertę teczek i usadził Cathy.

- On się ostatnio tak dziwnie zachowuje.

- Naprawdę wierzysz, że Jack mógłby mieć kogoś na boku?

Cathy milczała przez pół minuty, spoglądając to w dół, to w górę. Kiedy jednak zdecydowała się mówić, spuściła wzrok.

- Tak. To możliwe.

Co za skurwysyn! - pomyślał Katz, lecz rozsądnym, spokojnym, choć nie pozbawionym uczuć głosem zapytał:

- A próbowałaś z nim o tym porozmawiać? Cathy potrząsnęła głową.

- Nie. Nie wiem, jak.

- Wiesz, że powinnaś spróbować.
- Wiem. - Zabrzmiało to jak szloch.
- Wiem, jakie to trudne, ale pamiętaj - w głosie Katza pobrzmiwał ton nadziei - wszystko może okazać się jakąś karkołomną pomyłką, nieporozumieniem.

Oczywiście Bernie Katz sam nie wierzył ani trochę w to, co mówił. Cathy podniosła wreszcie wzrok i z twarzą zalaną łzami zapytała:

- Bernie, czyja jestem jakaś... nie taka?
- Nie! - Bernie z trudem opanował krzyk. - Cathy, nie ma w tej klinice lepszej osoby od ciebie, ja w każdym razie takiej nie spotkałem. Do cholery, niczego ci nie brakuje! Słyszysz? Nie wiem, o co idzie, ale cokolwiek się stało, to na pewno NIE TWOJA WINA!
- Bernie, chciałam mieć następne dziecko. Nie chcę, żeby Jack odszedł...
- Jeżeli tak, musisz go sobie zdobyć.
- Ale nie mogę! On już nie, on nie... - Cathy załamała się do reszty. Bernie Katz pojął nagle i w sposób ostateczny, że gniew może nie mieć granic. Ciężko było nie okazać złości, zaciąć się w sobie i milczeć, lecz Cathy potrzebowała w tej chwili nie krzyku, lecz przyjaźni.

- Umówmy się od razu, że ta rozmowa nie wyjdzie poza ściany tego pokoju.

Komandor podporucznik Claggett momentalnie zeszywniał.

- Jak pan sobie życzy.
- Proszę mi opowiedzieć wszystko o komandorze Ricksie.
- Ależ... Ricks to mój dowódca...
- Nie musi mi pan tego tłumaczyć - przerwał Mancuso. - Za to ja jestem dowódcą dywizjonu. Jeżeli zaczynają się kłopoty z moim kapitanem, zaczynają się kłopoty z okrętem. A okręty kosztują miliard dolarów sztuka, i dlatego muszę wiedzieć wszystko o kłopotach. Czy wyrażam się jasno, komandorze?

- Tak jest.

- Proszę mówić. To rozkaz.

Szkot Claggett, choć siedział, wyprężył się jak struna i pospiesznie zaczął:

- Sir, komandor Ricks nie potrafi usadzić bachora na nocniku, co dopiero mówić o dowodzeniu okrętem. Załogę traktuje jak stado mechanicznych robotów. Wciąż stawia wymagania, ale nigdy nie chwali ludzi, nawet kiedy dadzą z siebie więcej niż powinni. W szkole oficerskiej uczono mnie innych zasad. Prócz tego komandor Ricks nie słucha, nie bierze do siebie uwag ani moich, ani załogi. Trudno, świetnie, to on jest dowódcą, ma okręt dla siebie, ale dobry dowódca umie słuchać.

- Czy dlatego tyle było próśb o przeniesienie?

- Tak jest Ricks strasznie ćwiczył szefa torpedystów, moim zdaniem, bez powodu. Getty wykazywał się inicjatywą, dbał o broń, dobrze szkolił obsługę, ale komandorowi nie podobały się jego metody i postanowił go ukarać. Odradzałem mu to, ale dowódca nie słuchał. Dlatego Getty złożył prośbę o przeniesienie, a kapitan był zadowolony, że pozbywa się kłopotu i podpisał.

- Ufa pan mu jako dowódcy? - zapytał Mancuso.

- Technicznie jest znakomity. Jeśli chodzi o urządzenia, prawdziwy wirtuoz. Nie ma tylko pojęcia o taktyce ani o postępowaniu z załogą.

- Zapowiadał, że udowodni, co potrafi. Ma szansę?

- Nie wiem, czy mam prawo odpowiedzieć na takie pytanie. Mancuso wiedział, jak delikatną kwestię poruszył, lecz dalej naciskał:

- Pan ma niedługo objąć samodzielne dowództwo, Szkot. Niech się pan przyzwyczaja do ostrych

wejść.

- Czy ma szansę? Owszem, ma. Popłynie na dobrym okręcie i z dobrą załogą. Jeżeli sam coś pokręci, zrobimy resztę za niego.

Komandor pokiwał głową i zamilkł na chwilę.

- Jeżeli w następnej opinii służbowej na pański temat trafi się jakaś plama, chcę się o tym dowiedzieć. Jest pan, moim zdaniem, za dobry jako zastępca Ricksa.

- Komandorze, Ricks nie jest taki zły. Słyszałem, że wzorowy ojciec i tak dalej, ma śliczną żoneczkę... Niestety nikt mu jakoś nie wpoił, jak postępować z ludźmi. To zdolny oficer, brakuje mu tylko ludzkich uczuć. Gdyby był ludzki, mógłby się stać prawdziwą gwiazdą.

- Czy ma pan zastrzeżenia do nowych wytycznych operacyjnych?

- Do tego, że jeśli wyniuchamy akulę, mamy ją śledzić z bezpiecznej odległości? Nie, żadnych zastrzeżeń. Łatwizna. Komandorze, z tak cichym okrętem nie mamy się czego obawiać. Pewnie, sam byłem zaskoczony, że w Waszyngtonie zaaprobowali wniosek, ale to już biurokratyczne przepychanki. Dla mnie liczy się to, że takim okrętem dziecko mogłoby dowodzić. Pewnie, że komandor Ricks ma swoje wady, ale dopóki nie zaczniemy cieknać, można postawić przy sterze nawet psa Pluto.

Ładunek wtórny powędrował do obudowy przed inicjującym. Pojemnik ze związkami litu był metalowym cylindrem, podobnym rozmiarami do naboju artyleryjskiego kalibru 105 mm: długim na sześćdziesiąt pięć centymetrów i o jedenastu centymetrach średnicy. Specjalna bruzda wokół denka umożliwiała dokładne wpasowanie ładunku na miejsce. Również przy samym denku znajdowała się zakrzywiona rurka, na końcu której miał się znaleźć zbiorniczek z trytem. Na zewnątrz obudowy przytwierdzone były płyty zużytego U 238, przypominające Frommowi rząd czarnych herbatników. Ciśnienie i temperatura wybuchu miały przemienić uran w plazmę. Pod cylindrem znalazły się pierwsze wiązki "słomek". Nawet Fromm przyzwyczał się już do takiego określenia, choć plastikowe rurki miały inną średnicę niż prawdziwe słomki do napojów. Każda ze słomek miała długość sześćdziesięciu centymetrów. Słomki powiązane były w pęczki po sto sztuk, ściśnięte mocnymi zaciskami i skręcone w kształt helisy, co upodabniało każdy pęczek do spiralnych schodów. Najtrudniejsze w całym projekcie okazało się dokładne umieszczenie spiralnych wiązek wokół ładunku. Zadanie było z pozoru dziecinnie proste, lecz Fromm strawił całe dwa dni szukając najlepszego sposobu na wpasowanie poszczególnych części. Rezultatem była sterta ściśle przylegających do siebie... słomek. Niemiec miał ochotę się roześmiać. W rozmieszczeniu ich pomogła calówka, śruba mikrometryczna i oko znawcy. Hosniego urzekło zwłaszcza, że Fromm kazał na wielu metalowych częściach bomby wyłobić podziałkę centymetrową, co ułatwiało montaż. Kiedy Niemiec sprawdził wszystkie szczegóły, zabrali się za następne zadanie. Najpierw umieścili w owalnym pancerzu doskonale dopasowane poduszki z gąbki poliuretanowej. Montażem zajęli się osobiście Hosni i Fromm. Powoli umieścili pierwszą poduszkę między wewnętrznym ozebrowaniem pancerza. Potem przyszła kolej na wiązki słomek, które dopasowywali jedną po drugiej i układali w całość, co rusz robiąc przerwę na sprawdzenie, czy wszystko się zgadza. Najpierw sprawdzał Fromm, a po nim Hosni, który nieustannie porównywał mechanizm z rysunkami.

Dla obserwujących to z boku Katiego i Boćka montaż stanowił najnudniejsze widowisko świata.

- Ci konstruktorzy w Ameryce czy w Rosji wyją pewnie z nudów - zauważył ściszym głosem Niemiec.

- Pewnie tak.

- Następną wiązką, numer trzydzieści sześć - rozległ się głos Fromma.



- Wiązka trzydzieści sześć - potwierdził Hosni, sprawdzając tabliczki na kolejnej setce słomek.

- Podaję trzydzieści sześć.

- Rzeczywiście, trzydzieści sześć - zgodził się Fromm, porównując oznakowanie. Wziął słomki z rąk Hosniego i umieścił je na miejscu. Pasowały doskonale, o czym Kati mógł się przekonać, kiedy podszedł bliżej. Wprawne ręce Niemca przesunęły wiązkę tak, by wypustki na spinających ją plastikowych paskach wśliznęły się w otwory w paskach poprzedniej wiązki. Kiedy Fromm uznał, że wszystko gra, Hosni zlustrował jego robotę i ocenił:

- Pozycja prawidłowa.

Słowa te padły tego dnia po raz setny.

- Potwierdzam - obwieścił Fromm, po czym obaj przydrutowali wiązkę na właściwym miejscu.

- Jak składanie karabinu - szepnął Kati do Günthera, odchodząc od warsztatu.

- Gorzej - skomentował Bock, - Nie karabinu tylko jakiejś wielkiej zabawki!

Obaj roześmiali się na cały głos.

- Dostyc tego! - zgromił ich Fromm. - Tu się pracuje, więc ma być cicho! Następna wiązka, numer trzydzieści siedem!

- Trzydzieści siedem! - odpowiedział posłusznie Hosni. Bock i Kati opuścili pomieszczenie.

- Prędzej już wolałbym patrzeć, jak kobieta rodzi! - rozżłościł się Kati, gdy znaleźli się na dworze, Bock zapalił papierosa.

- Pewnie, że tak. Wiem coś o tym. Kobiety się tak nie grzebią.

- Niby racja, ale do porodu nie potrzeba ekspertów - zaśmiał się znowu Kati. Zaraz jednak spochmurniał i zauważył: - Właściwie szkoda.

- Pewnie, że szkoda. Bardzo nam pomogli. Kiedy?

- Bardzo prędko - odrzekł Kati i dodał: - Günther, twoja część planu jest bardzo... bardzo ryzykowna.

Bock zaciągnął się papierosem, po czym wypuścił dym w chłodny przestwór.

- Sam tak to obmyśliłem, nie? Ryzyko to moja sprawa.

- Ale ja nie uznaję samobójczych akcji.

- Ja też nie. Rzeczywiście, akcja będzie niebezpieczna, ale liczę na to, że ją przetrwam, a poza tym, Ismaelu, gdybyśmy chcieli bezpiecznego życia, każdy z nas siedziałby za biurkiem i nigdy byśmy się nie spotkali. Łączy nas właśnie ryzyko, no i akcja. Straciłem Petrę, nie mam już dzieci, ale za to mam jeszcze swój plan. Nie mówię, że to dużo, ale i tak więcej, niż dane jest większości facetom. - Günther podniósł wzrok ku gwiazdom. - Wiesz, stary, często się nad tym zastanawiałem. W jaki niby sposób zmienić świat? Bez ryzyka ani rusz. Wszyscy ci spokojni, bojaźliwi ludkowie skorzystają na naszym dziele. Życie dręczy ich tak samo jak nas, ale nie mają odwagi, żeby coś z tym zrobić. Musimy działać za siebie i za nich. Musimy sami brać na siebie ryzyko, stawiać czoło niebezpieczeństwu, rezygnować z własnego ja dla innych. Takie jest nasze zadanie. Zresztą, przyjacielu, za późno żeby się wycofać.

- Wiesz, Günther, mnie jest łatwiej, bo i tak niedługo umrę.

- Wiem. - Bock spojrzał Katiemu w oczy. - Wszyscy umrzemy. Dotąd tobie czy mnie udawało się oszukać śmierć, ale tylko do czasu. Wiesz dobrze, że nie umrzemy w pościeli, sam wybrałeś taki los, tak samo jak i ja. Czy możemy zawrócić?

- Ja nie zawrócę, chociaż ciężko umierać.

- Prawda. - Günther pstryknął niedopałkiem na ziemię. - Tyle nam z tego, że przynajmniej wiemy coś o śmierci. Coś, o czym wszyscy ci szarzy ludkowie nie mają pojęcia. Sami wybrali bierność, a co za tym idzie, niewiedzę. Chcieli, to mają. Można zostać albo ofiarą, albo narzędziem

losu. Każdy może wybierać. - Bock poprowadził przyjaciela ku drzwiom kryjówki. - My już wybraliśmy.

- Wiązka trzydzieści osiem! - usłyszeli wewnątrz głos Fromma.
- Trzydzieści osiem! - zawtórował Hosni.

- O co chodzi, komandorze?

- Usiądźmy, Harry, chcę pogadać o paru sprawach.

- U mnie wszystko gotowe, załoga wyćwiczona, sonarzyści rwą się do akcji.

Mancuso przyjrzał się podwładnemu, usiłując wychwycić moment, w którym nadgorliwość przeradza się w kłamstwo.

- Nie bardzo mi się podoba, że tyle u pana próśb o przeniesienie.

Ricks nie przyjął do wiadomości napastliwego tonu Mancusa.

- O czym tu mówić, paru podoficerów miało kłopoty rodzinne i tyle. Moim zdaniem, nie ma sensu trzymać w załodze kogoś, kto myślami jest i tak gdzie indziej. Że aż tylu? Przypadkowa zbieżność. Miałem już raz identyczną sytuację.

Mancuso mógł iść o zakład, że tak było.

- A jak tam morale załogi?

- Widział pan wyniki prób i sprawdzianów. Mówią same za siebie - brzmiała odpowiedź Ricksa.

Skórkojad wziął się na sposób.

- Dobrze, Harry, zagrajmy w otwarte karty. Niedawno ściał się pan z doktorem Jonesem.

- I co z tego?

- To z tego, że rozmawiałem z nim później.

- Czy w tej chwili rozmawiamy służbowo?

- Ależ skąd. Tak sobie tylko gwarzimy.

- Skoro tak, to powiem śmiało, że chociaż z tego Jonesa jest niezły ekspert, zapomina, zdaje się, że opuścił marynarkę wojenną jako zwyczajny podoficer. Jeżeli chce rozmawiać ze mną jak równy z równym, niech najpierw da mi po temu jakiegokolwiek powody.

- Ten człowiek ma doktorat z fizyki, zdobył go na CalTech.

- No to co? - szczerze zdziwił się Ricks.

- To, że ma głowę, jak mało który z moich znajomych. I jeszcze to, że nie miałem lepszego podoficera w załodze.

- Bardzo pięknie, ale gdyby podoficerowie byli tak samo mądrzy jak my, dostawaliby większy żołd.

Niewzruszona arogancja tego oświadczenia ubodła Barta Mancuso.

- Komandorze, kiedy dowodziłem "Dallas" i Jones przychodził do mnie z jakąś sprawą, nie bałem się go wysłuchać. Gdyby życie wyglądało trochę inaczej, Jones byłby w tej chwili pierwszym oficerem z widokami na dowództwo patrolowca. Z Rona byłby naprawdę świetny dowódca.

Ricks prawie się roześmiał.

- I tak nie ma sposobu, żeby się o tym przekonać. Zawszę mówię, że jeśli ktoś coś potrafi, znajdzie sposób, żeby tego dowieść. Tylko niezguły potrzebują usprawiedliwień. Nie przeczę, ten Jones jest ekspertem, przeszkolił jak trzeba moich akustyków, za co jestem mu szczerze wdzięczny, ale bez przesady. Nie on jeden dla nas pracuje, nie tylko jego firmę wynajęliśmy.

Mancuso zrozumiał, że w ten sposób do niczego nie dojdzie. Pora wyłożyć kawę na ławę.

- Powiem panu w takim razie, że dochodzą mnie niepokojące wieści o morale pańskiej załogi.

Sam widziałem na biurku ten plik próśb o przeniesienie i domyślałem się, co się dzieje na "Maine". Przebrałem sprawę, i cóż? Doniesienia się potwierdziły. Ma pan kłopoty z załogą, czy sobie pan to uświadamia, czy nie.

- A ja powiem panu na to, że to jakieś gówniane plotki. Człowiek nie może się wybronić, bo jak w poradni przeciwalkoholowej, biorą zdrowego i pytają go, czy pije. Ten mówi, że nie pije, a lekarze oświadczają, że zaprzeczenie to najlepszy dowód, że coś jest nie tak. Jak byś się kręcił, siedzenie zawsze z tyłu. No więc, gdybym miał na okręcie problemy z morale wśród załogi, zaraz by się to odbiło na wynikach sprawdzianów, ale się nie odbija; dane mówią same za siebie. Całe życie pływam na okrętach podwodnych. Odkąd włożyłem ten mundur, zawsze należałem do elity, do elity elit! Co z tego, że inni dowódcy dowodzą inaczej niż ja? Każdy ma swój styl. Ja na przykład nie włożę nikomu bez wazeliny do dupy, nie patrzę czule w oczy załodze. Domagam się od niej wyników i otrzymuję te wyniki! Proszę mi pokazać chociaż jeden dowód, że się nie sprawdzam, wtedy inna sprawa! Jeżeli nie ma takiego dowodu, oznacza to dla mnie, że nie ma sprawy, i nie ma potrzeby wracać do tego problemu!

Bartolomeo Vito Mancuso, komandor marynarki wojennej USA i kandydat na kontradmirała nie wyskoczył z krzesła tylko dlatego, że Ameryka przytłumiła trochę jego sycylijskie geny. Nie miał wątpliwości, że słysząc takie słowa w starym kraju, jego prapradziadek obniżyłby lufę swojej lupary i bez gadania wywalił w piersi Ricksa wielką krwawą dziurę. Mancuso zachował w tym momencie obojętny wyraz twarzy. Podjął jednak nieodwołalną i natychmiastową decyzję, że Ricks nigdy nie wyjdzie poza rangę komandora. Mancusa stać było na to, by tego dopilnować. Miał pod swoimi rozkazami całą kolekcję oficerów, z których tylko dwóch, może trzech najlepszych mogło marzyć o awansie admirałskim. Nawet jeśli Ricks stanie na głowie, okaże się w tej grupie najwyżej czwarty. Decyzja tego rodzaju mogła się wydawać nieuczciwa, lecz sam Mancuso wiedział, że jest słuszna. Nie wolno było powierzyć Ricksonowi stanowiska wyższego niż obecne, być może i tak już dla niego za wysokie. Nic łatwiejszego, bo chociaż Ricks będzie krzyczał i tupał, że otrzymał czwartą lokatę w grupie czternastu dowódców, Mancuso będzie mógł powiedzieć po prostu: "Wybacz, Harry, nikt nie mówi, że jesteś gorszy od innych, rzecz w tym, że Andy, Bill i Chuck okazali się odrobinę lepsi." Trudno, Harry, tak bywa, gdy w dywizjonie służą same asy. Uczciwie sprawdziłem, co kto umie, więc trudno. Tamci okazali się ociupinkę lepsi.

Ricks zorientował się natychmiast, że zaszkodził sobie, tym bardziej, że w marynarce wojennej nie istnieją "prywatne pogawędki". Otwarcie sprzeciwił się zdaniu swojego dowódcy, człowieka z widokami na olbrzymią karierę, człowieka, którego szanował Pentagon i biurokraci z OP-02.

- Komandorze, przepraszam, że mówię tak pewnym tonem, ale nikt nie lubi, kiedy mu...

- Nie ma sprawy, Harry - przerwał mu z uśmiechem Mancuso. - My, Włosi, też dajemy się ponosić emocjom.

Za późno, Harry.

- Może ma pan jednak rację. Przemyślę sobie to wszystko. Poza tym, jeśli natrafię na tę akulę, pokażę panu, co potrafi moja załoga.

Trochę za późno na gadanie o "mojej załodze" kolego. Mancuso nie miał jednak wyjścia. Musiał dać Ricksonowi szansę. Nie za dużą, lecz jednak szansę. Gdyby zdarzył się cud, może zmieniłby powziętą decyzję. Hoże, powtórzył w duchu Bart. Owszem, pod warunkiem, że ten zarozumiały kutas zgodzi się pocałować mnie w dupę u bram miasta w święto Czwartego Lipca przy dźwiękach orkiestry dętej.

- Nikt nie przepada za takimi rozmowami - rzekł dowódca dywizjonu. Wiedział już, że Ricks skończy jako ekspert do spraw technicznych, znakomity ekspert. Zostanie nim natychmiast, kiedy tylko

Mancuso pozbędzie się go z dywizjonu. Żadna ujma odejść z dywizjonu w stopniu komandora. Dla uczciwego człowieka żadna.

- Nic poza tym? - zapytał Gołowko.

- Nic a nic - potwierdził pułkownik.

- Co z naszym człowiekiem?

- Dwa dni temu odwiedziłem wdowę. Powiedziałem jej, że mąż nie żyje i że nie potrafimy odnaleźć ciała. Bardzo źle to zniosła. Żal patrzeć, jak takie śliczne stworzenie rozpacza - dodał cicho pułkownik.

- Renta wdowia i co tam jeszcze?

- Zająłem się tym już osobiście.

- Świetnie, nasze gryziopórki prędzej uświerkną, niż kiwną palcem w takich sprawach. Gdyby były trudności, dajcie mi znać.

- Co do aspektów technicznych, nie mam nic do dodania - ciągnął meldunek pułkownik. - Może poszperać od innej strony?

- Nie odbudowaliśmy jeszcze naszej siatki w ich ministerstwie obrony. Ze wstępnych ocen wynika, że nie prowadzą takich prac. Nowe Niemcy odzegnały się od programu atomowego NRD i tyle - poinformował podwładnego Gołowko. - Mieliśmy wskazówki, że wywiady USA i Wielkiej Brytanii również sprawdziły rzecz i nic nie znalazły.

- Niby tak, chociaż nie sądzę, żeby Amerykanie czy Anglicy przejmowali się, że Niemcy mają broń atomową.

- To prawda. Nie przerwaliśmy poszukiwań, ale nie spodziewam się rewelacji. Myślę, że to fałszywy trop.

- Dlaczego w takim razie zamordowano naszego człowieka, Siergieju Nikołajewiczu?

- Tego właśnie nie wiemy, do czorta!

- Racja, skąd wiadomo, że nie zaczął pracować dla Argentyńczyków?

- Nie zapominajcie się, pułkowniku!

- Nie zapominam się. Tak samo jak nie zapominam, że jeśli ktoś już się fatyguje, żeby zabić oficera wywiadu, musi mieć po temu dobry powód. - Nie znaleźliśmy takich powodów! Sprawą zajęły się trzy sieci wywiadowcze. Nasi ludzie w Argentynie także szukają...

- Ach tak, Kubańczycy?

- Właśnie, to przecież ich rejon. Fakt, że trudno nam dziś na nich polegać.

Pułkownik zamknął oczy. Na co też przyszło KGB?

- Ja bym jednak naciskał.

- Zapamiętam sobie waszą poradę. Operacja trwa.

Kiedy pułkownik opuścił gabinet, Gołowko po raz kolejny uświadomił sobie, że nie wie, co ma teraz począć, jakich sposobów się chwycić... Wysłał w pole wszystkich dostępnych agentów, lecz powrócili z niczym. Nieszczęsny fach zaczynał coraz bardziej przypominać robotę milicjantów.

Marvin Russell wymienił kolejno wszystko, czego potrzebował. Nie wątpił w hojność swoich nowych przyjaciół, dzięki którym mógł zaoszczędzić prawie całą sumę przywiezioną z Ameryki w walizeczce. Zaofiarował nawet swoje pieniądze, lecz Kati oświadczył, że w żadnym wypadku i wręczył Russellowi nowy neseser, w którym znajdowało się czterdzieści tysięcy dolarów w szeleszczących dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Po przylocie do Stanów Russell miał też otrzymać przekaz telegraficzny z jednego z angielskich banków. Zadanie, jakie otrzymał, było dosyć proste. Po

pierwsze potrzebne były nowe dokumenty dla niego samego i pozostałych. Dziecinada, bo dysponując odpowiednim sprzętem, Russell mógł podrobić nawet prawa jazdy. Gotówkę wziął właśnie na zakup tego sprzętu, który miał się znaleźć w kryjówce. Indianin nie wiedział tylko, dlaczego oprócz znalezienia domu ma jeszcze załatwić rezerwacje hotelowe. Jego mocodawcy lubili wszystko niepotrzebnie komplikować.

W drodze na lotnisko Marvin Russell odwiedził dobry sklep odzieżowy. W Bejrucie nadal było niespokojnie, lecz handel szedł jak zwykle. Kiedy wsiadał na pokład odrzutowca British Airways lecącego na Heathrow, trudno go było rozpoznać. Kupił trzy wytworne garnitury (dwa schował do walizki), ostrzygł się elegancko i wzał drogie buty, które piły go niemiłosiernie.

- Może coś do czytania? - zapytała go stewardesa.

- Dziękuję - Russell uśmiechnął się.

- Pan z Ameryki?

- Właśnie. Wracam do domu.

- W Libanie teraz nie najłatwiej.

- Owszem, człowiek przeżył to i owo.

- Może coś do picia?

- Jeśli pani taka miła, prosiłbym o piwo - Russell ośmielił się zupełnie. Świetnie sobie radził w skórze biznesmena. W samolocie dwie trzecie miejsc świeciło pustką, a stewardesa miała chyba ochotę go adoptować, tak była troskliwa. Russell pomyślał, że zwabiła ją opalenizna.

- Proszę bardzo, pańskie piwo. Czy długo zatrzyma się pan w Londynie?

- Niestety, nie. Zaraz lecę do Chicago. Tylko dwie godziny na przesiadkę.

- Jaka szkoda.

Stewardesa naprawdę wyglądała na rozczarowaną, Russell uznał, że Brytyjczycy to bardzo mili ludzie. Prawie tak samo gościnni jak Arabowie.

Ostatnia wiązka znalazła się na swoim miejscu o trzeciej nad ranem czasu miejscowego. Fromm ani na jotę nie zmienił zachowania. Równie starannie jak poprzednio sprawdził połączenia i przydrutował słomki dopiero wówczas, gdy uzyskał pewność, że wszystko się zgadza. Podniósł się zaraz i przeciągnął.

- Wystarczy!

- Och, masz rację, Manfred.

- Jutro o tej porze mechanizm będzie już gotowy. Zostały nam same proste czynności, nie powinny potrwać dłużej niż czternaście godzin.

- W takim razie chodźmy spać.

Wychodząc z sali, Hosni mrugnął do komendanta. Kati odprowadził wzrokiem parę inżynierów i podszedł do dowódcy straży.

- Gdzie Ahmed?

- Sam go wysłałeś do doktora.

- Hmm. Jeszcze nie wrócił?

- Wróci jutro albo pojutrze. Nie wiem dokładnie.

- Rozumiem. Niedługo będę miał dla ciebie jedno takie zadanie. Strażnik również spojrzał na dwóch mężczyzn wychodzących z budynku i beznamiętnie skinął głową.

- Gdzie każesz wykopać dół?



# ZOBOWIĄZANIA KONTRAKTU

Marvin Russell przekonał się, jak dokuczliwa jest zmiana czasu przy podróży na inny kontynent. Na lotnisku O'Hare wynajął forda mercurego i ruszył na zachód, zatrzymując się dopiero w motelu przed Des Moines, gdzie zadziwił recepcjonistę tym, że płaci gotówką. Pomogło wytłumaczenie, że na lotnisku skradziono mu stary portfel ze wszystkimi kartami kredytowymi, na dowód czego służył nowiuteńki portfel z banknotami. Recepcjonista nie pogardził dolarami, jak przystało na człowieka interesu. Sen przyszedł bardzo prędko. Russell przebudził się po piątej rano, zaliczywszy dobre dziesięć godzin odpoczynku i zamówił porządne amerykańskie śniadanie. Choć libańscy przyjaciele błysnęli gościnnością, nie mieli pojęcia o dobrej kuchni. Russell nie mógł wyjść ze zdumienia, w jaki sposób muzułmanie mogą wytrzymać bez boczku. Po śniadaniu Indianin ruszył w dalszą drogę, do Kolorado. Do drugiej po południu przemierzył już połowę Nebraski, nadal rozważając w myślach szczegóły planu i kolejne zamierzenia. Późny obiad zjadł w miasteczku Roggen, godzinę drogi na północny zachód od Denver, czyli całkiem blisko. Ponieważ bolały go już gnaty od nieprzerwanej jazdy, zatrzymał się w kolejnym motelu, gdzie udało mu się obejrzeć w telewizji kilka dawno nie widzianych programów, w tym powtórkę najważniejszych scen z sezonu ligi futbolowej na kanale ESPN. Zadziwiające, jak bardzo brakowało mu kibicowania. Na Bliskim Wschodzie nie było mowy o futbolu w telewizji ani o napiciu się czegokolwiek. Na szczęście Russell mógł teraz znaleźć zadośćuczynienie w postaci kupionej po drodze butelki bourbona "Jack Daniels". Koło północy Russell, porządnie już podcięty alkoholem, z uśmiechem rozglądał się po pokoju, szczęśliwy że znów jest w Ameryce i wielce zadowolony z misji, która go tu sprowadzała. Pora odpłacić się komu trzeba. Indianin pamiętał dobrze, kto komu odebrał stan Kolorado, tak samo jak nie zapomniał o masakrze pod Sand Creek.

Właściwie można się było tego spodziewać: wszystko szło zbyt gładko, a przecież w życiu nie ma rzeczy i przedsięwzięć doskonałych. W ostatniej chwili okazało się, że jeden z elementów obudowy ładunku inicjującego nie pasuje do pozostałych. Część trzeba było wymontować i dopasować na obrabiarce, co opóźniło montaż całego mechanizmu o trzydzieści godzin. Czterdzieści minut zajęła przeróbka elementu, resztę zaś rozmontowanie i powtórne złożenie bomby. Fromm tym razem zamiast zachować stoicki spokój, wściekał się straszliwie i z uporem nie dopuszczał innych do pracy, gdyż chciał osobiście dopilnować każdego szczegółu. Najwięcej czasu zajęło ułożenie kostek materiału wybuchowego; czynność tym bardziej uprzykrzona, że powtarzana po raz drugi.

- Głupie trzy milimetry - zauważył Hosni. Przyczyną niedoróbki było złe ustawienie pokręta regulującego w obrabiarce. Komputer nie mógł wychwycić błędu, gdyż ten akurat regulator nastawiało się ręcznie. Któryś z techników źle odczytał cyfrę na rysunku technicznym Fromma, ktoś inny przeoczył błąd podczas odbioru wykonanych części. - Dobrze, że o dobę wyprzedziliśmy harmonogram.

Fromm odmruknął coś zza maski ochronnej. Wraz z Hosnim podniósł ostrożnie plutonowy rdzeń i umieścił go na miejscu. Pięć minut trwało upewnianie się, że wszystko rzeczywiście pasuje. Sztaby wolframo-renu znalazły się na swoich miejscach, po nich segmenty osłony z berylu i wreszcie ciężka półkula ze zubożonego uranu, która oddzielała ładunek inicjujący od wtórnego. Siedemdziesiąt kostek materiału wybuchowego i robota skończona. Fromm zarządził przerwę. Najtrudniejszą część zadania wykonali, pora odpocząć. Techników nie było już w kryjówce, jako że przestali być potrzebni.

- Dawno mogliśmy wszystko skończyć - odezwał się cicho Niemiec.
- Nie sposób spodziewać się wszędzie perfekcji, Manfred.
- Ten brudny nieuk nie umiał czytać!
- Cyfra na rysunku zamazała się - sprostował Hosni, w myśli dodając: - Twoja wina.
- Dlaczego w takim razie nie zapytał!?
- Niby racja, Manfred, ale... Za późno, żeby się wściekać. Na szczęście zdążyliśmy z montażem na czas.

Fromm machnął ręką, przekonując się raz jeszcze, że młody Arab nie rozumie podstawowej rzeczy. Szło o wypełnienie największego marzenia życia, a tu - proszę!

- Do roboty.

Ostatnia, siedemdziesiąta kostka materiału wybuchowego znalazła się na swoim miejscu po dziesięciu godzinach. Hosni przymocował końcówkę przewodu do właściwego gniazdka. Nareszcie. Bez wahania wyciągnął prawicę do Niemca, który uściśnął ją.

- Gratulacje, Herr Doktor Fromm.

- Ja. Danke, Herr Hosni.

- Teraz musimy jeszcze tylko zaspawać pancierz, wypompować ze środka powietrze... Ojej, zapomniałem o trycie! Co się ze mną dzieje... Który z nas będzie spawał? - zapytał Fromm.

- Może ja, mam większą wprawę.

Wokół obrzeża górnej połówki obudowy biegł szeroki kołnierz, który miał zapewnić urządzeniu bezpieczeństwo. Obaj konstruktorzy sprawdzili poprzednio, że górna i dolna część elipsoidy doskonale do siebie pasują. Nie tylko wewnętrzne części bomby doczekały się precyzyjnej obróbki: technicy przygotowali każdy najdrobniejszy element - oprócz nieszczęsnej, źle dopasowanej części - ściśle według wskazówek Fromma. Pancierz bomby nie był tu wyjątkiem. Metalowe skorupy przylegały do siebie ściśle jak koperta zegarka.

- Z trytem nie będzie kłopotu.

- Tak, wiem - bąknął Hosni, gestem zachęcając Niemca do wyjścia na dwór. - Nie masz żadnych zastrzeżeń do projektu ani do montażu?

- Najmniejszych - rzucił pewnym tonem Fromm. - Zadziała dokładnie według przewidywań.

- Świetnie - odezwał się Kati, który czekał na zewnątrz w towarzystwie jednego z członków obstawy. Fromm odwrócił się raptownie, dopiero teraz zauważając komendanta i jednego z wszędobylskich ochroniarzy. Choć brzydził się tych brudnych obdartusów, żywił dla nich pewien podziw. Sam przyznawał to w tej chwili, spoglądając na pogrążoną w mroku dolinę. Księżyc w pierwszej kwadrze pozwalał rozróżnić zarysy okolicy. Tak tu pustynnie i sucho... Jakże winić tych ludzi, że są, jacy są. Ciężka ziemia, ciężkie życie. Tylko niebo jasne. Fromm spojrział ku gwiazdom na bezchmurnym niebie. Więcej gwiazd niż w Niemczech, zwłaszcza we wschodniej części z jej zapyloną atmosferą. Nieoczekiwanie Fromm wspomniast astrofizykę, dawne marzenia o badaniach tak zbliżonych do dzieła, którego się podjął teraz.

Hosni stał tuż za Niemcem. W pewnej chwili odwrócił się do Katiego i skinął głową. Komendant powtórzył gest pod adresem Abdullaha, swojego ochroniarza.

- Zostało tylko umieścić tryt - rzucił Fromm, wciąż odwrócony plecami.

- Właśnie - odparł Hosni. - Już ja się tym zajmę.

Fromm chciał jeszcze dodać, że nie wspomniast o ważnej sprawie, lecz zwlekał, nie słysząc nawet kroków Abdullaha na ścieżce. Ochroniarz bezszelestnie wy dobył z kabury pistolet z tłumikiem i z odległości jednego metra wycelował go w głowę Niemca, który w tejże chwili zaczął się odwracać. Chciał udzielić Hosniemu wskazówek co do trytu, lecz nie udało mu się. Posłuszny



rozkazom, Abdullah miał znów okazać miłosierdzie, tak samo jak przedtem wobec techników. Kati żałował szczerze takiej decyzji, która jednak była absolutnie konieczna. Trudno. Abdullah nie rozwodził się dłużej nad rozkazem, lecz wprawnie i spokojnie nacisnął palcem język spustowy. Kiedy pistolet wypalił, pocisk przebił potylicę Fromma i natychmiast wyleciał na drugą stronę przez środek czoła. Niemiec zwałił się bezwładnie na ziemię, krew trysnęła fontanną, lecz na szczęście siknęła w bok, nie brudząc munduru Abdullaha. Ochroniarz zaczekał, aż krwotok sam ustanie i z pomocą dwóch wartowników zawłókł ciało do czekającej już ciężarówki. Pochowa się Fromma z technikami, jak przystało na jego rolę w przedsięwzięciu, zdecydował Kati. Eksperci powinni się trzymać razem.

- Szkoda - szepnął Hosni.

- Może i szkoda, ale co byśmy z nim teraz zrobili, twoim zdaniem?

- Nic - Ibrahim potrząsnął głową. - Przeszkadzałby tylko. Takim ludziom nie można ufać.

Najemnik, do tego jeszcze niewierny. Wypełnił zobowiązania kontraktu.

- A urządzenie?

- Zadziała. Dwadzieścia razy sprawdzałem wszystkie obliczenia. Dużo lepsza bomba niż ta, którą bym sam potrafił wymyślić.

- Co z trytem?

- W akumulatorach. Muszę je tylko podgrzać i oddestylować gaz, a potem wpompować go do obu zbiorniczków. Resztę znasz.

Kati odchrząknął.

- Wyjaśniałeś mi, owszem, ale dalej nic z tego nie rozumiem.

- Ta część zadania to zabawa ze szkolnej pracowni chemicznej, i tyle. Łatwizna.

- To dlaczego Fromm zostawił tryt na sam koniec?

- Coś musiał zostawić na ostatek. - Hosni wzruszył ramionami. - Prędeż już coś prostego niż trudnego. Tak bym to wytłumaczył. Jeśli chcesz, zaraz się tym zajmę.

- Dobrze.

Kati uważnie przyglądał się czynnościom Ibrahima, który po kolei załadował akumulatory do piecyka elektrycznego i ustawił prąd na niską temperaturę. Metalowa rura z pompą próżniową odprowadzała gaz z kolejnych pojemników. Praca zajęła niecałą godzinę.

- Fromm skłamał - zauważył Hosni, kiedy już skończył.

- Jak to! - Kati poderwał się z miejsca.

- Komendancie, w akumulatorach było piętnaście procent trytu więcej, niż obiecywał. Tym lepiej dla nas.

Następny krok był jeszcze bardziej prosty. Hosni starannie, już po raz szósty, sprawdził hermetyczność obu zbiorniczków, jako że młody inżynier wiele się nauczył od niemieckiego mistrza, i przetoczył do nich gazowy tryt. Następnie zamknął zawory i zakleszczył je zawleczkami, upewniając się, że nie zaszkożą im wibracje podczas transportu.

- Gotowe - obwieścił. Strażnicy unieśli gromadnie górną połowę pancerza i za pomocą bloku opuścili ją na dolną. Pasowała znakomicie. Przez godzinę Hosni spawał złączenie obu połówek, po czym sprawdził szczelność spawu i podłączył do bomby pompę próżniową Leybolda.

- Po co odciągasz ze środka powietrze?

- Obniżam ciśnienie wewnętrzne do jednej milionowej atmosfery, jak w projekcie..

- Można tak zrobić? Bez szkody dla...?

- Komendancie, bez żartów! - Hosni sam także był zaskoczony, że przemawia jak Fromm. - To, co napiera na części urządzenia to właśnie powietrze, a jeżeli nie skruszyło ciebie ani mnie, nie

skruszy stalowego pancerza, prawda? Pompowanie potrwa kilka godzin, ale przekonamy się jeszcze raz, co wart jest pancerz.

Hosni przeprowadził już pięć podobnych prób. Pancerz zachowywał hermetyczność nawet bez spawania, a obecnie zmienił się w szczelne metalowe jajo, tak doskonałe, jak wymagały tego okoliczności.

- Możemy się odrobinę przespać. Pompa niech sobie chodzi.
- Kiedy możemy ruszać z transportem?
- Rano. Na kiedy jest zamówiony rejs?
- Za dwa dni.
- A widzisz - Hosni uśmiechnął się szeroko - mamy czas.

Marvin skierował najpierw kroki do miejscowego oddziału Banku Federalnego i Kasy Oszczędnościowej Stanu Kolorado. Zaskoczył tam i uradował wicedyrektora placówki, gdyż na jego oczach zadzwonił do Anglii i kazał sobie natychmiast przesłać drogą telegraficzną pięćset tysięcy dolarów. Komputery ułatwiają życie. W kilka sekund bank upewnił się, że pan Robert Friend jest osobą tak majątną, za jaką się podaje.

- Czy potrafiliby mi pan wskazać dobre biuro handlu nieruchomościami? - zapytał Russell niezmiernie teraz troskliwego bankiera.

- Ależ oczywiście, zaraz na tej samej ulicy, trzeci dom po prawej stronie! Kiedy pan wróci, będę już miał przygotowaną książeczkę czekową. - Bankier odprowadził przybysza do drzwi i podbiegi do telefonu, błyskawicznie uprzedzając żonę, która pracowała w agencji handlu nieruchomościami. Kiedy Russell zbliżył się, kobieta przywitała go na progu.

- Witamy w Roggen, panie Friend!  
- Dziękuję. Wszędzie dobrze, ale najlepiej w domu.  
- Podróżował pan?  
- Mieszkałem trochę w Arabii Saudyjskiej - wyjaśnił Russell-Friend. - Najbardziej tęskniłem za śniegiem.

- Jaka posiadłość pana interesuje?  
- Och, powiedzmy ranczo, średniej wielkości. Chciałbym się wziąć za krowki.  
- Dom, stodoły?  
- Właśnie, duży dom. Nie żeby jakiś olbrzymi, po co mi. Nie mam przecież żony... Tak, ze trzysta metrów kwadratowych. Może być nawet mniejszy, jeśli ziemia dobra.

- Pochodzi pan może z tych stron?  
- Z Dakoty, po sąsiedzku, ale wolę mieszkać bliżej Denver. Dużo podróżuję, muszę mieć lotnisko pod bokiem. Z moich starych kątów musiałbym dojeżdżać godzinami.

- Pewnie przyda się panu ktoś do pomocy na ranczo?  
- O, właśnie, co racja, to racja. Powinny się znaleźć pomieszczenia dla dwóch pracowników, a najlepiej dla małżeństwa. Niby mógłbym się osiedlić gdzieś bliżej miasta, ale do diabła; nie ma to jak się rządzić samemu.

- Świetnie pana rozumiem - pokiwała głową agentka. - Mam na sprzedaż kilka miejsc, które się panu spodobają.

- W takim razie zaraz jedźmy je zobaczyć - Russell odwzajemnił uśmiech.

Druga posiadłość, jaką obejrzał, nadawała się doskonale. Leżała tuż przy zjeździe z autostrady i liczyła sobie pięćset akrów gruntu. Dom miał nową kuchnię, garaż na dwa samochody, a obok stały trzy solidne zabudowania gospodarcze. Na wszystkie strony rozpościerał się widok na otwarty teren,

a niecały kilometr, od domu znajdował się okolony drzewami staw i pastwiska dla mitycznych krów Russella.

- Ranczo jest na rynku od pięciu miesięcy. Właściciel chciał za nie czterysta tysięcy, ale pewnie uda nam się stargować do trzystu pięćdziesięciu - oświadczyła pośredniczka.

- Świetnie - odpowiedział jej Russell, studiując dojazd z domostwa na autostradę międzystanową 1-76. - Proszę przekazać tym ludziom, że jeśli tylko podpiszą umowę jeszcze w tym tygodniu, zapłacę im pięćdziesiąt tysięcy gotówką jako zaliczkę i ureguluję całą należność w ciągu, bo ja wiem, czterech czy pięciu tygodni. Z odsetkami i kredytem nie będzie problemu, zapłacę gotówką, kiedy tylko napłynie reszta moich funduszków. Mam tylko jeden warunek, mianowicie, muszę się od razu wprowadzić. Dość mam tych cholernych hoteli, za dużo się w nich namieszkałem. Myśli pani, że się nam uda?

- Gwarantuję to panu - usłyszał od uradowanej pośredniczki.

- Pięknie. Jak grało się w tym sezonie Mustangom?

- Osiem zwycięstw, osiem przegranych. Wracają do dawnej formy. Mamy z mężem karty wstępu na cały sezon. Pewnie będzie pan chciał zdobyć bilety na Superpuchar?

- Jasne, że tak.

- Może być kłopot - ostrzegła Russella agentka.

- Już ja znajdę sposób.

Godzinę później, po krótkiej rozmowie telefonicznej, pośredniczka schowała czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, potwierdzony przez jej własnego męża. Najpierw jednak udzieliła Russellowi wskazówek, jak trafić do miejscowych sklepów z meblami i sprzętem domowym. Po kolejnej godzinie Russell stał się właścicielem białej furgonetki marki Ford z miejscowego punktu sprzedaży i ruszył w stronę rancza. Zaparkował wóz w jednej ze stodół. Na jakiś czas postanowił też zatrzymać wynajętego mercurego. Jeszcze jedna noc w motelu i znajdzie się na swoich nowych włościach. Russell nie czuł jednak triumfu z powodu swoich dokonań. Miał jeszcze tyle do zrobienia.

Cathy Ryan bacznie śledziła teraz doniesienia dzienników. Nie było lepszego źródła informacji o skandalach i przeciekach na temat rządu, a właśnie te sprawy zaczęły interesować Caroline, zwłaszcza jeśli autorem notatki okazywał się niejaki Robert Holtzman. Na nieszczęście kolejne artykuły o problemach z CIA były ogólniejszej natury i dotyczyły głównie zmian w ZSRR, w których Cathy nie mogła się połapać. Nie interesowały ją przetarasowania polityczne na Kremlu, i tyle, podobnie jak Jacka nie interesowały nowe dokonania w chirurgii oka, które tak zajmowały jego żonę. Wreszcie jednak znalazła krótki artykuł na temat machinacji finansowych "członka kierownictwa Agencji". Ponieważ temat przewijał się już drugi raz, Cathy zrozumiała, że o ile naprawdę chodzi o Jacka, wszystkie interesujące prokuraturę dowody znajdują się w jej domu. Była niedziela, a Jack siedział oczywiście w pracy, pozostawiając żonę z dziećmi, które w chłodny poranek wylegiwały się przed telewizorem. Cathy sięgnęła więc do kartoteki finansowej męża.

Zadanie okazało się potworne. Drugą rzeczą, która obok polityki zupełnie nie obchodziła Cathy, były finanse. W myśl cichej umowy zajmował się nimi Jack, jak jego żona zajmowała się kuchnią. Caroline nie wiedziała więc nawet, w jakim porządku Jack układa papiery. Mogła za to być pewna, że mężowi nigdy nie przyjdzie do głowy, iż zapuściła się kiedykolwiek w tę finansową dżunglę. Przerzucając kolejne teczki, Cathy odkryła, że maklerzy zarządzający ich portfelem akcji radzą sobie w tych miesiącach wcale nieźle. Zwykle oglądała tylko końcowy coroczny raport o dochodach. Pieniądze nie interesowały jej specjalnie, jako że dawno spłacili z mężem dom, odłożyli odpowiednią sumę na studia dzieci i utrzymywali się z połączonych pensji. Dzięki temu portfel

inwestycyjny wciąż rósł, co komplikowało raport podatkowy. Podatkami również zajmował się Jack (który wciąż zachował dyplom księgowego) czasem wspomagany przez adwokata rodziny. Cathy aż zachłysnęła się na widok sumy oznaczającej wartość majątku netto i postanowiła wysłać maklerom ładną kartkę na następne święta. Nie tego jednak szukała, grzebiąc w papierach. Dopiero o wpoi do trzeciej, oczywiście na samym końcu, znalazła kartonową teczkę, opatrzoną po prostu nazwiskiem "Zimmer". Segregator miał dobre dziesięć centymetrów grubości. Cathy usiadła po turecku na podłodze i otworzyła go. Bolała ją głowa od ciągłego wyężdżania wzroku, nie miała jednak czasu, żeby zażyć tylenol. Pierwszym dokumentem w tezcze był list Jacka do adwokata; nie chodziło jednak o prawnika rodziny, który zajmował się testamentami, zeznaniami podatkowymi i resztą rutynowych dokumentów. List zobowiązywał adwokata do ustanowienia funduszu edukacyjnego na rzecz siedmiorga dzieci, którą to liczbę po kilku miesiącach poprawiono na "ośmioro": Podstawą funduszu stał się portfel aktywów o wartości ponad pół miliona dolarów, a obrót akcjami wzięli w swoje ręce ci sami maklerzy, którzy zajmowali się finansami Ryanów. Cathy zaskoczył także fakt, że w tym przypadku Jack udzielał maklerom szczegółowych wskazówek, jak i w co mają inwestować, choć nie czynił tego z resztą domowych finansów. Nie stracił dawnego nosa do transakcji, gdyż zyski z funduszu Zimmerów przekraczały dwadzieścia trzy procent rocznie. Kolejne sto tysięcy dolarów zainwestował Jack w firmę (według podrozdziału S o subajencji, cokolwiek to oznaczało), odnajętą od korporacji Southland. Chodzi po prostu o sklepik "7-11", uświadomiła sobie Caroline. Firma działała w Marylandzie, a jej adres podano jako...

- To w naszej okolicy! - szepnęła Cathy. I rzeczywiście, sklepik mieścił się tuż przy szosie numer pięćdziesiąt, co oznaczało, że Jack mija go dwa razy dziennie, w drodze do pracy i z pracy.

Bardzo wygodnie.

Do cholery, kto to jest ta Carol Zimmer?

Rachunki ze szpitala? Oddział położniczy?!

Doktor Marsha Rosen! Cathy wiedziała, o kogo chodzi, i gdyby sama nie pracowała w klinice John Hopkins, na swoją położniczkę wybrałaby właśnie doktor Rosen, absolwentkę Yale i znakomitą lekarzkę.

Dziecko? Jacqueline Zimmer. Jacqueline. Cathy poczuła, że pąsowieje. Za chwilę po policzkach zaczęły jej cieknąć łzy.

Ty szuj! Mnie to nie chcesz dać dziecka, ale jakiejś obcej, proszę bardzo!

Cathy sprawdziła jeszcze daty, sięgając pamięcią wstecz. Tamtego dnia Jack wrócił do domu bardzo późno. Pamiętała, bo musiała z tego powodu odwołać zaproszenia na kolację u...

A więc był tam! Asystował przy porodzie! Czy trzeba lepszego dowodu? Triumf z dokonanego odkrycia przemienił się jednak prędko w czarną rozpacz.

Cathy wciąż nie wierzyła, że koniec świata może nastąpić tak łatwo. Wystarczy świstek papieru, i już. Koniec świata.

Czy naprawdę koniec?

Jakże inaczej? Nawet gdyby Jack chciał wytrwać w związku... Czy tego chciała?

Tylko co z dziećmi? Cathy zamknęła segregator i nie wstając z podłogi, odłożyła go na miejsce.

- Zastanów się, nim coś zrobisz - powiedziała sobie. - Od tego jesteś lekarzem.

Dzieci potrzebują ojca, oczywiście, ale też jaki z Jacka ojciec? Nie ma go w domu trzynaście i czternaście godzin na dobę, często przez siedem dni w tygodniu. Raz tylko, jeden jedyny raz zabrał syna na mecz, mimo ciągłych próśb. Dobrze, jeśli pojawił się na połowie meczów rozgrywanych przez drużynę małego Jacka w lidze szkolnej. Przegapił wszystkie imprezy w szkole, co do jednej: inscenizację gwiazdkową i co tam jeszcze. Cathy zaskoczył właściwie fakt, że Jack spędził Boże

Narodzenie z rodziną. Poprzedniego wieczora upił się oczywiście przy składaniu zabawek, więc nie zadała sobie nawet trudu, by zwabić go do łóżka. Bo i po co? Owszem, przywiózł jej prezent, nawet ładny, ale nic oszałamiającego, takie zakupy załatwia się w parę minut...

Zakupy.

Cathy wstała i przerzuciła pocztę na biurku Jacka. Na wierzchu leżała sterta rachunków z kart kredytowych. Okazało się, że Jack zakupił masę rzeczy w... W Hamley's, w Londynie. Sześćset dolarów? Przecież przywiózł dla małego Jacka tylko jeden prezent, i dwa drobiazgi dla Sally. Sześćset dolarów!

Świąteczne zakupy dla dwóch rodzin, Jack?

- Nie potrzeba ci więcej dowodów, Cath - stwierdziła na głos. - Boże, o Boże...

Przez długi czas nie ruszała się z podłogi. Pograżona w rozpacz nie zauważała upływu czasu, choć matczyzny instynkt kazał jej podświadomie nadśluchiwać głosów dzieci w bawialni.

Jack wrócił do domu przed siódmą wieczór, wielce zadowolony z faktu, że wyrwał się godzinę wcześniej i, co więcej, że na mur beton przygotował wszystkie szczegóły akcji w Meksyku. Pozostawało tylko przedstawić plan w Białym Domu i uzyskać aprobatę prezydenta. Fowler pójdzie na to, choć nie lubi ryzyka, szpiegowania i czego tam jeszcze - dla polityka akcja stanowiła zbyt smakowity kąsek, by ją sobie darować - a kiedy Clark i Chavez zrobią swoje, akcje Jacka natychmiast pójdą w górę i wszystko się odmieni. Wszystko pójdzie lepiej. Uda się poskładać życie do kupy. Na początek, myślał Jack, trzeba zaplanować wakacje. Najwyższy czas. Tydzień wolnego, może nawet dwa, a jeśli jakiś zasraniec z CIA pojawi się z teczką codziennych raportów, udusi się skurwysyna, i cześć. Urlop to urlop, kropka. Dwa długie tygodnie. Zwolni się dzieci ze szkoły, niech jadą przywitać się z Myszką Miki, dokładnie jak radził Clark. Jutro trzeba zarezerwować bilety.

- Jestem! - zawołał Jack, wkraczając w progi. Cisza. Zdziwił się. Kiedy zszedł na dół, dzieci oglądały telewizję. Za dużo tkwią wgapione w ekran, ale mogą za to winić tylko ojca. Trudno, to też trzeba zmienić. Jack przysiągł sobie, że zacznie wracać wcześniej z Langley. Najwyższy czas, żeby Marcus zaczął robić swoje, zamiast przychodzić w południe i zwałać całą robotę na swego zastępcę.

- Gdzie mama?

- Nie wiem - odpowiedziała Sally, nie odrywając wzroku od zielonych glutów i pomarańczowych macek na ekranie.

Ryan wrócił na górę i wszedł do sypialni, by się przebrać. Żony ani śladu. Dostrzegł ją wreszcie, z koszem brudnej bielizny w dłoniach, i zastąpił jej drogę, próbując ją pocałować. Cathy odsunęła się jednak, potrząsając głową. Nie szkodzi, nie to nie.

- Co na obiad, kotku? - zapytał wesoło.

- Nie wiem. Zrób sobie, co chcesz. - Cathy zmroziła go zwłaszcza tonem głosu, agresją, której przecież nie sprowokował w żaden sposób...

- Co ci zrobiłem? - zapytał Jack, który w zaskoczeniu nie zorientował się jeszcze w rozmiarach złego humoru żony, Cathy miała wzrok dzikiego zwierzęcia, a kiedy odpowiadała, jej głos przebił go na wylot.

- Nic, Jack. Nic mi nie zrobiłeś.

Przepchnęła się obok niego z koszykiem i zniknęła za rogiem korytarza.

Jack stał nieruchomo, oparty plecami o ścianę. Nie wiedział, co począć ani co powiedzieć; nie miał pojęcia, dlaczego żona ni stąd, ni zowąd go zniecierliwiła.

Żegluga z Latakii do Pireusu zabrała ledwie półtora dnia. Bock znalazł statek, który płynął bezpośrednio do właściwego portu, co pozwalało uniknąć przepakowywania ładunku w Rotterdamie.

Kati początkowo kręcił nosem, lecz kiedy przestudiowali uważnie terminarz rejsów, okazało się, że zaoszczędzą w ten sposób pięć dni, co mogło mieć znaczenie. Patrzył teraz wraz z Hosnim, jak suwnica unosi kontener i składa go na pokładzie MV "Carmen Vita", greckiego kontenerowca z linii śródziemnomorskiej. Frachtowiec miał rzucić cumy z wieczornym przyptywem i za jedenaście dni przybić do wybrzeży USA. Kati chciał nawet początkowo wynająć samolot transportowy, lecz mogłoby się to okazać zbyt ryzykowne. Jedenaście dni. Będzie jeszcze czas pójść do lekarza, a potem wsiąść w samolot do Ameryki i przekonać się na miejscu, czy wszystko zapięte na ostatni guzik. Dokerzy umocowali kontener na pokładzie. Miejsce było w sam raz, pośrodku pokładu, pod ochroną innych kontenerów z boku i z góry, a prócz tego na tyle daleko od dziobu, że zimowe sztormy nie mogły zagrozić blaszanemu pudłu. Hosni i Kati rozsiedli się w portowym barze i obserwowali wypłynięcie statku w morze. Później złapali samolot do Damaszku i samochodem powrócili do kwatery. Warsztat zdążył już zniknąć; czy raczej, zamknięto go na dłużej. Linie przesyłowe prądu zostały zdjęte, a wszystkie wejścia do kryjówki zasypane ziemią. Ktoś, kto wjechałby ciężką ciężarówką na przysypany ziemią dach, zdziwiłby się wielce, lecz na szczęście wypadek taki był mało prawdopodobny. Kto wie, czy znów nie przyjdzie wykorzystać warsztatu w tym samym celu? Ze względu na taką możliwość Kati zrezygnował z przenoszenia maszyn w inne bezpieczne miejsce. Logicznym wyjściem było po prostu zasypać wszystkie wejścia.

Russell poleciał do Chicago, żeby kibicować w pierwszej rundzie eliminacji do Superpucharu. Zabrał ze sobą aparat, kosztownego Nikona F4 i wypstrykał dwie rolki kolorowego filmu 21 DIN, fotografując wozy transmisyjne sieci ABC z redakcji Poniedziałkowego Studia Futbolu. Potem złapał taksówkę z powrotem na lotnisko. Poszczęściło mu się z samolotem, dzięki czemu, wracając samochodem z lotniska Stapleton do nowego domostwa przy autostradzie 76, wysłuchał w radiu końcówki transmisji z rozgrywek. Niedźwiedzie w dogrywce zwyciężyły dwadzieścia trzy do dwudziestu. Oznaczało to, że drużyna w Chicago za tydzień będzie miała zaszczyt przegrać w hali Metrodome z Wikingami. Minnesota pauzowała w pierwszej rundzie eliminacji, dzięki czemu Tony Wills miał szansę zaleczyć kontuzję pachwiny. Sprawozdawca przypominał, że beniaminek drużyny w pierwszym sezonie zawodowej gry w lidze NFL przebiegł z piłką prawie dwa tysiące jardów, nie licząc ośmiuset jardów przy odbieraniu podań. Mecz eliminacyjny ligi AFC grano na zachodnim wybrzeżu, dzięki czemu Russell mógł go sobie obejrzeć prawie w całości. Obyło się bez niespodzianek, ale zawsze przyjemnie jest pokibicować.

USS "Maine" wypłynął z bunkra bez przygód. Holowniki odwróciły okręt, kierując go dziobem do wyjścia z portu i czuwały w pogotowiu, na wypadek, gdyby miały się okazać potrzebne. Komandor Ricks stał oparty o reling na szczycie kiosku, na pomoście położonym bardziej w stronę rufy niż sterówka. Komandor podporucznik Claggett czuwał w centrali i jako oficer nawigacyjny osobiście zdejmował peryskopem pozycję okrętu, którą bosman posłusznie nanosił na mapę, upewniając się, że idą właściwym kursem i środkiem kanału żeglugowego. Rejs ku otwartym wodom dłużył się, choć w całym okręcie załoga zajęła się rozmieszczaniem zapasów i ekwipunku. Marynarze wolni od wachty usiłowali drzemać w swoich kojach. Cała załoga "Maine" miała wkrótce, przestawić się na cykl sześciogodzinnych wacht, więc marynarze zmuszali się do zmiany lądowych przyzwyczajzeń, jak gdyby pozostawili rodziny i przyjaciół na innej planecie. Przez najbliższe dwa miesiące granice wszechświata wyznaczać będzie stalowe poszycie okrętu podwodnego.

Mancuso obserwował zawsze wyjście w morze każdego ze swoich okrętów. W myślach gryzł się faktem, że nie było sposobu, by pozbawić Ricksa dowództwa. Niestety, nie można, i tyle. Za kilka

dni miał okresowe zebranie w dowództwie grupy, będzie okazja podzielić się wątpliwościami na temat kapitana "Maine". Pierwsza rozmowa będzie z konieczności ostrożna, tyle że w sztabie dowiedzą się, że dowódca załogi "złotej" jest nie za bardzo. Polityczny charakter tych podchodów drażnił Mancusa, który wolał wygarnąć kawę na ławę, jak przystało w marynarce wojennej. Marynarka wojenna trzymała się jednak ścisłych reguł, a ponieważ nie było jednoznacznych podstaw, by zwolnić Ricksa, pozostawało jedynie wyrazić swoje wątpliwości na temat komandora i jego nawyków. Co gorsza, dowódcą grupy był inżynier, kubek w kubek podobny do Ricksa, i trudno było liczyć na wsparcie z jego strony.

Mancuso na próżno usiłował nazwać to, co czuł w tej chwili. Ołowianoszary kadłub zniknął w oddali, prześlizgując się po idealnie gładkiej wodzie portu. USS "Maine" wychodził na piąty patrol bojowy w służbie, którą amerykańskie okręty podwodne pełniły z górą od trzydziestu lat. Świat mógł się zmieniać, jak chciał - służba pozostawała wciąż taka sama. "Maine" wypływał właśnie w rejs, by strzec pokoju za pomocą najbardziej niehumanitarnej broni, jaką wymyślono. Dowódca dywizjonu pokręcił głową. Takiej to stacji przyszło mu być zawiadowcą. Dokładnie z tej przyczyny całe życie wolał służyć na podwodnych niszczycielach. Patrole były jednak skuteczne i potrzebne. Będą potrzebne jeszcze przez wiele lat. Bart Mancuso pocieszał się myślą, że choć nie każdy z jego kapitanów jest drugim Mushem Mortonem, przynajmniej wszyscy punktualnie i w całości wracają z morza. Wsiadł więc do granatowego samochodu sztabowego i kazał się wieźć i powrotem do kancelarii. Papierki czekają.

Na szczęście dzieci nie zorientowały się w sytuacji. Jack pocieszał się tą myślą, przekonany, że najmłodszy dorastają jako widzowie w nieskończenie skomplikowanym świecie, który zgłębić można dopiero po latach edukacji. Dzięki temu dzieci zwracają uwagę głównie na to, co rozumieją, a zatem nie będą sobie zaprzętały głowy faktem, że mama i tato przestali ze sobą rozmawiać. Taki stan rzeczy nie mógł, rzecz jasna, trwać w nieskończoność, ale być może potrwa do czasu, kiedy uda się wszystko załagodzić. Być może? Naturalnie, że potrwa, powiedział sobie Jack.

Nie miał pojęcia, o co poszło ani dlaczego to on miał być czemukolwiek winien. Powinien był oczywiście wracać do domu o ludzkiej porze, zabrać Cathy na kolację w porządnym lokalu; choć nie, przy dwojgu dzieciach w wieku szkolnym nie wchodziło to w rachubę. W jaki to niby sposób zdobyć opiekunkę na jeden wieczór, w środku tygodnia i tak daleko od miasta? Oczywiście mógł sam zostać w domu i zająć się wreszcie żoną, lecz wówczas, w nieunikniony sposób...

Nie mógł jednak liczyć na to, że stanie na wysokości zadania. Kolejna porażka pogorszy tylko sytuację.

Jack Ryan podniósł wzrok znad biurka i spojrzął przez okno na sosny, wyznaczające obręb terenów CIA. Doskonała symetria. Najpierw praca zawodowa rozwalila mu życie rodzinne, a teraz życie rodzinne rozwalala pracę. Jack nie mógł ani tu, ani tam wywiązać się z obowiązków. Prawda, jaka to miła myśl? Wstał zza biurka i opuścił gabinet. W kiosku w najbliższym hallu kupił paczkę papierosów, pierwszą od... Pięciu? Sześciu lat? Nieważne. Zerwał celofan z pudełka i wystukał papierosa. Jedną z zalet własnego gabinetu było to, że mógł palić do woli, nie przejmując się innymi. Jeśli chodzi o zakaz palenia, CIA zaczęło przypominać resztę instytucji rządowych: palenie dozwolone było już tylko w toaletach. Wracając, Jack udał, że nie dostrzega dezaprobaty w oczach Nancy. Długo grzebał w biurku, szukając zapalniczki. Wreszcie znalazł.

Po minucie, kiedy dym zdążył już zasumieć mu w głowie, Jack Ryan umocnił się w przekonaniu, że palenie to jedna z niewielu pewnych przyjemności w życiu. Drugą był alkohol. Zażywało się te substancje z pełną gwarancją, że przyniosą spodziewane skutki. Tylko w ten sposób

dało się wytłumaczyć ich popularność, mimo oczywistych szkód dla zdrowia. Jedynie alkohol i nikotyna potrafiły przemienić nieznośne życie w coś innego, skracając je zarazem.

Wspaniała perspektywa. Ryan prawie się roześmiał na myśl o swojej głupocie. Jakby nie dość mu było wykańczania się na inne sposoby... Zresztą, czy to takie ważne?

Najważniejsza była praca, o tym Jack był święcie przekonany. Dzięki pracy władował się w obecne bagno, tak jak pracy zawdzięczał to, że zmienił się w strzęp człowieka. Nie mógł jednak porzucić obowiązków, tak jak nie mógł zmienić niczego więcej.

- Nancy, zechciej poprosić do mnie pana Clarka.

John zjawił się w dwie minuty później i natychmiast zauważył papierosa.

- O, cholera, doktorze! A co powie żona?

- Nic nie powie.

- Bardzo się pan myli - skwitował uwagę Clark i otworzył okno, by przewietrzyć gabinet Sam dawno już rzucił palenie, jako jedyny nałóg, którego się obawiał. Papierosy zabiły jego ojca. - O co chodzi?

- Chciałem zapytać, jak sprzęt?

- Czekam z montażem na pana zgodę.

- Działaj - rozkazał Jack po prostu.

- Dostał pan zezwolenie na akcję?

- Nie, ale i tak mi niepotrzebne. Wpiszemy montaż jako część badań przygotowawczych. Ile czasu ci trzeba, żeby poskładać wszystko do kupy?

- Technicy mówią, że trzy dni. Musimy działać we współpracy z lotnictwem.

- Jak tam komputerowcy?

- Sprawdzili już działanie programu. Zgrali taśmy z sześciu różnych samolotów i wykasowali szumy. Godzinę czystego zapisu uzyskują w dwie, trzy godziny.

- Z Meksyku do Waszyngtonu jest...

- W zależności od pogody, do czterech godzin lotu, góra. Żeby spisać całą taśmę, posiedzą od wieczora do rana - ocenił rzecz Clark. - Jaki będzie rozkład dnia prezydenta?

- Ceremonia powitania w poniedziałek po południu. Pierwsza runda rozmów nazajutrz rano. Bankiet we wtorek wieczorem.

- Wybiera się pan?

- Nie, idę na prezydencki bankiet tydzień wcześniej. Jezu, mam nadzieję, że wystarczy czasu? Zadzwoń do 89 Skrzydła w bazie Andrews. Ciągłe mają loty ćwiczebne, nie powinno być kłopotu z zapakowaniem was na pokład.

- Wybrałem już trzy grupy przechwytyjące. Starzy szpiedzy z rozpoznania elektronicznego marynarki i lotnictwa. Znają się na rzeczy - zapewnił Clark,

- Doskonale. Działaj.

- Już pędzę, doktorze.

Jack wzrokiem odprowadził Clarka do drzwi i zapalił kolejnego papierosa.





# ZBIEŻNOŚĆ

Kontenerowiec MV "Cannen Vita" przepłynął Cieśninę Gibraltarską zgodnie z rozkładem. Diesle marki Pielstick nadawały mu stałą prędkość dziewiętnastu węzłów. Czterdziestoosobowa załoga (wśród której nie było kobiet, choć trzech spośród oficerów zabrało w rejs swoje żony) zajęła się bez reszty wachtami i konserwacją statku. Od przylądków Virginii dzieliło ich jeszcze siedem dni żeglugi. Pokład i ładownie frachtowca wypełniała pokaźna liczba metalowych kontenerów, które produkowano w dwóch wielkościach. Kapitan i załoga nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć, co mieści się w blaszanych pudłach. Konteneryzacja transportu ma to do siebie, że statek staje się zwyczajnym ciągnikiem i przestaje się pod tym względem różnić od ciężarówki z firmy przewozowej. Załoga troszczyła się tylko o wagę poszczególnych kontenerów, która także zresztą była typowa, z powodu przepisowego limitu obciążenia dla ciągników naczepowych na szosach.

Równikowej trasie statku należało zawdzięczać spokojny i nudnawy przebieg rejsu. Sztormy naprawdę groźne spotykało się nie tu, lecz na północnym Atlantyku. Kapitan statku, urodzony w Indiach, był szczerze wdzięczny losowi. Mimo młodego wieku, gdyż liczył sobie zaledwie trzydzieści siedem lat, wiedział już, że dzięki dobrej pogodzie zaoszczędzi czas i paliwo. Marzył o dowództwie na większej i bardziej dostojnej jednostce; miał świadomość, że jeśli tylko doprowadzi "Carmen Vita" do celu na czas i nie przekraczając budżetu, awans go nie ominie.

Dziesiąty dzień z rzędu Clark nie dostrzegł pani Ryan w drzwiach domu. Kto jak kto, ale John Clark miał oko do takich szczegółów. Wyćwiczył pamięć podczas lat w służbie operacyjnej, w której tylko ci, co zapamiętują każdy szczegół, ważny czy nieważny, mają szansę wyjść, z życiem. Zwykle Clark widywał żonę Ryana mniej więcej co drugi dzień, z uwagi na rozkład dnia swojego szefa i jej własny harmonogram, w którym co najmniej dwa razy w tygodniu wypadały poranne operacje... Tego ranka Cathy Ryan była jednak w domu, John widział ją przez okno kuchni, siedzącą przy stole. Pewnie piła kawę i przerzucała gazetę albo oglądała telewizję. Nie odwróciła nawet głowy, by spojrzeć w ślad za mężem, choć przecież zwykle wstawiała i całowała go na do widzenia, jak to żona. Dziesięć dni z rzędu - nic.

Nie za dobry znak, prawda? O co im poszło? Jack podszedł do samochodu. Twarz miał nachmurzoną, wzrok wbity w ziemię, a co gorsza, minę kwaśniejszą niż zwykle.

- Witam doktora! - przywitał go radośnie Clark.

- Cześć, John - odrzekł cicho Ryan, który znów nie wziął ze sobą porannej gazety. Zabrał się zaraz za lekturę tajnych raportów z teczki, lecz kiedy dojeżdżali do Waszyngtonu, jak zwykle wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w odległy horyzont i bez słowa palił papierosa za papierosem. Clark nie mógł już znieść tej sytuacji.

- Jakież kłopoty w domu, doktorze? - zapytał niegłośnie, nie odrywając oczu od szosy.

- Owszem, ale to moja sprawa.

- Jasne, jasne. Dzieci zdrowe?

- Nie chodzi o dzieci, John, i w ogóle daj mi spokój.

- Przepraszam. - Clark skupił się na jeździe, podczas gdy Jack znów zabrał się za meldunki.

O co im poszło? - głowił się Clark. Przeanalizuj to, chłopie, na spokojnie.

Szef tkwił w dziwnej depresji już od miesiąca, lecz ostatnio był w coraz gorszej formie - czyżby

od czasu tego artykułu, donosu Holtzmana? Kłopoty rodzinne, ale nie chodzi o dzieci. Czyli kłopoty z żoną. Clark zanotował sobie w pamięci, by w biurze przemyśleć jeszcze raz wszystkie fragmentaryczne informacje. Ruch był tego ranka znikomy, więc już siedemdziesiąt minut po odjeździe sprzed domu Ryanów Clark przekroczył próg znakomitej skądinąd biblioteki CIA i zapędził personel do roboty. Zadanie okazało się łatwe. Agencja założyła osobną kartotekę na wszystkie wycinki prasowe dotyczące pracy CIA, ułożoną według nazwisk autorów. Clark natychmiast zrozumiał, na czym polega cała sytuacja.

Holtzman pisał o nadużyciach finansowych i obyczajowych. Zaraz po tym, kiedy ukazał się artykuł...

- Kurwa mać - szepnął sam do siebie Clark. Odbił na kserokopiarce cztery nowe artykuły i wyszedł na spacer, by przewietrzyć umysł. Jedną z zalet pracy ochroniarza, szczególnie jeśli się strzegło Ryana, była znikoma liczba obowiązków. Ryan praktycznie nie ruszał się z Langley, podróżował rzadko i niechętnie. Spacerując po parku wokół centrali, Clark przestudiował jeszcze raz artykuły i połączył w całość zbieżne poszlaki. Artykuł z niedzieli... Ryan tamtego dnia ruszył do domu wcześniej, opowiadał po drodze, jak to zaraz po akcji w Meksyku pójdzie na urlop, rozważał za i przeciw propozycji Johna, by wyruszyć na Florydę, lecz nazajutrz rano wyglądał jak trup. Nie miał też ze sobą gazety. Gazetę czytała pani Ryan. Coś bardzo złego zaszło między małżonkami, to wydawało się oczywiste, przynajmniej dla Clarka.

Wrócił do budynku, przekraczając kolejne bramki otwierane przez komputer, po czym dłuższą chwilę szukał Chaveza, oddelegowanego do nowego skrzydła centrali. Znalazł go w biurach pionu, pochylonego nad rozkładami lotów.

- Ding, wskakuj w kurtkę.

Dziesięć minut później pędzili waszyngtońską obwodnicą, a Chavez sprawdzał plan Baltimore.

- O, mam - odezwał się. - Róg Broadwayu i Monument Street, w górę od portu.

Russell wbił się w kombinezon roboczy. Zdjęcia wozów transmisyjnych sieci ABC z Chicago wyszły świetnie, a w laboratorium w Boulder powiększono je do rozmiarów plakatu. Russell porównał fotografie ze swoją furgonetką, która była dokładnie tej samej marki i typu, co wozy telewizji, po czym wymierzył wszystko starannie. Dalsza część zadania nie była łatwa. Indianin kupił zawczasu tuzin arkuszy sztywnej folii plastikowej i przyciął kilka z nich ściśle do rozmiarów znaku firmowego ABC. Każdy szablon przypiął do boku furgonu i nakreślił flamastrem zarysy znaków. Dopiero za szóstym razem udało mu się dokładnie odrysować symbol i wyskrobać nożem na lakierze odpowiednie kontury. Żał mu było rysować lakier nowego samochodu, lecz w końcu machnął ręką, uświadamiając sobie, że wóz i tak zostanie rozerwany wybuchem, nie ma zresztą sensu rozczulać się nad głupim furgonem. Kiedy skończył, mógł być dumny ze swoich artystycznych talentów, których nie miał okazji roztoczyć przed światem od czasów zajęć w więziennych warsztatach przed wieloma laty. Kiedy wymaluje czarne litery na białym boku furgonetki, nikt nie pozna się na falsyfikacie.

Jeszcze tego samego dnia Russell pojechał fordem do urzędu komunikacyjnego i zmienił tymczasowe tablice na nowy komplet, wskazujący, że samochód jest własnością firmy. Wyjaśnił urzędnikom, że furgon służyć będzie jego firmie elektronicznej, zajmującej się montażem i konserwacją biurowych centralek telefonicznych. Marvin opuścił biuro z parą tymczasowych tablic; nowe miał otrzymać pocztą w ciągu czterech dni roboczych, co wydało mu się wręcz nadgorliwością ze strony urzędu. Z prawem jazdy poszło jeszcze łatwiej. Stan Kolorado honorował międzynarodowe dokumenty, które wręczył mu Hosni wraz z paszportem. Pozostawało mu tylko zdać test pisemny. Wkrótce oprócz tablic rejestracyjnych miał w ręku nowiutkie prawo jazdy. Jedyłą "pomyłkę"

popęłnił, kiedy źle wpisał coś na fotokopiuwanym blankiecie. Urzędnik wręczył mu jednak nowy blankiet, a stary Russell cisnął do kosza na śmieci. Tak przynajmniej mogło się wydawać komuś, kto nie zauważył, jak zepsuty blankiet wędruje do kieszeni kurtki.

Klinika Uniwersytetu Johna Hopkinsa mieści się w dość podejrzanej dzielnicy. Być może chcąc zadośćuczynić ten fakt personelowi, miejscowa komenda policji strzeże obiektu w sposób, który Clarkowi przypominał jego najlepsze lata w Wietnamie. Znaleźli miejsce przy krawężniku na Broadwayu, prawie naprzeciwko bram kliniki i weszli obaj do budynku, mijając marmurowy posąg Jezusa, który zdumiał ich rozmiarami i precyzją szczegółu. John Hopkins to pokaźna uczelnia i olbrzymie rozmiary kompleksu zabudowań utrudniały poszukiwania, lecz po dziesięciu minutach Clark i Chavez siedzieli już w Instytucie Okulistyki Wilmera przed gabinetem profesor dr Caroline M. Ryan, członka Amerykańskiego Stowarzyszenia Chirurgów. Clark dla odprężenia przerzucał jakiś magazyn, podczas gdy Chavez łapczywym wzrokiem pożerał sekretarkę, którą pani Ryan najwyraźniej wysoko sobie ceniła. Doktor Ryan numer dwa, jak nazywał ją w myślach Clark, pokazała się o dwunastej trzydzieści pięć z naręczem dokumentów. Omiotła obu funkcjonariuszy spojrzeniem, jak gdyby pytała "a panowie kto?" i bez słowa zniknęła za drzwiami. Clark także nie przypatrywał się zbyt długo lekarce. Zawsze wydawała mu się kobietą atrakcyjną i elegancką. Teraz wrażenie zniknęło. Caroline Ryan była jeszcze bardziej mizerna na twarzy niż jej mąż, o ile to w ogóle możliwe. John nie łudził się co do możliwego rozwoju wypadków. Policzył więc do dziesięciu i wyminął sekretarkę, która bez słowa otworzyła usta. Czekają go trudne początki w nowym fachu, jako specjalisty od ratowania małżeństw.

- O co chodzi? - zapytała Cathy. - Nie mam dziś w planie wizyt.

- Zabiorę pani dosłownie parę minut.

- Kim pan jest? Chce mnie pan wypytywać o Jacka?

- Proszę pani, nazywam się Clark. - Tu funkcjonariusz sięgnął do kieszeni koszuli i wydobyl noszoną na łańcuszku wokół szyi kartę identyfikacyjną pracownika CIA. - Myślę, że powinna się pani dowiedzieć o paru sprawach.

Cathy natychmiast wbiła w Clarka twarde spojrzenie. Zamiast bólu czuła teraz wściekłość.

- Wszystko wiem - oświadczyła. - Wszystko już słyszałam.

- Nie, proszę pani, wydaje mi się, że nie wie pani wszystkiego. Tutaj źle nam się będzie rozmawiało. Czy mogę zaprosić panią na lunch?

- W tej okolicy? Na ulicach nie jest zbyt...

- Bezpiecznie? - Clark uśmiechem skwitował tę absurdalną uwagę. Po raz pierwszy Caroline Ryan spojrzała na intruza okiem fachowca.

Był tego samego wzrostu co Jack, lecz cięższy. Twarz męża wydawała jej się dotąd męska, twarz Clarka z kolei nazwałaby toporną. Ręce gościa były wielkie i silne, a sposób poruszania się zdradzał, że agent poradzi sobie w każdym starciu. Jeszcze większe wrażenie robiła jego mina. Cathy zdała sobie sprawę, że jej rozmówca jest w stanie nastraszyć dosłownie każdego, lecz robi co może, by zachowywać się jak najgrzeczniej. Udawało mu się to z tym samym skutkiem, co zawodowym graczom w futbol amerykański, którzy przychodzą na spotkania z dziećmi. Pluszowy miś, pomyślała. Nie był misiem, lecz na pewno starał się za takiego uchodzić.

- Jest tu taki bar, na Monument Street...

- Fajno. - Clark odwrócił się i zdjął z wieszaka płaszcz Caroline, nieomal wytwornym gestem pomagając jej ubrać. Na zewnątrz czekał na nich Chavez, o wiele drobniejszej budowy niż Clark, lecz z wyglądu jeszcze groźniejszy, jak wyrostek z ulicznej bandy, który udaje dobre maniery. Kiedy

wyszli za bramę, Caroline ujrzała ze zdziwieniem, że Chavez wybiega przed nich i idzie przodem, co wydało jej się czymś nieomal komicznym. Ulice wokół kliniki nie były, jej zdaniem bezpieczne, przynajmniej dla samotnej kobiety, chociaż bardziej wieczorem niż w dzień, lecz mimo to Chavez poruszał się jak zawodnik na ringu. Wydało jej się to ciekawe. Szybko dotarli do małej restauracji, gdzie Clark skierował się prosto do łoża w odległym kącie i usiadł wraz z Chavezem plecami do ściany, by móc obserwować wejście i zareagować w porę, gdyby coś się działo. Obaj mężczyźni rozpięli też marynarki, choć poza tym wydawali się zupełnie na luzie.

- Kim panowie właściwie są? - zapytała Cathy, której wszystko to przypominało scenę z kiepskiego filmu.

- Jestem kierowcą pani męża - wyjaśnił John. - A z zawodu zajmowałem się akcjami w polu, wojskowymi. Pracuję dla Agencji dobre dwadzieścia lat.

- Takich rzeczy nie wolno wam opowiadać obcym.

- O, proszę pani - Clark potrząsnął głową. - Dopiero zaczynamy łamać prawo. Najpierw powiem pani jeszcze, że pracuję głównie jako oficer ochrony, w pionie bezpieczeństwa. Ding Chavez tak samo.

- Miło panią poznać, pani doktor. Naprawdę mam na imię Domingo - Ding wyciągnął do Cathy prawicę. - Ja też pracuję z pani mężem, John i ja szoferujemy mu, ochramiamy w czasie podróży, i tak dalej.

- Panowie noszą przy sobie broń? Ding nieomalże się stropił na to pytanie.

- O-owszem, proszę pani.

Na tym zakończyła się przygodowa część rozmowy. Cathy stwierdziła w duchu, że obaj twardzi faceci, których miała przed sobą, próbują namącić jej w głowie i że, co gorsza, prawie im się to udało. Nie zmieniało to jednak w niczym sytuacji. Chciała coś powiedzieć, lecz Clark ubiegł ją tym razem.

- Proszę pani, wygląda na to, że poróżniła się pani z mężem. Nie wiem, o co chodzi, to znaczy trochę chyba wiem, ale za to dobrze widzę, co się dzieje z doktorem Ryanem. Jeżeli mu się nie układa, nie układa się też agencji.

- Doceniam pańską troskę, ale to ściśle prywatna sprawa.

- Zgadza się z panią - oznajmił Clark niesamowicie uprzejmym głosem. Sięgnął do kieszeni i wydobył kserokopie artykułów Holtzmana. - Czy o to poszło?

- Nie pański inte... - wyrwało się Cathy.

- Tak myślałem. Proszę pani, to wszystko nieprawda. Znaczą się, te rewelacje o podwójnym życiu. Skłamate od a do z. Pani mąż nie rusza się prawie nigdzie bez naszego towarzystwa. Z powodu swojej funkcji i swojej pracy musi meldować, gdziekolwiek się udaje, jak doktor na dyżurze, rozumie mnie pani? Jeśli panią to interesuje, mogę zdobyć kopie jego rozkładu dnia, od jak dawna pani zechce.

- To na pewno zabronione.

- Faktycznie, zabronione - przytaknął Clark. - Więc jak?

Bardzo chciała uwierzyć w niewinność Jacka, lecz nie mogła. Postanowiła od razu wyjaśnić rozmówcom, dlaczego.

- Posłuchajcie, panowie. Bardzo mnie ujęła wasza lojalność wobec Jacka, ale nic z tego. Wiem wszystko, i tyle. Przejrzałam jego kartotekę finansową, wiem o tej Carol Zimmer, wiem nawet o dziecku!

- A co takiego pani wie?

- Wiem, że Jack czuwał przy porodzie. Wiem o pieniądzach, wiem, że próbował ukryć te

fundusze przede mną i przed całym światem. Wiem, że rząd prowadzi śledztwo w jego sprawie.

- Jak to?

- Inspektor dochodzeniowy z rządu był u mnie w klinice! Takie są fakty!

- Pani doktor, ani CIA, ani FBI nie prowadzą dochodzenia w sprawie pani męża. To także fakt.

- W takim razie skąd wziął się tamten inspektor?

- Niestety nie wiem - brzmiała odpowiedź Clarka. Nie była ona w stu procentach zgodna z prawdą, lecz funkcjonariusz wyszedł z założenia, że mały wybieg nie przeszkodzi mu w osiągnięciu celu.

- Poza tym wiem o Carol Zimmer - zaczęła znów Caroline.

- Ale co pani wie? - potworzył cicho Clark. Odpowiedź zdumiała go doszczętnie, zwłaszcza że brzmiała prawie jak krzyk.

- Jack ma kochankę, właśnie tę Zimmer! Do tego ma z nią dziecko i spędza z nią tyle czasu, że dla mnie nie znajdzie nawet chwili, a w dodatku... - Cathy przerwała, czując w gardle szloch.

Clark odczekał chwilę, pozwalając jej się uspokoić. Ani przez moment nie spuszczał wzroku z twarzy doktor Ryan. Funkcjonariusz doskonale umiał odczytać malujące się tam uczucia. Za to Ding był po prostu zawstydzony sytuacją. Za młody, żeby zrozumieć, co się dzieje.

- Wysłucha mnie pani do końca?

- Jasne, czemu nie? Wszystko i tak skończone, nie poszłam sobie tylko ze względu na dzieci. Proszę, śmiało, niech pan mówi swoje, niech mi pan powie, że Jack mnie kocha i co tam jeszcze. Jeżeli brak mu odwagi, żeby samemu ze mną porozmawiać, dobrze przynajmniej, że przysłał z tym panów do mnie - dodała Cathy z goryczą.

- Po pierwsze, doktor Ryan nie ma pojęcia, że tu jesteśmy. Jeżeli się o tym dowie, prawdopodobnie stracę pracę, ale nie ma zmartwienia, i tak wybieram się na emeryturę. Poza tym za chwilę złamię ważniejsze przepisy niż ten. Od czego by tu zacząć? - Clark zastanawiał się przez chwilę. - Carol Zimmer jest wdową. Jej mąż, starszy sierżant Buck Zimmer, służył w lotnictwie i poległ w akcji. Nawiasem mówiąc, skonał w ramionach pani męża. Wiem, bo sam przy tym byłem. Buck dostał pięć kul przez pierś, w oba płuca. Umierał pięć czy sześć minut. Zostawił po sobie siedmioro dzieci, a właściwie ośmioro, jeśli doliczyć to, które nosiła w brzuchu jego żona. Buck do końca nie wiedział, że Carol znów jest w ciąży. Chciała mu zrobić niespodziankę po powrocie.

Sierżant Zimmer dowodził załogą śmigłowca podczas akcji specjalnej. Polecieliśmy razem z nim do innego kraju, żeby wyratować grupę amerykańskich żołnierzy przerzuconych tam z tajną misją.

- Też brałem w tym udział, proszę pani - wtrącił Ding ku niezadowoleniu Clarka. - Gdyby nie doktor i jego akcja, nie byłoby mnie tutaj.

- Żołnierzom rozmyślnie odcięto drogę odwrotu. Zrobił to ktoś z Waszyngtonu...

- Kto taki?

- Nieważne, i tak nie żyje - odparł Clark tonem, który nie pozostawiał cienia wątpliwości. - Pani mąż wpadł na trop nielegalnej akcji i razem z Danem Murrayem z FBI zorganizował ekspedycję ratunkową. Poszła fatalnie, było bardzo ciężko. Nasze szczęście, że wyszliśmy z życiem. Dziwię się, swoją drogą, że niczego pani u męża nie zauważyła, koszmarów sennych, nie wiem...

- Rzeczywiście, źle sypia, a czasem, czasem nawet...

- O mały włos, a doktor Ryan sam dostałby kulę w głowę. Przeszła obok o parę centymetrów, nie więcej. Musieliśmy zdjąć drużynę otoczoną na szczycie wzgórza, atakowano ich cały czas. Jack pruł z jednego karabinu maszynowego, Buck Zimmer z drugiego. Kiedy podrywaliśmy się w powietrze, Buck dostał serię, padł od razu. Próbowaliśmy go z Jackiem opatrywać, ale wątpię, czy nawet w tej paniklinice daliby radę go odratować. Mało przyjemny widok. Kiedy Buck konał... -

Clark umilkł na chwilę. Cathy czuła, że ból w jego głosie jest autentyczny. - Kiedy konał, mówił o swoich dzieciach. Martwił się, co z nimi będzie, normalnie, jak to ojciec. Pani mąż trzymał Zimmera, no i obiecał mu, że się zajmie rodziną, zadba o to, żeby wykształcić dzieci, zaopiekuje się nimi, wie pani. Siedzę w tej branży od dawna, zanim jeszcze nauczyła się pani prowadzić samochód, i śmiało powiem, że nie widziałem lepszego uczynku niż ten, jaki zrobił Jack.

Kiedy wróciliśmy stamtąd, Jack wywiązał się z obietnicy. Co ja mówię, nie było gadania, że to zrobi. Wcale się nie dziwię, że trzymał wszystko przed panią w tajemnicy. O niektórych szczegółach całej akcji sam nie mam pojęcia do dziś, ale wiem tyle, że jeśli daje się słowo, trzeba go dotrzymać. Pomagałem Jackowi. Najpierw przenieśliśmy rodzinę Zimmerów z Florydy tutaj, pomogliśmy im założyć sklepik... Pierwszy dzieciak jest już na studiach, na Georgetown, drugiego przyjęto na MIT. Zapomniałem pani jeszcze powiedzieć, że Carol Zimmer... Że Carol to nie jest jej prawdziwe imię. Urodziła się w Laosie, Buck wydobył ją stamtąd, kiedy wszystko poszło w diabły, ożenił się z nią, zaczęli produkować dzieciaki jak spod sztancy. Nieważne, chodzi mi o to, że Carol to typowa azjatycka mama: wykształcenie to dla niej dar niebios, więc dzieciaki rzeczywiście uczą się jak wściekłe. Pani męża uważają w ogóle za świętego. Jeździmy z nim do nich co tydzień, regularnie.

- Chciałabym, żeby tak było - bąknęła Cathy. - Ale to dziecko?

- Chodzi pani o dzień porodu? Jasne, obaj byliśmy w klinice. Moja żona siedziała przy wezłowie Carol. Jack powiedział, że nie wypada mu asystować przy samym porodzie, ja też się nie paliłem, trochę się boję takich scen - przyznał Clark - no to siedzieliśmy w poczekalni z resztą przerażonych palantów. O ile pani chce, to panią poznam z Zimmerami. Jeśli uzna to pani za konieczne, może pani zapytać Dana Murraya z FBI, on wszystko potwierdzi.

- A nie narobię panu w ten sposób kłopotów? - zapytała Cathy, która wiedziała od początku, że może zaufać Murrayowi. Dan uznawał moralność za rzecz świętą, jak przystało na starego policjanta.

- Oczywiście polecę za to ze stanowiska. Teoretycznie mogą mi zrobić sprawę w sądzie, bo mówiąc pani to wszystko, popełniam przestępstwo, ale wątpię, czy posuną się aż do tego. Ding także straci pracę, bo wyrwał się z opowieściami, chociaż kazałem mu trzymać gębę na kłódkę.

- A co, kurwa - skomentował tę uwagę Ding i zawstydzil się natychmiast. - O, przepraszam panią. John, sprawa jest honorowa. Żeby nie doktor, zmieniłbym się w nawóz na kolumbijskim pagórku. Uratował mi życie, więc co mi tam praca, mono.

Clark wręczył Caroline fiszkę katalogową.

- Ma pani daty tamtej akcji. Może pamięta pani, że kiedy zmarł admirał Greer, Jack spóźnił się na pogrzeb.

- Tak! Bob Ritter zadzwonił do mnie i...

- Wtedy się to wszystko stało. Może pani zapytać Murraya.

- Boże! - Prawda o całej sytuacji dotarła wreszcie do Cathy.

- Tak jak pani powiedziałem, te artykuły są stekiem kłamstw, i to rozmyślnych.

- Kto je rozpuszcza?

- Nie wiem, ale mam zamiar się dowiedzieć. Pani doktor, od pół roku oglądam, jak ten pani facet się rozsypuje. Widziałem już takie sytuacje, na polu walki - trochę siedziałem w Wietnamie - ale czegoś takiego jeszcze nie oglądałem. Najpierw Traktat Watykański; pokój na cały Bliski Wschód, ale Jack, który najbardziej przyczynił się do układu, nie doczekał się choćby jednej wzmianki. Nie wiem dokładnie, jaka była jego rola, bo pani mąż nie chlapie językiem. Stąd biorą się zresztą jego kłopoty, bo zamyka się w sobie, i cześć. Jeśli za dużo spraw dusić w sobie, przeżerają człowieka jak rak albo kwas, słowo daję. Coś zżera Jacka od dawna, a\* te brednie w gazetach dopiekły mu do reszty.

Powiem pani jeszcze jedno: nie znam lepszego człowieka niż pani mąż, a trochę się kręciłem po tym naszym miasteczku. Nastawiał karku więcej razy, niż by się pani mogła domyślać, ale jest paru takich, którym Jack nie podoba się za diabła, i właśnie ci ludzie próbują się do niego dobrać w taki sposób, żeby nic nie mógł na to poradzić. Typowe brudne podchody, ale akurat Jack nie umie sobie radzić w takich sprawach. Za honorowy, rozumie pani? Dlatego wszystko tak go zżera.

Cathy rozplakała się. Clark podał jej chusteczkę.

- Tak sobie pomyślałem, że powinna pani o tym wiedzieć. Jeśli naprawdę chce pani potwierdzenia, proszę śmiało pytać w FBI, trudno. To pani wyłączna decyzja, więc proszę się nie przejmować mną, Bingiem i kim tam jeszcze, rozumiemy się? Zabiorę panią do Carol Zimmer i dzieciaków. Jeżeli polecę za to, nie szkodzi, i tak już za długo siedzę w tej firmie.

- A... prezenty na Gwiazdkę?

- Dla małych Zimmerów? Jasne, sam pomagałem je pakować. Pani mąż ni cholery nie umie pakować paczek, ale tego nie muszą pani chyba mówić. Sam też kupiłem Zimmerom to i tamto, moje dziewczyny są już za duże na zabawki, a malcy Carol są tacy świetni. Fajnie jest być wujkiem - dodał Clark ze szczerym uśmiechem.

- Więc to wszystko kłamstwo?

- Powiedziałem, nie wiem nic o tych finansach, ale reszta, owszem. Próbowali dobrać się do Jacka poprzez panią, sądząc z tego, co nam tu pani opowiada.

Łzy przestały płynąć, za to Cathy otarła oczy i podniosła wzrok.

- Ma pan rację. Mówi pan, że nie wiadomo, kto za tym stoi?

- Mam zamiar się dowiedzieć - obiecał Clark. Mina Cathy odmieniła się zupełnie. Baba ma klasę.

- Proszę mnie też zawiadomić. Poza tym chcę poznać Zimmerów.

- O której kończy pani pracę?

- Muszę zadzwonić w parę miejsc i spisać kilka notatek. Powiedzmy, za godzinę?

- Powiniennem się wyrobić, trudno, najwyżej wrócę wcześniej i zostawię tam panią. Ten ich sklepik "7-11" stoi jakieś piętnaście kilometrów od pani domu.

- Wiedziałam, że gdzieś blisko, ale nie mam dokładnego adresu.

- Pojedzie pani za mną.

- W takim razie chodźmy - Cathy wstała, usiłując wyjść pierwsza, lecz Chavez ubiegł ją, wyskoczył przed drzwi i prowadził trójkę przez całą drogę do szpitala. Postanowili z Clarkiem zaczekać na dworze i przewietrzyć się trochę. Na masce ich samochodu siedziało dwóch wyrostków.

Dziwna rzecz, ale przekraczając ulicę John Clark doświadczył całkowitej zmiany nastroju. Na początku rozmowy Caroline Ryan była gniewna, zła i zdradzona, on sam zaś zachowywał się jak wcielenie rozsądku. Teraz zaś, kiedy Cathy doszła do siebie, choć nadal dusił ją gniew, cała jej złość przeszła na Johna. Trząsł się cały, lecz oto nadarzała się okazja, by dać upust emocjom.

- Zeskakuj z wozu, gnojku!

- Jezu, John! - próbował go powstrzymać Ding.

- Koniowi powiedz! - rzucił wyrostek, nie ruszając się prawie. Odwrócił głowę w stronę Clarka dopiero wtedy, gdy mocarna ręka złapała go za ramię. Potem świat wywinął kozła, a ceglany mur budynku w błyskawicznym tempie zaczął się przybliżać do twarzy wyrostka. Na szczęście jego przenośne radio wzięło na siebie pierwszy impet uderzenia, rozwalając się w kawałki.

- Uwważaj, kutasie! - warknął młodzik, wyciągając nóż. Jego kompan stał dwa metry dalej. On także miał już w ręku ostrze.

Clark posłał im tylko uśmiech.



- Który pierwszy?

Myśl o pomszczeniu radiomagnetofonu rozwiązała się błyskawicznie. Obaj młodzi wiedzieli, że z pewnymi facetami lepiej nie zaczynać.

- Ciesz się, że nie mam mojego gnata!

- Noże też możecie rzucić, no już!

- Gliniarze z mętowni?

- Nie, nie jesteśmy z policji - oświadczył Clark, zbliżając się z wyciągniętą ręką. Chavez postępował za nim z rozchyloną marynarką, co nie uszło uwagi wyrostków. Obaj rzucili noże i zaczęli się cofać w głąb ulicy.

- Co się tu dzieje, do ciężkiej...

Odwracając się Clark, ujrzał policjanta z psem na smyczy. Pies i właściciel byli gotowi do akcji. Clark mignął swoją legitymacją CIA.

- Jacy bezczelni, wyobraża pan sobie? Chavez podał policjantowi oba noże.

- O, pogubili to, proszę pana.

- Takie sprawy naprawdę lepiej zostawić policji.

- Ma pan rację - zgodził się Clark. - Święta racja. Jaki ładny piesek... Policjant schował sprężynowce do kieszeni i życząc miłego dnia oddalił się, zachodząc w głowę, o co też mogło chodzić funkcjonariuszom.

- A, do widzenia - rzucił za nim Clark i odwrócił się do Chaveza ze słowami: - Do diabła, zaraz mi wrócił humor.

- Spakowałeś się do Meksyku, John?

- Pewnie. Wiesz, nie lubię zostawiać rozgrzebanych spraw, jak gdzieś jadę.

- No to, jak myślisz, kto tu chce zrobić Ryana w człona?

- Nie jestem pewien.

- Już ci wierzę - zauważył Ding.

- Upewnię się dopiero, jak pogadamy z Holtzmanem.

- Jak chcesz, John. Podoba mi się ta doktor Ryan - dodał Ding. - Baba ma styl.

- A co myślisz. Właśnie takiej nam trzeba, żeby postawić Kyana na nogi.

- Myślisz, że zadzwoni do tego Murraya?

- Czy to ważne?

- Nie. - Chavez rozejrzał się po ulicy. - Honorowa sprawa, panie C.

- Wiedziałem, że zrozumiesz, Ding.

Cathy natychmiast wzięła Jacqueline Zimmer na ręce, rozczulając się nad urodą dziewczynki. Sama też chciała dziecka, czuła, że musi mieć następne, z Jackiem. Jeśli się uda, to właśnie dziewczynkę.

- Bo my tyle o pani słyszeli! - przypomniała Carol. - Pani jest doktor?

- Tak, nawet uczę doktorów. Jestem profesorem chirurgii.

- Muszę pokazać pani najstarszego syna. Też chce być doktor. Na razie student, na Georgetown.

- Może będę mu umiała coś doradzić. Czy mogę o coś panią zapytać?

- Tak.

- Pani mąż...

- Buck? Zginął. Jak, nie wiem sama, ale zginął, w akcji, tak się mówi. To wszystko tajemnica. Dla mnie ciężko - dodała Carol trzeźwo i bez żalu. Widocznie pogodziła się z losem. - Buck bardzo dobry. Jak pani mąż. Pani będzie dobra dla niego, tak?

- Ależ tak - zapewniła Laotankę Cathy. - Ale umówmy się na razie, że to tajemnica.
- Co tajemnica?
- Umówmy się, że Jack nie dowie się, że panią znam.
- Tak? Wiem, że ciągle tajemnica, ale... Dobrze, rozumiem. Tajemnica to tajemnica.
- Sama powiem Jackowi o wszystkim. Myślę, że powinna pani nas kiedyś odwiedzić i poznać nasze dzieci. Ale na razie, tajemnica, dobrze?
- Tak, okay. Zrobimy mu niespodziankę, tak?
- Właśnie - Cathy uśmiechnęła się, oddając dziewczynkę matce. - Niedługo zobaczymy się znowu.
- Lepiej się pani czuje? - zapytał Clark, gdy Cathy powróciła na parking.
- Dziękuję panu.
- Proszę ini mówić John.
- Dzięki, John. - Cathy posłała mu najcieplejszy uśmiech, jaki Clark widział od świąt, kiedy ściskał córki.
- Nie ma sprawy.

Clark ruszył na zachód szosą numer pięćdziesiąt, Cathy zaś na wschód, w kierunku domu. - Przylapała się na tym, że kurczowo ściska kierownicę. Wrócił jej poprzedni gniew. Złościła się teraz głównie na siebie, bo przecież jak mogła być tak złego zdania o mężu? Wyszła na idiotkę, małostkową i egoistyczną idiotkę. Trudno, nie stało się tak z jej winy. Ktoś wdarł się im do domu, i tyle, pomyślała, wjeżdżając do garażu. Kiedy weszła do środka, natychmiast złapała za telefon. Pozostało jej jeszcze jedno zadanie. Musiała uzyskać kompletną pewność.

- Cześć, Dan.
- Cathy! Jak tam okulistyka? - zagadnął Murray. - Mam do ciebie jedno pytanie.
- Strzelaj.

Cathy zawczasu obmyśliła, jak postąpić.

- Mam taki kłopot z Jackiem...
- O co chodzi? - głos Murraya w słuchawce stężał.
- Dręczą go koszmary senne - zaczęła Cathy. Nie kłamała, dopiero miała skłamać. - Majaczy coś o helikopterach, o jakimś Bucku... Nie mogę go zapytać wprost, ale...

- Cathy, nie mogę rozmawiać o tej sprawie przez telefon - przerwał jej z miejsca Murray. - Sprawa służbowa.

- Naprawdę?
- Cathy, naprawdę. Wiem coś o tym zdarzeniu i nie mogę o nim z tobą rozmawiać. Przepraszam, ale nie ma rady. Sprawy firmy.

Cathy zamiast ustąpić, nalegała przestraszonym głosem:

- Ale chyba nie chodzi o coś, co się dzieje teraz, to znaczy...
- To było dawno, Cathy, tyle ci mogę powiedzieć. Jeżeli uważasz, że Jack potrzebuje pomocy specjalisty, zaraz zadzwonię gdzie trzeba i...

- Nie, nie uważam tak. Parę miesięcy temu było z nim naprawdę niedobrze, ale teraz jest jakby lepiej. Bałam się tylko, że chodzi o jakieś sprawy w pracy...

- Stare dzieje, Cathy. Nie kłamię.
- Jesteś pewien, Dan?
- Absolutnie. Nie żartowałbym sobie w takiej sytuacji.

Cathy wiedziała, że Dan mówi poważnie. Był w końcu równie uczciwy jak Jack.

- Dziękuję, Dan. Bardzo ci dziękuję - powiedziała więc głosem, w którym była wyłącznie

zawodowa beznamiętność, głosem chirurga.

- Nie ma sprawy, Cathy.

Odkładając słuchawkę, Murray zastanowił się, czy pytania Caroline nie były wybiegiem. Pomyślał jednak, że nie; Cathy w żaden sposób nie mogła się dowiedzieć o akcji w Kolumbii.

Gdyby jednak Murray mógł dojrzeć drugi koniec kabla telefonicznego, zdziwiłby się, jak bardzo się pomylił. Cathy siedziała sama w kuchni i po raz ostatni płakała głośno. Musiała się przekonać, jak wygląda prawda, nie mogła też pozbyć się wszelkich emocji, lecz teraz upewniła się do reszty, że Clark nie okłamywał jej, kiedy mówił, iż ktoś chce skrzywdzić jej męża. Kimkolwiek był ten ktoś, nie wahał się poszczuć na Jacka jego żony i dzieci. Kto mógłby go aż tak nienawidzić? - zastanowiło ją.

Kimkolwiek był ten ktoś, miał w Cathy wroga. Kimkolwiek była ta osoba, zaatakowała domostwo Ryanów równie rozmyślnie, jak przedtem terroryści, za to dużo tchórzliwiej.

Kimkolwiek był ten ktoś, zapłaci jej za to.

- Gdzieżeś ty się podziewał?

- Przepraszam, doktorze, ale musiałem załatwić parę spraw - tłumaczył się Clark, który wracając zahaczył o pion naukowo-techniczny. - O, proszę.

- Co to takiego? - Ryan wziął do ręki butelkę, ceramiczną, a więc nieprzezroczystą, z etykietką drogiej odmiany whisky Chivas Regal.

- Nasz przekaźnik radiowy. Zrobili nam cztery takie. Cacko, prawda? A tutaj mam mikrofon - Clark podał Ryanowi zielony plastikowy patyk, nieco cieńszy od słomki do koktajlu. - Wygląda dokładnie jak te plastikowe wichajstry, które podtrzymują bukiety w wazonach. Zastosujemy trzy naraz. Techniczni powiedzieli mi jeszcze, że mogą powielić przekaz na zewnątrz samolotu, i jeszcze, że jakimś cudem udało im się obniżyć czas obróbki komputerowej. Wypada nam teraz godzina pracy na godzinę taśmy. Podobno gdybyśmy mieli jeszcze kilka miesięcy na zabawy z przekaźnikami, moglibyśmy zdejmować czysty zapis na żywo.

- Wystarczy nam to, co mamy - przerwał Jack. Lepiej mieć "prawie doskonałe" urządzenie natychmiast niż "doskonałe" wówczas, gdy będzie za późno. - Dostyc już wykładania forsy na badania.

- Zgadzam się. Kiedy zaczynamy próby w powietrzu?

- Jutro o dziesiątej rano.

- Bomba - ucieszył się Clark. - No to co, może już dostyc na dzisiaj? Jakiś pan zmarnowany, doktorze.

- Może i racja. Daj mi jeszcze godzinę i ruszamy.

- Może być i godzina.

Russell udał się do Atlanty, by wyjść im na spotkanie. Obaj Arabowie polecili najpierw do Meksyku, a stamtąd do Miami, gdzie celnicy za bardzo interesowali się narkotykami, by zwracać uwagę na dwóch greckich biznesmenów, którzy w dodatku bez pytania otworzyli walizki. Indianin, który przedzierzgnął się w Roberta Frienda z Roggen w stanie Kolorado i mógł to udowodnić za pomocą prawa jazdy, uściskał im dłonie i pomógł zebrać bagaże.

- Gdzie broń? - zapytał Kati.

- Przecież nie tutaj, chłopie. Mam w domu wszystko, co trzeba.

- Kłopoty?

- Najmniejszych. - Russell zastanawiał się przez chwilę. - No, może jeden.

- Co takiego? - zapytał Hosni, starając się nie okazywać przestachu. Na obcej ziemi zawsze czuł się nieswojo, a cóż dopiero pierwszy raz w Ameryce.

- W Denver zimno jak w psiarni, chłopaki. Kupilibyście sobie lepiej jakieś płaszcze.

- Nie ma pośpiechu - zdecydował komendant, który czuł się naprawdę fatalnie. Ostatnia dawka leków sprawiła, że nie jadł nic przez dwa dni i chociaż wygłodniał, czuł mdłości na sam widok dań w barach szybkiej obsługi na lotnisku. - O której lecimy?

- Dopiero za półtorej godziny. Naprawdę, kupcie sobie swetry, co? Chodźcie za mną, nie żartuję z tą pogodą. Tam, dokąd jedziemy, jest zero stopni.

- Zero? Nie tak znów zimno... - Hosni urwał. - Czyli poniżej zera, w skali Celsjusza?

Russell nie zrozumiał najpierw, lecz zaraz przytaknął.

- Co? No, oczywiście. Tutaj zero znaczy coś innego niż tam. Zero to bardzo zimno, kapujecie? - Skoro tak twierdzisz... - Kati nie upierał się dłużej. Pół godziny później mogli już założyć wełniane swetry pod swoje cienkie prochowce. Prawie pusty samolot linii Delta do Denver wystartował punktualnie. Po trzech godzinach cała trójka przeszła ostatnim na jakiś czas rękawem pasażerskim do hali przylotów. Hosni nigdy w życiu nie widział tyle śniegu.

- Nie mogę oddychać - poskarżył się Kati.

- Dopiero za parę dni przyzwyczaiacie się do wysokości. Walcie po bagaże, a ja przyprowadzę wóz i ogrzeję go trochę, żebyście się nie trzęśli.

- Jeżeli nas zdradził, dowiemy się o tym za parę minut - zauważył Kati, kiedy Russell odszedł.

- Nie zdradził - odpowiedział Hosni z przekonaniem. - To dziwak, ale wierny sprawie.

- Jaki wierny? Niewierny, bo poganin!

- Niby tak, ale sam byłem przy tym, jak słuchał imama. Przynajmniej umiał się zachować. Mówię ci, nie zdradził.

- Zobaczymy - uciął Kati i bez tchu, zmęczonym krokiem przeszedł do kontuaru bagażowego. Obaj przybysze rozejrzeli się, szukając wpatrzonych w siebie oczu. Właśnie po oczach najłatwiej można było wykryć zasadzkę. Nawet zawodowcom ciężko było się przymusić do tego, by oderwać wzrok od przyszłej ofiary.

Bagaże udało się odebrać bez niespodzianek. Marvin czekał już przed halą. Nie mógł ich jednak osłonić przez ciosem mroźnego powietrza, które choć ubogie w tlen, temperaturą przeszło ich najgorsze oczekiwania. Jak dobrze było usiąść w ciepłym wnętrzu samochodu.

- Co z przygotowaniami?

- Wszystko punktualnie, komendancie - uspokoił Katiego Russell, ruszając sprzed lotniska. Choć Arabowie nic nie powiedzieli, zrobiła na nich wielkie wrażenie rozległość krainy, szerokość międzystanowej autostrady i oczywista zamożność okolicy. Rozśmieszyły ich za to znaki nakazujące ograniczenie prędkości. Russell z kolei urósł w ich oczach, gdyż najwyraźniej świetnie się wywiązał ze wszystkich zadań. Uspokoił się więc, pewni już, że Indianin nie wydał ich policji. Nie żeby Kati spodziewał się takiego obrotu rzeczy, lecz wiedział z doświadczenia, że im bliżej finału akcji, tym większe ryzyko wpadki. Normalna kolej rzeczy.

Farma okazała się rozległa. Russell przewidująco ustawił przed wyjazdem termostat na wyższą temperaturę, lecz Kati zwrócił przede wszystkim uwagę na dogodne położenie taktyczne zabudowań, z których można się było ostrzeliwać na wszystkie strony. Indianin wprowadził gości do wnętrza i sam wniósł ich walizki.

- Na pewno padacie na nos - zauważył. - Rąbnijcie się od razu do łóżka, co? Tutaj możecie spać bezpiecznie, nie?

Kati posłuchał tej rady, lecz Hosni pozostał w kuchni. Ucieszył go fakt, że Marvin to znakomity

kucharz.

- Jakie to mięso?

- Sarnina. Z prawdziwej sarny. Wiem, że nie jadasz wieprzowiny, ale nie myślałem, że sarnina...

- Nie, po prostu nigdy tego nie próbowałem - uspokoił Indianina Hosni.

- Naprawdę dobra, sam się przekonasz. Kupiłem w naszym sklepie dziś rano, akurat była. Takim mięsem karmili ciało i duszę Indianie. Porządny jelonek. Niedaleko jest ranczo, gdzie facet hoduje sarny na ubój. Skosztuj, może później namówię cię na bizoninę.

- A cóż to za diabelstwo?

- Bizonina? Kolejne mięso, które dostaniesz tylko w tych stronach. Krzyżówka krowy z bizonem. Wiesz, co to bizony, chłopie? Mój lud je jadał. Największe krowy, jakie widziałeś w życiu! - Russell zrobił marzycielską minę. - Dobre chude mięsko, zdrowe i w ogóle. Ale wiesz, Ibrahimie, nic nie pobije sarniny.

- Nie nazywaj mnie tak - rzekł zmęczonym głosem Hosni. Był na nogach od dwudziestu siedmiu godzin, uwzględniając różnicę czasu.

- Mam nowe papiery dla ciebie i dla komendanta. - Russell wydobył z szuflady dwie koperty i rzucił je na stół. - Nazwiska dokładnie tak, jak chciałeś, widzisz? Teraz tylko zrobimy zdjęcia i naniesiemy je na blankiety. Mam cały potrzebny sprzęt.

- Ciężko było go zdobyć? Marvin tylko się roześmiał.

- Co ty, to popularne maszyny. Użyłem mojego blankietu na prawo jazdy jako wzorca, podretuszowałem i odbiłem na moim sprzęcie duplikaty, pierwsza klasa. Sprzęt łatwo dostać, masa firm robi dla pracowników legitymacje ze zdjęciem. Robota na trzy godziny. Jutro i pojutrze będziemy mieli cały dzień na przygotowania.

- Doskonale, Marvin.

- Napijesz się?

- Masz na myśli alkohol?

- Nie czaruj mi tu, chłopie, sam widziałem, jak dudlałeś piwo z tym Niemcem, jak mu tam było?

- Z Herr Frommem?

- Właśnie. Jeden kieliszek to nic strasznego, nie jak wieprzowina.

- Dziękuję, ale nie dam sobie na wstrzymanie - czy tak się mówi po angielsku?

- "Dać sobie na wstrzymanie?" No, mniej więcej. Ale, ale, jak tam nasz Fromm? - zapytał od niechcienia Marvin, przyglądając się mięsiwu. Pieczeń była prawie gotowa.

- Wszystko u niego w porządku - odparł Hosni równie lekkim tonem. - Wysłaliśmy go do żony.

- Ciekawi mnie, nad czym tak pracowaliście? - zapytał Russell, nalewając sobie szklaneczkę "Jacka Danielsa".

- Fromm pomagał nam przy materiałach wybuchowych. Różne takie specjalne sztuczki, nie? To prawdziwy ekspert od bomb.

- A, już łapię.

Ryan spostrzegł w domu pierwszy pomyślny omen od wielu dni czy wręcz tygodni. Obiad był doskonały, a co więcej, Jackowi udało się dzisiaj zjeść go razem z dziećmi. Cathy musiała widocznie wrócić z kliniki o jakiejś rozsądnej porze i upichcić coś porządnego. Najważniejsze było to, że rozmawiali przy stole, nie za wiele, ale zawsze. Jack pomógł wstawić talerze do zmywarki. Wreszcie dzieci poszły do łóżek, zostawiając ich samych.

- Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam - zaczęła Cathy.

- Nic nie szkodzi. Zasłużyłem na coś takiego - odezwał się Jack, który gotów był oświadczyć cokolwiek, byle zażegnać burzę.

- Wcale nie, Jack. Nie miałam racji. Byłam wściekła, miałam kurcze i bolały mnie plecy. Po prostu za dużo pracujesz i za dużo pijesz. - Cathy podeszła do męża i pocałowała go, stwierdzając ze zdziwieniem: - Zacząłeś palić, Jack?

Ryan zdumiał się do reszty. Pocałunek był ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał. Co więcej, oczekiwał nowej eksplozji, gdy tylko wyda się, że znowu pali.

- Przepraszam, kochanie. Miałem w pracy zły dzień. Złamałem się. Cathy wzięła go za rękę i oświadczyła:

- Jack, chcę, żebyś przestał tyle pić i zaczął odpoczywać. Za mało śpisz, żyjesz w napięciu. O paleniu porozmawiamy później, bylebyś nie smrodził przy dzieciach. Nie miałeś we mnie ostatnio oparcia, trochę w tym i mojej winy, ale musisz się wreszcie wziąć za siebie. W ten sposób rujnujesz tylko swoje zdrowie i rujnujesz rodzinę.

-Wiem.

- Idź do łóżka. Przede wszystkim musisz się porządnie wyspać. Małżeństwo z lekarką miało swoje wady, z których największą było to, że nie dało się kłócić z argumentami żony. Jack pocałował Cathy w policzek i posłusznie ruszył do sypialni.



# SALA WSCHODNIA

Clark zdumiał się, kiedy zajechał o umówionej porze pod dom, gdyż pierwszy raz przyszło mu czekać na Ryana. Po kilku minutach chciał już wysiąść i zastukać do drzwi, lecz w tejże chwili otworzyły się i stanął w nich doktor Ryan, który odwrócił się i pocałował na pożegnanie panią doktor Ryan. Ta odprowadziła męża wzrokiem, a kiedy już stał do niej plecami, uśmiechnęła się promiennie w stronę samochodu.

W Clarka wstąpił nowy duch. Może rzeczywiście warto zająć się zawodowo problemami małżeństw? Również Jack wyglądał lepiej niż zwykle, co jego ochroniarz oświadczył mu natychmiast, gdy tylko przełożony wsiadł do auta.

- A tak, poszedłem jakoś wcześniej spać - Jack uśmiechnął się na myśl o wieczorze i rzucił na siedzenie gazetę. - Nawet nie pomyślałem, żeby sobie strzelić kielicha.

- Parę dni w cnocie i zacnie pan przypominać człowieka.

- Może i tak. - Clarka zezłościło go jednak, że Ryan zapalił zaraz papierosa. Dopiero po chwili kierowca docenił spryt Caroline Ryan. Jej zasada brzmiała "nie wszystko naraz". Patrzcie, ludzie, to dopiero baba.

- Umówiłem się na próby w powietrzu. Dziesiąta rano.

- Nareszcie. Fajnie, John, że możesz naprawdę pokazać, co umiesz. Być ochroniarzem to chyba strasznie nudne zajęcie - zauważył Ryan, otwierając teczkę z meldunkami.

- Czasami bywa zabawnie - odrzekł Clark, wjeżdżając na uliczkę Sokolich Gniazd. Wśród meldunków nie znalazło się nic naprawdę, ważnego, toteż Ryan prędko zanurzył się po uszy w porannym "Washington Post".

Tuż przed dziesiątą rano Clark i Chavez przybyli do bazy lotniczej Andrews, gdzie para gulfstreamów VC-20B miała tego dnia odbywać loty szkoleniowe. Piloci i załogi z 89 Skrzydła Lotnictwa, zwanego "prezydenckim", podlegali ścisłemu harmonogramowi ćwiczeń. Obie maszyny poderwały się z pasa w odstępie kilku minut i ruszyły na wschód, gdzie miały wykonywać przeróżne manewry i umożliwić parze nowych drugich pilotów zapoznanie się z procedurami ośrodka kontroli lotów. Piloci mogli oczywiście recytować wszystkie procedury z pamięci, lecz ćwiczenie to ćwiczenie.

Z tyłu samolotu sierżant lotnictwa, odbywający własną rundę szkolenia, kręcił gałkami skomplikowanego nadajnika, który znajdował się na pokładzie każdego gulfstreama. Co pewien czas popatrywał jednak na cywila (cholera wie, co to za cywil), który gadał głośno, raz do doniczki, to znów do zielonego patyczka. Sierżant pomyślał, że są sprawy, nad którymi nie ma co wysilać mózgu, bo i tak nic człowiek nie zrozumie. Miał całkowitą rację.

Po dwóch godzinach oba gulfstreamy wylądowały w Andrews i zatrzymały się przy hali dla ważnych osobistości. Clark poskładał sprzęt i wysiadł. Na zewnątrz spotkał drugiego cywila, który leciał w bliźniaczej maszynie. W dwójkę podeszli do samochodu, wymieniając pierwsze uwagi. - Słyszałem wyraźnie mniej więcej jedną trzecią tego, co mówiłeś. To znaczy, częściowo rozumiałem, co mówisz - poinformował Clarka Chavez. - Raz lepiej, raz gorzej.

- No, dobra, zobaczymy, co pokażą nasi technicy.

Powrót do Langley zabrał trzydzieści pięć minut. Po zameldowaniu się Clark i Chavez znów wyruszyli w drogę, tym razem do Waszyngtonu, gdzie czekał ich spóźniony posiłek.



Bob Holtzman odebrał telefon poprzedniego wieczora. Dzwoniono na jego domowy, zastrzeżony numer. Wiadomość była zwięzła i oschła, lecz niezmiernie go zainteresowała. O drugiej po południu wmaszerował więc do meksykańskiej restauracyjki w Georgetown, zwanej "U Estebana". Większość urzędników ulotniła się z zakończeniem południowej przerwy, dzięki czemu dwie trzecie stolików było wolne. Teraz wśród klienteli przeważali studenci z uniwersytetu Georgetown. Ktoś pokiwał na Holtzmana z głębi sali.

- Dzień dobry - powiedział dziennikarz i usiadł.
- Pan Holtzman?
- Zgadza się. A panowie?
- Dwóch sympatycznych kolegów - wyjaśnił starszy. - Zje pan coś z nami?
- Czemu nie.

Młodszy z rozmówców wstał i zaczął miarowo wrzucać dwudziestopięciocentówki w szczelinę szafy grającej, pełnej meksykańskich nagrań. Po chwili Holtzman miał już smutną pewność, że magnetofon na nic mu się nie przyda.

- Może powiedzą mi panowie, o co chodzi?
- Napisał pan parę artykułów o CIA - zaczął starszy. - Chciał pan przypieprzyć zastępcy dyrektora doktorowi Johnowi Ryanowi.
- Nie wymieniałem żadnych nazwisk - sprzeciwił się Holtzman.
- Ten, kto panu sprzedał te rewelacje, kłamał. Dał się pan podpuścić.
- Kto mi to mówi?
- Jest pan uczciwym dziennikarzem czy nie?
- Co pan ma na myśli?
- Jeśli powiem panu coś w absolutnym zaufaniu, wydrukujecie pan to później?
- Zależy, co to za informacja. Po pierwsze, panowie, do czego zmierzacie?
- Zmierzam do tego, panie Holtzman, by panu udowodnić, że ktoś pana okłamał. Sęk w tym, że nie wolno panu podać tego dowodu do wiadomości publicznej, bo naraziłby pan wiele osób. Udowodnię panu, że ktoś pana wykorzystał, żeby upiec własną pieczeń. Chcę się w zamian dowiedzieć, o kogo chodzi.

- Przecież wie pan, że informator ma zapewnioną całkowitą anonimowość. To podstawowa zasada etyki dziennikarskiej.

- "Etyki" i "dziennikarskiej" - zauważył rozmówca na tyle głośno, że słowa rozbrzmiały ponad meksykańskim rytmem. - Bardzo śmieszne powiedzonko. Czy informatorom, którzy panu nakłamią, także zapewnia pan anonimowość?

- Nie, tego się u nas nie praktykuje.
- To świetnie. Opowiem panu w takim razie historyjkę, ale pod warunkiem, że nigdy, przenigdy nie ujawni pan tego, co powiem. Dotrzyma pan takiej umowy?
- A skąd mam wiedzieć, że nie wprowadza mnie pan w błąd?
- Jeśli złapie mnie pan na kłamstwie, może pan śmiało wszystko wydrukować. Umowa stoi? - zapytał Clark.

Odpowiedziało mu skinienie głową.

- Tylko niech pan pamięta, że jeśli pan to opublikuje, pogniwamy się, bo ja naprawdę nie kłamię. I jeszcze coś: niech pan sobie nie wyobraża, że wolno panu samemu bawić się w śledztwo po tym, co panu powiem.

- Strasznie się pan droży.
- Pańska decyzja, Holtzman. Wszyscy znają pana jako uczciwego dziennikarza, w dodatku

niegłupiego. Wie pan dobrze, że są sprawy, o których nie można pisać. No, przesadziłem, ale są sprawy, które muszą pozostać tajemnicą na długo. Na całe lata. Już mówię, do czego zmierzam. Podpuszczono pana, żeby ponawypisywał pan kłamstw i zaszkodził jednemu facetowi. Nie znam się na dziennikarstwie, ale gdybym sam pisał, wcale by mi się to nie spodobało. Po pierwsze dlatego, że tak się nie robi, a po drugie, że ktoś potraktował mnie jak frajera.

- Mniej więcej się z panem zgadzam. W porządku, przyjmuję warunki.

- Umowa stoi - odrzekł Clark, po czym przez dziesięć minut opowiadał Holtzmanowi, kim jest Carol Zimmer.

- O jaką akcję chodzi? Gdzie dokładnie zginął ten sierżant?

- Przepraszam, kolego, ale niech pan sobie nawet nie zadaje trudu, żeby to sprawdzać. Prawdziwą odpowiedź zna w Stanach mniej niż dziesięć osób. - Kłamstwo Clarka miało ręce i nogi. - Nawet jeśli zgadnie pan w końcu, o kogo chodzi, nikt nie powie panu słowa. Nie wolno. Mało kto z własnej woli chłapie o tym, jak to popełnił przestępstwo.

- Carol Zimmer?

- Och, może pan sam sprawdzić większość szczegółów. Adres, sklepik, klinika, w której urodził się tamten dzieciak, kto asystował, kto odbierał poród.

Holtzman zajrzał do notatek.

- Chodzi o jakąś grubszą aferę, prawda? Clark spojrzał na niego przeciągle i uciał:

- Mnie potrzebne tylko nazwisko.

- Po co?

- To już nie pana sprawa.

- Po co Ryanowi to nazwisko?

- Ryan nie wie nawet, że rozmawiamy.

- Gówno prawda.

- O, panie Holtzman... Właśnie, że prawda.

Bob Holtzman był dziennikarskim wygą. Wysłuchiwał już kłamstw z ust prawdziwych ekspertów. Docierały do niego mistyfikacje, przygotowane i obmyślane przez całe sztaby, nieraz też usiłowano uczynić z niego narzędzie politycznej wendety. Holtzman nie cierpiał takich sytuacji, typowych w jego zawodzie. Pogarda, jaką czuł wobec polityków, brała się zwłaszcza z ich nieustannej ochoty, by łamać wszelkie możliwe zasady. Ilekroć polityk złamał dane słowo, głosił publicznie najdziwsze kłamstwa, brał pieniądze od ofiarodawcy i wypadał z sali, by natychmiast odpłacić się za dar jakąś przysługą, nazywano to "polityką" i machano ręką. Holtzman wiedział, że tak być nie powinno. Mimo lat cynizmu, wciąż trwał w nim idealista, który niegdyś ukończył Instytut Dziennikarstwa przy Uniwersytecie Columbia. Holtzman jako jedna z nielicznych osób w Waszyngtonie pamiętał dawne ideały i od czasu do czasu gorzko żałował, że je utracił.

- Zakładając, że uda mi się potwierdzić pańską historię... Co będę z tego miał?

- Na pewno satysfakcję, panie Holtzman. Być może nic poza tym. Uczciwie mówiąc, nie sądzę, żeby to wszystko miało jakiś dalszy ciąg, ale jeśli tak, dam panu znać.

- Co to znaczy, satysfakcję?

- Nigdy pan nie chciał wyrównać rachunków z oprychem? - zapytał lekkim tonem Clark.

Dziennikarz udał, że nie słyszy i zmienił temat.

- Co pan właściwie robi w Agencji?

- Nie wolno mi pisać słowa na ten temat - odrzekł Clark z uśmiechem.

- Słyszałem kiedyś taką plotkę, że bardzo ważna figura w radzieckich władzach uciekła na Zachód, proszę sobie wyobrazić, że z pasa startowego na moskiewskim lotnisku.

- Słyszałem podobną historyjkę. Jeżeli poważy się pan ją wydrukować, to...
- Racja, popsuje tylko stosunki międzynarodowe - westchnął Holtzman.
- Dawno pan ją usłyszał?
- Tuż przed ostatnimi wyborami. Prezydent sam mnie prosił, żebym nic nie drukował.
- Który, Fowler?
- Nie, ten którego Fowler pokonał w wyborach.
- A pan się zgodził - rzekł z podziwem Clark.

- Ten Rosjanin miał rodzinę, żonę i córkę. Czy naprawdę zginęli wszyscy w katastrofie samolotu, jak podała prasa?

- Będzie pan o tym pisał?
- Na razie nie mogę, jeszcze przed długie lata, ale planuję na przyszłość taką książkę...
- Rodzina też się wydostała - oznajmił Clark - Ma pan przed sobą faceta, który przerzucił ich za granicę.
- Nie wierzę w takie przypadki.
- Żona ma na imię Maria, a córka Katrina.

Holtzman nic nie powiedział, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że tylko garstka osób w całym CIA mogła znać imiona żony i córki uciekiniera. Podchwytliwe pytanie wywołało prawidłową odpowiedź.

- Za pięć lat od naszej rozmowy chcę poznać szczegóły ucieczki. Clark zastanawiał się krótko. Jeśli dziennikarz był skłonny złamać zasady, wypadało mu się odwzajemnić.

- Mogę na to pójść. Zgoda, za pięć lat.
- Chryste Panie, John! - wtrącił się wreszcie Chavez.
- Pan Holtzman wyznaje zasadę "coś za coś".
- Ile osób z Agencji zna szczegóły?
- Tamtej akcji? Niewielu. W moim pionie... Jeżeli chodzi panu o wszystkie szczegóły, może dwudziestu. Tylko pięć osób nadal u nas pracuje. Dziesiątka nie służyła w Agencji.

- A gdzie?
- Za dużo bym panu powiedział.
- Oddziały specjalne lotnictwa - domyślił się Holtzman. - Albo ci z sił lądowych, Grupa Operacyjna 180, ci wariaci z Fort Campbell, którzy pierwszej nocy weszli do Iraku...

- Wolno panu snuć domysły, ja w każdym razie nic nie powiem. To znaczy powiem panu, kiedy przyjdzie na to czas. Na razie zapytam, w jaki sposób, u diabła ciężkiego, w ogóle wyniuchał pan cokolwiek na temat tamtej akcji?

- Ludzie lubią sobie pogadać - odrzekł z prostotą Holtzman.
- Też prawda. Czyli, umowa stoi?
- Jeżeli uda mi się potwierdzić to, co mi pan powiedział, i jeśli się upewnię, że ktoś mi nakłamał, owszem - wtedy zdradzę panu, o kogo chodzi. Musi mi pan w zamian obiecać, że sprawa nigdy nie trafi do gazet.

Clark pomyślał z rozpaczą, że przyszło mu się bawić w dyplomację.

- Zgoda. Zadzwoń do pana za dwa dni. Tak czy owak, jest pan pierwszym dziennikarzem, z którym w życiu zamieniłem choć słowo.
- I jak wrażenia? - zapytał Holtzman z krzywym uśmiechem.
- Myślę, że lepiej mi w mojej firmie. - John umilkł, by dodać: - Pan też nieźle by się nadawał na szpiega.
- Bo jestem niezłym szpiegiem.

- Dobrze, ale ile waży to draństwo? - zaniepokoił się Russell.

- Siedemset kilo. - Hosni szybko przeliczył w myśli podaną sumę. -Trzy czwarte tony, to znaczy amerykańskiej tony.

- Okay - Russell odetchnął - Furgonetka udźwignie jak nic. Tylko jak przenieść pakę z kontenera do naszego wozu?

Hosni zbladł. Jakoś o tym nie pomyślał.

- Byłeś przy załadunku?

- Tak, skrzynia siedzi na takiej drewnianej... platformie?

- Aaa, na palecie transportowej. Załadowali ją wózkiem widłowym?

- Dokładnie - przytaknął Hosni.

- No to mamy szczęście. Chodź, coś ci pokażę.

Russell wyprowadził Araba na mróz. W dwie minuty później Hosni oglądał już betonową rampę w jednej ze stodół i zardzewiały podnośnik widłowy na propan-butan. Jedyne kłopot mógł sprawić dojazd do rampy przez zamrożone błoto i śnieg na dziedzińcu.

- Jak wrażliwa jest ta bomba?

- Bomby bywają bardzo wrażliwe, Marvin - przypomniał Hosni. Russell wziął się pod boki ze śmiechu.

- Co, racja, to racja.

W Syrii, wskutek dziesięciogodzinnej różnicy czasu, był już poranek. Doktor Władimir Mojsiejewicz Kaminski swoim zwyczajem zabrał się do pracy skoro świt. Był profesorem Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego, a w Syrii przebywał na kontrakcie jako wykładowca w swojej specjalności, czyli w leczeniu chorób płuc. Mając taką specjalizację, trudno pozostać optymistą. Większość przypadków, jakie profesor oglądał w ZSRR, a potem już w Syrii, stanowiły nowotwory płuc, choroba tyleż śmiertelna, ile łatwa do uniknięcia.

Pierwszego pacjenta w tym dniu skierował do profesora syryjski specjalista, którego Rosjanin darzył szczerym szacunkiem za jego francuską edukację, staranność i za to, że Arab kierował do niego wyłącznie interesujące przypadki.

W gabinecie zabiegowym profesor zastał energicznego mężczyznę po trzydziestce. Bacniejsze spojrzenie uświadomiło doktorowi, że pacjent ma szarą, zapadniętą twarz. Kaminski pomyślał, oczywiście, "rak", lecz jako osoba skrupulatna postanowił dokładnie zbadać Araba. Mogło chodzić o coś innego, o chorobę zakaźną. Badanie trwało dłużej, niż zamierzał. Potrzebne było kilka zdjęć rentgenowskich i dodatkowe analizy. Nim jednak nadeszły ich wyniki, doktora wezwano do radzieckiej ambasady.

Dla Clarka oczekiwanie wlokło się w nieskończoność, lecz ociągał się z telefonem prawie trzy dni, przekonany, że Holtzman nie zajął się natychmiast powierzoną mu sprawą. O wpół do dziewiątej wieczorem John wyszedł z domu i pojechał na stację benzynową, gdzie kazał pompierzowi napełnić bak, a sam podszedł do automatu telefonicznego.

- Tak? - usłyszał głos Holtzmana na zastrzeżonej linii. Clark nie przedstawił się, lecz z miejsca zapytał:

- I co, udało się panu potwierdzić te fakty?

- A, owszem, owszem. Przynajmniej większość z nich. Wygląda na to, że miał pan rację. Wściec się można, kiedy ludzie łączą ci w żywe oczy, co?

- Więc kto?

- Ja mówię na nią Liz. Prezydent nazywa ją Elizabeth. Chce pan premię? - zapytał jeszcze Holtzman.

- Jasne.

- Niech pan to potraktuje jako dowód mojej dobrej woli. Fowler sypia ze swoją Liz. Nikt o tym nie napisał, gdyż uznano, że sprawa nie obchodzi osób postronnych.

- I słusznie - zauważył Clark. - Dzięki i za to. Odpłacę się, jak przyjdzie pora.

- Za pięć lat, kolego.

- Będę się tu kręcił - zapewnił dziennikarza Clark i odwiesił słuchawkę, myśląc: - Więc moje podejrzenia były słuszne.

Wrzucił następną monetę do automatu. Udało mu się połączyć od razu. Kobięcy głos na drugim końcu zapytał:

- Halo?

- Doktor Caroline Ryan?

- Tak, a kto mówi?

- Nazwisko, o które pani pytała, brzmi Elliot. Elizabeth Elliot, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Clark postanowił zachować dla siebie resztę nowin. Ostatecznie, nie zmieniały one w niczym sytuacji.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Dziękuję. - Doktor Ryan rozłączyła się.

Tego wieczora Jack Ryan znów został wcześniej wysłany do łóżka. Rozsądek kazał mu podporządkować się tej decyzji. Cathy nie dziwiła wcale jego postawa. Ostatecznie nie bez powodu pojęła go za męża.

Czas nie sprzyjał manewrom, zwłaszcza że kilka dni wcześniej Cathy zapowiedziała, że nie pójdzie na oficjalny bankiet, wymawiając się nadmiarem pracy, lecz teraz...

Jak by tutaj zacząć...?

- Cześć, Bernie - rzuciła Cathy Ryan do kolegi, szorując dłonie w umywalce, od palców po same łokcie.

- Cześć, Cath. Jak leci?

- Dużo lepiej, Bernie.

- Co ty powiesz? - Doktor Katz również wziął się za szorowanie rąk.

- Naprawdę.

- Miło słyszeć - dorzucił Katz z powątpiewaniem w głosie. Cathy skończyła mycie i łokciem zakręciła kurki.

- Bernie, wygląda na to, że niepotrzebnie się tak denerwowałam.

- Ale co z tym inspektorem, który u mnie był? - zapytał Katz, nie podnosząc wzroku.

- Wszystko nieprawda. Nie mogę ci teraz wyjaśnić, innym razem.

Zrobiłbyś coś dla mnie?

- Pewnie. Proś, o co chcesz.

- Ten przeszczep rogówki, który mam robić w środę. Wziąłbyś go za mnie?

- A co?

- Jutro wieczorem idziemy z Jackiem na oficjalny bankiet do Białego Domu. Przyjęcie na cześć premiera Finlandii, wyobrazasz sobie? Operacja jak operacja, nie spodziewam się żadnych

komplikacji. Po południu przyniosę ci kartotekę. Operować będzie Jenkins, miałam mu tylko asystować.

Jenkins był młodym, niezwykle zdolnym stażystą kliniki.

- Dobrze, zrobi się.

- Strasznie ci dziękuję. Odplacę się - rzuciła Cathy, wybiegając za drzwi.

MV "Carmen Vita" wpłynął między falochrony Hampton Roads z godzinnym zaledwie opóźnieniem, zrobił zwrot na lewą burtę i ruszył z wolna na południe wzdłuż nabrzeży marynarki wojennej. Kapitan i pilot stanęli na lewym skrzydle mostka, obserwując wychodzący z portu lotniskowiec. Na moło kilkusetosobowy tłum żon i dzieci machał na pożegnanie USS "Theodore Roosevelt". W ślad za lotniskowcem wypływały dwa krążowniki, dwa niszczyciele i fregata, jak objaśnił pilot, pełniące rolę eskorty dla "pokładu" (tak nazywała lotniskowiec załoga). Hinduski kapitan odchrząknął coś i zajął się swoimi sprawami. Pół godziny później kontenerowiec zbliżył się do nabrzeża u wylotu Terminal Boulevard. Trzy holowniki pomogły "Carmen Vita" zbliżyć się i zacumować. Suwnice ruszyły natychmiast, kiedy statek stanął przy brzegu.

- Roggen w Kolorado? - powtórzył kierowca. Otworzył wielki atlas drogowy i znalazł właściwy punkt na autostradzie 1-76. - Dobra, już mam.

- Ile to potrwa? - zapytał Russell.

- Jeżeli zaraz ruszę? Dwa tysiące dziewięćset kilometrów... Dwie doby, a jak się uda, czterdzieści godzin. Będzie kosztowało.

- Ile? - zapytał z miejsca Russell. Kierowca wymienił sumę. - Może być gotówką, nie czekiem?

- Pewnie. Za gotówkę odliczę wam dziesięć procent - oświadczył kierowca. Federalny urząd podatkowy nie miał szans dowiedzieć się o transakcji gotówkowej.

- Połowę płacę z góry - Russell odliczył plik banknotów. - Druga połowa na miejscu, dam patyka premii, jeśli się pan wyrobi poniżej czterdziestu godzin.

- Już się rozpędzam. Co z kontenerem?

- Odwiezie pan tutaj, do portu. Za miesiąc przyjmujemy następną partię - skłamał Russell. - Jak się uda, będzie pan miał stały kurs na tej trasie.

- Już się rozpędzam.

Russell powrócił do dwójki przyjaciół. Obserwowali rozładunek statku z zacisza budynku, w którym znaleźli bufet z kawą.

"Teddy Roosevelt" wyszedł z portu w rekordowym czasie, osiągając dwadzieścia węzłów, zanim mignęła obok ostatnia boja. Samoloty krążyły już nad pokładem. Jako pierwsze schodziły myśliwce F-14 Tomcat z bazy lotnictwa morskiego Oceana. Kiedy tylko dało się manewrować na otwartych wodach, okręt zrobił zwrot pod wiatr, umożliwiając pilotom lądowanie. Jako pierwsza usiadła maszyna dowódcy grupy, z pojedynczym numerem na ogonie. Tomcat komandora Robby'ego Jacksona w ostatniej chwili dostał podmuch wiatru w ogon, wskutek czego zahaczył się - w języku pilotów "przykleił" - dopiero do drugiej liny hamującej, ku irytacji prowadzącego. Następny samolot, pilotowany przez komandora porucznika Rafaela Sancheza, przykleił się wzorowo do pierwszej z lin rozciągniętych w poprzek pokładu. Obie maszyny błyskawicznie zjechały na bok. Jackson wyskoczył z kabiny i co sił w nogach popędził na swoje miejsce na Sępiej Grzędzie, pomoście wysoko na nadbudówce okrętu, skąd mógł obserwować lądowanie reszty swoich pilotów. W ten sposób rozpoczynał się każdy rejs patrolowy: dowódca grupy i dowódcy dywizjonów sprawdzali umiejętności swoich podwładnych. Poszczególne lądowanie filmowano na taśmie wideo

i wystawiano za nie cenzurkę. Nerwowy początek rejsu, pomyślał Jackson, popijając pierwszą kawę na pokładzie. Nie udało mu się samemu otrzymać normalnej u siebie oceny "OK", o czym nie omieszkął go figlarnie poinformować kierownik lotów.

- Hej, szefie, jak tam moje chłopaki? - zapytał Sanchez, siadając za komandorem.

- Nawet nieźle. Widzę, że ty też w formie.

- Prosta sprawa, komandorze. Kiedy schodzę, zawsze patrzę skąd wieje. Widziałem, jak tobą zatelepało. Szkoda, że cię nie uprzedziłem przez radio.

- Pierwsze koty za płoty - westchnął Robby. Sanchez zaliczył siedemnaście "OK" pod rząd. Nic tylko rzeczywiście widzi wiatr. Godzinę i dziesięć minut później "Roosevelt" z kompletem maszyn na pokładzie ponownie skręcił na wschód, biorąc równoleżnikowy kurs na Cieśninę Gibraltarską.

Kierowca upewnił się, że kontener mocno siedzi na naczepie i wspiął się do kabiny swojego dieslowskiego kenwortha. Zapуścił silnik i pomachał Russellowi, który odwzajemnił gest.

- Dalej myślę, że powinniśmy za nim jechać - odezwał się Hosni.

- Zauważy i zacznij się zastanawiać - mitygował go Marvin. - Poza tym, jeśli coś pójdzie nie tak, co wtedy? Będziesz zasypywał dziurę po ciężarówce? Nie płynąłeś za statkiem, więc teraz też nie musisz.

- Fakt - ustąpił Hosni. Kati wzruszył tylko ramionami. Wrócili do wynajętego samochodu, którym wracali do Charlotte, skąd mieli złapać bezpośredni lot do Denver.

Jack był gotowy raz-dwa, jak zwykle, lecz Cathy nie spieszyła się. Nie przywykła widzieć w lustrze włosów, które zdawały się, tak jak dziś, należeć do prawdziwej kobiety, a nie do chirurga, co ma gdzieś własną powierzchowność. Fryzura zabrała wprawdzie Cathy dwie godziny, ale czasem warto zapłacić taką cenę. Przed zejściem na dół Caroline wyjęła ze ściennej szafy dwie walizki i ustawiła je na środku sypialni.

- Możesz mi z tym pomóc? - zapytała męża.

- Jasne, kochanie. - Ryan wziął do rąk złoty naszyjnik i zapiął go na karczku Cathy. Sam dał go żonie na gwiazdkę, jakiś czas przed narodzinami syna. Z naszyjnikiem wiązały się rozmaite miłe wspomnienia. Jack odstąpił dwa kroki i kazał żonie się odwrócić. Cathy usłuchała go. Jej wieczorowa suknia uszyta była z błękitnego jedwabiu, który odbijał światło i sam migotał niczym szkło. Jack Ryan był ostatnim mężczyzną, który by znał się na damskich modach. Znacznie łatwiej rozumiał przetasowania na Kremlu niż riuszki, lecz nie wyrażał sprzeciwu wobec najnowszej kreacji. Głęboki błękit sukni i złota biżuteria podkreślały jasną i zdrową cerę Cathy, a także jasnomiodowy odcień jej włosów.

- Nawet ładnie - skwitował to Jack. - Gotowa, kotku?

- Pewnie, że tak - Cathy uśmiechnęła się do niego. - Idź zagrzać samochód.

Kiedy Jack zniknął za drzwiami do garażu, Cathy zamieniła kilka słów z opiekunką do dzieci, założyła futro, dowód, że chirurdzy rzadko sympatyzują z obrońcami praw zwierząt, i minutę później usiadła obok Jacka. Wyjechali tyłem z garażu i nawrócili.

Clark nie mógł się nie roześmiać. Ryan nie miał bladego pojęcia o zasadach unikania pułapek. Kiedy światła samochodu Ryanów zniknęły za zakrętem szosy, Clark wprowadził swój wóz na drogę do domostwa.

- Czy pan Clark? - zapytała opiekunka.

- Nie inaczej. - Są w sypialni - opiekunka wskazała mu drogę.

- Dziękuję.

Po minucie Clark powrócił z walizkami, oceniając w myśli, że Caroline w typowy dla kobiety sposób zabiera za dużo rzeczy. Cóż, nawet doktor Ryan ma swoje wady.

- Dobranoc.

-...branoc - odburknęła opiekunka, całkowicie pochłonięta programem w telewizji.

Jazda z Annapolis w Marylandzie do centrum Waszyngtonu trwa niecałą godzinę. Ryan wolałby pojechać służbowym wozem z kierowcą, lecz żona uparła się, by wzięli własny. Skręcili w Pennsylvania Avenue i przez bramę wjechali na wschodni podjazd, gdzie umundurowany policjant wskazał im, w którym miejscu mają zaparkować. Ich samochód, kombi, wyglądał jak ubogi krewny pośród cadillaców i lincolnów, lecz Jackowi to nie przeszkadzało. Ryanowie przeszli po łagodnym stoku do wschodniej bramy, gdzie agenci z Tajnej Służby porównali ich zaproszenia z listą gości i odkreślili nazwiska. Oczywiście kluczyki od samochodu w kieszeni Jacka uruchomiły wykrywacz metalu, co wywołało zawstydzony uśmiech.

Niezależnie od tego, ile razy przekracza się tę bramę, w odwiedzinach w Białym Domu kryje się pewna magia, zwłaszcza jeśli wizyta odbywa się wieczorem, Ryan poprowadził żonę w głąb prezydenckiej rezydencji. W szatni obok małej sali kinowej zdjęli okrycia i odebrali numerki. W żałomie korytarza czekały na nich trzy dziennikarki od kroniki towarzyskiej, sześćdziesięciolatki, które świdrowały wchodzących wzrokiem, nie przestając notować. Ze swoimi bezmyślnymi, wiotkimi uśmiechami najbardziej przypominały wiedźmy z "Makbeta". Oficerowie wszystkich rodzajów broni wbili się na ten wieczór w galowe mundury - Ryan nazywał je frakiem oberkelnera - i stali szpalerem wzdłuż ścian. Jak zwykle najlepiej prezentowała się piechota morska w szkarłatnych szarfach biegnących przez pierś. Nieprzyzwoicie przystojny kapitan zaprowadził ich schodami na główne piętro. Jack zauważył zachwycone spojrzenie, jakie Cathy posłała kapitanowi, Jęcz nic nie powiedział.

U szczytu marmurowych schodów inny oficer, tym razem kobieta w randze porucznika sił lądowych, wskazała im wejście do gabinetu wschodniego. Przybycie Ryanów obwieścił mistrz ceremonii, którego oczywiście nikt nie słuchał, a lokaj w liberii natychmiast zbliżył się z tacą pełną napoi.

- Pamiętaj, że prowadzisz, Jack - szepnęła Cathy. Jack zadowolił się więc wodą Perrier ze skrawkiem cytryny. Cathy zafundowała sobie szampana.

Wschodnia sala Białego Domu rozmiarami przypomina sporą halę gimnastyczną. Ściany mają barwę kości słoniowej, a pilastry błyszczą prawdziwym złotem. W jednym z rogów sali grał kwartet smyczkowy. Później rozbrzmiały dźwięki fortepianu, na którym popisywał się, i to wcale nieźle, sierżant wojsk lądowych. Połowa gości zdążyła już dotrzeć. Panowie byli w smokingach i w muszkach, damy w wieczorowych toaletach. Być może istnieją ludzie, którzy w podobnych sytuacjach czują się jak ryba w wodzie, lecz Jack Ryan wiedział z góry, że do nich ale należy.

Zaczął krążyć po sali i wkrótce natknął się na sekretarza obrony Bunkera i jego żonę Charlotte.

- Jak się masz, Jack.

- Cześć, Dennis. Znasz moją żonę?

- Caroline - przedstawiła się Cathy, wyciągając dłoń.

- Powiedz, jak ci się podobał ostatni mecz? Jack roześmiał się, słysząc to pytanie.

- Wiedziałem, że czubicie się o to z Brentem Talbotem. Sam urodziłem się w Baltimore. Ktoś nam ukradł drużynę.

- Niewiele chyba straciliście, co? Ten rok będzie nasz.

- Wikingowie powtarzają to samo.

- Niech się cieszą, że wygrali z Nowym Jorkiem.



- Wam też, jak pamiętam, Piraci nadepnęli na odcisk.

- Bo mieli fuksa - zirytował się Bunker. - W drugiej połowie wyprawiliśmy im pogrzeb.

Caroline Ryan i Charlotte Bunker wymieniły spojrzenie, które oznaczało: - futbol!!! - po czym rozeszły się. Panowie pletli w najlepsze o najbardziej interesujących ich sprawach na świecie.

Cathy wzięła głęboki oddech. Nie wiedziała, czy dobrze wybiera czas i miejsce, lecz powstrzymała się przed akcją z równą niechęcią, z jaką porzuciłaby chirurgię. Zostawiła Jacka odwróconego plecami i ruszyła przez parkiet, jak sokół nurkujący ku ofierze.

Doktor Elizabeth Elliot odziana była prawie identycznie jak doktor Caroline Ryan. Krój i fałdy ich toalet nieco się różniły, lecz wykwintne suknie pań kazałyby redaktorowi działu mody zastanawiać się, czy obie ubierają się w tym samym sklepie. Szyję Elizabeth Elliot ozdobił potrójny sznur pereł. Doradczyni prezydenta rozmawiała z jakąś parą, lecz odwróciła głowę na widok zbliżającej się postaci.

- Dobry wieczór, doktor Elliot. Poznaje mnie pani? - zapytała Cathy z serdecznym uśmiechem.

- Nie. A powinnam?

- Jestem Caroline Ryan. Może to odświeży pani pamięć?

- Niestety, nie - odrzekła Liz, która natychmiast zorientowała się, z kim rozmawia, lecz nie wiedziała, co odpowiedzieć. - Zna pani Boba i Libby Holtzmanów?

- Czytałam pańskie artykuły - rzekła Cathy, ściskając dłoń Holtzmana.

- Zawsze to przyjemnie słyszeć - bąknął Holtzman, odnotowując w myślach delikatność uścisku Caroline, od którego wyrzuty sumienia sparaliżowały mu ramię. Tej oto kobiecie usiłował więc zburzyć małżeństwo? - Moja żona Libby.

- Pani też jest dziennikarką - zauważyła Cathy. Libby Holtzman była od niej wyższa, a jej suknia podkreślała obfitość biustu. Cathy pomyślała z żalem, że jedna pierś Libby wystarczyłaby za obie jej własne i z trudem powstrzymała się od westchnienia. Mężczyźni uwielbiają składać głowę na biustach takich, jak ten u pani Holtzman.

- A pani rok temu operowała moją kuzynkę - zrewanżowała się Libby. - Jej matka do dziś twierdzi, że jest pani najlepszym chirurgiem na świecie. - Każdy doktor uwielbia komplementy - odpowiedziała jej Cathy, uznając w myślach, że jednak lubi panią Holtzman, mimo jej kalectwa w postaci przerostu klatki piersiowej.

- Wiedziałam, że jest pani chirurgiem, ale gdzieśmy się to spotkały? - zapytała niedbale Liz Elliot, tonem, jakim mogłaby się zwracać do hodowcy rasowych psów.

- W Bennington. Byłam na pierwszym roku, kiedy wykladała pani podstawy nauk politycznych.

- Doprawdy? Zaskakujące, że pani tak doskonale pamięta - odparła Elliot, dając jasno do zrozumienia, że sama nigdy nie zauważyła Caroline.

- Pewnie, że pamiętam. Wie pani, jak to jest - zaczęła Cathy żartobliwym tonem. - Zajęcia przygotowawcze przed medycyną zabierają tyle czasu, że trzeba się skoncentrować tylko na rzeczach ważnych. Dlatego inne obowiązkowe zajęcia wybiera się na pewniaka, żeby mieć gwarancję najwyższej oceny.

Mina Liz Elliot nie uległa zmianie, gdy jej właścicielka cedziła:

- Jakoś nie przypominam sobie, że bym była taka hojna w ocenach.

- Pewnie, że tak. Wystarczyło słowo w słowo wyklepać z pamięci cały wykład. - Cathy uśmiechnęła się jeszcze promiennie.

Bob Holtzman miał ochotę dać nura w tłum, lecz zmusił się do pozostania na posterunku. Jego żona zrobiła okrągłe oczy, gdyż miała w takich sytuacjach lepszy refleks od męża. Zaczynała się wojna, i to dużo paskudniejsza niż zwykle.

- A co porabia doktor Brooks?

- Kto taki? - zdziwiła się Liz.

- Lata siedemdziesiąte to naprawdę inna epoka - wyjaśniła Cathy, zwracając się do Holtzmanów. - Pamiętam, doktor Elliot była tuż po dyplomie, a cały wydział nauk politycznych obsiedli, no, straszni lewacy, tak jak było wówczas w modzie. - Tu Cathy zwróciła się ku Liz Elliot - Nie powie mi panie, że nie pamięta doktora Brooksa i doktora Hemmingsa? Jak się nazywał ten domek, w którym pani z nimi mieszkała?

- Nie przypominam sobie - wykrztusiła Elliot, próbując ratować pozory. Cała nadzieja, że rozmowa zaraz się skończy. Nie mogła jednak pierwsza podać tyłów.

- Stał u zbiegu trzech ulic, parę kroków od uczelni, nazywaliśmy to miejsce "diabelski trójkąt", a na obu wykładowców mówiliśmy Bracia Mara - perorowała Cathy ze śmiechem. - Brooks nigdy nie nosił skarpetek, proszę pomyśleć - w Vermoncie; musiał się tam strasznie zaziębiać. Za to Hemmings nigdy nie mył włosów. To był instytut! Oczywiście później doktor Brooks przeniósł się do Berkeley, a pani, jak pamiętam, ruszyła za nim, żeby kończyć doktorat. Pewnie się dobrze pani pod nim pisało. A co się teraz dzieje w Bennington?

- Po staremu, cicho i przyjemnie.

- Bo ja nigdy nie jeżdżę na złoty absolwentów - dodała Cathy.

- Mnie też nie było tam prawie od roku - brzmiała odpowiedź Liz.

- No więc, co porabia doktor Brooks? - podjęła wątek Cathy.

- Słyszałam, że uczy teraz w Vassar College.

- Więc jednak coś pani słyszała? Pewnie dalej gania za spódniczkami, założę się. Radykalny typ. Często go pani teraz spotyka?

- Nie widzieliśmy się kilka lat.

- Nigdy nie mogliśmy pojąć, co pani w nim widzi.

- Bez cudów, Caroline, mało która z nas była jeszcze wtedy dziewczicą. Cathy upiła łyk szampana.

- Prawda, że czasy były inne i wszystkie robiłyśmy masę głupstw. Z tym, że ja miałam szczęście.

Jack wyprowadził mnie na drogę cnoty.

Bęc! - dodała w myśli Libby Holtzman.

- Niektóre z nas nie miały czasu na głupstwa.

- Może tak, ale nie zazdroszczę pani życia bez rodziny. Musi pani być strasznie samotna.

- Przynajmniej nie muszę się martwić, że mąż mnie zdradza - zauważyła lodowato Liz, sięgając po ostateczną broń. Nie wiedziała, że pocisk okaże się niewypałem.

Cathy wielce ubawiła ta uwaga.

- Rzeczywiście, są kobiety, które mają takie problemy. Na szczęście, nie należę do nich, dzięki Bogu.

- Pewność siebie bywa dla kobiety zgubna.

- Tylko idiotki nie są nigdy pewne. Jeżeli dobrze zna się własnego męża, wiadomo, na co go stać, a na co nie.

- Naprawdę czuje się pani tak pewnie? - zapytała Liz.

- Oczywiście.

- Powiadają, że żona dowiaduje się na końcu. Cathy przechyliła głowę w bok, zauważając:

- Czy to abstrakcyjna dyskusja, czy też próbuje mi pani powiedzieć coś w twarz, zamiast za plecami?

Boże wielki! Holtzman poczuł się jak kibic na meczu bokserskim.

- Czyżbym sprawiała takie wrażenie? Wybacz mi, Caroline.

- Nie ma sprawy, Liz.
- Przepraszam, ale wołałabym...
- Na mnie też trzeba mówić "pani doktor", przez tę profesurę na John Hopkins i tak dalej.
- Myślałam, że jest pani adiunktem.
- Owszem - zgodziła się doktor Ryan. - Proponowano mi pełną profesurę na Uniwersytecie Virginia, ale musiałabym się wtedy wyprowadzić z domu, który uwielbiam, zmienić dzieciom szkołę, no i oczywiście skomplikować Jackowi karierę. Dlatego odmówiłam.
- Na pewno nie ma pani chwili dla siebie.
- Mam trochę obowiązków, ale uwielbiam swoją klinikę. Robimy naprawdę pionierskie badania, więc dobrze jest być tam, gdzie naprawdę coś się dzieje. Pani musiało być łatwiej z przeprowadzką do Waszyngtonu, nic pani przecież nie trzymało, a poza tym, w naukach politycznych nie dzieje się chyba nic nowego?
- Nie uskarżam się na swoje życie, bynajmniej.
- Wierzę, dlaczegóż by miała się pani uskarżać - drażyła wyłom Cathy. - Łatwo poznać, że ktoś znajduje zadowolenie w pracy.
- A pani się nie uskarża?
- Skądże, to najszcześniejsze lata w moim życiu. W gruncie rzeczy jest między panią a mną tylko jedna różnica - dodała Caroline Ryan.
- Mianowicie?

- ... Nie wiem, gdzie się podziała moja żona. O, twoja rozmawia z Liz Elliot i Holtzmanami. Ciekawe, o czym tak dyskutują? - zdziwił się Bunker.

- ... Różnica jest tylko taka, że śpię w nocy z mężczyzną - zaczęła Cathy czarującym głosem - co ma tę zaletę, że nigdy nie muszę zmieniać w nim baterii.

Jack odwrócił się, by ujrzeć swoją żonę w towarzystwie Liz Elliot. Perły tej ostatniej wydawały się brązowe, tak bardzo pobladł jej kark. Cathy była niższa niż doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego, a przy Libby Holtzman wyglądała jak skrzat, lecz cokolwiek się działo w ich gronie, dotrzymywała placu jak mama niedźwiedzica i choć musiała zadzierać głowę, nie zdejmowała wzroku z twarzy Liz Elliot. Jack podszedł bliżej, chcąc zorientować się w sytuacji.

- Jestem, kochanie.
- Witaj, Jack - przywitała go Cathy, wciąż wpatrując się w cel. - Znasz Boba i Libby?
- Dobry wieczór - Jack uściśnął im dłonie, lecz za nic nie mógł się zorientować, co oznaczają ich dziwne miny. Pani Holtzman wyglądała, jakby za chwilę miała pęknąć, lecz wzięła głęboki oddech i opanowała się, po czym zapytała:

- Czy to pan jest szczęśliwym małżonkiem naszej Caroline? Słyszając ten komplement, Liz Elliot zdecydowała się wycofać ze starcia.

- Chyba naprawdę jestem szczęściarzem, skoro mnie sobie wynalazła - potwierdził Jack, wciąż nie rozumiejąc sytuacji.

- Przepraszam, obowiązki czekają - przerwała Liz Elliot, rejterując z udawaną nonszalancją. Cathy wzięła Jacka pod ramię i poprowadziła w róg, gdzie grał fortepian.

- Co to miało być, ja się pytam? - zwróciła się Libby Holtzman do męża, choć domyślała się już mniej więcej tła rozmowy. Omal się nie udusiła, usiłując pohamować śmiech.

- Co było, to było, moja miła, a wszystko przez to, że złamałem zasady. I wiesz, co ci jeszcze powiem?

- Że słusznie zrobiłeś - obwieściła Libby. - "Bracia Mars"? "Diabelski trójkąt"? Pomyśleć, Liz

Elliot, biała królowa lewaków. O, mój Boże.

- Jack, potwornie rozboleła mnie głowa. Nie żartuję, naprawdę potwornie - szeptała tymczasem Cathy Ryan do Jacka.

- Aż tak bardzo? Cathy pokiwała głową.

- Wyprowadź mnie stąd, proszę, zanim nie zwymiotuję.

- Cathy, z takiego bankietu nie można ot tak, po prostu wyjść... -zaprotestował Jack.

- Pewnie, że można.

- O czym tak rozmawiałyście z Liz?

- Nieważne, w każdym razie jej nie znoszę.

- Nie ty jedna. Chodźmy. - Jack ruszył ku drzwiom, prowadząc Cathy pod ramię. Kapitan strzegący wejścia okazał się niesłychanie wyrozumiały, dzięki czemu w pięć minut Ryanowie znaleźli się na dworze. Jack pomógł żonie wsiąść do samochodu i ruszył podjazdem w stronę alei.

- Jedź prosto - nakazała mu Cathy.

- Ale...

- Jedź prosto, Jack - rozbrzmiały słowa prosto z sali operacyjnej. Tym tonem Cathy wydawała polecenia zespołowi. Ryan posłusznie minął park Lafayette. - Teraz w lewo.

- Niby dokąd nas prowadzisz?

- Teraz skręć w prawo, i od razu w lewo na podjazd.

- Ale...

- Jack, zrób to dla mnie - zachęciła go Cathy.

Portier hotelu Hay Adams otworzył drzwiczki dla Caroline. Jack wręczył kluczyki pikolakowi z parkingu i podążył za żoną. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak Cathy bierze od recepcjonistki klucz i pędzi ku windzie. Wpadł za nią do kabiny, wypadł na korytarz i podążył aż do narożnego apartamentu.

- Co ty wyrabiasz, Cathy?

- Jack, mamy ciągle za dużo obowiązków, za dużo dzieci, a za mało siebie. Dziś nareszcie mamy czas, kochanie. - Cathy oplótła Jacka ramionami. Nie pozostawało nic innego, jak ją pocałować. Potem wręczyła mu klucz ze słowami: - A teraz otwórz drzwi, zanim ktoś nas przyuważy.

- Ale co będzie z...

- Jack, zamknij się. Proszę - dodała Cathy.

- Tak, kochanie. - Ryan wprowadził żonę do apartamentu.

Cathy przekonała się z radością, że wszystkie jej wskazówki wypełniono tak dokładnie, jak tylko na to stać obsługę w najelegantszych hotelach świata. Na stole czekał już lekki posiłek i oszroniona butelka szampana marki Moët: Cathy rozłożyła futro na kanapie, pewna już, że personel zadbał o resztę szczegółów.

- Czy mógłbyś nalać szampana? Za chwileczkę wrócę. Może zdejmij marynarkę i odpręż się trochę? - zaproponowała Cathy, pędząc do łazienki.

- Pewnie - mruknął Jack sam do siebie. Nie miał pojęcia, co się dzieje, ani co wymyśliła Cathy, ale niewiele się tym przejmował. Zrzucił smoking na żonine futro z norek, zdarł cynfolię z butelki, odkręcił druciane zabezpieczenie i delikatnie uwolnił korek, po czym nalał dwa kieliszki i odstawił butelkę do srebrnego kubelka. Postanowił zaufać marce wina bez kosztowania, więc podszedł do okna, wychodzącego na Biały Dom. Nie dosłyszał kroków Cathy, która wróciła do pokoju, lecz w dziwny sposób wyczuł jej obecność. Kiedy się odwrócił, żona stała w przejściu do sypialni.

Drugi raz w życiu miała na sobie białą jedwabną koszulę do samej ziemi. Pierwszy raz ubrała się w nią w noc poślubną. Boso podeszła teraz do męża, prześlizgując się po puszystym dywanie

niczym zjawą.

- Zdaje się, że ci przeszedł ból głowy.

- Mam za to okropne pragnienie - Cathy uśmiechnęła się do Jacka. - ' Zaraz się tym zajmę. - Jack podniósł kieliszek do ust żony, która przełknęła szampana i podstawiła kieliszek mężowi.

- Głodny?

- Nie.

Cathy przytuliła się i oplotła dłońmi dłoń Jacka.

- Kocham cię. Czy chcesz? Jack odwrócił Cathy w miejscu i z dłońmi na jej kibici poprowadził przodem ku sypialni, gdzie czekało rozłożone łóżko, a ciemność rozjaśniała tylko odległa powódź światła nad Białym Domem.

- Pamiętasz nasz pierwszy raz, pierwszy raz w małżeństwie?

- Pamiętam oba razy, Cathy - zachichotał Jack.

- Dziś znów będziemy się kochali pierwszy raz. - Cathy sięgnęła ręką za plecy Jacka i rozpięła zatrzask jego szarfy od smokinga. Jack zrozumiał ten gest, a kiedy rozebrał się do naga, Cathy przytuliła się najmocniej jak potrafiła. Jedwab koszuli nocnej zaszeleścił o skórę. - Połóż się.

- Jesteś taka piękna, że nie wiem, Cathy.

- Ja też nie chciałabym, żeby ktoś mi cię zabrał.

Cathy położyła się obok Jacka. Obydwoje byli zupełnie gotowi, toteż Cathy podciągnęła w górę swoją koszulę, usiadła Jackowi na brzuchu i puściła fałdy, pozwalając, by materiał spowił ich obydwój. Ręce Jacka odnalazły piersi żony. Pochwyciła jego dłonie w swoje i kołysała się w górę i w dół, wiedząc, że, niestety, dla obydwójga z nich nie potrwa to długo.

Jack próbował powstrzymać się jeszcze przez chwilę. Szeptał sobie w duchu, że to nieprzyzwoite u mężczyzny mieć takie szczęście. Nie wytrzymał długo w szlachetnych zamiarach, lecz jego niecierpliwość nagrodził uśmiech, który rozczulił go do łez.

- Nieźle - oświadczyła mu Cathy minutę później i pocałowała go w dłoń.

- Wyszedłem z wprawy.

- Jeszcze ranek nie tak bliski - oświadczyła, kładąc się obok niego. - Dawno nam się tak nie udało. Może teraz coś byś zjadł?

Ryan rozejrzał się po apartamencie.

- Hmm, może...

- Poczekaj. - Cathy wyskoczyła z pościeli, by wrócić ze szlafrokiem ozdobionym godłem hotelu. - Włóż, nie chcę, żebyś się zaziębił.

Kolację zjedli w milczeniu. Cóż mogli jeszcze dodać do przeżytej chwili? Przez kolejną godzinę nic do siebie nie mówiąc udawali, że znów mają po dwadzieścia kilka lat i traktują miłość jako pole do nie kończących się eksperymentów, nową i cudowną dziedzinę, w której każdy zakręt ścieżki odsłania nie znaną dotąd i niewiarygodną perspektywę. Jack wyrzucał sobie, że nie kochali się od tak dawna, lecz wkrótce przestało go to gnębić. Nareszcie nie miał żadnych zmartwień. Kiedy skończyli deser, nalał Cathy resztę szampana.

- Muszę przestać pić - zauważył, dodając w myśli: - Od jutra. Cathy dopiła musujące wino i odstawiła kieliszek.

- Pewnie, że nie zaszkodziłoby ci, gdybyś przestał, ale nie jesteś alkoholikiem. Udowodnił mi to w zeszłym tygodniu. Potrzebny ci był tylko wypoczynek, no i wypocząłeś. Pokaż mi teraz, ile masz sił.

- Jeżeli w ogóle mam siłę.

Cathy wstała i wzięła Jacka za rękę.

- Jasne, że masz, jeszcze ile!

Tym razem inicjatywa należała do Jacka, który w sypialni natychmiast zdarł Cathy koszulę przez głowę i cisnął na podłogę obok swojego szlafroka.

Pierwszy pocałunek wydawał się trwać wieczność. Jack podniósł żonę z ziemi i ułożył ją w pościeli, po czym sam zleżł obok niej. Obydwojgu nadal spieszo było do kochania. Jack przetoczył się na Cathy, czując pod sobą i wokół siebie jej ciepło. Tym razem sprawił się dużo lepiej, powstrzymując się aż do chwili, gdy Cathy wyprężyła grzbiet, a na jej twarzy pojawił się ów dziwnie bolesny wyraz, który każdy mężczyzna pragnie ujrzeć u swojej kobiety. U szczytu uniesienia Jack objął Cathy pod ramionami i podniósł ją z łóżka, przytulając do torsu. Cathy uwielbiała, kiedy tak robił, uwielbiała siłę męża prawie tak samo, jak jego dobroć. Kiedy skończyli, Jack położył się u boku żony, która przytuliła się do niego, czując dotyk policzka przy swoich - jakże małych! - piersiach.

- Widzisz, nie stało się z tobą nic złego - szepnęła mu do ucha. Nie zaskoczyło ją to, co nastąpiło potem. Za dobrze знаła męża, choć lekkomyślnie pozwoliła sobie o tym zapomnieć. Nie wiedziała, czy sama potrafi to sobie wybaczyć. Całym ciałem Jacka wstrząsnął szloch. Cathy przytuliła go jeszcze mocniej, czując na piersiach jego łzy. Taki duży, silny mężczyzna.

- Jestem marnym mężem i marnym ojcem. Cathy dotknęła policzkiem czupryny Jacka.

- Kochanie, żadne z nas ostatnio nie bije rekordów w tej dziedzinie, ale teraz się to zmienia, prawda?

- Tak - szepnął Jack, całując jej sutkę. - Jak znalazłem kogoś takiego jak ty?

- Wygrałeś mnie, Jack. Wygrałeś mnie na wielkiej loterii życia. A ja wygrałam ciebie. Myślisz, że w małżeństwie ludzie zawsze na siebie zasługują? Ile już widziałam w pracy takich par, którym nijak ze sobą nie szło. Może nie dali z siebie wszystkiego albo zapomnieli, jak to jest.

- Zapomnieli?

- Ja też prawie zapomniałam. "W bogactwie i w biedzie, na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, dopóki nas śmierć nie rozłączy". Pamiętasz? Ja też to przysięgałam, Jack. Wiem, jaki potrafisz być dobry i nie znam nikogo lepszego. Byłam dla ciebie taka okropna przez cały zeszły tydzień... Przepraszam za wszystko, co wyrabiałam. Teraz będzie inaczej.

Szloch ustał wkrótce.

- Dziękuję ci, mała.

- Ja ci dziękuję, Jack. - Cathy pogładziła go po plecach.

- Chcesz powiedzieć, że...? - Jack podniósł głowę, by widzieć minę Cathy. Ujrzał na niej nowy uśmiech, najdelikatniejszy uśmiech, jaki kobieta może ofiarować mężowi.

- Tak myślę. Może tym razem będziemy mieli drugą dziewczynkę.

- Fajnie byłoby mieć dziewczynkę.

- A teraz śpij.

- Za minutkę. - Jack wstał i udał się do łazienki, a potem zabawił chwilę w drugim pokoju apartamentu. Po dziesięciu minutach, kiedy już spał, Cathy narzuciła na siebie koszulkę i wracając z łazienki odwołała budzenie, które Jack dopiero co zamówił na poranną godzinę. Tym razem sama stanęła przy oknie, patrząc na domostwo prezydenta. Świat nigdy nie wydawał jej się piękniejszy. Gdyby jeszcze udało jej się skłonić Jacka, by cisnął posadę u tych okropnych ludzi...

Kierowca zatrzymał się na postój przed Lexington w stanie Kentucky. Śniadanie, na które złożyły się kawa i racuszki, trwało dziesięć minut. Kierowca uważał, że nie ma to jak śniadanie, żeby

nie zasnąć za kółkiem. Musiał jednak gnać dalej. Tysiąc dolarów premii piechotą nie chodzi, lecz żeby poczuć te pieniądze w kieszeni, musiał zdążyć na most przez Missisipi, zanim w St. Louis zacznie się poranna godzina szczytu.





# TANCERZE

Poranne światło wlewające się w okna i odgłosy ruchu ulicznego natychmiast uświadomiły Ryanowi, że zaspał. Zegarek pokazywał kwadrans po ósmej. Jack powiedział sobie jednak, że za późno na panikę i wstał z łóżka. W salonie apartamentu przywitał żonę, która zajęła się już poranną kawą.

- A ty co, nie musisz pędzić do pracy?

- Miałam asystować przy zabiegu, zaczął się parę minut temu, ale Bernie wziął za mnie zastępstwo. Może jednak włożyłbyś coś na siebie, Jack?

- Jak ja się teraz dostanę do pracy?

- John przyjedzie po ciebie o dziewiątej.

- Racja - z tymi słowy Ryan ruszył do łazienki, by ogolić się i wziąć prysznic. Po drodze zajrzał do szafy i znalazł w niej garnitur, krawat i świeżą koszulę. Nie ma co, Cathy starannie zaplanowała tę akcję. Wbrew sobie Jack musiał się uśmiechnąć, bo nigdy nie przypuszczał, że jego żona okaże się mistrzem - mistrzynią? - spisku. Za dwadzieścia dziewiąta Jack był gotowy do wyjścia!

- Wiesz, że o jedenastej mam spotkanie po drugiej stronie ulicy?

- Naprawdę? Pozdrów ode mnie tę wydrę Liz Elliot - poprosiła z humorem Cathy.

- Ty też jej nie lubisz?

- Za co ją niby lubić? Na studiach była marnym wykładownicą. Nie jest taka mądra, jak sobie wyobraża. Kompleksy i mania wielkości.

- Zauważyłem. Za mną Elliot też nie przepada.

- Na to mi wyglądało. Pożarliśmy się obie wczoraj, ale chyba wyszło na moje - oświadczyła Cathy.

- O co wam poszło?

- Nie takiego, różne babskie sprawy. Jack...?

- Co, mała?

- Chyba pora, żebyś rzucił to wszystko. Ryan wbił wzrok w talerz.

- Może i racja. Muszę jeszcze dopilnować paru spraw, ale... kiedy się już z nimi uporam...

- Ile ci to jeszcze zajmie?

- Góra dwa miesiące. Nie mogę ot po prostu odejść, kochanie. Zostałem mianowany przez prezydenta, senat musiał zatwierdzić moją kandydaturę, pamiętasz? Takiej pracy nie rzuca się z dnia na dzień, bo traktują człowieka jak dezertera. Są pewne zasady, których się trzeba trzymać.

Cathy skinęła posłusznie głową, gdyż i tak powiedziała już wszystko, co chciała.

- Rozumiem, Jack. Dwa miesiące to nie tak długo. Wiesz już, czym się zajmiesz potem?

- Mogę nająć się jako ekspert, gdzie tylko zechcę, w Centrum Badań Międzynarodowych i Strategicznych, w fundacji Heritage, może nawet na John Hopkins w Ośrodku Badań Międzynarodowych. Kiedy byłem w Anglii rozmawiałem długo z Basilem. Mówił, że na moim stanowisku nigdy się tak naprawdę nie odchodzi do końca. Hmm. Mógłbym nawet napisać kolejną książkę...

- Najpierw urządzimy sobie piękne, długie wakacje, kiedy tylko dzieciom skończy się szkoła.

- Tak? A już myślałem...

- Nie będę miała jeszcze aż takiego brzucha, Jack.

- Naprawdę myślisz, że udało nam się w nocy?

- Kalendarzyk mówi, że tak, a poza tym - Cathy drwiąco uniosła brwi - miałeś dwa podejścia, prawda? Dlaczego masz taką minę? Nie spodziewałeś się podstępu?

- Robiono mnie w gorszego balona - Ryan odwzajemnił uśmiech.

- Czyli do wieczora?

- Czy mówiłem ci już, jak mi się podoba ta koszulka?

- Ta z nocy poślubnej? Trochę zbyt dostojna, ale i tak podziałała. Szkoda, że nie mamy już czasu, co?

Jack zmusił się, by wyjść z apartamentu, zanim będzie za późno.

- Trudno, kochanie, ja mam swoją pracę, ty swoją.

- Uuuuu - zmartwiła się żartobliwie Cathy.

- Nie mogę oświadczyć prezydentowi, że się spóźniłem, bo ciupciałem żonę akurat naprzeciwno. - Jack objął Cathy i pocałował ją. - Dzięki ci, kochanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Jack.

Ryan wychynął przez frontowe drzwi hotelu. Clark czekał już na podjeździe. Trzasnęły drzwiczki.

- Witam doktora.

- Cześć, John. Zrobiłeś jeden jedyny błąd.

-A to jaki?

- Cathy wiedziała, jak masz na imię. Skąd?

- Po co panu wiedzieć - zbył Ryana Clark, wręczając mu raporty. - Do diabła, sam często mam ochotę walnąć się i porządnie wyspać.

- Coś mi mówi, że naruszyłeś przepisy.

- Pewnie tak - Clark ruszył z podjazdu. - Kiedy dostaniemy zgodę na akcję w Meksyku?

- Właśnie po to jadę do Białego Domu.

- Na jedenastą?

- Właśnie.

Jack przekonał się z radością, że mimo jego nieobecności CIA jakoś działa. Na siódmym piętrze wszyscy pogrążeni byli w pracy. Nawet Marcus siedział już na swoim miejscu.

- Jak samopoczucie przed podróżą? - zapytał Jack swojego dyrektora.

- W porządku, wylatuję dziś wieczór. Placówka w Japonii urządza mi rendez-vous z Lialinem.

- Prosiłem, żeby mówić o nim agent MUSASZI, a o jego informacjach NITAKA. Nawet w tych murach nie powinno się używać jego nazwiska.

- Ma pan rację. Jedzie pan do prezydenta w sprawie akcji w Meksyku?

- Zgadza się.

- Podoba mi się, jak pan to wszystko zorganizował.

- Dziękuję, ale to nie moja zasługa, prędzej już Clarka i Chaveza. Mogę coś zaproponować? - zapytał Jack.

- Proszę, śmiało.

- A gdyby tak ich znowu przydzielić do pionu operacyjnego?

- Jeżeli wyjdzie im ta akcja, prezydent mógłby się zgodzić. Ja też na to pójdę.

- Może być - oświadczył Jack, dziwiąc się, że tak łatwo poszło. Ciekawe dlaczego.

Profesor Kaminski jeszcze raz przejrzał klisze i zaklął pod swoim adresem. Poprzedniego dnia omylił się w diagnozie. Rzecz była nieprawdopodobna, ale...

Rzecz była zupełnie niemożliwa. Nie w tym kraju. Choć może? Wypadało przeprowadzić

dodatkowe analizy, lecz najpierw medyk przez godzinę szukał swojego syryjskiego kolegi. Chorego przeniesiono wkrótce do innego szpitala, gdzie znajdowała się wyłożona metalem izolotka. Nawet jeśli diagnoza była błędna, pacjenta należało trzymać w całkowitym zamknięciu.

Russell uruchomił wózek widłowy i przez kilka minut manipulował dźwigniami, by zorientować się, jak działają. Zachodził w głowę, na co potrzebny był podnośnik widłowy poprzedniemu gospodarzowi, lecz dał sobie spokój. W butlach pozostało na szczęście dosyć propanu. Indianin wrócił więc do domostwa spokojniejszy.

Mieszkańcy Kolorado okazali się gościnni. Rozwoziciele miejscowej gazety zamontowali już na końcu podjazdu skrzynkę, dzięki czemu Russell mógł przy porannej kawie przejrzeć wiadomości. Już po chwili Indianin zorientował się, że dobrze zrobił.

- Oho - zauważył cicho.

- Co się stało, Marvin?

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Kibice Wikingów chcą zorganizować konwój... Ponad tysiąc samochodów i autokarów. O, cholera. Będą korki jak nic. - Russell przewracał stronicę, szukając prognozy pogody na najbliższy tydzień.

- Dlaczego tak myślisz?

- Żeby dojechać do Denver, kibice władują się na 1-76, a wtedy utkniemy razem z nimi. Musimy dojechać na stadion przed południem, góra koło pierwszej... Właśnie wtedy, kiedy konwój ma dotrzeć do Denver...

- Co to znaczy "konwój"? Co takiego będą konwojować? - zapytał Kati.

- Nie chodzi o prawdziwy konwój - wytłumaczył Russell - tylko o, no, bo ja wiem, kawalkadę aut. Kibicom z Minnesoty strasznie zależy na wygranej... Coś wam powiem, najlepiej wynajmijmy sobie pokój w motelu, jak najbliżej lotniska. - Kiedy odlatujemy? - Russell zamilkł, po czym dodał: - Rany boskie, mętnie wam to wytłumaczyłem, co?

- Wytłumacz jeszcze raz - zażądał Hosni.

- Chodzi o pogodę. Jesteśmy w Kolorado, jest styczeń. Co będzie, jak znów zerwie się zamieć?

- Indianin spojrzał w gazetę. - A niech to licho.

- Chodzi ci o dojazd?

- Właśnie. Posłuchajcie, powinniśmy sobie zarezerwować pokoje, w motelu i blisko lotniska. Pojedziemy tam w przeddzień meczu... Wynajmę pokój na dwa czy trzy dni, żeby nie budzić podejrzeń. Jezu, mam nadzieję, że znajdą się jeszcze wolne miejsca. - Russell podszedł do telefonu i przekartkował spis hoteli w książce telefonicznej. Dopiero za czwartym razem znalazł pokój z parą podwójnych łóżek w małym prywatnym moteliku półtora kilometra od lotniska. Musiał niestety podać numer swojej karty kredytowej, czego się dotąd wystrzeżał. Nie w smak mu było, że zostawia kolejny trop swoim prześladowcom, ale trudno.

- Dzień dobry, Liz. - Ryan wmaszerował do gabinetu i usiadł. - Jak się dzisiaj mamy?

Doradczyni prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, jak każdy normalny człowiek, nie cierpiała drwin na swój temat. Poprzedniego wieczora starła się, w dodatku na oczach pismaków, z żoną przyjemniaczka, który rozsiadł się w jej gabinecie, i publicznie nabiła sobie guza. Liz Elliot nie wiedziała wprawdzie, czy Ryan umyślnie napuścił na nią swoją żoneczkę, ale musiał się później dobrze uśmieć. Liz nie było jednak do śmiechu, zwłaszcza gdy przypominała sobie, że to, co powiedział jej ten wściekły kurczak, odnosiło się również do Boba Fowlera. Prezydent też był tego zdania, gdy poprzedniej nocy Liz poskarżyła mu się na Caroline Ryan.

- Wszystko gotowe? - zapytała Ryana.

- A, pewnie.

- W takim razie chodźmy. - I dodała w myślach: - Już Bob się nim zajmie.

Helen D'Agustino przyglądała się, jak dwójka polityków wchodzi do Owального Gabinetu. Usłyszała już, oczywiście, co się wydarzyło na bankiecie. Agent Tajnej Służby dosłyszał każde słówko z rozmowy obu pań, a co za tym idzie, rankiem niejedna osoba chichotała dyskretnie na wieść, że E-E tak złośliwie przytarto nosa.

- Dzień dobry, panie prezydencie - dobiegł ją jeszcze głos Ryana.

- Dzień dobry, panie Ryan. Cóż ma nam pan do powiedzenia?

- Panie prezydencie, nasz plan jest w gruncie rzeczy bardzo prosty. Dwóch funkcjonariuszy CIA zaczeka na lotnisku w Meksyku. Przebiorą się za sprzątaczy z linii lotniczej i wejdą na pokład, żeby opróżnić popielniczki, wyszorować toalety, i tak dalej. Zanim wyjdą, ustawią świeże bukiety w saloniku na górnym pokładzie boeinga. Wśród kwiatów ukryte będą mikrofony, o, takie - Ryan wydobyl z kieszeni plastikowy patyczek i podał go rozmówcy. - Mikrofony prześlą wychwytywany sygnał do drugiego przekaźnika, ukrytego w butelce. Przekaznik będzie rozsyłał sygnał na zewnątrz, na wielu kanałach i w częstotliwości EHF. Grupa trzech innych samolotów będzie leciała kursem równoległym do boeinga, żeby wychwycić sygnał. Na pokładzie 747 ukryjemy drugi odbiornik z magnetofonem, żeby mieć w razie czego zapasowe nagranie i po to, by dostarczał nam alibi. Jeżeli ktoś go wykryje, będzie wyglądało, że podsłuchy założył któryś z dziennikarzy z ekipy premiera. Nie sądzę zresztą, żeby ktokolwiek coś wykrył. Na lotnisku Dulles nasi ludzie zdejmą sprzęt z pokładu. W ten czy tamten sposób przechwycimy nagranie z samolotu i parę godzin po wylądowaniu dostarczymy panu stenogram rozmów.

- Znakomicie. Jakie są szanse powodzenia operacji? - zapytał teraz szef sztabu w Białym Domu Arnold Van Damm. On także musiał, oczywiście, uczestniczyć w spotkaniu, tym bardziej, że akcja miała więcej wspólnego z zakulisowymi machinacjami niż z wielką polityką. Kompromitacja w wypadku wykrycia podsłuchów była nieuchronna, lecz gdyby akcja się powiodła, przyniosłaby nadzwyczajne zyski.

- Jak powiedziałem, przy takich przedsięwzięciach nie istnieją żadne gwarancje. Jeżeli na pokładzie padnie słowo o przekupstwie, na pewno się o tym dowiemy, ale zawsze istnieje możliwość, że ci Japończycy nie powiedzą nic. Sprzęt został wypróbowany jak trzeba. Powiem tylko, że działa. Akcję prowadzi doświadczony agent, który ma już na koncie różne delikatne zadania.

- Na przykład? - zapytał Van Damm.

- Na przykład kilka lat temu wykradł z ZSRR żonę i córkę Gierasimowa. - Ryan pokrótce streścił dawne wydarzenia.

- Czy opłaca nam się ryzykować? - zapytał z kolei Fowler. Pytanie zaskoczyło Ryana.

- Decyzja należy do pana, panie prezydencie.

- Ale ja proszę o pańską opinię.

- Owszem, opłaca się, panie prezydencie. Wiadomości, jakie otrzymujemy od NITAKI wskazują, że Tokio zrobiło się zadziwiająco aroganckie. Jeśli to ukrócimy, może wystraszą się na tyle, by zacząć z nami grać w uczciwy sposób.

- Czy to głos poparcia dla naszej polityki wobec Japonii? - zapytał Van Damm, również zdumiony, jak przed chwilą Ryan.

- Czy ją popieram, czy nie, nie ma w tej chwili żadnego znaczenia, ale jeśli mam odpowiedzieć, to owszem, popieram.

- Ale przecież poprzednia ekipa... - szef sztabu nie krył zdumienia. - Dlaczego nigdy nam nie

powiedziałaś...?

- Bo nigdy o to nie pytałeś, Arnio. Pamiętaj, że to nie ja określam politykę kraju. Ja jestem tylko szpiegiem, który robi, co mu każą, w granicach naszego prawa.

- Jak się pan wobec tego zapatruje na legalność akcji w Meksyku? -zapytał Fowler z ledwo skrywanym uśmiechem.

- To pan jest prawnikiem, nie ja, panie prezydencie. Zakładając, że sam nie znam się na zawiłościach prawnych, bo się rzeczywiście nie znam, muszę przyjąć, że pan, jako stróż porządku prawnego, nie posuwa się do tego, by skłaniać mnie do popełnienia przestępstwa.

- Odańczyłeś nam najlepsze pas od czasu występów tego rosyjskiego baletu w Kennedy Center - skwitował to ze śmiechem Arnio Van Damm.

- Widzę, Ryan, że wie pan, co powiedzieć. Ma pan moją zgodę - oświadczył Fowler po namyśle. - Jeżeli uda nam się usłyszeć to, co chcemy, co dalej?

- Musimy się podzielić stenogramem z Departamentem Stanu - rozległy się słowa Liz Elliot.

- Narazimy się w ten sposób na ryzyko - przypomniał Ryan. - Japończycy zatrudnili u siebie ostatnio masę osób z pionu negocjacji handlowych. Musimy przyjąć, że mają w Departamencie swoich ludzi.

- Wywiad gospodarczy? - zdziwił się Fowler.

- Co w tym dziwnego? NTTAKA nie dostarczył nam stuprocentowych dowodów, ale gdybym sam był waszyngtońskim urzędnikiem, który chce rzucić rządową posadkę i zarabiać pół miliona rocznie jako przedstawiciel Tokio, uznałbym, że to najlepszy sposób, żeby się wkupić jako potencjalnie cenny współpracownik. Zrobiłbym dokładnie to samo, co radzieccy szpiedzy czy dostojnicy, którzy zgłaszają się do nas z czymś konkretnym w ręku. Na zachętę zawsze przynosi się jakiś smaczny kasek. Te praktyki są oczywiście nielegalne, ale nasze służby zupełnie się nimi nie interesują. Właśnie z tego powodu nie wolno nam ryzykować rozpowszechniania tych stenogramów poza ścisłym kręgiem. Trzeba będzie, rzecz jasna, przedstawić je i zasięgnąć opinii sekretarza Talbota, może jeszcze kilku ludzi od niego, ale wahałbym się, czy poza nimi pokazywać komukolwiek ten materiał. Aha, proszę pamiętać, że jeśli powie pan ich premierowi w oczy, że zna pan przebieg rozmowy, i jeśli ten zorientuje się, że mówił o tym tylko w samolocie, stracimy nowy sposób rozpoznania.

Prezydent wysłuchał Ryana cierpliwie, choć z lekkim zdziwieniem.

- Upozorujemy to na przeciek z Meksyku? - zapytał Van Damm.

- Najprostsza metoda - zgodził się z nim Ryan.

- A jeżeli oskarżę go prosto w oczy? - przerwał im Fowler.

- Trudno czymś przebić strita w kolorze, panie prezydencie. Inna rzecz, że jeśli akcja wyjdzie na jaw, Kongres zacznie się pieniść. Trochę się tym martwię, bo muszę omówić akcję z Alem Trentem i z Samem Fellowsem. Sam pójdzie nam na rękę, gorzej z Alem, który nie cierpi Japończyków z przyczyn politycznych.

- Mógłbym pana zobowiązać do zachowania bezwarunkowej tajemnicy.

- Panie prezydencie, tego akurat prawa nie złamię, cokolwiek się będzie działo.

- Może się zdarzyć, że będę musiał dać panu takie polecenie - zauważył Fowler.

Ryan zdumiał się po raz kolejny, gdyż wiedział równie dobrze, jak prezydent, jak wyglądałyby skutki takiego polecenia. Jack zrobiłby dokładnie to, co proponowała mu rano Cathy. W samej rzeczy, nawet niezły pretekst, by rzucić służbę rządową.

- Może zresztą nie będzie takiej potrzeby, ale dosyć mam zabaw w ciuciubabkę z tym plemieniem. Jeśli zawarli umowę, muszą jej dotrzymać, bo inaczej będą mieli do czynienia z

wściekłym prezydentem. Powiem więcej: już sam pomyślał, żeby w tak przyziemny sposób przekupić głowę suwerennego państwa, jest czymś haniebnym. Bóg ich pokarze. Nie cierpię korupcji.

- Święte słowa, szefie - przytaknął Van Damm. - Nie mówię nawet, jak błysniemy tym wśród wyborców.

- A to sukinsyn - Fowler nie dał się odwieść od tematu. Ryan nie wiedział, czy prezydent udaje, czy też rzeczywiście uniósł się gniewem. - Pisze mi, że przyjeżdża dopracować kilka szczegółów i poznać się ze mną bliżej, podczas gdy tak naprawdę chce się wykręcić z umowy. Moim zdaniem, pora się przestać patyczkować. Na tym zakończyła się dyskusja.

- Nie widziałem pana na bankiecie, Ryan.

- Żona dostała migreny, musieliśmy wyjść. Przepraszam.

- Ale już jej lepiej?

- Tak, panie prezydencie. Dziękuję.

- Niech pan puszcza swoich ludzi ze smyczy.

- Już się robi, panie prezydencie - Ryan wstał i pożegnał się. Van Damm odprowadził go aż do Zachodniego Wejścia.

- Dobra robota, Jack.

- O, rany, nie powiesz mi, że Biały Dom mnie polubił? - zapytał Jack cierpko. Spotkanie przebiegło jakby zbyt serdecznie.

- Nie wiem, co się stało wczoraj wieczór, ale Liz jest zielona ze złości.

- Rozmawiały o czymś z moją żoną, nie mam pojęcia, o co im poszło.

- Jack, mam ci powiedzieć, jak jest? - zapytał Van Damm.

Ryan zorientował się od razu, jak dogodną sytuację stwarza spacer do samych drzwi, którego symbolika nie pozostawiała zresztą wątpliwości.

- Powiedz tylko kiedy, Arnie.

- Chciałbym ci móc powiedzieć, że poszło o sprawy służbowe, a nie osobiste animozje, ale właśnie o nie chodzi. Przykro mi, Jack, ale i tak bywa. Prezydent urządzi ci honorowe pożegnanie.

- Ładnie z jego strony - zauważył Jack poważnym tonem.

- Próbowałem ci pomóc, Jack. Wiesz, że cię lubię, ale cóż, tak bywa.

- Odejdę bez awantur, pod warunkiem że...

- Wiem, wiem. Nikt ci nie będzie strzelał w plecy, ani na odchodnym, ani później. Będziemy cię wzywać od czasu do czasu, do pomocy w misjach specjalnych czy kontaktach. Jak powiedziałem, odejdiesz z honorami. Masz na to moje osobiste słowo i słowo prezydenta. Zrozum, Jack, Fowler to naprawdę porządny gość. Ma łeb na karku, zna się na polityce, ale kiedy się uprze, nie ma na niego rady. Ty i on myślicie na dwa różne sposoby, ale tak się składa, że to on jest prezydentem.

Jacka kusilo, by zauważyć, że właśnie otwartość na przeciwne punkty widzenia jest miarą intelektualnej uczciwości człowieka, lecz odparł tylko:

- Powtarzam, odejdę bez awantur. Za długo już siedzę na tym stołku. Pora się odprężyć, wachać kwiatki i bawić berbecie.

- Fajny z ciebie facet - Van Damm poklepał go po ramieniu. - Jeśli ci się uda z Meksykiem, na do widzenia dostaniesz od szefa taki list pochwalny! Poprosimy nawet Callie Weston, żeby coś skrobnęła.

- Strzelasz jak zawodowiec, Arnie - rzucił Ryan, uściskał dłoń szefa sztabu i odszedł do samochodu. Van Damm zdziwiłby się, gdyby mógł ujrzeć uśmiech na jego twarzy.

- Nie da się tego zrobić w inny sposób?

- Zrozum, Elizabeth, że niezależnie od różnic ideologicznych między nami, Ryan dobrze służył krajowi. Nie zgadzam się z nim w wielu sprawach, ale wiem, że nigdy przede mną nie skłamał i zawsze próbował mnie wspomóc dobrą radą - uciał Fowler, przyglądając się zielonemu patyczkowi z mikrofonem. Mimowolnie zastanawiał się, czy urządzenie przypadkiem nie działa.

- Ale mówiłam ci, co wczoraj zaszło!

- Zrobiłem to, o co prosiłaś. Ryan odchodzi. Osób na jego stanowisku nie wyrzuca się za drzwi. Żegnać się trzeba w sposób honorowy i cywilizowany, inaczej można tylko dowieść ciasnoty umysłu i w głupi sposób zaszkodzić sobie politycznie. Zgadzam się z tobą, że Ryan to dinozaur minionej epoki, ale nawet dinozaury zasługują na zaciszny kącik w muzeum.

- Ale...

- Powiedziałem, co miałem ci do powiedzenia. W porządku, poczułaś się wczoraj z jego żoną. Przykro mi to słyszeć, ale co mam myśleć o kimś, kto żąda ukarania człowieka za czyny jego małżonki?

- Bob, mam chyba prawo spodziewać się od ciebie poparcia!

Fowlerowi nie spodobały się te słowa, lecz odrzekł zupełnie spokojnie:

- Toteż masz moje poparcie, Elizabeth. Nie pora zresztą ani miejsce na taką dyskusję.

Marcus Cabot zjawił się w bazie lotniczej Andrews wczesnym popołudniem. Dziś odlatywał do Korei. Podróż zapowiadała się bardziej luksusowo niż wskazywały pozory, bo choć samolotem był zwyczajny transportowiec wojskowy C-141B Starlifter o czterech silnikach i dziwnie wężowatym kadłubie, do jego ładowni wstawiono przewoźny domek z kuchnią, salonikiem i sypialnią. Na ścianach położono grubą izolację, jako że C-141 słynie z hałasu podczas lotu, szczególnie w części ogonowej. Cabot wyszedł przez drzwi w przedniej części, by przywitać się z załogą. Kapitanem maszyny był trzydziestoletni blondynek, który miał do dyspozycji dwie zmiany pilotów i obsługi. Lot należał do wyczerpujących, z jednym tankowaniem w bazie lotniczej Travis w Kalifornii i trzema następnymi w powietrzu, nad Pacyfikiem. Podróż zapowiadała się przeraźliwie nudno. Cabot postanowił przespać ją na ile tylko możliwe. Chwilami zastanawiał się, czy służba rządowa naprawdę ma jakikolwiek urok. Perspektywa odejścia Ryana, o czym Arnold Van Damm zdążył już szepnąć słówko, dodatkowo psuła humor Cabota. Dyrektor CIA zapiął pasy i zaczął przerzucać teczkę informacyjną na temat podróży. Podoficer lotnictwa zaproponował mu kieliszek wina. Kiedy Cabot pił pierwszy łyk, samolot zaczął toczyć się na początek pasa startowego.

John Clark i Domingo Chavez również wsiedli tego popołudnia do samolotu, udając się do stolicy Meksyku. Zdaniem starszego agenta, warto było wyruszyć kilka dni wcześniej i zaaklimatyzować się trochę. Meksyk jest kolejną wysokogórską metropolią, w której ubogie w tlen powietrze miesza się ze smogiem, zatruwając życie mieszkańcom. Zapakowali bardzo starannie sprzęt, choć nie spodziewali się niespodzianek ze strony celników. Nie zabierali oczywiście broni, która nie była potrzebna w tego typu akcjach.

Ciężarówka zjechała z autostrady międzystanowej dokładnie w trzydzieści Osiem godzin i czterdzieści minut od chwili, kiedy ruszyła sprzed portu kontenerowego w Norfolk. Ta część podróży okazała się łatwa. Trzeba było natomiast piętnastu minut prób i całego talentu kierowcy, by podjechać tyłem do betonowej rampy przed stodołą po przeciwległej stronie podwórca. Ciepłe słońce zmieniło grunt w grząskie błocko, które sięgało wyżej kostek i prawie udaremniło kierowcy manewr. Za trzecim podejściem udało się jednak. Kierowca wyskoczył i pobrnął piechotą ku rampie.

- Jak się otwiera ten kontener? - zapytał go Russell.

- Pokażę panu. - Kierowca przystanął, by oskrobać buty z błota, po czym zwolnił zasuwę wrót pojemnika. - Pomóc panu rozładować?

- Nie, sam sobie poradzę. W kuchni jest kawa, proszę śmiało.

- Dziękuję panu. Faktycznie, chętnie się napiję.

- No, jakoś poszło - zauważył Russell pod adresem Katiego, śledząc kierowcę wzrokiem. Kiedy otworzył wrota, ujrzał w kontenerze pojedynczą wielką skrzynię z napisem SONY na wszystkich bokach, zaopatrzoną w strzałki, które wskazywały górę, i znak kieliszka, by nawet analfabeta mógł się zorientować, że ładunek jest delikatny. Skrzynia spoczywała na palecie transportowej. Marvin zwolnił zatrzaski, które trzymały ją pośrodku kontenera i uruchomił wózek widłowy. Wyładunek bomby i złożenie jej w stodole zabrało minutę. Russell zgasił motorek podnośnika i zarzucił na skrzynię brezentową płachtę. Kiedy kierowca powrócił, kontener był już na powrót zamknięty.

- Ano, zarobił pan na swoją premię - oznajmił Marvin, wręczając pieniądze.

Kierowca przeliczył banknoty. Musiał teraz odwieźć kontener do Norfolk, ale postanowił zatrzymać się najpierw w najbliższym motelu dla ciężarówek i trzasnąć sobie osiem godzin snu.

- Z panem to aż przyjemnie robić interesy - oświadczył. - Mówi pan, że za miesiąc może się trafić następny kurs?

- Zgadza się.

- Tutaj ma pan mój telefon - kierowca wręczył reklamówkę firmy.

- Wali pan od razu z powrotem?

- Najpierw się trochę zdrzemnę. Mówili dopiero co przez radio, że jutro wieczór znowu ma być zadymka. Śnieg po pas, tak słyszałem.

- Taka pora roku, co?

- Pewnie, zwyczajna sprawa. No, to do miłego.

- Szerokiej drogi - Russell po raz ostatni uściśnął dłoń kierowcy.

- Nie możemy go tak stąd wypuścić - rzucił Hosni po arabsku do komendanta.

- Myślę, że możemy. W końcu z nas wszystkich rozmawiał tylko z Marvinem.

- Fakt.

- Sprawdziłeś, jak dojechała? - zniecierpliwiał się Kati.

- Opakowanie wygląda na nie uszkodzone. Jutro rano sprawdzę wszystko po kolei. Wygląda na to, że jesteśmy prawie gotowi.

- Właśnie. - Co chcesz najpierw, dobrą czy złą wiadomość? - zapytał Jack.

- Najpierw dobrą.

- Chcą, żebym ustąpił ze stanowiska.

- A zła wiadomość? - zaniepokoiła się Cathy.

- Zła wiadomość jest taka, że w tej branży nigdy się nie odchodzi, więc będę musiał zrobić coś od czasu do czasu. Konsultacje i podobne rzeczy.

- A ty, co na to?

- Taka robota wchodzi w krew. Ty sama też nie miałabyś ochoty rzucić kliniki na John Hopkins, żeby otworzyć prywatną praktykę i zapisywać pacjentom okulary, co?

- Jak często?

- Nie wiem, pewnie parę razy do roku. Doraźnie, w sprawach, w których jestem specjalistą. Nie na stałe.

- No, mają prawo o to prosić. Nie, powiem ci, że nie rzuciłabym ćwiczeń ze studentami. A



kiedy?

- Muszę najpierw skończyć to i tamto, potem będą musieli znaleźć kogoś na moje miejsce...  
Jack pomyślał, że idealnym kandydatem byłoby jedno z małżonków Foleyów. Tylko które?

- Centrala, tu sonar.

- Tu centrala - zgłosił się nawigator.

- Melduję prawdopodobny kontakt, kurs dwa dziewięć pięć, bardzo słabe echo, ale nie znika.

- Już idę. - Z centrali do przedziału hydrolokatora było raptem pięć kroków. - Proszę pokazać.

- O, tutaj. - Hydroakustyk wskazał nawigatorowi linię na ekranie, z wyglądu postrzępioną, gdyż składało się na nią mnóstwo żółtych kropeczek oznaczających daną częstotliwość dźwięku. Obraz na monitorze przesuwiał się powoli w górę wraz z upływem czasu, a linia grubiała coraz bardziej, choć pozostawała wciąż słaba i zamazana. Jediną wyraźną zmianą było jej narastające odchylenie. - Jeszcze nie umiem powiedzieć, co to za echo.

- A drogą eliminacji?

- Na pewno nie jest to kontakt na powierzchni, ale przypadkowy szum też nie - Bosman podjechał woskową kredką aż pod samą górę ekranu. - O, w tym miejscu pomyślałem, że to jednak czyjeś echo.

- Co z resztą namiarów?

- Echo Sierra-15, o to: statek handlowy, płynie na południowy wschód, hen za nami. To dopiero trzeci kontakt w dalekiej strefie konwergencji od początku ostatniej wachty. Pusto, panie Pitney. Moim zdaniem, za duże fale, żeby rybacy wypuszczali się aż tak daleko.

Kapitan Pitney postukał w ekran.

- Nazwijcie to echo Sierra-16 i pilnujcie. Jak tam woda?

- Głęboka warstwa jest dzisiaj świetna. Za to w powierzchniowej szumy. Ciężko utrzymać kontakt.

- Próbujcie.

- Tak jest. - Hydroakustyk pochylił się nad ekranem.

Kapitan Jeff Pitney wrócił do centrali, podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego i wcisnął klawisz oznaczający kajutę dowódcy.

- Komandorze, tu nawigator. Złapaliśmy prawdopodobny kontakt na kursie dwa dziewięć pięć, słabiutki, ale wydaje mi się, że to nasz przyjaciel powrócił... Tak, będę czekał. - Pitney odwiesił słuchawkę i włączył interkom systemu 1-MC. - Obsada przelicznika torpedowego i namiar na stanowiska!

Za minutę zjawił się w centrali komandor Ricks w tenisówkach i granatowym kombinezonie. Natychmiast sprawdził kurs, szybkość i zanurzenie okrętu, po czym wszedł do przedziału hydrolokacji.

- Pokazać.

- Cholernik znowu mi uciekł - poskarżył się bojaźliwie akustyk, wycierając skrawkiem papieru toaletowego znak namazany przed chwilą na ekranie. Za chwilę nakreślił następny kredkowy zygzak.

- O, tu coś się znowu zaczyna.

- Mam nadzieję, że nie budziliście mnie bez potrzeby - burknął Ricks. Kapitan Pitney zauważył spojrzenie, jakie wymienili między sobą dwaj pozostali hydroakustycy.

- Melduję, że kontakt wraca. Jeżeli to akula, w tym przedziale częstotliwości powinniśmy zobaczyć hałas ich pompy reaktora...

- Wywiad twierdzi, że okręt jest po remoncie. Iwan nauczył się je wyciszać - przypomniał

Ricks.

- Może i tak... Odchodzi powoli na północ, obecny kurs mniej więcej dwa dziewięć siedem.

Obaj oficerowie wiedzieli, że namiar może mieć odchylenie do dziesięciu stopni w obie strony. Nawet niesamowicie kosztowne namierniki USS "Maine" na dłuższe odległości podawały dość przybliżone dane.

- Ktoś jeszcze się tu kręci w okolicy? - zapytał Pitney.

- "Omaha" wyszła na patrol, są gdzieś na południe od wyspy Kodiak. Nie ten kierunek, więc to nie oni. Macie pewność, że to nie kontakt z powierzchnią?

- Z powierzchni? W żaden sposób. Gdyby to był diesel, już bym go rozpoznał, tak samo jak parowiec. Nie ma dudnienia, jak od jednostki nawodnej. Nie, ten ktoś idzie pod wodą, więc odpowiedź może być tylko jedna...

- Pitney, mamy kurs dwa osiem jeden?

- Tak jest.

- Dajcie w lewo, kurs dwa sześć pięć. Ustawmy się tak, żeby łatwiej było namierzyć cel. Spróbujcie obliczyć odległość od celu, nim za nim pójdziemy.

- Pójdziemy za nim? - zdumiał się w myśli Pitney. Chryste panie, boomersom nie wolno wyczyniać takich rzeczy.

Oczywiście bez gadania wydał odpowiedni rozkaz.

- Jak głęboko jest warstwa styku?

- Równo pięćdziesiąt metrów. W górnej warstwie taki szum, że na powierzchni muszą chodzić dziesięciometrowe fale - dodał hydroakustyk.

- Pewnie dlatego zeszli w głębinę, żeby równiej jechać. - Cholera, znów mi zniknął... Zobaczmy, co się stanie, kiedy naprostuje nam się pława...

Ricks wychylił głowę z przedziału i ostrym głosem rzucił:

- Kawy.

Nie przyszło mu jakoś do głowy, że jego akustykom także należy się kubek. Dopiero po pięciominutowym oczekiwaniu w odpowiednim miejscu ekranu ponownie wykwitł rój kropek.

- W porządku, wrócił. Chyba - dodał ostrożnie hydroakustyk. - Namiar wygląda mi na trzy zero dwa.

Ricks podszedł teraz do stołu namiarowego, gdzie porucznik Shaw z bosmanem przeliczali już dane.

- Są od nas sto tysięcy metrów albo więcej. Z przesunięcia echa przy zwrocie wnioskuje, że idą kursem na północny wschód, prędkość poniżej ośmiu węzłów. Sto tysięcy albo dalej - zameldował Shaw, podobnie jak bosman dumny z tak szybkiej roboty.

Ricks skinął tylko głową i wrócił do hydroakustyków. . - Echo coraz silniejsze, doszły szумы w paśmie pięćdziesięciu herców. Coś czuję, że to towarzysz akula, ani chybi.

- Musieliście mieć świetną słyszalność.

- Owszem, nie powiem, słyszalność dobra, a nawet coraz lepsza. Sztorm wszystko zepsuje, kiedy turbulencja zejdzie aż na naszą głębokość.

- Panie Shaw? - Ricks wrócił do ekipy namiaru.

- Mogę określić odległość na dziewięćdziesiąt osiem tysięcy metrów, kurs północno-wschodni, prędkość pięć węzłów, może dwa węzły więcej. Jeżeli idą szybciej, słyszymy ich w tej chwili na strasznej odległości.

- Dobra. Zrobimy zwrot, ale bardzo ostrożnie, na kurs zero osiem zero.

- Tak jest. Sternik, ster pięć stopni w prawo, docelowy kurs zero osiem zero.

- Ster pięć stopni w prawo. Melduję, ster pięć w prawo, kurs docelowy zero osiem zero.
- Tak trzymać.

USS "Maine" zawrócił pomalutku, tak aby nie ciągnąć pod zbyt ostrym kątem holowanej daleko za rufą pławy hydrolokatora. Zmiana kursu zajęła pełne trzy minuty. Okręt uczynił w owej chwili to, na co nie poważyła się przed nim żadna z jednostek amerykańskiej floty rakietowej. Wkrótce w centrali zjawił się komandor podporucznik Claggett.

- Pańskim zdaniem, jak długo utrzymają ten kurs? - zapytał Ricksa.
- Co pan by zrobił na ich miejscu?

- Przeczesałbym cały akwen, schodkami - odpowiedział Szkot - tyle że szedłbym na południe, a nie na północ, jak nasi na Morzu Barentsa, dobrze mówię? Odległość między kolejną prostopadłą zmianą kursu zależałaby od zasięgu mojego sonaru. Dowiemy się przynajmniej, na jaką odległość łapią kontakt. W zależności od tej liczby będziemy się musieli mocno pilnować, prawda?

- Ha, tak czy inaczej nie wolno mi pod żadnym pozorem podejść bliżej niż dwadzieścia osiem tysięcy metrów, więc... Najpierw zbliżmy się na czterdzieści pięć tysięcy, żeby ich lepiej wymacać, a potem, w zależności od warunków, powolutku suńmy naprzód. Dopóki ta akula się tu kręci powinniśmy na zmianę stale czuwać w centrali.

- Zgoda - skinął głową Claggett i przez sekundę wahał się, zanim cichutko zauważył: - W głowie mi się nie mieści, że OP-02 w ogóle zgodziło się na coś takiego.

- Świat stał się bezpieczniejszym miejscem, nie sądzi pan?

- Może i tak, sir.

- Zazdrości pan, że boomersi biorą się za robotę tych z patrolowców?

- Nie, panie komandorze, myślę tylko, że ktoś w OP-02 pogubił klepki, albo może sztab chce zaimponować komuś naszą elastycznością w działaniu, czy coś.

- Panu się to nie podoba?

- Nie, panie komandorze, nic a nic. Wiem, że nas na to stać, ale uważam, że nie powinniśmy tak robić.

- Czy to o tym rozmawiał pan z Mancusem?

- Że jak? - Claggett zaprzeczył ruchem głowy. - Nie, panie komandorze. Owszem, zapytał mnie, co sądzę o tym pomysle, powiedziałem, że jest wykonalny. Nie dorosłem jeszcze, żeby się wtrącać z opinią.

W takim razie o czym z nim pan rozmawiał? - chciał zapytać Ricks, chociaż oczywiście nie mógł.

Amerykane sprawili Olegowi Kiryłowiczowi Kadyszewowi gorzkie rozczarowanie. Jedynym powodem, dla którego go zwerbowali, była chęć zdobycia dokładnych, poufnych informacji o radzieckim rządzie. Kadyszew wywiązywał się wiernie z zadania przez długie lata. Potrafił przewidzieć nadciągające nad kraj burzliwe przemiany polityczne, umiał je zaś zwietrzyć dlatego, że doskonale wiedział, kim jest i kim nie jest Andriej Iljicz Narmonow. Prezydent ZSRR był człowiekiem o ogromnym darze politycznym, lwiej odwadze i taktycznej zwinności łasicy. Brakowało mu natomiast planu. Narmonow nie miał pojęcia, w którą stronę dryfuje, i to właśnie stanowiło jego największą słabość. Własnoręcznie zniszczył dawny porządek polityczny, bezczynnością doprowadził do rozsyпки Układu Warszawskiego, a jego wypowiedziane jedyny raz słowa, że Związek Radziecki nie będzie naruszał politycznej suwerenności innych krajów, spowodowały lawinę. W dodatku Narmonow uczynił to wszystko, chociaż świetnie wiedział, że marksizm trzyma się jedynie na radzieckich bagnietach. Komunistyczne władze w Europie Wschodniej

potakiwały tchórzliwie, wyobrażając sobie na dodatek, że otacza je miłość i oddanie ludu. Ich wiara stanowiła jeden z najbardziej zdumiewających w historii przykładów szaleńczego zaślepienia. Największa ironia kryła się jednak w fakcie, że Narmonow żywił identyczne złudzenia względem własnego kraju, rozdzieranego dodatkowo jeszcze inną, tragiczną niewiadomą.

Jedynie groźba siły utrzymywała razem naród radziecki - to ostatnie miano zawsze było jedynie pustym dźwiękiem. Tylko karabiny Armii Czerwonej gwarantowały, że Mołdawianie, Łotysze i Tadżykowie będą trzymać się linii Kremla. Narody, o których mowa, nie cierpiały komunistycznej władzy jeszcze bardziej niż ich pradziadowie caratu. Kiedy więc Narmonow ograniczał kierowniczą rolę partii we władaniu krajem, tym samym pozbawiał się wpływu na obywateli, a co gorsza, nie umiał żadną nową ideą zastąpić tej, którą obalał. Jego plan - w kraju, który od osiemdziesięciu lat pilnie słuchał się planu - po prostu nie istniał. Dlatego trudno się dziwić, że kiedy w miejsce porządku zaczął się szerzyć chaos, władze pozostały bezradne, pozbawione celów i jednoczącej idei. Olśniewające manewry polityczne Narmonowa były w gruncie rzeczy niepotrzebne. Kadyszew dobrze to rozumiał, w odróżnieniu od Amerykanów, którzy, jego zdaniem, postawili wszystkie pieniądze na przetrwanie "ich człowieka" w Moskwie. Dlaczego?

Czterdziestosześcioletni parlamentarzysta zmarszczył brwi. To on, nie Narmonow, był przecież człowiekiem Amerykanów, czyż nie? Ostrzegał ich od lat, ale oni nie słuchali, posługując się jego meldunkami po to, by kolejny raz wspomóc człowieka o wielkich talentach, lecz ubogiego w ideę. Jakiż z Narmonowa przywódca, skoro nie przyświeca mu żadna idea?

Nic dziwnego, że Amerykanów, równie ślepych i głupich, jak Narmonow, także zaskoczyły walki w Gruzji, zamieszki w republikach bałtyckich... Udawali, że nie widzą nadciągającej wojny domowej, która ogarnęła już łukiem republiki Azji Środkowej. Podczas odwrotu z Afganistanu zginęło bez śladu pół miliona sztuk broni, w większości karabinków, ale zdarzało się, że ginęły i czołgi! Armia radziecka nie mogła się jakoś pozbierać i złapać buntowników za kark, podczas gdy Narmonow dzień w dzień potykał się z przeciwnikami, podobny w tym do zrozczonego zonglera, który z największym trudem, ledwo, ledwo utrzymuje w powietrzu swoje talerze. Dlaczego Amerykanie nie pojmują, że pewnego dnia wszystkie talerze jednocześnie rąbną o ziemię? Konsekwencje będą zaś straszliwe dla wszystkich. Narmonow potrzebował idei, potrzebował planu, ale cóż z tego?

Kadyszew miał taki plan, i tylko dlatego wplątał się w to wszystko. Trzeba rozłamać Związek. Trzeba pozbyć się muzułmańskich republik, tak samo jak Bałtów i Mołdawian, a nawet zachodniej Ukrainy. Kadyszew chciał jednak zatrzymać wschodnią część Ukrainy, chciał też znaleźć sposób, by uchronić Ormian przed masakrą ze strony Azerbejdżan, a jeszcze utrzymać dostęp do azerbejdżańskiej ropy, przynajmniej dopóty, dopóki z pomocą Zachodu nie uzyska dostępu do wszystkich bogactw Syberii.

Kadyszew czuł się Rosjaninem, nosił Rosję w duszy. Właśnie Rosja była mateczką całego Związku, więc niczym dobra matka powinna wypuścić dzieci w szeroki świat, kiedy przyjdzie pora. Pora ta właśnie nadeszła. Odejście republik nie uszczupliłoby aż tak krainy rozpostartej od Bałtyku do Pacyfiku, mniej więcej jednonarodowościowej, posiadającej ogromne, prawie nietknięte bogactwa. Nowy kraj powinien być potężnym, wielkim państwem, tak samo silnym jak inne, o bogatej historii, olśniewającej sztuce i przodującej nauce... Tak wyglądała idea Kadyszewa. Chciał stanąć za sterem supermocarstwa, które przyjaźń i współpraca łączy z resztą krajów dziedziczących europejską przeszłość. Zadaniem Olega Kiriłowicza było ukazać Rosji światło wolności i dobrobytu. Jeśli trzeba w tym celu pozbyć się połowy ludności i dwudziestu pięciu procent obszaru - niech i tak będzie.

Amerykanie jednak nie chcieli mu dopomóc. Kadyszew nie pojmował, dlaczego. Przecież widzą, że Narmonow zapędził się w ślepią uliczkę, drogę bez wyjścia, albo może drogę, która kończy się nad krawędzią przepaści.

Jeżeli Amerykanie sami nie chcą pomóc, Kadyszew znalazł sposób, by ich do tego zmusić, i tylko dlatego dał się zwerbować Mary Pat Foley.

W Moskwie był dopiero wczesny świt, lecz Kadyszew od dawna nauczył się zadowalać minimum snu. Na starej, ręcznej, lecz nader cichej maszynie wystuka kolejny raport. Umyślnie nie zmieniał taśmy, tak spracowanej, że najbardziej drobiazgowo badanie nie było w stanie odczytać z niej napisanego tekstu. Papier pobrał z centralnego magazynu parlamentu, do którego miało dostęp kilkaset osób. Jak każdy zawodowy hazardzista, Kadyszew był osobą ostrożną. Kiedy skończył pisać, skórzaną rękawiczką starł z papieru odciski palców, które mógł pozostawić i w tych samych rękawiczkach wsunął złożony papier do kieszeni płaszcza. Wiedział, że za dwie godziny meldunek przejdzie z rąk do rąk, by po dalszych dwudziestu znaleźć się u adresata.

Agent o kryptonimie ŻAGIEL niepotrzebnie się bał, jako że KGB miało rozkaz nie niepokoić deputowanych ludowych. Szatniarka przełożyła papier do swojej kieszeni i wkrótce oddała go osobnikowi, którego znała tylko z widzenia. Osobnik opuścił gmach, machając przepustką i pojechał samochodem do pracy. Dwie godziny później list spoczywał już w teczce, której właściciel jechał na Szeremietiewo, skąd na pokładzie 747 wracał do Nowego Jorku.

- Dokąd tym razem, profesorze? - zapytał kierowca.

- A, tak dookoła.

- Co?

- Musimy porozmawiać - oświadczył Kaminski.

- Niby o czym?

- Wiem, że jesteście z KGB - oznajmił kierowcy lekarz.

- Profesorze, jestem tylko kierowcą ambasady - roześmiał się szofer.

- Badania medyczne z waszej teczki podpisał doktor Fiodor Iljicz Georgiew. Lekarz z KGB.

Byłem z nim na jednym roku. Mogę mówić dalej?

- Chłapnęliście komuś o tym?

- Ależ broń Boże.

Kierowca odetchnął z ulgą. Trudno, bywają takie sytuacje.

- O czym chcieliście ze mną porozmawiać?

- Więc jesteście z KGB, z Wydziału Zagranicznego? Trudna rada, trzeba się było przyznać.

- Zgadza się. Mam nadzieję, że to coś ważnego.

- Pewnie tak. Muszę natychmiast sprowadzić kogoś z Moskwy. Mam u siebie pacjenta z bardzo niezwykłą chorobą płuc.

- A co mnie to niby obchodzi?

- Widziałem już raz podobne płuca, u robotnika z zakładów w Biełojarskim. Wypadek przemysłowy. Zaproszono mnie jako konsultanta.

- Tak? Co tam produkują, w tym Biełojarskim?

- Bomby atomowe.

Kierowca zwolnił natychmiast.

- Mówicie poważnie?

- Może się mylę, ale badania, które teraz robię, są bardzo szczegółowe. Jeśli Syryjczycy pracują nad czymś takim, trudno liczyć na ich współpracę. Dlatego potrzebny mi specjalny sprzęt z Moskwy.

- Na kiedy?
- Pacjentowi nigdzie się nie spieszy, co najwyżej do ziemi. Niestety, jego stan jest beznadziejny.
- Będę musiał z tym do rezydenta, a ten wraca dopiero w niedzielę.
- Nie ma pośpiechu.



# U CELU

- Może pomóc - zaofiarował się Russell.

- Dzięki, Marvin, ale wolę wszystko zrobić samemu, tak żeby się nie rozpraszać - odpowiedział mu Hosni.

- Kapuję. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, krzyknij.

Ibrahim oblókł się w najcieplejsze rzeczy i wyszedł na mróz. Śnieg walił jak wściekły. Hosni widywał w Libanie śnieg, lecz nigdy aż tyle naraz. Zamięć zerwała się raptem przed pół godziną, lecz na ziemi leżała już trzycentymetrowa warstwa, a północny wiatr zapierał dech i przenikał do kości, kiedy Arab brnął do oddalonej o sześćdziesiąt metrów stodoły. Widzialność nie przekraczała dwustu kroków. Hosni słyszał więc samochody na pobliskiej autostradzie, ale nie mógł dostrzec nawet reflektorów przejeżdżających pojazdów. Wśliznął się bocznymi drzwiami do stodoły, zaczynając już żałować, że pomieszczenie nie jest ogrzewane. Skarcił się jednak za takie myśli, niegodne bojownika.

Kartonowe pudło, chroniące urządzenie przed wzrokiem ciekawskich, nie było przymocowane i dało się bez trudu zdjąć. Spod kartonu wyrzała metalowa skrzynia ze wskaźnikami i mnóstwem guzików, udająca profesjonalną maszynę do kopiowania kaset wideo. Kamuflaż zaproponował Günther Bock, a oryginalną obudowę kopiarki udało się odkupić po cenie złomu od redakcji syryjskiego dziennika telewizyjnego, która zafundowała sobie właśnie nowy model. Kłapa montażowa w ścianie kopiarki nadawała się idealnie do celu, jaki przeznaczył dla niej Hosni, a wewnątrz było tyle miejsca, że oprócz bomby zmieściła się jeszcze pompa próżniowa, zabrana na wszelki wypadek. Arab przekonał się z ulgą, że pompa nie będzie potrzebna: wbudowany w pancierz urządzenia manometr informował o pełnej hermetyczności obudowy. Nie było to niespodzianką; Hosni rzeczywiście znał się na spawaniu tak świetnie, jak o tym zapewniał nieboszczyka Manfreda Fromma - lecz miło było raz jeszcze się o tym przekonać. Sprawdził następnie zasilanie, w postaci trzech nowiutkich akumulatorów kadmowo-niklowych. Ze wskazań próbnika wynikało, że są całkowicie naładowane. Tuż obok akumulatorów znajdował się mechanizm zegarowy. Upewniając się, że styki nie są przyłączone do detonatora, Hosni z zegarkiem w ręku sprawdził jego działanie. Obie wskazówki nastawione już były na czas miejscowy, lecz między zegarkiem Hosniego a mechanizmem można było stwierdzić trzy sekundy różnicy. Winien był pewnie zegarek. Arabowi nie przeszkadzało tak niewielkie odchylenie. Trzy kieliszki umieszczone w skrzyni jako próbnik ostrożności dokerów były całe. Przewoźnicy stanęli na wysokości zadania, tak jak liczył na to Hosni.

- Gotowe, przyjacielu - rzekł głośno, zamknął kłapę kopiarki do kaset, zaryglował ją i nakrył urządzenie kartonem, po czym, chuchając w dłonie, powrócił do domu.

- Nie przeszkodzi nam ta pogoda? - zapytał go Kati.

- Za tą zamięcią ma przyjść następna. Powinniśmy wyruszyć jutro wieczorem, zanim się zerwie ta nowa zadymka. Ma być zresztą krótka, najwyżej pięć centymetrów śniegu, tak mówili. Jeżeli zdążymy między jedną zawieją a drugą, drogi powinny być przejezdne. Zameldujemy się w motelu i będziemy czekać, dobrze mówię?

- Dobrze. Co z furgonetką?

- Jeszcze dziś wymaluję znaki, jak tylko podłączę grzejniki. Robota na dwie godziny, mam już gotowe wszystkie szablony - oznajmił Russell, dopijając kawę. - Załadujcie bombę dopiero, jak skończą malować, co?



- Ile czasu będzie schła farba? - spytał Hosni.

- Góra trzy godziny. Chcę, żeby wyszło, że mucha nie siada, kapujesz?

- Znakomicie, Marvin.

Russell roześmiał się i zbierając talerze po śniadaniu oświadczył:

- Ciekaw jestem, chłopie, co pomyślą sobie teraz ci filmowcy. Odpowiedzią było zdumienie na twarzach gości.

- Günther nic wam nie mówił? - Nadal nie rozumieli. - Mówię o autorach tego filmu "Czarna niedziela". Facet wpada na pomysł, żeby rozwalić stadion pełen kibiców Superpucharu, ze sterowca.

- Żartujesz - przerwał mu Kati.

- Wcale nie, ci z filmu naprawdę przywiązali do gondoli tego sterowca wielką bombę rozpryskową, tyle że Izrael spostrzegł się w porę, więc faceci z ich CIA momentalnie załatwili się z nimi, jak to na filmie. Mój lud też miał takiego pecha, że ilekroć coś się działo, w mgnieniu oka zjawiała się kawaleria, żeby wytluc "indiańskich dzikusów".

- Jeszcze raz: w filmie chodziło o to, żeby wykosić cały stadion? - zapytał Hosni bardzo cichym głosem.

- Co? No, tak, oczywiście - odmruknął Russell, który ładował naczynia do zmywarki. Odwrócił się do Arabów i dodał: - Nie tak jak my, więc nie róbcie takiej smętnej miny. Nawet jeśli przerwiemy tylko transmisję, nie macie pojęcia, jak się wszyscy wkurzą. Poza tym nad stadionem jest dach, nie? Sterowiec nic by tu nie zdziałał, potrzebna byłaby atomówka albo coś takiego.

- Nawet niezły pomysł - zauważył ze śmiechem Hosni, ciekawy reakcji Indianina.

- Pomysł jak pomysł. Pewno, można by sprowokować normalną wojnę atomową, tylko że, kurwa, jak myślicie, kto mieszka w Dakocie, koło tych wszystkich wyrzutni rakietowych? Mój lud. Nie, w takie coś za nic bym się nie chciał bawić. - Russell wlał detergent do komory i włączył zmywarkę. - A właściwie co tam jest, w tej waszej bombie?

- Bardzo silny i skoncentrowany materiał wybuchowy. Nie obejdzie się bez uszkodzenia stadionu, nie myśl sobie.

- Tak się spodziewałem. Nic, chłopaki, transmisję uda się przerwać na sto procent, te główniane przekaźniki są takie delikatne, że wystarczy trącić. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaki będzie krzyk.

- Mnie też się tak wydaje, ale powiedz nam, dlaczego tak sądzisz? -zapytał Kati.

- W naszym kraju nie było jeszcze akcji terrorystycznej na taką skalę. Teraz się wszystko zmienia, bo ludzie przestaną się czuć tacy bezpieczni. Zaczną się kontrole, posterunki policyjne... Ludzie się wkurzą i zaczną się zastanawiać, więc może przyjdzie im do głowy, dlaczego musiało dojść aż do tego. Zrozumieją, co jest grane, a o to chodzi, nie?

- Właśnie o to, Marvin - uspokoił go Kati.

- Pomogę ci przy malowaniu, chcesz? - Hosni bał się, że Indianina zdejmie ciekawość, a na to nie mogli sobie pozwolić.

- Będę wdzięczny.

- Musisz mi tylko obiecać, że włączysz ogrzewanie - dodał inżynier z uśmiechem.

- Masz to jak w banku, chłopie, inaczej mi farba nie wyschnie. Wyobrażam sobie, jak wam zimno.

- Siuksowie to twardzi ludzie, żeby żyć w takim miejscu.

- Może zimne, ale nasze - przypomniał Russell, sięgając po kurtkę i rękawice.

- Myślicie, że się uda ich złowić? - zapytał nawigator.

- Moim zdaniem, mamy sporą szansę - odrzekł Dubinin, pochylając się nad mapą. - Będą się

czaić gdzieś tutaj, daleko od wód przybrzeżnych, bo za dużo tam rybaków z sieciami, i na północ od tego rejonu.

- Świetnie, komandorze, zostało nam przeszukać ledwo dwa miliony kilometrów kwadratowych.

- A w dodatku pokryjemy tylko dwie trzecie obszaru. Powiedziałem, że mamy sporą szansę, a nie pewność. Za trzy czy cztery lata, jak dostaniemy od konstruktorów automaty, będziemy mogli łapać echa w kanale głębinowym.

Dubinin miał na myśli następne dokonanie w dziedzinie wojny podwodnej, zdalnie sterowane miniaturowe okręty podwodne, kierowane z macierzystego okrętu przez światłowód. Okręciki mogłyby zabierać na pokład zarówno torpedy, jak i czujniki, dzięki którym w bardzo głębokim zanurzeniu udałoby się sprawdzić, czy warunki akustyczne na głębokości tysiąca do dwóch tysięcy metrów są rzeczywiście takie świetne, jak głosiła teoria. Automatyczne okręty zmieniłyby oblicze podwodnych łowów.

- Widać coś na wykrywaczach turbulencji?

- Nie, komandorze - zameldował podporucznik

- Nie wiem, co w ogóle wart ten sprzęt... - rozeźlił się pierwszy oficer.

- Poprzednim razem działał znakomicie.

- Poprzednim razem morze było gładkie jak stół. Jak często zdarzają się takie warunki zimą na północnym Pacyfiku?

- Mimo wszystko wykrywacze mogą się przydać. Każdy sposób jest dobry. A w ogóle, skąd u was taki pesymizm?

- Nawet Ramiusowi tylko raz udało się wykryć ohio, a i to podczas pierwszych prób morskich, kiedy Amerykanie mieli kłopoty z wałem napędowym. I co, długo udało mu się utrzymać kontakt? Raptem siedemdziesiąt minut.

- Nam też się to udało.

- To prawda, komandorze. - Nawigator postukał ołówkiem w mapę morską.

Dubinin wrócił myślami do tego, co o przeciwniku powiedzieli mu ludzie z wywiadu. Trudno zwalczyć w sobie stare nawyki... Komandor Harrison Sharpe Ricks, absolwent akademii marynarki wojennej, drugie dowództwo raketowego okrętu podwodnego, znany jako świetny inżynier i spec od techniki, zapewne kandydat do szybkiego awansu. Prócz tego twardy i wymagający dowódca, powszechnie szanowany w amerykańskiej marynarce. Popułnił przedtem błąd, więc dopilnuje zapewne, aby się to nie powtórzyło. Tak przynajmniej myślał o Ricksie Dubinin.

- Dokładnie czterdzieści pięć tysięcy metrów - zameldował podporucznik Shaw.

Coś ten Iwan dziwnie spokojny, pomyślał po raz pierwszy Ricks.

- Nie mają pojęcia, że im siedzimy na karku, co? - dopytywał się Claggett.

- Pewnie nie. Ten ich ogon nie jest taki świetny, jak sobie wyobrażają. Radziecka akula przetrząsała akwen zygzakiem. Okręt sunął przez pewien czas kursem z południowego zachodu na północny wschód, by po przepłynięciu dwudziestu pięciu mil morskich zrobić zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i zacząć następny "schodek". Można się było stąd domyślić, że promień zasięgu hydrolokatora w holowanej przez Rosjan pławie wynosił trzynaście mil morskich. Tak przynajmniej powiedzieliby faceci z wywiadu, dodał Claggett w myśli.

- Wiecie, co sędzę? Zostańmy lepiej na czterdziestu pięciu tysiącach, po co ryzykować - oznajmił Ricks. - Ci Rosjanie suną ciszej, niż się spodziewałem.

- Prawda, że wyciszyli swoją maszynownię? Gdyby ta akula pełzła, zamiast przetrząsać ocean...

- Claggett był nawet rad ze słów dowódcy, który znów zmienił się w ostrożnego inżyniera.

Młodszeo oficera nie zaskoczyła taka zmiana postawy. Kiedy przychodziło co do czego, Ricks brał ogon pod siebie. Pierwszy oficer był wielce zadowolony z takiego obrotu sprawy, gdyż nadal uważał ściganie podwodnego niszczyciela boomerem o wartości miliarda dolarów za szaleństwo.

- Możemy podejść bliżej, ale góra na trzydzieści dwa, trzydzieści pięć tysięcy.

- Sądzi pan? Gdyby zwolnili, o ile poprawi się ich nasłuch z pławy?

- Dobrze pytanie. Na pewno trochę się poprawi, chociaż wywiad twierdzi, że ich sonar jest podobny do naszego, więc bez przesady. Wszystko jedno, i tak złapaliśmy ptaszka, co? - zapytał Ricks bez potrzeby. Wiedział już, że za akcję dostanie do dzienniczka piątkę z plusem.

- A ty co o tym sądzisz, Mary? - zapytał Jack panią Foley. Trzymał w ręku tłumaczenie raportu od ŻAGLA. Mary Pat wołała rosyjski oryginał.

- Co ci mam powiedzieć, Jack? Sama go zwerbowałam, to mój pupilek.

Ryan spojrział na zegarek - chyba już. Sir Basilewi Charlestonowi trudno było odmówić punktualności. Dokładnie o umówionej godzinie zadzwonił szyfrowy bezpośredni telefon na biurku.

- Ryan.

- Mówi Bas.

- Co słyszeć, kolego?

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Nasz przyjaciel rozejrzał się w terenie. Nic a nic, chłopcze.

- Nie stwierdził nawet, że nasze domysły są fałszywe? - zapytał Jack, zaciskając powieki, jak gdyby nie chciał dopuścić do siebie złych wieści.

- Właśnie, Jack, nawet to mu się nie udało. Przyznaję, że rzecz jest osobliwa, ale być może, choć mało to prawdopodobne, nasz przyjaciel ma zerowy dostęp do takich informacji.

- Dzięki i za to, Bas. Mam u ciebie dług.

- Przepraszam, że nic nie wskórałem - dodał jeszcze Charleston. Słuchawka zamilkła.

Dla Ryana była to w tej sytuacji najgorsza nowina. Przez chwilę wpatrywał się w sufit, po czym zaczął ostrożnie:

- Londyn nie potrafi potwierdzić ani zaprzeczyć doniesieniom ŻAGLA. Co nam zatem pozostaje?

- Naprawdę tak się tu pracuje? - zapytał Goodley z niedowierzaniem. - Wszystko zależy od czyjegoś widzimisie?

- Ben, gdybyśmy faktycznie tak dobrze czytali z ręki, dawno byśmy zrobili majątek na giełdzie - powściągnął go ponurym głosem Ryan.

- Ale pan przecież potrafi! - upierał się Goodley.

- Ee, tam. Parę razy udało mi się wstrzelić, i tyle. Co o tym wszystkim myślisz, Mary Pat?

Pani Foley miała podkrążone oczy. Niełatwo być matką niemowlęcia. Jack przysiągł sobie, że wyśle ją na wypoczynek.

- Sam wiesz, Jack, że muszę popierać swojego agenta. To nasze najlepsze źródło informacji politycznych. Spotyka się sam na sam z Narmonowem... Dlatego jest dla nas tak cenny, i dokładnie dlatego tak trudno potwierdzić jego raporty. Pamiętaj, Jack, ŻAGIEL nigdy się jeszcze nie pomylił.

- Najbardziej się boję tego, że sam mu prawie uwierzyłem.

- Czego tu się bać, doktorze? Jack zapalił papierosa.

- Mówię tak, bo znam Narmonowa. Pewnej mroźnej nocy pod Moskwą mógł mnie sprzątnąć, jak chciał, ale nie. Zawarliśmy umowę, podaliśmy sobie ręce, i już. Tylko ktoś bardzo pewny swego może sobie pozwolić na takie gesty. Jeżeli Narmonow utracił tę pewność, mogłoby to oznaczać, że...

Że wszystko trzaśnie, w sposób nagły i niemożliwy do przewidzenia. Przychodzi wam do głowy straszniejsza perspektywa? - Ryan omiół siedzących wzrokiem.

- No, nie bardzo - przytaknął szef wydziału rosyjskiego w pionie rozpoznania. - Trzeba będzie zawierzyć meldunkowi.

- Ja też tak myślę - zgodziła się Mary Pat.

- A ty, Ben? - zwrócił się Jack do Goodleya. - Od samego początku ufałeś ŻAGŁOWI, a to, co nam tu pisze, potwierdza twoją opinię jeszcze z Harvardu.

Doktor Benjamin Goodley nie cierpiał, kiedy przypisywało mu się z góry stanowisko. W trakcie miesięcy spędzonych w CIA na własnej skórze nauczył się jednego, a mianowicie, że dyskusje o polityce podczas lunchu w klubie na Harvardzie a rozmowy w Langley to dwie zupełnie różne sprawy. Opinie CIA nadawały bieg całej amerykańskiej polityce. Goodley zorientował się dopiero teraz, że na tym właśnie polegało bycie niewolnikiem systemu.

- Głupio mi tak powiedzieć, ale zmieniłem zdanie. Jest w tej sytuacji jeszcze jeden aspekt, którego nie wzięliśmy pod uwagę.

- Cóż takiego, mianowicie? - zapytał szef działu rosyjskiego.

- Założmy sobie teoretycznie, że Narmonow upada. Kto będzie jego następcą?

- Kadyszew byłby tylko jednym z kandydatów; miałby, powiedzmy, jedną szansę na trzy - odpowiedziała Mary Pat.

- Na uniwersytecie powiedziałbym, że mamy do czynienia z konfliktem interesów. Przysyłając nam taki raport, Kadyszew popiera samego siebie.

- Mary? - Ryan przeniósł wzrok na panią Foley.

- Co z tego, że popiera? Przecież do tej pory nam nie kłamał? Goodley postawił wszystko na jedną kartę, choć nadal udawał, że kwestia interesuje go tylko teoretycznie.

- Pani Foley, dostałem zadanie, żeby znaleźć wszelkie przesłanki świadczące przeciwko meldunkowi ŻAGŁA. Sprawdziłem wszystkie materiały, do których mam dostęp. Jedyne, co zauważyłem, to nieznaczną zmianę tonu jego raportów w ostatnich paru miesiącach. Stwierdzenia ŻAGŁA stały się bardziej kategoryczne, mniej jest za to spekulacji i domysłów. Być może zmiana odpowiada treści, czyli temu, o czym pisze ŻAGIEL, ale według mnie jest bardzo znamienne.

- Może chce pan oprzeć całą ocenę na charakterze pisma ŻAGŁA? - przerwał pogardliwym tonem sowietolog. - Pan nie wie jeszcze, że nie bawimy się w takie zgadywanki.

- Wszystko jedno, muszę z tym jechać do miasta - oznajmił Ryan. - Powiem prezydentowi, że naszym zdaniem, Kadyszew pisze prawdę. Chcę tu sprowadzić Andrews i Kantrowitza, niech nas sprawdzą. Sprzeciwy? - Nikt się nie zgłosił. - W porządku, dziękuję wszystkim. Ben, mógłbyś zostać jeszcze na chwilę. A ty, Mary Pat, weź trzy dni wolnego. Polecenie służbowe.

- Mała ma rozstrój żołądka, nie daje mi pospać - rzekła tonem wyjaśnienia pani Foley.

- Niech Ed przejmie od ciebie nocny dyżur - zaproponował Jack.

- Ed nie ma cycków. Nie zapominaj, że karmię.

- Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że karmienie piersią wymyślił jakiś leniwy mężczyzna? - zasztartował Ryan.

Ponure wejrzenie Mary Pat maskowało tylko jej dobry humor.

- Jasne, że wymyślił. O drugiej nad ranem. Do zobaczenia w poniedziałek.

Kiedy para funkcjonariuszy wyszła, Goodley powrócił na fotel.

- Dobrze, teraz może pan na mnie krzyczeć.

- Niby za co? - Jack zezwolił mu gestem, by też sobie zapalił.

- Za to, że wyskoczyłem z głupim pomysłem.

- Głupi pomysł, tere fere. Pierwszy pan na to wpadł. Wcale nieźle.

- Ameryki nie odkryłem - mruknął absolwent Harvardu.

- Nie, ale przynajmniej szukał jej pan, gdzie trzeba.

- Gdyby to wszystko była prawda, jaką miałby pan szansę potwierdzenia z innych źródeł?

- Pół na pół, albo i większą. Powiedzmy, sześćdziesięcioprocentową. Mary Pat słusznie mówi, że dostajemy od ŻAGLA materiał, którego próżno szukać gdzie indziej, ale i pan ma słuszość. Pisząc nam prawdę, Kadyszew może tylko na tym wygrać. Muszę przed sobotą zgłosić się z tą sprawą w Białym Domu. Potem dzwonię do Jake'a Kantrowitza i Erica Andrews, niech w przyszłym tygodniu przylecą tu i sami popatrzą. Miał pan jakieś plany na sobotę i niedzielę? - zapytał nagle Jack.

- Żadnych.

- No to już pan ma. Idzie o to, żeby się pan przekopał przez wszystkie swoje materiały i sporządził dla nas ekspertyzę, ale taką porządną. W poniedziałek rano chcę ją widzieć na tym biurku.

- Jack postukał w blat

- Dlaczego?

- Dlatego, że uczciwie pisze pan prawdę, Ben. Że kiedy pan się za coś zabiera, to nie dla picu.

- Pan przecież nigdy się nie zgadza z moimi wnioskami!

- Powiedzmy, niezbyt często, ale za to materiały źródłowe przytacza pan pierwszorzędne. Nie ma ludzi nieomylnych, ale nie ma i takich, którzy tylko się myślą. Liczy się rozumowanie, dyscyplina myślowa, a tej panu nie zbywa. Mam nadzieję, że podoba się panu w Waszyngtonie, panie Goodley, bo mam zamiar zaoferować panu u nas stałą posadę. Zakładamy w pionie rozpoznania specjalny zespół, można go nazwać grupą alternatywną. Będzie opracowywać analizy sprzeczne z oficjalnym stanowiskiem Agencji, a podlegać ma bezpośrednio zastępcy dyrektora. Byłby pan człowiekiem numer dwa w podgrupie rosyjskiej. Da pan sobie radę? Niech się pan dobrze zastanowi, Ben - dodał Jack pospiesznie. - Główny zespół będzie się wam ciągle dobierał do skóry. Długie godziny pracy, marna pensja i marna satysfakcja na koniec dnia, powiedzmy to sobie od razu, ale za to będzie miał pan dostęp do kapitalnych informacji i od czasu do czasu ktoś poważnie z panem porozmawia. Potraktujmy tę ekspertyzę jako pański egzamin wstępny, jeżeli interesuje pana moja propozycja. Osobiście nic mnie nie obchodzą pańskie końcowe wnioski, chcę za to dostać do ręki coś innego, niż mi tu wszyscy przynoszą. Gra pan czy nie?

Goodley zaczął się wiercić w fotelu. Wahał się, co odpowiedzieć. Czy mógł zaryzykować i storpedować swoją karierę? Nie umiał jednak udawać, że wszystko jest w porządku.

- Powinienem panu o czymś powiedzieć.

- Śmiało.

- Kiedy doktor Elliot przysłała mnie tutaj...

- Kazała panu przyłapać mnie na błędach. Wiem o tym - pomysł ten bardzo ubawił Ryana. - Szybko udało mi się jej pana odbić, co?

- Chodzi o coś więcej... Elliot chciała, żebym sprawdził pana przeszłość... Znalazł jakieś materiały obciążające.

Twarz Ryana skamieniała w jednej chwili.

- Co dalej?

Goodley oblał się rumieńcem, lecz nerwowym głosem ciągnął: - Zrobiłem to. Znalazłem w pana teczce informacje o śledztwie komisji papierów wartościowych, przekazałem też informacje o innych transakcjach, w sprawie rodziny Zimmerów i tak dalej. - Ben umilkł. - Wstyd mi teraz za siebie.

- Dowiedział się pan czegoś?

- Na pański temat? Że jest pan dobrym szefem. Marcus to leniwa łajza, chociaż świetnie się prezentuje w garniturze. Że Liz Elliot jest ponurą zawistnicą, która uwielbia manipulować ludźmi. Wykorzystała mnie jak psa gończego. Owszem, czegoś tam się dowiedziałem i powiem panu, że już nigdy, przenigdy nie zrobię niczego podobnego. Może mi pan nie wierzyć, ale dotąd się jeszcze przed nikim tak nie kajałem. Tyle chciałem panu powiedzieć, bo powinien pan wiedzieć o tym wszystkim.

Ryan dobrą minutę patrzył młodemu stypendyście prosto w oczy, zastanawiając się, czy Goodley drgnie. Ciekawiło go, co właściwie siedzi w Benie. Wreszcie zdusił papierosa w popielnicze.

- Niech pan dobrze przysiadzie nad tą ekspertyzą, Ben.

- Dla pana zrobię najlepiej, jak potrafię.

- Już pan tak zrobił, doktorze Goodley.

- Co nowego? - odezwał się prezydent Fowler.

- Panie prezydencie, ŻAGIEL informuje w najnowszym meldunku, że z magazynów Armii Radzieckiej rzeczywiście zginęła pewna liczba bomb jądrowych, a KGB prowadzi gorączkowe poszukiwania.

- Gdzie konkretnie?

- W całej Europie, w tym oczywiście w ZSRR. Zawsze się uważało, że KGB jest lojalne wobec Narmonowa, przynajmniej w większości, sam Narmonow tak myślał, ale nasz przyjaciel nie jest już tego taki pewny. Z radzieckim wojskiem sprawa ma się już zupełnie inaczej; ŻAGIEL donosi, że pucz wojskowy jest całkowicie realny, a w dodatku Narmonow dalej ucieka się do półśrodków, zamiast wziąć generałów za łeb. Wersja o szantażu atomowym jest wielce prawdopodobna. Jeżeli raport mówi prawdę, w ZSRR może błyskawicznie dojść do zamachu stanu, którego konsekwencje będą trudne do przewidzenia.

- To ŻAGIEL, a pan co sądzi? - trzeźwo zapytał Dennis Bunker.

- Jesteśmy w Langley mniej więcej zgodni co to tego, że to wiarygodna informacja. Zaczęliśmy skrupulatnie sprawdzać wszelkie istotne dane. Wezwałem na poniedziałek dwójkę naszych najlepszych konsultantów z Princeton i Berkeley, będą mogli przejrzeć nasze materiały.

- A kiedy przedstawi pan ostateczną ocenę? - zapytał Ryana sekretarz stanu Talbot

- Zależy, co pan rozumie przez ostateczną. Pod koniec przyszłego tygodnia będziemy mieli ocenę wstępną, ale do "ostatecznej" stąd jeszcze daleko. Próbowałem uzyskać potwierdzenie poprzez wywiad brytyjski, ale wynik był zerowy.

- Gdzie może wypłynąć taka bomba? - zapytała Liz Elliot

- Rosja to wielki kraj - zbył ją Ryan.

- Świat też jest niemały - przypomniał Bunker. - Jak wygląda wasz pesymistyczny scenariusz rozwoju wypadków?

- Nie zaczęliśmy go jeszcze opracowywać - odpowiedział Ryan. - Kiedy mowa o zgubionych bombach jądrowych, słowo "pesymistyczny" może się okazać zupełnie na miejscu.

- Czy mamy powody podejrzewać, że ktoś wymierzy tę broń w Amerykę? - spytał Fowler.

- Nie, panie prezydencie. Radzieckie wojsko działa racjonalnie, a taki atak byłby aktem szaleństwa.

- Wzrusza mnie pańska wiara w racjonalność ludzi w mundurach - zauważyła Liz Elliot - Naprawdę sądzi pan, że ich wojskowi są inteligentniejsi od naszych?

- Nasi zawsze robią, co im się każe - wtrącił się ze złością Dennis Bunker. - Więcej szacunku dla naszej armii, doktor Elliot!

- Tę dyskusję odłożymy na inną okazję - uspokoił ich Fowler. - Co Moskwa mogłaby zyskać, szantażując nas?

- Dokładnie nic, panie prezydencie - brzmiała odpowiedź Ryana.

- Zgadza się - przytaknął Brent Talbot.

- Miałbym czystsze sumienie, gdyby zdemontowali te swoje SS-18, ale Ryan ma rację - oświadczył Bunker.

- Na ten temat też chcę od pana oceny - poleciała Elliot. - I to jak najszybciej.

- Dostanie pani - przyobiegał Jack.

- Jak się rozwija akcja w Meksyku?

- Panie prezydencie, sprzęt i ludzie są już na miejscu.

- O czym mowa? - zapytał sekretarz stanu.

- Brent, najwyższa pora, żebyś i ty usłyszał coś na ten temat. Proszę opowiadać, panie Ryan. Jack opisał pokrótce tło operacji i podjęte przygotowania. Zabrało mu to kilka minut.

- Nie do wiary, że się poważyli na coś takiego. Hańba! - oświadczył Talbot.

- Więc to dlatego nie przyjeżdżasz na mecz? - zwrócił się do prezydenta Bunker. - Jakoś nietrudno mi w to uwierzyć, Brent. Jak szybko uzyskamy zapis rozmów z samolotu?

- Biorąc pod uwagę spodziewany czas przylotu do Waszyngtonu i pracę komputera... powiedzmy o dziesiątej, jeszcze tego samego wieczora.

- W takim razie spokojnie możesz się wybrać z nami na mecz, Bob - zachęcał Bunker. Ryan po raz pierwszy słyszał, by ktoś zwracał się tak przyjacielsko do Fowlera.

Prezydent potrząsnął jednak głową.

- Złapię transmisję w Camp David. Chcę być w dobrej formie przed rokowaniami, a poza tym, ta zadymka, która dziś szaleje w Denver, ma dotrzeć do nas koło niedzieli. Ciężko będzie dojechać do miasta, a Tajna Służba od dawna marudzi, że mecze futbolowe mi nie służą. Patrzą na to ze swojego punktu widzenia, rzecz jasna.

- Mecz będzie pierwsza klasa - zapowiedział Talbot.

- Jaki rozkład typowań? - zaciekał się na te słowa Fowler. Ryan tylko jęknął w duchu.

- Wikingowie wygrają trzema punktami - brzmiała opinia Bunkera. - Obejrzę, ile tylko zdążę.

- Polecimy razem - wyjaśnił Talbot. - Pod warunkiem, że Dennis nie będzie pilotował.

- Porzucacie mnie w górach Marylandu. Trudno, ktoś musi zostać i rządzić - zaśmiał się Fowler. Jackowi nie spodobał się jego uśmiech. - Ale wracając do rzeczy, Ryan... Mówi pan, że nie ma dla nas zagrożenia?

- Chciałbym uczynić jeszcze parę zastrzeżeń. Po pierwsze, nadal nie udało się w żaden sposób potwierdzić raportu ŻAGLA.

- Powiedział pan, że CIA go uznało.

- Istnieje u nas zgodność co do tego, że ŻAGIEL przypuszczalnie napisał prawdę. Robimy wszystko, żeby uzyskać pewność pod tym względem. Tylko tyle chciałem wcześniej powiedzieć.

- No, dobrze - rozchmurzył się Fowler. - Jeśli meldunek jest fałszywy, tym bardziej nie mamy się czego obawiać, zgoda?

- Tak, panie prezydencie.

- A jeżeli jest prawdziwy?

- Wtedy ryzyko dotyczy ZSRR i możliwości szantażu atomowego wewnątrz tego kraju. W najgorszym wypadku będziemy świadkami wojny domowej z użyciem broni jądrowej.

- Co źle by nam wróżyło. Zagrożenia dla naszego terytorium?

- Żadnego. Prawdopodobieństwo jest w każdym razie znikome.

- Wszystko to brzmi całkiem rozsądnie. - Fowler rozparł się w fotelu. - Mimo to żądam dobrej, ale naprawdę świetnej analizy sytuacji. Jak najszybciej.

- Tak jest. Proszę mi. wierzyć, panie prezydencie, sprawdzamy każdy szczegół.

- Dziękuję panu za starania, Ryan.

Jack wstał, słysząc te słowa. Odkąd stracił stanowisko, ekipa zrobiła się dla niego uprzedzająco grzeczna.

Targowiska wyrosły na ulicach same z siebie, choć spotykało się je głównie we wschodniej części Berlina. Radzieccy żołnierze, którym nigdy nie dane było zakosztować zbyt wiele swobody, mogli oto bez przeszkód spacerować po zjednoczonej, zachodniej metropolii, kuszącej mnóstwem okazji, by oddalić się z koszar i po prostu zniknąć. Najbardziej zdumiewała więc znikoma liczba przypadków dezercji. Była ona zasługą nie tyle powziętych w wojsku środków zaradczych, ile obfitości targowisk. Radzieckich żołnierzy wciąż na nowo zadziwiała zachłanność tubylców. Niemcy, Amerykanie i kto tam jeszcze brali od krasnoarmiejców wszystko, jak leci: pasy, czapki-uszanki, obuwie, kompletne mundury, rozmaite pamiątki... Na dodatek kupujący płacili jak idioci w twardej walucie! W walucie, i to dowolnej: w markach, dolarach, funtach. Wartość tej waluty po przekroczeniu granicy ZSRR rosła zaś dziesięciokrotnie. Inne transakcje, z bardziej już wybrednymi klientami, obejmowały sprzedaż tak nieporęcznych artykułów, jak czołg T-80. Wymagało to jednak zgody dowódcy pułku, który w sprawozdaniach kazał napisać, że czołg uległ zniszczeniu podczas przypadkowego pożaru. W zamian za tę przysługę pułkownik wzbogacił się o mercedesa 560 SEL i dostateczną ilość gotówki, by nie martwić się o wysokość państwowej emerytury. Wkrótce jednak zachodnie agencje wywiadowcze zakupiły już wszystko, na co miały ochotę, pozostawiając rynek turystom i innym amatorom. Zachód uznał, że ZSRR toleruje wojskowy czarny rynek, gdyż w ten sposób gospodarka wzbogaca się o pokaźne zasoby waluty, w dodatku za śmiesznie niską cenę. Typowi zachodni nabywcy płacili dziesięć razy więcej, niż wynosił faktyczny koszt produkcji danego towaru. Byli w Rosji i tacy, którzy uważali, że podobne wprowadzenie do kapitalizmu przyda się żołnierzom, gdy ukończą służbę i wrócą do rodzinnych miejscowości.

Erwin Keitel podszedł do jednego z handlujących radzieckich żołnierzy, orientując się po pagonach, że ma przed sobą starszynę, czyli starszego sierżanta.

- Dzień dobry - zaczął po niemiecku.

- Nicht spreche - poinformował go Rosjanin. - Angielski?

- Dogadamy się po angielsku, tak?

- Da, da - przytaknął Rosjanin.

- Dziesięć mundurów. - Keitel wystawił palce obu dłoni, by nie było wątpliwości, o jaką liczbę chodzi.

- Dziesięć?

- Dziesięć. Duże, o takie, takie jak na mnie - dukał po angielsku Keitel, który płynnie władał rosyjskim, ale nie chciał płoszyć kupca. - Pułkownik mundur. Wszystkie dziesięć pułkownik, okay?

- Pułkownik? A, pałkownik! Oficer, tak? Trzy gwiazdki, tutaj? - żołnierz poklepał się po naramiennikach.

- Tak - ucieszył się Keitel. - Pułkownik od czołgów. Musi być od czołgów, ja?

- Po co potrzeba? - zagadnął starszyna, głównie przez uprzejmość. Ponieważ sam służył w jednostce pancerniej, wiedział, że zdobędzie mundury bez problemu.

- Kręcimy film. Film dla telewizji.

- Dla telewizji? - rozpromienił się starszyna. - Pas, buty?



- Wszystko.

Żołnierz rozejrzał się na prawo i lewo, po czym zniżył głos do szeptu. - Pistolet?

- Da się załatwić?

Starszyzna uśmiechnął się i energicznie pokiwał głową, by pokazać, że jest poważnym dostawcą.

- To kosztuje - ostrzegł.

- Ma być rosyjski pistolet, dobry pistolet - przestrzegł Keitel, mając nadzieję, że jego językowe łamańce da się zrozumieć.

- Będą.

- Kiedy?

- Za jedna godzina.

- Ile?

- Bez pistolet, pięć tysięcy marek. Dziesięć pistolet, jeszcze pięć tysięcy.

Dla Keitla suma zatraçała o rozbój na równej drodze, ale znów rozczapierzył palce.

- Dziesięć tysięcy marek. Płacę - oznajmił, i by udowodnić, że nie żartuje, pokazał żołnierzowi plik stumarkowych banknotów. Jeden z nich wcisnął starszynie do kieszeni i oświadczył: - Ja czekać jedna godzina.

- Jedna godzina, będę. - Starszyzna co tchu ruszył z targowiska, Keitel natomiast rozsiadł się w najbliższym Gasthausie i zamówił piwo.

- Jeśli dalej będzie tak szło, pierwszy powiem, że to pułapka - rzucił pod adresem towarzysza.

- Słyszałeś o tym czołgu?

- O tym T-80? Tak, a bo co?

- Willi Heidrich go załatwił, dla Amerykanów.

- Willi? - powtórzył Keitel z niedowierzaniem. - Ile sobie zaśpiewał?

- Pięćset tysięcy marek. Durni ci Amerykanie. Nie potrzeba Williego, żeby załatwić czołg.

- Skąd niby mieli o tym wiedzieć? - Keitel zaśmiał się ponuro. Zarobione pół miliona marek wystarczyło byłemu podpułkownikowi Wilhelmowi Heidrichowi, żeby założyć własną firmę, a dokładniej, identyczny Gasthaus jak ten, w którym siedzieli. Emerytowi żyło się teraz o wiele lepiej niż za czasów służby w Stasi. W dodatku Heidrich był jednym z najbardziej obiecujących podwładnych Keitla - i oto zaprzedał się, porzucił karierę, pokazał plecy ideologicznemu dziedzictwu, przedzierzgając się w szarego obywatela nowych Niemiec. Wiedza wywiadowcza posłużyła mu jako sposób, by przynajmniej choć trochę odegrać się na Amerykanach.

- Ciekawe, ile dostał Rosjanin?

- Ten, z którym Willi załatwił sprawę? Ech! Okrągłe dwa miliony marek. Inna rzecz, że na pewno musiał podkupić dowódcę dywizji. Dostał mercedesa, a resztę wpłacił do banku. Jednostka niedługo wracała do Rosji, kto by się tam doliczył paru czołgów w dywizji pancerniej? Inspekcja mogła się nawet nie domyślić.

Zamówili jeszcze jedną kolejkę, zagapieni w telewizor umieszczony nad barem. Keitel nie cierpiał tego nowego obyczaju; zmąlpowanego od Amerykanów. Kiedy upłynęło kolejne czterdzieści minut, wyszedł przed lokal, ubezpieczony przez kolegę, który został w środku. Mimo wszystko spotkanie mogło się okazać pułapką.

Rosyjski starszyzna już czekał, uśmiechnięty, lecz z pustymi rękoma.

- Gdzie towar? - zapytał Keitel.

- Samochód, zaraz za... - żołnierz pokazał gestem, o co mu chodzi.

- Ecke? Za rogiem?

- Da, właśnie, za rogiem. Um die Ecke - Rosjanin znów zaczął gestykulować.

Keitel machnął na swojego towarzysza, który wsiadł do samochodu. Niemiec miał ochotę zapytać żołnierza, ile musi odpalić swojemu porucznikowi, który w typowy sposób zatrzymywał pewnie na własny użytek pokaźną część dochodów. Nie było to jednak takie ważne.

Radziecki wojskowy GAZ-69 stał jedną ulicę dalej. Agentom pozostawało tylko podjechać zderzak w zderzak i otworzyć bagażnik. Najpierw jednak Keitel musiał oczywiście sprawdzić, co bierze. W gaziku spoczywało dziesięć łaciatych mundurów polowych, z lekkiego materiału, lecz lepszego niż ten żołnierski, jako że mundury miały służyć oficerom. Mundur uzupełniał czarny beret, opatrzony czerwoną gwiazdą i trochę staroświeckim emblematem symbolizującym wojska pancerne. Na naramiennikach każdego munduru widniały trzy gwiazdki pułkownika. W samochodzie leżała także sterta butów i pasów oficerskich.

- Pistolen? - zapytał Keitel.

Starszyna omiółł czujnym wzrokiem ulicę, po czym odsłonił dziesięć kartonowych pudełek. Keitel wskazał jedno z nich na chybił trafił. Wewnątrz znajdował się dziewięćmilimetrowy makarow, samopowtarzalny pistolet wzorowany na waltherze PP. Rosjanie szcudrobliwym gestem dorzucili nawet pięć pudełek naboju typu 9mm-x-18.

- Ausgezeichnet - skwitował rzecz Keitel, sięgnął po pieniądze i odliczył dziewięćdziesiąt dziewięć stumarkowych banknotów.

- Senk ju - powiedział mu Rosjanin. - Trzeba więcej, zaraz do mnie, tak?

- Tak, tak. Dziękuję - Keitel uściśnął podaną mu dłoń i wsiadł do samochodu.

- Co się porobiło na tym świecie? - nie mógł się nadziwić kierowca, kiedy ruszali. Jeszcze trzy lata wcześniej za podobną transakcję czekałby żołnierz sąd polowy albo i egzekucja.

- Wzbogaciliśmy Związek Radziecki o sumę dziesięciu tysięcy marek.

- Doch - odmruknął kierowca. - Ale zaraz, wyprodukowanie tego "towaru" też musiało kosztować ze dwa tysiące! Jak się mówi na coś takiego?

- Rabat - poinformował go Keitel, nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać. - Nasi rosyjscy przyjaciele szybko się uczą. A może po prostu kacapy nie potrafią liczyć powyżej dziesięciu.

- Ten nasz plan nie jest bezpieczny.

- Zgadza się, ale nie pracujemy za darmo.

- Myślisz, że zgodziłem się na to wszystko dla pieniędzy? - obruszył się kierowca.

- Nie, ale uważam, że skoro już nadstawiamy karku, coś się nam za to należy.

- Pułkownik ma zawsze rację.

Keitlowi nie przyszło jakoś do głowy, że w rzeczywistości nie wie, w czym dopomaga, jako że Bock nie wyjawiał mu wszystkich szczegółów. Tak zwykle skrupulatny Keitel nie zdołał sobie uświadomić, że wdał się w interesy z terrorystą.

Hosniego uradowała cisza, jaka zapanowała na dworze. Nigdy jeszcze nie widział takiej zawieruchy. Zawieja trwała dłużej, niż się spodziewał i za godzinę miała się zerwać znowu. Wraz z nią spadło na ziemię pół metra śniegu, a kołujące w powietrzu płatki w nie znany Arabowi sposób głużyły wszystkie dźwięki. Cisza taka, że można ją dosłyszeć, pomyślał wychodząc na ganek.

- Podoba ci się, co? - zagadnął go Marvin.

- Jeszcze jak.

- Jak byłem mały, zdarzały się naprawdę porządne zawieje, nie takie, jak ta. Bywało, że nasypało całe metry śniegu, wyobrażasz sobie? Metr śniegu naraz, twoją miarą. Robiło się okropnie zimno, minus dwadzieścia, trzydzieści. Wychodziłeś na dwór, a tu jak na innej planecie. Swoją drogą ciekawe, jak to wyglądało sto lat temu, kiedy się żyło w tipi z kobietą i dziećmi, a na dworze

pasły się konie. Wszystko było wtedy prawdziwe, czyste, takie jak trzeba. To musiało być życie, chłopie!

Ibrahim stwierdził w duchu, że Indianin opowiada poetyczne głupstwa. Sto lat temu warunki życia były tak prymitywne, że większość dzieci marła, zanim ukończyła rok życia. W zimie głodowało się z braku zwierzyny. Skąd wziąć paszę dla koni, jak ją wydostać spod śniegu? Ilu ludzi i ile sztuk zwierząt zamarzło na śmierć? Mimo to Russell wynosił dawne życie pod niebiosa, co było wierutną bzdurą. Marvin był odważny, miał w sobie wytrzymałość, siłę i oddanie, lecz, prawdę mówiąc, nie rozumiał świata, nie poznał prawdziwego Boga i żył zwykłą mrzonką. Rzeczywiście, szkoda. Mógłby bardzo się przydać organizacji.

- Kiedy ruszamy?

- Dajmy najpierw chłopakom parę godzin, żeby zgarnęli ten śnieg z autostrady. Ty weźmiesz samochód, ma przedni napęd, to nie ugrzeźnie. Ja pojedę furgonetką. Nie ma pośpiechu, nie? Po co ryzykować?

- Właśnie, po co?

- Chodźmy do środka, bo zaraz obaj zamarzniemy.

- Naprawdę powinni coś zrobić z tym smogiem - wykrztusił Clark, kiedy przeszedł mu pierwszy atak kaszlu.

- Nie ma czym oddychać - zgodził się z nim Chavez.

Wynajęli sobie małe mieszkanko niedaleko lotniska i upchali w ściennych szafach wszystko, co potrzeba. Nawiazali też znajomości wśród obsługi lotniska. Para sprzątaczy, która zwykle obsługiwała boeinga, miała w dniu akcji zachorować. Trudno jednak nie zachorować na widok takiej sumy. Okazało się, że wpuszczenie na pokład dwóch agentów CIA jest niezmiernie proste, tym bardziej, że Meksykanie nie przepadali za Japończykami, a już zwłaszcza za politykami z Tokio, których uważali za jeszcze bardziej aroganckich od Amerykanów. Podobne stwierdzenie z ust obywatela Meksyku na pewno o czymś świadczy. Clark spojrział na zegarek. Samolot przebija się przez zasłonę smogu dopiero za dziewięć godzin. Miała to być krótka, przyjacielska wizyta u meksykańskiego prezydenta, niejako wstęp do waszyngtońskich rozmów z Fowlerem. Tym łatwiej przedstawiało się zadanie Clarka i Chaveza.

Wyruszyli do Denver tuż po północy. Pługi śnieżne stanu Kolorado spisały się jak zwykle na piątkę: to, czego nie zdołały odgarnąć lemiesze, popiaskowano i posolono, dzięki czemu jazda, która normalnie zabierała godzinę, potrwała zaledwie piętnaście minut dłużej. Marvin wpisał towarzystwo do motelowej księgi gości, zapłacił gotówką za trzy noce z góry i rozmyślnie kazał sobie sporządzić specjalny rachunek. Recepcjonista zauważył oczywiście znaki sieci telewizji ABC na furgonetce i pożałował, że pokoje ekipy wychodzą na tyły budynku. Gdyby furgon zaparkował od frontu, mógłby zwabić jeszcze więcej gości. Kiedy przybysze zniknęli, recepcjonista znów zdrzemnął się przed telewizorem. Kibice z Minnesoty mieli zjawić się dopiero nazajutrz, ale wiadomo było z góry, że będą rozrabiać i hałasować.

Zaaranżowanie spotkania z Lialinem okazało się nie takie trudne. Krótka wizyta Cabota u nowego szefa koreańskiego odpowiednika CIA poszła gładziej, niż dyrektor się tego spodziewał. Koreańczycy błysnęli zawodową klasą, dzięki czemu udało się wylecieć do Tokio dwanaście godzin przed terminem. Kierownik placówki w Tokio miał swoje ulubione miejsce, dom pewnej kobiety, położony w labiryncie niezliczonych krętych zaułków niecałe dwa kilometry od ambasady. Dom

łatwo było przy tym obserwować i ochraniać.

- Oto mój najnowszy raport - powiedział agent MUSASZI, wręczając Cabotowi kopertę.

- Nasz prezydent podziwia jakość pańskich informacji - usłyszał w odpowiedzi.

- Ja z kolei podziwiam wysokość uposażenia.

- W jaki sposób mogę panu wobec tego pomóc?

- Chciałem się tylko upewnić, że traktuje się mnie poważnie - oświadczył Lialin.

- Tak też jest w istocie - zapewnił go Mareus, zastanawiając się w duchu, czy rozmówca wyobraża sobie, że Ameryka płaci mu grube miliony dla zabawy. Dla Cabota było to pierwsze spotkanie twarzą w twarz z agentem i chociaż przygotowano go do tej rozmowy, co chwila napotykał nową niespodziankę.

- Chcę za rok uciec na Zachód, razem z rodziną. Na co mogę liczyć z waszej strony?

- No, najpierw pana dokładnie przesłuchamy, a potem pomożemy znaleźć jakiś dogodny kąt i pracę.

- Gdzie?

- Gdzie pan tylko zechce, w rozsądnych granicach - Cabotowi udało się ukryć rozdrażnienie. Od takich spraw jest pomocnik oficera prowadzącego.

- Co to znaczy "w rozsądnych granicach"?

- Nie pozwolimy panu, na przykład, mieszkać naprzeciwko radzieckiej ambasady. O jakim miejscu pan myśli?

- Jeszcze się nie zastanawiałem.

To po co o tym gadać? - obruszył się w myśli Cabot, lecz na głos zapytał:

- Jaki klimat panu odpowiada?

- Ciepły, tak sobie myślę.

- Polecam Florydę. Mnóstwo słońca.

- Pomyślę o tym. - Rosjanin umilkł, po czym dodał: - Nie okłamuje mnie pan?

- Panie Lialin, już my umiemy zadbać o naszych gości.

- W porządku. Będę dalej przysyłał informacje. - Z tymi słowy Rosjanin podniósł się i wyszedł.

Mareus Cabot powstrzymał się, żeby nie zakląć, lecz kiedy spojrzał na szefa placówki, ten zarechotał na cały głos.

- Pierwszy raz był pan na takiej randce, co?

- Chce mi pan powiedzieć, że to już wszystko? - Cabot nie wierzył własnym uszom. - Dyrektorze, taka już jest ta nasza branża. Brzmi to jak wygłup, ale od takiego spotkania bardzo wiele zależy - pocieszył Cabota Sam Yamata. - Facet nareszcie uwierzył, że się nim zajmiemy. Swoją drogą świetny pomysł, żeby w rozmowie przywołać samego prezydenta.

- Może i tak? - Cabot otworzył kopertę i zaczął czytać. - Wielki Boże!

- Nowe szczegóły o podróży premiera?

- Tak, sprawy, o których nie mieliśmy pojęcia. O jaki bank chodzi, którzy jeszcze politycy dostali w łapę. Może nawet niepotrzebnie zakładaliśmy te podsłuchy w samolocie...

- Podsłuchy w samolocie? - zaciekawiał się Yamata.

- Nigdy tego nie powiedziałem, rozumiemy się? Szef placówki przytaknął.

- Nie mógł pan powiedzieć, bo nigdy tu pana nie było.

- Muszę to jak najszybciej przesłać do Waszyngtonu. Yamata spojrzał na zegarek.

- Za nic już nie złapiemy najbliższego samolotu.

- Nic, pošlemy szyfrowym telefaksem.

- Nie mamy takiego. Przynajmniej nie u nas, w biurze Agencji.

- Ale ci z narodowej Agencji Bezpieczeństwa mają szyfrówkę?

- Mają, dyrektorze, ale... Mieliśmy ostrzeżenia o przeciekach na ich liniach.

- Prezydent musi jak najszybciej dostać ten raport. Trzeba wysłać i kropka. Proszę tak zrobić, na moją odpowiedzialność.

- Tak jest.



# PRZEJŚCIA

Miło było obudzić się nareszcie o ludzkiej godzinie, o ósmej rano, w sobotę, we własnym domu i bez bólu głowy. Jackowi nie przytrafiło się to od miesiący. Z góry umyślił sobie, że przez cały boży dzień będzie siedział w domu i obijał się, a jedyną czynnością, do jakiej się zmusi, będzie golenie. Wieczorem zaś pójdzie wreszcie do kościoła. Wkrótce Ryan przekonał się, że w sobotnie poranki jego dzieci nie odchodzą od telewizora, w którym idą non-stop filmy rysunkowe, w tym seria o jakichś nastoletnich żółwiach. Jack pierwszy raz słyszał o czymś podobnym, ale po namyśle zdecydował, że i on spędzi wolny ranek przed ekranem.

- Jak się masz? - powitał Cathy, która szła do kuchni.

- Zupełnie nieźle. Właśnie... O, cholera!

Dźwięk, jaki usłyszała Cathy, był brzęczykiem szyfrowego telefonu. Jack wbiegł do swojej pracowni, by podnieść słuchawkę.

- Halo?

- Doktorze Ryan, tu oficer operacyjny. "Miecznik" - rzucił w słuchawkę dyżurny.

- Rozumiem. - Jack odstawił telefon i zaklął.

- Co się stało? - zapytała Cathy, stając w drzwiach.

- Muszę jechać. Przy okazji, jutro też mnie nie będzie.

- Jack, opamiętaj się...

- Przepraszam cię, kochanie, ale muszę załatwić parę spraw, zanim się zwolnię. Jedną z nich mam właśnie na głowie, zapomnij, że ci to mówiłem, dobrze? Muszę lecieć.

- A dokąd, tym razem?

- Tylko do biura. Nie planowałem żadnych podróży zagranicznych, tyle ci mogę powiedzieć.

- Wieczorem ma spaść śnieg, podobno straszna zawieja.

- Jeszcze i to. Trudno, mogę zanocować w Langley.

- Będę się tak cieszyć, kiedy wreszcie rzucisz tę przeklętą pracę na zawsze.

- Ale wytrzymasz ze mną jeszcze parę miesięcy?

- Parę miesięcy?

- Odchodzę pierwszego kwietnia. To jak, umowa stoi?

- Jack, nie mam nic przeciwko twojej pracy, chodzi mi tylko oto, że...

- Że ciągle tam siedzę. Mnie też to nie zachwyca, a poza tym pogodziłem się już z tym, że odchodzę i znowu będę normalnym człowiekiem. Muszę się wziąć za siebie.

Cathy pogodziła się z nieuniknionym i powróciła do kuchni Jack ubrał się swobodnie. W soboty i niedziele wolno było przychodzić do biura bez garnituru. Postanowił też darować sobie krawat i samemu odwieźć się do Langley. Pół godziny później był już na szosie.

Nad Cieśniną Gibraltarską trwało olśniewające popołudnie. Na północ rozciągała się Europa, po przeciwnej stronie Afryka. Wąski prze- smyk stanowił niegdyś, zdaniem geologów, część górskiego łańcucha, zaś Morze Śródziemne było suchą niecką, w którą wlał się później Atlantyk. Wspaniale byłoby obserwować taką scenę z tego miejsca, dziesięć kilometrów nad ziemią.

Co więcej, w tamtych zamierzchłych czasach nie trzeba się było martwić o ruch pasażerski. Teraz jednak pilot musiał się dobrze wsłuchiwać w głosy kontrolerów z ziemi, upewniając się, że nie

zapłatała się na jego trasie żadna maszyna cywilna. Uczciwie mówiąc, było odwrotnie, gdyż właśnie wojskowi mogli niespodziewanie wtargnąć w cywilny korytarz powietrzny.

- Patrz, nasza konkurencja - wskazał drugiemu pilotowi Robby Jackson.

- Pierwszy raz ich widzę - odezwał się kapitan Walters.

Słowo "ich" oznaczało w tym wypadku radziecki lotniskowiec "Kuzniecowa", pierwszą tego typu jednostkę w rosyjskiej flocie. Okręt miał sześćdziesiąt pięć tysięcy ton wyporności, mieściło się na nim trzydzieści samolotów oraz paręnaście śmigłowców. Eskortę tworzyły krążowniki "Sława" i "Marszałek Ustinow" oraz jeden niszczyciel typu Sovremien-niy i dwa typu Udałoj. Grupa ciągnęła na wschód w ciasnym szyku taktycznym, dwieście czterdzieści mil morskich za grupą uderzeniową, której trzon tworzył "Theodore Roosevelt". Pół dnia żeglugi za nami, pomyślał Robby, albo pół godziny lotu. Zależy jak na to patrzeć.

- Przelecimy im przed nosem? - zapytał Walters.

- Nie, po co ich wkurzać?

- Wygląda, że się spieszą - zauważył radarowiec, obserwując szyk przez lornetę. - Dwadzieścia pięć węzłów jak nic.

- Może chcą najszybciej jak się da przejść cieśninę.

- Wątpię, szefie. Niby po co tutaj się kręca?

- Po to samo, co my, tak twierdzi rozpoznanie. Poćwiczyć, pokazać, że są, zjednać sobie przyjaciół, potrząsnąć trochę ludźmi.

- Ale sam się kiedyś z nimi starłeś?

- Nooo, parę lat temu JAK-36 puścił mi rakietę prosto w dupę, ale doprowadziłem "Tomka" na pokład. - Robby przez chwilę rozpamiętywał tamtą scenę. - Twierdzili potem, że to wypadek, pilota podobno ukarano.

- Wierzysz w to?

Jackson obrzucił radziecką formację pożegnalnym spojrzeniem.

- Skoro już o to pytasz, owszem, wierzę.

- Jak pierwszy raz zobaczyłem zdjęcie tego smoka, zaraz sobie pomyślałem, że za takie trafienie dostałbym Krzyż Marynarski.

- Daj sobie na wstrzymanie, Pilnik. Dobra, popatrzyliśmy sobie, zawracamy - Robby przesunął drążek sterowy, skręcając na wschód. Wziął zakręt leniwie, zamiast zwalić maszynę na skrzydło i wykręcić nią ostro, jak postąpiłby młody, zadziorny pilot. Po co niepotrzebnie nadweręzać konstrukcję? Jackson nie zastanawiał się nawet, dlaczego lata tak, jak lata, za to z tyłu kabiny kapitan Henry "Pilnik" Walters pomyślał sobie, że szef grupy lotniczej zamienia się w dziadka.

Komandor Jackson nie był wcale taki stary, a już na pewno zachował dawną czujność. Oparcie fotela podciągnął maksymalnie do pionu, by mimo małego wzrostu mieć jak najszersze pole widzenia. Wciąż przepatrywał horyzont, z lewa na prawo i z góry do dołu, co minutę spoglądał też na tablicę przyrządów. Najbardziej bał się spotkania z maszyną pasażerską albo z prywatnymi awionetkami. Była sobota, więc piloci-amatorzy całą chmarą krążyli wokół Skały, pstrykając zdjęcia. Jeden cywil w lear jecie, pomyślał Robby, bywa niebezpieczniejszy od uzbrojonej rakiety Sidewinder...

- Jezu! Nadlatuje z lewej!

Komandor Jackson obrócił się natychmiast we wskazaną stronę. Piętnaście metrów od nich pojawił się znikąd mig-29 N, morska wersja podstawowego radzieckiego myśliwca. Pilot gapił się na nich zza czarnej przyłbicy hełmu. Robby dojrzał pod skrzydłami miga cztery rakiety. Ich tomcat niósł w tej chwili tylko dwie.



- Wziął nas od spodu - zameldował Walters.

- Spryciarz - Robby przyjął wieść najspokojniej w świecie. Kiedy rosyjski pilot pomachał im, Robby odwzajemnił pozdrowienie.

- Kurwa! Gdyby chciał, mógłby nas...

- Powiedziałem ci, weź sobie na wstrzymanie! Dwadzieścia lat bawię się z Iwanem w berka, przydybałem więcej TU-95 niż ty bab w pościeli, i wiem, że nie poleciliśmy walczyć. Chciałem się przelecieć i przyjrzeć ich grupie. Iwan się zorientował i postanowił się nam też przyjrzeć, ot, po sąsiedzku. - Robby przesunął drążek sterowy w przód, nieznacznie obniżając lot. Chciał sobie obejrzeć spód rosyjskiego samolotu. Nie dostrzegł zapasowych zbiorników paliwa, a jedynie cztery rakiety AA-11, które w NATO nazywano "Łucznikami". Ogonowy hak hamujący wyglądał delikatniej niż w amerykańskich maszynach. Jackson przypomniał sobie doniesienia o kłopotach radzieckich pilotów z siadaniem na lotniskowcu. Trudno się dziwić, w lotnictwie morskim stawiają dopiero pierwsze kroki, gdy tymczasem tej dziedziny pilotażu trzeba się uczyć przez lata. Nie licząc haka mig robił imponujące wrażenie. Świeża srebrna farba nie przypominała szarej masy, którą zastosowano w lotnictwie morskim USA kilka lat wcześniej i która miała tę zaletę, że pochłaniała promienie podczerwone. Rosyjskie ubarwienie było ładniejsze, amerykańskie lepiej maskowało, choć pociągnięte specjalną farbą samoloty wyglądały jak trędowate. Jackson zapamiętał numer taktyczny na stateczniku, żeby przekazać go ludziom z rozpoznania. Nie mógł się przyjrzeć pilotowi, który miał na sobie hełm z ciemną przyłbicą i rękawice. Odległość piętnastu metrów była dosyć ciasna, lecz nie tak już blisko zdarzało się latać Robby'emu. Rosjanin chciał mu zapewne pokazać w ten sposób, że chociaż świetnie lata, nie chce się wygłupiać. Robby wyrównał lot z radziecką maszyną i gestem podziękował pilotowi miga, że ten zechciał utrzymać stały kurs. Rosjanin znów odpowiedział na ten gest.

Jak ci na imię, chłopcze? - pomyślał Robby, ciekawy, co Rosjanin myśli sobie o namalowanej na kadłubie tomcata sylwetce samolotu, pod którą widniał napis "mig-29,17191". - To na wszelki wypadek, żeby ci nie uderzyło do głowy.

Boeing 747 dotknął kołami betonu po długim locie nad Pacyfikiem, ku wielkiej uldze załogi. Clark był pewien, że dwanaście godzin lotu musi być udręką, szczególnie jeśli się leci w wypełnionej tytoniowym smrodem części ogonowej. Samolot zjechał z pasa, zakręcił i zatrzymał się na placu, gdzie czekała już orkiestra dęta, kilka szpalerów żołnierzy i cywilów oraz tradycyjny malinowy chodnik.

- Wiesz, ile razy przesiedzę tyle w samolocie, robię się normalnie odmóżdżony - zauważył cicho Chavez.

- Tak? Pamiętaj, żeby nie kandydować na prezydenta - przestrzegł go Clark.

- Rozkaz, panie C.

Obsługa naziemna podtoczyła schodki, wkrótce też otwarły się drzwi boeinga. Zagrała orkiestra, choć z tej odległości agenci CIA nie potrafili rozpoznać melodii. Wokół przybyszów jak zwykle uwijały się ekipy telewizyjne. Na spotkanie premiera Japonii wyszedł meksykański minister spraw zagranicznych, który wygłosił krótkie przemówienie. Premier, odpowiedział podobną mową, przemaszerował przed frontem kompanii honorowej, która czekała już od półtorej godziny, po czym uczynił pierwszą sensowną rzecz w tym dniu, a mianowicie wsiadł do limuzyny i pojechał do japońskiej ambasady wziąć prysznic, albo raczej, jak się domyślał Clark, gorącą kąpiel. Japoński obyczaj brania długiej kąpeli we wrzątku to zapewne najlepsze lekarstwo dla utrudzonych podróżnych. Kąpiel wygładzała zmarszczki na skórze i usuwała znużenie z mięśni. John pożałował,

że zwyczaj nie przyjął się jakoś w Ameryce. Dziesięć minut po odjeździe ostatniego z dygnitarzy kompania honorowa odmaszerowała z placu, zwinięto malinowy chodnik, a do samolotu wkroczyli sprzątacze.

Pilot boeinga wymienił kilka uwag z głównym mechanikiem. Jeden z czterech silników firmy Pratt and Whitney odrobinę się grzał podczas lotu. Poza tym żadnych kłopotów z maszyną. Załoga mogła nareszcie oddalić się i wypocząć. Wokół samolotu zajęło stanowiska trzech agentów ochrony lotniska, dwaj następni patrolowali wewnątrz. Clark i Chavez weszli na pokład, pokazując swoje przepustki meksykańskim i japońskim urzędnikom, i zabrali się do roboty. Ding zaczął od toalet. Nie spieszył się, wiedząc, jaką uwagę przywiązują Japończycy do nieskazitelnych ubikacji. Wystarczyło raz wciągnąć nosem powietrze wewnątrz samolotu, by się domyślić, że w Japonii nie obowiązuje zakaz palenia. Trzeba było sprawdzić każdą popielniczkę. Co druga z nich była pełna petów. Prócz tego należało pozbierać wszystkie magazyny i gazety. Inni sprzątacze zabrali się za odkurzanie wnętrza.

Na dziobie samolotu Clark sprawdził zawartość schowka z napojami. Widok upewnił go, że połowa pasażerów musiała wylądować na strasznym kacu. Boeingiem leciało widocznie paru tęgich ochlapusów. Na całe szczęście w Langley trafnie przewidziano, jaką markę whisky lubią pasażerowie linii JAL. Clark przeszedł następnie do salonu za kabiną pilotów. Wnętrze odpowiadało dokładnie komputerowej imitacji, którą "zwiedzał" na ekranie podczas długich godzin przygotowań do akcji. Kiedy agent zakończył sprzątanie, miał już pewność, że operacja uda się bez pudła. Pomógł Dingowi wynieść worki ze śmieciami i opuścił samolot w samą porę, żeby zdążyć jeszcze zjeść kolację. Po drodze na parking Clark wcisnął krótką notatkę agentowi CIA z placówki w Meksyku.

- Niech to szlag trafi! - rozsierdził się Ryan. - Dostaliśmy to przez Departament Stanu?

- Tak jest. Dyrektor Cabot kazał przesłać telefaksem. Powiedział, że szkoda czasu na powtórne szyfrowanie.

- Czy Sam Yamata nic mu nie powiedział o różnicy stref czasowych?

- Widać nie.

Nie było sensu wrzeszczeć na agenta z wydziału japońskiego. Ryan zadowolił się powtórny przeczytaniem raportu, po czym spytał:

- Jak pan sam to ocenia?

- Myślę, że premier pakuje się w zasadzkę.

- Cholerna szkoda, co? - uciał Ryan. - Poślijcie raport przez gońca do Białego Domu, ale na jednej nodze, prezydentowi się spieszy.

- Już pędzę - Z tymi słowy funkcjonariusz opuścił gabinet Ryan zadzwonił natychmiast do pionu operacyjnego i nie przedstawiając się zapytał:

- Jak tam Clark?

- Mówił, że wszystko gra. Są gotowi do audycji, samoloty z odbiornikami w pogotowiu. Nie słyszeliśmy, żeby premier zmienił rozkład wizyty.

- Dzięki.

- Długo pan jeszcze będzie u siebie?

Jack wyjrzał za okno, gdzie zaczął już walić śnieg.

- Może nawet całą noc.

Śnieżyca zapowiadała się poważnie. Ze środkowego zachodu kraju nadciągała mroźna burza, która nad wybrzeżem Atlantyku zderzała się z niżem. Zamiecie śnieżne w Waszyngtonie przychodziły nieodmiennie z południa. Krajowe biuro meteorologiczne już teraz zapowiadało piętnaście do

dwudziestu centymetrów puchu, choć kilka godzin wcześniej przewidywano pięć do dziesięciu centymetrów. Jack Ryan miał do wyboru natychmiast zbierać się do domu i brnąć do Langley nazajutrz albo też zostać na noc. Niestety, najbardziej opłacało mu się zostać.

Gołowko również siedział w swoim gabinecie, choć w Moskwie było osiem godzin później niż w Waszyngtonie. Poranna godzina źle wpływała na humor Siergieja, który był zły jak diabli.

- Co znowu? - warknął na dyżurnego z sekcji rozpoznania szyfrów.

- Mieliśmy szczęście. Ten dokument szedł szyfrowym telefaksem z ambasady amerykańskiej w Tokio do Waszyngtonu. - Dyżurny podał kartkę.

Śliski papier do telefaksowania pokrywały głównie niezrozumiałe znaki, oderwane pojedyncze litery i czarno-białe kropki oznaczające szum na łączach, lecz jedną piątą strony zajmował angielski tekst w tym dwa kompletne zdania i jeden akapit.

- No więc co? - zapytał znów Gołowko.

- Zaniósłem to zaraz do sekcji japońskiej, żeby dali komentarz, a oni wtedy pokazali mi to - dyżurny wręczył Gołowce nową kartkę. - Zaznaczyłem ten akapit.

Gołowko przestudiował rosyjską wersję akapitu i porównał z angielskim tekstem.

- Kurwa, tłumaczenie. Skąd mamy tę rosyjską wersję? - Od kuriera z naszej ambasady. Tokio nie przetelegrafowało nam tekstu, bo obie maszyny szyfrujące były w naprawie, więc rezydent zdecydował, że nie ma pośpiechu. Wsadzili raport do poczty dyplomatycznej. Mamy pewność, że CIA nie złamała naszych szyfrów, ale i tak dostali do rąk cały tekst.

- Kto prowadzi tę sprawę? Aaa, Lialin - przypomniał sobie Gołowko. Podniósł telefon i połączył się z szefem dyżurującej zmiany w Pierwszym Zarządzie Głównym. - Pułkowniku, mówi Gołowko. Zamawiam błyskawiczny kontakt z rezydentem w Tokio. Lialin ma się natychmiast zameldować w Moskwie.

- Czy coś się stało?

- Tyle się stało, że mamy następny przeciek.

- Lialin jest świetnym oficerem. Znam doskonale materiały, które przysyła.

- Amerykanie też je znają. Wysyłajcie zaraz depeszę, a potem przyslijcie mi na biurko wszystko, co dostaliśmy od OSTA. - Gołowko odłożył słuchawkę i zmierzył wzrokiem majora prężącego się przed biurkiem. - Dobry Boże, że też pięć lat temu nie mieliśmy tego matematyka, który znalazł sposób na szyfry!

- Dziesięć lat budował teorię porządkowania chaosu. Jeśli kiedykolwiek ją opublikuje, ma Medal Plancka w kieszeni. Wykorzystał prace Mandelbrota na Harvardzie w Ameryce, i MacKenziego w Cambridge, i...

- Wierzę wam na słowo, majorze. Pamiętam, ostatni raz, kiedy próbowaliście mi objaśnić te czary-mary, dostałem migreny. Jak idą wasze prace?

- Z dnia na dzień coraz lepiej. Jedyne, czegośmy dotąd nie rozgryźli, to nowe szyfry CIA, które dopiero wchodzi w użycie. Chyba oparli je na jakiejś nowej zasadzie. No, ale pracujemy nad tym, pracujemy.

Prezydent Fowler wsiadł do śmigłowca VH-3 z piechoty morskiej, nie czekając, aż zamieć uniemożliwi start. Śmigłowiec służył do jego osobistego użytku i był pomalowany od spodu na oliwkowo, a od góry na biało. Poza tym nie miał żadnych oznaczeń, z wyjątkiem radiowego kryptonimu Marine One. Elizabeth Elliot wsiadła tuż za prezydentem, co nie uszło uwagi dziennikarzy. Ten i ów spośród nich pomyślał, że niedługo trzeba będzie powiadomić opinię

publiczną o romansie, chyba że prezydent sam się zlituje i poślubi tę swoją zdirę.

Pilot, podpułkownik piechoty morskiej, dał pełny gaz w obu turbinach śmigłowca i podniósł tarczę sterującą. Maszyna wzbiła się powoli do góry, biorąc kurs na północny zachód. Widoczność była zerowa, trzeba więc było lecieć na ślepo, tylko za pomocą instrumentów. Nie spodobało się to pilotowi, nie dlatego, że sam nie lubił latać po omacku, lecz nie znosił wozić po omacku prezydenta. Nie ma nic gorszego niż lot w śnieżycy. Zniknęły nagle wszystkie punkty orientacyjne, a jedno spojrzenie przez owiewkę kabiny potrafiło w sekundę zmienić zaprawionego lotnika w oszołomionego amatora. Pilot nie spuszczał więc oka z przyrządów nawigacyjnych. Śmigłowiec był wyposażony w najlepszy sprzęt, w tym także w radar ostrzegający o niebezpieczeństwie zderzenia. Oprócz tego z ziemi prowadziło go cały czas dwóch doświadczonych kontrolerów lotu, więc jakkolwiek dziwnie to brzmiało, pilot czuł się bezpiecznie. Przy dobrej widoczności byle wariat w awionetce jak cessna mógł wpaść na pomysł, żeby staranować Marinę One w powietrzu. Manewry uniku stanowiły więc dla pułkownika stałą część ćwiczeń, zarówno w powietrzu, jak na symulatorze lotu w bazie lotnictwa morskiego Anacostia.

- Wiatr robi się silniejszy, niż myślałem - przestrzegł drugi pilot, w randze majora.
- Nad górami może nas trochę pohańcać.
- Trzeba było wylecieć wcześniej.

Pilot przełączył się na kabinę, żeby porozmawiać z dwójką agentów Tajnej Służby z tyłu śmigłowca.

- Dopilnujcie, żeby wszyscy dobrze się poprzypinali. Będzie kiwać.

- Dzięki, rozumiem - odpowiedział do mikrofonu Pete Connor i rozejrzał się po kabinie, sprawdzając zapięcie pasów. Wszyscy pasażerowie latali od tak dawna, że nic a nic nie przejmowała ich zła pogoda, ale zawsze przyjemniej jest, kiedy nie huśta. Agent spostrzegł, że prezydent najspokojniej w świecie studiuje folder, który mu dostarczono dosłownie kilka minut przed odlotem. Connor powrócił więc na fotel i zapiął pas. Razem z Helen D'Agustino uwielbiali Camp David, gdzie terenu rezydencji strzegła doborowa kompania żołnierzy piechoty morskiej, wspomagana najlepszym systemem ostrzegania elektronicznego, jaki zbudowano w Ameryce. Ochronę ubezpieczali także agenci Tajnej Służby w zwykłej liczbie. W ciągu nadchodzących dni nikt nie miał w planie wyjazdów poza teren górskiej rezydencji. Spodziewano się jedynie gońca z CIA, który miał przyjechać autem. Była więc sposobność, żeby się odprężyć. Connor pomyślał, że prezydent i jego przyjaciółka nie zmarnują takiej okazji.

- Robi się coraz gorzej. Krzyknij tym zasrańcom z meteo, żeby wystawili głowę za okno.
- Powiedzieli dwadzieścia centymetrów śniegu.
- Stawiam dolara, że będzie trzydzieści albo więcej.
- Nie zakładam się z tobą na temat pogody - poddał się drugi pilot.
- I słusznie czynisz, Scotty.
- Jutro wieczorem ma się przejaśnić.
- Uwierzę, jak sam zobaczę.
- Temperatura ma spaść do minus piętnastu albo i więcej.

- W to już prędzej uwierzę - skwitował wiadomość pułkownik, sprawdzając wskazania wysokościomierza, kompasu i sztucznego horyzontu. Kiedy przeniósł wzrok za szybę, ujrzał tylko śnieżne płatki, spychane w dół podmuchem końcówek łopat wirnika. - Jak, twoim zdaniem, widoczność?

- Kiedy się przeciera, powiedzmy trzydzieści metrów. Góra pięćdziesiąt - Major uśmiechnął się szelmowsko do pułkownika. Uśmiech zgasł mu jednak, kiedy uświadomił sobie, że maszyna może

obrosnąć lodem. - Ciekawe, jaka temperatura na zewnątrz? - mruknął sam do siebie.

- Minus dwanaście Celsjusza - odparł pułkownik, zanim major zdążył spojrzeć na skalę.

- Podnosi się?

- Niestety. Zejdźmy trochę niżej, tam powinno być chłodniej. - Cholerna waszyngtońska pogoda.

Pół godziny później zatoczyli krąg nad Camp David, gdzie stroboskopowe reflektory informowały ich o położeniu lądowiska. Widoczność w dół okazała się lepsza niż w którymkolwiek innym kierunku. Drugi pilot spojrział do tyłu, sprawdzając owiewkę podwozia.

- Złapaliśmy trochę lodu, pułkowniku. Siadajmy tym potworem, zanim zaczniemy się denerwować. Wiatr trzydzieści węzłów z kierunku trzy zero zero.

- Faktycznie zaczynam czuć ciężar. - Pułkownik wiedział, że przy odpowiedniej (nieodpowiedniej?) pogodzie VH-3 mógł w ciągu minuty okryć się dwustukilogramową skorupą lodu. - Do dupy z taką prognozą! O, dobrze jest, widzę lądowisko.

- Pułap siedemdziesiąt metrów, prędkość dziesięć - major odczytywał wskazania przyrządów. - Pięćdziesiąt, prędkość siedem... trzydzieści, niżej sześciu... idzie dobrze... dwadzieścia pięć metrów, prędkość postępowania zero...

Pilot zmniejszył gaz. Podmuchał wirnika podniósł z ziemi tumany śniegu, a punkty orientacyjne, które pokazały się przed chwilą, zniknęły bez śladu. Załoga czuła się jak we wnętrzu białej piłki pingpongowej. Raptowny podmuch obrócił śmigłowiec w lewo i przechylił go. Pilot natychmiast przeniósł spojrzenie na sztuczny horyzont. Dostrzegł przechył sylwetki na przyrządzie i zorientował się w nagłym, jakże poważnym niebezpieczeństwie. Poruszył drążkiem sterowym, żeby wyrównać maszynę i ściągnął dźwignię sterowania tarczą aż do podłogi. Lepiej rąbnąć twardo o ziemię, niż zaplątać wirnik w niewidoczne teraz drzewa. Śmigłowiec spadł jak kamień - dokładnie metr w dół. Zanim pasażerowie zorientowali się, że coś jest nie tak, maszyna cało i bezpiecznie spoczęła na ziemi.

- Właśnie dlatego powozisz dla szefa - rzucił major w mikrofon. - Sprawileś się, pułkowniku.

- Chyba coś uszkodziłem.

- Też tak myślę.

Pilot włączył wewnętrzny mikrofon.

- Przepraszam, że tak stuknąłem. Zaczynało nas zwiewać z lądowiska. Nikomu nic się nie stało?

Prezydent, który wstał już z fotela, wsadził głowę do kabiny pilotów.

- Miał pan rację, pułkowniku. Trzeba nam było wylecieć wcześniej. Moja wina - dodał uprzejmie, myśląc w duchu, że nie ma się czym przejmować. Prezydentowi też należy się odpoczynek.

Ochrona z Camp David otworzyła już drzwiczki i wskazała drogę do zadaszzonego transportera HMMWV, który podjechał pod sam śmigłowiec, żeby prezydent i jego świta nie zmarzli po drodze. Obaj piloci odprowadzili pasażerów wzrokiem, po czym zajęli się uszkodzeniami.

- Tak myślałem.

- Trzpień zabezpieczający? - Major pochylił się nad podwoziem. - No, jasne.

Uderzenie o ziemię było na tyle silne, że złamała się zawlecza obsady prawego amortyzatora w podwoziu maszyny. Naprawa była nieunikniona.

- Sprawdź, czy mamy zapasowy - mruknął dowódca. Zdziwił się, kiedy po dziesięciu minutach poszukiwań stwierdził, że nie mają zapasowego trzpienia. Wściec się można. Pułkownik zadzwonił natychmiast do bazy śmigłowca w Anacostii, prosząc by podrzucono część do Camp David. Na razie, nic się nie poradzi. Oczywiście, jeśli zajdzie nagła potrzeba, da się wystartować i wylądować. Wokół śmigłowca, jak zwykle, zajęła stanowiska drużyna strzelców z piechoty morskiej,

ubezpieczana przez drugą grupę, patrolującą skraj lasu wokół lądowiska.

- O co chodzi, Ben?

- Czy w Langley jest jakaś, bo ja wiem, sypialnia? - zapytał Goodley. Jack potrząsnął głową.

- Może się pan wyciągnąć na kanapie w pokoju Nancy. Jak ekspertyza?

- Właśnie, i tak całą noc będę na nogach. Przyszło mi coś do głowy.

- Co takiego?

- Pomyśli pan, że zwariowałem, ale... Nikt jakoś nie pofatygował się sprawdzić, czy nasz przyjaciel Kadyszew rzeczywiście spotyka się z Narmonowem.

- Jak to?

- Prawie cały zeszły tydzień Narmonowa nie było w Moskwie. Jeżeli nie mogło dojść do spotkania, facet nam łże. Zgadza się?

Jack przymknął oczy i przechylił głowę w bok.

- Nieźle, nieźle, panie Goodley.

- Mamy przecież kalendarzyk spotkań Narmonowa. Kazałem ludziom sprawdzić wyjazdy Kadyszewa, wszystkie co do jednego, od sierpnia zeszłego roku. Jeżeli sprawdzać to porządnie. Mogę się trochę spóźnić z ekspertyzą, ale niedawno wpadłem na ten pomysł. Prawdę mówiąc, dopiero dziś rano. Cały dzień sprawdzałem dane, ale idzie ciężiej, niż myślałem.

- Wygląda na to, że utkwię tu dzisiaj. - Jack wskazał zawieję za oknem. - Pomóc panu?

- Pomoc zawsze się przyda.

- Ale najpierw coś zjemy.

Oleg Jurijewicz Lialin z mieszanymi uczuciami wsiadał na pokład samolotu do Moskwy. W przeszłości wzywano go już w podobny sposób, dziwne tylko, że tym razem nastąpiło to natychmiast po spotkaniu z dyrektorem CIA. Najprawdopodobniej zbieg okoliczności. Moskwie chodziło pewnie o informacje, jakie przysłał na temat amerykańskiej podróży premiera Japonii. Jedną z niespodzianek, o których Lialin nie powiadomił CIA, były nowe japońskie starania o radziecką ropę i drewno w zamian za nowoczesne technologie. Jeszcze niedawno transakcja wzburzyłaby Amerykanów do głębi. Lialin pracował nad tą umową od pięciu lat. Rozsiadł się więc w fotelu lotniczym i uspokoił nerwy. Nigdy przecież nie zdradził swojego kraju, któż zaprzeczy?

Obok stadionu ustawiono dwa rzędy wozów z łączami satelitarnymi. Tuż przy zewnętrznej ścianie stało jedenaście samochodów z różnych stacji, zaś dwieście metrów dalej trzydzieści jeden dalszych z mniejszymi antenami, widocznie dla potrzeb lokalnych ośrodków telewizyjnych, które nie potrzebowały potężnych przekaźników, jak sieci ogólnokrajowe. Pierwsza śnieżycy już przeszła, więc cała dywizja pancerna pługów i wirników odśnieżała gigantyczny parking wokół stadionu.

Hosni wypatrzył idealne miejsce, tuż obok wozu transmisyjnego "A" sieci ABC. Wokół dwadzieścia metrów otwartej przestrzeni. Najbardziej zaskoczyła Araba nieobecność jakichkolwiek posterunków. Naliczył raptem trzy radiowozy policyjne, w sam raz liczne, by chronić ekipy telewizyjne przed natręctwem pijanych kibiców. Amerykanie czuli się niesłychanie bezpieczni. Oswoiili, bądź co bądź, Rosjan, zmiażdżyli Irak, zastraszyli Iran, uspokoiли własnych obywateli, a co za tym idzie, przestali się troszczyć o cokolwiek. Ibrahim domyślał się, że Amerykanie cenią sobie wygodę. W ich kraju nawet stadiony miały dach i ogrzewanie, co trzymało na wodzy żywioły.

- Rozwalimy wóz za wozem, jak kostki domina - ucieszył się Marvin, który siedział za kierownicą.

- Właśnie tak będzie - potwierdził Hosni.
- Pamiętasz, co ci mówiłem o posterunkach?
- Niepotrzebnie ci nie wierzyłem, przyjacielu.
- Ostrożność nigdy nie zawadzi - stwierdził sentencjonalnie Russell, robiąc drugie okrążenie wokół parkingu. - Przejedziemy za tę bramę i dalej, na sam przód.

W reflektorach furgonetki zamigotało kilka pierwszych płatków. Nadciągała nowa śnieżycyca, choć mniejsza. Russell wyjaśnił Arabom, że jest za zimno na porządny śnieg. Na południe ciągnęła masa mroźnego powietrza z Kanady, która dopiero nad Teksasem miała szansę ogrzać się na tyle, by zwalić śnieg. W Denver spadło już i tak pół metra, tak przynajmniej oceniał Hosni. Brygady odśnieżające drogi pracowały jednak sprawnie. Również pod tym względem Amerykanie cenili sobie wygodę. Zimno? Nie szkodzi, wybuduje się kryty stadion. Śnieg na szosie? Odgarnąć. Palestyńczycy? Przekupić. Choć nie zdradzał tego żaden mięsień na twarzy Hosniego, Arab nienawidził w tej chwili Ameryki bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ze wszystkiego, co robili Amerykanie, przebijała ich siła i arogancja. Chronili się przed czym się dało, przed małymi i dużymi przeciwnościami, robili swoje i trąbili o tym wciąż na użytek swój i reszty świata.

Oby Najwyższy pomógł rzucić ich na kolana!

Z kominka biło miłe ciepło. Prezydencką chatkę w Camp David zbudowano w tradycyjnym amerykańskim stylu z drewnianych brewion, choć od wewnątrz wzmocniono ściany kewlarową tkaniną. Również okna z przezroczystego plastiku miały za zadanie zatrzymać kulę. Zasadę, by mieszać tradycyjne wygody i ultranowoczesność, odzwierciedlało również umeblowanie. Na wprost kanapy, na której siedział prezydent, stały drukarki trzech agencji prasowych, jako że poprzedni gospodarz uwielbiał czytać depesze, a także trzy duże telewizory, z których jeden nastawiony był zwykle na wiadomości CNN. Tego wieczoru jednak prezydent wołał telekino. Oddalona o kilometr, dyskretnie ukryta grupa anten satelitarnych ściągała sygnały wszystkich satelitów cywilnych i większości wojskowych, dzięki czemu w rezydencji można było oglądać programy na dowolnym kanale, nawet pornograficzne, których jednak Fowler nie uznawał. Camp David dysponowało więc najdroższą i najlepszą telewizją kablową na świecie.

Fowler nalał sobie piwa. Po etykietce można było poznać, że pije dortmunder union, popularne niemieckie piwo, którego skrzynkę dostarczył personel lotnictwa. Kiedy się jest prezydentem, trafiają się i takie nieoficjalne okazje. Liz Elliot wolała francuskie białe wino. Lewa ręka prezydenta błędziła jej we włosach.

- Prawda, że świetnie daliśmy sobie radę?

- Owszem, Bob. - Wargi Liz Elliot dotknęły kieliszka. - Miałeś rację co do Ryana. Lepiej dajmy mu odejść z honorem.

Byleby się stąd zabrał, razem z tą swoją małą sekutnicą.

- Cieszę się, że tak mówisz. Ryan to porządny człowiek, tylko trochę staromodny. Przeżytek.

- Relikt dawnych czasów. - zgodziła się Liz Elliot.

- Właśnie. Poza tym, dlaczego znów o nim rozmawiamy?

- Sama też znam lepsze tematy. - Liz pochyliła się i pocałowała dłoń Fowlera.

- Ja też - zamruczał prezydent, odstawiając szklanę.

- Wszystkie drogi zasypało - opowiadała Cathy - Dobrze zrobiłeś, że zostałeś.

- Pewnie, tuż za bramą, na autostradzie, widzieliśmy okropny wypadek. Wrócę do domu jutro wieczorem. Zawsze mogę ukraść z parku wozów jakiś terenowy łazik, więc się nie martw.

- A co, nie ma Johna?

- Nie, wyjechał.

- Aha - bąknęła Cathy, głowiąc się, co też wyrabia Clark.

- Jeśli już mam tutaj tkwić, lepiej zabiorę się do jakiejś roboty. Zadzwonię rano.

- To cześć.

- Z godzinami pracy w tej instytucji na pewno się pożegnam bez żalu - zwrócił się Ryan do Bena

Goodleya. - No, do czego pan doszedł?

- Do końca września wszystkie daty spotkań się zgadzają.

- Pan już pada na nos. Długo jest pan na nogach?

- Będzie od wczoraj.

- Dobrze jest nie mieć trzydziestki. Niech się pan rąbnie na tej kanapie u Nancy - polecił Ryan.

- A pan?

- Ja muszę jeszcze raz przeczytać te papiery - Jack wskazał grubą teczkę na biurku. - Do nich nie ma pan jeszcze dostępu. Niech pan idzie sobie chrapnąć.

- Do jutra.

Kiedy za Goodleyem zamknęły się drzwi, Jack zaczął wertować dokumenty NITAKI, lecz wkrótce jego myśli zabłądziły gdzie indziej. Zaniknął więc teczkę w biurku i położył się na swojej kanapie, lecz sen nie nadchodził. Parę minut gapił się w sufit, aż wreszcie pomyślał, że jeżeli już się gapić, to konkretnie, i włączył telewizor. Pomylił się i zamiast stacji z wiadomościami, przełączył się na Kanał 20, niezależną stację z Waszyngtonu. Już chciał pstryknąć guzikiem pilota, kiedy po reklamie nastąpił dalszy ciąg filmu. Dopiero po chwili Ryan rozpoznał aktorów. Gregory Peck i Ava Gardner... czarno-biały film... Australia.

- Ahaa - domyślił się Ryan. Oglądał fragment "Ostatniego brzegu". Nie widział tego filmu od lat, lecz dobrze pamiętał tę klasyczną pozycję z lat zimnej wojny, ekranizację powieści... Chyba Nevila Shute'a? Film z Gregorym Peckiem zawsze wart jest zachodu, a Fred Astaire także miał w "Brzegu" swoją rolę.

Świat ocalały po wojnie jądrowej. Jack zdumiał się, jak bardzo czuje się zmęczony. Tyle ostatnio odpoczywał, a tu...

...Zasnął wreszcie, choć spał bardzo lekko. Co więcej, jak mu się to czasem zdarzało, zaczął sam śnić oglądany film, co prawda w kolorze, a więc - jak leniwie pomyślał - lepszy od czarno-białej taśmy z telewizora. We śnie Jack Ryan wcielał się w kolejne role z filmu. Raz jako Fred Astaire prowadził swojego ferrari w samobójczym i krwawym wyścigu o ostatnie Grand Prix Australii, by zaraz popłynąć do San Francisco na pokładzie USS "Sawfish", SSN-623 (choć znów pamięć podpowiedziała mu, że 623 to numer taktyczny innego okrętu podwodnego USS "Nathan Hale"). Scena z sygnałami Morse'a wystukiwanymi przez butelkę po coli i roletę okienną nie była wcale taka śmieszna, gdyż oznaczała, że będą musieli z żoną wypić feralną filiżankę herbaty, na co Jack nie miał ochoty, bo musiałby wówczas także rozpuścić pigułkę w mleku dla niemowlęcia, by dziecko umarło wraz z nimi dwojgiem, żona zaś nie mogła tego znieść - nic dziwnego, skoro była lekarzem - więc Jack sam musiał się tym zająć, podobne zadania zawsze spadały na niego, zresztą wstyd, że zostawił Avę Gardner na plaży, wpatrzoną w jego sylwetkę na pomoście okrętu, który odpływał do San Francisco, by załoga mogła umrzeć w ojczyźnie, jeżeli oczywiście dopłyną, choć pewnie nie dopłyną, a ulice stały się takie puste... Cathy, Sally i mały Jack nie żyli, i to z jego winy, bo dał im pigułki z trucizną, by nie męczyli się od śmierci jeszcze gorszej, tylko co z tego, skoro nie wolno tak postępować, nie można, a z drugiej strony nie było wyboru, lepiej już zastrzelić całą rodzinę, zamiast...



- Co jest, kurwa!?! - Jack poderwał się z kanapy, jak wyrzucony sprężyną. Przyjrzał się drżącym dłoniom, które uspokoiły się dopiero wówczas, gdy jawa zapanowała nad snem. - Miałeś senny koszmar, kolego, i to nowy, nie ten o Bucku i Johnie w śmigłowcu.

Tylko jeszcze gorszy.

Ryan pospiesznie zapalił papierosa, a potem podniósł się z kanapy. Śnieg wciąż padał, a pługi na parkingu nie nadążały go uprzątać. Niełatwo otrząsnąć się ze snu, w którym uśmierca się własną rodzinę. Tyle natrętnych spraw napiera na człowieka. Trzeba rzucić tę instytucję w diabły! Za wiele wspomnień wiązało się z CIA, a nie wszystkie z nich były mile. Jack przypomniał sobie swoją pomyłkę przed atakiem terrorystów na dom Ryanów, godziny spędzone we wnętrzu okrętu podwodnego, chwilę, kiedy porzucono go na pasie startowym lotniska Szeremietiewo, pocziwając twarz Siergieja Nikołajewicza, celującego prosto w niego pistoletem i najgorsze ze wszystkich wspomnienie ucieczki na pokładzie śmigłowca z Kolumbii. Za dużo mocnych wrażeń. Pora się pożegnać z Agencją. Fowler, a nawet Liz Elliot, wyświadczyli mu przysługę. Wyświadczyli ją, oczywiście, niechętnie.

Tyle miłych widoków na przyszłość! Jack zrobił w końcu swoje, ponaprawiał, co się da, pomógł innym w potrzebie. Film, który przeżył na nowo we śnie, mógł stać się rzeczywistością, owszem, ale na pewno nie od razu i nieprędko. Na dworze było biało i czysto, lampy nad parkingiem oświetlały okolicę o ileż milszą niż zwykle. Jack zrobił swoje. Pora, aby ktoś inny zajął się tą coraz łatwiejszą robotą.

- Właśnie - powiedział na głos Jack, dmuchając dymem w szybę. Najpierw, znów rzuci palenie. Cathy będzie mu o to suszyć głowę. A potem? Potem długie wakacje, w najbliższe lato, może powrót do Anglii, tym razem statkiem, a nie samolotem? Będzie okazja spokojnie pojeździć po Europie, przebębnić całe lato na podróże i znów stać się wolnym człowiekiem. Spacerować po plaży. Potem złapie się jakieś zajęcie, może wykłady w Annapolis... Nie, nigdy więcej. Prywatny ośrodek badawczy? Może uniwersytet? Na przykład Georgetown?

- "Szpiegostwo, kurs wstępny z zaliczeniem" - powiedział Jack sam do siebie i roześmiał się. Otóż to, będzie uczył, jak się robi tajne operacje. - Ciekawe, jakim cudem James Greer tak długo wytrzymał przy tak paskudnej robocie?

Jacka interesowało najbardziej, jak jego mistrz radził sobie z napięciem nerwowym. Tej jednej sztuki admirał nie zdołał wpoić swoim wychowankom.

- Nic, trzeba pospać - mruknął jeszcze Jack Tym razem upewnił się, że wyłączył telewizor z sieci.



# ROZSTAWIENIE

Rankiem Ryan stwierdził ze zdumieniem, że śnieg pada w najlepsze. Taras za oknem jego gabinetu na najwyższym piętrze zawaliła już półmetrowa warstwa, a brygady sprzątaczy, mimo największych wysiłków, nie zdołały w ciągu nocy opanować sytuacji. Porywisty wiatr spiętrzał śnieg w zasy, zasypując drogi dojazdowe i parking szybciej, niż nadążano go odgarniać. Nawet odmieciony śnieg szybko się przemieszczał z powrotem tam, gdzie nie trzeba. Podobna zawieja śnieżna nie zdarzyła się w okolicach Waszyngtonu od wielu lat. Okoliczna ludność przestała już nawet panikować, poddając się czarnej rozpacz. Jack wyobrażał sobie, jak w mieszkańców odciętych domostw wstępuje polarna gorączka, podsycana świadomością, że wkrótce skończą się zapasy. Mężowie zaczęli już zerkać na żony, które odwzajemniały spojrzenia, próbując z góry ocenić, czy ciężko będzie ugotować mężusia... Jack miał się przynajmniej z czego pośmiać, kiedy szedł po wodę do ekspresu. Wychodząc z gabinetu, potrząsnął Bena Goodleya za ramię.

- Pobudka, doktorze Goodley! Stypendysta budził się powoli.

- Która godzina?

- Dwadzieścia po siódmej. Z których okolic Nowej Anglii pan pochodzi?

- Z New Hampshire, hen na północy. Z miasteczka Littleton.

- Niech pan spojrzy za okno, poczuje się pan jak w domu.

Kiedy Jack powrócił, niosąc świeżą wodę, Goodley rzeczywiście tkwił przy oknie.

- Wygląda mi to na czterdzieści pięć centymetrów albo trochę więcej. Wielkie rzeczy! Tam, skąd pochodzę, mówi się na taki śnieg, że w nocy prószło.

- Za to w Waszyngtonie mówi się wtedy o epoce lodowcowej. Za parę minut będziemy mieli kawę. - Ryan postanowił zatelefonować na portiernię. - Jak wyglądamy? - rzucił w słuchawkę.

- Wszyscy dzwonią, że nie mogą się dostać do pracy. Nawet nie szkodzi, bo mało kto z nocnej zmiany w ogóle się wydostał. Autostrada George'a Washingtona zamknięta, tak samo jak obwodnica po stronie Marylandu, no i jak zwykle most Wilsona.

- Niesamowite. Okay, mam ważną sprawę, więc proszę słuchać: jeśli ktokolwiek z naszych przebije się przez te śniegi do pracy, będzie wiadomo, że szkoliło go KGB. Natychmiast rozstrzelać.

- Nawet stojący trzy metry dalej Goodley dosłyszał śmiech na drugim końcu linii. - Proszę mnie informować o prognozie. Aha, i proszę zostawić dla mnie dzemsa z napędem na cztery koła, gdybym musiał się stąd ruszyć. - Jack rozłączył się i rzucił pod adresem Goodleya: - Coś się człowiekowi należy. Poza tym, mamy parę sztuk tych łazików.

- Co będzie z ludźmi, którzy muszą się stawić do pracy?

Jack spojrział z satysfakcją na pierwszą strużkę kawy z ekspresu, po czym zauważył:

- Jeżeli i obwodnica, i autostrada Waszyngtona są zamknięte, dwie trzecie personelu i tak nie ma szans tu dojechać. Teraz wie pan, dlaczego Rosjanie inwestują takie sumy w badania nad kontrolą pogody.

- Czy nikt po naszej stronie nie...?

- Nie, w naszym kraju ludzie wierzą, że śnieg istnieje tylko na stokach narciarskich. Jeżeli zaraz nie przestanie tak sypać, odkopimy się wszyscy dopiero koło środy.

- Naprawdę tak tu wszystko zamiera?

- Sam się pan przekona.

- Cholera, a ja zostawiłem w Bostonie swoje biegówki.

- Nie strzeliliśmy aż tak mocno - upierał się major.

- Tablica bezpieczników jest innego zdania. O, proszę. - Szef mechaników pchnął automatyczny bezpiecznik do przodu. Plastikowy przełącznik zamarł na sekundę, po czym odskoczył na dawne miejsce. - Ten obwód załatwił nam radio, a ten instalację hydrauliczną. Przykro mi, ale nieprędko polecimy.

Zapasowe trzpienie amortyzatorów dowieziono o drugiej nad ranem, za kolejnym podejściem. Pierwszy samochód utknął w zaspach, lecz na szczęście ktoś wpadł na pomysł, żeby wysłać wojskowy transporter. Części dojechały więc HMMWV z napędem na wszystkie koła, a i to ledwo, ledwo, jako że pojazd co rusz napotykał na drodze z Waszyngtonu do Camp David uwięzione auta. Naprawa śmigłowca miała potrwać godzinę, gdyż uszkodzenie nie było poważne, lecz nagle wszystko się skomplikowało.

- Co się stało? - zmartwił się major.

- Pewnie obluzowało się parę przewodów. Trzeba będzie wymontować całą tablicę i przepatrzyć połączenia. Robota na cały dzień. Najlepiej, jak zadzwonimy do bazy, żeby już grzali zapasową maszynę.

Major wyrztał na zewnątrz. Nie miał wielkiej ochoty latać w taki dzień jak ten.

- Mieliśmy wracać dopiero jutro rano. Ile wam to zabierze?

- Jeżeli zaraz zacznę, uwinę się do północy - obiecał mechanik

- Zjedzcie najpierw śniadanie. Sam zadzwonię po zapasowy śmigłowiec.

- Rozkaz, majorze.

- Powiem chłopakom, żeby podprowadzili tu kabel z grzejnikiem i przynieśli jakieś radio -

Major pamiętał, że mechanik pochodzi z San Diego.

Nie było innej rady, jak wrócić na kwatery. Lądowisko dla śmigłowca znajdowało się na górze, a wiatr robił co mógł, żeby je odmieść ze śniegu. Wokół maszyny leżało go więc najwyżej piętnaście centymetrów, podczas gdy kawałek dalej piętrzyły się metrowe zasy. Żołnierze patrolujący las musieli mieć się z pyszna.

- Bardzo źle? - zapytał pułkownik, który golił się przed lustrem.

- Tablica bezpieczników się odezwała. Mechanik mówi, że zjedzie mu cały dzień na naprawie.

- Nie uderzyliśmy aż tak mocno - sprzeciwił się pułkownik.

- Sam też tak powiedziałem. Chcesz, żebyśmy zadzwonił? - Tak, dzwoń. A sprawdzałeś czarną listę?

- Spocznij, pułkowniku. O wojnie ani słycho, sprawdziłem. "Czarna lista" była określeniem gwarowym, które wzięło się stąd, że stan pogotowia poszczególnych agencji rządowych wynikał z oceny zagrożeń w sytuacji międzynarodowej. Im bardziej wyraźne było niebezpieczeństwo, tym większe środki techniczne stawiano w gotowości. Ponieważ w tej oto chwili nic nie wydawało się zagrażać Stanom Zjednoczonym, tylko jeden śmigłowiec czuwał, by zastąpić prezydenckiego VH-3. Major połączył się więc z bazą w Anacostii.

- Tak, niech ruszą M-2. Jedyńka ma awarię instalacji... Nie, sami damy sobie radę. Do północy powinniśmy latać. Właśnie. No, czołem. - Kiedy major odkładał słuchawkę, do kwatery wszedł Pete Connor.

- Co się dzieje?

- Maszyna nawaliła - wyjaśnił pułkownik.

- Nie uderzyliśmy aż tak mocno - zdziwił się Connor.

- Skoro i ty tak twierdzisz, widocznie nie - zgodził się major. - Pełna zgoda, i tylko nasz

pieprzony śmigłowiec ma inne zdanie.

- Zapasowa maszyna czeka, gdyby coś - pocieszył agenta pułkownik. - Przepraszam, Pete. Popsuła się instalacja, lądowanie mogło z tym nie mieć nic wspólnego. Dwójka może tu przylecieć w trzydzieści pięć minut, zagrożenia na liście - zero. Chyba że ty chcesz nam coś powiedzieć?

- Nie, Ed. O niczym takim nie słyszałem.

- Mogę zadzwonić, żeby przysłali nam dwójkę od razu, ale po co trzymać maszynę na mrozie? Lepiej jej będzie w hangarze. Sam decyduj, Pete.

- Niech czeka w Anacostii.

- Szef i tak chce obejrzeć mecz w Camp David, nie?

- Dokładnie. Do jutra mamy wszyscy wolne. Rano, około szóstej trzydzieści, lecimy do Waszyngtonu. Dacie radę?

- Jasne, powinniśmy się uwinąć do tej pory.

- To w porządku. - Connor wrócił do swojej chatki.

- Jak na dworze? - zapytała go Daga.

- Tak jak widać. Śmigłowiec się zepsuł.

- Mogli uważać, jak lądowali - rzuciła agentka Helen D'Agustino, szcztokując włosy.

- Nie ich wina. - Connor podniósł telefon i połączył się z ośrodkiem dowodzenia Tajnej Służby, mieszczącym się kilka ulic na zachód od Białego Domu. - Mówi Connor. Zepsuł się nam śmigłowiec. Zapasowa maszyna czeka w Anacostii, z powodu pogody. Mielicie jakieś sygnały, o których powinienem wiedzieć?

- Melduję, że nie - odpowiedział mu młodszy agent, który miał przed sobą elektroniczną tablicę z diodami świetlnymi. Z tablicy można się było zorientować, że prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki (skrót brzmiał PASZA) przebywa w Camp David. Światelka oznaczające miejsce pobytu Pierwszej Damy USA (DASZA) były wygaszone. Wiceprezydent przebywał wraz z całą rodziną w swojej oficjalnej rezydencji na terenie Obserwatorium Marynarki Wojennej nie opodal północno-zachodniego sektora Massachusetts Avenue. - Jeśli o nas chodzi, cisza i spokój.

- Jak tam ulice w mieście? - zapytał Pete.

- Kiepsko. Musimy wszystkich dowozić łazikami.

- Niechaj Bóg chroni Chevroleta - skwitował wiadomość Pete. Tajna Służba, podobnie jak FBI, często używała potężnych terenówek firmy Chevrolet z napędem na wszystkie koła. Ze swoją grubą blachą i apetytem na paliwo jak w czołgu chevrolety ustępowały tylko pojazdom gąsienicowym. - To w porządku. U nas też poza tym wszystko gra.

- Piechota morska odmrozi sobie dzisiaj nabiał.

- A jak. Co na lotnisku?

- Premier przylatuje na Dulles równo o osiemnastej. Obsługa meldowała, że na Dulles mają czynny tylko jeden pas, ale do popołudnia mają odgarnąć pozostałe. Śnieżycy jakby słabła, najwyższa pora. Powiedzieć ci coś śmiesznego?

- Sam wiem - Connor nie musiał wysłuchiwać agenta, żeby stwierdzić, że trudne warunki tylko ułatwiały życie Tajnej Służbie. - Kończę, w razie czego wiadomo, gdzie nas łapać.

- Trzymaj się, Pete. Do jutra.

Connor wystawił głowę na zewnątrz, gdyż usłyszał dziwny hałas. Jeden z żołnierzy piechoty morskiej próbował odśnieżyć ścieżkę między domami kolonii miniaturowym pługiem śnieżnym. Dwa inne pługi odgarniały śnieg z drogi dojazdowej. Wyglądało to dziwnie, bo pługi pomalowano w brązowo-zielone łaty maskujące, podczas gdy żołnierze mieli na sobie białe kombinezony, łącznie z białymi pokrowcami na karabinki M-16 A2. Gdyby ktoś usiłował dziś sforsować płot, spostrzegłby

poniewczasie, że strażnicy wtopili się całkowicie w otoczenie. Strzelcy z piechoty morskiej byli wszyscy zaprawieni w walkach. W taki dzień nawet agenci Tajnej Służby mogli sobie odpocząć, co nie zdarzało się często. Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła je Daga.

- Poranne gazety, proszę pani - kapral piechoty morskiej wręczył D'Agustino prasę.

- Wiesz, myślę czasem - zaczęła Daga, zamykając drzwi - że w tym kraju można naprawdę polegać tylko na doręczycielach gazet.

- Zapomniałaś o piechocie morskiej - wytknął jej Pete ze śmiechem.

- A tak, i jeszcze na piechocie morskiej.

- Zmiana echa Sierra-16! - zameldował hydroakustyk. - Cel skręca w lewo.

- Doskonale - odparł Szkot Claggett. - Panie Pitney, proszę przejąć centralę.

- Tak jest! Przejmuję centralę - odpowiedział mu nawigator. Pierwszy oficer przeszedł do przedziału hydrolokatora. Ożywiła się też ekipa namiaru, gotowa zrewidować swoje obliczenia.

- O, dokładnie tutaj. - Operator postukał ołówkiem w ekran. - Poszerzyła się sylwetka echa. Centrala, tu sonar, nowy kurs jeden siedem zero, cel zakręca w lewo. Emisja akustyczna bez zmian, przypuszczalna prędkość celu bez zmian.

- Dobrze, dziękuję.

Śledzony okręt robił już trzeci zwrot z rzędu. Obliczenia Claggetta sprawdziły się: Rosjanin rzeczywiście przeszukiwał cały akwen, metodycznie, starannie i bardzo przemyślnie. Dokładnie w ten sam sposób okręty typu 688 poszukiwały podwodnych jednostek radzieckich. Odstęp między każdym kolejnym schodkiem wynosił każdorazowo trzydzieści siedem tysięcy metrów.

- Panie pierwszy, ta ich nowa pompa reaktora to cudo! - zauważył operator. - Maszyna chodzi teraz tak cichutko, że nie wiem, a przecież namiar mówi, że skubaniec sunie dziesięć węzłów.

- Jeszcze parę lat i będziemy mieli z nimi kłopot

- Echo, echo! Mechaniczne echo od Sierra-16, nowy kurs jeden sześć cztery, cel nadal skręca w lewo. Prędkość be-zet. - Bosman zakreślił punkt na ekranie, oznaczający nowy dźwięk. - Muszą się dużo nauczyć, zanim nam zaczną wchodzić w paradę.

- Nowa odległość od celu czterdzieści trzy tysiące metrów.

- Panie Pitney, trzeba się trochę odsądzić. Zrobmy zwrot w prawo - rozkazał pierwszy oficer.

- Tak jest. Sternik, ster pięć stopni w lewo, docelowy kurs dwa zero cztery.

- Zaczynają następny schodek? - zapytał komandor Ricks, wchodząc do pomieszczenia hydroakustyków.

- Właśnie. Regularnie jak w zegarku, komandorze.

- Metodyczne skurwysyny, co?

- Zrobili zwrot z dwuminutowym odchyleniem od naszych obliczeń - odpowiedział tylko Claggett. - Dałem rozkaz, żeby trzymać odległość.

- I bardzo dobrze - skwitował rzecz Ricks, który zasmakował już w łowach. Na pokładzie podwodnego niszczyciela nie był od czasu swojego pierwszego rejsu, gdzie płynął w charakterze zastępcy szefa sekcji, toteż od piętnastu lat nie bawił się w berka z Rosjanami. Dotychczas, ilekroć wykrył pod wodą obecność radzieckiego okrętu, nieodmiennie zwalniał na tyle, by obliczyć kurs przeciwnika, po czym robił od tego kursu prostopadły zwrot i odrywał się do chwili, kiedy echo na ekranie hydrolokatora nie zmieniło się na powrót w szum.

Podwodne łowy z biegiem czasu zmieniły, oczywiście, charakter. Przede wszystkim gra nie była już taka łatwa. Rosjanie nauczyli się budować cichsze okręty, co jeszcze kilka lat temu mogło tylko denerwować, lecz obecnie przeradzało się w poważne zagrożenie. Kto wie, czy nie okaże się

konieczna zasadnicza zmiana założeń.

- Panie pierwszy! Wie pan, co będzie, jeżeli nasza taktyka zacznie obowiązywać w całej flocie?

- Co pan przez to rozumie, komandorze?

- Rozumiem tyle, że ponieważ Iwan robi się coraz cichszy, nasz sposób może się okazać lepszy niż inne.

- Że jak? - Claggett nadal ni w ząb nie pojmował myśli Ricksa.

- Jeżeli usiądzie się komuś takiemu na ogonie, przynajmniej wiadomo, gdzie jest. Można nawet wypuścić boję radionawigacyjną i wezwać na pomoc samoloty, żeby go wykończyły. Niech się pan sam nad tym zastanowi. Rosjanie będą pływać coraz ciszej. Jeżeli odrywamy się natychmiast po wykryciu przeciwnika, skąd wiadomo, że znowu się na niego nie natkniemy? Wynika z tego, że lepiej popłynąć za nim i mieć go na oku, rozumie się, z bezpiecznej odległości.

- Bo ja wiem, komandorze? Wszystko niby się zgadza, ale co będzie, jeżeli faceci zorientują się, gdzie jesteście, albo zwyczajnie zawrócą i ruszą na nas całym pędem?

- Słuszna uwaga. Powiedzmy, że będziemy ciągnąć nie bezpośrednio za nimi, tylko trochę z boku... W ten sposób uniknie się przypadkowych spotkań. Logiczne jest, że w obronie robi się zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, ale ile można macać dookoła na ślepo?

Chryste Panie, ten człowiek zaraz spisie na kolanie cały regulamin wojny podwodnej.

- Sir, proszę mnie powiadomić, jeżeli OP-02 kupi taki pomysł.

- Zamiast wlec się tuż za rufą, będę sunął za nim od północnej ćwiartki. W ten sposób polepszymy sobie nasłuch, a poza tym tak będzie bezpieczniej.

Claggett pomyślał, że przynajmniej ta ostatnia decyzja ma sens.

- Jak pan rozkaże. Mam się trzymać na czterdziestu ośmiu tysiącach metrów?

- Tak, ostrożność nie zawadzi.

Zgodnie z przewidywaniami, druga śnieżycy okazała się niegroźna. Przyprószyła tylko śnieżnym puchem (Hosni dowiedział się już, jak nazywa się taki opad) samochody i parking. Nie było się czym przejmować, choć w Libanie o podobnej zawiei opowiadano by przez całe lata.

- Może byśmy coś zjedli? - zaproponował Marvin. - Nie znoszę pracować, jak mi burczy w brzuchu.

Indianin znów zaimponował Ibrahimowi. Ani śladu nerwowego napięcia. Albo taki dzielny, albo... to drugie. Hosni zastanowił się głęboko. Russell bez mrugnięcia okiem zabił greckiego policjanta, porachował kości instruktorowi walki wręcz, udowodnił, jak celnie strzela, a kiedy odkopywali izraelską bombę, nie okazywał cienia strachu. Arab doszedł do wniosku, że w Russellu tkwi jakaś skaza. Indianin nie wiedział, co to strach, tacy zaś ludzie nie są normalni. Zamiast powściągać własny lęk, jak uczą się tego żołnierze, Russell po prostu się nie bał. Czy udawał brak lęku, by zaimponować innym? Czy też rzeczywiście nie wiedział, czym jest strach? Chyba naprawdę nie wiedział. Jeśli tak, zakończył myśl Hosni, Indianin jest chory psychicznie, a tym samym bardziej niebezpieczny niż przydatny. To stwierdzenie pocieszyło Araba, który wiedział, co się później stanie.

W motelu był niewielki bar, lecz nie roznoszono posiłków do pokoi. Cała trójka musiała więc pomaszerować przez mroźny dziedziniec w poszukiwaniu śniadania. Po drodze Russell kupił gazetę, żeby sprawdzić, co piszą o meczu.

Jedno spojrzenie na bar wystarczyło, by rozniecić w Katim i Hosnim nienawiść do Amerykanów. Motelowi goście pożerali jajecznicę na szynce, i na boczku, a także gorące placki z kielbasą - we wszystkich trzech przypadkach mięso świni, najbardziej nieczystego ze zwierząt. Obu Arabów zemdliło od widoku i zapachu Dan, a Marvin nie dodał im apetytu, kiedy bezwiednie

zamówił świninę także dla siebie i popił ją kawą. Hosni spostrzegł, że komendant, który zamówił owsiankę, w połowie śniadania zzieleniał na twarzy i odszedł od stolika. - A co się z nim dzieje? Chory? - zdziwił się Russell.

- Zgadłeś, Marvin. Bardzo chory. - Hosni spojrział na tłuste kęsy boczku na talerzu Russella i odgadł, że to zapach smażenia przyprawił Katiego o mdłości.

- Mam nadzieję, że da radę prowadzić wóz.

- Nie będzie kłopotu - uspokoił go Hosni, sam niepewny, czy mówi prawdę. Powiedział sobie jednak, że komendant robi wszystko, co trzeba. Bywały już trudniejsze chwile. Nie, nieprawda, nie było jeszcze podobnej chwili Komendant musi zrobić wszystko, co do niego należy. Odchodząc, Russell zostawił na stoliku gotówkę, w tym suty napiwek Kelnerka wyglądała mu na Indiankę.

Kati czekał na nich w pokoju, błądy i z kroplami potu na twarzy, jak po długim paroksyzmie wymiotów.

- Może ci coś przyniosę? - zaproponował Russell. - Mleka? Dobrze ci robi na żołądek.

- Nie teraz, Marvin. Dziękuję.

- Jak chcesz, chłopie - Russell zagłębił się w lekturze gazety. Przez parę najbliższych godzin pozostawało już tylko czekać. Z ciekawością przeczytał, że według najnowszych typowań, Minnesota zwycięży z przewagą sześciu i pół punkta. Indianin pomyślał, że gdyby go ktoś o to pytał, sam poda taki właśnie wynik.

Specjalny agent Walter Hoskins, zastępca od spraw korupcji i afer głównego agenta na okręg Denver, wiedział już, że mecz go ominie, i to pomimo faktu, że żona sprezentowała mu bilet jeszcze na Gwiazdkę. Na szczęście odsprzedał go przełożonemu za okrągłe dwieście dolarów. Zamiast meczu czekała Hoskinsa robota. Konfident FBI uzyskał cenne informacje na dorocznym przyjęciu, wydanym poprzedniego wieczora przez komisarza Narodowej Ligi Futbolu. Podobne przyjęcia, tak samo jak bankiet przed derby w Kentucky, ściągają ludzi bogatych, wpływowych i możnych. Wczorajsze nie było wyjątkiem pod tym względem. Zawitali na nie senatorzy z Kolorado i Kaliforni, całe stadko deputowanych do Izby Reprezentantów, gubernatorzy stanowi i trzy setki innych gości. Konfident siedział przy jednym stole z gubernatorem Kolorado, senatorami stanowymi i deputowaną z trzeciego okręgu. Wszyscy zamieszani byli w śledztwo na temat afery korupcyjnej. Alkohol lał się strumieniami i jak to często bywa, w ślad za vino pojawiła się także veritas. Poprzedniego wieczora zawarto więc umowę w sprawie budowy zapory wodnej i dokładnie omówiono, kto ile dostanie do ręki. W aferę zamieszany był nawet prezes miejscowego oddziału Sierra Club, który w imieniu obrońców środowiska obiecał milczenie, w zamian za dużą dotację od firmy budowlanej oraz założenie przez gubernatora nowego parku przyrody. Najsmutniejsze wydawało się Hoskinsowi to, że zaporą wodna była w tej okolicy naprawdę potrzebna i przysłużyłaby się wszystkim, łącznie z wędkarzami. Projekt przekreślały jednak uzgodnione poprzedniego wieczora łapówki. Agent miał do wyboru pięć artykułów kodeksu federalnego, spośród których najostrzejszym była ustawa RICO (na temat afer łapówkowych i zwalczania klik) uchwalona przed dwudziestu laty przez kongresmenów, którym nawet nie powstało w głowie, jak szeroki zasięg będzie miało nowe prawo. Hoskins wsadził już do pudła jednego gubernatora; teraz miał szansę powiększyć tę liczbę o dalszych czterech przedstawicieli ludu. Wiadomo było, że skandal wstrząśnie życiem politycznym stanu. Konfident, co tak się spisał, był kobietą, osobistą asystentką gubernatora, która w swoim idealizmie uznała osiem miesięcy wcześniej, że dosyć już tego dobrego. Hoskins był zdania, że kobiety najlepiej nadają się na szpicli, zwłaszcza jeśli mają duży biust, tak jak w tym przypadku. Mikrofon dawał się świetnie ukryć w staniku, a dzięki geometrii otoczenia nagranie miało pierwszorzędną jakość. Miejsce było też



zupełnie bezpieczne, jako że gubernator skosztował już wdzięków swojej asystentki i rozczarował się. Stare przysłowie nie kłamało: żaden diabeł tak nie znieawidzi mężczyzny, jak wzgardzona kobieta.

- Słucham cię - rzucił do telefonu Murray, zły że w niedzielę musi siedzieć w biurze. Zamiast samochodem przyszło mu jechać kolejką podziemną, która teraz miała podobno awarię. Wyglądało na to, że utknie w pracy na resztę dnia.

- Dan, mamy dosyć materiału, żeby wytoczyć sprawę, ale chcę wkroczyć dopiero, kiedy pieniądze przejdą z ręki do ręki. Moje ucho popisało się jak nigdy. Osobiście spisuję stenogram z taśmy.

- Możesz mi go przefaksować?

- Zaraz, jak tylko skończę, Dan. Złapaliśmy ich nareszcie za dupę, wszystkich co do jednego.

- Walt, chyba przyjdzie ci wystawić pomnik - oświadczył Murray, zapominając o złości. Jak wielu zawodowych policjantów szczerze nie znosił przekupnych polityków; prawie tak samo, jak porywaczy dzieci.

- Dan, nie mogłeś mi wyświadczyć lepszej przysługi, przenosząc mnie do Denver - Hoskins zaśmiał się do słuchawki. - Może sam się zgłoszę jako kandydat na jeden z tych opróżnionych foteli w senacie?

- Kolorado tylko na tym skorzysta - zachęcił go Dan, dodając w myśli nieprzyjaźnie: - Rób, co chcesz, bylebyś więcej nie brał broni do ręki. Wiedział, że krzywdzi agenta taką opinią, bo chociaż Walt okazał się ostatnią ofertą, jeśli chodzi o bezpośrednie akcje, jego teoretyczny wkład w ubiegłoroczne śledztwo był ogromny. Hoskins był znakomitym inspektorem śledczym, prawie takim samym mistrzem szachów, jak Bili Shaw, tyle że wysłany w pole, natychmiast popełniał karkołomne błędy. Nie szkodzi, pocieszył się Murray, akcja w Denver nie będzie taka trudna. Bronią polityków są adwokaci i rzecznicy prasowi, a nie rewolwery.

- A jak tam prokurator okręgowy?

- Fajny chłopak, bystry, otrzaskany. Dogadaliśmy się od razu. Jasne, że przydałyby się posiłki z Departamentu Sprawiedliwości, ale i tak mamy pewność, że prokurator zrobi wszystko, co trzeba.

- Świetnie. Podrzuc mi stenogram zaraz, jak skończysz. - Murray przełączył się na inną linię i zadzwonił do domu Shawa w Chevy Chase.

- Shaw.

- Bill, cześć, mówi Dan - Ta linia również została zabezpieczona przed podsłuchem. - Hoskins wstrzelił się wczoraj wieczór w aferę, mówi, że ma kompletne nagranie. Pięciu głównych podejrzanych dogaduje się nad befsztykiem. - Zdajesz sobie sprawę, że po takim wyczynie będziemy go musieli awansować? - zauważył ze śmiechem dyrektor FBI.

- Niech zostanie pomocnikiem zastępcy dyrektora.

- Nie ubędzie ci przez to zmartwień. To jak, muszę się pojawić w pracy?

- Niekoniecznie. Jak tam u ciebie?

- Chyba wybuduję na podjeździe do garażu skocznię narciarską. Szosy kompletnie zasypane.

- Przyjechałem metrem, ale potem pociągi przestały chodzić. Podobno oblodzone szyny albo coś.

- Zwiedzajcie Waszyngton, miasto panikarzy - zażartował na to Shaw. - Jeśli tak, odsapnę sobie i spokojnie obejrzę Superpuchar, panie Murray.

- A ja, panie Shaw, wzgardzę podobnymi przyjemnościami i zabiorę się do pracy ku chwale mojego Biura.

- Wspaniale. Cenię takie poświęcenie u podwładnych. I tak nie mógłbym przyjechać, bo mam u

siebie wnuka. - Shaw spojrział na dziecko, które jego synowa karmiła właśnie przez smoczek.

- I jak tam nasz Kenny junior?

- Wygląda, że będzie z niego kawał agenta. Więc jeśli mnie naprawdę nie potrzebujesz, Dan...

- Bill, siedź tam i baw się z dzieciakiem. Oddaj go tylko matce, kiedy narobi w pieluchy.

- Właśnie. Gdyby coś, dzwoń do mnie zaraz. Z tą sprawą będę musiał pójść do samego prezydenta, wiesz, jak to jest.

- Myślisz, że mogą być kłopoty?

- Nie. Fowler jest strasznie cięty na takie afery.

- Odezwę się jeszcze. - Murray opuścił gabinet i poszedł do sali łączności. W tę samą stronę zmierzał inspektor Pat O'Day.

- Czy to twój psi zaprzęg widziałem na parkingu, Pat?

- Niektórzy w tej firmie mają jeszcze porządne samochody - odparł O'Day, właściciel terenówki z napędem na cztery koła. - Przy okazji, szlaban przy Dziewiątej Ulicy przymarzył i nie da się opuścić. Kazałem im spuścić ten po drugiej stronie.

- Po coś się w ogóle zjawił?

- Mam dyżur w centrali operacyjnej. Mój zmiennik mieszka we Frederick, hen za miastem. Zjawi się tu pewnie koło czwartku. Autostrada 1-270 zamknięta do wiosny.

- Rany boskie, spadnie trochę śniegu, a miasto już trzęsie portkami.

- Mnie to mówisz? - Do Waszyngtonu O'Day trafił ze stanu Wyoming. Tęsknił teraz za górskimi polowaniami.

Murray uczulił łącznościowców na fakt, że telefaks, który przyjdzie z Denver, jest poufny i nikt nie ma prawa go oglądać.

- O, tutaj data się nie zgadza - oświadczył Goodley wczesnym popołudniem.

- Gdzie?

- Pierwszy meldunek, nie, przepraszam, drugi z tych, które narobiły u nas tyle szumu. Nijak mi się nie zgadzają rozkłady dnia Narmonowa i ŻAGLA.

- To jeszcze żaden dowód.

- Wiem. Dziwi mnie tylko jedno. Pamięta pan, co mówiłem o zmianie tonu w tych raportach?

- Owszem, pamiętam, ale mój rosyjski jest za cienki, żeby wylapać takie niuanse.

- Właśnie tu po raz pierwszy zmienia się język. Dokładnie w tym samym raporcie, którego nie mogę skorelować w czasie. - Goodley urwał. - Myślę, że coś się za tym kryje.

- Niech pan pamięta, że najpierw trzeba przekonać nasz dział rosyjski.

- Nie wiem, czy to takie proste.

- Ano właśnie - zgodził się Ryan. - Potrzeba nam więcej dowodów, Ben.

Jeden z lotniskowych strażników pomógł Clarkowi wnieść skrzynkę pełną butelek. Agent uzupełnił braki w samolotowym barze i ruszył na górny pokład z czterema butelkami whisky Chivas. Ding podreptał za nim, niosąc kwiaty. Clark rozmieścił butelki i rozejrzał się po pomieszczeniu, upewniając się, że wszystko jest jak trzeba. Dla niepoznaki poprawił jeszcze to i tamto. Ceramiczna flaszka, w której ukryto nadajnik, miała nadpękniętą szyjkę, co dawało gwarancję, że nikt nie będzie się spieszył z jej otwarciem. Sprytni ci faceci z pionu naukowo-technicznego. Proste chwytaki są najskuteczniejsze.

Kwiatowe bukiety trzeba było umocować w wazonach. Chavezowi podobały się pęki białych róż, a zielone patyczki, którymi usztywniał łodygi, również wydawały się całkowicie na miejscu.

Ding zszedł następnie na dół i sprawdził dziobowe toalety. Na dno pojemnika na śmieci w jednej z nich wrzucił miniaturowy japoński magnetofonik, upewniając się najpierw, że urządzenie działa, jak należy. U filaru spiralnych schodków czekał już Clark. Dwójka agentów opuściła samolot. Kiedy znikali: w dolnych kondygnacjach hali lotniska, do samolotu zaczęli ściągać pierwsi ochroniarze japońskiej delegacji.

Agenci dostali się do jednego z zamkniętych pomieszczeń gospodarczych i użyli go jako szatni. Wyszli na korytarz uczesani, w urzędniczych garniturach i ciemnych okularach.

- Zawsze tak łatwo idzie, panie C.?

- A, gdzie tam.

Agenci doszli do wyjścia z hali lotniska. Znajdowali się teraz dobre pół kilometra od boeinga linii JAL, którego jednak nie zasłaniał im żaden budynek. Niedaleko boeinga dojrzeli też mały odrzutowiec gulfstream IV w barwach prywatnej firmy. Gulfstream miał wystartować przed jumbo jetem i ruszyć rozbieżnym kursem. Clark wyjął z dyplomataki walkmana firmy Sony, włożył do środka kasetę i nacisnął słuchawki na uszy. W rzeczywistości słyszał teraz głosy ochroniarzy na pokładzie boeinga. Kiedy udawał, że czyta książkę, taśma magnetofonowa rejestrowała wszystkie dźwięki. Clark żałował teraz, że nie zna japońskiego. Jak zwykle podczas tajnej operacji, najważniejszą częścią była przymusowa bezczynność w oczekiwaniu, aż coś się wreszcie wydarzy. Kiedy Clark podniósł wzrok znad książki, obsługa lotniska ponownie rozwijała malinowy chodnik, kompania honorowa zwierzała szeregi, a na betonie ustawiano mównicę. Ludzie odpowiedzialni za przygotowania muszą mieć tego cyrku po dziurki w nosie, pomyślał Clark.

Wszystko potoczyło się bardzo prędko. Prezydent Meksyku osobiście odprowadził premiera Japonii do samych schodków i serdecznie uściśnął mu dłoń. Kto wie, czy i to nie stanowiło dowodu, że się dogadali. Clark cieszył się, że wszystko tak świetnie idzie, lecz zarazem martwiło go, do jakich świństw zdolni są politycy. Japońska delegacja wspięła się po schodkach, zamknięto drzwi, schodki odjechały, a 747 zapuścił silniki.

Clark słyszał teraz gwar rozmów w saloniku na górnym pokładzie. Kiedy ruszyły silniki, jakość nagrania w mgnieniu oka poszła w diabły. Agent musiał się zadowolić obserwacją gulfstreama, który kołował na start. Boeing 747 potoczył się dopiero dwie minuty później, co miało swój sens, jako że niebezpiecznie jest startować tuż za jumbo jetem. Wielkie pasażerskie odrzutowce zostawiały za sobą niebezpieczną turbulencję. Obaj agenci obserwowali lotnisko z poczekalni aż do chwili, kiedy odrzutowiec linii JAL nie zniknął w przestworzach. Na tym kończyło się ich zadanie.

W powietrzu mały gulfstream wspiął się na pułap podróży trzynastu i pół tysiąca metrów i wziął kurs zero dwa sześć w kierunku na Stany Zjednoczone i Nowy Orlean. Antena wewnątrz butelki szkockiej whisky w większym samolocie celowała prosto w okno, przesyłając na bardzo wysokiej częstotliwości strumień danych do odbiorników na pokładzie gulfstreama. Dzięki dużej szerokości pasma urządzenie gwarantowało doskonały sygnał, wychwytywany przez dziesięć magnetofonów, po dwa na każdy segment częstotliwości. Pilot gulfstreama wykręcił na wschód, jak daleko zdołał bez utraty łączności, lecz nad oceanem zakręcił i zmienił kurs, gdyż posterunek trzydzieści mil na wschód od niego i siedemset metrów poniżej wielkiego boeinga zajęła druga maszyna, EC-135, której udało się wystartować z bazy lotniczej Tinker w Oklahomie.

Pierwszy samolot wylądował w Nowym Orleanie, wylądował techników i sprzęt, nabrał paliwa i powrócił do Meksyku.

Clark był już w ambasadzie. Przed akcją zdołał zwerbować do swych potrzeb japońskiego tłumacza z pionu rozpoznania CIA. Wychodząc z założenia, że próbne nagranie z walkmana pomoże określić skuteczność całego systemu, Clark postanowił natychmiast spisać z taśmy pierwsze

rozmowy. Zdaniem agenta, sytuacja wymagała od niego wykazania się inicjatywą. Językoznawca długo się grzebał i dopiero po trzykrotnym przesłuchaniu taśmy zaczął stukać w klawisze komputera. Udało mu się spisać niecałe dwie strony. Napisałby więcej, lecz denerwował go Clark, który nieustannie zaglądał mu przez ramię.

- "Szkoda, że nie umiemy się tak łatwo dogadać z opozycją w Zgromadzeniu Narodowym" - przeczytał na głos Clark. - "Chodziło tylko o to, żeby zapłacić coś także jego podwładnym".

- Wygląda na to, że mamy, cośmy chcieli - zauważył tłumacz.

- Gdzie wasz szyfrant? - zapytał Clark szefa placówki w stolicy Meksyku.

- Sam potrafię to obsługiwać.

Rzeczywiście, nowe urządzenie szyfrujące okazało się dziecinnie proste w obsłudze. Szef placówki wprowadził dwie wydrukowane strony do komputera, do którego podłączone było niewielkie urządzenie, przypominające odtwarzacz CD. Na płycie kompaktowej zarejestrowane były miliardy przypadkowo dobranych liczb. Każdej literze z klawiatury komputera odpowiadała liczba, za każdym razem wybierana losowo i przekazywana do MERKUREGO, czyli centrali łączności w Langley. W MERKURYM nagrywano przychodzący sygnał i porównywano go z zapisem liczbowym na płycie kompaktowej obowiązującej w danym dniu. Dyżurny technik wybierał płytkę z archiwum, umieszczał ją w czytniku i naciskał guzik. W ciągu paru sekund drukarka laserowa wypuła dwie kartki odszyfrowanego czystopisu. Depesza, zamknięta w zalakowanej kopercie, w mgnieniu oka znalazła się na siódmym piętrze w gabinecie zastępcy dyrektora.

- Doktorze Ryan, depesza, na którą pan czekał - zameldował goniec.

- Dziękuję. - Jack pokwitował odbiór. - Panie Goodley, przepraszę pana na chwilę.

- Nie ma sprawy. - Goodley powrócił do swojej sterty notatek. Ryan wydobył depeszę z koperty i dwa razy przeczytał ją uważnie.

Następnie podniósł słuchawkę i poprosił o bezpośrednie szyfrowe połączenie z Camp David.

- Ośrodek dowodzenia - usłyszał.

- Mówi doktor Ryan z Langley. Muszę porozmawiać z szefem.

- Sekundę - odpowiedział dyżurujący bosman z marynarki wojennej. Ryan zapalił papierosa.

- Mówi prezydent - rozległ się nowy głos.

- Tu Ryan, panie prezydencie. Mam pierwszy fragment rozmów z tego boeinga.

- Tak szybko?

- Nagraliśmy, zanim ruszyły silniki. Nie zidentyfikowany głos, ale chodzi chyba o samego premiera, mówi, że doszli do porozumienia. - Jack słowo w słowo zacytował stenogram.

- A to sukinsyn - sapnął Fowler. - Wie pan, że z takim materiałem dowodowym mógłbym dla niego dostać wyrok skazujący?

- Pomyślałem, że będzie pan to chciał mieć jak najszybciej. Mogę przefaksować do Camp David cały stenogram. Pełny zapis rozmów z pokładu będziemy mieli około dziewiątej wieczór.

- Miło będzie sobie coś poczytać przed meczem. Proszę przysłać. - Połączenie urwało się.

- Nie ma za co, panie prezydencie - rzucił Jack w słuchawkę.

- Już czas - stwierdził Hosni.

- Się robi. - Russell wstał i ubrał się w grubą kurtkę. Na dworze był siarczysty mróz. Prognoza mówiła o minus piętnastu stopniach Celsjusza, lecz termometr nadal leciał w dół. Od strony Nebraski, z północnego wschodu zacinął porywisty, mroźny wicher, od którego robiło się jeszcze zimniej. Jedyna pociecha w tym, że wiatr rozpędził śniegowe chmury. Również w Denver smog daje się we znaki mieszkańcom miasta, zwłaszcza zimą, kiedy mróz trzyma czapę dymu nad miastem. Dziś

jednak na niebie nie było ani jednej chmurki, a gdy Marvin spojrzął na zachód, ujrzał, jak wiatr zwiewa tumany śniegu jak białe chorągwie ze szczytów Front Range. Zmiana pogody przyszła w samą porę, gdyż dzięki niej samoloty z portu lotniczego Stapleton mogły wystartować bez opóźnienia, które jeszcze parę dni temu wydawało się nieuniknione. Russell zapuścił silnik furgonetki, powtórzył w myślach legendę i przypomniał sobie wszystkie szczegóły planu. Zanim silnik się zagrzał, Indianin spojrzął też na ładunek. Ibrahim powiedział, że w skrzyni siedzi prawie tona silnego materiału wybuchowego. Dopiero się ludzie wkurzą! Russell wsiadł z kolei do wynajętego wozu osobowego, zapuścił jego silnik i przekręcił do oporu gałkę ogrzewania. Szkoda, że komendant Kati tak marnie się czuje. Może się po prostu boi?

Arabowie wyszli na dwór po kilku minutach. Hosni wsiadł razem z Marvinem do furgonu. On także był zdenerwowany.

- Gotów jesteś, chłopie?

- T-tak.

- No, to jazda. - Russell wrzucił wsteczny bieg i wyjechał z motelowego parkingu. Ruszył powoli, upewniając się, że Kati nadaża za furgonem i wyjechał z placyku na autostradę.

Droga na stadion zabrała kilka minut. Obyło się bez niespodzianek. Wszędzie czuwały posterunki policji, którym Hosni przyglądał się bardzo podejrzliwie. Policjanci nie wzruszali Marvina, który wiedział, że gliniarze mają za zadanie po prostu kierować ruchem i stoją sobie na razie, jako że kibice jeszcze nie ruszyli. Do meczu zostało całe sześć godzin. Indianin skręcił z autostrady na stadion przez zjazd dla prasy i telewizji, gdzie także czuwał policjant. Kati wybrał odmienną drogę i krążył po innym sektorze gigantycznego parkingu. Marvin zatrzymał furgonetkę i spuścił szybę.

- Czołem - odezwał się do gliniarza.

Funkcjonariusz Pete Dawkins z policji miejskiej w Denver zdążył już porządnie zmarznąć, choć sam pochodził z Kolorado. Miał za zadanie pilnować bramki na parking dla prasy, telewizji i oficjeli. Posterunek dostał mu się tylko dlatego, że Pete był początkującym gliniarzem, a cieplejsze miejsca chapnęli dla siebie koledzy starsi stażem.

- Co to za wóz? - zapytał Dawkins.

- Obsługa techniczna - wyjaśnił Russell - To jest brama dla telewizji, zgadza się?

- Zgadza, ale nie mam cię na liście. - Na parkingu dla ważnych osobistości było niewiele miejsca, toteż Dawkins nie miał prawa wpuszczać osób postronnych.

- W wozie "A", o tamtym, zepsuła się kopiarka do taśm - Russell machnął ręką w stronę stadionu. - Musieliśmy przywieźć zapasową.

- Nikt mi nic takiego nie mówił - zdziwił się policjant.

- Mnie też nikt nie mówił, dopiero wczoraj o szóstej wieczór, bęc! Musieliśmy targać to pudło aż z Omany. - Russell potrząsnął listem przewozowym, ale go nie pokazał. Ukryty z tyłu furgonu Hosni bał się oddychać.

- Trzeba było przysłać samolotem.

- Fajnie, ale Federal Express nie doręcza w niedzielę przesyłek, a poza tym to pudło nijak nie wejdzie przez drzwiczki learjeta. Nie żebym się zaraz skarżył. Jechałem specjalnie z Chicago, jako pracownik sieci, więc wpada mi za to główna potrójna stawka, plus rozławkowe, plus dodatek specjalny i dopłata za robotę w niedzielę!

- Całkiem, całkiem - zauważył Dawkins.

- Załapię za ten dzień więcej niż normalnie za cały tydzień. Gadajmy tak dalej - uśmiechnął się Russell do policjanta - mnie i tak leci dolar dwadzieścia pięć za minutę, nie?

- Musicie tam mieć porządne związki zawodowe.

- A jak! - Russell zaśmiał się znowu.

- Mam ci wytłumaczyć, jak jechać?

- Trafę, nie ma kłopotu. - Russell przejechał za bramę. Kiedy furgonetka ruszyła, Hosni odetchnął z ulgą. Słyszał każde słowo z rozmowy i był już pewien, że za chwilę wydarzy się katastrofa.

Dawkins spoglądał w ślad za furgonetką. Zapisał w notatniku godzinę wjazdu i rejestrację, jako że kapitan z sobie tylko wiadomych przyczyn kazał mu sprawdzać, kto kiedy zaparkował. Dawkins uznał to za bzdurę, ale ostatecznie czego się można spodziewać po kapitanie? Dopiero po dłuższej chwili policjant zorientował się, że wóz telewizji ABC ma tablice rejestracyjne z Kolorado. Dziwna sprawa. W tejże jednak chwili przed bramą zahamował elegancki lincoln, który znajdował się na liście. Był to wóz komisarza rady głównej Narodowej Ligi Futbolu. Grube ryby zaczynały ściągać długo przed meczem, głównie po to, jak sądził Dawkins, by móc spokojnie rozsiaść się w swoich napowietrznych łóżkach i zacząć tankować. Dawkinsowi poprzedniego wieczora trafiła się służba przy ochronie gości na przyjęciu u komisarza, mógł więc do woli obserwować, jak zgraja bogatych pajaców z Kolorado i okolic zalewa pałę w towarzystwie rozmaitych polityków i innych szczyh z całej Ameryki. Młody policjant uznał, że F. Scott Fitzgerald miał świętą rację, porównując polityków z gównem.

Russell zaparkował furgonetkę dwieście metrów dalej i zaciągnął hamulec ręczny, lecz nie wyłączał silnika. Hosni przeszedł na sam tył wozu. Mecz miał się zacząć o szesnastej dwadzieścia czasu miejscowego. Arab uznał, że ponieważ duże imprezy zawsze zaczynają się z opóźnieniem, pewniejszą godziną jest szesnasta trzydzieści. Dodał pół godziny i nastawił zapalnik czasowy na siedemnastą czasu Denver. Godzina była umowna i ustalona została wiele tygodni wcześniej: wybuch miał nastąpić po rozpoczęciu meczu, z wybiciem pełnej godziny.

Bomba nie posiadała skomplikowanych zabezpieczeń przed intruzami. W każdej z obu par drzwiczek Hosni zamontował minę-pułapkę, ale nie miał czasu na bardziej skomplikowane sztuczki. Na całe szczęście, jak mógł się teraz przekonać, gdyż kołyszący furgonetką północno-wschodni wiatr mógłby łatwo przesunąć delikatny przełącznik w niewłaściwą pozycję, a wtedy...

Było już za późno, żeby się bać, lecz nawet trzaśnięcie drzwiami furgonetki mogło się okazać groźne w skutkach. Hosni głowił się nad tym, o ilu jeszcze sprawach nie pomyślał. W takich chwilach człowieka zawsze nachodzą najczarniejsze wizje. Arab wyliczył w myślach wszystko, co zrobił do tej pory. Każdy element sprawdził sto i więcej razy. Urządzenie było gotowe. Oczywiście, że było gotowe. Nie po to strawili miesiące na żmudnych przygotowaniach, żeby się teraz na nim zawieść. Inżynier po raz ostatni sprawdził obwody kontrolne. Wszystko grało. Mróz nie wpłynął zbyt niekorzystnie na akumulatory. Hosni podłączył zasilanie do zapalnika zegarowego, a raczej spróbował je podłączyć. Nie mógł, tak bardzo mu zgrabiały ręce, które w dodatku drżały z emocji. Arab wyprostował się i przez dłuższą chwilę próbował się uspokoić. Za drugim podejściem bez kłopotu przyłączył przewody i zacisnął nakrętkę zabezpieczającą.

Nareszcie wszystko gotowe. Zamknął drzwiczki blaszanej skrzyni, uruchamiając minę-pułapkę i odstąpił od mechanizmu. Ładny mi "mechanizm" rzekł sobie w duchu.

- To wszystko? - spytał go Russell.

- Tak, wszystko - szepnął Hosni i przeskoczył na przednie siedzenie.

- No to chodu. - Marvin spojrział na wysiadającego towarzysza i zamknął za nim drzwi. Potem sam wysiadł i zamknął swoje drzwi kluczykiem. Poszli w stronę zachodniej części stadionu, mijając ogromne wozy transmisyjne z talerzami anten satelitarnych na dachach. Każdy wóz był pewnie wart

miliony dolarów. Marvin pomyślał z satysfakcją, że bomba rozwali wszystkie co do jednego, razem z dupkami z obsługi, kolegami ekipy, która filmowała śmierć jego brata, niczym widowisko na stadionie. Nie przeszkadzało mu nic a nic, że zgładzi paru techników. Ściana stadionu zasłaniała ich w tej chwili przed wiatrem. Hosni i Russell brnęli dalej przez parking, mijając pierwsze szeregi wozów z kibicami. Wiele samochodów zajeżdżających na parking miało rejestracje z Minnesoty. Kibice wdziali ciepłe ubrania i czapki, niektóre w kształcie rogatych hełmów wikingów, i pogryzali orzeszki ziemne.

Kati czekał w wynajętym samochodzie w bocznej alei. Zamiast wysiadać, przeskoczył na tylne siedzenie, pozwalając Marvinowi prowadzić. Ruch robił się coraz gęstszy, więc aby nie ugrzęznąć w korku, Russell pojechał inną trasą, obmyśloną poprzedniego dnia.

- Wiecie, aż mi wstyd, że zepsujemy im ten mecz.

- A to dlaczego? - zapytał Kati.

- Bo Wikingowie piąty raz zakwalifikowali się do finału i tym razem powinni wygrać. Ten ich chłopak, Wills, to najlepszy napastnik od czasów Sayersa. Szkoda, że przez nas nikt go nie obejrzy w akcji - Russell potrząsnął głową, dziwując się takiej ironii losu. Ani Kati, ani Hosni nie pofatygowali się mu odpowiedzieć, co nie zdziwiło Indianina. Arabowie, więc z poczuciem humoru u nich nie za bardzo. Parking obok motelu był prawie pusty. Wszystkich gości przyciągnął pewnie mecz, pomyślał Marvin, otwierając pokój.

- Spakowani?

- Owszem. - Hosni wymienił z komendantem spojrzenie, które oznaczało: trudno, nie ma rady.

Obsługa nie posprzątała jeszcze pokoju, lecz nie miało to znaczenia. Marvin zamknął się na chwilę w łazience. Kiedy wyszedł, obaj Arabowie stali już w drzwiach.

- Gotowi?

- Tak - odrzekł Kati. - Mógłbyś mi ściągnąć walizkę, Marvin?

- Już się robi. - Russell odwrócił się i złapał za rączkę walizki spoczywającej na metalowej półce. Nie usłyszał nawet, jak metalowa sztaba trafia go prosto w kark. Niski, lecz potężnie zbudowany Indianin zwałił się na tanią wykładzinę na podłodze. Kati uderzył z całej siły, ale za słabo, żeby zabić, z czego poniewczasie zdał sobie sprawę. Słabł z dnia na dzień. Hosni pomógł mu przenieść bezwładne ciało do łazienki i rozłożył Indianina na plecach. Motel był tani, a łazienka tym samym bardzo ciasna, zbyt ciasna jak na cel, do którego ją przeznaczyci. Zamierzali początkowo ułożyć Russella w wannie, lecz w pomieszczeniu nie dało się nawet stanąć w dwie osoby. Kati uklęknął więc obok Indianina. Rozczarowany Hosni wzruszył ramionami i ściągnął ręcznik z wieszaka.

Zawiązał materiał wokół szyi Russella, który był nie tyle nieprzytomny, ile oszołomiony i zaczynał już poruszać rękami. Hosni musiał się pospieszyć. Kati podał mu ostry nożyk do befsztyków, zwędzony poprzedniego wieczora z motelowego baru. Hosni pochwycił narzędzie i głęboko naciął tętnicę szyjną Russella tuż pod prawym uchem. Krew trysnęła jak z ogrodowego węża. Ibrahim przycisnął ręcznik, by nie zachlapać sobie ubrania, po czym naciął tętnicę po drugiej stronie szyi. Obaj Arabowie tkaniną usiłowali zatamować krwawą powódź.

W tej samej chwili Marvin otworzył oczy. Wciąż nie rozumiał, co się stało, nie miał nawet czasu pojąć, co z nim uczyniono. Poruszył ramionami, lecz napastnicy całym ciężarem zwałili się na niego, nie pozwalając mu drgnąć. Indianin nie wyrzekł słowa, choć otworzył usta. Spojrzał jeszcze oskarżycielsko na Hosniego, po czym oczy zasnuły mu się mgłą i uciekły pod powieki. Hosni i Kati musieli teraz odchylić się, by uniknąć krwawego strumienia, który buchał po kafelkach posadzki. Ibrahim znów przycisnął ręcznik. Krew ciekła coraz słabiej, więc nie trzeba było się jej obawiać. Za

to ręcznik był zupełnie czerwony. Hosni cisnął go do wanny, a Kati podał mu następnym.

- Niechaj się Bóg nad nim ulituje - rzekł cicho Hosni.

- Przecież to poganin. - Było już jednak za późno na oskarżenia.

- Czy to jego wina, że nigdy nie zetknął się z prawdziwą wiarą?

- Umyjmy się - doradził Kati. Oprócz łazienki mieli do dyspozycji dwie umywalki. Obaj Arabowie dokładnie namydlili ręce i uważnie sprawdzili, czy na ich ubraniach nie znać śladów krwi. Na szczęście krwi nie było.

- Co się stanie z motelem po wybuchu? - zapytał Kati.

- W tej odległości? Kula ognista nie ogarnie go, ale... - Hosni podszedł do okna i odrobinę uchylił zasłonę. Na horyzoncie majaczył stadion, którego nie przesłaniały żadne przeszkody. - Impuls termiczny zapalił budynki, a fala uderzeniowa rozwalił je do reszty. Cały motel zniknie.

- Na pewno?

- Sto procent. Wiadomo z góry, jakie będą skutki bomby.

- To dobrze. - Kati zlikwidował wszystkie dokumenty i bilety, którymi się posługiwali z Hosnim do tej pory. Czekająca ich kontrola celna, więc dosyć już było kuszenia losu. Zbędne dokumenty wyrzucili do kubła. Hosni zaniósł walizki do samochodu. Jeszcze raz rozejrzeli się po wnętrzu. Kati wsiadł, Hosni po raz ostatni zamknął drzwi i zawiesił na klamce wywieszkę "nie przeszkadzać". Droga na lotnisko była krótka, ich samolot odlatywał zaś za dwie godziny. Rozległy parking zapełniał się w coraz szybszym tempie. Trzy godziny przed rozpoczęciem meczu sekcja dla notabli była już pełna, ku wielkiemu zaskoczeniu Dawkinsa. Na płycie stadionu rozpoczęły się przedmeczowe pokazy. Policjant widział ze swojego posterunku ekipę telewizyjną, która krążyła po parkingu z przenośną kamerą i robiła wywiady z kibicami Wikingów. Przybysze z Minnesoty zmienili połowę ogromnego placu w improwizowany karnawał. W niebo ulatywała para z przenośnych roznów. Dawkins wiedział, że kibice Wikingów mają trochę nie po kolei, ale to, co wyczyniali, przechodziło wszelkie wyobrażenia. Zamiast marznąć na placu, mogli przecież wejść na stadion, gdzie czekały na nich najrozmaitsze napitki i jedzenie, rozsiąść się w hali o temperaturze dwudziestu stopni na wyściełanych siedzeniach, ale nic z tego. Woleli pokazać światu, jacy są twardzi na powietrzu, gdzie temperatura nie przekraczała minus czternastu stopni Celsjusza. Dawkins był narciarzem i jeszcze w szkole zarabiał na życie, patrolując stoki narciarskie w Aspen jako ratownik górski. Wiedział więc, co to mróz i cenił sobie ciepło. Na mroźny powiew nie ma żadnej rady. Powietrze i wiatr nie zwracały uwagi na to, że człowiek zamarza.

- Jak leci, Pete? Dawkins odwrócił się.

- Bez problemów, sierżancie. Odkreśliłem już wszystkich z listy.

- Tak? To biegnij do środka, zagrzej się trochę. Za wejściem, koło portierni, dostaniesz kawy. Ja cię tymczasem zastąpię.

- Dzięki. - Dawkins wiedział, że czegoś mu brakuje. Przez cały mecz miał za zadanie patrolować plac, upewniając się, że nikt niczego nie kradnie z samochodów. Również tajniacy mieli przykazane wypatrywać kieszonkowców i koników biletowych, lecz większość funkcjonariuszy przebywała w obrębie stadionu i mogła oglądać grę. Dawkins musiał się zadowolić małym radiem. Pomyślał, że takie już jego szczęście; w policji służył niecałe trzy lata, więc nadal uważano go nieomal za rekruta. Młody policjant wspiał się po pochyłości w kierunku wejścia na stadion, mijając furgonetkę ABC, którą przedtem wpuścił. Zajrzał do środka i dostrzegł kopiaarkę do kaset firmy Sony. Ciekawe, nie wyglądała na podłączoną do żadnego urządzenia. Policjant nie wiedział, gdzie podzieli się obaj technicy z furgonu, ale kawa kusiła go zbyt mocno, by się przejmować drobiazgami. Nawet polipropylenowa bielizna przestaje w pewnej chwili wystarczać. Dawkins dawno nie był równie



zmarznięty.

Kati i Hosni zwrócili samochód w agencji, od której wynajął go Russell i wzięli stamtąd darmowy autobus do hali odlotów. Oddali walizki na bagaż i powędrowali w stronę tablicy świetlnej. Okazało się, że MD-80 linii American do Dallas-Fort Worth ma opóźnienie. W Teksasie zerwała się śnieżycą, jak wyjaśniła recepcjonistka. Zawieja, która przeszła nad Denver poprzedniej nocy, kompletnie oblodziła pasy startowe w Dallas.

- Musimy zdążyć na połączenie do Meksyku. Może da się polecieć przez inne miasto? - zapytał Hosni.

- Owszem, o tej samej godzinie co "Dallas" odlatuje samolot do Miami. Mogę panom zarezerwować połączenie z Miami do Meksyku... - urzędniczka wystukała coś szybko na klawiaturze komputera. - Godzina przesiadki. Nic nie szkodzi, do Meksyku przylecą panowie tylko piętnaście minut później.

- Czy moglibyśmy wykupić te bilety? Musimy zdążyć na ten lot.

- Do Miami i z Miami do Meksyku?

- Tak. Przepraszam, że to taki kłopot.

- Ależ nie ma za co. - Młoda urzędniczka uśmiechnęła się do ekranu komputera. Hosni nie był pewien, czy uda jej się przeżyć eksplozję. Potężne oszklone okna sali wychodziły prosto na stadion, a fala uderzeniowa nawet z tej odległości... Ale może, jeśli zdąży się ukryć pod biurkiem... Inna rzecz, że i tak oślepi ją błysk. Takie piękne czarne oczy, trochę szkoda. - Proszę, oto bilety. Zaraz zawiadomię, żeby przesunięto panów bagaże na inny lot.

Hosni nie bardzo w to wierzył, lecz tak czy inaczej podziękował.

- Stanowisko odlotów jest po tamtej stronie - wskazała jeszcze urzędniczka.

- Dziękuję raz jeszcze.

Urzędniczka odprowadziła wzrokiem parę podróżnych. Młodszy był całkiem, całkiem, ale jego starszy brat, czy też może szef wyglądał dziwnie kwaśno. Może się boi latać?

- Co załatwiłeś? - zapytał Kati.

- Polecimy przez Miami, wyjdzie mniej więcej na to samo, tyle że zgubiliśmy w Meksyku kwadrans na przesiadkę. Pogoda fatalna tylko tu i w Teksasie, gdzie indziej nie będzie opóźnień.

Sala odlotów była prawie pusta. Ci, którzy musieli odlecieć z Denver, zarezerwowali sobie późniejsze loty, by móc jeszcze obejrzeć w telewizji Superpuchar. Podobnie wyglądała pewnie sprawa z przyłotami. Ibrahim naliczył w całym wnętrzu zaledwie dwudziestkę podróżnych.

- O, tutaj znowu występuje niezgodność - wskazał Goodley. - Powiem więcej, mamy prawie żelazny dowód, że coś jest nie tak.

- Dlaczego? - zapytał Ryan.

- W ubiegłym tygodniu Narmonow był w Moskwie tylko dwa dni, w poniedziałek i w piątek. We wtorek, środę i czwartek poleciał na Łotwę, Litwę i do zachodniej Ukrainy, a potem wypadł mu ten wiec wyborczy w Wołgogradzie. Piątek odpada, bo dopiero wtedy dostaliśmy ten raport, zgoda? Ale w poniedziałek nasz przyjaciel ŻAGIEL prawie cały dzień nie opuszczał Pałacu Zjazdów. Nie przypuszczam, by się spotkali w zeszłym tygodniu, chociaż tak wynika z listu. Wygląda na to, że ŻAGIEL kłamie.

- Proszę mi pokazać - zażądał Jack.

Goodley rozłożył notatki na biurku Ryana. We dwójkę przestudiowali daty i rozkład tygodnia obu polityków.

- Kto by pomyślał? - zdziwił się Jack po kilku minutach pracy. - A to skurwysyn.

- Przekonałem pana? - zapytał Goodley.

- Tak do końca? - Zastępca dyrektora CIA potrząsnął głową. - Nie.

- Niby dlaczego?

- Nigdzie nie jest powiedziane, że nasze informacje odpowiadają faktom. Poza tym mogli się przecież spotkać po kryjomu, kiedy Andriej Iljicz był w swojej dacy. Jedna jaskółka nie czyni wiosny. - Jack zrobił ruch ręką w stronę śniegu za oknem. - Zanim nadamy bieg sprawie, musimy punkt po punkcie sprawdzić wszystko jeszcze raz, ale powiem panu, że zrobił pan niezmiernie ciekawe odkrycie.

- Ale zaraz, cholera...

- Ben, w takich sprawach nie warto się spieszyć - wyjaśnił Jack. - Nie można cisnąć do kubła informacji cenionego agenta tylko dlatego, że można je rozmaicie zinterpretować, a o tym właśnie mówimy, prawda?

- Teoretycznie, owszem. Myśli pan, że KGB zmusiło go do współpracy?

- Że od pewnego czasu pracuje na dwie strony? - Ryan wyszczerzył zęby. - Zaczyna pan myśleć jak pracownik firmy. Niech mi pan sam odpowie na to pytanie.

- Dobrze. Gdyby ŻAGIEL zaczął pracować także dla KGB, wysyłałby nam trochę inne meldunki. Moskwie zależałoby, żebyśmy otrzymywali zupełnie inne informacje, chyba że ktoś w KGB...

- Niech pan jeszcze raz się zastanowi, Ben.

- Co? No, tak, źle by wyglądali w naszych oczach. Ma pan rację, sprawa jest mało prawdopodobna. Gdyby nas zdradził, pisałby co innego.

- Otóż to. Jeżeli to pan ma rację, a ŻAGIEL umyślnie nas dezinformuje, pańskie wytłumaczenie narzuca się samo przez się. Kadyszew tylko skorzysta z politycznej klęski Narmonowa. W tej branży każdy z nas musi myśleć jak policjant. Podejrzany jest ten, kto mógł skorzystać na zbrodni. Najlepiej, żeby przyjrzała się tej sprawie Mary Pat.

- Mam ją wezwać? - zapytał Goodley.

- W taką pogodę?

Kati i Hosni wsiedli do samolotu po pierwszym wezwaniu, zajęli fotele w pierwszej klasie i zapięli pasy. Dziesięć minut później samolot ruszył sprzed stanowiska i potoczył się na początek pasa startowego. Hosni pomyślał, że dobrze zrobił, przekładając lot. Rejsu do Dallas nawet jeszcze nie ogłoszono. Dwie minuty później samolot był już w powietrzu i wkrótce wykręcił na południowy wschód, lecąc ku cieplejszym okolicom Florydy.

Pokojówka i bez tego miała zły dzień. Większość gości opuściła pokoje bardzo późno, więc trzeba się było zwijać ze sprzątaniami. Na widok wywieszki na drzwiach kolejnego pokoju zacmokała z niezadowoleniem, lecz sąsiedni, połączony pokój stał otworem. Ktoś się widocznie pomylił, jako że po drugiej stronie wywieszki stało jak wół "proszę posprzątać". Goście często zamieniali wywieszkę stronami. Pokojówka zaczęła od pokoju bez wywieszki, gdzie niewiele było do roboty. Tylko w jednym łóżku trzeba było zmienić pościel. Kobieta zdjęła brudną bieliznę pościelową i oblekła kołdrę z wprawą, jakiej się nabiera, prześcielając łóżka pięćdziesiąt razy dziennie. Potem przysłała kolej na łazienkę. Nowe ręczniki, nowa kostka mydła, zawartość kosza na śmieci powędrowała z plastikową wyściółką do worka, przyczepionego do wózka pokojówki. Kobieta postanowiła mimo wszystko zastukać i upewnić się, czy ma sprzątać przyległy pokój. Wprawdzie wywieszka mówiła co innego, ale czemu w takim razie goście chcieli mieć posprzątane tylko w jednej części numeru? Na pewno nie zaszkodzi sprawdzić. Jeżeli na stole będą leżały jakieś ważne

papiery, wyjdzie się, i tyle. Pokojówka zajrzała przez drzwi łączące oba pomieszczenia i zobaczyła tylko dwa rozgrzebane łóżka. Na podłodze nie było ubrań, pokój znajdował się w równym porządku, co w przeddzień. Kobieta wytknęła głowę zza drzwi i spojrzała ku umywalce. Porządek, nikogo. Trzeba będzie jednak posprzątać. Przyciągnęła wózek do drugiego pokoju, prześcieliła łóżka i odwróciła się w stronę...

Jak to się stało, że nie zauważyła? Z łazienki wystawały czyjeś nogi. Ejże? Podeszła bliżej i...

Kierownik motelu nie mógł uspokoić pokojówki i dopiero po dobrej minucie zrozumiał jej słowa. W myśli podziękował opatrności za to, że z tyłu motelu nie było akurat innych gości. Wszyscy pojechali na mecz. Młody kierownik wziął głęboki oddech, wyszedł na dwór i mijając barek, udał się na tyły. Drzwi zatrzęsły się same, ale od czego uniwersalny klucz?

- Boże - szepnął po prostu. Dobrze i to, że wiedział, co zobaczy. Niczego nie ruszał, tylko przeszedł do sąsiedniego pokoju, a stamtąd na zewnątrz. Na biurku obok telefonu miał wypisane wszystkie numery alarmowe. Kierownik wystukał drugi z nich.

- Policja.

- Chciałem zawiadomić o morderstwie - wykrztusił, siląc się na spokój.

Prezydent Fowler odłożył kartki z telefaksu i pokręcił głową ze zdumienia.

- Niewiarygodne, żeby facet mógł mi tak łągać w żywe oczy.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała Liz.

- Najpierw trzeba będzie sprawdzić, czy naprawdę o to chodziło, ale powinno się nam udać. Brent przyleci do Waszyngtonu zaraz po meczu. Chciałbym go wcześniej rano widzieć u siebie, naradzimy się, co dalej. Myślę jednak, że wyrąbię premierowi prosto w oczy, że wiem o wszystkim. Jeżeli się obrazi, jego sprawa. Takie numery są dobre w mafii.

- Widzę, że naprawdę się tym przejąłeś. Fowler odkapslował sobie piwo.

- Jak się raz zostało prokuratorem, to już do końca życia. Oprych to oprych, i tyle.

Boeing linii JAL wylądował w międzynarodowym porcie lotniczym Dulles trzy minuty przed czasem. Z powodu pogody i przy aprobacie japońskiego ambasadora skrócono ceremonię powitalną. Prócz tego wiadomo powszechnie, że w Waszyngtonie im ważniejsza wizyta, tym mniej oficjalna jej oprawa. Ten dziwny miejscowy obyczaj japoński ambasador miał już okazję objaśniać poprzednikowi obecnego premiera. Po krótkim, lecz serdecznym powitaniu przez zastępcę sekretarza stanu Scotta Adlera, cała delegacja zapakowała się do terenowych samochodów, które na gwałt i z wielkim trudem zdołała zebrać ambasada, po czym kawalkada ruszyła do hotelu Madison, o kilka ulic od Białego Domu. Okazało się, że prezydent przebywa w Camp David i wróci do stolicy dopiero nazajutrz rano. Japoński premier, który czuł jeszcze skutki zmiany czasu, postanowił wobec tego przespać się trochę. Zanim zdążył zdjąć w hotelu marynarkę, na pokład boeinga weszła kolejna grupa sprzątaczy. Jeden z członków ekipy zebrał nietknięte butelki, w tym jedną z pękniętą szyjką, drugi opróżnił pojemniki na śmieci w toaletach, wrzucając ich zawartość do wielkiego worka. Wkrótce wszystkie rekwizyty były już w drodze do Langley. Samoloty eskortujące jumbo-jeta wylądowały w bazie Andrews; wszystkie, oprócz pierwszego, który via Nowy Orlean zawrócił do stolicy Meksyku. W Andrews załogi udały się na przepisowy odpoczynek, w tym wypadku w miejscowym klubie oficerskim. Taśmy pojechały do Langley samochodem, dotarły więc na miejsce dużo później niż magnetofon z Dulles. Okazało się, że nagranie z pokładu 747 ma najlepszą jakość, toteż technicy zaczęli pracę właśnie od niego.

Gulfstream, który powrócił do Meksyku, również wylądował punktualnie. Maszyna podtoczyła

się pod hangar dla samolotów prywatnych, a trzyosobowa załoga - z wojskowego lotnictwa USA, o czym nikt na ziemi nie miał jednak pojęcia - przeszła do hali, żeby zjeść spóźniony obiad. Jak na wojskowych przystało, piloci uznali, że pora na przepisowy odpoczynek, skutkiem czego Clark nadal musiał tkwić w ambasadzie. Postanowił wobec tego obejrzeć sobie w telewizji pierwszą ćwiartkę meczu, a dopiero potem ruszyć do Waszyngtonu między cholerne zasy.

- Nie pij tyle, bo zaśniesz w połowie meczu - ostrzegła doradczyni do spraw bezpieczeństwa.

- To dopiero moje drugie piwo, Elizabeth.

Obok kanapy stał pojemnik z lodem, pełen piwa, oraz srebrna taca paluszków i krakersów. Elliot wciąż nie wierzyła własnym oczom. Kto to widział, żeby J. Robert Fowler, prezydent Stanów Zjednoczonych, człowiek o tak wszechstronnej inteligencji i talentach, siedział na kanapie zmieniony we wściekłego kibica i czekał na pierwszą piłkę, żłowiąc piwo, niczym aktor komediowy Archie Bunker.

- Jeden kabel znalazłem, ale drugiego za diabła nie umiem - zameldował szef mechaników. - Nie wiem, co się mogło spieprzyć, pułkowniku.

- Idź do środka i zagrzej się trochę - oznajmił mu pilot. - I tak za długo tkwiłeś na tym mrozie.

- Porachunki handlarzy narkotyków, założysz się? - domyślił się młodszy inspektor.

- W takim razie robota amatorska - skwitował tę uwagę jego partner. Fotograf wypstrykał już zwyczajowe cztery rolki filmu, a sanitariusze zaczęli wsuwać zwłoki do plastikowego worka, żeby odwieźć je do kostnicy. Przyczyna zgonu nie budziła wątpliwości - chodziło o wyjątkowo brutalne morderstwo. Wyglądało też na to, że zabójcy (starszy z inspektorów domyślał się, że było ich co najmniej dwóch) przydusili ofiarę do ziemi, po czym dopiero poderżnęli jej gardło i spokojnie czekali, aż się wykrwawi. Użyli też ręczników, żeby nie poplamili sobie ubrań krwią. Być może poszło o dawne porachunki czy dług. Niewykluczone, że zamordowany oszukał w swoim czasie zabójców, a ci odnaleźli go i wyrównali rachunek. Na pewno nie popełniono tego zabójstwa w afekcie: było zbyt okrutne i wykalkulowane.

Inspektorzy mogli sobie pogratulować szczęścia, gdyż w kieszeni ofiary znaleźli nietknięty portfel. Mieli więc w ręku wszystkie dokumenty zamordowanego, ba, dwa komplety dokumentów. Sprawdzali je teraz starannie. W księdze gości udało się odszukać numery rejestracyjne obu pojazdów gości z pokoju. Policja sprawdzała je już na komputerze w urzędzie komunikacji.

- Ten facet to Indianin - stwierdził felczer przybyły razem z ekipą. - Wiem, że się tak nie mówi, ale...

- Gdzieś już widziałem tę twarz - zastanowił się młodszy z inspektorów. - Sekundę! - Policjant zauważył coś nagle. Rozpiął koszulę ofiary, odsłaniając górny fragment tatuażu.

- Gość siedział w pudle - przytaknął starszy z policjantów. Tatuaż na piersi zamordowanego był prymitywny, sporządzony śliną i kopiowym ołówkiem, i przedstawiał symbol, który obaj inspektorzy już widzieli... - Poczekaj... to znak jakiejś grupy...

- Znak Związku Wojowników!

- A, widzisz. FBI przysyłało nam niedawno coś na ich temat, pamiętasz? Po tej strzelaninie w zeszłym roku, w Dakocie Północnej. - Starszy inspektor myślał przez chwilę. - Zaraz jak się czegoś dowiemy o tym prawie jazdy, powiedz, żeby natychmiast wysłali odbitkę do Waszyngtonu. Dobra, zabierać sztywnego!

Sanitariusze wrzucili plastikowy worek na nosze i wynieśli go.

- Dawać tutaj pokojówkę i kierownika.

Inspektor Pat O'Day miał szczęście wylosować na ten dzień dyżur w ośrodku dyspozycyjnym FBI, czyli sali 5005 w Gmachu Hoovera, stojącym w centrum Waszyngtonu. Sala miała osobliwy kształt trójkąta, a w miejscu, gdzie zbiegały się jego ramiona, stały biura ekipy dowodzenia i ekrany ściennie. Obsługa miała dziś leniwy dzień, gdyż zła pogoda sparaliżowała pół kraju. Zła pogoda zniechęca przestępców znacznie bardziej niż najlepsza ochrona policyjna. Dzięki temu na jednym z ekranów na ścianie można było oglądać dwie drużyny, których kapitanowie rzucali właśnie monetą, losując strony na stadionie w Denver. Wikingowie wylosowali właśnie prawo wyboru i zdecydowali się bronić w pierwszej kolejce, gdy młoda funkcjonariuszka z działu łączności przyniosła O'Dayowi kilka telefaksów z oddziału FBI w tymże Denver.

- Morderstwo, panie inspektorze. Policja twierdzi, że będzie nas to interesować.

Fotografia z amerykańskiego prawa jazdy nie zaimponuje zawodowcom, a jeżeli ją powiększyć i przesłać obrazem telefaksem, wyniki są po prostu żałosne. O'Day gapił się przez kilka sekund w zdjęcie i chciał je już odłożyć, kiedy przypomniał sobie wydarzenia z lat, które spędził w stanie Wyoming.

- Widziałem gdzieś już tego typu... Indianin... Marvin Russell? - O'Day odwrócił się do kolegi.

- Stan, rozpoznajesz tę twarz?

- Ni cholery. O'Day przejrzał resztę przesyłki. Kimkolwiek był ten ktoś, nie żył, gdyż podejrzano mu gardło. Tak informowała policja z Denver. "Prawdopodobnie porachunki handlarzy narkotyków" brzmiała wstępna opinia tamtejszego wydziału zabójstw. Hipoteza miała ręce i nogi. John Russell zajmował się przed śmiercią bądź co bądź przemytem narkotyków. Raport uzupełniały dokumenty znalezione na miejscu zbrodni. Wszystkie prawa jazdy okazały się fałszywe, lecz, jak pisano z Denver, bardzo umiejętnie podrobione. Na nazwisko ofiary zarejestrowana była furgonetka, drugi zaś samochód, osobowy, wynajął kilka tygodni wcześniej niejaki Robert Friend. Identyczne nazwisko widniało w prawie jazdy zamordowanego. Policja z Denver szukała obu pojazdów i pytała, czy FBI wie cokolwiek na temat ofiary i jej powiązań.

- Proszę się z nimi połączyć, niech przefaksują fotografie z pozostałych praw jazdy.

- Tak jest.

Pat spojrzął jeszcze na ekran, na którym obie drużyny rozstawiały się na boisku, po czym sięgnął po słuchawkę.

- Dan? Mówi Pat. Może wpadłbyś do nas na chwilę? Mam wrażenie, że nasz stary przyjaciel wypłynął na powierzchnię, w charakterze nieboszczyka... Nie, nie. Inny przyjaciel.

Murray wszedł do sali, kiedy na ekranie wybijano piłkę. Początek meczu był ważniejszy od depezy z telefaksu. Minnesota wykopała piłkę aż do linii dwudziestu czterech jardów, gdzie wszedł do akcji atak Wikingów. Studio telewizyjne natychmiast zasypało ekran lawiną bezużytecznych informacji, zasłaniając kibicom akcję na boisku.

- Powiedziałbyś, że to Marvin Russell? - zapytał więc Pat.

- Jasne, że on. Gdzie go masz? O'Day machnął ręką w stronę ekranu.

- Właśnie w Denver, wyobrażasz sobie? Półtorej godziny temu znaleźli go z podejrzniętym gardłem. Miejskowa policja twierdzi, że poszło o narkotyki.

- Brat Russella owszem, handlował w swoim czasie. Jeszcze coś? - Murray wyjął depeze z ręki O'Daya.

Tony Wills pierwszy dostał piłkę od pomocnika i przebiegł z nią pięć jardów. Mało brakowało, a ubiegłby więcej, nim przeciwnicy powalili go na plastikową murawę. Przy drugiej próbie Wills

złapał podanie górami, zaliczając dwadzieścia jardów.

- Ten chłopak jest niesamowity - skwitował akcję Pat - Pamiętam jeden taki mecz, kiedy Jimmy Brown...

Bob Fowler popijał już trzecie piwo tego wieczora, zzymając się, że zamiast siedzieć w łóżku w Denver, utkwiał w Camp David. Tajna Służba dostałaby oczywiście małego rozumu, gdyby ich Szef wybrał się na Superpuchar, a ochronę na trybunach trzeba by było wzmocnić aż tak, że kibice do tej pory czekali by w kolejce przy wejściu. Fatalne zagranie polityczne, trudno zaprzeczyć. Siedząca obok prezydenta Liz Elliot przełączyła drugi telewizor na kanał HBO, żeby sobie obejrzeć film. Założyła na uszy słuchawki, by nie przeszkadzać głowie państwa. Futbol z jej punktu widzenia nie miał najmniejszego sensu. Jak to możliwe, żeby rozsądny człowiek mógł się tak podniecać grą rodem z dziecięcego podwórka?

Pete Dawkins uporał się z przedmeczowymi obowiązkami i zaciągnął w poprzek bramy łańcuch. Spóźnialscy mogli skorzystać z dwóch otwartych jeszcze przejazdów, strzeżonych przez policję. Trudno się było temu dziwić, skoro rok wcześniej podczas Superpucharu banda niestęchanych sprytnych włamywaczy splądrowała wozy kibiców, zabierając łup wartości dwustu tysięcy dolarów - głównie radia i magnetofony. W Denver nie miało prawa się tak zdarzyć. Dawkins rozpoczął obchód w towarzystwie trzech innych policjantów. Umówili się, że zamiast tkwić każdy w swoim sektorze, będą krążyć po całym placu. Stanie w miejscu groziło zamrożeniem, natomiast maszerując można się było chociaż trochę rozgrzać. Dawkins czuł, że ma nogi jak z drewna. Trzeba je rozruszać. Nie to, żeby zapowiadało się łapanie złodziei, bo jaki włamywacz byłby taki dumny, żeby tłuc szyby przy minus piętnastu stopniach? Policjant dotarł wkrótce do sektora zajętego przez wozy z Minnesoty. Kibicom Wikingów nie sposób było odmówić zmysłu organizacji. Wszystkie pikniki zakończyły się w porę, uprzątnięto krzeselka ogrodowe, posprzątano nawet starannie teren. Gdyby nie kilka kałuż zamrożonej kawy, nikt by się nawet nie domyślił, jaka uczta trwała tu przed godziną. Może więc kibice z Minnesoty nie byli aż takimi idiotami?

Dawkins miał w uchu słuchawkę tranzystorowego radia. Słuchanie transmisji z meczu przez radio przypominało akt miłosny w pełnym umundurowaniu, lecz przynajmniej w ten sposób policjant wiedział, kto i dlaczego tak wiwatuje. Pierwsza zdobyła punkty Minnesota. Wills wyłapał piłkę i wyrwał się piętnaście jardów do przodu. Pierwsza kompletna akcja Wikingów trwała cztery minuty i pięćdziesiąt sekund, a piłka wchodziła do gry siedem razy. Minnesota była dziś agresywna.

- Rany boskie, ale się Dennis musi zwijać - zauważył Fowler. Liz nie dosłyszała tej uwagi, gdyż skupiła całą uwagę na filmie. Minutę później sekretarz obrony miał jeszcze lepsze powody do kurczów żołądka: piłkę wybitą z linii pięciu jardów pomocnik wspomagający atak Szturmowców przeniósł aż na czterdzieści jardów, lecz tam się wyłożył, a jeden z Wikingów runął na piłkę.

- Powiadają nam, że Marvin to sprytny sukinynek. Popatrz tylko na numery pozostałych praw jazdy. Oprócz pierwszych kilku cyfr takie same, jak u niego. Założę się, że zdobył, albo ktoś mu zdobył, maszynę do fotolegitymacji - domyślił się Murray.

- Paszporty i co tam jeszcze - przytaknął O'Day, patrząc, jak Tony Wills znów pokonuje osiem jardów. - Jeżeli nie znajdą sposobu na tego chłopaka, mecz będzie wybuchowy, zobaczysz.

- Paszporty? A jakie?

- Tego mi nie powiedzieli. Poprosiłem już o szczegóły. Wyfaksują nam fotografie, kiedy tylko dostaną je na biurko. Komputery w Denver szumiały na pełnych obrotach. Udało się odnaleźć biuro

wynajmu samochodów i sprawdzić dane w jego systemie. Okazało się, że samochód został zwrócony na lotnisku międzynarodowym Stapleton dosłownie przed kilkoma godzinami. Trop był więc zupełnie świeży, toteż inspektorzy ruszyli na lotnisko, zaledwie przesłuchawszy pierwszą parę "świadków". Rysopisy pozostałej dwójki gości pokrywały się z fotografiami, które wysłano już do komendy policji. W komendzie wiadano także, iż FBI gromkim głosem dopomina się informacji. Łatwo się więc było zorientować, że chodzi o grubą aferę z narkotykami. Inspektorzy nie wiedzieli tylko, gdzie podziła się furgonetka motelowych gości.

Dawkins zakończył pierwszą rundę wokół parkingu w chwili, kiedy Minnesota po raz drugi uzyskuje punkty. Udało się to i tym razem za sprawą Willsa, który przeszedł z piłką cztery jardy, wyskakując z tylnego szeregu. Od początku meczu debiutant przebiegł już z piłką pięćdziesiąt jeden jardów i dwa razy przyjął podanie. Dawkins zorientował się, że stoi przed furgonetką sieci ABC, którą wpuścił na parking. Właśnie, dlaczego rejestracja z Kolorado? Facet powiedział mu, że jest z Chicago i że po kopiarce, czy o co tam chodziło, musieli jechać do Omaha. Furgonetka miała na bokach znaki sieci ABC, a przecież żadna z miejscowych stacji telewizyjnych nie należała do trójki wielkich sieci amerykańskich. Owszem, miejscowe ośrodki retransmitowały programy sieci, ale napisy na bokach ich pojazdów oznaczały zawsze miejscową rozgłośnię, nie sieć. Trzeba będzie zapytać sierżanta. Dawkins zakreślił pozycję w swoim notatniku i postawił przy niej znak zapytania, a potem podszedł do stanowiska straży wewnątrz budynku.

- Gdzie sierżant?

- Robi rundę po placu - odpowiedział policjant w okienku. - Idiota postawił dwie dychy na Szturmowców. Zobacz je jak własne uszy.

- Jak go znajdę, namówię go, żeby dołożył więcej - Dawkins zaśmiał się i zapytał: - Nie mówię, do którego sektora idzie?

- Nie wiem, chyba do północnego.

- Dzięki.

Wikingowie znów rozpoczęli grę, a wynik brzmiał czternaście do zera. Ten sam obrońca odebrał piłkę z powietrza, trzy jardy przed końcową linią. Zamiast posłuchać rady skrzydłowego i uziemić piłkę, zawodnik runął z nią przed siebie środkiem boiska. Na szesnastu jardach wyminął jednego przeciwnika, zorientował się w zakładanej blokadzie i skręcił ku bocznej linii. Piętnaście jardów dalej stało się jasne, że tylko rozgrywający zatrzyma napastnika, rozgrywający okazał się jednak powolny. Sto trzy jardy, najlepsze zagranie z odebranego podania w historii Superpucharu. Ponieważ udało się także wcelować do bramki, wynik zmienił się na czternaście do siedmiu.

- Wrócił ci humor, Dennis? - zapytał sekretarz stanu sekretarza obrony. Bunker odstawił kubek z kawą. Postanowił na razie nie pić alkoholu, żeby zupełnie na trzeźwo odebrać Puchar Lombardiego z rąk komisarza ligi futbolowej.

- Wrócił, teraz musimy tylko znaleźć sposób na twojego pupilka.

- Życzę szczęścia.

- Rzeczywiście, Bruce, chłopak jest wspaniały. Niech mnie szlag, jak on biegnie!

- Mięśnie to nie wszystko. Chłopak umie myśleć i ma dobre serce.

- Jeżeli to ty go wychowałeś, Bruce, na pewno ma głowę na karku - oznajmił wielkodusznie Bunker. - Ale teraz niech sobie zerwie ścięgno albo coś.

Dawkins po kilku minutach odnalazł swojego sierżanta.

- Czegoś tu nie rozumiem - oznajmił mu z miejsca.

- O co chodzi?

- Widzisz tę furgonetkę? Biała, na końcu szeregu wozów transmisyjnych z antenami. Ma napisy sieci ABC i tablice z Kolorado, ale kierowca mówił mi, że jest z Chicago czy tam z Omahy. Pytałem, co wiozą, powiedzieli, że kopiarkę do taśm wideo, bo druga im się zepsuła. Przechodziłem tamtędy parę godzin temu. Kopiarka dalej w samochodzie, a facetów ani śladu.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Dawkinsa sierżant.

- Dobrze byłoby pójść tam i jeszcze raz rzucić okiem.

- W porządku, zawiadom przez radio, że idę popatrzeć. - Sierżant spojrzął do notatnika i sprawdził numer rejestracyjny furgonu. - Miałem iść na rampę, pomóc konwojentom z Wells Fargo. Zastąp mnie, dobra?

- Jasne, sierżancie. - Dawkins natychmiast ruszył, gdzie mu kazano. Posterunkowy podniósł mikrofon swojej motoroli.

- Tu sierżant Yankevich do porucznika Vernona. Czy możemy się zaraz spotkać przy wozach transmisyjnych?

Yankevich ruszył wzdłuż zewnętrznej ściany stadionu na południe. Sam też miał przy sobie radio, lecz zapomniał o słuchawce. San Diego powstrzymało Wikingów, którzy w czterech próbach nie pokonali dziesięciu jardów. Minnesota zdecydowała się na wykop z woleja, z trudnością wyłapani przez Szturmowców na trzydziestu jardach. Kto wie, stawka mogła się okazać wyrównana. Ktoś powinien zastrzelić tego Willsa, pomyślał jeszcze ze złością Yankevich.

Dawkins dotarł tymczasem do północnej ściany stadionu i ujrzał przy dolnej rampie pancerny samochód z firmy Wells Fargo do przewozu pieniędzy. Samotny konwojent usiłował wydobyć ze środka ciężkie worki, najwyraźniej pełne drobnych monet.

- Co się stało?

- Kierowca rozwalil sobie kolano, poszedł na opatrunek. Można prosić o pomoc?

- Podawać czy odbierać? - zapytał tylko Dawkins.

- Niech pan wejdzie do środka i podaje worki, tylko ostrożnie, bo po zbóju ciężkie.

- Robi się. - Dawkins wskoczył do samochodu. Wnętrze pancерnej ciężarówki wyłożone było półkami, na których spoczywały niezliczone worki dwudziestopięciocentówek. Policjant podniósł na próbę jeden worek. Rzeczywiście ciężki. Pozostawało zatknąć notes za pas i brać się do roboty. Dawkins podawał kolejne worki monet przez drzwiczki, a konwojent układał je na dwukołowym wózku. Sierżant zawsze umie człowieka urządzić.

Yankevich spotkał się tymczasem z porucznikiem przy wejściu dla prasy. We dwójkę podeszli do podejrzanej furgonetki. Porucznik zajrzał przez szybę.

- Duże pudło, z napisem Sony... Nie, jeszcze coś... "studyjna kopiarka wideo", tak jest napisane. Sierżant Yankevich powtórzył przełożonemu wszystko, czego się dowiedział od Dawkinsa.

- Pewnie robimy alarm bez potrzeby, ale...

- Właśnie, ale. Poszukam kierownika ekipy z ABC i od razu zadzwonię po saperów. Pan niech tu zostanie i ma oko na wszystko.

- Mogę przynieść z samochodu wytrychy. Jak trzeba, raz dwa otworzę ten furgon. - Każdy policjant wie, jak włamywać się do samochodu.

- Obejdzie się. Niech się o to martwią saperzy. Poza tym pewnie faktycznie chodzi o kopiarkę. Jedni przyjechali, bo zepsuła im się maszyna, a drudzy mogli ją tymczasem naprawić. Dlatego



zostawili zapasową, i cześć.

- Nie, to nie, panie poruczniku. - Yankevich wszedł do dyżurki, by rozgrzać się kolejną kawą, po czym wrócił na świeże powietrze, które tak uwielbiał. Słońce kryło się właśnie za łańcuchami Gór Skalistych, a widok ten mógł zachwycać nawet w siarczysty mróz i na porywistym wietrze. Policjant minął kolejne wozy łączności satelitarnej, obserwując, jak pomarańczowa kula powoli tonie w jednej ze skłębionych śniegowych chmur. Są rzeczy piękniejsze od futbolu. Kiedy ostatni skrawek słonecznej tarczy zniknął za górskim grzbietem, Yankevich odwrócił się, chcąc ponownie przyjrzeć się skrzyni we wnętrzu furgonetki. Nie wiedział jeszcze, że nie zdąży.



# TRZY MERDNIĘCIA

Kiedy mechanizm zegarowy przymocowany do pancerza bomby pokazał godzinę siedemnastą zero zero, urządzenie zaczęło działać.

Najpierw prąd z akumulatorów naładował kondensatory wysokiego napięcia, a mikroładunki wybuchowe, podłączone do zbiorniczków trytu na dwóch końcach bomby, wypaliły i popchnęły tłoczki, kierując tryt w wąskie metalowe rurki. Pierwsza rurka wiodła do rdzenia ładunku inicjującego, druga do wtórnego. Wszystko odbyło się powoli, chodziło bowiem o to, by próbki deuterku litu miały czas wymieszać się z trytem, który był paliwem dla reakcji syntezy. Cały proces zabrał dziesięć sekund.

Dziesięć sekund po siedemnastej mechanizm zegarowy wysłał następny sygnał.

Godzina Zero.

Kondensatory wysokiego napięcia uwolniły impuls elektryczny, przekazując go przewodami do urządzenia rozdzielczego. Pierwsza para przewodów miała pięćdziesiąt centymetrów długości. W urządzeniu rozdzielczym impuls elektryczny dotarł do przełączników krytronowych, każdy z nich stanowił mikroskopijny, błyskawiczny w działaniu mechanizm, który za pomocą samojonizującego się, radioaktywnego gazu, kryptonu, pozwalał zgrać w czasie moment odpalenia kolejnych detonatorów. Urządzenie rozdzielcze systemem kondensatorów zwielokrotniło natężenie impulsu elektrycznego i posłało go przez siedemdziesiąt osobnych przewodów, długości dokładnie jednego metra. Przekazanie impulsu trwało trzy dziesiąte "merdnięcia", czyli trzy nanosekundy. Wszystkie przewody musiały mieć tę samą długość, gdyż siedemdziesiąt kostek materiału wybuchowego musiało oczywiście eksplodować w tym samym ułamku sekundy. Dzięki przełącznikom krytronowym i przycięciu przewodów do tej samej długości udało się to osiągnąć bez kłopotu.

Rozdzielony impuls elektryczny dotarł do wszystkich detonatorów. Każda kostka materiału wybuchowego miała ich trzy. Wszystkie co do jednego zadziały tak, jak trzeba. Pojedynczy detonator opatrzony był metalowym włóknem, tak cienkim, że pod wpływem prądu rozrywało się na kawałki. Impuls wybuchu powodował eksplozję przylegającej kostki materiału. Chemiczna reakcja w materiale wybuchowym rozpoczęła się w cztery i cztery dziesiąte nanosekundy po wysłaniu impulsu przez mechanizm zegarowy. Skutek trafniej byłoby nazwać implozją niż eksplozją, jako że prawie cały impet wybuchu był skierowany do środka.

Również słowo "kostki" nie oddaje natury materiału wybuchowego, który przygotował Hosni. Jego dziełem był bardzo przemyślny zlepek dwóch różnych substancji, z których każda zawierała w sobie proszki lekkich i ciężkich metali. Zewnętrzną warstwę każdej kostki stanowił stosunkowo powolny w działaniu materiał o prędkości wybuchu trochę wyższej niż siedem tysięcy metrów na sekundę. Fala eksplozji rozchodziła się z tą szybkością od detonatora, błyskawicznie osiągając krawędź pierwszej warstwy. Detonatory były umieszczone na zewnątrz kuli z materiału wybuchowego, wobec tego czoło eksplozji rozszerzało się ku jej wnętrzu, przez nietknięte jeszcze warstwy substancji wybuchowej. Styk pierwszej warstwy materiału wybuchowego z drugą, wewnętrzną, zawierał puste miejsca, od swego kształtu zwane bańkami, dzięki którym rozchodząca się promieniście fala uderzeniowa zmieniała kształt na płaski i pod kątem prostym uderzała w metalowe elementy zwane "taranami".

Każdy z "taranów" był specjalnie obrobioną płytką wolframo-renu. Metal uderzony falą uderzeniową o prędkości dziewięciu tysięcy ośmuset metrów na sekundę napierał z kolei na

centymetrową warstwę berylu, poza którą czekała jeszcze milimetrowej grubości skorupa uranu 235. Zbita metaliczna masa pomknęła przez próżnię, zbliżając się ze wszystkich stron naraz do punktu centralnego. Suma prędkości wymierzonych w siebie "taranów" wynosiła osiemnaście tysięcy sześćset metrów na sekundę.

Centralnym punktem, w którym skupiła się cała moc rozpędzonych taranów i materiału wybuchowego, była dziesięciokilogramowa masa radioaktywnego plutonu 239. Plutonowy rdzeń miał kształt szklanego wazonu, którego górny brzeg wywinięto na zewnątrz i ściągnięto w dół aż do samego denka, tworząc dwie równoległe metalowe ścianki. Pluton nawet w normalnych warunkach jest cięższy od ołowiu, a obecnie zginała go ciśnienie implozji liczone w milionach atmosfer. Proces trwał na szczęście bardzo krótko, bo zawarta w rdzeniu domieszka niestabilnego plutonu 240 groziła przedwczesną eksplozją. Zewnętrzna i wewnętrzna ścianka plutonowego rdzenia zbiły się w jedną masę, nadal zginiatą ze wszystkich stron w kierunku geometrycznego środka bomby.

Ostatnim mechanizmem zewnętrznym, który zaczął działać, była tak zwana "zapalniczka", będąca w rzeczywistości miniaturowym akceleratorem cząstek. Po trzecim sygnale z wciąż nietkniętego mechanizmu zegarowego "zapalniczka", przypominająca jako żywo ręczną suszarkę do włosów, wypuła w kierunku berylowej tarczki cząsteczki deuteru. Powstałe przy zderzeniu wolne neutrony o prędkości równej jednej dziesiątej prędkości światła przemknęły pustym metalowym przewodem do samego rdzenia ładunku pierwotnego, w miejsce w żargonie atomistów nazywane "jamą". Proces obliczono w ten sposób, aby neutrony trysnęły do "jamy", kiedy pluton osiągnie połowę docelowej gęstości.

Pluton waży mniej więcej dwa razy tyle co ołów, lecz w tamtej chwili gęstość zginiatanego rdzenia była już dziesięciokrotnie większa i wciąż narastała. W masę ściskanego plutonu wdarła się teraz lawina neutronów.

Zaczęła się reakcja rozszczepienia.

Atom plutonu posiada masę atomową 239, która odpowiada łącznej ilości neutronów i protonów w jego jądrze. Reakcja zaczęła się w milionach punktów naraz, lecz w każdym wypadku wyglądała identycznie. Intruz w postaci "powolnego" neutronu, mijając jądro atomu plutonu, dostawał się w zasięg sił jądrowych silnego oddziaływania, które spajają w całość nukleony jądra. Przelatujący neutron zostawał więc wessany do wnętrza jądra, zmieniając jego stan energetyczny i destabilizując wiązania. Symetryczne dotąd jądro atomowe zmieniało spin i zaczynało chaotycznie oscylować, a fluktuacje sił jądrowych rozrywały je na pojedyncze nukleony. W większości wypadków znikał przy tym jeden z protonów lub neutronów, przemieniając się w energię w hołdzie dla Einsteinowskiej zasady:  $E=mc^2$ . Energia wyzwolona przy anihilacji nukleonu miała głównie postać promieniowania gamma i rentgenowskiego, choć rozpraszała się także na trzydzieści innych, mniej tu istotnych sposobów. Poddane bombardowaniu jądro atomowe uwalniało ostatecznie dwa do trzech swobodnych neutronów. Ten właśnie fakt miał kluczowe znaczenie. Proces zapoczątkowany przez jeden wolny neutron mógł być kontynuowany przez dwie albo trzy identyczne cząsteczki, z których każda miała teraz prędkość jednej dziesiątej prędkości światła, co wynosi trzydzieści trzy tysiące kilometrów na sekundę. Neutrony pędziły przez próżnię pełną atomów plutonu o gęstości dwieście razy większej niż woda, toteż większość rozpędzonych cząsteczek trafiała wkrótce w następne jądro atomowe.

Termin "reakcja łańcuchowa" oznacza, że proces narasta samorzutnie w nieskończoność, a wyzwolana przy tym energia pozwala mu trwać bez konieczności podsycaenia reakcji z zewnątrz. Reakcja rozszczepienia plutonu przebiega etapami, podczas których energia wyzwolona podczas kolejnej reakcji podwaja się w porównaniu z reakcją poprzednią, by znów się podwoić po kolejnym

etapie procesu. Chociaż reakcję zapoczątkowała garstka stosunkowo powolnych swobodnych neutronów, ich początkowa energia wciąż się podwajała, a odstęp między każdym kolejnym rozszczepieniem można było liczyć w ułamkach nanosekund. Wzajemny stosunek liczby neutronów w dwóch następujących po sobie procesach rozszczepienia nazywa się współczynnikiem  $k$ , zaś prędkość narastania reakcji łańcuchowej - najistotniejsza zmienna dla konstruktorów bomb - nazywana jest "alfą". Alfa o wartości tysiąc oznacza, że w ciągu jednej mikrosekundy ilość podwojeń energii wynosi  $2^{1000}$  czyli dwa pomnożone przez siebie tysiackrotnie. U szczytu reakcji rozszczepienia, przy wartości "alfa" równiej  $2^{50}$  do  $2^{53}$ , bomba mogła osiągnąć moc dziesięciu miliardów miliardów watów, czyli sto tysięcy razy większą niż wynosi łączna moc wszystkich elektrowni świata. Fromm zaprojektował ładunek inicjujący bomby z myślą o takiej właśnie wartości, a przecież wybuch ładunku wtórnego miał być jeszcze dziesięciokrotnie silniejszy. Dotąd jednak moce szalejące kilkanaście centymetrów dalej nie dotknęły jeszcze ładunku wtórnego.

Proces rozszczepienia plutonu zaledwie się rozpoczął.

Kiedy eksplozja wciąż jeszcze zgniatała plutonowy rdzeń, część uwolnionych promieni gamma, rozchodząc się z prędkością światła, przeniknęła już na zewnątrz bomby. Nawet reakcje jądrowe rozciągają się w czasie. Pewna część promieniowania gamma popłynęła w stronę ładunku wtórnego przez gazową chmurę, która jeszcze kilka mikrosekund wcześniej była materiałem wybuchowym. Promienie gamma podgrzały gaz do temperatury nieosiągalnej w zwykłej reakcji chemicznej, a ponieważ materiał wybuchowy składał się głównie z lekkich atomów węgla i tlenu, chmura rozesała na wszystkie strony ogromną ilość "miękkich" promieni rentgenowskich o stosunkowo niskiej częstotliwości. Dotychczas urządzenie działało dokładnie tak, jak przewidywali Fromm i Hosni. Proces rozszczepienia plutonu trwał już siedem nanosekund - siedem dziesiątych "merdnięcia" - kiedy coś się popsuło.

Promieniowanie z rozszczepianych jąder plutonu owionęło mieszaninę deuterku litu z trytem w geometrycznym środku "jamy". Powodem, dla którego Manfred Fromm pozostawił destylację trytu na sam koniec, była zwykła inżynierska ostrożność. Tryt to gaz niestabilny, a jego okres połowicznego rozpadu wynosi dwanaście i trzy dziesiąte roku. Oznacza to, że po tym czasie próbka czystego trytu rozpadnie się na równą ilość trytu oraz izotopu 3 helu.  $^3\text{He}$  czyli hel-trzy jest najlżejszą substancją chemiczną po wodorze, a w jądrze brakuje mu jednego neutronu, toteż hel-trzy chętnie absorbuje neutrony swobodne. Gdyby Hosni destylował tryt przez siateczkę palladową, mógłby łatwo oddzielić  $^3\text{He}$ , lecz Arab nie miał o tym pojęcia. Skutek był taki, że jedną piątą całego trytu stanowiła niewłaściwa substancja. Substancja, jak się okazało, fatalna dla całej reakcji.

Intensywne bombardowanie gamma z reakcji łańcuchowej rozpało litowy ośrodek i ścisnęło pierwiastek dwa razy lżejszy od soli kuchennej, nadając mu gęstość metalu w jądrze kuli ziemskiej. Rozpoczęła się dzięki temu reakcja syntezy jąder, choć na niewielką skalę. W jej wyniku powstało mnóstwo nowych neutronów, a część jąder litu przemieniła się w tryt, który pod potężnym ciśnieniem rozpadł się na kolejne neutrony. Wszystkie dodatkowe neutrony miały przeniknąć do plutonowego rdzenia i podtrzymać trwającą w nim reakcję, zwiększając współczynnik alfa i co najmniej podwajając moc ładunku inicjującego. W ten klasyczny sposób rozwiązano problem zwiększenia mocy eksplozji w bombach atomowych drugiej generacji. Jednakże obecność helu-trzy powstrzymała reakcję, gdyż izotop wychwycił prawie jedną czwartą uwolnionych z litu prędkich neutronów, przechodząc z helu-trzy w bezużyteczny stabilny hel.

Przez kilka następnych nanosekund nie miało to znaczenia, jako że pluton nadal reagował, nadal zachodził proces rozszczepienia w tempie, które mogą wyrazić jedynie liczby.

Potok energii zaczął teraz omywać ładunek wtórny. Pokryte metalem plastikowe słomki

rozbłysły, zmieniając się w plazmę, która zaczęła zewsząd napierać na rdzeń. Energia promienista w ilościach, których próżno byłoby szukać na powierzchni słońca, rozpyliła eliptyczne powierzchnie słomek, lecz zarazem odbiła się od nich w kierunku centrum ładunku wtórnego, nazywanego Holraum. Słomkowa plazma, pracując ku środkowi, zetknęła się z drugim zbiorniczkiem cząsteczek litu. W plazmę zmieniły się następnie ciężkie płyty uranu 238 przylegające do "jamy" ładunku wtórnego. Ciężka plazma napierała ze wszystkich stron przez próżnię, uderzając wreszcie w podłużny pojemnik, również z U 238, wewnątrz którego znajdowała się największa ilość mieszaniny trytu i deuterku litu. Plazma napierała z olbrzymią siłą, znacznie większą od tej, jaka zgniata jądro jasnej gwiazdy.

Siła ta jednak słabła.

Reakcja w rdzeniu ładunku inicjującego przebiegała coraz wolniej. Trucizna w postaci helu-trzy okradła bombę z neutronów, a siła eksplozji zaczęła rozrywać rdzeń, kiedy tylko siły fizyczne wewnątrz niego na mgnienie osiągnęły równowagę. Reakcja łańcuchowa osiągnęła punkt stacjonarny, a liczba rozszczepień przestała narastać. Zamiast podwoić się jeszcze dwa razy, liczba reakcji zamarała, skutkiem czego docelowa moc siedemdziesięciu tysięcy ton trotylu spadła o połowę, a potem jeszcze o połowę, osiągając ostatecznie równowagę jedenastu tysięcy dwustu ton TNT.

Konstrukcja Fromma była tak doskonała, jak tylko pozwalały na to warunki i dostępne materiały. Można było zbudować czterokrotnie mniejszą bombę o tej samej mocy, lecz założenia Fromma były całkowicie wystarczające. Niemiec liczył się ze stratami energii, toteż dodał potężny margines bezpieczeństwa. Nawet wybuch o mocy zaledwie trzydziestu kiloton wystarczyłby jako świeca zapłonowa dla ładunku wtórnego, inicjując gwałtowną reakcję syntezy, lecz ładunek nie zdołał osiągnąć nawet trzydziestu kiloton. W gwarze konstruktorów mawia się o takiej bombie, że "skisła".

Mimo wszystko i ten niewypał posiadał moc ponad jedenastu tysięcy ton trotylu. Gdyby zgromadzić tę ilość materiału wybuchowego, można by ułożyć z niego sześcian o boku dwadzieścia pięć metrów. Żeby przewieźć taką ilość trotylu, trzeba by zebrać cztery setki ciężarówek albo jeden średniej wielkości statek handlowy. Chemicznego materiału wybuchowego nie dałoby się jednak odpalić z równą dokładnością i sprawnością, gdyż jest to po prostu fizycznie niemożliwe. Mimo to, bomba skisła.

Do tej pory żaden z przejawów trwającej reakcji nie przeniknął poza pancierz bomby, nie mówiąc już o ścianach furgonetki. Pancierz trzymał się nadal, choć bardzo prędko miało się to zmienić. Poza stalową powłokę przedostały się jak dotąd jedynie promienie gamma i promieniowanie rentgenowskie, lecz nie dało się ich ujrzyć gołym okiem. Światło widzialne nie wydostało się do tej pory z plazmowej chmury wewnątrz pancierza, który jeszcze trzy "merdnięcia" temu krył w sobie pół tony precyzyjnie wykonanych części... A przecież wszystko, co miało się zdarzyć, już się wydarzyło. Reszta była kwestią dystrybucji energii, przebiegającą według praw fizyki, jakże doskonale obojętnych na zamiary i cele ludzi, którzy się nimi posłużyli.



# SKUTKI BEZPOŚREDNIE

Sierżant Ed Yankevich powinien był pierwszy zauważyć, co się dzieje. Patrzył przecież na oddaloną o paręnaście metrów furgonetkę i szedł właśnie w jej stronę. Ludzki system nerwowy rejestruje jednak wypadki w skali tysięcznych części sekundy, nie prędeej.

Nieudana reakcja dawno już się zakończyła, kiedy pierwsze promieniowanie dotarło do policjanta. Dotknęły go najpierw promienie gamma, odpowiadające fotonom, tym samym cząstkom, jakie tworzą promieniowanie widzialne, lecz o znacznie wyższej energii. Promienie gamma atakowały także boki furgonetki, każąc blachom świecić na podobieństwo neonu. Tuż za promieniami gamma nadbiegły promienie rentgenowskie, również składające się z fotonów, choć o niższej energii. Yankevich, który miał umrzeć jako pierwszy, nie dostrzegł tej subtelnej różnicy. Intensywne promieniowanie zmagazynowały w sobie jego kości, wybuchając płomieniem, podczas gdy neurony w mózgu policjanta rozjarzyły się jak włókna żarówek. Sierżant Yankevich nie ujrzał jednak nic, gdyż rozpadł się w mgnieniu oka, rozsadzony ułamkiem energii, jaką zdążyło wchłonąć jego ciało, kiedy omyło je promieniowanie. Promienie gamma oraz rentgenowskie rozchodziły się jednak z prędkością światła we wszystkich kierunkach, a ich następnego skutku nie przewidział żaden z konstruktorów.

Tuż obok furgonetki, której karoseria rozpadała się właśnie na pojedyncze atomy żelaza stał wóz łącza satelitarnego "A" sieci telewizyjnej ABC. Obsługa wozu miała tak samo mało czasu, jak sierżant Yankevich, by pożegnać się z życiem. Wyparował także skomplikowany i drogi sprzęt elektroniczny wewnątrz wozu, w którego tylnej części, na dachu, znajdowała się wielka antena paraboliczna, podobna do miski radaru. Pośrodku talerza tkwiła, niczym kwiatowy słupek, przewodnica fali, czworokątna metalowa tuba. Jej wewnętrzny przekrój odpowiadał z grubsza długości fali sygnału przekazywanego do satelity trzydzieści tysięcy kilometrów nad równikiem.

Twarde promieniowanie z bomby trafiło przewodnicę anteny wozu "A", a potem anteny pozostałych jedenastu wozów transmisyjnych. Promienie uwolniły z metalu anten chmurę elektronów, tym łatwiej, że wiele przewodnic było pokrytych warstewką złota. Elektrony oddały swoją energię w postaci fotonów, a te z kolei rozbiegły się falą o długości mniej więcej odpowiadającej długości fali przekaźników. Różnica była tylko jedna: o ile nadajniki wozów transmisyjnych posiadały moc najwyżej tysiąca watów, a przeważnie jeszcze mniejszą, energia trafiająca w antenę wozu transmisyjnego "A" wystrzeliła w górę jednym orgiastycznym impulsem, trwającym mikrosekundę i zakończonym w momencie, gdy antena, wóz transmisyjny i całe otoczenie zmieniły się w parę. To samo spotkało wóz "B" sieci ABC i samochód sieci TWI. Czwarty wóz transmisyjny należał do NHK i przez satelitę przesyłał transmisję z Superpucharu do Japonii. Za Japończykami stało dalszych osiem samochodów z antenami. Wszystkie uległy zniszczeniu, co potrwało około piętnastu "merdnieć". Satelity, odbierające sygnał, orbitowały wysoko nad Ziemią. Impuls energetyczny na pokonanie tej odległości potrzebował jednej ósmej sekundy, czyli całej wieczności.

Po twardym promieniowaniu z centrum eksplozji, ogarniającej już furgonetkę, rozeszła się energia świetlna i ciepło. Pierwszy błysk nastąpił, zanim pęczniejąca kula ognista powstrzymała emisję fal świetlnych, lecz po nim zaraz nastąpił drugi, który rozszedł się na wszystkie strony. Dwufazowy impuls świetlny jest charakterystyczną cechą każdej eksplozji jądrowej.

Następnie po terenie eksplozji przetoczyła się fala uderzeniowa, będąca jednym z wtórnych skutków wybuchu. Powietrze wokół furgonetki pochłonęło tyle miękkich promieni rentgenowskich, że



przemieniło się w rozpaloną, nieprzezroczystą masę. Ognista kula zatrzymała w swym wnętrzu promieniowanie elektromagnetyczne, zmieniając je w energię mechaniczną w postaci fali rozszerzającej się kilkakrotnie szybciej niż dźwięk. Zanim jednak fala uderzeniowa uczyniła jakąkolwiek szkodę, daleko od Denver nastąpiły kolejne wypadki.

Telewizja ABC transmitowała obraz ze stadionu przez doskonałe naziemne łącze światłowodowe. Światłowód przechodził przez wóz transmisyjny "A", toteż połączenie urwało się, zanim wybuch uszkodził sam stadion. Zapasowe łącze przebiegało przez satelitę Telstar 301, natomiast Telstar 302 przekazywał obraz na zachodnie wybrzeże USA. Sieć ABC miała do dyspozycji łącza Net-1 i Net-2 w obu satelitach. Przez Telstara 301 nadawała także transmisję sieć Trans World International, która reprezentowała ligę NFL za granicą i odpłatnie przekazywała tego dnia wizję do większości krajów Europy oraz do Izraela i Egiptu. TWI przesyłała wszystkim europejskim odbiorcom ten sam obraz, a także udostępniała łącza radiowe dla komentatorów z poszczególnych krajów. Państwom europejskim z reguły nie wystarczał jeden sprawozdawca, bo na przykład Hiszpania zarezerwowała sobie na fonii pięć częstotliwości, po jednej dla każdego z głównych dialektów kraju. NHK, obsługująca Japonię, korzystała zarówno z satelity JISO-F2R, jak i ze swojego zwykłego połączenia przez Westar 4, którego właścicielem i użytkownikiem był koncern Hughes Aerospace. Telewizja włoska wykupiła łącze numer jeden satelity Teleglobe, będącego własnością kartelu Intelsat. Tą samą drogą Włosi przekazywali obraz mieszkańcom Dubaju i tym Izraelczykom, którym nie podobała się transmisja na kanale TWI. Łącze numer dwa na Teleglobe obsługiwało większość państw Ameryki Południowej. Na stadionie i w jego pobliżu pracowały też ekipy CNN, dziennika telewizyjnego sieci ABC, dziennika Newsnet sieci CBS i ekipa z ESPN. Satelitarne wozy transmisyjne przysłały też miejscowe stacje z Denver, głównie po to, by odsprzedać transmisję stacjom w sąsiednich stanach.

Wokół stadionu stało więc łącznie prawie czterdzieści wozów transmisyjnych, których nadajniki, mikrofalowe i te działające na UKF, przekazywały jednocześnie czterdzieści osiem sygnałów na wizji i sto sześćdziesiąt osiem na fonii. Superpuchar śledziło ponad miliard telewidzów w siedemdziesięciu dwóch krajach. W tej właśnie chwili w łącza uderzyła fala twardego promieniowania. W większości wozów promienie gamma wzbudziły sygnał tylko w przewodnicach, lecz w sześciu wozach transmisyjnych rozjarzyły się od razu całe anteny, wysyłając gigantyczny impuls o właściwej częstotliwości. Nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż z powodu rezonansu fal i rozmaitych zakłóceń wszystkie częstotliwości satelitarne posiadały zabezpieczenia przed szumem. Wozy z Denver transmitowały sygnał przez wszystkie satelity orbitujące nad zachodnią półkulą, oprócz dwóch. Nietrudno opisać to, co się stało później. Delikatne anteny satelitów zbudowano z myślą o odbiorze sygnału o mocy miliardowych części wata. Nagle jednak na wszystkich kanałach uderzyła w nie energia tysiąc i dziesięć tysięcy razy silniejsza. Impuls przeciążył także końcówki wzmacniaczy sygnału w satelitach. Program komputerowy zawiadujący pracą każdego ze sputników wychwycił to i uaktywnił wyłączniki, broniąc delikatnych urządzeń przed skokiem napięcia. Gdyby rzecz spotkała tylko jeden orbitujący odbiornik, inne satelity natychmiast przejęłyby jego funkcję i na tym by się wszystko skończyło. Satelity komunikacyjne kosztują jednak setki milionów dolarów sztuka, a umieszczenie ich na orbicie drugie tyle. Kiedy więcej niż pięć wzmacniaczy zarejestruje przeciążenie, satelita automatycznie wyłącza obwody przekaźnikowe, chroniąc swoją elektronikę przed poważniejszym uszkodzeniem. W tym wypadku, kiedy przeciążenie objęło ponad dwadzieścia wzmacniaczy, komputerowy program uczynił następny krok, wyłączając wszystkie obwody na pokładzie i wysyłając na Ziemię sygnał mówiący, że stało się coś bardzo poważnego. Komputerowe zabezpieczenia satelitarne stanowią specjalne odmiany tego samego, bardzo czułego programu,

którego funkcją jest chronić nienaprawialny sprzęt wartości wielu miliardów dolarów. W ułamku sekundy przestała więc działać pokaźna część światowej sieci satelitarnej. Programy telewizji kablowej i łączność telefoniczna urwały się, zanim jeszcze obsługa stacji mogła się spostrzec, że stało się coś wyjątkowo strasznego.

Pete Dawkins zrobił sobie przerwę, usprawiedliwiając się w duchu, że nadal przecież ochrania pancerną ciężarówkę z Wells Fargo. Konwojent znów się oddalił z wózkiem, na którym złożył dwieście kilo dwudziestopięciocentówek. Policjant rozsiadł się więc na podłodze ciężarówki, oparł się plecami o worki monet i słuchał transmisji radiowej. Szturmowcy ustawiali się właśnie do kolejnego wybicia piłki na linii czterdziestu siedmiu jardów, bronionej teraz przez Wikingów. Naraz ciemniejące niebo nad stadionem rozjarzyło się żółtym blaskiem, który przeszedł w czerwień; lecz nie w ciepłą i przyjazną wieczorną zorzę, a w parzący fiolet, jaśniejszy niż jakakolwiek naturalna barwa. Zanim policjant zdążył sobie cokolwiek uświadomić, na jego zmysły natarły miliony bodźców naraz. Ziemia zafalowała pod stopami. Pancerna ciężarówka podskoczyła do góry i runęła na bok, niczym kopnięta przez dziecko zabawka. Otwarte tylne drzwi zatrzęsły się, jak gdyby trafiła je armatnia kula. Policjant nie zdawał sobie nawet sprawy, że pudło ciężarówki osłoniło go przed falą uderzeniową, podobnie jak betonowa ściana stadionu. Mimo to ujrzany błysk oślepił go, a fala nadciśnienia, jaka przetoczyła się po parkingu niczym pięść olbrzyma, odebrała mu słuch. Gdyby Dawkins zachował odrobinę przytomności umysłu, pomyślałby pewnie "trzęsienie ziemi", ale nie przyszło mu to do głowy, w której królował już tylko instynkt samozachowawczy. Grzmot i drżenie ziemi trwały jeszcze, kiedy policjant zrozumiał, że tkwi we wnętrzu ciężarówki, której bak zawiera dwieście litrów benzyny. Zamrugał oczami i przez roztrzaskaną przednią szybę zaczął pełznąć w stronę, z której niewyraźnie dobiegało go światło. Dawkins nie mógł oczywiście spostrzec, że dłonie ma poparzone z wierzchu jak od wrzątku, nie zdawał sobie też sprawy, że utracił słuch. Myślał wyłącznie o tym, by wypełznąć na światło.

Pod Moskwą, w bunkrze ukrytym pod sześćdziesięciometrową skorupą betonu, mieści się wszechzwiązkowy punkt dowodzenia WOPK, czyli Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Ośrodek dowodzenia był nowy, a zaprojektowano go, podobnie jak identyczne centrale na Zachodzie, w formie amfiteatru. Taki kształt pomieszczenia pozwala maksymalnej liczbie dyżurujących osób jednocześnie śledzić dane, wyświetlane na elektronicznej mapie ściennej nad głowami. Było trzynaście sekund po trzeciej, według czasu miejscowego. Kwartcowe zegary nad mapą informowały również, że jest trzynaście sekund po dwunastej w nocy czasu Greenwich i trzynaście sekund po dziewiętnastej czasu waszyngtońskiego.

Służbę pełnił tej nocy generał dywizji Iwan Grigoriewicz Kuropatkin, były (generał skrzywiłby się na takie określenie) pilot myśliwski, który niedawno ukończył pięćdziesiąty pierwszy rok życia. Kuropatkin był trzecim w hierarchii spośród oficerów ośrodka i chociaż ze względu na wysoki stopień mógł powierzyć nocną służbę komu innemu, wychodził z założenia, że jeśli zasadą nowej radzieckiej armii ma być profesjonalizm, trzeba dać odpowiedni przykład pozostałym oficerom. Wokół generała zasiadała reszta sztabowców, pułkowników i majorów, którzy mieli na posyłki stadko kapitanów i poruczników.

Zadaniem wojsk OPK jest bronić Związku Radzieckiego przed atakiem. W dobie rakiet międzykontynentalnych, przeciwko którym nie istnieją środki obronne, jako że obie strony pracowały dopiero nad "gwiazdnymi wojnami", generał miał raczej obowiązek ostrzegać ojczyznę. Kuropatkinowi niełatwo było się z tym pogodzić, ale cóż mógł począć? Na orbicie geostacjonarnej

nad wybrzeżem Peru znajdowała się para satelitów o kryptonimach Orzeł-I i Orzeł-II, których zadaniem było obserwować Stany Zjednoczone i wykryć wystrzelenie pocisków już w chwili, kiedy pierwsza rakieta balistyczna opuści silos. Ta sama para satelitów była w stanie wykryć podwodną salwę raketową z okrętów u wybrzeży Alaski, choć tak daleko na północ pole widzenia ograniczała poniekąd pogoda, w tej chwili po prostu parszywa. Orły przekazywały na Ziemię obraz zachodniej półkuli w paśmie promieniowania podczerwonego czyli cieplnego. Kontynenty przedstawiały się dokładnie tak jak je postrzegały kamery, bez nanoszonych przez komputer linii granicznych i innych danych, które według rosyjskich projektantów zaśmiecają tylko obraz. Kuropatkin nie patrzył jednak na ekran, lecz na młodego oficera, siedzącego nad jakimiś obliczeniami, gdy nagle spostrzegł coś kątem oka. Odruchowo przeniósł wzrok w tamtą stronę, nie zastanawiając się zupełnie nad tym, co widzi. Dopiero po sekundzie zrozumiał, dlaczego tak zareagował.

W samym środku ekranu wykwitła nagle biała kropka. - Niczewo - przeszło Kuropatkinowi przez głowę. Natychmiast jednak rozkazał:

- Skupić obraz, dawać zbliżenie tego miejsca! - Siedzący obok pułkownik zastukał w klawisze komputera.

- Sam środek USA, generale. Podwójny impuls termiczny, prawdopodobnie wybuch jądrowy - mechanicznie zameldował pułkownik, zawodową rutyną pokrywając niedowierzanie.

- Współrzędne!

- Już podaję, generale. - Odległość ośrodka OPK od satelity sprawiła, że manipulacje trwały dłuższą chwilę. Kiedy Orzeł zaczął wysuwać teleskopową soczewkę, impuls termiczny wysłany przez kulę ognistą już się rozszerzał. Kuropatkin wiedział od razu, że o pomyłce nie może być mowy. Zarejestrowany udar termiczny był zbyt gorący, by mogło chodzić o coś innego. Generał poczuł, jak w żołądku zaciska mu się lodowa pięść.

- Środek Stanów Zjednoczonych, wygląda, że to w mieście Dieńwier.

- Denver? Co się mieści w Denver, do cholery? Sprawdzić! - rozkazał Kuropatkin.

- Tak jest.

Generał sięgał już po telefon bezpośredniej linii do Ministerstwa Obrony i do rezydencji radzieckiego prezydenta. Mówił krótko, za to bardzo wyraźnie.

- Uwaga: tu generał dywizji Kuropatkin z moskiewskiego ośrodka OPK Zarejestrowaliśmy w tej chwili wybuch jądrowy w USA. Powtarzam: właśnie zarejestrowaliśmy wybuch jądrowy na terenie USA.

Ktoś zaklął do słuchawki, pewnie któryś z dyżurnych prezydenta Narmonowa. Drugi głos, głos starszego oficera dyżurnego w Ministerstwie Obrony, był spokojniejszy:

- Jesteście pewni, generale?

- Podwójny impuls termiczny - odparł Kuropatkin, sam zaskoczony własnym spokojem. - Obserwuję rozszerzanie się kuli ognistej. Na pewno wybuch jądrowy. Przekażę więcej danych, jak tylko... Co? - zwrócił się do młodszego oficera.

- Generale, Orzeł-II został trafiony impulsem energii, cztery łącza fal superkrótkich wyłączyły się, jedno w ogóle wysiadło - zameldował major, nachylając się nad biurkiem Kuropatkina.

- Jak to możliwe? Jak się to stało?

- Nie wiem.

- To się dowiedz!

Obraz na ekranie zgasł dokładnie w chwili, kiedy San Diego miało wybijać piłkę na czterdziestu siedmiu jardach. Fowler dopił czwarte piwo tego wieczora i ze złością odstawił szklanekę. Cholerna

telewizja. Pewnie jakiś technik potknął się o kabel. Przez takich durniów człowiek traci pierwszorzędny mecz! Ech, trzeba było samemu się wybrać do Denver, obojętnie co powiedziałyby na to Tajna Służba. Fowler spojrzął na ekran telewizora Elizabeth, lecz i tam ujrzał tylko szum. Może któryś z żołnierzy ochrony najechał pługiem śnieżnym na kabel? Coraz trudniej o dobrych służących, w myślach zażartował Fowler ponuro. Ale nie, niemożliwe. Rozgłośnia podległa sieci ABC, kanał trzynasty z Baltimore czyli WJZ, wyświetliła teraz planszę "uszkodzenie łącz - prosimy o cierpliwość". Na kanale Elizabeth nadal tylko trzaski. Bardzo dziwne. Jak każdy mężczyzna obznajomiony z techniką, Fowler podniósł pilota i zaczął przełączać kanały. CNN zniknęło z eteru, natomiast miejscowe stacje z Baltimore i Waszyngtonu ciągle nadawały. Prezydent zaczął się zastanawiać, co to znaczy, kiedy usłyszał dzwonek telefonu - dziwny, przeciągły sygnał, który mógł pochodzić tylko z jednego z czterech aparatów ukrytych na dolnej półeczce stolika obok kanapy. Dopiero kiedy Fowler sięgnął po słuchawkę, zrozumiał, który telefon dzwoni i poczuł, że cierpnie mu skóra. Czerwony telefon z NORAD-u, Północnoamerykańskiego Ośrodka Obrony Powietrznej pod Cheyenne Mountain w stanie Kolorado.

- Mówi prezydent - odezwał się Fowler ochryplym, nagle przestraszonym głosem.

- Panie prezydencie, tu generał dywizji Joe Borstein, dowódca dyżurnej zmiany w NORAD. Zarejestrowaliśmy wybuch jądrowy w centrum Stanów Zjednoczonych.

- Co? - zapytał prezydent po dwóch czy trzech sekundach.

- Sir, zanotowaliśmy wybuch jądrowy. Sprawdzamy jego współrzędne, ale wygląda na to, że nastąpił gdzieś pod Denver.

- Jest pan pewien? - prezydent silił się teraz na spokój.

- Sprawdzamy jeszcze raz nasze przyrządy, ale owszem, jestem pewien tego, co mówię. Nie wiemy, jak to się stało, ani co przeniosło głowicę, ale wiemy, że to bomba atomowa. Proszę udać się w bezpieczne miejsce, my tymczasem spróbujemy się zorientować w sytuacji.

Fowler podniósł wzrok. Na obu ekranach nadal był tylko szum, za to w całym ośrodku w Camp David zawyły alarmowe syreny.

Bazę lotniczą Offut pod miastem Omaha w stanie Nebraska nazywano niegdyś Fortem Crook. Po byłych koszarach amerykańskiej kawalerii pozostała kolekcja wspaniałych, choć nieco staroświeckich ceglanych willi dla najstarszych oficerów. Na tyłach domów znajdowały się bezużyteczne już stajnie, a z przodu płaski plac ćwiczeń, na którym mógł defilować cały pułk jazdy. Półtora kilometra od koszar Fortu Crook mieści się centrum Dowództwa Interwencyjnych Sił Strategicznych (którego amerykańska nazwa brzmi w skrócie SAC), dużo nowocześniejszy budynek z trawnikiem przyozdobionym autentyczną Latającą Fortecą B-17 z lat drugiej wojny światowej. Za budynkiem, głęboko pod ziemią, znajduje się nowy ośrodek dowodzenia, ukończony w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku: potężna sala, zbudowana, jak twierdzili żartownisie, po to, aby przytłumić blask hollywoodzkich wersji centrali, przyćmiewających dotąd prawdziwe pomieszczenia SAC.

Generał dywizji Chuck Timmons, zastępca szefa sztabu do spraw operacyjnych, skorzystał ze sposobności, by pełnić dyżur w głównej sali, nie zaś w gabinecie na górze, gdyż w ten sposób mógł kątem oka oglądać Superpuchar na jednym z ośmiu wielkich ekranów telewizyjnych. Większość uwagi skupiał jednak na obrazie przekazywanym bezpośrednio z orbity przez parę pomocniczych satelitów rozpoznawczych, zwanych - DSPS. Timmons wraz z innymi spostrzegł więc podwójny błysk nad Denver. Ołówek wypadł mu z ręki. Za siedzeniami sztabowców znajdowały się dwa piętra oddzielonych szklaną szybą pomieszczeń, w których uwijało się przez całą dobę pięćdziesiąt osób z

personelu pomocniczego. Timmons podniósł słuchawkę i połączył się z szefem rozpoznania.

- Też to widzę, generale.

- Możliwość pomyłki?

- Żadnej. Obwody kontrolne mówią, że satelita jest w porządku.

- Gdyby coś, proszę informować. - Timmons odwrócił się do swojego zastępcy. - Natychmiast zawołaj szefa. Wezwać cały personel, ogłaszam pełny alarm. Sztab i obsługa wyrzutni na stanowiska!  
- Do oficera operacyjnego Timmons rzucił z kolei: - Natychmiast wysłać "Zwierciadło" w powietrze! Bombowce niech czekają na pasach, alarm dla wszystkich jednostek!

Sierżant w oszklonym pomieszczeniu na lewo za plecami generała nacisnął kilka guzików. Chociaż dowództwo sił strategicznych od dawna zaprzestało trzymania uzbrojonych bombowców w powietrzu, trzydzieści procent wszystkich maszyn znajdowało się zawsze w stanie pogotowia. Rozkazy do poszczególnych jednostek lotniczych powędrowały podziemną linią światłowodową, a przekazał je głos komputera, uznano bowiem, że podczas alarmu zdenerwowany człowiek mógłby coś przekręcić. Transmisja zabrała około dwudziestu sekund. Oficerowie dyżurni w poszczególnych skrzydłach lotniczych rzucili się natychmiast do działania.

Praktycznie chodziło o dwie jednostki: 416 Skrzydło Bombowców w bazie lotniczej Griffiss w Rome, stan Nowy Jork, wyposażone w B-52, oraz 384 Skrzydło z bazy McConnell w Kansas, uzbrojone w bombowce B-1B. Dyżurujący w bazie w Kansas lotnicy wypadli z sal, gdzie oglądali Superpuchar i wsiedli do pojazdów, które powiozły ich do czekających samolotów. Pierwszy lotnik z każdej czteroosobowej załogi wciskał guzik alarmowego urządzenia rozruchowego, mieszczący się w zespole przedniego podwozia, po czym wspinał się za kolegami do kabiny. Silniki ruszyły, zanim piloci zdążyli zapiąć pasy. Obsługa naziemna zrywała zawleczone zabezpieczenia, oznaczone czerwonymi chorągiewkami, uzbrojeni wartownicy usuwali się z drogi kołującym samolotom, celując bronią dookoła, by udaremnić możliwy zamach. Nikt w całej bazie nie wiedział nadal, co się stało. Lotnicy klęli, że ktoś wymyślił ćwiczenia akurat, kiedy trwa Superpuchar.

Pierwszym samolotem, który poderwał się z McConnell, był B-1B dowódcy skrzydła. Atletyczny czterdziestopięcioletek w randze pułkownika skorzystał z tego, że jego maszyna stała najbliżej hali dyżurów. Kiedy wszystkie cztery silniki rozgrzały się, a z pasa startowego zniknęły przeszkody, pułkownik zwolnił hamulce i przetoczył samolot na początek betonu. Kołowanie zajęło dwie minuty, po czym kazano dowódcy skrzydła poczekać.

Czuwający w bazie Offutt KC-135 nie musiał czekać na start. Nazywany "Zwierciadłem" samolot - przebudowany boeing 707, skądinąd dwudziestopięcioletni staruszek - miał na pokładzie generała lotnictwa i pełny, choć szczupły sztab. Kiedy maszyna podrywała się w ciemne niebo, ożyły pokładowe radiostacje i łącza sztabowe. Dowódca załogi nie wiedział jeszcze, skąd się wzięło całe zamieszanie. Na ziemi przygotowywały się już do lotu trzy identyczne maszyny.

- Co jest grane, Chuck? - zapytał naczelny dowódca SAC-u, wchodząc do sali. Miał na sobie cywilne ubranie, nie zdążył też zawiązać sznurowadeł.

- Eksplozja jądrowa w Denver, a zaraz po niej zerwała się łączność z satelitami komunikacyjnymi. Dopiero się o tym dowiedzieliśmy. Kazałem bombowcom czekać na pasach. "Zwierciadło" właśnie wystartowało. Ciągle nie wiadomo, co się, kurwa, dzieje, tyle że Denver diabli wzięli.

- Niech startują - rozkazał dowódca Interwencyjnych Sił Strategicznych. Timmons wskazał gestem oficerowi łącznikowemu, by ten przekazał rozkaz. Dwadzieścia sekund później pierwszy B-1B oderwał się z hukiem od pasa lotniska McConnell.

Nie było czasu na dobre maniery. Kapitan piechoty morskiej wpadł bez pukania do domku prezydenta i rzucił Fowlerowi i Elliot dwie białe kurtki. Dopiero za nim zjawili się agenci z Tajnej Służby.

- Prędko, panie prezydencie! - ponaglił kapitan. - Śmigłowiec dalej zepsuty!

- Dokąd jedziemy? - zapytał Pete Connor, który z rozwianą marynarką nadbiegł w samą porę, by usłyszeć słowa kapitana.

- Do bunkra dowodzenia, chyba że każe pan gdzie indziej. Śmigłowiec nawalił - powtórzył kapitan i prawie wrzasnął na prezydenta: - No, chodźmy!

- Bob! - zawołała przestraszona Elizabeth. Nie miała pojęcia, co prezydent usłyszał przez telefon, widziała tylko, że Fowler pobladł, jakby miał zwymiotować. Obydwoje narzucili na siebie kurtki i wyszli na dwór. Na śniegu leżała drużyna żołnierzy piechoty morskiej, celując nabitą bronią w las. Następna szóstka rozstawiła się wokół łazika, którego silnik wył na jałowym biegu.

W bazie lotnictwa morskiego Anacostia pod Waszyngtonem piloci "Marine-Two" - po zabranii prezydenta na pokład miał się on stać "Marine-One" - podrywali się w górę w groźnym śniegowym tumanie. Po kilku sekundach wzbili się ponad zadymkę i odzyskali widoczność. Pilot w randze majora skierował śmigłowiec na północny zachód, głowiąc się wciąż, co się dzieje. Ci, którzy wiedzieli cokolwiek, twierdzili, że wiedzą bardzo niewiele. Przez najbliższe minuty konkretne fakty nie miały jednak znaczenia, gdyż jak w każdej organizacji, w lotnictwie przećwiczone zawczasu nagłe alarmy. Dzięki temu w razie potrzeby udawało się zarazem wypełnić zadanie i uśmierzyć nieuchronną w takich wypadkach panikę, wynikającą z niebezpieczeństwa i niemożności podjęcia decyzji.

- Co, do diabła, mają w tym Denver, o czym powinienem wiedzieć? - pytał generał Kuropatkin w swojej podmoskiewskiej jamie.

- O niczym takim nie słyszałem - poinformował go szczerze oficer rozpoznania.

Ładną mam pomoc, pomyślał generał, dzwoniąc prosto do GRU, radzieckiego wywiadu wojskowego.

- Dyżurne centrum operacyjne - usłyszał w słuchawce. - Mówi generał Kuropatkin z moskiewskiego OPK.

- Wiem już, czemu dzwonicie - uspokoił go pułkownik z GRU.

- Co się tam dzieje w Denver? Czy mają tam składy atomowe albo cokolwiek takiego?

- Nie, generale. W pobliżu znajduje się arsenał Rocky Mountain, składowisko broni chemicznej w trakcie likwidacji. Przebudowują je na bazę dla rezerwistów, dla tej ich Gwardii Narodowej, składnicę czołgów i sprzętu technicznego. Pod Denver są zakłady Rocky Flats. Dawniej robiono tam części do bomb jądrowych, ale...

- Gdzie to jest? - przerwał mu Kuropatkin.

- Na północny zachód od miasta. O ile wiem, wybuch nastąpił w południowych dzielnicach Denver, generale.

- Owszem. Mówcie dalej.

- Zakłady Rocky Flats także są w trakcie rozbiórki. Według naszych informacji, na miejscu nie ma już żadnych materiałów nuklearnych.

- Może przewożono bomby przez Denver? Muszę coś wiedzieć! - zdenerwował się wreszcie generał.

- Powiedziałem wszystko, co wiem. My też błądzimy po omacku. Może KGB wie coś więcej, ale nie my.

Kuropatkin zdawał sobie sprawę, że trudno rozstrzelać kogoś za uczciwą informację. Przełączył się więc na następną linię. Jak większość zawodowych żołnierzy pogardzał szpiegami, lecz konieczność dyktowała mu następną rozmowę.

- Bezpieczeństwo państwowe, ośrodek dowodzenia - usłyszał męski głos.

- Dajcie mi dyżurnego z działu amerykańskiego.

- Minutkę. - W słuchawce zaczęło coś trzeszczeć i ćwierkać, po czym kobiecy dla odmiany głos oświadczył:

- Dział amerykański.

- Tu generał Kuropatkin z moskiewskiego dowództwa OPK - po raz kolejny przedstawił się oficer. - Muszę wiedzieć, czy coś się ostatnio działo w centralnych Stanach Zjednoczonych, konkretnie w Denver, a jeżeli tak, to co?

- Niewiele się działo. Denver to duże miasto, ośrodek administracyjny władz federalnych, drugi co do wielkości po Waszyngtonie. W Denver jest niedziela wieczór, więc chyba nic specjalnego się tam nie dzieje. - Kuropatkin usłyszał szelest kartek. - A, jeszcze coś.

- Co takiego?

- W Denver rozgrywano dziś finał turnieju futbolu amerykańskiego. Według naszych informacji, mieli grać ten mecz na nowym, krytym stadionie.

Kuropatkin mało nie zrugął baby z KGB, że opowiada mu bzdury.

- To mnie nie interesuje. Pytam, czy trwają tam jakieś rozruchy, zamieszki albo coś takiego. Może są tam tajne magazyny broni, ukryta baza, o której nie wiem?

- Generale, wiecie na ten temat tyle samo, co my. Dlaczego pytacie o Denver?

- Kobieto, w Denver wybuchła bomba jądrowa.

- W Denver?

- Tak, w Denver!!!

- Dokładnie, w którym punkcie? - zapytała kobieta, znacznie spokojniejsza od generała.

- Chwileczkę. - Kuropatkin odwrócił się do oficerów. - Potrzebne mi dokładne współrzędne wybuchu, i to już!

- Trzydzieści dziewięć stopni, czterdzieści minut szerokości północnej, sto pięć stopni, sześć minut długości zachodniej. Dane przybliżone - wyrecytował porucznik od tablicy kontrolnej sputnika.

- Mamy słabą rozdzielczość w paśmie podczerwonym, generale - dodał tytułem wyjaśnienia. Kuropatkin przekazał współrzędne przez telefon.

- Chwileczkę - usłyszał głos kobiety. - Muszę przynieść mapę.

Andriej Iljicz Narmonow spał, jako że w Moskwie była trzecia nad ranem. Telefon przebudził go, lecz w tejże chwili otworzyły się drzwi sypialni. Ten drugi fakt nieomalże przeraził szefa państwa, jako że nikt nie miał prawa wchodzić bez zezwolenia. W drzwiach stał major KGB Paweł Chrulew, zastępca dowódcy osobistej ochrony prezydenta.

- Andrieju Iljiczu, mamy alarm! Proszę natychmiast za mną.

- Co się dzieje, Pasza?

- W Ameryce wybuchła bomba jądrowa.

- Co...? Kto?

- Wiem tylko tyle. Musimy natychmiast zejść do bunkra. Samochód czeka. Szkoda czasu, żeby się ubierać. - Chrulew cisnął Narmonowowi szlafrok.

Ryan zduślił kolejnego papierosa, wściekły na planszę "Usterki na łączach. Prosimy czekać", z

powodu której nie mógł oglądać meczu. Goodley przysiadł się do niego z paroma puszkami coli. Zamówili już sobie przez telefon obiad.

- A to co? - zdumiał się Goodley.

- Obraz wysiadł. - Ryan wziął podaną mu colę i trzasnął wieczkiem.

Kobieta-podpułkownik z centrali sił strategicznych, siedząca daleko z lewej strony w trzecim rzędzie biurek sztabowych, sprawdzała tymczasem spis kanałów telewizyjnych. Osiem ekranów rozmieszczono w dwóch rzędach po cztery. Można było na nich oglądać pięćdziesiąt programów. Instykt podpowiedział funkcjonariuszce wywiadu, by sprawdzić na początek najnowsze kanały telewizji satelitarnej. Okazało się natychmiast, że milczy zarówno CNN, jak i należący do tejże stacji kanał CNN Headline News. Kobieta wiedziała, że programy te idą przez osobne satelity, toteż cisza na obu kanałach podsycała jej ciekawość. W wywiadzie ciekawość zaś to cecha podstawowa. Szybki przegląd innych kanałów ujawnił, że milczy także HBO. Showtime - nic. ESPN - nic. Po sprawdzeniu w spisie kobieta doszła do wniosku, że nie działają co najmniej cztery satelity telekomunikacyjne. Wstała więc i podeszła do biurka dowódcy SAC.

- Sir, dzieje się coś bardzo dziwnego - zameldowała.

- A co mianowicie? - Dowódca nie odwrócił się nawet - Przestały działać co najmniej cztery satelity komunikacyjne, w tym Telstar, Intelsat i Hughes. Wszystkie milczą.

Słyszając to dowódca sił strategicznych, odwrócił się wreszcie.

- Co jeszcze pani dla mnie ma?

- Z NORAD-u przyszedł meldunek, że wybuch nastąpił na przedmieściach Denver, tuż obok stadionu Skydome, tam, gdzie rozgrywano Superpuchar. Na trybunach byli sekretarz obrony i sekretarz stanu.

- Rany boskie, rzeczywiście! - spostrzegł się szef sił strategicznych.

W bazie lotniczej Andrews zaczęły się obracać dwa spośród czterech silników "Anioła Zagłady", czyli napowietrznego stanowiska dowodzenia wojsk amerykańskich. Załoga czekała, aż przybędzie ktoś, kogo będzie można zabrać w bezpieczne miejsce.

Komandor Jim Rosselli zaczynał drugą godzinę dyżuru, kiedy zaczęły się spełniać jego najczarniejsze wizje. Siedział oto w sali operacyjnej Narodowego Ośrodka Dowodzenia i na próżno wypatrywał kogoś starszego stopniem. Był zdany wyłącznie na siebie. Dawno odeszły w przeszłość czasy, kiedy w bunkrze Pentagonu całą dobę czuwali generałowie i admirałowie. Od momentu odwilży w stosunkach Wschód-Zachód, a zwłaszcza odkąd odchudzono Pentagon, starsi oficerowie czuwali "pod telefonem", zostawiając na stanowisku kapitanów i pułkowników. Rosselli pocieszał się, że mogło być gorzej. Jako były dowódca boomera wiedział przynajmniej, co to znaczy rozporządzać dużą liczbą głowic jądrowych.

- Co się dzieje, do kurwy nędzy?! - zwrócił się do pustej ściany podpułkownik Richard Barnes. Zdawał sobie sprawę, że Rosselli wie tyle samo co i on.

- Rocky, darujmy sobie to na razie, co? - łagodnie zaproponował Rosselli. Jego głos rozbrzmiewał martwym spokojem. Patrząc na komandora nikt by się nie domyślił, że w środku aż w nim kipi. Rosselli miał jednak tak mokre dłonie, że kiedy wytarł je o spodnie, na nogawce pozostała wilgotna plama, na szczęście niewidoczna na granatowym suknie munduru.

- Masz rację, Jim.

- Zadzwoń po generała Wilkesa, niech tutaj jedzie.

- Robi się. - Barnes przycisnął guzik szyfrowego telefonu, wzywając generała brygady Paula



Wilkesa, niegdyś pilota bombowego, który mieszkał w kwaterach bazy lotniczej Bolling, położonej za Potomakiem, naprzeciwko krajowego lotniska.

- Co tam? - burknął Wilkes.

- Mówi Barnes, generale. Jest pan natychmiast potrzebny w ośrodku.

- Pułkownik nie musiał już nic dodawać. Dla lotnika słowo "natychmiast" ma szczególne znaczenie.

- Już pędzę. - Wilkes odwiesił słuchawkę i zamruczał sam do siebie:

- Dobrze, że Bóg stworzył napęd na cztery koła.

Następnie generał narzucił oliwkową kurtkę zimową i nie wzuwając wysokich butów, wyszedł za próg. Na szczęście jego samochodem była toyota land cruiser, której Wilkes używał do jazd po bezdrożach. Silnik zapalił natychmiast, a generał wyjechał z podjazdu i zaczął pełznąć po nie odśnieżonych ulicach.

Prezydencka sala dowodzenia w Camp David stanowiła niepotrzebny relikwiarz minionych czasów. Tak przynajmniej wydawało się Fowlerowi, kiedy pierwszy raz oglądał ją ponad rok temu. Zbudowano ją za czasów prezydentury Eisenhowera z myślą, by przetrzymała atak jądrowy. Było to jednak w epoce, kiedy dokładność trafienia rakiety w cel mierzono w kilometrach, a nie w metrach. Pomieszczenia wykute w litej granitowej skale wzgórz Catoclin w zachodnim Marylandzie dzieliła od powierzchni dwudziestometrowa warstwa kamienia. Do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku uważano taką ochronę za bezpieczną i zupełnie wystarczającą do przeżycia. Skalna komora miała dziesięć metrów szerokości i piętnaście głębokości, z trzymetrowym prześwitem od posadzki do sufitu. Stały personel ośrodka stanowiło dwanaście osób, w większości łącznościowców z marynarki wojennej. Połową z nich okazali się szeregowcy. Sprzęt telekomunikacyjny nie był tak nowoczesny, jak ten na pokładzie "Anioła Zagłady" ani urządzenia w innych bunkrach, z których mógł skorzystać prezydent. Fowler zasiadł przed konsolą, żywcem przypominającą tablicę świetlną NASA z lat sześćdziesiątych. W blat wbudowana była nawet popielniczka. Przed sobą prezydent miał rząd ekranów telewizyjnych. Fotel był wygodny - w odróżnieniu od całej sytuacji. Obok Fowlera usiadła Elizabeth Elliot.

- No, dobrze - zaczął prezydent J. Robert Fowler. - Co się w ogóle dzieje, do cholery?

Głównym oficerem sztabowym okazał się komandor porucznik z marynarki wojennej. Fowler pomyślał, że nie mógł trafić gorzej.

- Panie prezydencie, śmigłowiec jest uszkodzony, więc druga maszyna piechoty morskiej wyruszyła, żeby pana zabrać na pokład "Anioła". Na linii czekają dowódca Strategicznych Sił Interwencyjnych i dowódca Obrony Powietrznej. Te guziki dają panu bezpośrednie połączenie z resztą naczelných dowódców.

Komandor miał na myśli oficerów dowodzących połączonymi rodzajami broni: skrót CINCLANT oznaczał dowódcę sił zbrojnych Atlantyku admirała Joshuę Paintera z marynarki wojennej. CINC-PAC był odpowiednikiem Paintera na Pacyfiku. Oba stanowiska tradycyjnie piastowali oficerowie marynarki. CINC-SOUTH, dowódca sił zbrojnych strefy Morza Karaibskiego, rezydował w Panamie, CINC-CENT w Bahrajnie na Bliskim Wschodzie, CINC-FOR, dowódca sił lądowych, czuwał w Fort McPherson pod Atlantą w stanie Georgia. Wszystkie trzy dowództwa należały do oficerów sił lądowych. Fowler miał przed sobą także inne połączenia, do dowódcy sił zbrojnych w Europie (skrót brzmiał SACEUR), a zarazem dowódcy sił NATO, w tym wypadku generała lotnictwa. W istniejącym systemie dowódcy poszczególnych rodzajów sił zbrojnych nie posiadali więc żadnej władzy. Ich rolą było doradzanie sekretarzowi obrony, a ten z kolei był

doradcą prezydenta jako zwierzchnika sił zbrojnych. Prezydent wydawał wojsku rozkazy za pośrednictwem sekretarza obrony, który przekazywał je połączonym dowództwom.

Ale sekretarz obrony...

Fowler odszukał guzik oznaczony literami NORAD i wezwał dowódcę obrony powietrznej.

- Mówi prezydent. Jestem w centrali operacyjnej w Camp David.

- Panie prezydencie, tu generał dywizji Borstein. Dowódcy NORAD-u nie ma, pojechał do Denver na Superpuchar. Panie prezydencie, jest moim obowiązkiem zawiadomić pana, że według naszych danych, wybuch nastąpił na samym stadionie Skydome albo w jego bezpośrednim pobliżu. Jest wysoce prawdopodobne, że sekretarz Bunker i sekretarz Talbot nie żyją, tak samo jak dowódca NORAD-u.

- Tak - skwitował wiadomość Fowler głosem pozbawionym emocji. Sam zdążył już na to wpaść.

- Zastępca dowódcy jest w podróży. Przez najbliższe kilka godzin, dopóki nie powróci ktoś starszy stopniem, sam dowodzę obroną powietrzną USA.

- Dobrze. Może więc pan mi wytłumaczy, co się, do cholery, stało.

- Nie wiemy, panie prezydencie. Eksplozji nie poprzedziło nic niezwykłego. W naszą przestrzeń nie wtargnęła, powtarzam: nie wtargnęła żadna rakiet balistyczna. Próbuje się skontaktować z kontrolą lotów w porcie Stapleton, żeby sprawdzili w swoich taśmach, czy bomby nie zrzucono z samolotu. Na naszych ekranach nie zauważyliśmy niczego takiego.

- A umielibyście wykryć samolot z bombą?

- Nie jest to takie pewne - brzmiała odpowiedź Borsteina. - Mamy dobre radary, ale i na nie jest sposób, zwłaszcza kiedy chodzi o pojedynczy samolot. Panie prezydencie, musimy natychmiast zacząć działać. Możemy o tym teraz porozmawiać?

- Proszę.

- Panie prezydencie, na własną odpowiedzialność, jako p.o. dowódcy obrony powietrznej, postawiłem swoje siły w stan pogotowia DEFCON-JEDEN. Obrona powietrzna ma, jak pan wie, prawo do użycia broni, w tym jądrowej, wyłącznie w celach defensywnych.

- Bez mojej zgody nie wolno panu sięgnąć po broń jądrową - z naciskiem oświadczył Fowler.

- I tak wszystkie nasze główce są w magazynach - odrzekł na to Borstein równym, mechanicznym głosem, którym wzbudził uznanie wśród reszty oficerów. - Proponuję porozmawiać teraz w trójkę z dowódcą sił strategicznych.

- Proszę łączyć - rozkazał Fowler. Nie czekał długo.

- Panie prezydencie, tu dowódca sił strategicznych - przedstawił się beznamiętnym głosem generał Peter Fremont, lotnik.

- Co się, cholera, dzieje?

- Nie wiemy, panie prezydencie, ale powinniśmy natychmiast wydać pewne rozkazy.

- Proszę mówić.

- Sir, proponuję, żeby natychmiast powołać wszystkie siły strategiczne w stan ostrego pogotowia. Trzeba ogłosić alarm DEFCON-DWA. Jeżeli to atak nuklearny, musimy postawić wojska w gotowości, pozwoli nam to odpowiedzieć najskuteczniej, jak można, albo odstraszyć napastnika. Kimkolwiek jest, może się zawahać przed nową próbą.

- Jeżeli mogę coś dodać, panie prezydencie, powinniśmy ogłosić powszechne pogotowie, chociażby po to, żeby wojska lądowe pomogły nam walczyć i po to, by ograniczyć panikę wśród ludności. Proponuję alarm DEFCON-TRZY dla sił lądowych.

- Lepiej ogłosić go selektywnie, Robert - poradziła Fowlerowi Liz Elliot.

- Słyszałem tę uwagę. Z kim pan rozmawia?- zapytał Fowlera Borstein.

- To ja, doradca do spraw bezpieczeństwa! - Liz Elliot powiedziała to odrobinę za głośno. Jej twarz upodobniła się barwą do jedwabnej bluzki. Fowler wciąż panował nad nerwami, Elliot usiłowała czynić to samo.

- Nie mieliśmy okazji się spotkać, doktor Elliot, więc niestety nie wie pani, że system nie pozwala na selektywny alarm, a przynajmniej nie tak szybko. Jeżeli od razu roześlemy sygnał, postawimy na nogi wszystkie potrzebne jednostki, a potem stopniowo przydzielimy zadania tym potrzebnym. Oszczędzimy w ten sposób co najmniej godzinę. Taka jest moja rada.

- Popieram - dodał od razu generał Fremont.

- Dobrze, ogłosił alarm - zgodził się Fowler. Rada brzmiała rozsądnie.

Alarm ogłoszono przez rozmaite linie. Dowódca sił strategicznych zawiadomił jednostki raketowe i lotnicze, posługując się tym samym komputerowym głosem, który wcześniej poderwał w powietrze bombowce z baz SAC. W bazach wiedziano już, że coś się dzieje, lecz sygnał DEFCON-DWA dodał powagi i grozy całej sytuacji. Naziemne linie światłowodowe przekazały podobny sygnał do nadajnika superniskiej częstotliwości (ELF) u krańca półwyspu Michigan. Alarm wysłano w postaci sygnałów Morse'a. Z powodu olbrzymiej długości fali nadajnik floty przekazywał kolejne znaki bardzo powoli, z szybkością kowala, który uczy się pisać na maszynie. Sygnał miał za zadanie powiadomić okręty, by wyszły na powierzchnię i czekały na szczegółową transmisję z satelity.

W bazach floty w King's Bay w Georgii, w Charleston w Karolinie Południowej oraz w Groton w Connecticut, a także w trzech innych miejscach na Pacyfiku sygnały ze światłowodów i z satelity dotarły do łącznościowców z dywizjonów okrętów podwodnych. Większość dyżurowała na pokładach okrętów pomocniczych. Spośród trzydziestu sześciu raketowych okrętów podwodnych, jakimi dysponowała w tym momencie Ameryka, dziewiętnaście przebywało na morzu, odbywając "patrol odstraszający", jak nazywali te rejsy sztabowcy. Dwie dalsze jednostki były w remoncie i nie nadawały się do służby. Reszta ze zredukowanymi załogami stała przycumowana do okrętów-matek. Wyjątkiem był USS "Ohio", ukryty w bunkrze w Bangor. Z uwagi na porę i dzień tygodnia na pokładach nie było ani jednego dowódcy. Nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż każdy okręt podwodny posiada dwie załogi, a jeden z dwóch dowódców, niezależnie od okoliczności, musi przebywać w odległości trzydziestu minut jazdy od swojej jednostki. Dowódcy mieli zawsze przy sobie mikronadajniki - beepery, które teraz rozdzwoniły się równocześnie. Wachta pokładowa zaczęła przygotowywać okręty do natychmiastowego wyjścia w morze. Na każdej jednostce z raketami strategicznymi dowódcą wachty był oficer, który zdał szczegółowe egzaminy, określające go jako "zdatnego na stanowisko dowódcze". Instrukcje operacyjne dla załóg były jednoznaczne: po ogłoszeniu alarmu jak najszybciej wyjść na otwarte morze i zniknąć. Większość marynarzy uznała, że chodzi o kolejne ćwiczenia, lecz w siłach strategicznych nawet ćwiczenia traktuje się poważnie. Na holownikach zapuszczano już diesle, żeby pomóc odciągnąć popielate kadłuby od burt okrętów-matek. Załogi pokładowe zwijały słupki i liny relingów, a marynarze zbiegali na swoje okręty po drabinkach. Wewnątrz szefowie poszczególnych sekcji i ich zastępcy odkreślali z listy obecnych, sprawdzając, kogo jeszcze nie ma. Okręty podwodne, jak wszystkie jednostki wojenne, posiadają nadkomplet załogi i w razie potrzeby mogą działać z zaledwie połową stanu osobowego. DEFCON-DWA oznaczał, że zaszła właśnie taka potrzeba.

Komandor Rosselli i oficerowie sztabu operacyjnego Pentagonu zajęli się alarmowaniem sił lądowych, rozsyłając do poszczególnych jednostek gotowe, nagrane wcześniej wiadomości. W siłach lądowych sygnał alarmowy wędrował na szczebel dywizji, w lotnictwie na szczebel skrzydła, w marynarce na szczebel dywizjonu. Siły konwencjonalne przeszły w stan DEFCON-TRZY. Komandor

Rosselli i podpułkownik Barnes osobiście zawiadomili wyższe szczeble dowództwa. Nawet kiedy rozmawiali z generałami dywizji, którzy od ćwierć wieku służyli w siłach zbrojnych, musieli każdemu z nich bez wyjątku powtórzyć:

- Nie, sir, to nie są ćwiczenia.

Jednostki amerykańskie na całym świecie przeszły natychmiast w stan ostrego pogotowia. Jak można się było spodziewać, stan gotowości osiągnęły najszybciej te jednostki, dla których pogotowie było stanem codziennym. Jedną z nich była Brygada Berlińska.



# STRATY W LUDZIACH

- Komandorze, na ELF mamy sygnał akcji alarmowej.
- Co takiego? - zapytał Ricks, odchodząc od stołu z mapami.
- Akcja alarmowa, komandorze - powtórzył radiowiec, wręczając dowódcy kartkę z krótką grupą znaków.

- Znaleźli sobie czas na ćwiczenia - prychnął Ricks, po czym wydał rozkaz: - Wszyscy na stanowiska.

Jeden z bosmanów natychmiast podniósł mikrofon radiowęzła i ogłosił alarm bojowy.

- Centrala, centrala, wszyscy na stanowiska bojowe!

W ślad za słowami rozległ się brzęczyk alarmowy, który mógł przerwać nawet najmilszy sen.

- Panie Pitney - rzekł Ricks, przekrzykując hałas - podnieść okręt na peryskopową!

- Tak jest. Operator głębokości, podnieść okręt na dwadzieścia metrów.

- Podnieść na dwadzieścia metrów. Sternik głębokości, stery dziobowe dziesięć stopni w górę.

- Stery dziobowe dziesięć na plus - odkrzyknął młody sternik i pociągnął do siebie kierownicę, podobną do lotniczej. Służba przy sterach trafia się z reguły bardzo młodym marynarzom. - Sir, stery dziobowe dziesięć stopni na plus.

- Tak trzymać.

Zaledwie sternik zdążył wykonać komendę na stery, do centrali wpadła lawina osób. Szef załogi, najstarszy funkcją podoficer na pokładzie USS "Maine", zajął stanowisko przy zaworach balastowych, jako główny operator głębokości na okręcie. Komandor porucznik Claggett wbiegł także do centrali, by wspomóc dowódcę okrętu. Na stanowisku oficera wachtowego był oczywiście Pitney, jako nawigator "Maine". Podoficerowie zajęli miejsca przy stanowiskach torped. Na rufie grupa oficerów i marynarzy obsadziła COR - Centralę Ogniwą Rakiet - sprawdzając gotowość dwudziestu czterech tridentów w silosach pod pokładem. Inna grupa obsadziła zapasową maszynownię, w której mieścił się pomocniczy silnik dieslowski okrętu.

W centrali podoficer łączności wywoływał poszczególne przedziały i sprawdzał ich gotowość do boju.

- Ale co jest grane? - zapytał Claggett Ricksa. Komandor bez słowa podał mu kilkuliterowy szyfrowy radiogram.

- Ćwiczenia?

- Tak myślę. Dlaczego nie, przecież mamy niedzielę! - dodał ze złością Ricks.

- Na dachu dalej tak tarza?

USS "Maine", jak na zamówienie, zaczął się kołysać. Wprawdzie głębokościomierz wskazywał prawie sto metrów, lecz potężny okręt podwodny położył się nagle dziesięć stopni na prawą burtę. We wszystkich pomieszczeniach marynarze podnieśli wzrok do sufitu i jęknęli. Nie było między nimi takiego, któremu żołądek choć raz się nie wywrócił na lewą stronę. Dla choroby morskiej wnętrze okrętu było idealnym sojusznikiem. Nie widząc nic poza ścianami, jako że okręty podwodne znane są z niedostatku iluminatorów, organizmy załogi zachowywały się jak w spoczynku, podczas gdy błędnik informował je, że otoczenie się porusza. Toteż załogę "Maine" ogarnęła ta sama przypadłość, która dotknęła nieomal wszystkich astronautów z programu Apollo. Marynarze zaczęli bezwiednie potrząsać głową, jak gdyby odpędzali natrętnego owada. Wszyscy co do jednego pałali nadzieją, że cokolwiek by nie wyprowadziło ich na powierzchnię - żaden z członków załogi, łącznie z Ricksem,

nie miał pojęcia, co się dzieje - wkrótce będą mogli powrócić na swoje naturalne miejsce, sto dwadzieścia metrów pod wodą, gdzie nie czuło się już przechyłów okrętu.

- Równa stępka na dwudziestu metrach, sir.

- Tak trzymać - odpowiedział Pitney.

- Centrala, tu sonar. Straciliśmy kontakt z echem Sierra-16. Wszystko zakleił ten szum powierzchniowy.

- Ostatnia pozycja echa? - zapytał Ricks.

- Ostatni namiar wynosił dwa siedem zero, przypuszczalna odległość czterdzieści trzy tysiące metrów - zameldował porucznik Shaw.

- W porządku. Antena UHF w górę. Peryskop w górę - dodał Ricks pod adresem bosmana trzymającego wachtę. "Maine" kolebał się teraz dwadzieścia stopni na każdą burtę. Ricks chciał się zorientować w przyczynie. Bosman zakręcił czerwono-białym kołem przekładni, a siłowniki hydrauliczne z sykiem wypchnęły w górę naoliwiony peryskop nad studzienkę.

- Ojej - zdziwił się komandor, rozkładając rękojeści peryskopu. Czuł wyraźnie ciosy, jakie morze zadawało odsłoniętemu szczytowi przyrządu. Ostrożnie przyłożył oko do wizjera.

- Złapaliśmy transmisję UHF - zameldował mu łącznościowiec.

- O, jak miło - brzmiała odpowiedź Ricksa. - Fale, powiedziałbym, dziesięciometrowe, panowie, trochę grzywaczy i bałwany. Jeżeli trzeba, możemy strzelać nawet przez nie - dodał w formie żartu. Był nadal przekonany, że chodzi o ćwiczenia.

- A niebo jak? - chciał się dowiedzieć Claggett.

- Zachmurzone. Nie widać gwiazd. - Ricks odstąpił i z trzaskiem złożył uchwyty. - Peryskop w dół! - rozkazał, po czym zwrócił się do Claggetta. - Panie pierwszy, musimy najszybciej, jak się da, odzyskać kontakt z naszym przyjacielem.

- Rozkaz.

Ricks chciał już podnieść mikrofon i polecić obsłudze wyrzutni raketowych, by jak najprędzej, choćby i po łebkach, uporała się z zadaniem. Zanim zdążył nacisnąć odpowiedni klawisz, do centrali znów wpadł oficer łączności.

- Komandorze, to nie są ćwiczenia.

- Jak to?

Ricks przebiegł wzrokiem depeszę, która nie była długa, za to mroząca krew w żyłach.

- Co się tam dzieje, do cholery? - Z tymi słowami komandor podał kartkę Claggettowi.

- DEFCON-DWA? Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek mieli DEFCON-DWA... Raz, owszem, mieliśmy DEFCON-TRZY, ale wtedy byłem jeszcze młodym kotem..

Obsługa centrali wymieniła znaczące spojrzenia. Amerykańskie siły zbrojne posiadają pięć stopni pogotowia bojowego. DEFCON-PIĘĆ, najniższy, oznacza pokojową rutynę. Przy CZWARTYM obsadza się co ważniejsze stanowiska i zatrzymuje więcej personelu - lotników i żołnierzy - w pobliżu samolotów czy czołgów. DEFCON-TRZY oznacza już poważny alarm; wszystkie jednostki osiągają pełny stan bojowy i przygotowują się do działań. Po ogłoszeniu DEFCON-DWA jednostki wychodzą w pole, gdyż istnieje bezpośrednie niebezpieczeństwo wojny. Od wprowadzenia tego porządku siły amerykańskie nigdy jeszcze nie osiągnęły stanu DEFCON-JEDEN, który oznaczał, że wojna jest nieunikniona, amunicja rozdana, a wszystkie lufy wycelowane w przeciwnika.

System pogotowia DEFCON był jednak o wiele mniej jednolity, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Na przykład okręty podwodne stale utrzymywały podwyższoną gotowość bojową. Podwodne okręty raketowe mogły, niezależnie od pory, "wypuścić ptaszki" w ciągu kilku minut, a

tym samym na co dzień spełniały wymogi DEFCON-DWA. Sygnał z satelity FLTSATCOM uprawomocnił tylko ten stan rzeczy i przydał grozy sytuacji.

- Co jeszcze? - zapytał Ricks łącznościowca.

- To wszystko.

- Mieliście jakieś wiadomości, sygnały o zagrożeniach?

- Wczoraj zdjeliśmy z satelity normalny biuletyn. Następny chciałem odebrać mniej więcej za pięć godzin, wie pan, żeby się dowiedzieć, kto wygrał Superpuchar. - Oficer urwał, po czym oświadczył: - Sir, w wiadomościach nie było ani słowa o groźbach, czy o jakimkolwiek kryzysie.

- No to co się dzieje, do diabła? - padło retoryczne pytanie Ricksa. - Zresztą nieistotne, prawda?

- Komandorze! - przypomniał Claggett. - Musimy natychmiast się oderwać od naszego kolegi z kursu dwa siedem zero.

- Otóż to. Proszę nakazać zwrot na północny wschód, panie pierwszy. Rosjanin miał zrobić następny zwrot nie tak prędko, więc szybko się teraz oderwiemy, a potem ruszymy dalej na północ.

Claggett głównie z przyzwyczajenia spojrzął na mapę, upewniając się, że znajdują się na głębinach. I tak było. Okręt przecinał właśnie równoleżnikowy krąg prowadzący od Seattle do wybrzeży Japonii. Na rozkaz dowódcy USS "Maine" zrobił zwrot na lewą burtę. Zwrot na prawo byłby równie łatwy, lecz pierwszy kierunek umożliwiał natychmiastowe oderwanie się od okuły, za którą "Maine" sunął od kilku dni. Po minucie stery zwróciły "Maine" bokiem do dziesięciometrowych fal, przetaczających się tuż nad okrętem, a siły natury mogły wyrzucić całą swoją wściekłość na zwróconej w poprzek fal nadbudówce. Okręt przechylił się czterdzieści stopni w bok. We wszystkich pomieszczeniach marynarze łapali się uchwytów i ścigali taczające się przedmioty.

- Zejdziemy trochę w dół, komandorze? - zapytał Claggett. - Za parę minut Zobaczymy najpierw, czy prześlą nam coś jeszcze przez satelitę.

Trzy belki, które niegdyś tworzyły pień jednego z najbardziej strzelistych drzew w całym Oregonie, pływały po północnym Pacyfiku od kilku tygodni. Drewno było młode i pełne soków, zanim jeszcze fala zmyła belki z pokładu MV "George'a McReady". Unosząc się na falach, belki nasiąknęły jeszcze bardziej, a wiążący je wciąż ciężki żelazny łańcuch sprawił, że zamiast unosić się tuż pod powierzchnią, pnie miały ten sam ciężar właściwy, co woda. Nie mogły więc wypłynąć na powierzchnię, przynajmniej nie w taką pogodę. Zaledwie zaczynały podnosić się ku światłu - słońca nie było zresztą w tej chwili ani śladu - morskie fale wpychały je z powrotem w głębinę. Belki nurkowały więc w odmętach jak grupa balonów zaporowych, obracając się z wolna, kiedy ocean próbował rozdrzeć ich łańcuchy.

Młodszy hydroakustyk USS "Maine" usłyszał dziwny dźwięk na kursie zero cztery jeden, czyli niemalże tuż przed dziobem. Echo było dziwne, metaliczne, przypominające basowe dzwonięcie. Na pewno nie statek, powiedział sobie operator, ale też nie zwierzę. Dźwięk co rusz nikał w szumach powierzchniowych, przez co trudno było ustalić położenie źródła...

- O, kurwa! - Akustyk włączył mikrofon. - Centrala, tu sonar! Bliski kontakt tuż przy kadłubie!

- Co?! - Ricks wpadł do przedziału.

- Nie wiem, co to jest, ale na pewno się zbliża!

- Skąd?

- Nie wiem, z której strony dziobu, wygląda, że z obu naraz! Za diabła nie wiem, co to jest, na pewno nie statek! - Bosman zakreślił kropkę na ekranie, próbując zarazem zidentyfikować echo na



słuch. - Nie jest punktowe. Zbliża się!

- Ale... - Ricks nie dokończył, gdyż odwrócił się i odruchowo krzyknął: - Zanurzenie alarmowe! Wiedział jednak, że jest na to za późno.

Kadłub USS "Maine" zawibrował na całej długości jak orkiestrowy kocioł. Jedna z belek uderzyła w fiberglasową kopułę nad dziobowym hydrolokatozem.

Trzy bele stanowiły niegdyś jedno drzewo. Pierwsza belka rąbnęła pod kątem w krawędź kopuły sonaru, nie powodując większych szkód, jako że okręt pełznął z prędkością paru węzłów, a kadłub mógł znieść o wiele potężniejsze ciosy. Wystarczył jednak sam hałas. Belka odpłynęła na bok, lecz w ślad za nią ciągnęły się dwie następne. Środkowy kłoc uderzył w kadłub, dokładnie w miejscu, gdzie znajdowała się centrala.

Sternik zareagował natychmiast na rozkaz dowódcy, do oporu popychając koło sterujące w górę. Rufa przegłębionego na dziób okrętu podniosła się do góry, blokując drogę belkom. "Maine" miał na rufie dwie pary sterów, pionowy ster kierunku pod i nad końcówką wału napędowego oraz dwa poziome stery głębokości, działające na podobieństwo stateczników ogonowych samolotu. Na końcach obu sterów głębokości znajdowało się dodatkowe skrzydełko, podobne do statecznika, lecz będące w rzeczywistości gondolą rufowego hydrolokatora. O jedną z tych gondoli zahaczył się teraz żelazny łańcuch i zepchnął którąś z trzech belek prosto między łopaty rozpedzonej śruby. Nikt z załogi nie słyszał równie strasznego łoskotu. Odlana ze stopu brązu i manganu śruba USS "Maine" miała siedem łopat, których wyszlifowanie do nieomal pełnej doskonałości trwało siedem miesięcy. Śruba była niezwykle wytrzymała, lecz cios okazał się zbyt mocny nawet jak na nią. Zakrzywione jak szable łopaty jedna za drugą zaczęły bić w pień niczym powolne, tępe maczety. Każde uderzenie zginało i szczybiło krawędź natarcia śruby. Oficer w maszynowni na rufie zatrzymał wał napędowy, nie czekając na rozkaz z centrali. Za burtą, niecałe trzydzieści metrów od siebie, usłyszał jęk rozdzieranego metalu. To gondola namiernika oderwała się od prawego steru głębokości, unosząc przy okazji nawijarkę, do której przymocowany był hol pławy hydrolokacyjnej. Uwolnione belki, w tym jedna z nich posiekana w drzazgi, odpłynęły za rufę, a tym samym ustał najgorszy hałas.

- Co to, kurwa, było!? - prawie rozwrzeszczał się Ricks.

- No, to po ogonie. Straciliśmy pławę, sir! - zameldował hydroakustyk. - Uszkodzony prawy namiernik rufowy.

Bosman mówił jednak sam do siebie, bo Ricks zdążył już wypaść z przedziału.

- Centrala, tu maszyna - rozległo się w głośniku. - Coś rąbnęło nam prosto w śrubę. Sprawdzam uszkodzenia wału napędowego.

- Rufowe stery głębokości uszkodzone. Ledwo się słuchają - meldował w centrali sternik. Szef załogi za kark wyciągnął młodzika z fotela i sam, powoli i uważnie, sprawdził działanie urządzeń.

- Siłowniki hydrauliczne poszły, tak mi to wygląda. Trymery... - Te miały już napęd elektryczny.

- Wygląda, że w porządku. Ster kierunku działa - zameldował bosman, kręcąc kołem w prawo i w lewo.

- Zablokować rufowe stery głębokości na zero. Dziesięć stopni plus na sterach dziobowych. - Ten rozkaz wydał już pierwszy oficer.

- Tak jest.

- Więc co to takiego? - niecierpliwił się Dubinin.

- Echo jest metaliczne. Bardzo głośny namiar mechaniczny z kursu zero pięć jeden - oficer postukał w kropkę jarzącą się na ekranie. - Widać, że niska częstotliwość, jakby ktoś w bęben walił... Ale tu, z boku, doszło zaraz wyższe echo. Sam słyszałem w słuchawkach, coś jak seria z karabinu

maszynowego. Zaraz, minutkę... - porucznik Ryków rozważał na głos możliwości. - Częstotliwość, chciałem powiedzieć interwał między dźwiękami, zupełnie jak śruba, tak, to śruba okrętu! Nie ma innej możliwości...

- A teraz? - dopytywał się komandor.

- Zupełna cisza.

- Chcę widzieć wszystkich akustyków na stanowiskach. - Dubinin powrócił do centrali okrętu. -

Zawracamy, nowy kurs zero cztery zero, prędkość dziesięć węzłów.

Zdobycie radzieckiej ciężarówki wojskowej okazało się dziecinnie proste. Niemcy ukradli ją, podobnie jak sztabowego UAZ-a. W Berlinie minęła już północ, a że była niedziela, ulice świeciły pustkami. Berlin jest metropolią równie żywotną jak inne, lecz jego mieszkańcy wiedzą, że w poniedziałek się pracuje, praca zaś traktowana jest w Niemczech niesłychanie serio. Nieliczne samochody należały do spóźnionych klientów Gasthausów i robotników, którzy pracowali na nocną zmianę. Niewielki ruch dopomagał w planie, pozwalając grupie punktualnie dotrzeć do celu.

Dawniej stał tutaj mur, pomyślał Günther Bock. Po jednej stronie ugoru mieściła się jednostka amerykańska, po drugiej zaś radziecka. Do każdego koszar przylegał niewielki, lecz wciąż pełen wojska plac ćwiczeń. Teraz, gdy mur zniknął bez śladu, obie brygady zmotoryzowane oddzielała od siebie jedynie łąka. U AŻ zatrzymał się przed szlabanem radzieckich koszar. Dowódcą warty był dwudziestoletni starszyna o pryszczatej twarzy i w obszarganym mundurze. Na widok trzech gwiazdek na pagonach Keitla młody żołnierz zrobił wielkie oczy.

- Bacność! - ryknął Keitel bez śladu niemieckiego akcentu. Słyszając rosyjską mewę, żołnierz wyprężył się posłusznie. - Inspekcja ze sztabu armii, robimy sprawdzian pogotowia. Nikomu nie meldować o naszym przybyciu. Zrozumiano?!

- Tak jest, pułkowniku!

- Spocznij. A jak mi, kurwa, zaraz nie wyczyścisz tego munduru, gówniarzu, ani zauważysz, jak się znajdziesz na chińskiej granicy! Jazda! - rozkazał Keitel Bockowi, który siedział za kierownicą.

- Zu Befehl, Herr Oberst! - odparł Bock, kiedy przejeżdżali bramę. Sytuacja miała swoje zabawne strony, pomyślał. Nie za wiele; żeby je docenić, trzeba mieć pewne poczucie humoru.

Koszary pułkowe były starym budynkiem, używanym jeszcze przez Wehrmacht i bez miłosierdzia zaniebany przez Rosjan. Przed budynkami założono klomby z kwiatkami, których rabatki letnią porą imitowały emblemat pułku. Jednostka była pułkiem pancernym gwardii, o chlubnej historii, którą żołnierze, sądząc po wyglądzie wartownika, mieli jednak gdzieś. Bock podjechał pod same drzwi. Keitel i jego ludzie wyskoczyli z obu pojazdów i wkroczyli do środka niczym bogowie, którzy są akurat w złym humorze.

- Gdzie jest oficer dyżurny tego burdelu! - rozdarł się Keitel. Rosyjski kapral jak trusia wskazał kierunek. Kiedy sztabowcy podnoszą głos, podoficerowie muszą trzymać pysk na kłódkę. Oficer dyżurny okazał się majorem i miał może trzydzieści lat.

- O co chodzi? - zapytał przybyszów.

- Pułkownik Iwanienko z Głównego Inspektoratu. Nie zapowiedziana inspekcja, o to chodzi! Włączyć syrenę alarmową, ale już!

Major zrobił dwa kroki i nacisnął guzik, uruchamiając alarmowe syreny i dzwonki w całych koszarach.

- A teraz leć mi na jednej nodze po dowódcę pułku, niech zobaczę tę zapitą mordę! Jaki stan pogotowia w jednostce? - dopytywał się Keitel, nie dając młodemu człowiekowi złapać tchu. Major, który już sięgał po telefon, zagubił się zupełnie, nie wiedząc, które polecenie wykonać najpierw. -

No, JAKI STAN POGOTOWIA?!!!

- Stan zgodny z normą pułkową - wykrztusił major.

- Zaraz się przekonamy. - Keitel odwrócił się do jednego z "pułkowników". - Zapisać nazwisko tego szczyła!

Ludzie Keitla widzieli wyraźnie światła rozbłyskujące w odległej o niecałe dwa kilometry bazie amerykańskiej, która jeszcze niedawno leżała w Berlinie Zachodnim.

- Jankesi też mają ćwiczenia - skwitował to Keitel-Iwanienko. - Znakomicie. Macie się spisać, zobaczymy, kto będzie szybszy, my czy oni.

- Co się dzieje? - padło od drzwi. Na progu stał w rozpiętym mundurze dowódca jednostki, również w randze pułkownika.

- Co się dzieje? Nie zapowiedziana inspekcja, co, nie widzicie?! -zagrzemiał Keitel. - Ani słowa więcej, pułkowniku, tylko do roboty! Prowadzić wojsko!

- Ale...

- Co "ale"? - przerwał Keitel - Nie wiecie, co to takiego nie zapowiedziany sprawdzian gotowości bojowej?

Niemiec cieszył się w duchu, że tak umiejętnie rozgryzł Rosjan, aroganckich, niezdolnych i cokolwiek twierdzili, pełnych nienawiści do Niemców. Z drugiej strony, kiedy na dzień dobry dało im się w pysk, posłusznieli. Chociaż Keitel miał zaledwie dystynkcje pułkownika, darł się głośniejsz niż rosyjski dowódca, co zupełnie wystarczało.

- Ano, pokażę wam, co potrafią moi chłopcy.

- Czekamy na placu. Działać! - przykazał mu Keitel.

- Doktorze Ryan, niech pan tu zaraz przyjdzie. - Połączenie urwało się.

- Pędzę - rzucił Jack, pochwycił papierosy i zszedł do sali 7-F-27, w której mieścił się ośrodek operacyjny CIA. Ośrodek znajdował się w północnej partii budynku i wyglądał identycznie, jak podobne placówki w innych instytucjach rządowych. Pośrodku sali o wymiarach dziesięć na sześć metrów, do której wchodziło się przez drzwi z szyfrowym zamkiem, stał duży okrągły stół z obrotową półką na książki. Sześć obrotowych foteli wokół stołu oznaczono tabliczkami zwieszonymi z sufitu: "starszy oficer dyżurny", "oficer prasowy", "Afryka-Ameryka Łacińska", "Europa-ZSRR", "Bliski Wschód-terrorizm" oraz "Azja Południowa-Daleki Wschód-Pacyfik". Zegary ściennie wskazywały czas w Moskwie, Pekinie, Bejrucie, Trypolisie i, oczywiście, czas Greenwich. Obok mieściła się salka konferencyjna z oknami wychodzącymi na wewnętrzny dziedziniec.

- Co jest? - zapytał Jack, któremu deptał po piętach Goodley.

- Dzwonili z obrony powietrznej, że w Denver wybuchła bomba jądrowa.

- Kurwa, też się ich żarty trzymają! - odpowiedział Jack odruchowo. Zanim oficer cokolwiek odpowiedział, Jack poczuł, jak kurczy mu się żołądek. NORAD nie robi takich żartów.

- Niestety, to nie żart - usłyszał od oficera dyżurnego.

- Co jeszcze wiemy?

- Niewiele.

- Ale co?! Co na czarnej liście? - dopytywał się odruchowo Jack. Gdyby którekolwiek państwo znajdowało się na liście zagrożeń, dawno by o tym wiedział. - No, dobrze. Gdzie Marcus? - Leci do Ameryki tym swoim C-141, jest teraz gdzieś między Japonią i Aleutami. Pan tu rządzi - poinformował Ryana oficer, w duchu dziękując dobrotliwemu Bogu, że to nie na niego wypadło. - Prezydent siedzi w Camp David. Sekretarz obrony i sekretarz stanu...

- Nie żyją? - domyślił się Ryan.

- Na to by wyglądało. Ryan przymknął oczy.

- Jezusie miłosierny. A gdzie wiceprezydent?

- W swojej rezydencji. Alarm przyszedł trzy minuty temu. Dyżur w ośrodku dowodzenia w Pentagonie ma jakiś komandor, James Rosselli. Generał Wilkes też już tam jedzie. Mam na linii wywiad wojskowy. Przed chwilą postawili... To znaczy nie oni, tylko prezydent postawił siły strategiczne w pogotowie, DEFCON-DWA.

- Co się dzieje w Rosji?

- Wszystko normalnie. We wschodniej Syberii trwają lokalne ćwiczenia obrony przeciwlotniczej, to wszystko.

- Aha. Proszę zawiadomić wszystkie placówki. Niech pan roześle polecenie, że czekam na wszelkie sygnały na ten temat, nieważne jakie. Placówki mają sprawdzić wszystkie dostępne źródła.

- Jack zawiesił głos. - Jaką mamy pewność, że ten wybuch naprawdę się zdarzył?

- Dwa satelity DSPS zauważyły rozbłysk. Nasz KH-11 będzie przelatywał nad tamtym terenem za dwadzieścia minut, więc kazałem ośrodkowi kontroli lotu wycelować wszystkie kamery na Denver. Ci z NORAD-u są pewni, że to wybuch jądrowy, nie wiadomo tylko, jakiej mocy, ani jakie były skutki. Wygląda na to, że eksplozja nastąpiła tuż obok stadionu, jak w "Czarnej niedzieli", tyle że naprawdę. To nie są ćwiczenia, przy ćwiczeniach nie nakazuje się siłom strategicznym przejść na DEFCON-DWA.

- Tor rakiety balistycznej? Samolot w przestrzeni powietrznej?

- Pierwsza możliwość odpada. Nie mieliśmy sygnału o salwie ani echa na radarach.

- A może FOBS? - zapytał Goodley, mając na myśli nowe systemy wystrzeliwania głowic z orbitujących satelitów.

- NORAD też by to wychwycił - brzmiała opinia oficera operacyjnego. - Już ich pytałem. Co do samolotu, na razie nie wiadomo. Próbuja zdobyć taśmy od kontrolerów lotów.

- Czyli gówna wiemy?

- Zgadza się.

- Prezydent łączył się już z nami?

- Nie, ale mamy otwartą linię do Camp David. Jest tam też doradca do spraw bezpieczeństwa.

- Prawdopodobna wersja?

- Moim zdaniem, terroryści.

Ryan skinął głową.

- Ja też tak myślę. Chcę mieć do swojej dyspozycji salę konferencyjną. Proszę natychmiast wezwać szefów pionów, z operacyjnego, rozpoznania i naukowo-technicznego. Jeżeli trzeba wysłać po nich śmigłowiec, nie pytać, tylko wysłać.

Ryan przeszedł do sali konferencyjnej, zostawiając uchylone drzwi.

- Rany boskie - sapnął Goodley. - Jest pan pewien, że się panu przydam?

- Owszem, a jeżeli przyjdzie panu coś do głowy, proszę od razu mówić. Zapomniałem, na przykład, o głowicach z satelitów. - Jack chwycił za telefon i połączył się z FBI.

- Ośrodek dowodzenia.

- Tu CIA, mówi Ryan, zastępca dyrektora. Z kim rozmawiam?

- Jestem O'Day, inspektor Pat O'Day. Jest ze mną zastępca wicedyrektora Murray. Obaj pana słyszymy.

- Powiedz mi coś, Dan - zaczął Ryan, który także przełączył telefon ze słuchawki na głośnik. Oficer dyżurny postawił przed nim kubek kawy.

- Sami nic nie wiemy. Nie było słowa ostrzeżenia, Jack. Myślisz, że to terroryści?

- Na razie przyjmuję właśnie taką wersję.
- Czyli nie masz pewności?
- Pewności? - Ryan pokręcił głową. - Co to znaczy "pewności", Dan?
- Nic mi nie mów. Sami próbujemy się zorientować, jak to się stało. Trudna sprawa, nawet CNN przestało działać.
- Co takiego?
- Moi łącznościowcy mówią, że satelity wysiadły - wyjaśnił Murray. - Nie wiedziałeś o tym?
- Nie - odrzekł Jack i wskazał Goodleyowi, by ten sprawdził, jak się rzeczy mają w zewnętrznej sali. - Jeżeli to prawda, możemy sobie wybić z głowy terrorystów. Jezu, to straszne!
- Taka jest prawda, Jack. Sprawdzaliśmy.
- Powiedzieli mi, że wysiadło dziesięć satelitów komunikacyjnych - zaraportował Goodley. - Wszystkie satelity wojskowe w porządku, więc nadal mamy łączność.
- Skocz do naukowo-technicznego, znajdź mi jakiegoś specja od nich, a jak nie, to z łączności i zapytaj, kto mógł załatwić te satelity. No, jazda! - przykazał Jack. - Gdzie Shaw?
- Już do nas jedzie. Nieprędko się zjawi, wiesz, co się dzieje na drogach.
- Dan, będę ci przekazywał wszystko, co dostanę.
- Z wzajemnością.- Murray rozłączył się.

Najstraszliwsze było to, że Ryan nie wiedział, co począć. Jego zadaniem było zbierać informacje i przekazywać je prezydentowi; tym razem jednak nie miał w ręku żadnych informacji. Prezydent mógł w tej chwili liczyć wyłącznie na wojsko. CIA znowu go zawiodło. Ryan wyrzucał sobie w duchu, że komuś udało się zaszkodzić krajowi, on zaś nie ostrzegł przed tym, nie zorientował się w porę, a ponieważ Agencja zawiodła, zginęli ludzie. Ryan był zaś w CIA zastępcą dyrektora, czyli tym, który rzeczywiście zawiadywał pracą, zastępując trutnia, w postaci politycznego nominata z gabinetu obok. Klęska miała wymiar osobisty. Zginęło pewnie milion osób, on zaś tymczasem siedzi i gapi się w gołą ścianę sali konferencyjnej. Jack odszukał połączenie z centrum obrony przeciwlotniczej i wystukał numer.

- NORAD - rozległ się bezpostaciowy głos. - Mówi Ryan, zastępca dyrektora CIA. Dzwonię z centrum operacyjnego. Potrzebne mi są informacje.
- Niewiele wiadomo. Nasze dane wskazują, że bomba wybuchła w bezpośrednim sąsiedztwie Skydome. Dopiero próbujemy określić jej moc, wysłaliśmy śmigłowiec z bazy lotniczej Lowery.
- Możecie nas informować na bieżąco?
- Tak jest.
- Dziękuję - powiedział jeszcze Ryan, stwierdzając w duchu, że wie tyle, co przedtem. Tyle nowego, że inni też nie mają pojęcia, co się dzieje.

Dowódca batalionu Mikę Callaghan z miejskiej straży pożarnej w Denver wiedział, że w obłoku w kształcie grzyba nie kryje się żadna czarodziejska moc. Widział już jedną taką chmurę, kiedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku jako młody rekrut gasił pożar na stacji rządowej w Burlington, tuż za miastem. Ekspłodowała wtedy cysterna z propanem-butanem, która mijała właśnie transport bomb lotniczych, wiezionych do składów marynarki wojennej w kalifornijskim Oakland. Kiedy przewrócona cysterna zapaliła się, dowódca strażaków miał wówczas na tyle zdrowego rozsądku, żeby wycofać swoich ludzi. Z odległości pół kilometra patrzyli więc, jak sto ton bomb lotniczych eksploduje serią piekielnych fajerwerków, a nad torami zaczyna się wznosić obłok w kształcie grzyba. Masa rozgrzanego powietrza wzbija się do góry, przybierając obłą postać, a ruch rozgrzanego gazu wywołuje podciśnienie, które wsysa powietrze z obrzeży do centrum kuli ognistej,

tworząc nogę olbrzymiego grzyba...

Chmura nad Denver była jednak potężniejsza.

Callaghan siedział za kierownicą czerwonego wozu dowodzenia. Przed nim pędziły pierwsze sekcje: trzy wozy z motopompami Seagrave, wóz z dalekosiężną drabiną i dwie sanitarki. Widok był więc żałosny. Callaghan podniósł radiotelefon i zarządził alarm w całym okręgu, a następnie kazał podjeżdżać do stadionu od zawietrznej.

Jezu święty, a co tu się stało?

Nie, niemożliwe... Przecież reszta miasta stoi?

Callaghan miał za mało danych; wiedział tylko, że musi gasić pożar i ratować ludzi. Kiedy wóz skręcił z bocznej ulicy w bulwar wiodący do stadionu, strażacy ujrzeli ścianę skłębionego dymu. Oczywiście parking. Nic innego. Obłok rozszerzał się jeszcze, zwiewany coraz prędeziej na południowy zachód, w stronę gór. Parking wokół stadionu zmienił się w ogniste pole, na którym płonęła benzyna, olej i samochody. Potężny powiew wiatru na moment odsunął dym, odsłaniając to, co jeszcze niedawno było stadionem... Kilka trybun dało się jeszcze rozróżnić, choć i one były uszkodzone. Callaghan nakazał sobie przestać myśleć. Najważniejszy jest pożar, najważniejsi są ludzie. Pierwszy wóz podjeżdżał już do hydrantu. Przynajmniej wody było pod dostatkiem. W całym stadionie zamontowano spryskiwacze przeciwpożarowe, a ich system czerpał wodę z dwóch wysokociśnieniowych rurociągów o przekroju dziewięćdziesięciu centymetrów każdy, przeciągniętych wokół całej budowli.

Strażak zatrzymał samochód koło pierwszej motopompy i wspiął się na większy wóz, by się rozejrzeć. Na parkingu niedaleko nich spoczywała masa żelastwa. Callaghan domyślił się, że to dach, zdarty ze stadionu. Inne fragmenty konstrukcji wylądowały czterysta metrów dalej na pustym, na szczęście, parkingu obok podmiejskiego centrum handlowego. Przez krótkofalówkę Callaghan połączył się z następną kolumną wozów ratunkowych, każąc jej objechać właśnie owo centrum i przyległą dzielnicę domków mieszkalnych. Mniejsze pożary musiały, niestety, poczekać. Tysiące ludzi na stadionie potrzebuje pomocy, lecz by się do nich przedrzeć, strażacy muszą najpierw sforsować dwustumetrowy pas płonących samochodów...

W tejże chwili Callaghan podniósł głowę i ujrzął błękitny śmigłowiec ratunkowy w barwach lotnictwa wojskowego. UH-1N wylądował dziesięć metrów od wozów strażackich, których dowódca natychmiast podbiegł do maszyny. W środku siedział major wojsk lądowych.

- Callaghan - przedstawił się strażak. - Szef batalionu.

- Griggs - rzucił major. - Chce się pan rozejrzeć?

- Pewnie.

- Jazda - rozkazał major do laryngofonu. Śmigłowiec poderwał się w górę. Callaghan złapał się pasa, lecz nie zapinał go.

Wkrótce zobaczył wszystko, co chciał. To, co z poziomu jezdni wydawało się ścianą dymu, z powietrza dawało się rozdzielić na osobne czarne i szare słupy. W ogniu stanęła dobra połowa samochodów. Do stadionu dałoby się może dotrzeć przez drogi dojazdowe, lecz i te blokowały w wielu miejscach płonące wraki. Śmigłowiec zatoczył jedno koło wokół stadionu, podskakując w pełnym turbulencji, rozgrzanym powietrzu. Callaghan ujrział z góry morze roztopionego asfaltu, jarzącego się wiśniowo. Jedyne miejsce wolne od dymu był południowy kraniec stadionu, przy którym parking, nie wiadomo dlaczego, wydawał się świecić. Spomiędzy kłębow dymu widać też było potężny krater. Jego dokładnych rozmiarów w tych warunkach nie dało się ocenić. Dopiero po dłuższej chwili można było spostrzec, że cztery czy pięć trybun stadionu jeszcze stoi. Callaghan wiedział, że musieli tam ocaleć ludzie.

- Dobra, już wszystko wiem - oznajmił Griggsowi. Oficer wręczył mu słuchawki z mikrofonem, tak, aby mogli się słyszeć.

- Co to było?

- Na mój rozum dokładnie to, co widać - odparł Griggs. - Co dla was wezwać?

- Dźwigi, buldożery. W gruzach stadionu na pewno są ludzie, musimy się do nich dokopać.

Tylko co z tym... Z promieniowaniem?

- Nie wiem. - Major wzruszył ramionami. - Zaraz, jak skończymy, lecę po ekspertów do Rocky Flats. Sam służę w Arsenale i trochę się na tym znam, ale specjaliści są dopiero w Rocky Flats. Cała ekipa ekspertów-atomistów z NEST-u jest w pogotowiu. Muszę ich tu sprowadzić, jak się da najszybciej. Zawiadomię oddział ochrony z Arsenalu, żeby raz dwa przysłali ciężki sprzęt. Pana ludzie niech się trzymają nawietrznej, wyłącznie po tej stronie stadionu. Nie podchodzić z żadnej innej strony, jasne?

- Jasne.

- Przy wozach niech pan założy punkt odkażania. Zaraz, jak ludzie zejdą z placu, zmyć ich wężem. Niech się rozbiorą i wskakują pod wodę. Rozumie pan? - upewnił się major, kiedy śmigłowiec dotknął ziemi. - Potem trzeba ich zabrać do najbliższego szpitala. Podchodzić z wiatrem, od północnego zachodu, w ten sposób nic się nikomu nie stanie.

- A opad promieniotwórczy?

- Nie jestem ekspertem, powiem panu, ile wiem. Wygląda, że wybuch był mały, więc i skażenie nie będzie takie wielkie. Podciśnienie z kuli ognistej i wiatr przeniosły większość tego gówna dalej. Nie wszystko, ale większość. Godzinę da się na pewno wytrzymać - to znaczy, przy tym promieniowaniu. Do tego czasu powinienem tu sprowadzić ludzi z NEST-u, oni już panu powiedzą, jak to wygląda. Tyle mogę zrobić. Powodzenia, strażaku.

Callaghan wyskoczył i przebiegł chyłkiem poza zasięg wirnika, a śmigłowiec natychmiast poderwał się i wziął kurs na północny zachód, w stronę Rocky Flats.

- Macie coś? - niecierpliwił się Kuropatkin.

- Jeszcze nie, generale, dopiero mierzymy początkową i wtórną emisję cieplną. Jakiś dziwny ten wybuch, ale wstępnie wyliczyłem moc na sto pięćdziesiąt do dwustu kiloton. - Major pokazał zwierzchnikowi obliczenia.

- Dlaczego mówicie, że dziwny?

- Energia z pierwszego błysku była niewysoka. Może chmury przesłoniły widoczność, nie wiadomo. Za to wtórna emisja cieplna ogromna. Potężny wybuch, jak od największej głowicy taktycznej albo od małej głowicy strategicznej.

- Tu mam księgę celów - odezwał się podporucznik, podając oprawny w płótno wielki tom, którego grube stronicie były w rzeczywistości złożonymi mapami. Księgi używano do planowania uderzeń jądrowych i oceny strat. Do planu Denver dołączona była karta przezroczystego plastiku z naniesionymi strefami rażenia radzieckich głowic strategicznych. W Denver wycelowane było w sumie osiem pocisków: pięć SS-18 i trzy SS-19, czyli nie mniej niż sześćdziesiąt cztery głowice o łącznej mocy dwudziestu megaton. Kuropatkin pomyślał, że ktoś uznał widać Denver za godny cel.

- Zakładamy, że wybuch był naziemny? - zapytał.

- Owszem - potwierdził major i zakreślił cyrkiem krąg wokół stadionu Skydome. - Taki promień śmiertelnego rażenia miałyby bomba o sile dwustu kiloton.

Plan miasta oznaczony był kolorami. Budynki odporne na zniszczenie zaznaczono na brązowo, domy mieszkalne na żółto, barwa zielona oznaczała budynki handlowe i inne nieodporne cele.

Kuropatkin przekonał się, że właśnie tym kolorem oznaczono Skydome i otoczenie stadionu. Wewnątrz feralnego kręgu znalazły się setki domów i bloków mieszkalnych.

- Ile osób było na stadionie?

- Dzwoniłem do KGB po ocenę - odpowiedział podporucznik. - Stadion miał zadaszenie...

Amerykanie lubią wygodę. Na trybunach było łącznie sześćdziesiąt tysięcy miejsc.

- O Boże - sapnął Kuropatkin. - Sześćdziesiąt tysięcy na miejscu, przynajmniej ze sto tysięcy w promieniu rażenia... Amerykanie na pewno stracili głowę. - i już w duchu generał dodał: - A jeżeli pomyślą, że to my...?

- Co wynika z obliczeń? - zapytał Borstein.

- Trzy razy przeliczyłam wszystkie dane. Wychodzi mi gdzieś około stu pięćdziesięciu kiloton - oświadczyła kobieta-kapitan.

Borstein przetarł oczy.

- Chryste Panie. Przypuszczalna liczba ofiar?

- Dwieście tysięcy. Tak wynika z symulacji komputerowej i map w naszej kartotece - brzmiała odpowiedź. - Generale, jeżeli ktoś myśli, że to robota terrorystów, może sobie tę teorię wybić z głowy. Ładunek był zbyt silny, jak na amatorszczyznę.

Borstein zaczął łączyć się z prezydentem i dowódcą strategicznych sił interwencyjnych.

- Panowie, mamy pierwsze dane.

- Dobrze, czekam - zapewnił prezydent, błagalnie spoglądając na głośnik, jak gdyby miał do czynienia z żywym rozmówcą.

- Wstępna ocena określa siłę wybuchu na sto pięćdziesiąt kiloton.

- Aż tyle? - zdumiał się generał Fremont.

- Sprawdziliśmy obliczenia trzy razy.

- Ofiary? - zapytał jeszcze szef sił strategicznych.

- Na miejscu zginęło około dwustu tysięcy. Trzeba dodać jeszcze pięćdziesiąt ze względu na skutki wtórne.

Prezydent Fowler szarpnął się, jak uderzony w twarz. Dotąd przez długie pięć minut usiłował nie dopuścić faktów do świadomości, lecz przestało to być możliwe. Dwieście tysięcy zabitych. Zginęli jego współobywatele, ludzie, których zobowiązał się przysięgą otaczać opieką i bronić.

- Co jeszcze? - zapytał, nie poznając własnego głosu.

- Nie rozumiem?

Folwer zaczerpnął głęboki oddech i znowu zapytał:

- Co jeszcze wiecie na ten temat?

- Panie prezydencie, wydaje nam się, że jak na dzieło terrorystów, bomba miała cholernie dużą moc.

- Muszę się z tym zgodzić - poparł Borsteina na drugiej linii dowódca sił strategicznych. - Żaden samodziół, to znaczy improwizowany ładunek jądrowy, jaki mogliby sporządzić terroryści, nie mógłby przekroczyć dwudziestu kiloton. Dwieście wygląda mi na bombę wielostopniową.

- Wielostopniową? - rzuciła Elliot w mikrofon.

- Termonuklearną - wyjaśnił Borstein. - To była bomba wodorowa.

- Tu Ryan, z kim rozmawiam?

- Mówi major Fox z NORAD-u. Mamy pierwsze oceny siły wybuchu i liczby ofiar. -Major odczytał Ryanowi liczby.



- Za duża na robotę terrorystów - orzekł natychmiast specjalista z naukowo-technicznego.

- My też tak twierdzimy.

- Ofiary? - pytał dalej Ryan. - Na miejscu zginęło prawdopodobnie ze dwieście tysięcy, w tym wszyscy ludzie na stadionie.

Ryan zacisnął powieki, powtarzając sobie, że musi się obudzić. Pierdolone koszmary senne, nie ma co, trzeba się obudzić. Kiedy jednak otworzył oczy, wszystko nadal wyglądało tak samo.

Robby Jackson rozsiadł się w kajucie dowódcy lotniskowca komandora Erniego Richardsa. Jednym uchem słuchali sprawozdania z Superpucharu, lecz najbardziej pochłaniała ich dyskusja nad taktyką, jaką mieli zastosować na najbliższych manewrach. "Theodore Roosevelt" miał, wraz z pozostałymi okrętami, podpłynąć od zachodu do wybrzeży Izraela, pozorując atak powietrzny, tym razem rosyjski. Scenariusz był wielce nieprawdopodobny, lecz trzeba było przecież nadać manewrom jakiś kształt. Tak czy inaczej, "Rosjanie" mieli działać sprytnie i początkowo rozłamać szyk, upodabiając formację do konwoju statków handlowych. Myśliwce i samoloty szturmowe pierwszej fali miały wysłać z nadajników identyfikacyjnych sygnał "maszyna międzynarodowa" i podejść w pobliże międzynarodowego portu lotniczego Ben Guriona, udając cywilne samoloty pasażerskie, by tym sposobem przerwać izraelską obronę przeciwlotniczą. Oficerowie operacyjni Jacksona zdobyli zawczasu rozkłady lotów pasażerskich, by przydać akcji prawdopodobieństwa. Napastnicy mieli niewielkie szansę: piloci z „Roosevelta” liczyli się z tym, że wprowadzą co najwyżej zamieszanie wśród lotnictwa izraelskiego i nowych dywizjonów amerykańskich. Taki układ szans Jackson lubił jednak najbardziej.

- Podkręć radio, Rob. Zapomniałem, jaki jest wynik.

Jackson nachylił się nad blatem i przesunął gałkę, lecz zamiast transmisji rozbrzmiała muzyka. Lotniskowiec posiadał wewnętrzną sieć telewizyjną i anteny nastrojone na wojskowy program radiowy.

- Może antena poszła? - domyślił się dowódca skrzydła lotniczego.

- W taki dzień? - roześmiał się Richards. - Bez Superpucharu będę zaraz miał bunt na pokładzie.

- Będiesz miał świetny zapis do raportu z rejsu, nie? Ktoś zapukał w tejże chwili do drzwi.

- Wejść!

Na progu stał podoficer z teczką meldunkową, którą natychmiast wręczył dowódcy.

- Coś ważnego? - zapytał Robby.

Richards bez słowa podał mu depezę, podniósł telefon wewnętrzny i połączył się z mostkiem.

- Tu kapitan.

- Co jest, do diabła? - mruknął do siebie Jackson. - DEFCON-TRZY? Chryste Panie, dlaczego?

Erniego Richardsa, który niegdyś latał na samolotach szturmowych, znano z ekscentrycznych pomysłów. Dawną marynarską tradycję sygnałów trąbką zastąpił na swoim okręcie muzyką z taśmy. W tej chwili marynarzy poderwał więc do działania motyw muzyczny z "Gwiezdných Wojen" w kompozycji Johna Williama. Po pierwszych taktach melodię zastąpiły elektroniczne dzwonki alarmowe.

- Lećmy, Bob. - Obaj oficerowie ruszyli pędem w stronę Ośrodka Koordynacji Walki.

- Co wiecie do tej pory? - zapytał Narmonow.

- Bomba miała moc prawie dwustu kiloton. Spory ładunek, nic, tylko wodorowy - zaczął generał Kuropatkin. - Zabitych jest na pewno grubo powyżej stu tysięcy. Mamy też doniesienia, że impuls elektromagnetyczny ugodził w jeden z naszych sputników wczesnego ostrzeżenia.

- Jak to możliwe? - Pytanie to zadał jeden z doradców wojskowych Narmonowa.
- Tego nie wiemy.
- Czy nie zginęły nam żadne głowice jądrowe? - usłyszał Kuropatkin pytanie prezydenta.
- Absolutnie wykluczone - upewnił Narmonowa trzeci głos.
- Co dalej?

- Za waszą zgodą chciałbym postawić w stan wyższego pogotowia nasze wojska OPK. We wschodniej Syberii akurat trwają ich ćwiczenia.

- Nikt nie weźmie tego za prowokację? - zapytał Narmonow.

- Skąd, przecież to zabieg obronny. Nasze myśliwce nie zagrażą nikomu w promieniu dalszym niż kilkaset kilometrów od granic kraju. Na razie zatrzymam wszystkie samoloty w obrębie naszej przestrzeni powietrznej.

- Dobrze, macie moją zgodę.

Słyszając te słowa w swoim podziemnym bunkrze dowodzenia, Kuropatkin gestem nakazał oficerowi podnieść słuchawkę. Radziecki system obrony powietrznej został już oczywiście powiadomiony, że coś się dzieje. W ciągu minuty w eter popłynęły sygnały radiowe, a wzdłuż granic państwa zaczęły pracę radary dalekiego zasięgu. Orbitalne i naziemne placówki waszyngtońskiej Narodowej Agencji Bezpieczeństwa wykryły natychmiast i depesze, i pracę radarów.

- Doradzacie mi coś jeszcze? - zapytał Narmonow swój sztab. Przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych wypowiedział się w imieniu całej grupy:

- Moim zdaniem, trzeba po prostu poczekać. Jeśli Fowler będzie chciał z nami rozmawiać, niech dzwoni. I bez nas ma już dosyć kłopotów.

Pasażerski MD-80 z American Airlines wylądował w Miami i podtoczył się do budynków dworca lotniczego. Kati i Hosni podnieśli się z foteli pierwszej klasy i przez rękaw weszli do pomieszczeń. Obsługa miała sama zadbać o przeniesienie bagaży do następnego samolotu, lecz obu Arabom nie zależało na tym specjalnie. Denerwowali się, choć nie aż tak bardzo, jak można by się tego spodziewać. Decydując się na akcję, obaj wiedzieli z góry, że mogą stracić życie. Jeżeli ocaleją, tym lepiej. Hosni poczuł panikę dopiero wówczas, kiedy nie dostrzegł na lotnisku żadnego nadzwyczajnego ruchu, choć przecież, gdyby akcja się powiodła, coś powinno się już zacząć dziać. Telewizor nad barem zamiast transmisji z meczu odbierał program lokalny. Hosni chciał już nawet zapytać, co z Superpucharem, lecz powstrzymał się. Decyzja była słuszna, bo już po minucie kolejny podróżny zapytał o wynik. - Było czternaście siedem dla Wikingów - odpowiedział mu inny głos - a potem, cholera, straciliśmy połączenie.

- Dawno?

- Będzie z dziesięć minut temu. Ciekawe, że jeszcze nie wrócili na antenę.

- Może było trzęsienie ziemi, jak w San Francisco przed meczem baseballowym?

- A skąd ja niby miałbym wiedzieć? - brzmiała odpowiedź barmana. Hosni wstał i wyszedł na korytarz dworca, kierując się do hali odlotów.

Co wie CIA? - pytał Fowler.

- Na razie nic, panie prezydencie. Zbieramy dane, ale wiemy tyle, co i... Chwileczkę. - Ryan przebiegł wzrokiem depeszę, podaną mu przez oficera dyżurnego. - Panie prezydencie, pilna z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Rosjanie podnieśli gotowość swojego systemu obrony powietrznej. Włączają wszystkie radary, w ich radiu też zgiełk.

- Co to znaczy? - zapytała Liz Elliot.

- Tyle znaczy, że chcą zwiększyć swoje szansę na odparcie ataku. Wojska OPK zagrażają tylko obiektom, które zamierzają wkroczyć albo wkroczyły w radziecką przestrzeń.

- Ale dlaczego Moskwa to zrobiła? - zapytała jeszcze raz Liz Elliot.

- Może się boją, że ktoś chce ich zaatakować.

- Do diabła, panie Ryan! - zgromił Jacka prezydent.

- Przepraszam, panie prezydencie, ale nie stroję sobie żartów, tylko mówię, jak jest. Wojska OPK to taki sam system obrony powietrznej, jak nasz NORAD. Nasze sieci radarowe i przeciwlotnicze też są w stanie pogotowia, tak samo jak radzieckie. Zwyczajny krok defensywny. Rosjanie na pewno już wiedzą, co się u nas stało, a w takiej sytuacji jest normalne, że uruchamia się system ostrzegania, podobnie jak u nas.

- Trochę mnie to niepokoi - zauważył generał Borstein w sztabie głównym NORAD-u. - Niech pan nie zapomina, panie Ryan, że to nas zaatakowano, nie ich. Moskwa zamiast pofatygować się, żeby do nas zadzwonić, uruchamia systemy obronne. Dla mnie jest to jakiś powód do obaw.

- Ryan, co z tymi raportami o zagubionych radzieckich głowicach? - naciskał Fowler. - Sądzi pan, że jest tu związek?

- Jak to "zagubionych głowicach"! - przerwał szef sił strategicznych.

- Dlaczego nic o tym nie wiem, do cholery?

- Jakie głowice im zginęły? - zapytał prawie równocześnie Borstein.

- Chodzi o nie potwierdzony meldunek od naszej wtyczki. Nie znamy szczegółów - odrzekł prędko Ryan, lecz zaraz zorientował się, że nie wolno mu na tym poprzestać. - Informacje sprowadzają się do tego, że Narmonow poróżnił się ze swoją generalicją. Wojsku nie podobają się nowe porządki w ZSRR, nie podoba im się ewakuacja z Niemiec, podczas której zniknęła podobno nieokreślona liczba głowic jądrowych, zapewne taktycznych. KGB wszczęło poszukiwania, usiłując ocenić sytuację. Donoszono nam też, że Narmonow obawia się politycznego szantażu, w którym przeciwnicy wykorzystają broń jądrową, ale z drugiej strony - podkreślam z całym naciskiem - zupełnie nie udało nam się potwierdzić tych meldunków z innych źródeł, mimo ponawianych prób, a co więcej, obecnie rozważamy hipotezę, że nasz agent kłamie.

- Dlaczego pan o tym nie meldował? - zapytał Fowler.

- Dlatego, panie prezydencie, że dopiero formułujemy opinię w tej sprawie. Jeszcze nie skończyliśmy, co ja mówię, dopiero wczoraj wpadliśmy na ten trop.

- Dam głowę, że to nie była nasza głowica! - wtrącił zapalczywie generał Fremont. - Bomba terrorystów też nie, cholernie duża moc, a tu, proszę, pan oświadcza, że Rosjanie nie mogą się doliczyć zasranych głowic. Jest się czego obawiać, Ryan.

- W ten sposób można też wytłumaczyć alarm w rosyjskim OPK -dodał Borstein złowroźnie.

- Chcecie mi panowie dać do zrozumienia, że w Denver wybuchła radziecka głowica? - upewnił się prezydent Fowler.

- Krajów z bronią jądrową nie ma znów tak wiele - odezwał się Borstein jako pierwszy. - Siła wybuchu wyklucza przypuszczenie, że to robota amatorów.

- Ale, zaraz! - wtrącił się znowu Jack - Pamiętajcie, panowie, że nie znamy żadnych faktów. Jest w końcu różnica między informacją a domysłami, i nie wolno o tym zapominać.

- Jaką moc mają te radzieckie głowice taktyczne? - zaciekawiała się Liz Elliot.

Odpowiedzi udzielił jej dowódca sił strategicznych:

- Mniej więcej taką samą, jak nasze. Rosjanie mają głowice kilotonowe do haubic samobieżnych i głowice raketowe, maksymalna moc pół megatony, ze zdemontowanych rakiet SS-20.

- Inaczej mówiąc, siła wybuchu w Denver odpowiada mocy radzieckich głowic, które podobno zniknęły ze składów, czy tak?

- Zgadza się, doktor Elliot - odpowiedział generał Fremont.

W bunkrze w Camp David Elizabeth Elliot opadła na oparcie fotela i spojrzała na prezydenta, a potem szepnęła mu, starając się, by nie wychwyił tego mikrofon:

- Robercie, przecież ty też miałeś być na meczu, razem z Brentem i Dennisem.

Prezydent Fowler sam się zdumiał, że aż tak długo nie dopuszczał do siebie tej myśli.

- Nie - odszepnął i sam osunął się na fotel. - Nie wierzę, by Rosjanie poważyli się na coś takiego.

- Co pan powiedział? - zapytano przez głośnik.

- Chwileczkę - odrzekł prezydent zbyt cicho, by go usłyszano.

- Panie prezydencie, nie dosłyszałem.

- Powiedziałem, chwileczkę! - rozwrzeszczał się Fowler i na chwilę zakrył mikrofon. - Elizabeth, naszym zadaniem jest opanować sytuację i opanujemy ją. Osobiste sprawy odłożymy na razie na bok.

- Panie prezydencie, chciałbym, żeby się pan jak najszybciej znalazł w samolocie - oznajmił dowódca strategicznych sił interwencyjnych. - Sytuacja może się stać bardzo poważna. - Jeżeli mamy zapanować nad tym, co się dzieje, musimy, działać szybko, Robercie.

Fowler odwrócił się do asystującego mu oficera marynarki wojennej.

- Kiedy miał tu przybyć śmigłowiec?

- Za dwadzieścia pięć minut, sir. Lot do Andrews, do samolotu, to następne pół godziny.

- W sumie prawie godzina... - Fowler spojrzał na ścienny zegar zwyczajem ludzi, którzy wiedzą, jaka jest godzina, wiedzą, ile czasu zajmie im zadanie, lecz i tak próbują się upewnić. - Radiostacja na śmigłowcu nie wystarczy dla naszych potrzeb. Każcie pilotom zawrócić i zabrać z Waszyngtonu do Andrews wiceprezydenta Durlinga. Generale Fremont?

- Słucham, panie prezydencie.

- Ma pan w bazie zapasowe "Anioły", prawda?

- Owszem, panie prezydencie.

- Pierwszym niech poleci wiceprezydent. Rezerwowi może pań wysłać pod Camp David. Chyba dadzą radę wylądować w Hagerstown?

- Dadzą, możemy usiąść na pasie Fairchild-Republic, przy starych zakładach lotniczych, tam gdzie budowali A-10.

- Proszę wydać takie polecenia. Sam byłbym w Andrews dopiero za godzinę, nie mogę zmarnować aż tyle czasu. Muszę opanować sytuację, najbliższa godzina jest mi niezbędna.

- Popelnia pan błąd - oznajmił Fremont najbardziej chłodnym tonem, na jaki umiał się zdobyć. Samolot dowodzenia mógł wylądować w Marylandzie najwcześniej za dwie godziny.

- Może i tak, ale taką podjąłem decyzję. Nie pora, żebym umykał z posterunku.

Za plecami prezydenta Pete Connor i Helen D'Agustinp wymienili ponure spojrzenie. Para agentów nie miała złudzeń co do tego, jak będzie wyglądał ewentualny atak nuklearny na USA. Dla prezydenta najlepszą obroną stanowiła manewrowość, lecz przed chwilą pozbył się jej atutu.

Wiadomość ze sztabu w Camp David przesłano natychmiast. Prezydencki śmigłowiec, który minął właśnie waszyngtońską obwodnicę, zawrócił i poleciał na południowy wschód, lądując na terenie obserwatorium marynarki wojennej. Do kabiny wskoczył wiceprezydent Roger Durling wraz z całą rodziną. Ewakuowani nie zapięli nawet pasów. Między fotelami ukłękła grupka agentów Tajnej Służby z pistoletami maszynowymi Uzi. Durling wiedział tylko tyle, ile zdążyli mu powiedzieć

agenci. Powtarzał sobie teraz w myślach, że musi się uspokoić, zachować zimną krew. Spojrzał na najmłodsze ze swych dzieci, czterolatka za ledwie, i przez chwilę zapragnął mieć tyle samo lat, co on i dorastać w świecie, któremu nie zagraża już wojna. Durling dobrze zapamiętał koszmary własnej młodości, najpierw, gdy był jeszcze studentem, kryzys kubański; później służbę jako dowódca plutonu w 82 Dywizji Spadochronowej, w tym rok spędzony w Wietnamie. Wojenne przeżycia uczyniły z Durlinga osobliwego polityka, jak na liberała. Nie uchylał się od walki, sam ryzykował, był przy tym, kiedy konali dwaj jego podwładni. Jeszcze poprzedniego dnia Durling spoglądał na syna i dziękował Bogu, że jego dziecku wszystko to zostanie oszczędzone.

A dzisiaj... Syn nadal wiedział tylko, że lecą na niespodziewaną przejażdżkę śmigłowcem, a w dodatku uwielbiał latanie. Żona domyślała się wszystkiego. Z oczu płynęły jej teraz łzy.

VH-3 wylądował niecałe pięćdziesiąt metrów od samolotu. Agent Tajnej Służby, który pierwszy wyskoczył z kabiny, ujrzał rozciągnięty aż do schodków szpaler żandarmerii wojskowej. Obstawa prawie wniosła wiceprezydenta na pokład, a barczysty agent pochwycił dziecko i pobiegł w ślad za resztą. Nim upłynęły dwie minuty, nim jeszcze przybysze usadowili się w fotelach, pilot latającego ośrodka dowodzenia "Anioła Zagłady" dał pełny gaz i z grzotem silników poszedł lewym pasem zero-jeden. Lecieli na wschód, nad Ocean Atlantycki, gdzie latająca cysterna KC-10 miała uzupełnić paliwo w boeingu.

- Mamy poważny problem - oświadczył Ricks w centrali. USS "Maine" przed chwilą spróbował ruszyć naprzód, lecz okazało się, że przy prędkości powyżej trzech węzłów śruba napędowa zaczyna wyć, jak wiedźma na sabacie. Zgiął się także wał napędowy, lecz na razie dało się z nim wytrzymać. - Panowie, uszkodzone jest wszystkie siedem łopat. Powyżej trzech węzłów robimy hałas. Powyżej pięciu w ciągu kilku minut pójdą łożyska wału. Na silniku zaburtowym możemy pociągnąć dwa do trzech węzłów, ale znowu narobimy hałasu. Są uwagi? - Uwag nie było. Nikt na pokładzie nie wątpił w inżynierskie doświadczenie Ricksa. - Propozycje?

- Trudno coś tu wymyślić, prawda? - zauważył Szkot Claggett. Okręt należało trzymać blisko powierzchni, gdyż przy tym stopniu pogotowia załoga musi umieć w ciągu kilku minut wystrzelić rakiety balistyczne. Gdyby nie uszkodzenia "Maine" zanurkowałby w głębiny, chociażby po to, by uniknąć straszliwej huśtawki, jaką zafundowała załodze turbulencja powierzchniowa, lecz przy tej prędkości ponowne wyjście na powierzchnię zabrałoby zbyt wiele czasu.

- Jak daleko jest od nas "Omaha"? - zapytał pierwszy mechanik.

- Jakies sto mil. W bazie w Kodiak są również samoloty P-3... Na razie musimy się też martwić o tę rosyjską akulę - przypomniał Claggett. - Komandorze, możemy zacisnąć zęby i przeczekać.

- Z uszkodzoną jednostką? Nie, potrzebne nam wsparcie.

- Radio zdradzi naszą pozycję - sprzeciwił się zastępca Ricksa.

- Wypuścimy boję radiową.

- Odpełniemy od niej dwa węzły na godzinę? Niewiele nam to da. Komandorze, nie powinniśmy przerywać ciszy radiowej.

Ricks spojrzał pytająco na pierwszego mechanika, który orzekł:

- Ja tam wolałbym mieć teraz swoich koło siebie.

- Ja też - przytaknął dowódca. Przygotowania nie trwały długo. W ciągu niewielu sekund boja znalazła się na powierzchni i zaczęła wysyłać na UHF krótką wiadomość. Zasilacz pozwalał jej powtarzać transmisję przez wiele godzin.

- Musimy się liczyć z ogólną paniką - zaznaczył Fowler. Uwaga nie wymagała przesadnej

przenikliwości. Prezydent musiał już w tej chwili zmagać się z paniką w swoim własnym bunkrze i dobrze o tym wiedział. - Czy ktokolwiek nadawał już z Denver?

- Nic nie zauważyliśmy, ani na łączach telewizyjnych, ani w radiu - odpowiedział anonimowy głos z NORAD-u.

- Dobrze, nie wyłączajcie się - poprosił Fowler i odnalazł na konsoli kolejny guzik.

- Ośrodek dowodzenia FBI. Mówi inspektor O'Day.

- Tu prezydent - bez potrzeby przedstawił się Fowler. Światelko na tablicy w FBI przedstawiało rozmówcę aż nadto wyraźnie. - Kto kieruje ośrodkiem?

- Ja, zastępca wicedyrektora FBI. Murray. Jestem tu w tej chwili najstarszy stopniem.

- Macie łączność?

- Łączność jest w porządku, panie prezydencie. Mamy dostęp do satelitów wojskowych.

- Jedno, czego się obawiam, to paniki w skali całego kraju. Chcę jej zapobiec, więc niech pan wyśle ludzi do wszystkich sieci telewizyjnych. Niech jadą do ośrodków i wyjaśnią, że nie wolno niczego nadawać na temat Denver. Jeżeli będzie trzeba, proszę to udaremnić siłą.

Murrayowi nie podobało się to, co usłyszał.

- Ależ, panie prezydencie, to sprzeczne z...

- Ja też znam prawo, umówmy się od razu, byłem w końcu prokuratorem. Blokada jest potrzebna, by uchronić życie ludzkie i porządek publiczny, więc trzeba ją wprowadzić, panie Murray. Niech pan to traktuje jako rozkaz od prezydenta. Do roboty.

- Tak jest.



# PIERWSZA STYCZNOŚĆ

Firmy odnajmujące satelity komunikacyjne były co do jednej niezależne i nie patyczkowały się z konkurencją, lecz nie uważały konkurentów za wrogów. Właściciele satelitów zawierają między sobą umowy, noszące oficjalne miano traktatów. Zawsze bowiem może się zdarzyć, że któryś z orbitalnych przekaźników zamilknie, czy to z powodu uszkodzenia, czy też kolizji ze stale rosnącą ilością kosmicznych śmieci. Istniały zatem umowy wzajemne, przewidujące, że stacja, co utraciła satelitę, mogła korzystać z łącz konkurentów. Podobne zasady panują w gazetach miejskich; tradycyjnie udostępniają one konkurencji drukarnię w wypadku pożaru czy klęski żywiołowej. Praktycznego znaczenia przydawała traktatom sieć stałych połączeń telefonicznych pomiędzy dyrekcjami poszczególnych firm. Intelsat był pierwszym konsorcjum, które zadzwoniło do Telstara.

- Bert, dopiero co straciłem dwa ptaki - doniósł drżącym głosem dyżurny inżynier z Intelsatu. - Co jest?

- Co ma być, kurwa? My też zgubiliśmy trzy, Westar 4 i Teleglobe również milczą. Wyłączyły się wszystkie systemy. Sprawdzam uszkodzenia, a ty?

- Ja tak samo, Bert. Co to mogło być?

- Nie wiem, Stacy, Dziewięć satelitów szlag trafił. - Inżynier zastanowił się. - Co to było? Poczekaj, bo coś mi świta. Wiem, strzeliło oprogramowanie. Badamy właśnie nasz 301... Dostał impuls energetyczny... Jezu, a to co? 301 dostał impuls na stu częstotliwościach naraz! Ktoś chciał nam usmażyć satelitę!

- Czekaj, u nas też tak to wygląda. Ale kto?

- Przecież nie żaden radioamator... Żeby przysmażyć jeden kanał, potrzeba całych megawatów emisji.

- Bert, moje przyrządy pokazują dokładnie to samo. Łącza telefoniczne, no, w ogóle wszystko, dostało impuls. Spieszysz się, żeby włączyć systemy?

- Coś ty, śmieszny? Mam na orbicie sprzęt za parę miliardów. Dopóki się nie dowiem, co to za skurwysyn tak nam przygrzał, palcem nie kiwnę. Wiceprezes mojej firmy już tu jedzie. Prezes wyjechał, jest w Denver - dodał Bert.

- Mój prezes też pojechał na mecz, a główny inżynier nie może się przekopać przez zasy. Gówno, też się nie będę wychylał. Powinniśmy razem pilnować, co się będzie działo, Bert.

- Ze mną jak z dzieckiem, Stacy. Czekaj, przekręcę do Freda Kenta od Hughesa, zobaczymy, co on na to. Zanim wszystko posprawdzamy i przetestujemy systemy, zejdzie dobra chwila. Nie włączam niczego, dopóki się nie dowiem, tak na mur beton, co się stało. Musimy chronić mienie, chłopie.

- Zgoda. Niczego nie włączam bez porozumienia z tobą.

- Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz, co? - Masz jak w banku, Bert. Zadzwonię do ciebie za godzinę, obojętnie co się będzie działo.

Związek Radziecki jest krajem rozległym, pod względem powierzchni i długości granic największym na świecie. Wszystkie granice są pilnie strzeżone, jako że wiele razy Związek, a przed nim Rosja, padały w przeszłości ofiarą najeźdźców. W skład straży granicznej wchodziły zwyczajnie oddziały wojskowe, lotniska i stacje radarowe, a także bardziej wymyślne placówki, takie jak stacje nasłuchu radiowego. Nasłuch ma rejestrować depesze radiowe i wszystko, co dzieje się w eterze. Informacje z nasłuchu wędrują światłowodem lub radioliniami mikrofalowymi do ośrodka w



Moskwie, mieszczącego się na placu Dzierżyńskiego pod numerem drugim, w głównej siedzibie Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, czyli KGB. Śledzeniem transmisji radiowych i zabezpieczaniem linii przed podsłuchem zajmuje się Ósmy Zarząd Główny KGB, instytucja, która swoją długą i pełną osiągnąć historię zawdzięcza między innymi tradycyjnej rosyjskiej fascynacji wyższą matematyką. Związek między matematyką a szyframi jest najzupełniej logiczny. Dowiódł tego w ostatnich czasach brodaty, trzydziestoletni karzeł, zafascynowany harwardzkimi badaniami Mandelbrota, człowieka, który praktycznie sam jeden wymyślił geometrię fraktali. Młody rosyjski geniusz potrafił połączyć odkrycia Mandelbrota z pracami MacKenziego nad teorią chaosu na uniwersytecie w Cambridge, dzięki czemu udało mu się stworzyć nową epistemologię równań matematycznych. Garstka osób, które rozumiały, o czym im mówi Rosjanin, przyznawała natychmiast, że odkrycie zasługuje na Nagrodę Nobla. Przypadek zrzucił jednak, że ojcem matematyka był generał KGB z Wydziału Straży Granicznej, dzięki czemu KGB prędko dowiedziało się o pracach młodego człowieka. Matematyk mógł obecnie żądać od wdzięcznej ojczyzny, czego tylko zechciał i liczyć, że w przyszłości nie ominie go Medal Plancka.

Młody naukowiec dwa lata poszukiwał sposobu, by teoretyczny przełom wykorzystać w praktyce, lecz przed piętnastoma miesiącami udało mu się po raz pierwszy “odtworzyć” depeszę zaszyfowaną najtajniejszym kodem Departamentu Stanu, o nazwie PASEK. Pół roku później matematyk udowodnił już, że szyfr Departamentu Stanu opierał się na tej samej zasadzie, co inne kody amerykańskich sił zbrojnych. Po następnych sześciu miesiącach konsultacji z zespołem deszyfrantów, którzy mieli dostęp do informacji siatki szpiegowskiej Walkera i jeszcze ważniejszych danych Peltona, można już było mówić o systematycznej penetracji tajnych depesz amerykańskich. System był wciąż daleki od doskonałości. Bywało, że amerykańskie subkody z danego dnia okazywały się niemożliwe do złamania, ale zdarzyły się i takie trzy dni, kiedy grupa odszyfrowała ponad połowę wszystkich przechwyconych depesz. Wyniki poprawiały się z miesiąca na miesiąc. Największym kłopotem okazał się wręcz brak odpowiednio szybkiego komputera. Gdyby nie to, zespół mógłby odszyfrować znacznie więcej. Ósmy Zarząd gorączkowo szkolił nowych speców od języka, gdyż nie mógł podołać tej ilości pracy.

Siergiej Nikołajewicz Gotówko został obudzony z twardego snu i dowieziony do biura, dołączając tym samym do grona osób na całym świecie, których otrzeźwiła i przeraziła zarazem nowa sytuacja. Gołowko całe życie pracował dla Pierwszego Zarządu, śledząc meandry amerykańskiego życia na użytek władz kraju. Szyfrówki spływające mu od niedawna na biurko wydatnie mu w tym dopomagały.

Na biurku czekało już dobre trzydzieści depesz. Wszystkie mówiły, że siły strategiczne USA mają wprowadzić drugi stopień pogotowia, a wojska lądowe trzeci stan pogotowia. Pierwszy zastępca przewodniczącego KGB zrozumiał, że amerykański prezydent wpadł w panikę. Jak inaczej wytłumaczyć taką decyzję? Czy to możliwe, by to Związek Radziecki popełnił tę zbrodnię? Dla Gołowki była to najbardziej przerażająca myśl w życiu.

- Następną depesza, z morza - powiedział goniec, kładąc ją na biurku. Siergiej Nikołajewicz spojrział na nią tylko raz.

- Przesłać natychmiast marynarce wojennej.

Resztę depesz trzeba było przedstawić prezydentowi. Gołowko podniósł słuchawkę telefonu.

Choć raz radziecka biurokracja zadziałała prędko. Już po kilku minutach sygnał bardzo niskiej częstotliwości rozszedł się po wszystkich oceanach. Okręt podwodny “Admirał Łunin” wyszedł na powierzchnię, by odebrać pełną depeszę. Komandor Dubinin odczytywał kolejne linijki z dalekopisu.

AMERYKAŃSKI OKRĘT PODWODNY USS “MAINE” MELDUJE POŁOŻENIE 50.55.09”

PN, 153.01'.23". NAPĘD USZKODZONY W WYNIKU ZDERZENIA Z NIEZNANYM OBIEKTEM.

Dubin in opuścił przedział radiowy i pospieszył do stołu nawigacyjnego.

- Gdzie byliśmy, kiedy usłyszeliśmy to echo?

- Tutaj, komandorze. Namiar szedł stąd. - Nawigator nakreślił ołówkiem odpowiednią linię.

Dubin in z niedowierzaniem potrząsnął głową i podał oficerowi depeszę.

- Spójrzcie no tylko.

- Jak myślicie, co teraz robią?

- Będzie się trzymał powierzchni, więc... Podejdziemy blisko, tuż pod warstwą styku, jak najszybciej się da. Przy takich szumach powierzchniowych i tak nic nie usłyszą. Piętnaście węzłów.

- Myślicie, że płynęli za nami?

- Długo wam zabrało, żeby na to wpaść, co? - Dubin in wymierzył odległość od celu. - Straszny zarozumialec, ten ich kapitan, ale już my się nim zajmiemy. Znacnie te przechwałki Amerykanów o fotografiach kadłubów? Teraz, poruczniku, nasza kolej na pstrykanie zdjęć!

- Co to oznacza? - zapytał Narmonow pierwszego zastępcę.

- Nieznani sprawcy zaatakowali Amerykę. Atak był groźny i spowodował duże straty wśród ludności. Można się spodziewać, że Amerykanie wprowadzą pogotowie w siłach zbrojnych, chociażby po to, by utrzymać porządek publiczny - odrzekł Gołowko do słuchawki szyfrowego telefonu.

- Co dalej? - Dalej to, że, niestety, wszystkie ich rakiety strategiczne celują w naszą rodzinę.

- Przecież nie mieliśmy żadnego udziału w zamachu! - zdenerwował się radziecki prezydent.

- Zgadza się, ale zrozumcie, te procedury są automatyczne. Po to planuje się je długo naprzód, żeby przeszły w zwyczajny odruch. Kiedy ktoś człowieka zaatakuje, wskazana jest ostrożność. Posunięcia przewiduje się z góry właśnie po to, by w razie potrzeby szybko działać, a zarazem mieć czas na analizę całej sytuacji.

- To co robimy? - zwrócił się radziecki prezydent do swojego ministra obrony.

- Proponuję zwiększyć stopień pogotowia. Nadal, oczywiście, w celach obronnych. Ktokolwiek dokonał tego ataku, może przecież zrobić to samo z nami.

- Jazda - brzmiała prosta odpowiedź Narmonowa. - Najwyższe pogotowie czasu pokoju.

Gotówko po swojej stronie linii zmarszczył czoło i odruchowo, jak najstarannie dobierając słowa, wtrącił:

- Czy i ja mógłbym coś zaproponować?

- Mówcie - zezwolił minister obrony.

- Jeżeli to możliwe, dobrze byłoby powiedzieć naszym wojskom, jaka jest przyczyna alarmu.

Dzięki temu złagodzimy szok, kiedy jednostki dowiedzą się o rozkazie.

- Niepotrzebna komplikacja - brzmiała opinia ministra obrony.

- Amerykanie nie uczynili tego - napierał Gołowko - i, moim zdaniem, palnęli głupstwo. Proszę sobie wyobrazić, co myślą żołnierze, którym zamiast rutynowych zajęć wprowadza się nagle alarm bojowy. Wystarczy przesłać parę słów. Możemy w ten sposób wiele zyskać.

- Dobry pomysł - poparł go Narmonow i polecił ministrowi: - Wykonajcie. - Potem zauważył: - Wkrótce powinna się odezwać gorąca linia z Waszyngtonu. Ciekawe, co powiedzą?

- Trudno przewidzieć, ale i tak powinniśmy z góry przygotować odpowiedź, żeby ich trochę uspokoić, upewnić ich, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

Propozycja była sensowna. Narmonow skinął głową.

- No, to piszcie.

Radzieccy łącznościowcy wojskowi jęknęli na widok dostarczonego im tekstu depeszy. By maksymalnie ułatwić przekaz, tekst powinien ograniczać się do pięcioliterowej grupy kodowej, którą da się w mgnieniu oka przekazać, rozszyfrować i zrozumieć. Teraz jednak trzeba było skracać tasiemcową depeszę i wyrzucać niepotrzebne zdania. Major łączności uporał się z tym wreszcie, uzyskał aprobatę swojego zwierzchnika w randze generała dywizji i rozesłał depeszę przez trzydzieści osobnych linii łączności. Depeszę trzeba też było przykroić do potrzeb poszczególnych rodzajów wojsk.

”Admirał Łunin” płynął nowym kursem dopiero pięć minut, kiedy odebrano następny sygnał niskiej częstotliwości. Łącznościowiec dosłownie wbiegł do centrali, podając dowódcy depeszę.

OGÓLNY ALARM DRUGIEGO STOPNIA. W USA Z NIEZNANYCH PRZYCZYŃ EKSPLOZJA JĄDROWA. AMERYKAŃSKIE SIŁY STRATEGICZNE I KONWENCJONALNE MAJĄ POGOTOWIE BOJOWE. WSZYSTKIE OKRĘTY WYJŚĆ Z PORTU. ZASTOSOWAĆ NIEZBĘDNE ŚRODKI OBRONY.

- Z drzewa pospadali? - zwrócił się komandor do kartki papieru, lecz nie doczekał się odpowiedzi. - To wszystko?

- Wszystko, nie kazali nawet wystawiać anteny.

- Jak tu wykonać taką instrukcję? - pieklił się Dubinin. - Co to znaczy, “zastosować niezbędne środki obrony”? Mamy bronić siebie, bronić ojczyzny czy czego jeszcze, do kurwy?!

- Komandorze - wtrącił oficer wachtowy - przecież mamy dokładne przepisy o alarmie drugiego stopnia.

- Co, ja niby nie wiem? - warknął Dubinin. - Tylko czy je tutaj zastosować?

- Na pewno. Inaczej po co wysyłałoby sygnał?

Ogólny alarm drugiego stopnia nie miał precedensu w radzieckich siłach zbrojnych. Oznaczał bowiem, że choć kraj nie znajduje się w stanie wojny, nie jest już w stanie pokoju. Dubinin, jak każdy radziecki dowódca okrętu, dobrze znał swoje obowiązki, lecz przerażało go wszystko, co wiązało się z nowym rozkazem. Jednak odpędził od siebie złe myśli. Był oficerem marynarki. Rozkaz to rozkaz. Ten, kto wydał instrukcje, musi lepiej niż on orientować się w sytuacji. Dowódca “Admirała Łunina” wstał więc i zwrócił się do pierwszego oficera:

- Zwiększyć prędkość do dwudziestu pięciu węzłów. Załoga na stanowiska bojowe.

Wszyscy agenci rzucili się co sił w nogach do pracy. Nowojorskie biuro FBI, mieszczące się w wieżowcu Jacoba Javitsa przy Federal Plaza na południowym krańcu Manhattanu, wysłało wszystkie grupy na północ. Mały niedzielny ruch ułatwiał akcję. Silne samochody bez specjalnych oznaczeń, lecz wyposażone w syreny, popędziły do środkowej części wyspy, gdzie znajdują się centrale głównych sieci telewizyjnych USA. To samo wydarzyło się w Atlancie. Agenci wypadli z gmachu imienia Martina Luthera Kinga i ruszyli do dyrekcji CNN. Do dyspozytorni każdego ośrodka wmaszerowało co najmniej trzech agentów, którzy przedstawili nowe polecenia: ani słowa o tym, co się stało w Denver. Pracownicy żadnego z ośrodków nie mieli pojęcia, o co chodzi; mieli i tak urwanie głowy z odzyskiwaniem łączności. Podobne sceny odbyły się w Kolorado, gdzie na polecenie zastępcy specjalnego agenta okręgowego Waltera Hopkinsa, miejscowe FBI wdarło się do wszystkich filii krajowych sieci telewizyjnych i do centrali telefonicznej, w której, wbrew wściekłym protestom pracowników koncernu Bell, odcięli wszystkie połączenia międzymiastowe. Hoskins popełnił jednak błąd, wynikający z faktu, że za mało siedział przed telewizorem.

KOLD była niezależną stacją o mocarstwowym ambicjach. Podobnie jak TBS, WOR i kilka innych ośrodków, posiadała własne łącza satelitarne i obejmowała zasięgiem rozległe tereny. Zakup łącz był śmiałym przedsięwzięciem finansowym, które pogrążyło właścicieli po uszy w długach i ograniczyło do minimum budżet ośrodka, nadającego ze starego, pozbawionego okien gmachu na północny wschód od centrum miasta. KOLD korzystał z kanadyjskich satelitów z serii Anik, obejmujących zasięgiem Alaskę, Kanadę i północny pas Stanów Zjednoczonych. Na programy składały się przede wszystkim powtórki sprzed lat, odkupione od bogatszych sieci telewizyjnych.

Gmach KOLD mieścił niegdyś pierwszą stację telewizyjną w Denver, a zaprojektowano go według norm, które Federalna Komisja Łączności ustaliła jeszcze w latach trzydziestych. Monolit z żelazobetonu miał wytrzymać trafienie bombą lotniczą; normę ustalono w czasach przed wynalezieniem broni atomowej. Jedyne okna należały do pomieszczeń dyrekcji w południowej części budynku. Dziesięć minut po eksplozji jeden z techników mijał uchylone drzwi redaktora programowego. Zatrzymał się jak wryty, odwrócił się i pognął do redakcji dziennika. Minutę później kamerzysta wskakiwał już do towarowej windy, którą dało się wjechać na dach budynku. Obraz z kamery powędrował kablem do stołu rozdzielczego, a stamtąd przez przekaźnik do satelity Anik, co nietknięty impulsem elektromagnetycznym w najlepsze nadawał na całą Alaskę, Montanę, Dakotę Północną, Idaho i trzy prowincje kanadyjskie stare odcinki "Przygód Dobiego Gillisa". Śledząca film w Calgary w prowincji Alberta dziennikarka miejscowej gazety, która do tej pory nie mogła się odkochać w Dwayne Hickmanie, na widok transmisji z dachu i komentarza redaktora KOLD zadzwoniła od razu do pracy. Przejmujący komentarz dziennikarki powędrował natychmiast do agencji Reutera, a wkrótce potem sieć CBC przekazała obraz do Europy za pośrednictwem jednego ze swoich ocalałych satelitów Anik.

FBI w Denver zdążyło się zorientować, że przegapiło stację, i wysłało dwuosobowy patrol do gmachu KOLD. Agenci oznajmili dziennikarzom o blokadzie informacyjnej, nie zważając na argumenty o wolności słowa. Pierwsza poprawka do amerykańskiej konstytucji musiała skapitulować wobec nabitej broni agentów, którzy wyłączyli zasilanie nadajnika. Funkcjonariusze mieli tyle taktu, że przeprosili za to, co robią, lecz niepotrzebnie się fatygowali. Ich beznadziejna od początku misja, w tym momencie stała się już bezcelowa.

- No więc, co się dzieje, do cholery? - pytał Richards swoich sztabowców.

- Nie mamy pojęcia. Nie wiadomo, dlaczego ten stan pogotowia - rzekł niepewnym głosem oficer łączności.

- Jednym słowem, wisimy jak ta dupa? - Pytanie było retoryczne. "Theodore Roosevelt" z eskortą mijał właśnie Maltę i miał już w swoim zasięgu cele w Związku Radzieckim. Żeby do nich dotrzeć, pokładowe intrudery A-6E musiały wystartować, wspiąć się szybko na wysokość marszową i wkrótce potem uzupełnić w powietrzu paliwo, lecz tym sposobem mogły dolecieć do celów w pobliżu półwyspu Kercz. Jeszcze rok wcześniej amerykańskie lotniskowce, mimo pokaźnego zapasu bomb wodorowych, nie wchodziły w skład ZPO. ZPO, czyli Zintegrowany Plan Operacyjny, określa w szczegółach, w jaki sposób obrócić w gruzy Związek Radziecki. Z powodu redukcji liczby rakiet strategicznych, w większości rozmieszczonych w silosach na terenie USA, zmniejszyła się liczba dostępnych Pentagonowi głowic nuklearnych, toteż zwyczajem wszystkich planistów Połączony Sztab Planowania przy dowództwie sił strategicznych próbował na łapu capu załatać dziury. Skutek był taki, że ilekroć któryś z lotniskowców zbliżał się na odległość skutecznego rażenia celów w ZSRR, spadały na niego zadania ZPO. Dla lotników z "Theodore Roosevelt'a" oznaczało to, że kiedy tylko okręt minie Maltę, eskadra z konwencjonalnej stanie się nuklearną grupą uderzeniową. Aby wypełnić

misję "TR" miał na pokładzie, w specjalnym, pilnie strzeżonym magazynie, pięćdziesiąt bomb wodorowych B-61-Mod-8. Bomby IB-61 wyposażone były w system OMO, od słów Opcja Mocy Operacyjnej, zwany częściej "wybuchem na zamówienie", dzięki któremu dawało się regulować ich ostateczną moc w zakresie od dziesięciu do pięciuset kiloton. Wodorówki miały po cztery metry długości, średnicę trzydziestu centymetrów i opływowy pancierz, który zmniejszał opór powietrza. Każdy szturmowy A-6E mógł ich zabrać dwie, a dodatkowe zbiorniki paliwa zwiększały zasięg samolotu do półtora tysiąca kilometrów. Dziesięć bomb B-61 odpowiadało salwie całego dywizjonu rakiet balistycznych Minuteman. Samoloty z lotniskowca miały atakować radzieckie cele morskie, zgodnie z zasadą, w myśl której ludzie częściej niż obcych zabijają ludzi z własnej branży. Jedna z instrukcji planu przewidywała więc, na przykład, obrócenie w radioaktywną kałużę stoczni w Nikołajewie u ujścia Dniepru. Z pochylni tej właśnie stoczni spłynął na wodę radziecki lotniskowiec "Kuzniecowa".

Dodatkowego kłopotu nastroczał dowódcy okrętu fakt, że zwierzchnik grupy uderzeniowej, admirał floty, wyleciał akurat do Neapolu na naradę z dowódcą amerykańskiej Szóstej Floty. Richards został sam na gospodarstwie.

- Gdzie nasi przyjaciele? - zapytał teraz.

- Ciągną dwieście pięćdziesiąt mil za nami - poinformował go oficer operacyjny. - Za blisko.

- Przydałoby się rozejrzeć - wtrącił Jackson i postukał palcem w mapę. - Wezmę dwie maszyny i pokręcę się do tego punktu, zobaczę czy nikt się nam nie dobiera do tyłka.

- Tylko się nie wygłupiaj, Rób.

- Nie pękaj, Ernie. - Jackson podszedł do telefonu i połączył się z dyżurującymi pilotami. - Kto czeka? Świetnie. Skoczę tylko po kombinezon i hełm.

- Panowie - przypomniał Richards, kiedy Jackson wyszedł - ponieważ jesteśmy na wschód od Malty, automatycznie weszliśmy w skład sił ZPO. DEFCON-DWA dotyczy nas jako grupy strategicznej, więc jeśli ktoś zapomniał regulaminu działań w rygorze DEFCON-DWA, niech sobie raz dwa odświeży pamięć. Jeśli ktokolwiek nam zagrozi, albo jeżeli my uznamy, że nam zagraża, wejść do walki i zniszczyć na moją odpowiedzialność, jako dowódcy grupy uderzeniowej. Są pytania?

- Przecież nie mamy pojęcia, co się dzieje - przypomniał operacyjny.

- Fakt. Najpierw myśleć, potem strzelać, ale powtarzam, żarty się skończyły. Dzieje się coś złego, a nas postawiono w DEFCON-DWA. Na głównym pokładzie, w mroku bezchmurnej nocy, Jackson udzielił instrukcji komandorowi porucznikowi Sanchezowi i obu radarowcom. Szefowie mechaników poprowadzili obie załogi do maszyn, które czekały już na katapultach. Jackson i Walters wsiedli do swojego tomcata, mechanik pomógł im się przypiąć, po czym zniknął, zabierając drabinkę. Komandor Jackson przygotował samolot do startu, sprawdzając, jak zachowują się silniki na jałowym biegu. Ich F-14D miał w tej chwili pod skrzydłami cztery rakiety Phoenix naprowadzane radarowo i cztery side-windery wychwytyjące promieniowanie cieplne.

- U ciebie wszystko gotowe, Pilnik? - zapytał Jackson.

- Jazda, szefie - potwierdził Walters.

Robby popchnął obie manetki gazu do oporu, a potem przesunął je za punkt neutralny, na dopalacz i dał ręką znak oficerowi obsługującemu katapultę. Oficer sprawdził, czy pokład jest pusty i zasalutował startującemu komandorowi.

Jackson odsalutował, opuścił rękę na drążek sterowy i wtulił głowę w oparcie fotela. Sekundę później świecąca pałka dowódcy katapulty dotknęła pokładu. Bosman nacisnął guzik, wpuszczając do maszyny strumień pary.

Jackson, choć tyle lat startował z lotniskowców, nigdy nie mógł przestawić zmysłów na tak szybkie tempo. Przyspieszenie katapulty wgniotło mu gałki oczne w głąb czaszki. Jasny pas pokładu zniknął jak zdmuchnięty, a ogon maszyny opadł - byli w powietrzu. Pilot upewnił się, że samolot rzeczywiście się wznosi i dopiero wtedy wyłączył dopalacz. Natychmiast wciągnął podwozie i klapy, by powoli zacząć się wspinać na ustaloną wysokość. Kiedy wychodził na trzysta metrów, dogonił go samolot Buda Sancheza i Lobo Alexandra.

- Radary mamy z głowy - zauważył Pilnik, spoglądając na przyrządy. W ciągu kilku sekund grupa uderzeniowa z lotniskowca wyłączyła wszystkie urządzenia radiolokacyjne, aby nikt nie mógł zorientować się w położeniu armady, ukrytej w elektronicznym szumie.

Jackson uspokoił się i powtarzał sobie w duchu, że cokolwiek by się działo, skończy się pewnie na strachu. Nocna widoczność była wspaniała, a im wyżej się wspinali, tym szerszy roztaczał się widok zza panoramicznej szyby myśliwca. Gwiazdy zmieniły się w świetlne punkciki i kiedy pilot wyszedł na dziesięć tysięcy metrów, prawie przestały mrugać. W oddali widać było stroboskopowe światła ostrzegawcze samolotów pasażerskich i wybrzeża pół tuzina krajów. Jacksonowi przyszło do głowy, że podobna noc może nawet wiejskiego gbura zamienić w poetę. Dla takich chwil jak ta warto było zostać pilotem. Komandor skręcił na zachód, a Sanchez podążył natychmiast za nim. Piloci ujrzeli przed sobą wał chmur, który przesłonił większość gwiazd.

- Dobra, rzućmy okiem - rozkazał Jackson.

Radarowiec włączył swój sprzęt. Ich F-14D został niewiele wcześniej wyposażony w nowy radar firmy Hughes, zwany NPW, od słów "niskie prawdopodobieństwo wykrycia". Choć NPW zużywał mniej prądu niż jego poprzednik AWG-9, odznaczał się wyższą czułością, a jego sygnałów nie dawało się tak łatwo przechwycić. Polepszyła się także zdolność radaru do wykrywania celów na niskim pułapie.

- Mam ich - zameldował Walters. - Ładnie idą, pierścieniem.

- Mają parasol?

- Nie, ale idą pod radarami.

- Dobra, za parę minut zaczniemy kołować.

Pięćdziesiąt mil morskich za nimi startował z katapulty numer dwa samolot wczesnego ostrzegania E-2C Hawkeye. Za nim rozgrzewały już silniki dwa powietrzne tankowce KA-6 i następne myśliwce. Tankowce miały zadanie jak najszybciej spotkać się z myśliwcami Jacksona i uzupełnić w nich paliwo, dzięki czemu dowódca grupy mógł czuwać w powietrzu następne cztery godziny. Najważniejszy był jednak E-2C, który całą mocą silników wspinał się teraz, lecąc w kierunku swojego dozoru pięćdziesiąt mil od macierzystego okrętu. Na ośmiu tysiącach metrów obsługa włączyła główny radar, a trzech operatorów zaczęło katalogować odbierane echa. Dane szły przez komputerowe łącze bezpośrednio do lotniskowca i do Stetsona, jak brzmiał kryptonim oficera obrony przeciwlotniczej na pokładzie krążownika USS "Thomas Gates", wyposażonego w system Aegis.

- Mały ruch, szefie.

- W porządku, jesteśmy na pozycji. Pokręćmy się trochę i rozejrzyjmy. - Jackson pochylił samolot w szerokim zakręcie. Dotykali się prawie skrzydłami z Sanchezem.

Pierwszy dostrzegł formację hawkeye. Leciąca prawie dokładnie pod Jacksonem i jego partnerem, niewidoczna dla pokładowych radarów obu F-14.

- Stetson, tu Sokół-dwa, czterech typów na ulicy, zamiar dwa osiem jeden, odległość sto mil. - Ta ostatnia liczba dotyczyła odległości wroga od lotniskowca.

- Sygnał rozpoznawczy?

- Żadnego. Prędkość formacji czterysta, pułap dwieście, kurs jeden trzy pięć.
- Wzmocnić - rozkazał dowódca obrony przeciwlotniczej.
- Widzę, Stetson. Lecą luźnym kluczem - informował obserwator z pokładu hawkeye. -

Przypuszczalnie myśliwce.

- Złapałem coś - zorientował się Pilnik minutę później. - Równo pod nami, dwa, nie, poczekaj, cztery samoloty, lecą na południowy wschód.

- Czyje?

- Na pewno nie nasze.

Nikt w centrali bojowej lotniskowca "Theodore Roosevelt" nadal nie miał pojęcia, co się stało, choć sztabowcy z działu rozpoznania wychodzili ze skóry, żeby poznać przyczynę alarmu. Dotychczas zorientowali się jedynie, że przestała działać większość cywilnych satelitów komunikacyjnych. Wojskowe łącza satelitarne pracowały za to bez zarzutu. Dalsze elektroniczne konsylium wykazało, że z nieznanymi przyczynami nie działają cywilne łącza telewizyjne i telefoniczne. Operatorzy byli tak przyzwyczajeni do najbardziej wyrafinowanych kanałów łączności, że dopiero zwykły chorąży sztabowy wpadł na pomysł, by przeczesać audycje radiowe na falach krótkich. Pierwszą złapaną stacją było BBC. Wiadomość została nagrana i migiem przekazana do centrali bojowej. Londyński spiker odczytywał informację pewnym i spokojnym głosem, z którego słyną pracownicy British Broadcasting Corporation:

- Agencja Reutera podaje, że w środkowej części Stanów Zjednoczonych nastąpił wybuch jądrowy. Telewizja KOLD z Denver w stanie Kolorado (Anglicy mają nieodmiennie kłopoty z nazwami amerykańskich stanów) przekazała za pośrednictwem satelity zdjęcia grzyba atomowego nad Denver i komentarz mówiący o ogromnej eksplozji. Stacja KOLD wkrótce potem przestała nadawać, a próby połączenia się z Denver telefonicznie nie przyniosły rezultatu. Władze nie wydały dotychczas jakiegokolwiek komentarza na temat tego wydarzenia.

- Jezus Maria - wyszeptał ktoś w imieniu wszystkich. Komandor Richards omiół spojrzeniem swoich sztabowców.

- Panowie, wiemy już, dlaczego ogłoszono DEFCON-DWA. Wysłać więcej myśliwców, F-18 przed szyk, czternastki za rufę. Podwiesić B-61 pod cztery A-6 i wskazać pilotom cele zgodnie z planem strategicznym. Uzbroić dywizjon osiemnastek w rakiety powietrze-woda i zacząć planowanie nalotu na grupę uderzeniową "Kuzniecow".

- Komandorze - rozległo się w głośniku - Falcon donosi, że w naszą stronę lecą cztery obce samoloty.

Richards miał tuż za sobą główny ekran taktyczny, radarową tarczę o metrowej średnicy. Cztery nowe echa widniały na niej jako odwrócone litery V, których wierzchołek wskazywał kierunek lotu. Formacja mogła minąć okręty w odległości dwudziestu mil morskich - zupełnie wystarczającej, by odpalić rakiety powietrze-woda.

- Niech Pik natychmiast identyfikuje tych bandytów!

- Zbliżyć się i zidentyfikować - padło polecenie z pokładu hawkeye.

- Zrozumiałem - rzucił Jackson w mikrofon. - Bud, na boki.

- Zrozumiałem. - Komandor porucznik Sanchez przesunął drążek w lewo, zwiększając odległość od maszyny dowódcy. Nowy szyk, zwany "swobodnym Georgem", pozwalał samolotom wspierać się wzajemnie bez ryzyka, że zostaną zaatakowane równocześnie. Kiedy Sanchez odsuwał się, oba samoloty pikowały już, osiągając pełną szybkość. Po kilku sekundach tomcaty przekroczyły prędkość dźwięku.

- Broń wycelowana - oznajmił Pilnik pilotowi. - Włączam obwody wizji.

Tomcaty mają na pokładzie proste urządzenie rozpoznawcze w postaci kamery z teleskopem o dziesięciokrotnym przybliżeniu, działającej równie dobrze w dzień, jak i w nocy. Kapitan Walters umiał podłączyć kamerę do systemu radarowego. Cztery kropki na ekranie zaczęły szybko rosnąć. Tomcaty były coraz bliżej przeciwnika.

- Podwójne stateczniki ogonowe.

- Sokół, tu Pik. Przekażcie na pokład, że mamy kontakt optyczny, na razie nic więcej, zbliżamy się.

Major Piotr Arabow nie czuł żadnego nadzwyczajnego zdenerwowania. Jako instruktor lotniczy uczył właśnie trójkę Libijczyków sztuki nocnych lotów nad wodą. Przed pół godziną ich formacja okrążyła wioskę wyspę Pantellerię i zawróciła w stronę macierzystego lotniska pod Trypolisem. Nocny lot w ciasnym szyku okazał się dla trójki Libijczyków trudny, choć każdy z adeptów wylatał już na tego typu samolotach po trzysta godzin. Loty nad wodą należą do najbardziej niebezpiecznych, lecz na szczęście dzisiejsza noc sprzyjała nauce. Rozgwieżdżone niebo pozwalało dojrzeć horyzont. Arabów był zdania, że naukę trzeba zaczynać stopniowo i od wysokiego pułapu. Na temat talentów swoich podopiecznych miał zdanie nie lepsze niż amerykańscy piloci morscy, którzy parokrotnie starli się z Libijczykami. Nie narzekał jednak, bo jego trójka chciała się przynajmniej czegoś nauczyć, a ich zasobna w ropę naftową ojczyzna wyciągnęła wnioski z klęski Iraku. Władze zdecydowały, że jeśli już mieć własne lotnictwo, to dobrze wyszkolone. ZSRR mógł dzięki temu sprzedać znacznie więcej migów-29, mimo że porozumienia mocno ograniczyły dostawy tego sprzętu dla sąsiadów Izraela. Major Arabów z kolei mógł zarobić trochę twardej waluty.

Instruktor spojrział w prawo i w lewo, oceniając formację. Szyk nie był zbyt ciasny, lecz dobre i to. Samolot chodził ciężko, obciążony dwoma zapasowymi zbiornikami paliwa pod każdym skrzydłem. Zbiorniki były wyposażone w stateczniki na dobrą sprawę przypominały bomby.

- Mają ładunek, szefie. Dam głowę, że to migi-29.

- Rzeczywiście - potwierdził Jackson, patrząc w ekran. - Pokład, mówi Pik, odbiór.

- Mów. - Dzięki cyfrowym liniom łączności Jackson mógł wyraźnie rozpoznać głos komandora Richardsa.

- Pokład, zidentyfikowaliśmy tych typów. Cztery migi-29. Mają coś pod skrzydłami. Kurs, prędkość i pułap bez zmian.

W słuchawkach zapanowała na sekundę cisza.

- Spuścić.

Jackson poderwał głowę znad tablicy.

- Pokład, powtórz.

- Pik, tu pokład. Zestrzelić bandytów. Potwierdź.

Jackson wiedział, że kryptonim "bandyci" oznacza samoloty przeciwnika w czasie wojny. Richards musiał dostać nowe wiadomości.

- Zrozumiałem, przechodzę do ataku. Wyłączam się. - Jackson zmienił częstotliwość. - Bud, leć za mną, atakujemy.

- O, kurwa! - podniecił się Pilnik. - Propozycja, nacelować dwa phoenixy, prawą i lewą parę.

- Zezwalam - odrzekł Jackson, ustawiając przełącznik uzbrojenia na szczycie drążka sterowego w pozycję AIM-54. Kapitan Walters programował już rakiety w taki sposób, by ich radary włączyły się dopiero jedną milę morską od celu.

- Gotów. Odległość piętnaście tysięcy. Pociski uzbrojone.

Znaki wyświetlane na szybie przed oczami Jacksona wskazywały, że wszystko odbywa się



prawidłowo. Brzęczyk w słuchawkach poinformował pilota, że pierwsza rakietą jest gotowa do strzału. Jackson nacisnął spust, odczekał sekundę i nacisnął go po raz drugi.

- O, rany! - wystraszył się Michael Alexander, czyli Lobo, w oddalonej o kilkaset metrów drugiej maszynie.

- Weź się w garść - warknął na niego Sanchez.

- Horyzont czysty. Nikt nam nie siedzi na piecach.

Jackson zamknął oczy, by nie oślepił go żółto-biały płomień z dysz pocisków raketowych. Rakiety odskoczyły od samolotu i przyspieszając do pięciu tysięcy kilometrów na godzinę, półtora kilometra na sekundę, ruszyły w stronę przeciwnika. Jackson kładł już samolot do następnego ataku na wypadek, gdyby phoenixy z jakiejś przyczyny zawiodły.

Arabow znów spojrzął na przyrządy. Żadnych niepokojących sygnałów, wykrywacz radarów rejestrował jedynie pracę naziemnych sieci przeciwlotniczych, choć kilka minut wcześniej jedno z ech zniknęło nagle z ekranu. Jeśli nie liczyć tego faktu, lot był zwykłą wycieczką ćwiczebną, w prostej linii, bez zmian wysokości, od punktu A do B. Pokładowe wykrywacze nie zauważyły emisji z radaru NPW na pokładzie tomcata, który od pięciu minut ścigał cztery maszyny libijskie. Za to natychmiast zauważyły radar naprowadzający raketę phoenix na cel.

Na konsoli rozblęła jasna czerwona lampka, a uszy rozdarł sygnał alarmowy. Arabow omiótł konsolę wzrokiem. Przyrządy działały prawidłowo, ale przecież... W następnym odruchu odwrócił głowę. Zdążył jeszcze zobaczyć półksiężyc żółtego światła i tłącą się wśród gwiazd, widmową smugę dymu, a potem rozblęsk.

Rakietą wycelowana w prawą parę samolotów eksplodowała dosłownie metr od maszyn. Rozpryskujące się od wybuchu sześćdziesięciokilowej głowicy odłamki metalu przecięły powietrze, rozszarpując oba migi, Ten sam los spotkał drugą parę samolotów. Powietrze wypełnił naraz płonący obłok benzyny lotniczej, przetykany wirującym żelazem. Trzech pilotów zginęło natychmiast; jedynie Arabow zdążył się katapultować z rozpadającej się maszyny. Spadochron otworzył się zaledwie siedemdziesiąt pięć metrów nad wodą. Rosyjski major, który od niespodziewanego szoku katapultowania stracił przytomność, ocalenie życia zawdzięczał projektantom, świadomym, że urządzenie ma ratować życie rannym pilotom. Nadmuchiwany kołnierz kapoka utrzymywał Arabowowi głowę nad wodą, nadajnik UHF zaczął wysyłać sygnały alarmowe do śmigłowców ratunkowych, a ciemne fale rozświetlił potężny, sinobiały snop z wirującej lampy stroboskopowej. Wokół majora unosiło się na wodzie zaledwie kilka plam płonącej benzyny, nic więcej.

Jackson obserwował kolejne fazy eksplozji. Prawdopodobnie ustanowił swoją salwą nowy rekord świata, lecz zestrzelenie czterech maszyn nie wymagało od niego kunsztu. Jak w Iraku, przeciwnik nie miał pojęcia, że znalazł się w ogniu walki. Każdy żółtodziób z aeroklubu umiałby powtórzyć ten wyczyn. Wojna przypominała Jacksonowi rzeź. Wojna? -zapytał sam siebie. Ale czy trwa wojna? Nie wiadomo było nawet, co się dzieje.

- Straciłem cztery migi - zameldował przez radio. - Pokład, tu Pik, straciłem cztery. Wracam w pobliże tankowca, musimy nabrać paliwa.

- Zrozumiałem, Pik. Masz tankowce nad głową. Odebrałem, że cztery strącone.

- Hej, Pik, co się tam, kurwa, dzieje? - zapytał teraz kapitan Walters.

- Sam chciałbym wiedzieć - odburknął Jackson, zastanawiając się, czy oddał pierwsze strzały w nowej wojnie. W jakiej znowu wojnie?

Keitel, choć nie żałował gardła obsobaczając oficerów, musiał przyznać, że radziecki pułk pancerny jest wyszkolony jak mało który. Czołgi, potężne T-80, wyglądały trochę jak zabawki.

Wrażenie to powodowały klocki pancerza reaktywnego na wieży i przodzie, lecz i tak niskie sylwetki wozów sprawiały groźne wrażenie, a długie lufy armat kalibru 125 mm nie pozostawiały wątpliwości, do czego służą pancerne pojazdy. Rzekomi inspektorzy rozdzielili się na trzyosobowe grupki. Najbardziej niebezpieczne zadanie przypadło Keitlowi, jako że kroczył razem z dowódcą pułku. Idąc za nim, Keitel, vel pułkownik Iwanienko, spojrzął na zegarek.

Dwieście metrów od nich Günther Bock i dwóch byłych oficerów ze Stasi podeszło właśnie do załogi wsiadającej do jednego z czołgów.

- Stać! - krzyknął po rosyjsku jeden z Niemców.
- Rozkaz – odpowiedział dowódca czołgu, kapral.
- Wysiadać. Kontrola wozu.

Dowódca, działonowy i kierowca wyprężyli się przed czołgiem. Wokół nich reszta załóg zatrzaskiwała już włazy. Bock odczekał, aż zamknie się ostatni z nich, po czym zastrzelił Rosjan z pistoletu z tłumikiem. Niemcy wrzucili bezwładne ciała pod czołg. Bock zasiadł na krzeselku działonowego i odnalazł dźwignie, których położenia wyuczył się na pamięć przed akcją. Tysiąc dwieście metrów od nich, zaparkowane bokiem do ich czołgu, stały amerykańskie M1A1, do których również wskakiwały właśnie załogi.

- Zapuszczam - zameldował przez telefon czołgowy kierowca. Dieslowski silnik ożył i ryknął w zgodnym chórze z sąsiadami.

Bock przesunął wskaźnik podajnika automatycznego na statecznikowy pocisk przeciwpancerzy z rdzeniem uranowym i nacisnął guzik urządzenia. Automat otworzył zamek armaty i wcisnął pocisk oraz łuskę z ładunkiem miotającym. Zamek zatrzasnął się sam, ku uciesze Bocka, który przyciągnął do siebie celownik i wybrał sobie jeden z amerykańskich czołgów. Nie było to trudne, bo nad parkiem czołgowym Amerykanów płonęły wszystkie latarnie. W ten sposób wartownikom łatwiej było zauważyć intruzów. Laserowy dalmierz podał dokładną odległość. Bock nakierował na cel odpowiednią linię, podnosząc nieco lufę armaty. Nie brał poprawki na znoszenie, jako że noc była zupełnie bezwietrzna. Niemiec znów spojrzął na zegarek i odczekał, aż duża wskazówka minie dwunastą. Kiedy nacisnął guzik urządzenia spustowego, T-80 szarpnął do tyłu. Strzał oddały także trzy inne radzieckie czołgi. Skutki okazały się imponujące: Bock widział, jak jego pocisk uderza w przedział amunicyjny w tylnej części wieży abrams. Czterdzieści pocisków eksplodowało natychmiast i choć lekkie kłapy skierowały siłę wybuchu do góry, pocisk rozdarł też ochronne przeciwpożarowe drzwi wewnątrz wieży. Załoga spłonęła żywcem, a czołg wartości dwóch milionów dolarów, wraz z parą innych, obrócił się w brązowo-zielony wulkan.

Stojący sto metrów na północ dowódca pułku zamarł w pół zdania, z niedowierzaniem odwracając się w kierunku, skąd padł strzał.

- Co jest?! - zdołał jeszcze krzyknąć, nim Keitel przestrzelił mu potylicę.

Bock zdążył już odpalić drugi pocisk, prosto w przedział silnikowy następnego czołgu. Zanim choć jeden amerykański działonowy zdążył wprowadzić pocisk do lufy, płonęło już siedem abramsów M1A1. Wreszcie jednak wśród pokrzykiwania dowódcy potężna wieża zaczęła się odwracać w stronę radzieckich koszar. Bock spostrzegł obrót wieży i przesunął na nią celownik. Jego pocisk chybił, lecz ugodził amerykański czołg z następnego szeregu. Chybił również zdenerwowany amerykański działonowy. Natychmiast przeładował jednak armatę i rozpruł T-80, stojący dwie maszyny od czołgu Bocka. Günther postanowił nie zaczynać z takim przeciwnikiem.

- Strzelają do nas! Odpowiedzieć ogniem, natychmiast! - krzyczyli do mikrofilmów swoich radiostacji "radzieccy" dowódcy.

Keitel podbiegł do pojazdu dowodzenia i zawołał:

- Jestem pułkownik Iwanienko. Wasz dowódca nie żyje, ruszcie się! Zgniećcie tych skurwysynów, zanim nam nie rozwalą reszty pułku!

Oficer sztabowy zawahał się, głównie dlatego, że nie miał pojęcia, co się dzieje. Słyszał tylko wystrzały z armat czołgowych. Rozkaz padł jednak z ust pułkownika. Podniósł więc mikrofon, wszedł na batalionową linię dowodzenia i przekazał instrukcję.

Jak można się było spodziewać, na mgnienie akcja obu stron zachwiała się. Płonęło już dziesięć amerykańskich czołgów, lecz cztery inne odpowiedziały z własnych armat. Wtedy otworzyły ogień pozostałe czołgi radzieckie, rozsadzając trzy manewrujące Abramsy. Czołgi z tylnego szeregu postawiły zasłonę dymną i zaczęły się wycofywać, natomiast tyraliera radzieckich T-80 wyszła do przodu na otwartą przestrzeń. Na placu pozostało ich tylko siedem, z których cztery się paliły. Zanim tyraliera dojechała do miejsca, gdzie niegdyś ciągnął się mur, od trafień stanęła w ogniu następna para T-80.

Keitel był szczęśliwy, że doczekał tej chwili. Nieważne, co wymyślił Günther. Najważniejsze, że Amerykanie i Rosjanie mordują się wzajemnie.

Admirał Joshua Painter powrócił do sztabu floty atlantyckiej dokładnie w chwili, kiedy nadeszła depecha z pokładu "Theodore'a Roosevelta".

- Kto dowodzi grupą uderzeniową?

- Admirale, dowódca grupy poleciał do Neapolu, jego obowiązki przejął komandor Richards - oznajmił szef rozpoznania. - Meldowali o dostrzeżeniu czterech uzbrojonych migów lecących kursem na zbliżenie. Mamy DEFCON-DWA, więc Richards kazał je zestrzelić jako potencjalnego napastnika.

- Czyje migi zestrzelił?

- Pewnie z pokładu "Kuzniecowa".

- Zaraz, chwileczkę, jak to DEFCON-DWA?

- "Roosevelt" minął już Maltę, admirale. Działają jako siły strategiczne - przypomniał oficer operacyjny floty.

- Czy ktokolwiek w ogóle wie, co się dzieje?

- Na pewno nie ja - odpowiedział szczerze szef rozpoznania floty.

- Połączcie mnie, żebym mógł pogadać z Richardsem. - Painter nagle coś sobie przypomniał. - Jakie są instrukcje dla floty?

- Wszystko, co stoi przy nabrzeżach, ma natychmiast wyjść w morze. Zwykła procedura.

- Dobrze, ale dlaczego ogłoszono DEFCON-TRZY?

- Tego nam nikt nie powiedział.

- Pięknie. - Painter wdział przez głowę sweter i zawołał, by mu przyniesiono kawy.

- "Roosevelt" na dwójce, sir - zapowiedziano przez interkom. Painter wcisnął klawisz i przełączył linię na głośnik.

- Dowódca floty.

- Tu Richards, sir.

- Co u was?

- Od piętnastu minut jesteśmy w DEFCON-DWA. Klucz migów-29 leciał prosto na nas, kazałem zestrzelić.

- Dlaczego?

- Wyglądały na uzbrojone, poza tym odebraliśmy depechę radiową o wybuchu.

- O wybuchu? - Painter poczuł, że przeszedł go dreszcz.

- BBC doniosło o wybuchu jądrowym w Denver. Mówili, że miejska stacja telewizyjna, która przesłała wiadomość, zaraz potem zamilkła. Zaryzykowałem, mając takie informacje. Przejąłem dowództwo grupy, jestem tu najstarszy stopniem. Admirale, jeżeli nie ma pan więcej pytań, muszę się brać do roboty.

Painter sam wiedział, że nie wolno mu przeszkadzać Richardsowi.

- Tylko uważaj, co robisz, Ernie. Uważaj, co robisz, do diabła. - Rozkaz, sir. - Richards rozłączył się.

- Wybuch jądrowy? - zapytał szef rozpoznania.

Painter dysponował połączeniem z Narodowym Centrum Dowodzenia i skorzystał z niego.

- Tu dowódca Floty Atlantyckiej.

- Melduje się komandor Rosselli.

- W USA był wybuch jądrowy?

- Potwierdzam, sir. W rejonie Denver. Obrona powietrzna oblicza moc na kilkaset kiloton, są duże ofiary. Więcej nic nie wiemy. Nie powiadomiliśmy jeszcze reszty wojsk.

- No, to mam dla was następną wiadomość. "Theodore Roosevelt" zaatakował i zestrzelił atakującą formację czterech migów-29. Informujcie mnie, co się dzieje. Z braku innych instrukcji wysłałam w morze wszystkie okręty.

Bob Fowler pił już trzecią filiżankę kawy, przeklinając w duchu, że niby jakiś Arenie Bunker wypił cztery mocne niemieckie piwa. W tej chwili, oprócz innych rzeczy obawiał się także tego, że podwładni poczują od niego alkohol. Rozsądek podpowiadał mu, że chociaż piwo mogło mu zamącić w głowie, pił je parę godzin temu, a co za tym idzie, naturalne procesy w połączeniu z kawą usunęły już albo prawie usunęły trunek z organizmu.

Po raz pierwszy w życiu Fowler dziękował losowi, że jego żona nie doczekała tej chwili. Pamiętał godziny spędzone u jej wezłowania, długą, agonię ukochanej Marianny. Wiedział dobrze, czym są nieszczęście i żal; powtarzał więc sobie, że choć śmierć tysięcy osób w Denver musiała być straszna, nie wolno teraz o niej myśleć. Nie można pozwolić, by zginęli następni ludzie.

Fowler uznał, że jak do tej pory nieźle sobie radzi z sytuacją. Błyskawicznie przeciął łącza agencji prasowych. Panika na skalę kraju nie była miłą perspektywą. Siły zbrojne postawiono w stan pogotowia, dzięki czemu udało się zapobiec następnemu atakowi lub przynajmniej odwlec go w czasie.

- Panowie - oświadczył przez telefon generałom z obrony powietrznej i sił strategicznych - spróbujmy podsumować wszystko, co się wydarzyło.

Pierwszy odezwał się NORAD:

- Panie prezydencie, odnotowaliśmy pojedynczy wybuch jądrowy o mocy kilkuset kiloton. Jak dotąd brak meldunków z miejsca eksplozji. Nasze siły. przeszły w stan ostrego pogotowia. Zamilkły łącza satelitarne...

- Dlaczego? - przerwała Liz Elliot. Głos drżał jej bardziej niż Fowlerowi. - Czym to wytłumaczyć?

- Nie wiemy. Mógłby to spowodować wybuch jądrowy w przestrzeni kosmicznej przez działanie impulsu elektromagnetycznego. Kiedy bomba jądrowa eksploduje na dużej wysokości, większość energii wyzwala się w postaci promieniowania elektromagnetycznego. Rosjanie wiedzą więcej od nas o praktycznych skutkach takich wybuchów, zebrali dane podczas prób jądrowych na Nowej Ziemi w latach sześćdziesiątych. Nie mamy jednak żadnych informacji o takim wybuchu, a przecież musielibyśmy go zauważyć. Atak jądrowy na nasze satelity możemy zatem wykluczyć.

Następna możliwość to atak z ziemi za pomocą ciosu energią elektromagnetyczną. Owszem, Rosjanie wsadzili masę pieniędzy w eksperymenty z bronią mikrofalową, a na południowym Pacyfiku mają statek z mnóstwem anten. Nazywa się "Jurij Gagarin" i dozoruje loty kosmiczne, więc ma na pokładzie cztery ogromne, bardzo czułe anteny. Obecnie "Gagarin" płynie pięćset kilometrów od wybrzeży Peru, a więc w zasięgu uszkodzonych satelitów. Rosjanie twierdzą, że statek wspomaga kosmonautów na pokładzie stacji orbitalnej Mir. Na tym kończą się nasze hipotezy. Jeden z moich oficerów łączy się w tej chwili z koncernem Hughesa, dowiedzieć się, co oni sądzą na ten temat.

Poza tym nadal próbujemy uzyskać od kontrolerów lotu na Stapleton taśmy, żeby się przekonać, czy bomby nie zrzucono z samolotu. Czekamy też na wiadomości od ekip ratunkowych i reszty grup wysłanych na miejsce wybuchu. To wszystko, co wiemy.

- My z kolei poderwaliśmy z ziemi dwa skrzydła lotnicze, a następne już wchodzą do akcji - zameldował dowódca SAC. - Wszystkie dywizjony moich rakiet strategicznych są w pełnej gotowości, mój zastępca krąży w powietrzu na pokładzie "Zwierciadła-Zachód", a zapasowy "Anioł" startuje właśnie, żeby zabrać pana na pokład.

- Co dzieje się w Związku Radzieckim?

- Ogłosiła pogotowie ich obrona powietrzna, ale mówiliśmy już na ten temat - odrzekł generał Borstein. - Poza tym wzmogła się aktywność przekaźników radiowych, chociaż na razie nic dla nas z tego nie wynika. Nie ma żadnych podstaw, by spodziewać się z tej strony ataku na Stany Zjednoczone.

- To dobrze. - Prezydent odetchnął z ulgą. Sytuacja była fatalna, lecz wciąż możliwa do opanowania. Trzeba było tylko wziąć się w garść i podjąć kolejne decyzje. - Chcę od razu otworzyć gorącą linię do Moskwy.

- Jak pan sobie życzy - brzmiała odpowiedź szefa NORAD-u. Starszy bosman sztabowy z łączności, który siedział dwa fotele od prezydenta Fowlera, włączył już swój komputer.

- Musi się pan przesiąść, panie prezydencie - przestrzegł. - Nie dam rady przełączyć mojej końcówki na pana ekran.

Fowler nie wstając przywłókł swój fotel do stanowiska bosmana.

- Panie prezydencie, linia działa w ten sposób, że ja wystukani na komputerze wszystko, co pan podyktuje, a komputer przekaże tekst na maszyny Narodowego Ośrodka Dowodzenia w Pentagonie. Tam jeszcze tylko zaszyfrują depeszę. Gorzej z odpowiedzią, bo przez gorącą linię przychodzi tekst rosyjski, w Pentagonie go tłumaczą i dopiero wtedy przysyłają do nas. W Fort Richie mamy zapasowe stanowisko, na wypadek gdyby coś się poknociło w Waszyngtonie. Depesze idą przez linię naziemną i dwa osobne łącza satelitarne. Co do pisania, mogę nadażyć za wszystkim, co pan mówi.

Odznaka na kieszeni bosmana zdradzała, że podoficer ma na nazwisko Orontia. Fowler nie był pewien rodowodu łącznościowca. Bosman Orontia miał dobre dziesięć kilo nadwagi, ale wyglądało na to, że się nie boi i wie, co mówi. Akurat tego było potrzeba Fowlerowi, który zauważył jeszcze, że Orontia położył na konsoli obok klawiatury paczkę papierosów. Prezydent podkradł mu jednego, lekceważąc napis zabraniający palenia. Bosman podał mu ogień staroświecką zapalniczką.

- Wszystko gotowe, panie prezydencie.

Bosman Pablo Orontia spojrział z ukosa na naczelnego dowódcę sił zbrojnych. Ze wzroku podoficera nie dało się wyczytać faktu, że urodził się w mieście Pueblo w Kolorado i miał tam rodzinę. Prezydent weźmie się za wszystko, bo taka jest jego rola. Rolą Orontii było maksymalnie mu w tym dopomóc. Podoficer służył ojczyźnie w dwóch wojnach i był świadkiem rozmaitych kryzysów, głównie jako admirałski adiutant na lotniskowcach. W zawodowym odruchu ukrył więc teraz swoje prawdziwe uczucia.

- Do prezydenta Narmonowa...

Komandor Rosselli spoglądał na pierwszą prawdziwą depeszę z gorącej linii, jaką widział od rozpoczęcia służby w Waszyngtonie. Tekst został wprowadzony do zwykłego komputera IBM/AT i zaszyfrowany. Operator nacisnął następnie kilka klawiszy i przesłał depeszę. Jim pomyślał, że pora wracać na stanowisko za biurkiem, lecz uznał, iż od wymiany depesz mogą zależeć wszystkie dalsze decyzje.

JAK ZAPEWNE JUŻ PAN WIE, W ŚRODKOWYCH REJONACH MOJEGO KRAJU NASTĄPIŁ POTĘŻNY WYBUCH. Z DOSTĘPNYCH INFORMACJI WYNIKA, ŻE BYŁ TO WYBUCH JĄDROWY, KTÓRY SPOWODOWAŁ OGROMNĄ LICZBĘ OFIAR.

- Tego się mniej więcej spodziewałem - skwitował depeszę Narmonow. - Wyślijcie naszą odpowiedź.

- Rany boskie, to dopiero jest tempo - zdziwił się pełniący służbę pułkownik wojsk lądowych i zabrał się za tłumaczenie. Sierżant piechoty morskiej wystukiwał angielską wersję, przekazując ją automatycznie do Camp David, Fort Richie i do Departamentu Stanu. Komputery wydrukowały tam kopię depeszy, która została niemal natychmiast telefaksem przesłana do sił strategicznych, dowództwa obrony powietrznej i central wywiadu.

HASŁO: HARMONOGRAM HARMONOGRAM HARMONOGRAM ODPOWIEDŹ Z MOSKWY PANIE PREZYDENCIE FOWLER:

ZAUWAŻYLIŚMY WYBUCH W DENVER. PROSZĘ PRZYJĄĆ ODE MNIE WYRAZY NAJGŁĘBSZEGO WSPÓLCZUCIA, KTÓRE SKŁADAM W IMIENIU CAŁEGO NARODU RADZIECKIEGO. JAK MOGŁO DOJŚĆ DO PODOBNEGO WYPADKU?

- Wypadku? - zirytował się Fowler.

- Robert, coś strasznie szybko przysłałi odpowiedź - zauważyła natychmiast Liz Elliot. - Za szybko. Narmonow nie mówi tak świetnie po angielsku, więc na pewno musieli tłumaczyć jego odpowiedź, a to zajmuje czas. Jestem pewna, że z góry przygotowali ten tekst, wypicili go... Ale dlaczego?

Liz mówiła właściwie do siebie, gdyż Fowler układał tymczasem następny komunikat. Naszła ją nowa fala podejrzeń. Co się właściwie dzieje? Kto za tym wszystkim stoi, i dlaczego...?

PREZYDENCIE NARMONOW:

Z ŻAŁEM ZAWIADAMIAM PANA, ŻE WYBUCH NIE BYŁ PRZYPADKOWY. W PROMIENIU DWUSTU KILOMETRÓW OD DENVER NIE SKŁADUJE SIĘ ŁADUNKÓW AMERYKAŃSKICH, ŻADEN TEŻ ICH TRANSPORT ND3 PRZEJEŻDŻAŁ PRZEZ MIASTO. BYŁ TO ROZMYŚLNY ATAK DOKONANY PRZEZ NIEZNANE SIŁY.

- To też żadna niespodzianka - brzmiał komentarz Narmonowa, który gratulował sobie w myśli, że tak trafnie zawczasu odgadł treść pierwszej depeszy z Ameryki. Odwrócił się więc do łącznościowca i polecił: - Przesłać następny komunikat. - Zaś pod adresem swoich doradców rzucił:

- Fowler to pyszałek, którego gubi własna pycha, ale na pewno nie jest durniem. Katastrofa musiała nim dobrze potrząsnąć. Musimy go uspokoić, ugłaskać. Jeżeli zachowa zimną krew, będzie miał dosyć zdrowego rozsądku, żeby opanować sytuację.

- Prezydencie - odezwał się Gołowko, który dopiero co przybył do ośrodka dowodzenia. - Myślę, że popełniacie błąd.

- Co takiego? - zdumiał się Narmonow.

- Moim zdaniem, nie wolno przykrawać depesz do własnego wyobrażenia o tym, kim jest Fowler, jaki ma charakter czy jak rozumuje. Ludzie bardzo się zmieniają, kiedy ich przyprzeć do muru. Może być i tak, że rozmawiacie z kimś zupełnie innym niż człowiek, z którym się spotykaliście w Rzymie.

Radziecki prezydent zbył machnięciem ręki pomysły Gołowki.

- Bzdury mi tu opowiadacie. Tacy ludzie nigdy się nie zmieniają. Sam mam ich pełno wokół siebie. Całe życie musiałem się szamotać z takimi samymi typami, jak Fowler.

### PREZYDENCIE FOWLER:

JEŻELI WYBUCH BYŁ RZECZYWIŚCIE ROZMYŚLNY, STANOWI ON ZBRODNIĘ BEZ PRECEDENSU W HISTORII LUDZKOŚCI. JAKI SZALENIEC POWAŻYŁBY SIĘ NA TEN CZYN I W JAKIM CELU? PODOBNE DZIAŁANIA ŁATWO MOGĄ DOPROWADZIĆ DO KATASTROFY NA GLOBALNĄ SKALĘ. MUSI PAN UWIERZYĆ, ŻE ZWIĄZEK RADZIECKI NIE MA Z TYM ODRAŻAJĄCYM AKTEM NIC WSPÓLNEGO.

- Widzisz, Robercie? Za szybko! - skomentowała tekst Liz Elliot. - I co to znaczy, "musi pan uwierzyć"? Co ten facet próbuje nam przez to powiedzieć?

- Elizabeth, posuwasz się za daleko w tych domysłach.

- Nieprawda! Robercie, te depesze są ukartowane z góry! Narmonow za szybko odpowiada. Musiał grubo przedtem przygotować sobie teksty, a to coś znaczy.

- Co na przykład?

- To, że my też mieliśmy być na tym meczu! Mnie się wydaje, Robercie, że te komunikaty są pisane pod kogoś innego - chyba pod Durlinga. Nie pomyślałeś, że bomba miała zabić nie tylko Dennisa i Brenta, ale i ciebie?

- Nie wolno mi o tym myśleć, mówiłem ci! - przerwał Fowler ze złością, lecz zamilkł i wzięł głęboki oddech. Powtarzał sobie, że nie wolno się denerwować, trzeba zachować spokój. - Zrozum, Elizabeth...

- Musisz o tym pomyśleć! Musisz dopuścić do siebie taką możliwość, bo jeżeli był to zaplanowany zamach, możemy zrozumieć to, co się zaczęło dziać potem.

- Doktor Elliot ma rację - powiedział do słuchawki dowódca obrony powietrznej. - Panie prezydencie, ma pan całkowitą rację, dystansując się emocjonalnie od wybuchu, ale musi pan rozważyć wszystkie możliwe aspekty sytuacji operacyjnej.

- Muszę się z tym zgodzić - poparł szefa NORAD-u dowódca sił strategicznych.

- Co mam w takim razie zrobić? - zapytał Fowler.

- Ja też nie wierzę w bajeczki typu "musi pan uwierzyć" - oznajmił Borstein. - Nie zaszkodziłoby dać Moskwie do zrozumienia, że jesteśmy gotowi się bronić.

- Właśnie - ucieszył się generał Fremont. - Narmonow i tak o tym wie, jeżeli jego sztabowcy są cokolwiek warci. - A co zrobimy, jeżeli nasze pogotowie uznają za prowokację?

- Nic podobnego - uspokoił prezydenta dowódca NORAD-u. - Każdy by tak postąpił w naszym

położeniu. Sztab sił zbrojnych Narmonowa to prawdziwi fachowcy.

Słyszając tę uwagę doktor Elliot zakręciła się nerwowo, co nie uszło uwagi Fowlera.

- Zgoda, powiadomię go, że podnieśliśmy siły w stan pogotowia, ale że nie mamy żadnych wrogich zamiarów.

PREZYDENCIE NARMONOW:

NIE MAMY PODSTAW, BY DOSZUKIWAĆ SIĘ RADZIECKIEGO UDZIAŁU W TRAGEDII. MUSIMY JEDNAK DZIAŁAĆ Z ROZWAGĄ, PADLIŚMY OFIARA PODŁĘGO ATAKU, MUSIMY WIĘC ZABEZPIECZYĆ SIĘ PRZED NOWYMI AKTAMI AGRESJI. DLATEGO TEŻ POSTAWIŁEM W STAN POGOTOWIA SVOJE SIŁY ZBROJNE. KROK TEN JEST PONADTO NIEZBĘDNY GWOLI ZACHOWANIA PORZĄDKU PUBLICZNEGO I UŁATWI AKCJĘ RATUNKOWĄ. OSOBIŚCIE RĘCZĘ PANU, ŻE BEZ WYRAŹNYCH PRZYCZYŃ NIE PODEJMIEMY ŻADNYCH KROKÓW OFENSYWNYCH.

- Ależ mnie uspokoił - skwitował to cierpko Narmonow. - Ładnie, że powiadomili nas o pogotowiu bojowym.

- Wiemy, o tym i bez niego - skomentował rzecz Gołowko. - A Fowler dobrze wie, że o tym wiemy.

- Za to nie wie, w jakim zakresie orientujemy się w skali alarmu - przypomniał minister obrony. - Waszington nie ma pojęcia, że złamaliśmy ich szyfry. Pogotowie bojowe jest bardzo ostre. Amerykanie nie stawiali sił strategicznych w stan gotowości od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku.

- Rzeczywiście? - upewnił się Narmonow.

- Tylko teoretycznie, generale - wtrącił uwagę Gołowko. - Nawet zwyczajny stan pogotowia amerykańskich sił strategicznych jest bardzo wysoki, choćby reszta armii była w pogotowiu numer pięć, najniższym. Zmiana, o której mówicie, nie ma praktycznie znaczenia.

- Czy tak? - zapytał znów Narmonow. Minister wzruszył tylko ramionami.

- Zależy, z której strony spojrzeć. Naziemne rakiety amerykańskie są zawsze bardziej gotowe od naszych, bo nie wymagają tak drobiazgowej obsługi. To samo da się powiedzieć o okrętach podwodnych; amerykańskie spędzają na morzu o wiele więcej czasu niż nasze. Technicznie różnica może być niewielka, ale psychologicznie ogromna. Podwyższone pogotowie przygotowuje żołnierzy do faktu, że zaraz się stanie coś strasznego. Myślę, że to coś znaczy.

- A ja myślę, że nic nie znaczy - wtrącił się znów Gołowko. Narmonow kipiał ze złości. Skoro dwaj najbliżsi doradcy nie potrafią się dogadać w tak ważnej sprawie...

- Musimy wysłać odpowiedź - przypomniał minister spraw zagranicznych.

PREZYDENCIE FOWLER:

ZAUWAŻYLIŚMY PODWYŻSZONE POGOTOWIE W PAŃSKICH SIŁACH ZBROJNYCH. PONIEWAŻ WIĘKSZOŚĆ WASZYCH RAKIET JEST WYCELOWANA W ZSRR, SAMI TAKŻE MUSIMY PRZEDSIĘWZIĄĆ ŚRODKI OSTROŻNOŚCI. UWAŻAM ZA WIELCE ISTOTNE, BY OBA NASZE KRAJE UNIKAŁY AKCJI, KTÓRE MOGĄ ZOSTAĆ UZNANE ZA PROWOKACJĘ.

- Teraz nareszcie nie przysłali gotowej odpowiedzi - skomentowała tekst Liz Elliot. - Najpierw mówi nam, że to nie on, a teraz znów, żebyśmy go nie prowokowali. Co ten człowiek zamierza?



Ryan przebiegł wzrokiem odbitki wszystkich sześciu depesz i wręczył je Goodleyowi.

- Niech mi pan powie, co pan z tego rozumie.

- Zwyczajnie. Wygląda na to, że wszyscy starają się stąpać na paluszkach, tak jak należy.

Ogłosiliśmy pogotowie dla sił zbrojnych, oni też. Fowler oświadcza, że nie sądzi, by była to sprawka Moskwy. Doskonale. Narmonow na to, że obie strony powinny się nie gorączkować, nie prowokować się nawzajem. Też dobrze. Jak dotąd, jakoś idzie - brzmiała opinia Goodleya.

- Zgadza się - poparł go oficer dyżurny CIA.

- Czyli zgadzamy się wszyscy - podsumował Jack, dziękując w myślach Fowlerowi za talent, o który trudno go było podejrzewać.

Rosselli powędrował w końcu z powrotem do siebie. Wyglądało na to, że sytuacja trochę się unormowała.

- Gdzieś ty się podziewał tyle czasu? - zdumiał się Rocky Barnes.

- Siedziałem przy gorącej linii. Na szczęście już nie taka gorąca.

- Bardzo się mylisz, Jim.

Generał Paul Wilkes był już prawie u celu. Dostanie się z kwatery na autostradę 1-295, a z niej na 1-395 zabrało mu dwadzieścia minut, choć trasa nie przekraczała siedmiu kilometrów. Pługi śnieżne prawie nie tknęły jezdni, a nowa fala mrozu ścinała na nowo śnieg roztopiony solą. Co gorsza, nieliczni kierowcy popisywali się normalnymi w Waszyngtonie talentami do prowadzenia auta. Zwłaszcza właściciele wozów z napędem na cztery koła zachowywali się tak, jak gdyby dodatkowy napęd zwalniał ich od posłuszeństwa wobec praw fizyki. Wilkes minął właśnie South Capitol Street i zjeżdżał z pagórka w stronę odgałęzienia na Maine Avenue. Z lewej strony wyprzedził go jakiś kretyn w toyocie, który natychmiast potem zajechał mu drogę, usiłując samemu skręcić w odgałęzienie. Toyota zakręciła się na gołoledzi, wobec której samochód z przednim napędem nie miał szans. Nie było też szans na uniknięcie zderzenia. Wilkes wyrznął w bok toyoty z prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę.

- Spierdalaj - rzucił generał na głos. Nie miał czasu na zabawy. Cofnął wóz Mika metrów i zanim kierowca toyoty zdążył wysiąść, włączył się do ruchu. Zapomniał jednak rzucić okiem we wsteczne lusterko. Kiedy skręcał na lewy pas, w tył wjechała mu ciężarówka z naczepą, pędząca czterdzieści na godzinę. Impet zderzenia był na tyle silny, że samochód generała przeleciał nad betonową barierą dzielącą jezdnie i zderzył się czołowo z nadjeżdżającym pojazdem. Wilkes zginął na miejscu.



# ECHA

Elizabeth Elliot przetykała kawę, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w drugi koniec sali. Nie było innego sensownego wytłumaczenia. Tyle mieli sygnałów ostrzegawczych i wszystkie zlekceważyli! Szczegóły pasowały do siebie. Radziecka generalicja przygotowała zamach stanu, zaś częścią scenariusza było zgładzenie Boba Fowlera. Prezydent chciał przecież jechać na mecz, wszyscy spodziewali się, że pojedzie, bo przecież Dennis Bunker był właścicielem jednej z drużyn. Ja też bym tam z nimi była, szeptała sobie w duchu Liz Elliot. Ja też mogłabym nie żyć. Jeżeli ktoś chciał zabić Boba, chciał zabić i mnie także...

PREZYDENCIE NARMONOW:

CIESZĘ SIĘ, ŻE JESTEŚMY ZGODNI CO DO POTRZEBY ROZSĄDKU I ROZWAGI. MUSZĘ OBECNIE ZASIĘGNAĆ OPINII MOICH DORADCÓW W CELU USTALENIA PRZYCZYŃ TEJ STRASZLIWEJ TRAGEDII I ROZPOCZĘCIA AKCJI RATUNKOWEJ. POWIADOMIĘ PANA O DALSZYM ROZWOJU WYPADKÓW.

Odpowiedź nadeszła nieomal natychmiast.

PREZYDENCIE FOWLER: BĘDZIEMY CZEKALI.

- Wszystko się wyjaśnia - zauważył prezydent, spoglądając na ekran.

- Tak sądzisz? - zdziwiła się Elliot.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pomyśl, Robercie, że wybuch zdarzył się dokładnie tam, gdzie miałeś się pokazać. To po pierwsze. Po drugie, mieliśmy meldunki, że Rosjanom zginęły głowice atomowe. Po trzecie, skąd wiadomo, że rozmawiamy przez ten modem z Narmonowem?

- Co takiego?

- Nasza najlepsza wtyczka informuje, że w Rosji szykuje się zamach stanu, prawda? My tymczasem zachowujemy się tak, jak byśmy nie przyjmowali tego do wiadomości, i to pomimo oczywistych faktów, takich jak wybuch na naszym terytorium głowicy jądrowej dokładnie tej mocy, jaką miały te prawdopodobnie zaginione. Wydaje mi się, że nie bierzemy pod uwagę wszystkich aspektów sytuacji. - Liz Elliot nachyliła się do mikrofonu. - Generale Borstein, czy trudno byłoby przemycić bombę jądrową na teren Stanów Zjednoczonych?

- Bardzo łatwo przy naszej kontroli granicznej - odpowiedział szef NORAD-u. - Do czego pani zmierza, doktor Elliot?

- Do tego, że od pewnego czasu otrzymujemy od wywiadu meldunki, iż Narmonow zaczyna się chwiać, że buntują się radzieccy generałowie i że chodzi także o głowice jądrowe. No, dobrze, wyobraźmy sobie, że dochodzi do zamachu stanu. Niedziela wieczór czy poniedziałek nad ranem to odpowiedni moment, bo wszyscy śpią. Zakładaliśmy do tej pory, że scenariusz szantażu atomowego ma wymiar wewnętrzny, ale przypuśćmy teraz, że plan był jeszcze sprytniejszy. Kto wie, czy spiskowcy nie postanowili zdziętkować naszych władz, żeby nie przeszkodziły w urzędzeniu na Kremlu zamachu stanu? I proszę, bomba eksploduje, Durling wsiada do samolotu, dokładnie tak, jak to uczynił, i zaczynają się rozmowy. Rosjanie potrafią przewidzieć nasze reakcje, więc sporządzają

gotowe teksty depesz. My automatycznie wprowadzamy pogotowie bojowe, oni tak samo... Rozumiecie już? Nie mamy żadnej możliwości, żeby udaremnić im ten zamach stanu.

- Panie prezydencie, zanim rozważy pan taką wersję, przydałoby się więcej informacji od wywiadu - zaznaczył dowódca sił strategicznych.

Zapaliło się światelko kolejnego telefonu. Podoficer podniósł słuchawkę.

- Do pana, panie prezydencie, z Narodowego Ośrodka Dowodzenia.

- Z kim mówię? - zapytał Fowler.

- Panie prezydencie, tu komandor Jim Rosselli z Ośrodka Dowodzenia w Pentagonie. Dotarli do nas dwa meldunki o starciach naszych sił z Rosjanami. Z USS "Theodore Roosevelt" donoszą, że spuścili, to znaczy zestrzelili, klucz czterech rosyjskich migów-29.

- Co? Dlaczego?

- Panie prezydencie, regulamin pogotowia bojowego uprawnia dowódcę okrętu do ochrony swojej jednostki. Na "Theodorze Rooseveltcie" obowiązuje DEFCON-DWA, a z każdym zaostrzeniem pogotowia zwiększają się uprawnienia dowódcy i jego prawo do samodzielnych decyzji. Drugi meldunek jest następujący: według nie potwierdzonych doniesień na terenie Berlina trwają walki amerykańskich i radzieckich czołgów. Dowództwo naszych sił w Europie - SACEUR - powiedziało tylko, że w połowie depeszy utraciło łączność radiową z Berlinem. Tuż przedtem jakiś kapitan zameldował, że radzieckie czołgi zaatakowały Brygadę Berlińską i zmiotły jeden z batalionów. Rosjanie rozwalili cały nasz park wozów niedaleko swojej jednostki. Oba meldunki przysły prawie jednocześnie, w odstępie dwóch minut, panie prezydencie. Próbuje odzyskać łączność z Berlinem przez belgijskie łącza SACEUR w Mons.

- O, Jezus - wykrztusił Fowler. - Elizabeth, czy pasuje ci to do twojej wersji wydarzeń?

- Może chodzi o demonstrację siły, o to, żeby pokazać, że zamachowcy nie będą tolerować najmniejszej interwencji.

Większości sił amerykańskich udało się już wydostać poza obręb płonącego parku wozów. Dowodzący teraz oficer bez namysłu rozkazał wycofać się pod osłonę zagajników i willowych zabudowań w pobliżu bazy. Oficer był podpułkownikiem, zastępcą dowódcy brygady, który gdzieś zniknął. Zastępca rozważał dalsze kroki. W skład brygady wchodziły dwa bataliony piechoty zmotoryzowanej i batalion czołgów, z którego pięćdziesięciu dwóch abramsów M1A1 ocalało zaledwie dziewięć. Reszta dopalała się na placu, roztaczając czerwoną łunę nad całą okolicą.

Najpierw bez żadnego ostrzeżenia alarm DEFCON-TRZY, a dosłownie w minutę później ogień. Spłonęło ponad czterdzieści czołgów, setki ludzi zginęło od pocisków wystrzelonych bez ostrzeżenia. Trudno, przyjdzie czas na rachunki.

Brygada Berlińska trwała na pozycjach, zanim jeszcze podpułkownik się urodził. Miała więc całe dziesięciolecia na przygotowanie pozycji obronnych na terenie jednostki. Pułkownik rozstawił ocalałe czołgi i rozkazał bojowym wozom piechoty Bradley strzelać salwami z wyrzutni pocisków przeciwpancernych TOW-2.

Rosyjskie czołgi minęły park wozów i zatrzymały się, czekając na dalsze rozkazy. Dowódcy batalionów nie zdążyli jeszcze uporządkować szyków, które przemieszały się podczas błyskawicznej szarży dziesiątków T-80 przez dawną linię graniczną. Dowódca pułku zniknął bez śladu. Poszczególne kompanie zatrzymały się samorzutnie, wypatrując nowych celów. Okazało się, że przepadł także zastępca dowódcy pułku. Kiedy dowódca rosyjskiego batalionu zrozumiał, że został sam, zawrócił swój czołg całym pędem w kierunku wozu dowodzenia, szukając najstarszego stopniem. Jego zdumienie nie miało granic: najpierw alarm ćwiczebny, następnie sygnał alarmu

bojowego z Moskwy, i zaraz salwa czołgów amerykańskich. Oficer nie miał pojęcia, co się dzieje. Nawet w koszarach i budynkach zaplecza nadal płonęły światła. Czołgista uznał, że trzeba je jak najprędzej zgasić - jego T-80 na tle rześistego oświetlenia wyglądał jak cel na strzelnicy.

- Czołg dowodzenia, czterysta tysięcznych w prawo, na horyzoncie, przemieszcza się w prawo - odpowiedział amerykański sierżant kapralowi.

- Widzę - zameldował do mikrofonu działonowy.

- Ognia.

- Pocisk w locie. - Kapral nacisnął spust. Mikroładunek zerwał pokrywkę z rury wyrzutni, z której ze świstem wyskoczył pocisk raketowy TOW-2, ciągnąc za sobą cienki przewód sterujący. Cel oddalony był o dwa tysiące dwieście metrów. Działonowy trzymał go na celowniku, ręczną dźwignią sterując lotem pocisku. Po ośmiu sekundach działonowy z satysfakcją dostrzegł, jak TOW eksploduje pośrodku wieży T-80.

- Trafiony - potwierdził dowódca bradleya. - Przerwać ogień, zaraz sobie znajdziemy następnego skurwysyna... Dwadzieścia tysięcznych w lewo, cel czołg, wyjeżdża zza kantyny.

Wieżyczka wozu odwróciła się w tamtą stronę.

- Widzę!

- Co o tym wszystkim myśli CIA? - zapytał Fowler.

- Panie prezydencie, znów mamy do czynienia z mnóstwem oderwanych, nie uporządkowanych informacji - odrzekł Ryan.

- Kilkaset kilometrów za "Rooseveltem" płynie radziecka grupa uderzeniowa z lotniskowcem. Mają na pokładzie migi-29 - wtrącił admirał Palmer.

- Jeszcze bliżej "Roosevelta" jest Libia. Nasz dzielny pułkownik zafundował sobie setkę migów-29.

- Nie powie mi pan, że latają nad morzem o północy - sprzeciwił się Painter. - Nie słyszałem jeszcze, żeby Libijczycy odważali się na coś takiego, i to paręnaście kilometrów od naszej grupy uderzeniowej.

- A co z Berlinem? - nalegała Liz Elliot.

- Nie wiemy! - Jack zamilkł i policzył w myślach do dziesięciu. - Proszę pamiętać, jak niewiele wiemy. - Co będzie, jeśli ŻAGIEL napisał nam prawdę, panie Ryan? - zapytała znów Liz Elliot.

- Jak to?

- Nie przyszło panu do głowy, że w Moskwie mógł się dziś zacząć zamach stanu, i że spiskowcy podłożyli w Denver bombę, żebyśmy im nie mogli przeszkodzić? Żeby zdziesiątkować nasze władze?

- Ależ to zupełna brednia - odpowiedział Jack. - Mieliby ryzykować wojną? W jakim celu? Niby jak moglibyśmy przeszkodzić w takim zamachu stanu? Atakując ZSRR?

- Ich generalicja może się właśnie tego spodziewać - ucięła Liz Elliot.

- Nie zgadzam się. Myślę, że ŻAGIEL kłamał na ten temat od samego początku.

- Wydaje mi się, że to pan zmyśla - skwitował słowa Ryana prezydent Fowler, któremu zaczynało świtać, że zamach był rzeczywiście wymierzony w niego. Teoretyczny model akcji Rosjan, jaki przedstawiła Elizabeth, wyjaśniał wszystkie zawiłości sytuacji.

- Nie zmyślam! - warknął ze złością Ryan. - To mnie, nie pana, nazywano podżegaczem. Rosyjskie wojsko ma dość rozumu, żeby się nie puszczać na taką akcję. Za duże ryzyko.

- Jak pan w takim razie wytłumaczy atak na nasze jednostki? - chciała się dowiedzieć Liz Elliot.

- Nie mamy pewności, czy naprawdę je atakowano.

- Chce pan powiedzieć, że nasi dowódcy kłamią? - Oskarżenie padło ze strony Fowlera.

- Panie prezydencie, nie umie pan wyprowadzić logicznych wniosków z tego, co się dzieje. Dobra, założmy, że w ZSRR naprawdę doszło do zamachu stanu. Nie przyjmuję takiej hipotezy, ale założmy, że tak było. Powiada pan, że bombę podłożono po to, żebyśmy się nie wtręcali. Świetnie. Jeżeli mamy siedzieć na tyłku i się nie wtręcać, dlaczego zaatakowali nasze jednostki?

- Żeby nam pokazać, że to nie żarty - powtórzyła z wściekłością Liz Elliot.

- Co za bzdura! Równie dobrze mogliby nam oświadczyć na piśmie, że bomba to ich sprawka! Wyobraża pani sobie, że, ich zdaniem, zlekceważymy prowokację nuklearną? - wypalił Ryan, a potem odpowiedział na własne pytanie: - Taka teoria nie trzyma się kupy!

- Proszę mi więc przedstawić lepszą - wycedził prezydent.

- Panie prezydencie, jesteśmy nadal w najwcześniejszej fazie kryzysu. Informacje, jakie otrzymujemy, są sprzeczne i pogmatwane. Dopóki nie dowiemy się czegoś więcej, nie wolno wyciągać pochopnych wniosków.

Fowler przybliżył usta do mikrofonu i oświadczył:

- Pan jest od tego, żeby mi mówić, co się dzieje, a nie pouczać mnie, jak się postępuje w kryzysie. Proszę się meldować dopiero, kiedy będzie miał pan dla mnie wiadomości.

- Co oni sobie ubrdali? - Ryan nie posiadał się ze zdumienia.

- Zdaje się, że jest tu coś, o czym nie wiem - przypomniał mu Goodley, który był tak samo przerażony, jak Ryan, tyle że dawał to po sobie poznać.

- A co się dziwisz, kiedy nikt nic nie wie! - wrzasnął Ryan na stypendystę, lecz zaraz pożałował ostrego tonu. - Witamy przy pożarze. Ludzie gównie wiedzą, co się dzieje, ale żądają trafnych decyzji. Tyle, że w takiej sytuacji o trafnych decyzjach nie ma mowy.

- Najbardziej się boję o ten lotniskowiec - zauważył szef pionu naukowo-technicznego.

- Niepotrzebnie. Jeżeli zestrzelili cztery maszyny, zginęło raptem parę osób - przypomniał Ryan.

- Co innego starcia lądowe. Jeżeli w Berlinie rzeczywiście się leją, też się zaczynani bać. Gorzej byłoby tylko, gdyby zaatakowano nasze instalacje strategiczne. Zobaczymy, czy uda się połączyć z dowództwem sił w Europie.

Dziewięć ocalałych czołgów M1A1 gnało co sił berlińską aleją, kierując się na północ w asyście wozów bojowych Bradley. Wzdłuż alei paliły się wszystkie latarnie, a ciekawscy wystawiali głowy przez okna. Nieliczni gapie mogli się od razu zorientować, że to nie ćwiczenia. Wszystkie załogi zdjęły z czołgów ograniczniki przyspieszenia, dzięki czemu maszyny gnały z prędkością, za którą na amerykańskiej autostradzie można dostać mandat. Półtora kilometra na północ od jednostki czołgi skrzyły na wschód. Kolumnę prowadził doświadczony podoficer, który znał Berlin jak własną kieszeń; w podzielonym niegdyś mieście przyszło mu służyć już trzeci raz. Podoficer znał odpowiednie miejsce, chodziło tylko o to, by zdążyć tam przed Rosjanami. Czołgi dotarły wkrótce do placu budowy, gdzie wznoszono pomnik ku czci ofiar muru, wybrany po zaciętym konkursie. Pomnik miał górować nad amerykańskimi i rosyjskimi koszarami, które szły do rozbiórki. Na razie jednak spychacze usypały tylko wysoki kopiec pod postument. Czołgi radzieckie manewrowały w pobliżu amerykańskich koszar, zapewne czekając na wsparcie ze strony piechoty. Co jakiś czas frunęły w ich stronę rakiety TOW z bradleyów. Czołgi odpowiadały ogniem z armat.

- Rany boskie, zrobią z naszych bradleyów marmoladę - przeraził się dowódca grupy, kapitan, którego Abrams zamykał ocalałą kolumnę. - Prędko na stanowiska.

Okopywanie się za pomocą dziobowych lemieszki trwało minutę. Po chwili z ziemi wystawały tylko lufy i wieżyczki czołgów.

- Ogniem na wprost, kolejność dowolna, pal!

Dziwiątka czołgów wystrzeliła równocześnie, z odległości dwóch tysięcy metrów. Tym razem element zaskoczenia należał do Amerykanów. Pierwsza salwa wyeliminowała pięć T-80, następna sześć. Abramsy grzały teraz bez przerwy.

Dowódca brygady, pilnujący linii wozów Bradley w zagajniku, obserwował, jak północne skrzydło radzieckiej kolumny pancernej rozsypuje się w proch. Oficer nie potrafił znaleźć lepszego określenia na to, co się zaczęło dziać, kiedy do akcji weszli z marszu doświadczeni frontowcy. Najbardziej wysunięty batalion radziecki próbował się przegrupować, lecz któryś z bradleyów musiał ugodzić rakieta czołg dowódcy, gdyż wśród T-80 zapanowało zamieszanie. Dowódca brygady zdziwił się przez mgnienie, że Rosjanie zatrzymali szarżę i nie rozgnietli wozów bojowych z zagajnika, lecz wolał pozostawić domysły do chwili, kiedy zaczną sporządzać raport z pola walki. Wiedział jednak, że przeciwnik poknocił sprawę, dzięki czemu Amerykanie mogli ująć z życiem.

- Złapałem Siódmą Armię - zameldował sierżant, wręczając dowódcy mikrofon.

- Co się tam u was dzieje?

- Generale, mówi podpułkownik Ed Long. Dostaliśmy po dupie, zaatakował nas pułk pancerny z jednostki po drugiej stronie pasa. Bez ostrzeżenia, runęli nam na koszary jak Jeb Stuart z kawalerią Południowców. Daliśmy ich jakoś radę zatrzymać, ale straciłem większość czołgów. Przydałaby się nam pomoc.

- Wasze straty?

- Spalili mi ponad czterdzieści czołgów, sir, i osiem bradleyów. Mam co najmniej dwustu zabitych.

- Siły przeciwnika?

- Jeden pułk pancerny, tylko tyle, ale Ruscy mogą zaraz wezwać inne jednostki. Mnie też przydałoby się wsparcie.

- Zobaczę, co się da zrobić.

Generał Kuropatkin sprawdził tablicę świetlną. Wszystkie sprawne stacje radarowe działały pełną mocą. Obrazy z satelitów upewniły sztab, że opustoszały dwie amerykańskie bazy lotnictwa strategicznego. Oznaczało to, że samoloty wystartowały i lecą ku radzieckim granicom w asyście powietrznych tankowców KO135. Również pułki rakiet strategicznych musiały osiągnąć stan najwyższego pogotowia. Kamery na pokładzie orbitujących orłów mogły natychmiast przekazać wiadomość o wystrzeleniu tych rakiet, powiadamiając tym sarnym generała, że jego ojczyźnie pozostało jeszcze trzydzieści minut historii. Trzydzieści minut, zafrasował się generał. Od śmierci dzieliło teraz jego kraj trzydzieści minut i rozsądek amerykańskiego prezydenta.

- Nad Niemcami wzmogła się aktywność lotnictwa - zameldował jeden z pułkowników. - Z Ramstein i Bitburga wystartowały amerykańskie myśliwce, lecą na wschód. Łącznie osiem maszyn.

- Co wiemy o amerykańskich myśliwcach Stealth?

- W Niemczech jest ich jeden dywizjon, osiemnaście samolotów, właśnie w Ramstein. Amerykanie twierdzą, że sprowadzili je na pokazy, na użytek kontrahentów z NATO.

- Kto mi zaręczy, że nie są w powietrzu? - zaperzył się Kuropatkin. - Z bombami jądrowymi na pokładzie, jeśli już o tym mowa.

- Faktycznie, każdy F-117 może zabrać po dwie bomby B-61. Przy locie na dużej wysokości będą nad Moskwą, zanim się obejrzymy...

- A jeszcze te ich celowniki... Mogą trafić bombami, w co chcą... Raptem dwie i pół godziny lotu od Moskwy. Boże mój.

Każda z bomb, umieszczona w stalowej osłonie penetrującej, dałaby radę z łatwością wyeliminować bunkier prezydencki. Kuropatkin chwycił za słuchawkę.

- Łączyć z prezydentem.

- O co chodzi, generale? - odezwał się Narmonow.

- Mamy doniesienia o aktywności samolotów amerykańskich nad Niemcami.

- Powiem wam więcej. Pułk gwardii z Berlina melduje, że dostał się pod ogień czołgów amerykańskich.

- Ktoś oszalał.

Narmonow nie dodał, że meldunek napłynął pięć minut po zapewnieniach prezydenta Fowlera, że będzie unikał jakichkolwiek prowokacji.

- Proszę się streszczać. I bez was mam tu dość roboty.

- Prezydencie, dwa tygodnie temu do bazy lotniczej w Ramstein przybył dywizjon amerykańskich myśliwców F-117A Stealth, rzekomo na pokazy, na użytek sojuszników z NATO. Amerykanie twierdzili, że chcą sprzedawać te maszyny. Każdy stealth może udźwignąć dwie bomby, po pół megatony każda.

- Tak?

- A ja nie mogę ich wykryć. F-117 są autentycznie niewidzialne dla naszych stacji radarowych.

- Dlaczego mi o tym mówicie?

- Z tankowaniem w powietrzu F-117 mogą znaleźć się nad Moskwą w ciągu niecałych trzech godzin. Mielibyśmy dokładnie tyle czasu na przygotowania, co Irak.

- Te samoloty rzeczywiście są takie dobre?

- Specjalnie zostawiliśmy w Iraku aż tylu doradców, żeby obserwowali, co jest warta broń amerykańska. Nasi ludzie nie zobaczyli na radarach nawet cienia tych maszyn - ani na naszym sprzęcie, ani na francuskim, który kupił sobie Saddam. Owszem, to dobre samoloty.

- Ale po co mieliby uczynić coś takiego? - sprzeciwił się Narmonow.

- A po co zaatakowali nasz pułk w Berlinie? - odpowiedział pytaniem na pytanie minister obrony.

- Myślałem, że ten bunkier wytrzyma wszystko, co mają w arsenale.

- Wszystko, z wyjątkiem dokładnie wycelowanej jądrowej bomby lotniczej. Siedzimy zaledwie sto metrów pod ziemią - przypomniał minister obrony. - W odwiecznej bitwie między pociskiem i pancernem zawsze zwycięża pocisk.

- Wróćmy do Berlina - odezwał się Narmonow. - Czy wiemy już, co się tam dzieje?

- Nie. Dysponujemy tylko meldunkami młodszych oficerów.

- Niech ktoś natychmiast sprawdzi. Każcie naszym się wycofać, jeżeli mogą to zrobić bez narażania życia. Podejmować wyłącznie akcje obronne. Macie zastrzeżenia do tych poleceń?

- Żadnych. Brzmi to rozsądnie.

Narodowy Ośrodek Rozpoznania Fotograficznego - NORF - mieści się na terenie waszyngtońskiego wydziału marynarki wojennej, w jednym z kilku pozbawionych okien budynków, w których rząd prowadzi tajne badania. Ośrodek dysponował w tej chwili trzema satelitami rozpoznania fotograficznego KH-11 i dwoma radarowymi satelitami KH-12 "Lacrosse". Dwadzieścia sześć minut i czterdzieści sześć sekund po północy czasu Greenwich pierwsza z "jedenastek" osiągnęła na orbicie punkt, z którego widać było Denver. Wszystkie kamery ustawiono na maksymalne zbliżenie, szczególnie na rejon południowych dzielnic miasta. Obraz wędrował natychmiast do anteny w Fort Belvoir w Wirginii, a stamtąd światłowodem do Ośrodka. W NORF-ie



zapisywano obraz na szerokiej taśmie magnetowidowej. Pierwsze zdjęcia natychmiast poddano analizie.

Kolejnym samolotem okazał się DC-10. Kati i Hosni i tym razem zafundowali sobie fotele w pierwszej klasie, uradowani i zaskoczeni swoim szczęściem. Wieści o wybuchu rozeszły się dosłownie na kilka minut przed zakończeniem odprawy pasażerów. W chwili, kiedy o wydarzeniu dowiedziała się agencja Reutersa, nie było już mowy o tajemnicy. Associated Press oraz UPI natychmiast powtórzyły depeşe w swoich serwisach, a w ślad za nimi nadały informację lokalne stacje telewizyjne, które puściły wiadomość na antenę, mimo zaskoczenia faktem, że cztery największe sieci telewizyjne wciąż zachowują milczenie. Katiego zaskoczyła cisza, jaka zapadła, kiedy z telewizorów popłynęły doniesienia na temat Denver. Wieść rozeszła się piorunem po wszystkich zakątkach dworca lotniczego. Zamiast krzyków i paniki, nastąpiła teraz dręcząca nerwy cisza. Słysząc było tylko megafony oznajmiające o kolejnych lotach i inne dworcowe hałasy, tonące zwykle w ciszy rozmów. A więc to w taki sposób Amerykanie przyjmują wiadomość o tragedii i śmierci, pomyślał komendant, którego zaskoczył ów dziwny brak emocji.

Wszystko to wkrótce zostało daleko. DC-10 rozpędził się po pasie startowym i wzbił się w powietrze, wychodząc kilka minut później nad wody międzynarodowe. Lecieli w stronę neutralnego państwa, w bezpieczne miejsce. Jeszcze jedna przesiadka. Obaj mężczyźni milczeli, oddając się tej myśli. Jeszcze jedna przesiadka i znikną bez śladu. Któż by pomyślał, że tak się im poszczęści?

- Emisja promieniowania cieplnego po prostu nadzwyczajna - snuł na głos myśl specjalista od analizy zdjęć. - Widzę uszkodzenia i trochę pożarów w promieniu półtora kilometra od stadionu. Samego stadionu nie widzę, za dużo dymu i zakłóceń w podczerwieni. Przy następnym okrążeniu może uda się coś zobaczyć w paśmie widzialnym.

- Co może nam pan powiedzieć o liczbie ofiar? - ponaglił Ryan.

- Mam za mało jednoznacznych danych. Na zdjęciach w widmie widzialnym głównie dym, nic nie widać. W podczerwieni widok niesamowity. Mnóstwo pożarów w bezpośrednim sąsiedztwie stadionu. Pewnie samochody, podsmażyły im się baki z benzyną.

Jack odwrócił się do szefa pionu naukowo-technicznego.

- Kto ma dziś dyżur w sekcji fotograficznej?

- Nikt - brzmiała odpowiedź. - Nie pamięta pan, że dziś niedziela? W soboty i niedziele foto robi za nas NORF, chyba że spodziewamy się jakichś rewelacji.

- Kto z naszych jest najlepszy?

- Andy Davis, ale on mieszka w Manassas. Nigdy tu nie dotrze.

- Niech to szlag! - Ryan znów złapał za telefon. - Przyślijcie mi tak z dziesięć najlepszych zdjęć - polecił technikom z NORF-u.

- Przekażemy za dwie, trzy minuty.

- Może przynajmniej mamy kogoś, kto potrafi ocenić skutki wybuchu?

- Sam potrafię - oznajmił szef pionu naukowo-technicznego. - Byłem kiedyś w lotnictwie. Pracowałem w siłach strategicznych, w służbie rozpoznania.

- No to biegiem.

Dziewiątka czołgów Abrams zdołała już rozwalić prawie trzydzieści radzieckich T-80. Rosjanie wycofali się na południe, sami szukając bezpiecznego ukrycia. Ich armaty odnalazły trzy dalsze M1A1, lecz walka stała się odtąd bardziej wyrównana. Kapitan dowodzący grupą abramsów

kazał piechocie w bradleyach ruszać na wschód i rozpoznać teren. Jak podczas pierwszej jazdy przez berlińskie aleje, tłumy gapiów obserwowały przejazd kolumny przez okna. Ludzie zadbali jednak w większości o to, by wygasić światła. Jednego z dowódców wozów zirytowały latarnie uliczne, zaczął je więc jedną po drugiej gasić z ręcznego karabinu, co ze zgrozą obserwowali co odważniejsi berlińczycy.

- Was nun? - zapytał Keitel. Co teraz?

- Teraz spieszajmy stąd jak najszybciej. Zadanie wykonane - odpowiedział mu Bock, skręcając UAZ-em w lewo. Droga ucieczki na północ wydawała się najbezpieczniejsza. Pozostało jeszcze porzucić UAZ-a i ciężarówkę, zrzucić mundury i zniknąć. Niemcowi przyszło do głowy, że być może uda im się nawet jakimś cudem przeżyć akcję. Prawda, że to dopiero coś? Bock cieszył się jednak najbardziej z tego, że pomścił Petrę. Jej śmierci winni byli Amerykanie i Rosjanie. Niemcy byli tylko pionkami w ręku potężnych graczy. Gracze zaś nareszcie zapłacili za wszystko, powtarzał sobie Bock, Zapłacili, i jeszcze zapłacą. Czyżby zemsta miała się okazać rozkoszniejsza, niż się uważa?

- Rosyjski łazik sztabowy - zameldował działonowy. - Za nim ciężarówka wojskowa.

- Działko szybkostrzelne - wskazał broń dowódca, lecz nie spieszył się z podaniem celów. - Czekać.

- Nie ma to jak pruć w oficerów... - rozmarzył się działonowy, nastawiając celownik działka kalibru 25 mm. - Mam ich na celowniku, sierżancie.

Mimo całego doświadczenia w akcjach terrorystycznych, Bock nie był żołnierzem, wziął więc ciemny, kanciasty kształt, mający dwie ulice dalej, za ciężarówkę. Jego plan powiódł się znakomicie. Alarm dla sił amerykańskich, który tak doskonale zbiegł się w czasie z akcją, mógł oznaczać tylko jedno, to mianowicie, że Hosni i Kati wykonali wszystko dokładnie według instrukcji sprzed pięciu miesięcy. Bock spojrział teraz w stronę, z której zaczęła migać ogromna lampa błyskowa. Nad głową przeszła mu smuga żywego światła.

- Ognia, pruj po nich!

Działonowy dawno przełączył się na ogień ciągły. Dwudziestopięciomilimetrowe działko zadziwiało go zawsze celnością; pociski smugowe pozwalały wjechać w sam środek tarczy. Pierwsza długa seria trafiła w ciężarówkę. Działonowy pomyślał bowiem, że na skrzyni może się znajdować uzbrojona piechota. Pociski rozpruły na kawałki silnik, a kiedy wóz szarpnął do przodu, następna seria przecięła kabinę i skrzynię ładunkową. Ciężarówka zaryła nosem na przestrzelonych oponach i zatrzymała się, obręczami kół złobiąc rowy w asfalcie jezdni. Działonowy zdążył tymczasem przenieść ogień i krótką serią ugodzić łazik sztabowy. Cel zjechał w bok i wyrzwał w BMW zaparkowane przy krawężniku. Dla pewności strzelec przejechał jeszcze raz po terenówce i przekosił nową serią skrzynię ciężarówki. Jeden żołnierz zdołał nawet wyczołgać się z zaatakowanego pojazdu, choć z jego ruchów dało się odgadnąć, że jest ranny. Wyleczyły go dwa następne pociski kalibru 25 mm.

Dowódca wozu nie zwlekał, świadomy, że kiedy się udało kogoś zabić, nie wolno biernie czekać. Dwie minuty później zwiadowcy znaleźli dla swojego bradleya następne bezpieczne ukrycie. Aleją pędziły tymczasem radiowozy berlińskiej policji, migając niebieskimi światłami na dachu. Jeden z samochodów zatrzymał się jak wryty kilkaset metrów od wozu bojowego, zawrócił i umknął co sił. Amerykanin pomyślał, że niemieccy gliniarze zawsze zdumiewali go inteligencją.

Pięć minut po tym, kiedy bradley zniknął w sąsiedniej ulicy, z bramy domu wybiegł pierwszy berlińczyk, niestęchanie odważny lekarz, i podbiegł do sztabowego UAZ-a. Obaj siedzący w nim

oficerowie nie żyli, rozdarci na kawałki seriami pocisków przez pierś. Ich twarze były jednak nietknięte, jeśli nie liczyć krzepnącej krwi. W ciężarówce rzeź była jeszcze gorsza. Jeden z żołnierzy dogorywał, lecz było już za późno na jakąkolwiek pomoc. Lekarz zdziwił się, że wszystkie ofiary mają na sobie oficerskie mundury. Z braku lepszego pomysłu doktor zadzwonił po policję. Dopiero długo później zrozumiał, jak bardzo nie docenił wydarzeń dziejących się tuż pod jego oknami.

Technicy nie żartowali, gwizdząc na widok emisji promieni podczerwonych.

- Zdrowo musiała wałać tą bomba - zauważył szef pionu technicznego. - Tylko te szkody po wybuchu jakoś mi nie pasują. Hmm...
- Mów jaśniej, Ted! - poprosił go Ryan.
- Idzie mi o to, że zniszczenia na ziemi powinny być o wiele, wiele większe niż to, co widać. Pewnie trafiły się martwe pola... - Ekspert podniósł wzrok na przełożonego. - Przepraszam, chciałem powiedzieć, że fala uderzeniowa nie przenika przez przeszkody tego typu jak wzgórza. Tak samo musiało być w pobliżu miejsca wybuchu, bo przy eksplozji o takiej mocy te domki, na przykład, nie miały prawa przetrwać.
- Dalej nie wiem, o co ci chodzi - zniecierpliwiał się Ryan.
- Przy wybuchach jądrowych zawsze wychodzą jakieś anomalie. Jak dojdę z tym do ładu, dam ci znać, dobra? - poprosił Ted Ayres.

Walter Hoskins tkwił w biurze, powodowany głównie bezradnością. Poza tym jako najstarszy stopniem pracownik musiał odpowiadać na telefony. Kiedy się odwrócił do okna, widział dobrze miejsce, gdzie stał stadion. Od słupa dymu dzieliło go raptem osiem kilometrów. Jedna z szyb pękła. Nic dziwnego. Hoskins zastanawiał się od niechcienia, czy wysłać na miejsce grupę agentów, lecz przecież nie otrzymał żadnych instrukcji na ten temat. Obrócił się na krześle i znów spojrzął na kolumnę dymu, dziwiąc się, że okna nie wyleciały z ram. Nad stadionem rozerwała się, bądź co bądź, bomba jądrowa, i to w odległości zaledwie ośmiu kilometrów od biura. Pozostałości grzyba atomowego rozwiewały się już nad pierwszymi łańcuchami Gór Skalistych, lecz wciąż dawało się je rozróżnić. W siad za grzybem rozwiewał się też czarny dym pożarów wokół miejsca wybuchu. Zniszczenia są na pewno...

...dziwnie niewielkie. Niewielkie? Co za idiotyczna myśl. Nie mając nic lepszego do roboty, Hoskins podniósł słuchawkę i specjalną linią połączył się z Waszyngtonem.

- Połączcie z Murrayem.
- Co tam, Walt?
- Bardzo jesteś zajęty?
- Powiem ci, że niespecjalnie. Ale jak u ciebie?
- Uciszyliśmy rozgłośnie telewizyjną i centralę telefoniczną. Mam tylko nadzieję, że prezydent wytłumaczy się w naszym imieniu przed sądem.
- Walt, nie pora na...
- Nie dlatego dzwonię.
- W takim razie, co masz mi do powiedzenia?
- Widzę stąd dym nad stadionem, Dan. - W głosie Hoskinsa pobrzmiwało dziwne rozmarzenie.
- Bardzo okropny widok?
- Nie wiem, stąd widać tylko dym. Grzyb rozwiewa się już nad górami, taki trochę jakby pomarańczowy. Aha, zachód słońca, na tej wysokości opar odbija zachodzące słońce, chyba o to chodzi. Widzę mnóstwo mniejszych pożarów, rozświetlają kolumnę dymu znad stadionu. Dan?

- Co takiego, Walt? - troskliwie zapytał Murray, domyślając się, że Hoskins jest w szoku.

- Wiesz, że to dziwne.

- Ale co dziwne?

- Że ocalały mi szyby w oknach. Byłem ledwie osiem kilometrów od epicentrum, ale pękła u mnie tylko jedna szyba. Dziwne, co nie? - Hoskins namyślał się. - Zebrałem dla ciebie te materiały, które chciałeś, zdjęcia i tak dalej. Marvin Russell wybrał sobie burzliwy dzień, żeby umrzeć. Nieważne, zdobyłem w każdym razie dane z tych paszportów w jego pokoju. Czytać?

- Mamy czas.

- Jak chcesz. - Hoskins wyłączył się.

- Walt zaczął gonić w piętę, Pat - poinformował inspektora Murray.

- Dziwisz się? - zapytał O'Day.

- Wcale.

- Kto wie, co się jeszcze może zdarzyć - dodał O'Day.

- Ta twoja rodzina mieszka daleko od stadionu?

- Nie za bardzo.

- Osiem kilometrów - powtórzył cicho Murray.

- Co takiego? - Walt mi powiedział, że jego biuro jest osiem kilometrów od stadionu, i że widzi dym przez okno. Nawet szyby w oknach ocalały.

- Pieprzenie - skwitował to O'Day. - Chyba faktycznie mu odbiło. Osiem kilometrów, niemożliwe.

- Co niemożliwe?

- NORAD twierdzi, że bomba miała sto czy dwieście kiloton. Taki ładunek wywaliłby szyby w promieniu dziesiątków kilometrów. Żeby wywalić szybę, wystarczy jedna atmosfera nadciśnienia.

- Skąd ty to wiesz?

- Służyłem w marynarce wojennej, w rozpoznaniu, nie pamiętasz? Masę razy obliczałem ewentualne zniszczenia od rosyjskich głowic taktycznych. Ładunek o mocy stu kiloton nie zatopi okrętu z ośmiu kilometrów, ale rozwali nadbudówki, osmali farbę, spowoduje pożary... A wtedy kiepska sprawa.

- Czyli w Denver paliłyby się firanki, i tak dalej?

- Powinny - potwierdził O'Day. - Rzeczywiście, normalne zasłony w oknach zapaliłyby się zaraz, szczególnie ciemne.

- Walt chyba nie stracił głowy aż tak, żeby nie zauważyć pożaru w swoim pokoju...

Murray połączył się z Langley.

- Mów, o co chodzi, Dan. - Jack nadal korzystał z telefonu z głośnikiem.

- Podaj mi jeszcze raz dane o sile tego wybuchu.

- Według informacji z NORAD-u, sto pięćdziesiąt, może nawet dwieście kiloton, co by odpowiadało dużej głowicy taktycznej albo malej strategicznej. A czemu pytasz?

Siedzący naprzeciwko Ryana ekspert z naukowo-technicznego nastawił uszu.

- Dopiero co rozmawiałem z zastępcą naczelnego agenta w Denver. Powiedział, że widzi ze swojego okna stadion. Odległość wynosi osiem kilometrów, Jack Agent twierdzi, że pękła tylko jedna szyba.

- Pieprzenie - wtrącił się ekspert.

- Jak to? - zapytał Ryan.

- Normalnie, na ośmiu tysiącach metrów sam impuls cieplny wystarczy, żeby podsmażyć budynek, a fala uderzeniowa wywali każdą szybę.

Murray także usłyszał słowa Teda Ayresa.

- Właśnie, dokładnie to samo twierdzi mój spec. Wiecie, ten agent w Denver może trochę gonić w piętę, szok i tak dalej, ale chyba zauważyłby pożar na swoim biurku, co?

- Czy mamy już dane z miejsca wybuchu? - zapytał Jack Ayresa.

- Nie. Ekipa z NEST-u jest dopiero w drodze. Na razie wystarczą zdjęcia, w podczerwieni dokładnie widać, co się stało.

- Dan, jak szybko dałbyś radę posłać ludzi na miejsce?

- Zaraz się dowiem - zapewnił Jacka Murray.

- Mówi Hoskins.

- Cześć, Walt tu Dan Murray. Natychmiast wyślij ludzi na miejsce wybuchu, ale piorunem. Sam siedź na miejscu, będziesz koordynował prace.

- Dobrze.

Hoskins wydał odpowiednie polecenia, martwiąc się w duchu, że naraża życie swoich agentów. Potem z braku innego zajęcia zaczął przeglądać teczkę na biurku. Nie mógł się oprzeć refleksji, że jak tyłu innych przestępców, Marvin Russell szezł na głupotę. Handel narkotykami. Jak takim ludziom coś wytłumaczyć?

Roger Durling poczuł ulgę, kiedy ich boeing odłączył się wreszcie od latającego tankowca. Przebudowany 747 odznaczał się gładkim lotem, lecz kiedy ciągnął tuż za pękatym KC-10, tylko synkowi wiceprezydenta podobało się kołysanie i szarpnięcia. Przy pokładowym stole konferencyjnym zasiedli generał brygady z lotnictwa, komandor marynarki wojennej, major piechoty morskiej i czterech innych, młodszych i starszych rangą sztabowców. Wszystkie informacje dla prezydenta automatycznie docierały także na pokład "Anioła", w tym także depesze z gorącej linii.

- Wydaje mi się, że to, co nam mówią, jest w porządku, ale przydałoby się, kurczę, dowiedzieć, co ci faceci naprawdę sobie myślą.

- A jeżeli Rosjanie rzeczywiście nas zaatakowali? - zapytał generał.

- Po co mieliby tak robić?

- Sam pan słyszał tę kłótnię między prezydentem i CIA.

- Słyszałem, ale, moim zdaniem, Ryan ma świętą rację - oznajmił Durling. - Te wszystkie kombinacje są bez sensu.

- A kto powiedział, że wszystko ma mieć sens? Jak inaczej wytłumaczyć styczność bojową w Berlinie i na Morzu Śródziemnym?

- Potyczki wysuniętych sił. Ogłaszamy alarm, oni tak samo, oddziały stoją nos w nos, wystarczy, że jeden człowiek palnie głupstwo... Jak w Sarajewie, kiedy Gawriło Princip zastrzelił arcyksięcia. Jeden błąd, i rusza lawina.

- Od takich sytuacji mamy gorącą linię, panie wiceprezydencie.

- Zgoda - przytaknął Durling. - Wyglądaj że na razie się sprawdza.

Pierwsze pięćdziesiąt metrów poszło łatwo, lecz później pochód zwolnił, by wreszcie utknąć zupełnie. Callaghan skierował w stronę stadionu pięćdziesięciu strażaków, wspieranych z dalszej odległości przez następną setkę. Po namyśle nakazał też rozpylić nad zastępami mgłę wodną, chociażby po to, żeby zmyć z ludzi pył radioaktywny i skierować go do kanalizacji. Kłopot był ten, że woda zamarzała natychmiast. Pierwszy szereg strażaków okrywała skorupa lodu, błyszcząca na ogniotrwałych płaszczach.

Akcję udaremniały samochody, rozrzucone wybuchem jak poprzewracane zabawki i roniące

benzynę, która zlewała się w płonące kałuże. Palące się benzyny przybywało coraz więcej. Mimo to Callaghan skierował w oczyszczone przejście jeden z wozów. Strażacy zarzucali linę na płonące wraki i odciągali je kolejno na bok, co jednak pochłaniało mnóstwo cennego czasu. W tym tempie dotarcie do stadionu zabierze wieczność, pomyślał major, wciąż przekonany, że na trybunach czekają ranni ludzie. Na pewno czekają. Callaghan stał więc z dala od wodnej fontanny, czując wstyd, że nie marznie tak, jak jego podwładni. Odwrócił się jednak, słysząc hurgot potężnego silnika dieslowskiego. - Czołem! - powitał strażaka człowiek w mundurze pułkownika amerykańskich wojsk lądowych. Naszywka z nazwiskiem zdradzała, że właściciel munduru zwie się Lyle. - Słyszałem, że potrzebny ciężki sprzęt.

- Co pan przyprowadził?

- Trzy czołgi saperskie, M728. Zaraz zajadą. Mam też coś jeszcze.

- Niby co?

- Sto kombinezonów przeciwchemicznych OP. Nie są świetne, ale lepsze to, niż te peleryny strażackie, no i cieplejsze. Niech pan ściągnie ludzi z pola i każe im się przebrać. Ciężarówka już czeka. - Pułkownik wskazał w tamtą stronę.

Callaghan zawahał się przez moment, lecz nie mógł przecież w takiej sytuacji odmówić. Odwołał ludzi i ustawił przed ciężarówką, żeby włożyli kombinezony. Pułkownik Lyle jemu także rzucił jeden z podgumowanych strojów.

- Dobry pomysł z mgłą wodną, przynajmniej pył się zmywa na ziemię. Jakie pan ma dla nas zadanie?

- Stąd nie widać, ale pośrodku parkingu ocalało kilka trybun. Na pewno są tam ranni, w każdym razie muszą to sprawdzić. Umie pan przebić się przez te samochody?

- Jasne. - Pułkownik podniósł do ust radiotelefon i nakazał podjechać pierwszej maszynie. Callaghan mógł się przekonać, że M728 to zwyczajny czołg z potężnym lemieszem z przodu i żurawiem dźwigowym z wyciągarką z tyłu wieży. Czołg miał nawet armatę z dziwnie krótką lufą.

- Nie ma czasu, żeby się cackać. Na pewno mam puszczać czołg?

- A co, kurwa? Jazda!

- Się robi. - Lyle podniósł z tylnego siedzenia swojego wozu hełmofon i rozkazał: - Torujcie przejazd!

Kierowca wycisnął z diesla najwyższe obroty. Pierwsi strażacy ściągali właśnie z frontu walki. Czołg starał się ominąć grube węże strażackie, lecz i tak rozharatał dwa z nich. Lemiesz opadł, a maszyna całym pędem wbiła się w masę płonących samochodów. Przejazd miał głębokość dobrych dziesięciu metrów. Czołg cofnął się i zaczął poszerzać przejście.

- Rany boskie - skwitował ten widok Callaghan. - Wie pan coś o poziomie promieniowania?

- Nie za wiele. Zanim ruszyłem w tę stronę, łączyłem się z ludźmi z NEST-u. Powinni tu być lada chwila, ale na razie... - Lyle wzruszył ramionami. - Pan naprawdę myśli, że ktoś tam ocalał?

- Kilka trybun stoi. Sam widziałem ze śmigłowca.

- Bez kitu?

- Naprawdę, sam widziałem.

- Ale jak to możliwe? Obrona powietrzna mówi, że rąbnęła wielka bomba.

- Co takiego? - Callaghan nie dosłyszał w grzmocie czołgowego silnika.

- Bomba! Mówili, że bardzo silna! Zamiast tego parkingu powinien tu zostać krater!

- Pan mi chce powiedzieć, że to mały wybuch? - Callaghan spojrzał na pułkownika jak na wariata.

- Pewnie, że mały, do diabła! - Lyle zamilkł nagle. - Jeżeli zostali tam ludzie...

Pułkownik pognął w stronę czołgu i chwycił mikrofon. M728 zamarł w miejscu.

- Co się stało?

- Jeżeli ktoś ocalał, w ten sposób możemy łatwo rozgnieść rannych. Kazałem kierowcy trochę przystopować. Kurczę blade, ma pan rację. A już myślałem, że i panu odbiło.

- Niby dlaczego?! - wrzasnął znowu Callaghan, gestem nakazując strażakom opłukać wodą z węży czołg.

- Ktoś mógł rzeczywiście ocaleć. Widać, że bomba była o wiele mniejsza, niż mi powiedzieli.

- "Maine", tu Diabeł Morski Jeden-Trzy - odezwał się pilot Oriona P-3C do zwalczania okrętów podwodnych. - Jesteśmy ze czterdzieści minut lotu od was. Co się stało?

- Mamy uszkodzoną śrubę i wał napędowy, a w pobliżu kręci się akula. Ostatni namiar cztery tysiące osiemset metrów na południowy zachód - odpowiedział Ricks.

- Zrozumiałem. Zobaczymy, może uda się ją od was odpędzić. Odezwiemy się, kiedy wyjdziemy na pozycję.

- Komandorze, damy radę wycisnąć ze trzy węzły. Odejźmy zaraz jak najdalej na północ - brzmiała propozycja Claggetta.

Ricks potrząsnął tylko głową.

- Zostajemy na miejscu, i zupełna cisza.

- Ale, komandorze, Ruscy musieli usłyszeć echo zderzenia. Będą szli w tę stronę, a my straciliśmy główny sonar. Najlepiej byłoby wykonać teraz unik.

- Nie. Najlepiej będzie zacząć się i czekać.

- To przynajmniej wypuścimy symulator.

- Mnie się też tak wydaje, sir - poparł Claggetta oficer-torpedysta.

- No, dobrze. Zaprogramujcie, żeby brzmiał, jak my w tej chwili, i wypuście na południe.

- Tak jest.

W trzeciej wyrzutni torpedowej USS "Maine" tkwił samobieżny symulator MOSS, naśladowujący pod wodą szum okrętu podwodnego. Symulator przypominał przebudowaną torpedę, w której głowicę bojową zastąpiono generatorem szumów i przekaźnikiem hydroakustycznym. Symulator miał teraz naśladować hałas uszkodzonego okrętu typu Ohio, a ponieważ uszkodzenie śruby uznano z góry za jedną z możliwych sytuacji, wystarczyło uruchomić odpowiedni program w komputerze urządzenia. Torpedysta wybrał odpowiednie kanały generatora dźwięków i kilka minut później wystrzelił symulator. MOSS pomknął na południe, a kiedy oddalił się na dwa tysiące metrów, zaczął nadawać.

Wiatr przepędził chmury znad Charleston w Karolinie Południowej, a burza śnieżna znad Marylandu i Wirginii dotarła tu jedynie w postaci zimnej mżawki. Słońce popołudnia przebiło się jednak przez chmury, przywracając miastu blask, jakim cieszyło się od czasów jeszcze sprzed wojny secesyjnej. Admirał dowodzący Szóstą Grupą Okrętów podwodnych przyglądał się z okrętu-bazy, jak dwa raketowe boomery wychodzą torem wodnym wzdłuż rzeki Cooper w stronę bezpiecznych, otwartych wód. Admirał nie był jedynym obserwatorem. Trzysta kilometrów nad nim przelatywał właśnie radziecki satelita szpiegowski, który następne zdjęcia miał wykonać nad bazą w Norfolk, gdzie również przecierało się wieczorne niebo. Satelita przekazał obrazy do rosyjskiego centrum rozpoznania na zachodnim cyplu Kuby, skąd satelitarnym łączem wędrowały dalej. Większość radzieckich sputników orbitowała wokół biegunów, nie zaś wokół równika, dzięki czemu w większości oszczędził je impuls elektromagnetyczny. Zdjęcia w ciągu paru sekund dotarły więc do

Moskwy.

- Mówcie - przynaglił minister obrony.

- Dostaliśmy właśnie zdjęcia z nad trzech amerykańskich baz morskich. Raketowe okręty podwodne z Charleston i King's Bay wychodzą w morze.

- Dziękuję. - Minister Obrony odłożył słuchawkę. Następna groźba. Natychmiast trzeba było powiadomić prezydenta Narmonowi.

- Co to dla nas oznacza?

- Dla nas oznacza to tyle, że akcja amerykańskich sił zbrojnych przestaje mieć charakter obronny. Niektóre z tych okrętów podwodnych mają na pokładzie pociski Trident D-5, a więc broń pierwszego uderzenia. Pamiętajcie, jak Amerykanie nalegali, żebyśmy zniszczyli nasze SS-18?

- Owszem. W zamian likwidują dużą ilość swoich minutemanów. Co z tego? - zapytał Narmonow.

- Zmierzam do tego, że do pierwszego ciosu Amerykanom w ogóle nie są potrzebne rakiety z wyrzutni lądowych. W odróżnieniu od nas mogą go zadać pociskami z okrętów podwodnych. Nam zostają wielogłowicowe rakiety z wyrzutni naziemnych.

- Właśnie, jak się to ma do naszych SS-18?

- Nawet w tej chwili wymontowujemy z nich głowice jądrowe. Jeżeli uda się wreszcie uruchomić te zasrane zakłady rozbiórkowe, wypełnimy wszystkie postanowienia traktatu. Wypełniliśmy je już, na dotrą sprawę, tyle że Amerykanie ni cholery nie chcą tego uznać. - Minister urwał, gdyż czuł, że Narmonow nadal nie pojmuje. Zaczął więc z innej beczki. - Innymi słowy, my pozbyliśmy się części naszych najcenniejszych rakiet, Amerykanie zaś mają je nadal. Strategicznie jesteśmy w gorszym położeniu niż oni.

- Niewiele spałem i nie nadążam za waszym tokiem myślenia - oznajmił kwaśno Narmonow. - Przecież rok temu sami wyraziliście zgodę na taki traktat, a teraz nagle mówicie mi o zagrożeniach.

Minister obrony machnął ręką. Wszyscy politycy są podobni do siebie. Nie słuchają, nie zwracają najmniejszej uwagi na to, co się im mówi. Powtarzać im sto razy, a oni dalej swoje!

- Likwidacja tylu pocisków i głowic jądrowych zmienia korelację sił...

- Brednie! Ciągłe dorównujemy USA pod każdym względem! - sprzeciwił się prezydent.

- Owszem, ale nie o to chodzi. Jedynym istotnym czynnikiem jest stosunek liczby wyrzutni, oraz ich odporność na trafienie, do liczby głowic po obu stronach. Nadal możemy pierwsi zaatakować i naszymi pociskami z silosów na lądzie zlikwidować amerykańskie siły raketowe.

Dlatego Amerykanie tak się napraszali, że się pozbędą połowy pocisków lądowych. Rzecz w tym, że większość ich głowic jest na morzu, i że po raz pierwszy wyrzutnie podwodne osiągnęły poziom, przy którym można nimi zadać pierwszy cios.

- Kuropatkin, słyszycie nas? - zwrócił się Narmonow do dowódcy wojsk OPK.

- Słyszę i zgadzam się z ministrem obrony. Jeżeli wolno coś powiedzieć, sytuacja ma jeszcze dodatkowy wymiar. Zmniejszyliśmy liczbę naszych wyrzutni, a tym samym zmieniła się ogólna propozycja wyrzutni i głowic. Od dwudziestu lat nie mieliśmy takiej sytuacji. Ten, kto zaatakuje pierwszy, ma szansę zmiażdżyć drugą stronę, zwłaszcza jeśli Amerykanie potrafiliby zgładzić kierownictwo kraju.

- A potrafią, właśnie za pomocą tych stealthów, które wysłali do Niemiec - zakończył wywód minister obrony.

- Minutkę. Chcecie mi wmówić, że Fowler wysadził własne miasto, żeby mieć pretekst do uderzenia? To jakieś szaleństwo...

Prezydent ZSRR po raz pierwszy zaczynał rozumieć, czym jest strach.



- Nieistotne, kto spowodował taki wybuch - stwierdził powoli i wyraźnie minister obrony. - Rzecz w tym, że jeśli Fowler ubrda sobie, że to nasza sprawka, posiada dosyć środków, by nas zniszczyć. Zrozumcie, towarzyszu prezydencie, że teoretycznie nasz kraj stoi o włos od zagłady, ich rakiety z baz lądowych dotrą tu w ciągu niecałych trzydziestu minut, rakiety z morza w ciągu raptem dwudziestu. Te cholerne niewidzialne bombowce doleczą nad bunkier w dwie godziny; trudno o lepsze otwarcie w tej grze. Nasz los zależy wyłącznie od rozsądku Fowlera.

- Rozumiem. - Radziecki prezydent zastanawiał się przez pół minuty, wpatrując się w ekran strategiczny na przeciwległej ścianie. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiwał gniew człowieka, który się boi. - To to co mi sugerujecie? Zaatakować Amerykanów? Tego nie uczynię.

- Oczywiście, że nie, ale nie zaszkodzi i nasze siły strategiczne postawić w stan pełnego pogotowia. Amerykanie zaraz to zauważą i zrozumieją, że jednostronny atak przestał być możliwy. Jest jednak prawdopodobne, że czyniąc tak, sprowokujemy ich tylko...

- Gołowko?

Pierwszy zastępca przewodniczącego KGB skurczył się cały na dźwięk swego nazwiska.

- Wiemy, że Amerykanie są w pełnym pogotowiu. Całkiem możliwe, że sprowokujemy ich, czyniąc to samo.

Jeżeli będziemy siedzieć biernie, staniemy się kuszącym celem - zauważył z nieludzkim spokojem minister obrony. Być może on jeden w całym bunkrze umiał zapanować nad nerwami. - Wiemy, jakie napięcie czuje Fowler. Zgładzono mu w końcu tysiące obywateli. W tej chwili może bez namysłu wysłać rakiety, ale jeżeli się dowie, że i my jesteśmy gotowi do odwetu, nie przyjdzie mu to tak łatwo. W takiej chwili nie wolno okazywać słabości. Słabość to kuszenie napastnika. Narmonow rozejrzał się po sali, patrząc, kto ma przeciwne zdanie. Cisza.

- Wykonać - polecił ministrowi obrony.

- Wciąż nie mam meldunków z Denver - mruknął Fowler, przecierając oczy.

- I tak niewiele się dowiemy - odparł generał Borstein z bunkra NORAD-u, wydrążonego w górskim zboczu i oddzielonego od wejścia serią stalowych wrót. Wykute w skale pomieszczenia miały za zadanie przetrzymać dowolny atak Urzędu i personel chroniły przed wstrząsami granitowego spągu specjalne resory i poduszki powietrzne, zaś stalowe zadaszenie nad głowami miało zatrzymać odłamki skalne, oderwane bliską eksplozją. Borstein nie łudził się jednak, że przeżyje atak. Do zniszczenia bunkra obrony powietrznej i kilku innych stanowisk Rosjanie wyznaczili cały pułk rakiet SS-18 model 4. Każdy z pocisków zamiast dziesięciu i więcej osobnych głowic był uzbrojony w pojedynczy ładunek mocy dwudziestu pięciu megaton, którego zadaniem było obrócić górę Cheyenne w jezioro Cheyenne. Borstein cieszył się tą myślą jako były pilot myśliwca, który karierę zaczynał jeszcze na F-100, przezywanych "Kunami". Z F-100 Borstein przesiadł się na phantoma F-4, a potem dowodził w Europie dywizjonem myśliwców F-J5. Zawsze był więc dowódcą liniowym, przywiązany do sterów i drążka, gogli i czapki pilotki. Kopnąć w opony, wskoczyć do kabiny, zapuścić śmigło, i w górę! Borstein skrzywił się na taką myśl. Tamte czasy minęły tak dawno, że sam ich nie pamiętał, mimo podeszłego wieku. Całe życie zajmował się obroną powietrzną kontynentu, czuwał, by nikt nie zrzucił bomb na amerykańskie miasta, lecz teraz zawiódł. Pobliska część Ameryki wyleciała w powietrze, zginął zwierzchnik Borsteina, a wszystko to nie wiadomo dlaczego ani za czyją sprawką. Borstein źle znosił klęski. Ścienny ekran informował go jednak właśnie o klęsce.

- Generale! - zawołał jeden z majorów.

- Tak?

- Łapię nowy ruch w radiu i na radioliniach. Nic, tylko Iwan alarmuje swoje pułki raketowe. Tak samo w bazach morskich. Z Moskwy idą na wszystkie strony krótkie depesze.

- Jezus Maria! - Borstein łąpał już za telefon.

- Pierwszy raz w historii? - zdumiała się Liz Elliot.

- Dziwne, ale tak właśnie jest - zapewnił ją Borstein. - Nawet w dniach kryzysu kubańskiego Moskwa nie postawiła sił strategicznych w stan pogotowia.

- Nie wierzę - prychnął Fowler. - Naprawdę nigdy?

- Generał mówi prawdę - włączył się do rozmowy Ryan. - Przyczyna jest prosta, bo w ZSRR od wieków źle działa sieć telefoniczna. Pewnie udało im się wreszcie znaleźć radę...

- Proszę jaśniej.

- Panie prezydencie, diabeł siedzi w szczegółach. Pan przesyła rozkazy głosem, podobnie jak Rosjanie. Kiedy jednak chodzi o rozkaz tej wagi, nawet Rosjanom trudno bawić się w głuchy telefon. Dlatego wsadzili tyle pieniędzy w sieć telekomunikacyjną. My też inwestowaliśmy ostatnio w systemy dowodzenia i nadzoru. Rosjanie, tak samo jak my, stosują światłowody i całą nową sieć radiolinii. Właśnie w ten sposób możemy ich podsłuchać, bo stacje radioliniowe robią jednak hałas w eterze - tłumaczy Jack.

- Za parę lat przejdą wyłącznie na światłowody, więc nic nie będziemy wiedzieć. Wcale mi się to nie podoba - dodał generał Fremont.

- Mnie też nie - przytaknął Ryan. - Wprawdzie my też ogłosiliśmy DEFCON-DWA...

- Rosjanie o tym nie wiedzą. Nie mówiliśmy im tego - przerwała mu Liz Elliot.

- Nie wiedzą, chyba że czytają naszą pocztę. Mówiłem już o meldunkach, że udało im się złamać nasze szyfry.

- Narodowa Agencja Bezpieczeństwa twierdzi, że pan zwariował.

- Może i zwariowałem, ale oni też nie są nieomylni. - Jak pan sądzi, co czuje w tej chwili Narmonow?

Jack miał już na końcu języka, że Narmonow boi się jeszcze gorzej niż on sam, lecz nie ryzykował.

- Panie prezydencie, tego nie sposób określić.

- Nie wiemy zresztą, czy to rzeczywiście on - wtrąciła Liz Elliot.

- Odrzucam z miejsca pani hipotezę - warknął Jack Ryan do mikrofonu. - Jedyne dowód na jej rzecz pochodzi z mojej agencji i, naszym zdaniem, nie jest wiarygodny.

Jack pożałował, że w ogóle zaniósł meldunek ŻAGŁA do Białego Domu.

- Niech się pan wyłączy, Ryan! - rozsierdził się Fowler. - Mnie są teraz potrzebne fakty, a nie kłótnie, rozumiemy się? - Panie prezydencie, od dłuższego czasu powtarzam, że nie można podjąć decyzji na podstawie dotychczasowych informacji.

- Gówno prawda - zauważył pułkownik, siedzący obok generała Fremonta.

- Niby czemu? - Dowódca sił strategicznych odwrócił się od mikrofonu.

- Bo doktor Elliot ma na pewno rację, generale. Jej teoria ma ręce i nogi.

- Panie prezydencie - rozległo się w nadajniku. - Nowa depesza na gorącej linii.

PREZYDENCIE FOWLER:

OTRZYMALIŚMY WŁAŚNIE MELDUNEK, ŻE AMERYKAŃSKI ODDZIAŁ Z BERLINA ZAATAKOWAŁ BEZ OSTRZEŻENIA JEDNOSTKĘ RADZIECKĄ. NASZE STRATY SA BARDZO POWAŻNE. PROSZĘ MI WYJAŚNIĆ, CO SIĘ DZIEJE.

- O, kurwa - skwitował Ryan telefaks.
  - Proszę państwa o opinie - zwrócił się Fowler do wszystkich ośrodków.
  - Najlepiej będzie odpisać, że nic nie wiemy o tym incydencie - odezwała się Liz Elliot. - Jeżeli przyznamy się, że o nim wiemy, na nas także spadnie odpowiedzialność.
  - Moim zdaniem, to jak najgorsza chwila na kłamstwa - oznajmił stanowczo Ryan, karcąc się w duchu za ton. Powtarzał sobie bez skutku, jeśli zacznie podnosić głos, tamci przestaną go słuchać.
  - Niech pan to powie Narmonowowi - odcięła się Liz Elliot. - Już pan zapomniał, że Rosjanie zaatakowali pierwsi?
  - Tak twierdzą meldunki, ale...
  - Panie Ryan, sugeruje pan, że nasi oficerowie kłamią! - zdenerwował się Borstein w swoim bunkrze pod górami Cheyenne.
  - Skądże znowu, generale, chodziło mi tylko o to, że w takich chwilach informacje bywają niejasne. Wie pan o tym lepiej ode mnie!
  - Jeżeli powiemy, że nic nam o tym nie wiadomo, unikniemy zajęcia stanowiska, z którego trudno się będzie później wycofać, a więc uspokoimy Rosjan - stwierdziła doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Ale dlaczego wyskoczyli nagle z Berlinem?
  - Panie prezydencie, był pan niegdyś prokuratorem, więc sam pan wie, jak niejasne bywają zeznania świadków - nie ustępował Ryan. - Narmonow mógł zadać to pytanie w dobrej wierze. Proponuję, żeby mu odpowiedzieć uczciwie.
- Siedzący obok Jacka Goodley wyciągnął w górę kciuk, pochwalając ostatnie zdanie.
- Pamiętaj, Robercie, że nie mamy do czynienia z cywilami, tylko z zawodowymi żołnierzami, a ci znają się na rzeczy. Narmonow oskarża nas o to, czego nie popełniliśmy - drażyła zagadnienie Liz Elliot. - Radzieckie wojska nie zaczynają działań bojowych bez rozkazu, a zatem Narmonow doskonale wie, że jego oskarżenia nie mają podstaw. Jeżeli przyznamy się, że wiemy o walkach, wyjdzie na to, że istnieją powody do oskarżeń, Nie mam pojęcia, jaką grę prowadzi Narmonow, czy ktokolwiek na drugim końcu linii, ale jeżeli oświadczymy mu, że o niczym nie mamy pojęcia, zyskamy na czasie.
  - Stanowczo się z tym nie zgadzam - oznajmił Ryan, usiłując nie wybuchnąć.

#### PREZYDENCIE NARMONOW:

JAK PAN WIE, ZAJMUJĄ MNIE W TEJ CHWILI GŁÓWNIIE WYPADKI NA TERENIE MOJEGO KRAJU. NIE OTRZYMAŁEM DOTĄD Z BERLINA ŻADNYCH INFORMACJI. DZIĘKUJE, ŻE PODNIÓSŁ PAN TĘ SPRAWĘ. WYDAŁEM POLECENIE, BY SPRAWDZONO, CO SIĘ DZIEJE.

- Co wy na to?

- Swołocz kłamie w żywe oczy - oświadczył minister obrony. - Mają taką świetną łączność i nic nie wiedzą? Bajki.

- Ej, Robercie, Robercie, łżyj tak, żebym nie wiedział, że łżesz... - szepnął Narmonow, pochylając głowę. Radziecki prezydent szukał odpowiedzi na kilka naglących pytań. Od dwóch czy trzech miesięcy kontakty z Ameryką stały się dziwnie chłodne. Ilekroć Narmonow prosił o dodatkowe kredyty, spotykał się z odmową. Amerykanie domagali się wypełnienia przez Kreml co do joty postanowień traktatu o redukcji arsenału, choć dobrze znali problem zakładów rozbiórki rakiet, i chociaż Narmonow osobiście zapewnił Fowlera, że wypełni wszystkie zobowiązania. Skąd taka odmiana? Dlaczego Fowler przestał dotrzymywać obietnic? Co się właściwie wyrabia?

- To więcej niż kłamstwo, w każdym razie nie jest to zwykłe kłamstwo - oświadczył nagle minister obrony.

- Wy tłumaczcie.

- Fowler podkreśla, że najbardziej obchodzą go ofiary wybuchu w Denver, chociaż dobrze wiemy, że postawił w pogotowie wszystkie siły strategiczne. Dlaczego nic nam o tym nie powiedział?

- Może boi się nas sprowokować...? - bąknął Narmonow, lecz nawet dla niego były to puste słowa.

- Może i tak. Amerykanie na pewno nie wiedzą, że umiemy odczytywać ich szyfry. Może się łudzą, że nic nie wiemy o ich pogotowiu.

- Ja mam inne zdanie - wypowiedział się ze swojego bunkra Kuropatkin. - Jakim cudem mielibyśmy przegapić rozmaite szczegóły, świadczące o pogotowiu? Amerykanie powinni sobie zdawać sprawę, że orientujemy się chociaż w części ich przygotowań.

- W części, nie w całości - uciął minister obrony i spoglądając twardo na Narmonowa oświadczył: - Musimy dopuścić do siebie możliwość, że amerykański prezydent przestał postępować racjonalnie.

- Pierwszy raz? - nie wierzył Fowler.

Elizabeth Elliot skinęła głową. Twarz miała jeszcze bledszą niż przedtem.

- Mało kto o tym wie, Robercie, ale taka jest prawda. Rosjanie nigdy dotąd nie postawili strategicznych sił raketowych w stan pogotowia.

- Więc dlaczego teraz? - zapytał prezydent.

- Robercie! Możliwa jest tylko jedna odpowiedź. Nie rozmawiamy już z Narmonowem, tylko z kimś innym.

- Ale jak się o tym upewnić?

- Nie mą jak. Jedyne, co mamy, to łącze komputerowe. Nie słyszymy głosu, nie widzimy twarzy, tylko sam tekst.

- Święty Boże.



# KOLIZJE

- Ryan, skąd wiadomo, że naprawdę rozmawiamy z Narmonowem?

- A niby z kim, panie prezydencie?

- Do diabła, panie Ryan! Nie kto inny, jak pan, przynosił mi te raporty.

- Proszę się uspokoić, panie prezydencie - zwrócił się Jack do Fowlera głosem, w którym było

wszystko tylko nie spokój. - Owszem, to ja przyniosłem meldunki z Moskwy, ale też nie kto inny, jak ja, ostrzegałem, że nie dają się potwierdzić. Parę minut temu sam mówiłem, że według naszych nowych danych, w ogóle nie należy wierzyć tym meldunkom.

- Pan, zdaje się, nie zna własnych informacji. Przecież to pan ostrzegał nas o zagubionych głowicach jądrowych! - przypomniała Liz Elliot. - Ale nic w przyrodzie nie ginie, głowice też się znalazły, i to dokładnie tam, gdzie się miały znaleźć!

Helen D'Agustino jęknęła w duchu, stwierdzając, że Elliot jest jeszcze bardziej roztrzęsiona od prezydenta. Agentka wymieniła spojrzenie z Connorem, który miał kredowobiałą twarz. Tempo wypadków było przerażające,

- Powiedziałem pani i powtarzam jeszcze raz, że prawie nic nie wiemy na ten temat. Do licha, nie mamy żadnych podstaw, żeby wyciągać prawidłowe wnioski.

- To dlaczego ogłosili pogotowie dla wyrzutni?

- Z tego samego powodu, co my! - odkrzyknął Ryan. - Być może, gdyby obie strony ochłonęły na chwilę...

- Panie Ryan, dość pouczenia mnie, co mam robić - oznajmił cicho Fowler. - Od pana żądam jedynie informacji. Od decyzji jesteśmy tu my.

Jack odwrócił się od mikrofonu. Wszystko wymykało mu się z rąk; tak przynajmniej myślał Goodley, spoglądając na bladozieloną twarz Ryana. Zastępca dyrektora CIA gapił się przez okno na wewnętrzny dziedziniec i opustoszały budynek po drugiej stronie. Potem parę razy odetchnął głęboko i wrócił na miejsce.

- Panie prezydencie - zaczął opanowanym, lecz napiętym głosem - naszym zdaniem, prezydent Narmonow zachował kontrolę nad poczynaniami radzieckich władz. Nie znamy przyczyny wybuchu w Denver, ale też nie posiadamy informacji, które kazałyby nam uznać, że eksplodowała głowica radziecka. Według nas, podobna akcja ze strony ZSRR byłaby aktem szaleństwa, więc nawet gdyby władzę w Moskwie przejęli wojskowi, chociaż powtarzam, że nie mamy śladu informacji o zamachu stanu, szansa na podobny błąd w rachunkach tamtej strony wynosi zero. Taka jest opinia CIA.

- Ale Kadyszew? - przypomniał Fowler.

- Wczoraj i dziś badaliśmy nowy trop, który wskazuje, że informacje Kadyszewa są fałszywe. Nie zgadza nam się data jednego ze spotkań z Narmonowem, kiedy to...

- Jedna data? Nie zgadza wam się jedna data? - przerwała Liz Elliot.

- Może da mi pani skończyć! - Jack znów stracił panowanie nad sobą. - O co chodzi, nie ja wymyśliłem taką hipotezę, tylko Goodley - sapnął. - Doktor Goodley zauważył subtelne różnice w kolejnych raportach Kadyszewa i zdecydował się skorelować je w czasie. Wszystkie raporty dotyczą osobistych spotkań w cztery oczy z Narmonowem. W jednym wypadku zupełnie nam się nie zgadzają ich harmonogramy. Nie mamy wcale pewności, że naprawdę się wtedy spotkali. Jeśli się nie spotkali, Kadyszew kłamie.

- Zapewne przyszło panu do głowy, że mogli się spotkać w tajemnicy? -zapytała jadowitym

głosem Liz Elliot. - A może wyobraża pan sobie, że na podobny temat rozmawia się jak na każdy inny? Myśli pan, że trzeba się umawiać na konkretny termin, żeby rozmawiać o groźbie zamachu stanu?!

- Powtarzałem i będę powtarzał, że to nie potwierdzone informacje. Nie umiemy ich sprawdzić ani my, ani Brytyjczycy, w ogóle nikt.

- Panie Ryan, zgodzi się pan, że spisek dążący do zamachu stanu zawiązano by w najgłębszej tajemnicy, zwłaszcza w takim państwie, jak ZSRR? - zapytał Fowler.

- Oczywiście.

- W takim razie trudno byłoby się spodziewać, że potwierdzą taką informację inne źródła? - ciągnął Fowler tonem z najlepszych prokuratorskich czasów.

- Trudno, panie prezydencie - przyznał Ryan.

- W takim razie trudno nam także liczyć na zdobycie lepszych informacji, czy tak?

- Owszem, panie prezydencie, z tym, że nadal nie wiemy, czy to prawda.

- Sam pan powiedział, że nie znalazł pan sposobu, by potwierdzić raporty.

- Zgadza się, panie prezydencie.

- Ale nie znalazł pan także sposobu, by te raporty obalić?

- Panie prezydencie, mamy powody przypuszczać...

- Proszę mi odpowiedzieć na pytanie!

Ryan zwinął dłoń w ciasną, pobielającą pięść.

- Nie, panie prezydencie, mamy tylko przypuszczenia.

- Natomiast od kilku lat Kadyszew przysyła nam wiarygodne, sprawdzone informacje?

- Tak jest.

- Opierając się na doświadczeniach z panem Kadyszewem, ostatnia informacja jest więc również wiarygodna?

- Tak jest.

- Dziękuję, doktorze Ryan. Proponuję, aby pan spróbował zdobyć dodatkowe dane. Kiedy je pan zdobędzie, proszę się zgłosić. - Prezydent wyłączył linię do CIA.

Jack podniósł się powoli z fotela. Nogi miał sztywne i obolałe od nerwowego napięcia. Podszedł dwa kroki do okna i zapalił papierosa.

- Spieprzyłem sprawę - oznajmił światu. - Jezus Maria, spieprzyłem sprawę...

- Nie twoja wina, Jack - pocieszył go Goodley, bezwiednie przechodząc na "ty" z zastępcą dyrektora CIA. Jack okręcił się na pięcie.

- Doskonałe motto na mój pierdolony nagrobek, co? "Nie jego wina, że cały zaszran świat wyleciał w powietrze"!

- Opanuj się, Jack, nie jest wcale tak źle.

- Co ty powiesz? A słyszałeś ten strach w ich głosach?

Radziecki lotniskowiec "Kuzniecowa" wysyłał samoloty w powietrze inaczej niż okręty amerykańskie. Zamiast płaskiego pokładu na dziobie "Kuzniecowa" zbudowano pochylnię, podobną do skoczni narciarskiej. Pierwszy mig-29 skoczył w przód z miejsca startu i dał susa z pochylni w górę. Ten rodzaj startu nie oszczędzał pilotów ani maszyn, lecz okazał się najskuteczniejszy. Z katapulty wylatywał już następny mig, który złączył się w powietrzu z partnerem i wraz z nim zawrócił na wschód. W chwili, kiedy wspinali się na wysokość podrózną, dowódca patrolu odebrał w słuchawkach dalekie bzyczenie.

- To mi wyglądało na brzęczyk ostrzegawczy na częstotliwości bojowej - wymienił uwagę ze

skrzydłowym. - Pewnie ktoś z naszych.

- Da, na południowy wschód od nas. Nasz sygnał. Ciekawe, kto to może być?

- Nie mam pojęcia. - Dowódca patrolu przekazał jednak wiadomość na pokład "Kuzniecowa" i otrzymał polecenie, by zbadać sytuację.

- Tu Sokół-dwa - zameldowano na pokładzie hawkeye. - Dwie maszyny z ruskiej formacji idą w naszą stronę, szybko, z kursu trzy jeden pięć, odległość od pokładu dwieście pięćdziesiąt mil.

Komandor Richards spojrział na ekran taktyczny.

- Pik, tu pokład. Zbliżyć się i odstraszyć.

- Zrozumiałem - potwierdził Jackson. Przed chwilą napełnił zbiorniki paliwem z samolotucysterny i mógł zostać w powietrzu jeszcze ze trzy godziny. Pod skrzydłami miał nadal sześć rakiet.

- Jak to "odstraszyć" - zdziwił się kapitan Walters.

- Słuchaj, Pilnik, ja też nie wiem, co się w ogóle dzieje. - Jackson przełożył drążek sterowy, to samo uczynił także Sanchez. Maszyny znów odeszły od siebie na większą odległość.

Obie pary samolotów szły kursem na spotkanie, a suma ich prędkości przekraczała tysiąc pięćset kilometrów na godzinę. Cztery minuty później zaczęły aktywną pracę radary obu tomcatów. Jeszcze niedawno pozwoliłoby to Rosjanom zorientować się, że w okolicy kręcą się amerykańskie myśliwce i że lepiej się tam nie pokazywać. Jednak nowe amerykańskie radary były trudno wykrywalne, nie sposób więc było je wyłapać.

Okazało się, że nie ma to znaczenia, gdyż kilka sekund później również obaj Rosjanie włączyli swoje urządzenia radarowe.

- Dwa myśliwce, idą w naszą stronę!

Dowódca radzieckiej pary sprawdził informację na radarze i zmarszczył czoło. Oba migi miały za zadanie ochronę własnej grupy uderzeniowej. Z naczelnego dowództwa przyszedł sygnał alarmowy, wysłano więc myśliwce w powietrze. Misja eskortowa przerodziła się jednak w akcję ratunkową, toteż dowódca nie miał najmniejszego zamiaru bawić się z Amerykanami w berka, szczególnie po nocy. Zdawał też sobie sprawę, że Amerykanie wiedzą o jego obecności, gdyż jego namiernik wychwycił sygnały radarowe z jankeskiego samolotu wczesnego ostrzegania.

- Skręt w prawo! - nakazał więc. - Zejdziemy na tysiąc metrów i poszukamy tego, kto alarmował.

Rosjanin zostawił jednak włączony radar, by pokazać, że w razie czego jest gotów do strzału.

- Robią unik w lewo, schodzą niżej.

- Bud, wyjdź na czoło - rozkazał Jackson. Sanchez miał teraz więcej rakiet. Robby miał go ubezpieczać od ogona.

- Pokład, tu Sokół-dwa, oba typy odchodzą na południe. Schodzą nad samą wodę.

Na oczach Richardsa wektory kursu obu samolotów na ekranie zmieniły kierunek. Nowy kurs nie przecinał wprawdzie toru żeglugowego "Roosevelta" z eskortą, lecz mocno się do niego zbliżał.

- Ciekawe, co też planują.

- Przecież nie wiedzą w ogóle, że tu jesteśmy, prawda? - uzmysłowił sobie oficer operacyjny. - Inna rzecz, że włączyli radary.

- Czyli szukają nas?

- Tak bym przypuszczał.

- No, to przynajmniej wiemy, skąd się wzięła ta pierwsza czwórka. - Komandor Sanchez podniósł mikrofon. Miał polecenie dla Jacksona i Sancheza.

Polecenie było krótkie. "Zestrzelić". Robby wyszedł w górę, żeby ubezpieczać, Sanchez zaś zanurkował, ciągnąc tuż za migami, lecz poniżej ich pułapu.



- Zgubiłem tych Amerykańców z ekranu.

- Co nas oni teraz obchodzą! Mieliśmy szukać tego sygnału alarmowego, nie? - Dowódca klucza wychylił się, jak daleko zdołał, przepatrując horyzont. - Chyba widzę błyski. Na powierzchni, pięćdziesiąt stopni wprawo...?

- Widzę!

- Schodzimy niżej.

- Próbują uciec w dół i w prawo - zameldował Bud. - Biorę na celownik.

Tomcat leciał zaledwie tysiąc osiemset metrów nad parą migów. Sanchez wybrał strzał pociskiem Sidewinder i ustawił nos swojej maszyny wprost na "południowca", czyli drugi samolot pary. Tomcat przybliżał się nadal do celu. Kiedy Sanchez usłyszał w słuchawkach brzęczyk, odpalił pocisk raketowy. Sidewinder AIM-9M zeskoczył z prowadnicy i wbił się prosto w prawy silnik miga-29, powodując eksplozję. Odłamki zaczęły dopiero fruwać w powietrzu, kiedy Sanchez odpalił drugi pocisk.

- Spuściłem pierwszego.

- Co, do czorta! - wrzasnął dowódca pary, widząc rozbłysk kątem oka, lecz kiedy odwrócił głowę, ujrzał, jak skrzydłowy spada, ciągnąc za sobą żółtą smugę. Pilot targnął drążkiem w lewo, zwalniając prawą ręką mechanizm wystrzeliwania rac cieplnych i folii przeciwradarowej i szukając w ciemnościach napastnika.

Druga rakietka Sancheza chybiła, przechodząc na prawo od miga. Nieważne. Bud nadal miał miga na radarze celownika, a zwrot radzieckiej maszyny ustawił ją w linii strzału z działka kalibru 20 mm. Krótka seria odwalila w migu kawał skrzydła. Pilot zdążył się katapultować w ostatniej chwili. Sanchez widział wyraźnie, jak rozwija się jego spadochron. Minutę później, podczas kolejnego okrążenia, Amerykanin zorientował się, że drugi Rosjanin również zdążył wystrzelić się z maszyny. Bud był z tego nawet zadowolony.

- Drugi też zleciał. Pokład, dwa spuszczone, widzę dwa parasole... Zaraz, chwila, teraz mam na wodzie trzy lampy stroboskopowe... - zameldował Jackson, podając dokładną pozycję. Niemal natychmiast z pokładu "Theodore'a Roosevelta" wystartował śmigłowiec ratowniczy.

- Pik, zawsze tak łatwo idzie? - zapytał Walters.

- Sam myślałem, że Rosjanie są mądrzejsi - przyznał komandor. - Czuję się jak w pierwszy dzień sezonu na kaczkę.

Kiedy dziesięć minut później radiostacja "Kuzniecowa" wywołała obie maszyny, nie otrzymała odpowiedzi.

Wojskowy śmigłowiec powrócił z zakładów w Rocky Flats. Major Griggs przywiózł tym razem pięciu ludzi w kombinezonach antyradiacyjnych. Dwóch z nich pobiegło naprzód i przy czołgach saperskich M738 odnalazło szefa batalionu Callaghana.

- Jeszcze dziesięć minut i powinno się udać! - wrzeszczał pułkownik Lyle z wieżyczki pierwszego czołgu.

- Kto tu dowodzi? - zapytał jeden z członków nowej grupy.

- A kto pyta?

- Jestem Parsons, dowódca patrolu.

Laurence Parsons był rzeczywiście dowódcą dyżurnego patrolu ratownictwa i ostrzegania nuklearnego - NEST-u. Jemu również nie dopisało dziś szczęście. Zadaniem patrolów NEST-u jest

odnajdywać bomby jądrowe, zanim eksplodują. W Stanach Zjednoczonych istniały w tym celu trzy grupy, jedna tuż pod Waszyngtonem, druga w Nevadzie, trzecia natomiast zaczęła nie tak dawno pracę w zakładach w Rocky Flats, dopomagając w rozbiórce dawnej wytwórni bomb jądrowych pod Denver. Tworząc grupy, przewidziano sytuację, w której NEST dotrze na miejsce za późno. Parsons trzymał w ręku licznik Geigera i krzywił się, widząc wskazania.

- Długo już tu tkwicie?

- Pół godziny, góra czterdzieści minut.

- Macie jeszcze dziesięć minut, potem wszyscy jazda poza teren. Zbieracie tu ciężkie remy promieniowania.

- Co też pan mówi? Major twierdził, że cały opad poszedł nad góry.

- Mówię o wtórnym promieniowaniu neutronowym. Cały teren gorący! Callaghan na samą myśl wtulił głowę w ramiona. Tracił oto życie, choć nie widział ani nie czuł zagrożenia.

- Na stadionie mogą być ludzie! Prawie się przebiliśmy!

- Dobra, przebijajcie się, ale szybko! Naprawdę, raz-dwa! - Parsons i jego ludzie cofnęli się z powrotem do śmigłowca. Ich też czekały rozmaite zadania. Przy śmigłowcu stał jednak jakiś cywil.

- A pan, kurwa, kto? - warknął na niego Parsons.

- FBI! Mam sprawdzić, co się stało.

- Niech pan śmiało zgaduje.

- W Waszyngtonie potrzebują informacji!

- Rany, tutaj bardziej bije niż na stadionie! - ostrzegł szefa jeden z członków patrolu.

- Wszystko się zgadza - potwierdził Parsons i wskazał na ruiny. - Wybuch naziemny. Tu nawietrzna, tam zawietrzna. Pod samymi ścianami nie spadło aż tyle, co tutaj.

- Co może mi pan powiedzieć? - Agent FBI domagał się ekspertyzy.

- Niewiele! - Parsons musiał przekrzykiwać turkot wirnika. - Wybuch naziemny, moc poniżej dwudziestu kiloton, wiem tylko tyle.

- Czy tu jest niebezpiecznie?

- Pewno, a co pan myśli? Dokąd wycofać tych ludzi, co?

- Może do szpitala Aurora Presbyterian, co? Trzy kilometry stąd, pod wiatr? - zaproponował człowiek z NEST-u. - Zaraz przy centrum handlowym Aurora. Tam powinno być już bezpiecznie.

- Wie pan, gdzie to jest? - zapytał jeszcze Parsons.

- Wiem!

- No, to jazda! Ken, wal do tych strażaków, niech się stąd zabierają w cholerę, tutaj jest dwadzieścia procent więcej promieniowania niż przy samym stadionie. Musimy zebrać próbki. Ken, zadbasz o to, żeby za dziesięć, góra piętnaście minut wszyscy opuścili teren. Jeśli będzie trzeba, wyciągnij ich za kołnierz. Zaczynij od tej grupy.

- Robi się.

Agent FBI przykucnął, by uniknąć podmuchu od startującego śmigłowca. Człowiek z NEST-u biegł wzdłuż rzędu wozów strażackich, gestami nakazując im odjechać z placu. Agent postanowił uczynić to samo i już po kilku minutach siedział w samochodzie, zdążając na północny wschód.

- Zapomniałem, kurwa, o tych neutronach - usprawiedliwiał się major Griggs.

- Drobiazg, co? - ryknął wściekły Callaghan, przekrzykując hałas czołgu.

- Nie ma obawy, wskazówka zatrzymała im się na setce. Sto to jeszcze żadna dawka.

Callaghan usłyszał, jak wozy pożarnicze ruszają jeden po drugim.

- Co z tymi ludźmi na stadionie?

Strażak znalazł hełmofon z przewodem, dyndający za czołgiem.

- Ej, czołgiści, słuchajcie, mamy dziesięć minut, a potem musimy stąd wyrwać. Postarajcie się!
- Już się robi, szefie - zapewnił dowódca czołgu. - Lepiej zmykaj. Będę liczył do dziesięciu.

Callaghan ruszył do tyłu co sił w nogach. Pułkownik Lyle zeskoczył z pancerza i pognął w ślad za nim, podczas gdy kierowca cofnął maszynę dziesięć metrów, rozpedził silnik do czerwonej kreski i puścił hamulce. M728 zmiażdżył pięć samochodów i rozepchnął je na boki. Wbity w masę żelastwa czołg jechał może kilometr na godzinę, lecz nie zatrzymał się. Gąsienice rwały kęsy asfaltu... Nagle czołg przeszedł na drugą stronę.

Teren tuż przy zewnętrznej ścianie stadionu ocalał nad podziw dobrze. Większość szczątków dachu i górnych trybun podmuch rozrzucił w promieniu kilkuset metrów od budowli, lecz grunt tuż przy stadionie zaścielały jedynie sterty cegieł i odłamki betonu. Samochód nie przejechałby przez gruzowisko, lecz piechotą dało się leszcze przebrnąć. Strażacy ruszyli w wylom, zmywając wszystko wodą z węży. Asfalt wciąż był bardzo gorący, a kiedy spadła na niego woda, wszędzie podnosiły się kłęby pary. Callaghan biegł przed czołgiem, każąc swoim ludziom rozpiechnąć się na prawo i na lewo.

- Wiecie, co mi się przypomina? - zapytał kolegów ekspert z NEST-u, kiedy śmigłowiec okrążał ruiny stadionu.

- Wiem, Czarnobyl. Tam też puścili przodem strażaków. - Parsons oddalił od siebie tę myśl. - Leć z wiatrem - przykazał pilotowi. - Andy, jak to wszystko oceniasz?

- Wybuch naziemny, ale żeby sto kiloton? Na mój rozum nawet dwadzieścia pięć to za dużo, Larry.

- A jak myślisz, dlaczego NORAD tak zawyżył tę moc?

- Wszystko przez ten parking. Asfalt, a na nim płonące samochody. Ciało doskonale czarne, nie żartuję, asfalt w końcu nawet jest czarny! Sam się dziwię, że impuls termiczny nie wydał im się jeszcze silniejszy. Tu asfalt, a wszędzie dookoła śnieg i lód, nie? Echo termiczne jak od megatonówki, a jeszcze wysoki kontrast energetyczny.

- Dobrze mówisz, Andy - zgodził się Parsons. - Czyli co, terroryści?

- Na to mi zaczyna wyglądać, Larry. Upewnimy się dopiero, jak sprawdzimy opad.

Odgłosy bitwy osłabły teraz; dowódca bradleya słyszał tylko sporadyczny grzechot broni maszynowej, domyślił się więc, że Rosjanie cofnęli się trochę albo wręcz wrócili do koszar. Byłaby to dorzeczna decyzja, jako że obie strony zmarnowały większość czołgów, a główny ciężar bitwy przejęła na siebie piechota w transporterach opancerzonych. Dowódca wiedział dobrze, iż piechota ma więcej oleju w głowie od czołgistów; zwyczajna rzecz, kiedy zamiast pół metra stali człowiek ma na sobie tylko bluzę. Bezbronni zaczynają kombinować. Dowódca kazał więc kierowcy przeskoczyć do następnego ukrycia. Manewr wydawał mu się osobliwy, choć ćwiczyli go tyle razy: gąsienicowy wóz podjeżdżał do rogu ulicy, zwiadowca wyskakiwał z pojazdu, podbiegał do narożnika domu i zerkał zza niego tuż nad ziemią.

- Czysto, sierżancie! Horyzont... Zaraz! - W oddali coś się poruszało. - Widzę ruch, ze trzy kilometry w górę tej alei. - Żołnierz podniósł do oczu lornetkę noktowizyjną. - BRDM! Ma na pancerzu rakiety!

Sierżant domyślił się natychmiast, że ma przed sobą jeden z wozów rozpoznawczych następnej fali rosyjskich oddziałów. Zadanie, jakie przed nim teraz stało, było proste. W rozpoznaniu liczą się dwie rzeczy: odnaleźć przeciwnika i zarazem nie pozwolić mu rozpoznać terenu.

- Widzę następny!

- Wskakuj do wozu! Kierowca, skaczemy na prawo. Działonowy, cele po prawej.

- Gotowe, sierzancie.

- Teraz!

Opancerzone cielsko bradleya szarpnęło w tył, kiedy wóz przeskakiwał skrzyżowanie. Działonowy odwrócił wieżę, czując się jak na strzelnicy w wesołym miasteczku. Aleją jechały ku nim dwa lekkie wozy rozpoznawcze BRDM. Działonowy rozprawił się z czołowym, trafiając wyrzutnię rakiet przeciwpancernych na pancerzu radzieckiego pojazdu. BRDM zboczył w lewo i wyrznął w zaparkowane samochody. Działonowy natomiast przeniósł ogień na drugi wóz, który na próżno usiłował w wąskiej ulicy zrobić unik. Działko szybkostrzelne bradleya stanowi udane połączenie zalet karabinu maszynowego i armaty. Działonowy mógł nakierować serię pocisków smugowych prosto w cel i z radością dostrzegł nowy wybuch. Niestety...

- Do tyłu, dawaj do tyłu! - wrzasnął sierżant w laryngofon. Nie dostrzegli wcześniej trzeciego BRDM-a, który wypuścił ku nim rakietę przeciwpancerną, ciągnącą za sobą cienki przewód. Bradley skrył się za tym samym narożnikiem, zza którego wyjechał, a ledwie to uczynił, rakietka eksplodowała dwieście metrów od wozu.

- Pora się cofać. Zawracaj - rozkazał dowódca wozu i włączył radio: - Mówi Delta trzy-trzy. Mieliśmy kontakt z wozami rozpoznania. Dwa zniszczone, trzeci nas zauważył. Wygląda, że ciągnie tu więcej tych kolesi.

- Zepchnęliśmy ich z powrotem za linię rozgraniczenia, generale. W tej chwili dam radę temu, co mają, ale jeżeli doślą posiłki, wpietrzą nam, jak zechcą - oznajmił pułkownik Long. - Potrzebna nam pomoc!

- Za dziesięć minut powinniście dostać wsparcie lotnicze. Wysłaliśmy do was szybkich chłopców.

- Dobre i to, generale, ale przydałoby się coś więcej.

Dowódca sił amerykańskich w Europie odwrócił się do oficera operacyjnego.

- Mamy tam coś?

- Drugi z 11 Pułku Kawalerii, sir. Wychodzą właśnie z koszar.

- Jak wygląda droga do Berlina?

- Rosjanie? Niewielkie siły. Jeśli szwadron się pospieszy...

- Niech ruszają.

Dowódca wrócił za biurko i podniósł słuchawkę, łącząc się z Waszyngtonem.

- Tak, o co chodzi? - zapytał Fowler.

- Panie prezydencie, wygląda na to, że Rosjanie wprowadzają do Berlina posiłki. Rozkazałem drugiemu szwadronowi 11 Pułku Kawalerii Pancerniej iść w stronę Berlina jako wsparcie. Wcześniej wysłałem samoloty, żeby rozpoznały sytuację.

- Ma pan jakieś pojęcie, co zamierzają Rosjanie?

- Nie, panie prezydencie, to wszystko jest kompletnie bez sensu, tylko co z tego, skoro dalej giną tam ludzie? Co mówią Rosjanie, panie prezydencie? - Pytają, dlaczego ich zaatakowaliśmy.

- Czy oni z byka spadli? - zapytał dowódca sił w Europie, głowiąc się jednocześnie, o co też może chodzić. Może dzieje się coś naprawdę strasznego?

- Generale - usłyszał dowódca kobiecy głos. Domyślił się, że słyszy tę całą Elliot. - Potrzebna mi jasna i wyraźna odpowiedź. Czy jest pan pewien, że to Rosjanie rozpoczęli atak?

- A kto, myśli pani?! - odrzekł zapalczywie SACEUR. - Dowódca naszej Brygady Berlińskiej prawdopodobnie zginął, zastępuje go podpułkownik Edward Long. Znam go, to bystry chłopak. Mówił mi, że Rosjanie bez ostrzeżenia ostrzelali brygadę, i to w chwili, kiedy ogłoszono pogotowie po alarmie z Waszyngtonu. Nasi nie mieli nawet pocisków w lufach. Powtórzę pani, że strzelać

zaczęli Rosjanie, mam co do tego pewność. Czy dostanę zgodę na wysłanie posiłków, czy nie?

- Co się stanie, jeżeli odmówię? - zapytał Fowler.

- Nic, panie prezydencie. Będzie pan miał tylko do napisania pięć tysięcy listów do rodzin.

- Zaraz, no dobrze, wyślijcie te posiłki. Tym w Berlinie każcie wstrzymać się od działań zaczepnych. Próbujemy tutaj uspokoić jakoś sytuację.

- Życzę szczęścia, panie prezydencie. Odmeldowuję się, mam tu całe wojsko na głowie.

PREZYDENCIE NARMONOW:

OTRZYMALIŚMY Z EUROPY WIADOMOŚĆ, ŻE RADZIECKI PUŁK CZOŁGÓW ZAATAKOWAŁ BEZ OSTRZEŻENIA NASZA BRYGADĘ BERLIŃSKĄ - ROZMAWIAŁEM PRZED CHWILĄ Z NASZYM DOWÓDCĄ, KTÓRY POTWIERDZIŁ TĘ INFORMACJĘ. CO SIĘ DZIEJE? DLACZEGO WASZE WOJSKA ZAATAKOWAŁY NASZE?

- Mamy już coś z Berlina? - niecierpliwiał się Narmonow. Minister obrony zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, szpica rozpoznania dociera już na miejsce, ale łączność mamy w strzępach. W miastach nasze radiostacje UKF przestają działać, co innego w otwartym terenie, ale w Berlinie? Słychać oderwane fragmenty, i to, co mówią do siebie dowódcy pododdziałów. Nie zdołaliśmy odzyskać łączności z dowódcami pułku. Pewnie nie żyją - domyślił się minister obrony - bo przecież Amerykanie lubią na początek załatwiać sztaby.

- A więc tak naprawdę nie wiemy, co się dzieje?

- Nie, ale jestem pewien, że żaden radziecki dowódca nie otworzyłby ognia, do Amerykanów bez wyraźnej przyczyny!

Gołowko przymknął oczy i zaklął pod nosem. Brakowało jeszcze awantury z ministrem obrony.

- Siergieju Nikołajewiczu? - zwrócił się do niego Narmonow.

- KGB nie ma żadnych nowych informacji. Można śmiało uznać, że wszystkie amerykańskie wyrzutnie lądowe są w pełnym pogotowiu, podobnie jak rakiety strategiczne na okrętach podwodnych. Według naszych ocen, wszystkie amerykańskie okręty podwodne, jakie jeszcze są w portach, w ciągu paru godzin wyjdą w morze.

- A nasze okręty podwodne?

- Jeden właśnie opuszcza port, reszta się przygotowuje, ale nie wygląda na to, żeby zdążyły wyjść przed południem.

- Dlaczego tak się to ślimaczy? - padło pytanie Nannonowa.

- Każdy okręt amerykański ma dwa komplety załogi, nasze tylko jeden. Dlatego łatwiej im po prostu wysłać jednostki w morze.

- Chcecie mi powiedzieć, że ich siły strategiczne osiągnęły pełną czy prawie pełną gotowość, a nasze wcale?

- Wszystkie wyrzutnie lądowe mamy gotowe do akcji.

- Prezydencie, jak odpowiecie Amerykanom?

- Właśnie. Co mam im teraz napisać?

Do pomieszczenia wbiegł pułkownik z łączności i podał ministrowi obrony kartkę:

- Meldunek z Berlina.

- Amerykanie weszli do wschodniej części miasta. Pierwsza fala naszych wozów zwiadowczych dostała się pod ogień. Straciliśmy cztery wozy i dowódcę grupy. Odpowiedzieliśmy ogniem, zniszczono dwie maszyny amerykańskie... nie udało się nawiązać styczności z naszym pułkiem. - Minister obrony przeniósł wzrok na następny meldunek. - Z lotniskowca "Kuzniecowa"

donoszą, że wysłali dwa samoloty po odebraniu sygnału z prośbą o pomoc. Kontakt z samolotami patrolu urwał się nagle. Czteryście kilometrów przed nimi płynie amerykańska grupa uderzeniowa z lotniskowcem. Z "Kuzniecowa" domagają się dalszych instrukcji.

- Co to oznacza?

Minister obrony sprawdził czas podany w drugim meldunku.

- Jeżeli nasze samoloty dotąd nie powróciły, niedługo skończy im się paliwo. Musimy uznać je za zaginione. Przyczyna nie jest znana, ale przy tak bliskiej odległości od Amerykanów... Rzeczywiście, co oni wyprawiają, do czorta?

PREZYDENCIE FOWLER:

JESTEM PRZEKONANY, ŻE ŻADEN RADZIECKI DOWÓDCA NIE ZAATAKOWAŁBY SIĘ AMERYKAŃSKICH BEZ ROZKAZU, A TAKIEGO ROZKAZU NIKT NIE WYDAŁ. WYSŁALIŚMY DO BERLINA DODATKOWE JEDNOSTKI, ABY ZBADAŁY SYTUACJĘ, LECZ WE WSCHODNIEJ CZĘŚCI MIASTA OSTRZELAŁY JE PAŃSKIE ODDZIAŁY, W DUŻEJ ODLEGŁOŚCI OD AMERYKAŃSKICH KOSZAR. CO PAN WYPRAWIA?

- O czym ten facet bredzi? Co ja wyrabiam? Chyba, co on wyrabia, do cholery! - rozżłościł się Fowler. Na konsoli rozbłysło naraz nowe światelko: linia z CIA. Prezydent wcisnął guzik, pozwalając Ryanowi włączyć się do ogólnej rozmowy.

- Zależy, który "facet" - ostrzegła po raz kolejny Elizabeth Elliot

- Tak, co znowu?

- Panie prezydencie, wszystko to jest kolosalnym nieporozumieniem.

- Panie Ryan! Nie potrzebujemy od pana analiz, tylko informacji! Ma pan coś nowego? - wrzasnęła do mikrofonu Liz Elliot.

- Radziecka Flota Północna wychodzi w morze, w tym jeden atomowy okręt podwodny.

- Ich rakiety na lądzie są w pełnym pogotowiu?

- Zgadza się.

- A teraz dochodzą jeszcze pociski z okrętów podwodnych?

- Tak, panie prezydencie.

- Ma pan może jakieś dobre wieści?

- Jedyne wieści są takie, że nic się w tej chwili nie dzieje, za to pan...

- Posłuchaj pan, Ryan, mówię po raz ostatni, że potrzebuję od pana tylko i wyłącznie informacji.

Pan przynosił mi raporty Kadyszewa, teraz za to twierdzi pan, że są fałszywe. Dlaczego w ogóle miałbym panu wierzyć?

- Kiedy wręczałem te raporty, ostrzegałem, że nie są potwierdzone!

- Wygląda na to, że udało się je potwierdzić – przypomniała Liz Elliot. - Generale Borstein, jeżeli Rosjanie podnieśli wszystkie siły, jak duże jest to dla nas zagrożenie?

- Najszybciej mogą nas dosięgnąć wielogłowicowymi. Według naszych danych w Waszyngton i okolice wycelowali jeden pułk pocisków SS-18. Większość pozostałych ma trafić w nasze wyrzutnie strategiczne w Dakocie, no i w bazy okrętów podwodnych w Charleston, King's Bay, Bangor i tak dalej. Od sygnału do pierwszego wybuchu będziemy mieli dwadzieścia pięć minut

- Nasz bunkier też mają na celowniku? - upewniła się Liz Elliot.

- Tak można przypuszczać, doktor Elliot.

- Więc użyją teraz SS-18, skoro chybili pierwszą głowicą?

- Jeżeli to ich dzieło, owszem.

- Generale Fremont, jak daleko znajduje się zapasowy "Anioł"?

- Wystartował jakieś dziesięć minut temu, doktor Elliot. Za dziewięćdziesiąt pięć minut wylądaje w Hagerstown. Mają dobre wiatry. - Dowódca sił strategicznych ugryzł się w język po tym ostatnim zdaniu.

- Jeśli zatem Rosjanie planują atak i wystrzelą rakiety wcześniej niż za półtorej godziny, zginęliśmy?

- Tak jest.

- Pamiętaj, Elizabeth, że jesteśmy tu po to, żeby zapobiec tragedii - odezwał się cicho Fowler.

Doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego przeniosła wzrok na prezydenta. Twarz miała jak ze szkła, napiętą i stężałą. Nie tak sobie wszystko wyobrażała. Kiedy została głównym doradcą najpotężniejszego człowieka na świecie, wiedziała, że może liczyć na pełne bezpieczeństwo i ochronę oddanej służby; tylko po to, by utracić wszystko, łącznie z życiem, w ciągu pół godziny od chwili, gdy bezimienny, bezpostaciowy Rosjanin podejmie decyzję. Być może decyzja już zapadła, pomyślała Liz Elliot, może za pół godziny zostanie po niej kilka płatków popiołu na wietrze, nic więcej. Praca całego życia, książki, wykłady i seminaria znajdą koniec w oślepiającym, niweczącym wszystkim błysku.

- Robercie! Przecież nie wiemy nawet, z kim rozmawiamy! - odezwała się głosem, w którym pobrzmiwała histeria.

- Wróćmy do ich depeszy, panie prezydencie - przynaglił generał Fremont. "Wysłaliśmy dodatkowe jednostki, aby zbadały sytuację". Wygląda na to, że skierowali do miasta posiłki.

Młody strażak odnalazł pierwszego człowieka, który przeżył wybuch. Ocalały czołgał się po betonowej pochylni, wiodącej ku rampie załadunkowej na dolnym poziomie. To, że przeżył, graniczyło z cudem. Na dłoniach miał poparzenia drugiego stopnia, a czołgając się wbił sobie w skórę kawałki szkła, betonowe okruchy i Bóg wie co jeszcze. Strażak wziął ocalałego na ręce, poznając po strzępach munduru, że to policjant, i przeniósł go do punktu ewakuacyjnego. Dwa wozy strażackie, które zostały na miejscu, spryskały strażaka i poparzonego wodą. Rozebranych znów umyło wodą z węża. Policjant był półprzytomny, lecz z notatnika ściskanego kurczowo w rękę wydarł kartkę i przez całą drogę do szpitala usiłował zwrócić na nią uwagę strażaka. Strażak, który również wylądował w karetce, był jednak zbyt zziębnięty, zbyt zmęczony i zbyt przerażony. Spełnił oto swój obowiązek i nie był pewien, czy nie przypłaci tego życiem. Dla dwudziestolatka przeżycia te okazały się zbyt silne. Gapił się więc w podłogę karetki i trząśł się pod grubym kocem.

Bramę wjazdową na stadion wieńczył strop ze strunobetonu. Wybuch skruszył betonowe bloki, zawałając jednym z nich przejście. Kierowca czołgu saperskiego zahaczył linę wyciągarki wieżowej o największy betonowy kloc. Callaghan spoglądał na zegarek, świadomy, że jest i tak za późno, żeby się zatrzymać. Trzeba dotrzeć na stadion, nawet jeśli będzie to kosztowało życie.

Stalowa lina wyprężyła się, a betonowy kloc odjechał wstecz. Jakimś cudem resztki stropu trwały na miejscu, toteż Callaghan natychmiast poprowadził ludzi przez przełaz. Tuż za nim biegł pułkownik Lyle.

Wewnątrz konstrukcji płonęły światła awaryjne, a ze wszystkich sufitowych spryskiwaczy buchała woda. Callaghan nie wiedział, czym to tłumaczyć, dopóki sobie nie przypomniał, że właśnie do ocalałej części stadionu dochodzi główny przewód wodociągowy. Słysząc też było niewyraźne jęki. Callaghan wbiegł do zrujnowanej męskiej ubikacji i odnalazł wewnątrz dwie kobiety, siedzące w wodzie, w ubraniach zbrukanych własną rzygowiną.

- Wyprowadzić je! - rozkazał strażakom. - Idźcie w obie strony, sprawdźcie wszystko raz dwa i

wracajcie!

Na wszelki wypadek Callaghan zajrzał jeszcze do pozostałych kabin. Pusto. W toalecie ani śladu ludzi. Wszystkie wysiłki tylko po to, by odnaleźć dwie kobiety w męskiej ubikacji. Dwie. Dowódca batalionu zamienił spojrzenie z Lylem. Cóż można było dodać? Obaj ratownicy odwrócili się i wyszli przez bramę na poziom boiska.

Callaghan dopiero po chwili zorientował się, gdzie jest, mimo że stał dokładnie u wejścia na niższy poziom trybun. Kilka godzin wcześniej widziałby stąd południową stronę stadionu i dach. Teraz mógł bez przeszkód oglądać góry, podświetlone czerwoną wieczorną zorzą. Otwarta brama kusila, toteż Callaghan jak w transie ruszył po betonowej pochylni.

Takie sceny ogląda się tylko w piekle. Kilka sektorów trybun w jakiś sposób uniknęło fali uderzeniowej, lecz osiągnęła je impuls termiczny. Na nietkniętych trzech setkach krzeseł wciąż siedzieli ludzie, czy raczej to, co z nich pozostało. Ciała były zwęglone, szerniały jak spalony befsztyk. Czegoś podobnego Callaghan nie widział podczas trzydziestu lat pracy w straży pożarnej. Trzy setki zwęglonych trupów trwały na miejscach, zwrócone w stronę płyty boiska.

- Czas się zwijać, szefie - pułkownik Lyle odciągnął go z powrotem. Callaghan zwałił się jednak na ziemię, wymiotując do maski gazowej. Pułkownik zerwał mu maskę z twarzy i odciągnął wstecz. - Pora lecieć. Nic tu już nie poradzimy. Zrobił pan swoje. Okazało się, że wybuch przeżyły jeszcze cztery osoby. Strażacy położyli ocalałych na tylnym pancerzu czołgu, który natychmiast ruszył w stronę punktu ewakuacyjnego. Pozostała grupa strażaków zmyła wszystko wodą, po czym także wycofała się ze stadionu.

Larry Parsons pomyślał, że pokrywa śnieżna stanowiła tego dnia jedyną dobrą nowinę. Śnieg rozproszył falę ciepłą, co ocaliło okoliczne budynki. Zamiast setek domów, spłonęło ich kilkanaście. Na szczęście również popołudniowe słońce roztopiło śnieg, który w nocy utworzył lodową skorupkę na dachach i podwórkach całej okolicy. Parsons i jego ludzie badali osad, jaki utworzył się po wybuchu, omiatając grunt miernikami jonizacji. W wybuchu jądrowym najbardziej niewiarygodne jest to, że mimo gigantycznej siły eksplozji, zaledwie ułamkowa część pierwotnej masy ładunku zamienia się w energię. Ponieważ zniszczyć materię jest niezmiernie trudno, rozpylony materiał mógł wiele powiedzieć o urządzeniu. Zadanie Parsonsa okazało się mniej skomplikowane, niż można by przypuszczać. Czarny pył łatwo było dostrzec na białym tle, zwłaszcza przy tak wysokiej radioaktywności. Parsons miał do wyboru próbki z sześciu "gorących" punktów odległych o trzy kilometry od stadionu. Ekspert osobiście zebrał tę najbardziej radioaktywną. Przyodziały w nasycyony ołowiem kombinezon brnął przez zasypany śniegiem trawnik przy domku, w którym mieszkało chyba starsze małżeństwo. Dzieci ulepiłyby przecież bałwana albo tarzałyby się w śniegu, robiąc, "orły". Stukot licznika w słuchawkach nasilił się... Tutaj.

Opad radioaktywny był drobny niczym kurz, lecz ogromnie obfity. Parsons wiedział, że ma przed sobą rozpylony żwir i nawierzchnię parkingu. Przy dużym szczęściu mógł liczyć na to, że kula ognista wessała pył z parkingu do swojego wnętrza, gdzie połączył się z resztkami samej bomby. Nie zaszkodzi spróbować. Parsons wrzucił do plastikowego worka śnieg zebrany łopatką i rzucił próbkę koledze, który umieścił ją w ołowianym kubku.

- Cholernie aktywne, Larry!

- Wiem. Poczekaj, zgramę jeszcze jedną. - Parsons zebrał do woreczka kolejną próbkę i podniósł do ust radiotelefon.

- Woła Parsons. I jak, macie coś?

- Jakbyś zgadł, Larry, trzy ładne próbki. Na moje oko wystarczy do analizy.

- Spotkamy się przy śmigłowcu.



- Już ruszamy.

Parsons i jego kompan odmaszerowali, nie zwracając uwagi na ludzi, którzy okrągłym wzrokiem obserwowali ich zza szyb. Co myślą ludzie, nie miało w tej chwili najmniejszego znaczenia. Parsons dziękował Bogu, że nikt z mieszkańców okolicy nie zadręcza go pytaniami. Śmigłowiec z włączonym wirnikiem czekał na grupę na środku ulicy.

- Dokąd? - zapytał Andy Bowler.

- Walimy do ośrodka dowodzenia, przy centrum handlowym. Zaciszenie, no i aktywność mniejsza. Zabierzesz próbki i przepuścisz je przez spektroskop.

- Lepiej, żebyś też ze mną pojechał.

- Nie da rady - sprzeciwił się Parsons. - Muszę dzwonić do Waszyngtonu. Co innego widzę, a co innego usłyszałem od nich na początku. Przez satelitę się nie da, trzeba przez światłowód.

W sali konferencyjnej można było podłączyć czterdzieści telefonów naraz, w tym bezpośrednią linię do domu Ryanów. Właśnie jej brzęczyk zwrócił teraz uwagę Jacka. Nacisnął migający guzik i podniósł słuchawkę.

- Ryan.

- Jack, powiedz mi, co się dzieje - rozległ się głos Cathy, zaniepokojony, lecz wolny od paniki.

- Jak to, co się dzieje?

- Nasza stacja telewizyjna podała, że w Denver wybuchła bomba jądrowa. Jack, czy zaczęła się wojna?

- Cathy, nie mogę teraz... Nie, kochanie, nie ma żadnej wojny, rozumiesz?

- Jack, ale pokazywali w telewizji grzyb atomowy. Możesz mi coś powiedzieć?

- Sam wiem niewiele więcej od ciebie. Na pewno coś się stało. Nie wiemy dokładnie co, próbujemy się dopiero dowiedzieć. Prezydent jest razem z doradcą do spraw bezpieczeństwa w Camp David i...

- Z Elliot?

- Tak. Próbują się porozumieć z Rosjanami. Kochanie, naprawdę mam robotę...

- Czy mam zabrać dzieci w bezpieczne miejsce?

Jack wiedział dobrze, że honor, poczucie obowiązku i dar dramatyczny każą w takiej sytuacji pozostawić rodzinę w domu, by ryzykowała tak samo, jak wszyscy inni. W rzeczywistości jednak nie znał żadnego bezpiecznego miejsca i tylko dlatego, patrząc bezradnie w okno, oświadczył Cathy:

- Nie.

- Powiedziałeś, że Liz Elliot doradza prezydentowi?

- Owszem.

- Jack, Elliot jest małostkowa, słaba. Może coś tam wie, ale jest słaba, rozumiesz?

- Wiem o tym. Cathy, naprawdę muszę się brać do pracy.

- Kocham cię, Jack.

- I ja cię kocham. No, na razie. - Jack odłożył słuchawkę i obwieścił: - Wszystko się wydało!

Telewizja pokazała grzyb!

- Jack! - Do sali wpadł oficer dyżurny. - Associated Press wysłała pilną depezę: w Berlinie walki naszych oddziałów z radzieckimi. Reuter podał już o wybuchu w Denver.

Ryan natychmiast połączył się z Murrayem.

- Macie tam u siebie dalekopisy agencji prasowych?

- Jack, ja od początku mówiłem, że nic się nie ukryje.

- Co to znaczy?

- Prezydent kazał nam zablokować wszystkie rozgłośnie. Musieliśmy w którymś miejscu dać dupy.
- Świetnie. Nie wolno ci było wykonać takiego polecenia, Dan.
- Próbowałem coś powiedzieć, ale sam wiesz...

W sieci łączności było zbyt wiele zapasowych połączeń, zbyt wiele okienek. Dwa satelity łączności nad Stanami Zjednoczonymi okazały się zupełnie nietknięte, podobnie jak ich poprzednik w postaci sieci naziemnych przekaźników mikrofalowych. Sieci telewizyjne dysponowały innymi ośrodkami niż te w Nowym Jorku i Atlancie. Na przykład redakcja sieci NBC w Los Angeles cichaczem dodzwoniła się do nowojorskiego biura w Rockefeller Center i przejęła nadawanie całości programu. CBS i ABC udało się wznowić program z ośrodków w Waszyngtonie i Chicago. Wściekli dziennikarze nie ukrywali przed opinią publiczną, że agenci FBI "wzięli do niewoli" pracowników centralnych stacji nadawczych, w zbrodniczy sposób naruszając zasadę wolności słowa. ABC nie posiadała się z oburzenia, gdyż w wybuchu zginęły jej ekipy telewizyjne, lecz w porównaniu ze skalą całego wydarzenia była to marginesowa sprawa. Szydło wyszło z worka, a co za tym idzie, natychmiast zaczęły się urywać telefony w centrum prasowym Białego Domu. Wielu dziennikarzy znało też numer bezpośredniego połączenia z Camp David. Prezydent nie wydał jakiegokolwiek oświadczenia, co tylko pogorszyło sytuację. Współpracownikowi sieci CBS w Omaha w Nebrasce wystarczyło się przejechać obok głównej kwatery sił strategicznych, by sfilmować zdwojone strażę i puste pasy startowe. Telewizja w ciągu kilku minut przekazała ten materiał na cały kraj. Najbardziej jednak, czyli dla prezydenta najgorzej, spisały się lokalne grupy reporterów. Nie ma chyba w Ameryce miasta, w którym nie znajdzie się arsenał Gwardii Narodowej czy baza szkolenia rezerwy. Ukryć alarm w tych jednostkach udałoby się z równym skutkiem, co zamaskować wschód słońca. Dalekopisy agencji prasowych donosiły więc zewsząd o pogotowiu w jednostkach. Doniesienia przeplatano wciąż kilkuminutowym obrazem ze stacji KOLD w Denver, który na wszystkich kanałach pokazywano właściwie bez przerwy. Grzyb atomowy nad Denver służył za najlepsze wyjaśnienie tego, co się dzieje i dlaczego.

Wszystkie telefony w szpitalu Aurora Presbyterian były zajęte. Parsons wiedział, że może siłą utorować sobie dostęp do słuchawki, lecz łatwiej mu było przebiec ulicę i dostać się do prawie opustoszałego centrum handlowego. W centrum dostrzegł natychmiast agenta w niebieskiej kurtce bojowej z wołowymi literami FBI na plecach.

- To pana widziałem na stadionie? - zapytał Parsons, który zdążył zrzucić hełm, lecz wciąż miał na sobie srebrzystą pelerynę i spodnie.

-A co?

- Muszę znaleźć telefon.

- Możesz nie szukać drobnych.

Przystanęli przed sklepem z odzieżą męską. Na drzwiach widać było nitkę systemu alarmowego, lecz sama tafla nie budziła respektu. Agent wyszarpnął służbowy pistolet i pięcioma strzałami roztrzaskał szybę.

- Proszę przodem, kolego.

Parsons podbiegł do lady i znalazł na niej telefon. Kiedy wystukał numer kwatery głównej w Waszyngtonie, w słuchawce nadal panowała cisza.

- Dokąd pan dzwoni?

- Do Waszyngtonu.

- Wszystkie międzymiastowe połączenia przerwane.

- Jak to przerwane? Co ma wybuch do sieci telefonicznej?
- Nic. My sami przerwaliśmy. Rozkaz z Waszyngtonu - wyjaśnił agent.
- Który pierdolony kretyn to wymyślił?
- Sam prezydent.
- W głowie się nie mieści. Muszę się porozumieć z dowództwem.
- Niech pan poczeka. - Agent sam złapał za telefon i połączył się z ośrodkiem FBI w Denver.
- Hoskins. ..
- Mówi Larry Parsons z NEST-u, szef grupy. Może pan przekazać coś do Waszyngtonu?
- Pewno.
- Mamy do czynienia z wybuchem naziemnym o sile poniżej piętnastu kiloton. Pobraliśmy próbki bomby, wysłałem je już do Rocky Flats do analizy spektroskopowej. Da pan radę wysłać tę wiadomość?
- Oczywiście, nie ma kłopotu.
- To w porządku. - Parsons odwiesił słuchawkę.
- Pobraliście próbki bomby? - z niedowierzaniem zapytał agent FBI.
- Wygląda na to, że zwariowałem, co? Na tym polega opad promieniotwórczy. Cząsteczki bomby przylepiają się do pyłu.
- I co z tego?
- To z tego, że możemy się dzięki temu zorientować w całej reszcie. Gońmy! - przynaglił Parsons agenta. Popędzili przez jezdnię z powrotem do szpitala. Larry Parsons wiedział, że jeśli warto mieć teraz kogoś przy sobie, to właśnie agenta FBI.

- Jack, dostaliśmy wiadomość z Denver. Walt Hoskins przesyła ocenę z NEST-u. Wybuch naziemny o sile około piętnastu kiloton. NEST pobrał próbki i zbada je dokładnie.

Ryan zanotował nowe dane.

- Co z liczbą ofiar?

- Nie mówili.

- Piętnaście kiloton... - zauważył szef pionu naukowo-technicznego. - Trochę za mało, jak na wskazania z satelity, ale wszystko możliwe. W każdym razie na terrorystów za dużo.

Myśliwce F-16C nie nadawały się specjalnie do tej akcji, lecz przynajmniej były szybkie. Cztery maszyny wystartowały z Ramstein zaledwie dwadzieścia minut wcześniej. Poderwał je sygnał pogotowia DEFCON-TRZY, lecz zanim jeszcze dotarły do dawnej granicy wschodniej, nowe instrukcje nakazały pilotom ruszyć nad Berlin i sprawdzić, co się dzieje w okolicy koszar Brygady Berlińskiej. Eskortę stanowiła czwórka F-15 z bazy w Bitburgu. Ósemka myśliwców miała pod skrzydłami wyłącznie uzbrojenie do walki powietrznej. F-16 zamiast bomb wzięły dodatkowe zbiorniki paliwa. F-15 Eagle również zabrały czworokątne zasobniki. Z wysokości trzech tysięcy metrów widać było na ziemi błyski strzałów i wybuchy. Klucz czterech maszyn rozbił się na dwie pary i obniżył lot, pilnowany z wysokiego pułapu przez F-15. Po wielu dniach okazało się, na czym polegał błąd, którego natura była złożona. Po pierwsze, piloci byli zbyt zaskoczeni wypadkami, by rozważyć wszystkie możliwości. Po drugie zaś, wobec minimalnych strat powietrznych nad Irakiem, lotnicy zupełnie zatracili czujność.

Rosyjski pułk pancerny miał w swoim składzie rakiety ziemia-powietrze typu SA-8 i SA-11, a także etatowy oddział samobieżnych szylek - sprzężonych działek przeciwlotniczych kalibru 23 mm. Dowódca kompanii przeciwlotniczej długo czekał na tę chwilę i rozmyślnie nie włączał radarów,

postępując rozważniej niż wcześniej Irakijczycy. Odczekał, aż amerykańskie samoloty zejda poniżej tysiąca metrów i dopiero wtedy wydał rozkaz.

Sygnaly o zagrożeniu rozbrzmiewaly w kabinach myśliwców, lecz jednocześnie ze wschodniego krańca radzieckich koszar wystrzelił rój rakiet przeciwlotniczych. F-15 ze względu na wysoki pułap mialy o wiele większą szansę na uniknięcie trafienia, podczas gdy maszyny F-16 Fighting Falcon, zaskoczone w locie nurkowym, byly właściwie bezbronne. Rakiety zmiotly dwa myśliwce w ciągu kilku sekund, druga para natomiast uskoczyla przed falą rakiet, lecz tym samym dostala się w zasięgi odłamków następczej salwy SA-11. Jednemu z pilotów udalo się katapultowac, lecz zginął i tak, uderzając w dach budynku. Czwarty F-16 umykając przemknął tuż nad dachami berlińskich kamienic i na dopalaczu co sił wyrwał na zachód. W ślad za nim ruszylly dwa ocalałe F-15. Między domy Berlina spadlo więc w sumie pięć amerykańskich samolotów. Z ich załóg ocalał tylko jeden człowiek. Pozostałe maszyny drogą radiową powiadomily o tragedii europejską kwaterę dowódcy amerykańskich sil lotniczych w Ramstein. W bazie uzbrajano już w bomby i pociski powietrzeziemia dwanaście nowych F-16. Następcny nalot mial wygladac inaczej.

## PREZYDENCIE NARMONOW:

WYSŁALIŚMY NAD BERLIN GRUPĘ SAMOLOTÓW, BY ZORIENTOWAĆ SIĘ W SYTUACJI. ZOSTAŁY ONE BEZ OSTRZEŻENIA ZESTRZELONE RADZIECKIMI RAKIETAMI. DLACZEGO?

- Co to oznacza?

- Że niby zestrzelone bez ostrzeżenia? Co w tym dziwnego, przeciez tam trwa bitwa! Po to wyslano samoloty nad Berlin! Každy pułk ma własny oddział przeciwlotniczy - tłumaczył minister obrony. - Chodzi o rakiety obronne, krótkiego zasięgu. Gdyby Amerykanie obserwowali z bezpiecznego pułapu, powiedzmy z dziesięciu kilometrów, nawet nie mogli byśmy ich dotknąć. Na pewno lecieli niżej, może nawet wspierali atak swoich sil na ziemi. Inaczej nigdy byśmy ich nie zestrzelili.

- Ale nie mamy informacji na ten temat?

- Nie, nie odzyskaliśmy łączności.

- Zostawi się depezę bez odpowiedzi.

- To bład - zwrócił uwagę Gołowko.

- Sytuacja jest dość niebezpieczna i bez tego - uciął ze złością Narmonow. - Nie mamy pojęcia, co się dzieje w Berlinie. Jak mam odpowiedzieć, kiedy Fowler pisze o sprawach, o których nic nie wiem?

- Jeżeli nie odpowiecie, wyjdzie na to, że przyznajecie się do tego.

- Nie mamy się do czego przyznawać! - zagrmiał minister obrony. - Nie mogli byśmy ich zestrzelić, gdyby nas nie atakowali. W dodatku nie wiemy nawet, czy tak naprawde było.

- Można im tak właśnie odpisać - zaproponował Gołowko. - Może będą w stanie pojąć, że mamy straszne zamieszanie, i może tym samym zrozumieją, że...

- Nic nie rozumieją i w ogóle nam nie uwierzą. Oskarżyli nas już o wybuch w Denver, więc nie ma szans, żeby uwierzyli, że straciliśmy łączność z Berlinem.

Narmonow podszedł do stolika w kącie i nalał sobie szklankę herbaty, słuchając, jak doradcy do spraw wywiadu i obronności przerzucają się - właściwie, czy argumentami? Jakiego słowa użyć? Radziecki prezydent zagapił się w sufit. Bunkier dowodzenia pochodził jeszcze z czasów Stalina. To

Łazarz Kaganowicz kazał zbudować odgałęzienie od jednej z linii moskiewskiego metra, Kaganowicz, Żyd i ulubiony antysemita Stalina, najwierniejszy człowiek generalissimusa. Bunkier mieścił się aż sto metrów pod ziemią, lecz eksperci powtarzali, iż dawno przestał być bezpiecznym ukryciem.

Narmonow próbował wczuć się w tok myślenia Fowlera. Amerykańskim prezydentem bez wątpienia wstrząsnęło morderstwo dokonane na tak wielkiej liczbie współobywateli, lecz czymże wytłumaczyć fakt, że Fowler bez wahania oskarżył Rosjan o tę tragedię? A w ogóle, co się tak naprawdę dzieje? W Berlinie walki, na Morzu Śródziemnym prawdopodobnie walczą ze sobą okręty, oderwane wypadki, które... Czy rzeczywiście oderwane?

Czy to ważne? Narmonow spojrział na portret na ścianie i uświadomił sobie, że faktyczny stan rzeczy nie ma teraz znaczenia. Zarówno on sam, jak i Fowler byli politykami, a więc ludźmi, dla których pozory były ważniejsze niż rzeczywistość, a opinie istotniejsze od faktów. Amerykanin skłamał w Rzymie, zapytany o błahą sprawę. Czy i teraz kłamał? Jeżeli tak, wszystko, co dokonało się w ciągu ubiegłych dziesięciu lat, przestawało być ważne, nie inaczej. Wszystkie wysiłki na marne.

W jaki sposób dochodzi do wojen? - zapytywał sam siebie Narmonow, rozmyślając w narożniku bunkra. Historia uczy, że większości podbojów dokonywali mocarze, którzy chcieli stać się jeszcze silniejsi. Minęły jednak czasy imperialnych ambicji. Ostatni zbrodniarz z tego gatunku zginął nie tak dawno temu. Dwudziesty wiek odmienił dotychczasowy bieg dziejów. Lecz w takim razie w jaki sposób rozpoczęła się pierwsza wojna światowa? Gruźlik-zamachowiec zastrzelił bufona, tak znieawidzonego przez własną rodzinę, że nawet najbliżsi nie wzięli udziału w pogrzebie. Pyszałkowata nota dyplomatyczna skłoniła cara Mikołaja U, by stanąć w obronie ludu, który był mu obojętny... Dopiero od tego się wszystko zaczęło. Mikołaj miał więc ostatnią szansę na ocalenie pokoju, uświadomił sobie Narmonow. Ostatni z carów miał w ręku losy wojny, ale nie chciał jej zapobiec. Gdyby zdawał sobie sprawę, co będzie oznaczała decyzja o wypowiedzeniu wojny, może umiałby się przed nią powstrzymać, lecz w swoim strachu i słabości car podpisał rozkaz o mobilizacji, który miał zakończyć jedną epokę i rozpocząć następną. Wojna zaczęła się dlatego, że mali, przestraszeni ludzie mniej od rzezi bali się pokazać własną słabość.

Fowler jest dokładnie taki sam, powiedział sobie Narmonow. Zarozumiały, arogancki... Kłamie w drobiazgach, byleby tylko nie wyrobił sobie o nim gorszego zdania. Liczba zabitych przyprawi go o wściekłość, a co gorsza, będzie się bat nowych ofiar, przerażony, że znowu okaże własną słabość. Na łasce kogoś takiego znalazł się mój kraj.

Narmonow istotnie znalazł się w pięknej pułapce. Ironia sytuacji wywołałaby może na jego twarzy gorzki uśmieszek, lecz odstawił tylko szklankę. Żołądek buntował mu się wobec nowej porcji gorzkiego, gorącego płynu. Radziecki prezydent zdawał sobie sprawę, że jemu także nie wolno okazać słabości, gdyż w ten sposób popchnąłby jedynie Fowlera do nowych aktów szaleństwa. Andriej Iljicz zapytywał się w duchu, czy to, co sądzi o Jonathanie Robercie Fowlerze nie odnosi się przypadkiem także i do niego samego... Musiał jednak przede wszystkim odpowiedzieć na depeszę. Brak decyzji stanowiłby przecież oznakę słabości.

- Nadal brak odpowiedzi? - zapytał Fowler szefa łącznościowców z gorącej linii.

- Tak, panie prezydencie, na razie nic - odrzekł bosman Orontia, nie odrywając oczu od ekranu.

- Boże, tyle ofiar - westchnął jeszcze prezydent.

I ja mogłam być pośród nich, pomyślała Liz Elliot. Myśl ta wciąż powracała ku niej, niczym fala na piasku morskim, odpływając na chwilę tylko po to, by zaraz ponownie rozbić się o brzeg. Ktoś chciał nas zgładzić. Nas, a więc i mnie także. Nie wiemy nawet kto, ani dlaczego...

- Nie wolno nam dłużej zwlekać.

Liz nie wiedziała nawet, kogo miały powstrzymać nowe decyzje. Kto się kryje za tym wszystkim? Czym się powoduje? Spojrzała na zegar i odliczyła w myślach czas, jaki pozostał do wylądowania prezydenckiego samolotu dowodzenia. Trzeba było polecieć tym pierwszym. Dlaczego nie przyszło nikomu do głowy wysłać pierwszego "Anioła" do Hagerstown? Liz przerażała myśl, że w Camp David stanowią łatwy cel. Ktoś, kto chce ich zabić, tym razem nie może już chybić.

- Co możemy poradzić? - padło pytanie Liz Elliot. - Ten ktoś nawet nam nie odpowiada.

Diabeł Morski jeden-trzy, czyli samolot do zwalczania okrętów podwodnych Orion P-3C z bazy Kodiak kołysał się, lecąc na niskim pułapie. Na stu pięćdziesięciu metrach wiatr był bardzo silny. Pierwsze dziesięć pław hydroakustycznych typu DIFAR załoga zrzuciła dziesięć mil morskich na południowy zachód od pozycji USS "Maine". Hydroakustycy w tylnej części samolotu zapięli się ciasno w wysokich fotelach i trzymali pod ręką torby na wypadek choroby morskiej. Na ekranach nie potrafili jednak dostrzec nic sensownego. Obraz zaczął się klarować dopiero po kilku minutach.

- Rany boskie, moja łódź! - wyszeptał komandor Jim Rosselli. Natychmiast połączył się z bazą w Bangor i poprosił komandora Mancusa.

- Co jest grane, Bart?

- "Maine" melduje o kolizji. Uszkodzona śruba i wał napędowy. Pilnuje ich teraz P-3, od razu wysłaliśmy też w ich stronę "Omahę": Tyle dobrego. Gorzej, że kiedy się to stało, "Maine" tropił ruską akulę.

- Co robił?!

- Harry Ricks przekonał mnie i OP-02 do takiej akcji. I tak za późno na zmartwienia. Jakoś sobie poradzą, akula była zresztą bardzo daleko. Słyszałeś, co Harry zrobił rok temu z "Omaha", prawda?

- Tak, ale myślałem, że rozwalił skrzynię.

- Nie wiem, w każdym razie nic się nie przejmuj, Jim. To tyle, chyba że masz do mnie coś pilnego. Mam tu urwanie głowy.

- To cześć. - Rosselli odwiesił słuchawkę.

- Co dają? - zaniepokoił się Rocky Barnes. Rosselli podał mu radiogram.

- Mój dawny okręt. Awaria maszyn niedaleko Alaski, naokoło kręcą się Rosjanie.

- Co się martwisz, to taki cichy okręt. Sam mi mówiłeś. Rosjanie nawet nie wiedzą, że tam jest.

- Może.

- Uszy do góry, Jim. Ja też znałem pewnie niejednego z tych chłopaków z F-16 nad Berlinem.

- Gdzie jest Wilkes, do cholery? Powinien już tu być. - zdenerwował się Rosselli. - Ma taki dobry wóz!

- Kto go tam wie. A w ogóle, to co się, kurwa, dzieje?

- Sam nie wiem, Rocky.

- Oho, długa depesza - poinformował bosman Orontia. - Już leci cały tekst.

PREZYDENCIE FOWLER:

NIE MAMY Z BERLINA ŻADNYCH WIADOMOŚCI W SPRAWIE, O KTÓREJ PAN PISZE. STRACILIŚMY ŁĄCZNOŚĆ Z NASZYMI SIŁAMI W TYM MIEŚCIE. WYŚLAŁEM ROZKAZY DO SWOICH ODDZIAŁÓW, NAKAZUJĄC WSTRZYMAĆ SIĘ OD DZIAŁAŃ INNYCH NIŻ OBRONNE, I MAM NADZIEJĘ, ŻE INSTRUKCJE DOTRĄ NA MIEJSCE. BYĆ MOŻE MOJE WOJSKA MYLNIĘ UZNAŁY, ŻE CHODZI O NALOT I DZIAŁAŁY W OBRONIE WŁASNEJ. MIMO WSZYSTKO PRÓBUJEMY ODZYSKAĆ ŁĄCZNOŚĆ Z

NASZYMI SIŁAMI, LECZ NASZE POJAZDY ZWIADOWCZE DOSTAŁY SIĘ W OGIEN WÓZÓW AMERYKAŃSKICH W DUŻEJ ODLEGŁOŚCI OD WASZYCH KOSZAR. OSKARŻACIE NAS O OTWARCIE OGNIĄ, LECZ ZAPEWNIAM JESZCZE RAZ, IŻ NIE WYDAŁEM TAKICH ROZKAZÓW. JEDYNE INFORMACJE, JAKIMI DYSPONUJEMY, WSKAZUJĄ W DODATKU, ŻE PAŃSKIE SIŁY WDARŁY SIĘ GŁĘBOKO DO NASZEJ STREFY MIASTA.

PANIE PREZYDENCIE, NIE POTRAFIĘ POGODZIĆ PAŃSKICH SŁÓW Z OCZYWISTYMI FAKTAMI. NIE WYSUWAM TU OSKARŻEŃ, LECZ NIE WIEM, W JAKI JESZCZE SPOSÓB MAM PANA PRZEKONAĆ, IŻ SIŁY RADZIECKIE NIE PODEJMOWAŁY AKCJI ZACZEPNYCH PRZECIWKO WOJSKOM AMERYKAŃSKIM.

NAPISAŁ PAN, ŻE POSTAWIŁ PAN W STAN POGOTOWIA WYŁĄCZNIE SIŁY OBRONNE. MAMY JEDNAK DANE, KTÓRE ŚWIADCZĄ O OSTRYM POGOTOWIU W PAŃSKICH SIŁACH STRATEGICZNYCH. PISZE PAN, ŻE BRAK PANU PODSTAW, ABY PODEJRZEWAĆ NAS O TEN HANIEBNY UCZYNEK, LECZ W STAN NAJWYŻSZEGO POGOTOWIA POSTAWIŁ PAN WŁAŚNIE BRÓŃ WYCELOWANĄ W MÓJ KRAJ. O CZYM CHCE MNIE PAN W TEN SPOSÓB PRZEKONAĆ? PYTA PAN O DOWODY NASZYCH UCZCIWYCH ZAMIARÓW, LECZ WSZYSTKIE PAŃSKIE UCZYNKI ŚWIADCZĄ O CZYMŚ PRZECIWNYM.

- Łamie się - stwierdziła natychmiast Liz Elliot. - Nie wiem, kto siedzi na drugim końcu linii, ale na pewno zaczyna mieć dosyć. Dobrze, może się nam jeszcze uda odzyskać inicjatywę.

- Jak to, dobrze? - zdumiał się dowódca sił strategicznych. - Czy zdaje sobie pani sprawę, że ten pani wystraszony człowiek ma w ręku całą masę pocisków balistycznych, wycelowanych dokładnie w to miejsce? Ja rozumiem tę depezę inaczej, doktor Elliot. Myślę, że to nie strach, lecz gniew. Facet odrzuca nam w twarz nasze pytania.

- Jak to, generale?

- Píše, że wie o naszym pogotowiu. W porządku, to żadna niespodzianka, ale píše dalej, że wycelowaliśmy rakiety właśnie w niego. Oskarża nas o szantaż, o szantaż atomowy, panie prezydencie. To dużo poważniejsza sprawa niż jakieś zafajdane potyczki w Berlinie.

- Zgadza się - wtrącił generał Borstein. - Ten ktoś próbuje nas także wkurzyć. Zapytaliśmy tylko o parę straconych samolotów, a ten huzia na nas!

Fowler ponownie połączył się z CIA.

- Ryan, otrzymał pan ostatnią depezę?

- Tak jest.

- I co pan sądzi o stanie psychicznym Narmonowa?

- Myślę, panie prezydencie, że jest mocno zły, i bardzo zaniepokojony naszymi środkami obronnymi. Moim zdaniem, szuka jakiegoś wyjścia z sytuacji.

- Ja odczytuję rzecz inaczej. Ten człowiek się boi.

- A kto się nie boi? - zdumiał się Jack. - Oczywiście, że się boi, a co pan myśli? Wszyscy się boimy.

- Chwileczkę, Ryan! Przecież w pełni panujemy nad sytuacją!

- Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej, pani Elliot! - Jack zdążył na szczęście ugryźć się w język. - Rzecz w tym, że w tak poważnej sytuacji mamy prawo się niepokoić, tak samo jak Narmonow, który, podobnie jak my, próbuje się zorientować, co się właściwie dzieje. Kłopot w tym, że na razie nikt nic nie wie.

- A czyja to wina? Pan jest od wywiadu, prawda? - zapytał zjadliwym głosem Fowler.

- Tak, panie prezydencie. Robimy, co w naszej mocy. Zresztą nie my jedni.

- Powiedz, Robercie, czy tak wyraża się Narmonow? Powiedz, przecież się z nim spotkałeś, rozmawialiście długi czas.

- Nie wiem, Elizabeth.

- Jest tylko jedna sensowna możliwość...

- A kto pani powiedział, że to, co się dzieje, ma sens? - zapytał Ryan.

- Bomba miała dużą siłę, tak, generale Borstein?

- Tak informują nas nasze satelity.

- Które kraje posiadają bomby takiej mocy?

- My, Rosjanie, Anglia, Francja, może jeszcze Chińczycy, ale chyba nie. Ich bomby są wielkie i toporne. Także Izrael posiada głowice tej mocy. To wszystko. Indie, Pakistan i RPA mają podobno broń jądrową, ale na pewno nie o takiej sile rażenia.

- Czy to sprawdzone informacje, panie Ryan? - zapytała Liz Elliot.

- Tak.

- Jeżeli więc nie zrobili tego Brytyjczycy, Francuzi czy Izraelczycy, to kto zostaje, do diabła?

- Gównu mnie to obchodzi, Liz! Powtarzam, nie wiemy, i tyle! Nie wiemy nic, a od dedukowania jest Sherlock Holmes. Odsiewanie podejrzanych nie ujawni sprawcy! Braku informacji nie da się zamienić we wnioski.

- Czy CIA wie o wszystkich posiadaczach ładunków takiej mocy? - padło pytanie Fowlera.

- Tak mi się wydaje, panie prezydencie.

- Na ile jest to pewna informacja?

- Do dzisiejszego dnia dałbym za nią głowę.

- Innymi słowy, znowu nie mówi mi pan prawdy, czy tak? - zauważył chłodnym tonem Fowler.

Jack poderwał się z fotela.

- Wie pan co? Może pan sobie być prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki, ale nich się pan nie waży oskarżać mnie o kłamstwo! Przed chwilą dzwoniła do mnie żona, pytała czy ma uciekać z dziećmi z domu... Myśli pan, że jestem na tyle durny, żeby w takiej chwili bawić się z panem w jakieś przepychanki? Jeśli tak pan myśli, pora iść do psychiatry!

- Dziękuję, panie Ryan, to byłoby wszystko. Połączenie przerwało się.

- O, rany! - sapnął oficer dyżurny CIA.

Jack rozejrzał się po sali, szukając kosza na śmiecie. Dobiegi do niego niemal w ostatniej chwili, zdążył jednak uklęknąć i zwymiotować do środka. Potem sięgnął po puszkę coli i przepłukał usta, wypluwając płyn do kosza. Dopóki się nie podniósł na nogi, nikt w całej sali nie wypowiedział słowa.

- Nie rozumieją - odezwał się cicho Jack. Przeciągnął się i zapalił papierosa. - Zwyczajnie nie rozumieją.

- Widzicie? - ciągnął po chwili. - Wszystko jest takie proste. Istnieje różnica między niewiedzą a świadomością własnej niewiedzy. Gdy tylko zrobił się kryzys, wszyscy zdali się na instynkt. Prezydent rozumuje jak prokurator, próbuje zachować trzeźwość, robi to, na czym się zna, przegląda materiał dowodowy, przesłuchuje świadków i układa sobie rozprawę. Jak na sali sądowej, usiłuje znaleźć winnego. Liz myśli tylko o tym, że mogła stracić życie, więc plecie o tym w kółko. - Ryan wzruszył ramionami. - Łatwo mi ją zrozumieć, sam tak przez chwilę myślałem. Elliot to ekspert od nauk politycznych, więc szuka teoretycznego modelu sytuacji, a kiedy coś wymyśli, próbuje przekabacić prezydenta. Jej model jest faktycznie elegancki, tyle że w założeniach gównu wart.



Dobrze mówię, Ben?

- O czymś zapomniałeś, Jack - zwrócił mu uwagę Goodley. - O niczym nie zapomniałem, Ben - Ryan pokręcił głową. - Po prostu jeszcze do tego nie dotarłem. Owszem, dlatego, że sam, kurwa, nie potrafię w takiej sytuacji nie wybuchnąć, przestali mnie słuchać. Mogłem się domyślić, co się święci, ostrzegano mnie, sam zresztą wiedziałem, że się nie obejdzie bez awantury, i co? Zwyczajnie dałem się znowu ponieść nerwom. A najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że gdyby nie ja, Fowler nadal tkwiłby w Columbus w Ohio, a Elliot uczyłaby zdolne panienczki na Bennington.

Jack znów podszedł do okna, za którym trwał mrok. Lampy w pomieszczeniu zmieniły szybko w zwierciadło.

- Co ty wygadujesz?

- Niestety, panowie, obowiązuje mnie tajemnica. Może wyryją mi za to na nagrobku napis: "Tu spoczywa Jack Patrick Ryan. Postępował uczciwie - no, i proszę". Ciekawe, czy chociaż Cathy i dzieci przeżyją...

- Daj spokój, nie zanosz się na nic takiego - zauważył oficer dyżurny, lecz pozostałym obecnym przeszedł po plecach dreszcz.

- Nie zanosz się? - Jack odwrócił się od okna. - Nie rozumiesz, do czego to wszystko zmierza? Tamci nikogo już nie słuchają. Nie słuchają. Może posłuchaliby Dennisa Bunkera albo Brenta Talbota, tylko co z tego, kiedy ci zmienili się w smog nad Kolorado? W całym mieście z doradców prezydenta zostałem tylko ja, i osobiście dałem się wyłączyć z gry.



# BŁONIA CAMLAN

Dubinin zdawał sobie sprawę, że "Admirał Łunin" rozwija niebezpieczną szybkość, lecz podobna okazja trafia się nieczęsto. Prawdę mówiąc, Dubinin miał ją oto pierwszy raz w życiu i, jak sobie powtarzał, być może ostatni. Dlaczego Amerykanie postawili w stan pogotowia swoje ofensywne siły nuklearne? Groźba wiążąca się z wybuchem jądrowym w ich kraju była oczywiście sprawą poważną, lecz chyba tylko szalenięć mógł podejrzewać o ten czyn ZSRR?

- Dajcie mi no mapę półkuli północnej - rozkazał kwatermistrzowi. Znał ją wprawdzie niemal na pamięć, ale nie było czasu na domysły. Liczyły się fakty. Metr kwadratowy sztywnego papieru natychmiast znalazł się na stole nawigacyjnym. Dubinin wziął do ręki cyrkiel i zmierzył odległość między przypuszczalną pozycją "Maine", Moskwą i wyrzutniami rakiet strategicznych na Syberii.

- Wszystko jasne.

O pomyłce rzeczywiście nie mogło być mowy. - Ale co, komandorze? - zapytał go starpom.

- Z danych wywiadu wynika, że USS "Maine" przebywa w północnym sektorze strefy patrolowej dywizjonu z Bangor. Wszystko się zgadza, co?

- Niby tak, komandorze. Inna rzecz, że niewiele wiadomo o trasach ich patrolów.

- "Maine" ma pod pokładem dwadzieścia cztery rakiety D-5, w każdej koło ośmiu głowic... - Dubinin urwał. Jeszcze niedawno potrafił dokonywać podobnych przeliczeń w pamięci.

- Sto dziewięćdziesiąt dwie głowice - wyręczył go pierwszy oficer.

- Zgadza się, dziękuję. Mogą trafić prawie wszystkie nasze SS-18, prócz tych, które idą na złom w myśl porozumienia. Przy celności D-5 można śmiało założyć, że sto dziewięćdziesiąt dwie głowice z "Maine" zniszczą około stu sześćdziesięciu celów, czyli jedną piątą wszystkich naszych głowic nuklearnych, w dodatku najcelniejszych. Ciekawe, co? - dodał cicho Dubinin.

- Myślicie, że są tacy świetni?

- Amerykanie pokazali w Iraku, że potrafią celować, już zapomniałeś? Ja tam nigdy nie lekceważyłem ich uzbrojenia.

- Ale, komandorze, skoro wiemy, że okręty podwodne z D-5 na pokładzie są dla nich bronią pierwszego uderzenia...

- To co?

Pierwszy oficer spojrział na mapę.

- Już rozumiem. "Maine" jest najbliżej celu.

- Właśnie. "Maine" to sam grot włócznie wycelowanej w nasz kraj. - Dubinin postukał cyrkiem w mapę. - Jeżeli Amerykanie zdecydują się zaatakować, wystrzelą pierwsze rakiety właśnie z tego punktu. Pociski trafią w cel dokładnie dziewiętnaście minut później. Ciekaw jestem tylko, czy koledzy ze strategicznych sił raketowych potrafią odpowiedzieć na czas. - Ale co możemy na to wszystko poradzić, komandorze? - W głosie pierwszego oficera czuło się powątpiewanie.

Dubinin zsunął mapę ze stołu i włożył ją z powrotem do szuflady.

- Dokładnie nic. Nic a nic. Nie możemy uprzedzić ciosu bez rozkazów, chyba że zostaniemy w oczywisty sposób sprowokowani. Wywiad twierdzi, że takie ohio może wystrzeliwać rakiety w odstępach co piętnaście sekund, albo jeszcze krótszych. W czasie wojny człowiek przestaje się trzymać podręcznika, prawda? Powiedzmy, że od pierwszego pocisku do ostatniego potrzebne im są cztery minuty. Strzelać muszą na północ, zygzakiem, żeby głowice nie postrącały się nawzajem. To zresztą bez znaczenia, jeśli się przyjrzeć mechanizmom fizycznym. Wiecie, interesowałem się tym na

akademii Frunzego. Nasze rakiety na łodzi są na paliwo ciekłe, więc nie można ich wystrzelić, kiedy trwa atak. Nawet jeśli ich urządzenia pokładowe wytrzymają impuls elektromagnetyczny, już niezbyt bliski wybuch uszkodzi im powłoki. Skoro więc nie możemy wystrzelić rakiet przed atakiem jądrowym przeciwnika, naszą zasadą jest w takim wypadku zaczekać, przetrzymać i dać salwę kilka minut po ataku. Nas na okręcie interesuje tylko jedno: jeśli tamci potrzebują czterech minut na pełną salwę, musimy podejść bliżej niż na sześć tysięcy metrów. Jeśli wystrzelimy torpedę zaraz, kiedy usłyszymy w wodzie pierwszy pocisk, możemy mieć jakąś nadzieję, że trafimy Amerykanów, zanim zakończą pełną salwę.

- Trudne zadanie.

- Niemożliwe zadanie - potwierdził komandor. - Jedyne sensowne wyjście to wyeliminować ich nie czekając, aż odpalą rakiety. Tego znów nie wolno nam uczynić bez rozkazu, a rozkazu nie ma.

- No, to co zrobimy?

- Rozwiązań zostało nie za wiele. - Dubinin pochylił się nad stołem nawigacyjnym. - Załóżmy, że "Maine" naprawdę nie może uciec i że dokładnie określiliśmy pozycję. Musimy go teraz jeszcze wykryć. Jeśli wyciszyli reaktor do minimum, nie da się ich usłyszeć, zwłaszcza przy takich szumach powierzchniowych. Jeżeli włączymy aktywną echosondę, mogą zaraz poczęstować nas torpedą. W takim wypadku odpowiemy naszą torpedą i będziemy się modlić. Trafimy go albo i nie trafimy. Gdyby znów nie wypuścili torped natychmiast po usłyszeniu naszej echosondy... wtedy może uda się podejść na tyle blisko, żeby ich spłoszyć, zmusić, żeby zeszli głębiej. Kiedy wejdą w warstwę głębinową, znów ich zgubimy... Ale przynajmniej przytrzymamy w głębinie... Więc jeśli zepchniemy ich głębiej, a sami zostaniemy na górze i będziemy tłuc echosondą... Wtedy może nie odważą się wyjść i wystrzelić rakiet.

Mówiąc to, Dubinin straszliwie marszczył czoło.

- Niezbyt mądry plan, co? Gdyby któryś z nich mi z czymś takim wyskoczył - dowódca machnął ręką w kierunku młodszych oficerów w centrali okrętu - kazałbym z nich pasy drzeć. Tyle, że nic lepszego nie przychodzi mi do głowy, a wam?

- Komandorze, ten plan mocno naraża okręt - zauważył stary, nie ośmielając się dodać, że akcja wydaje mu się samobójcza. Wiedział, że Dubinin sam to doskonale rozumie.

- Naraża, nie naraża, inaczej nie da się przytrzymać tego sukinkota tam, skąd nie może wystrzelić pocisków, i dlatego proponuję dokładnie ten plan. Nie widzę alternatywy.

PREZYDENCIE NARMONOW:

PROSZĘ ZROZUMIEĆ NASZE POŁOŻENIE. BOMBA, CO ZNISZCZYŁA DENVER, MIAŁA MOC I TYP, KTÓRE PRAKTYCZNIE WYKLUCZAJĄ MOŻLIWOŚĆ POPEŁNIENIA TEJ ZBRODNI PRZEZ TERRORYSTÓW. MIMO TO NIE PODJĘLIŚMY DOTĄD AKCJI ODWETOWEJ PRZECIWKO KOMUKOLWIEK. GDYBY TO PAŃSKI KRAJ PADŁ OFIARĄ TAKIEJ NAPAŚCI, PAN RÓWNIEŻ ZAALARMOWAŁBY STRATEGICZNE SIŁY RAKIETOWE, TAK JAK UCZYNIŁIŚMY TO MY, STAWIAJĄC TAKŻE W STAN POGOTOWIA SIŁY KONWENCJONALNE. Z PRZYCZYŃ TECHNICZNYCH KONIECZNE BYŁO OGŁOSZENIE ALARMU GLOBALNEGO, ZAMIAST WYBIÓRCZEJ AKCJI W USA. NIGDY JEDNAK NIE WYDAŁEM INSTRUKCJI, KTÓRE BY NAKAZYWAŁY WSZCZĄĆ DZIAŁANIA ZACZEPNE. DO TEJ PORY WSZYSTKIE NASZE AKCJE MIAŁY CHARAKTER OBRONNY, A WYKAZALIŚMY SIĘ W NICH UMIAREM.

BRAK NAM PODSTAW BY SADZIĆ, ŻE PAŃSKI KRAJ RZECZYWIŚCIE PODJĄŁ DZIAŁANIA PRZECIWKO NASZEJ OJCZYŹNIE. DONIESIONO NAM JEDNAK, ŻE PAŃSKIE SIŁY W BERLINIE ZAATAKOWAŁY NASZĄ JEDNOSTKĘ I ZESTRZELIŁY

NASZE SAMOLOTY, KTÓRE PRÓBOWAŁY DOKONAĆ LUSTRACJI TERENU ZAJŚĆ. PODOBNIENIE TEŻ POINFORMOWANO NAS, ŻE RADZIECKIE SAMOLOTY BOJOWE ZBLIŻYŁY SIĘ NIEBEZPIECZNIE DO NASZEGO LOTNISKOWCA NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM.

PREZYDENCIE NARMONOW! APELUJĘ DO PANA O POWSTRZYMANIE SWOICH WOJSK. JEŻELI ZDOŁAMY POŁOŻYĆ KRES PROWOKACJOM, POŁOŻYMY KRES KRYZYSOWI. NIE MOGĘ JEDNAK ODMAWIAĆ MOIM WSPÓŁOBYWATELOM PRAWA DO OBRONY.

- "Powstrzymanie wojsk"? Ten się znalazł! - Minister obrony zaklął siarczyście. - Przecież nic im nie zrobiliśmy, nic a nic! To nas się oskarża o prowokacje?! A kto wjechał czołgami do Berlina Wschodniego, a kto sam potwierdza, że Amerykanie stracili nam samoloty?! I ten pompacyjny dureń śmie nam mówić, żeby go nie prowokować? A czego się po nas spodziewa? Że będziemy zmykać na widok pierwszego Amerykanina?

- Może byłoby to najrozsądniejszym wyjściem - zauważył Gołowko.

- Uciekać jak złodziej przed milicjantem? - zapytał szydlerczo minister. - Tego żąda pan od naszych sił zbrojnych?

- Mówiłem tylko, że warto by rozważyć i taką możliwość. - Pierwszy zastępca przewodniczącego KGB dzielnie dotrzymywał pola wojskowemu; tak przynajmniej sądził Narmonow.

- Najważniejsze jest drugie zdanie tej depezy - włączył się do dyskusji minister spraw zagranicznych. Jego analiza była tym bardziej przerażająca, że mówił spokojnie i na zimno. - Powiadają nam, że moc bomby wyklucza zamach terrorystyczny. Kto mógł go w takim razie dokonać? Fowler pisze, że "nie podjęli dotąd akcji odwetowej". Następne stwierdzenie, że nie ma dowodów, byśmy to my popełnili zbrodnię, to moim zdaniem tylko puste słowa w zestawieniu z pierwszym akapitem.

- Jeżeli zaczniemy uciekać, utwierdzi ich to tylko w pewności, że myśmy zaczęli - przypomniał minister obrony.

- Jak to "utwierdzi w pewności"? - zdziwił się Gołowko.

- Muszę się zgodzić z taką opinią - rzucił ze swojego fotela Narmonow. - Muszę także przyjąć nowe założenie, takie mianowicie, że Fowler przestał rozumować racjonalnie. Ta najnowsza depeza jest niezbyt logiczna. Fowler oskarża nas, nie przebiegając w słowach.

- Jaki charakter miał wybuch? - zapytał Gołowko ministra obrony.

- Bomby o takiej sile rzeczywiście nie mogli zbudować terroryści. Badaliśmy sprawę, okazało się, że chałupniczo da się zbudować bombę atomową pierwszej czy nawet drugiej generacji, z tym, że jej maksymalna moc będzie dużo niższa niż sto kiloton. Prawdopodobnie miałyby poniżej czterdziestu. Nasze sputniki zaobserwowały wybuch o sile dobrze powyżej stu kiloton, a to oznacza bombę atomową trzeciej generacji albo, co jest bardziej prawdopodobne, wielostopniową bombę wodorową. Na taki wyczyn nie stać amatorów.

- W takim razie kogo stać? - zażądał odpowiedzi Narmonow. Gołowko odwrócił wzrok w stronę prezydenta.

- Nie mam pojęcia. Udało nam się odkryć, że własny program atomowy miało NRD. Wiecie wszyscy, że w swoich reaktorach Niemcy produkowali pluton, ale mamy powody przypuszczać, że nigdy nie wysunęli się poza wstępną fazę. Zajęliśmy się podobnymi badaniami w Ameryce Południowej, ale i tam projekty dopiero raczkują. Bombę mógł wyprodukować Izrael, tylko po co?

Żeby atakować własnego strażnika? Gdyby na podobny plan wpadły Chiny, zaatakowałyby raczej nas niż Amerykanów. To my posiadamy ziemię i surowce, na które mają apetyt. Ameryka jest dla nich zbyt cennym partnerem handlowym, by sobie z niej robić wroga. Nie, jeżeli zamachu miałyby dokonać konkretne państwo, a takich państw nie jest wiele, natychmiast zaczęłyby się piramidalne problemy z utrzymaniem operacji w tajemnicy. Nawet gdybyście wy sami, Andrieju Iljiczu, nakazali KGB taką akcję, pewnie by się nam nie udała. Takiego zamachu nie przeprowadzi normalny człowiek. Potrzebny jest do tego talent, inteligencja i poświęcenie, ale powiem od razu, że takich cech nie znajduje się wśród psychopatów, a tylko psychopata poważiłby się na mord na taką skalę i globalny kryzys polityczny. W KGB nie znajdziecie podobnych ludzi, z oczywistych względów.

- Powiadacie mi, jednym słowem, że KGB nie posiada informacji, i że wy sami nie umiecie przedstawić konkretnej hipotezy, która by tłumaczyła wypadki?

- Dokładnie tak, towarzyszu prezydencie. Żałuję, ale mimo szczerych chęci nie mogę wam inaczej odpowiedzieć.

- Jakich doradców ma Fowler?

- Też nie wiem - przyznał Gołowko. - Sekretarze Talbot i Bunker nie żyją. Obaj pojechali na mecz do Denver. Sekretarz obrony Bunker był nawet właścicielem jednej z drużyn. Dyrektor CIA albo jest nadal w Japonii, albo dopiero stamtąd wraca.

- Jego zastępcą jest Ryan, zgadza się?

- Zgadza.

- Znam go. Ryan nie jest głupi.

- Nie jest, ale poszedł w odstawkę. Fowler go nie cierpi, dowiedzieliśmy się nawet, że poproszono Ryana, aby ustąpił ze stanowiska. Dlatego nie mam pojęcia, czyich rad słucha Fowler, jeśli nie liczyć Elizabeth Elliot, doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego. Nasz ambasador nie był nią zachwycony.

- Mówicie mi, że chwiejny zarozumialec w rodzaju Fowlera nie ma się w tej chwili na kim oprzeć?

- Właśnie.

- To wiele wyjaśnia. - Narmonow opadł na fotel i przymknął oczy. - Wynika z tego, że ja jeden mogę mu coś doradzić, tyle tylko, że jego zdaniem, to ja wysadziłem mu miasto w powietrze. Pięknie. Była to chyba najbardziej przenikliwa analiza tej nocy, choć całkowicie mylna.

PREZYDENCIE FOWLER:

PO PIERWSZE, OMÓWIŁEM ZAGADNIENIE Z DOWÓDCAMI MOICH WOJSK, KTÓRZY ZAPEWNILI MNIE, ŻE Z NASZYCH MAGAZYNÓW NIE ZGINEŁA ANI JEDNA GŁOWICA JĄDROWA.

PO DRUGIE, MIELIŚMY OKAZJĘ SPOTKAĆ SIĘ WE DWÓCH OSOBIŚCIE. UFAM, ŻE PRZEKONAŁ SIĘ PAN WÓWCZAS, IŻ NIE POTRAFIŁBYM WYDAĆ RÓWNIE ZBRODNICZEGO ROZKAZU.

PO TRZECIE, WSZYSTKIE ROZKAZY, JAKIE OTRZYMAŁY NASZE SIŁY ZBROJNE, NAKAZUJĄ WYŁĄCZNIE OBRONĘ. NIE UPOWAŻNIŁEM NIKOGO DO JAKICHKOLWIEK DZIAŁAŃ ZACZEPNYCH.

PO CZWARTE, ZASIĘGNAŁEM OPINII SWOICH SŁUŻB WYWIADOWCZYCH I Z PRZYKROŚCIĄ MUSZĘ PANA ZAWIADOMIĆ, ŻE MY TAKŻE NIE MAMY POJĘCIA, KTO MÓGŁ BYĆ SPRAWCĄ TEJ NIELUDZKIEJ ZBRODNI. BĘDZIEMY SIĘ STARALI ZMIENIĆ TEN STAN RZECZY I JEŚLI UZYSKAMY JAKIEKOLWIEK NOWE INFORMACJE, NATYCHMIAST JE PANU WYŚLEMY.

PANIE PREZYDENCIE, POWSTRZYMAJ SIĘ OD DALSZYCH ROZKAZÓW DLA MOICH SIŁ ZBROJNYCH, CHYBA ŻE ZOSTANĘ DO TEGO SPROWOKOWANY. WOJSKA RADZIECKIE ZAJĘŁY POSTAWĘ OBRONNĄ I POZOSTANĄ W OBRONIE.

- O, Boże - wychrypiała Liz Elliot, skrobiąc paznokciem po ekranie komputera - Policzmy, ile kłamstw!

Po pierwsze, wiemy i tak, że zginęły im głowy. Kłamią.

Dwa, dlaczego tak podkreśla fakt, że to naprawdę z nim spotkałeś się w Rzymie? Po co taka uwaga, jeżeli nie po to, żeby nas uspokoić, że naprawdę rozmawiamy z Narmonowem? Gdyby po drugiej stronie siedział Narmonow, nie bawiłby się w takie sztuczki. Prawdopodobnie kłamią.

Trzy, wiemy, że to oni pierwsi zaatakowali nas w Berlinie. Znow kłamią.

Po czwarte, pierwszy raz padło słowo o KGB. Coś się za tym kryje. Mogę się domyślać, że KGB przygotowało dla ZSRR alibi. Najpierw chcieli nas zastraszyć; wspaniale, najpierw zastraszyć, a później przedstawić alibi, zwalić winę na kogoś innego. No i musielibyśmy im uwierzyć.

- Pięc, ostrzega nas, żeby go nie prowokować. Zajęli "postawę obronną", co? Ładna mi postawa! - Liz Elliot umilkła, po czym dodała: - Nic, tylko próbują się nam teraz wywinąć, Robercie, próbują nam zamydlić oczy.

- Ja też tak zrozumiałem depezę. Jaka jest wasza opinia, panowie?

- To zdanie o nieprowokowaniu rzeczywiście brzmi niepokojąco - zabrał głos generał Fremont jako dowódca sił strategicznych. Mówiąc obserwował zarazem tablicę świetlną w swoim ośrodku dowodzenia. Miał już w powietrzu dziewięćdziesiąt sześć samolotów bombowych i setkę latających tankowców. Naziemne wyrzutnie raketowe znajdowały się w pełnej gotowości, zaś satelity wsparcia wojskowego wycelowały swoje teleskopowe obiektywy Cassegrain na radzieckie stanowiska raketowe, zamiast obserwować całość terytorium.

- Panie prezydencie, musimy w tej chwili omówić jeszcze jedną sprawę.

- Co takiego, generale?

Fremont postarał się zachować ścisły ton zawodowca.

- Panie prezydencie, redukcja strategicznych sił raketowych po obu stronach zmieniła łączny bilans uderzenia nuklearnego. Dawniej, kiedy mieliśmy ponad tysiąc pocisków, tak samo jak Rosjanie, nie braliśmy w rachubę pierwszego uderzenia jako realnej opcji strategicznej, ze względu na koszty własne. Teraz jest inaczej, bo udoskonalenie techniki raketowej i zmniejszenie się liczby ważnych celów teoretycznie umożliwia bezkarne pierwsze uderzenie. Jeśli dodać do tego radzieckie opóźnienia w demontażu starszych SS-18 w ramach porozumienia o redukcji zbrojeń, wychodzi na to, że w ich położeniu strategicznym pierwsze uderzenie może być kuszącym wyjściem. Proszę nie zapominać, że pociski lądowe likwidowaliśmy ostatnio dużo szybciej od nich. Słyszałem, że Narmonow osobiście zapewniał, że w ciągu czterech tygodni nadrobią opóźnienia w demontażu, ale o ile wiemy, likwidowane pułki raketowe są nadal aktywne. I dlatego - ciągnął Fremont - jeżeli wywiad nie myli się twierdząc, że Narmonowowi zagraża pucz... Panie prezydencie, dla mnie sytuacja przedstawia się zupełnie jasno.

- Objaśnijcie ją i mnie, generale - rozkazał Fowler tak cicho, że dowódca sił strategicznych ledwie go usłyszał.

- Panie prezydencie, z tego, co mówiła doktor Elliot, wynikało, że i pan będzie na meczu w Denver. Razem z sekretarzem Bunkerem, i tak dalej. Wszyscy mogli się tego spodziewać. Przy obecnej strukturze systemu dyspozycyjnego, cios w stadion poważnie by nas okaleczył. Nie mówię,

że Rosjanie koniecznie by nas wówczas zaatakowali, ale na pewno mieliby dobrą sposobność, żeby jednocześnie wyprzeć się odpowiedzialności za wybuch w Denver i, bo ja wiem, w taki sposób obwieścić o zmianie rządu, abyśmy postawieni w obliczu zwykłego szantażu, nie mogli jej zapobiec. Paskudna sytuacja. Co się jednak stało? Ich pierwsza bomba, że tak powiem, chybiła celu. Co sobie teraz myśli Moskwa? Na przykład to, że podejrzewamy ich o cały zamach i że ze złości jest pan gotów podjąć taką czy inną akcję odwetową. Jeżeli tak myślą, panie prezydencie, kto nam zaręczy, że nie zdecydują się na uprzedzenie ataku, by rzucić nas szybko na kolana? Nie twierdzę, panie prezydencie, że taki jest punkt widzenia Rosjan, ale trzeba założyć i taką możliwość. Wśród chłodnej nocy powiało jeszcze większym mrozem.

- Jak powstrzymać ich przed wystrzeleniem rakiet, generale? - spytał Fowler.

- Jedyne, co może ich powstrzymać od ataku, to pewność, że nic im to nie da. Zwłaszcza, jeżeli mamy do czynienia z buntem wojskowych. Generalicja radziecka to fachowcy, ludzie inteligentni i rozsądni. Zanim coś zrobią, najpierw dwa razy pomyślą, jak prawdziwi żołnierze. Jeżeli da się im do zrozumienia, że przy pierwszych oznakach ataku wystrzelimy nasze pociski, a tym samym ich uderzenie nie przyniesie im korzyści militarnych, odstąpią.

- To dobra rada, Robercie - przytaknęła słowom generała Liz Elliot.

- A co mówi NORAD? - Fowler nie zastanowił się nawet nad faktem, że zmusza generała dywizji do zakwestionowania słów oficera starszego o dwa stopnie.

- Panie prezydencie, jeżeli mamy jakoś uporządkować obecny chaos, takie wyjście będzie chyba najlepsze - odrzekł więc Borstein.

- Rozumiem. Generale Fremont, jaka jest pańska propozycja?

- Panie prezydencie, w takiej chwili, jak ta, musimy nakazać naszym siłom strategicznym, by przeszły w DEFCON-JEDEN. Kryptonim dla pogotowia tego stopnia brzmi SNAPCOUNT. Dzięki temu osiągniemy najwyższą gotowość bojową.

- Czy nie sprowokujemy ich w ten sposób?

- Nie, panie prezydencie, nie wydaje mi się. Z dwóch powodów. Po pierwsze, Rosjanie i tak wiedzą, że jesteśmy w stanie zaostzonego pogotowia, ale chociaż bardzo ich to niepokoi, nie wyrazili sprzeciwu. Do tej pory jest to z ich strony jedyna oznaka racjonalnego postępowania. Po drugie, nie dowiedzą się o zaostzeniu pogotowia do maksimum, chyba że sami im o tym powiemy, a z tym możemy się wstrzymać do czasu, aż wyskoczą z następną prowokacją.

Fowler zabrał się do kolejnej kawy. Zdał sobie przy tym nagle sprawę, że wkrótce będzie musiał odwiedzić toaletę.

- Generale, nie mogę podjąć takiej decyzji natychmiast. Potrzebne mi kilka minut, żeby się zastanowić.

- Naturalnie, panie prezydencie. - Siedzący w odległym o półtora tysiąca kilometrów bunkrze Fremont starał się ukryć rozczarowanie w głosie, lecz swojego zastępcę szefa sztabu do spraw operacyjnych obdarzył ciężkim spojrzeniem.

- Co jest? - pytał tymczasem Parsons, który nie miał już nic do roboty. Połączył się, choć nie bezpośrednio, z Waszyngtonem i zdecydował, że koledzy z NEST-u sami sobie poradzą z badaniami w laboratorium. Sam przyłączył się więc do lekarzy, zwłaszcza że miał ze sobą sprzęt dozymetryczny i mógł określić dawkę promieniowania, jaką otrzymali strażacy i uratowani ludzie. Lekarze słabo się na tym znali, lecz sytuacja nikogo nie napawała optymizmem. Spośród siedmiorga osób, które przeżyły eksplozję na stadionie, pięcioro wykazywało już objawy ostrej choroby popromiennej. Parsons ocenił, że każdy z ocalonych otrzymał od czterystu do tysiąca remów. Przeciętą osobą miała



szansę przeżyć dawkę do sześciuset remów, choć przy drastycznej kuracji udawało się czasem ocalić życie ludziom, którzy otrzymali nawet większą porcję - oczywiście, jeśli ocaleniem można nazwać darowany rok czy dwa i walkę z trzema, czterema naraz odmianami nowotworów. Ostatni z ocalonych miał najwięcej szczęścia. Wciąż nie gorączkował, mimo rozległych oparzeń rąk i twarzy, nie zaczął też jeszcze wymiotować. Stracił jednak całkowicie słuch.

Parsons przyjrzał się bliżej młodemu mężczyźnie, po ubraniu, kaburze i odznace w worku z rzeczami osobistymi poznając w nim policjanta. Młody gliniarz zaciskał coś w dłoni, a kiedy podniósł wzrok, ujrzał obok eksperta z NEST-u także agenta FBI.

Pete Dawkins był w głębokim szoku i prawie postradał zmysły. Trząsł się nie tylko z powodu zimna i wilgoci, lecz przede wszystkim ze strachu, jaki niewielu ludziom dane było przeżyć. W głowie policjanta trwała myślowa gonitwa na trzy albo cztery oderwane od siebie tematy, a jej tok daleki był od porządku czy logiki. Względna jasność myśli zawdzięczał jedynie wyszkoleniu. Kiedy Parsons przesuwiał swoim przyrządem po mundurze, na wpół oślepy Dawkins zdołał dojrzeć obok drugiego mężczyznę w plastikowej niebieskiej kurtce. Na rękawach, plecach i przodzie kurtki widniały wielkie litery "FBI", policjant aż podskoczył na łóżku, wyszarpując sobie przy tym z ramienia kroplówkę. Lekarz i pielęgniarka rzucili się, aby go zatrzymać, lecz Dawkins wyrwał im się z zaciekłością szaleńca, rozczapierzając dłoń w kierunku agenta.

Specjalny agent Bili Clinton również miał dosyć, zwłaszcza że tylko figiel rozkładu dyżurów ocalił mu życie. Clinton także wykupił bilet na Superpuchar, lecz musiał go odstąpić koledze z pododdziału. Cztery dni wcześniej wściekał się na niesprawiedliwość losu, nie wiedząc jeszcze, że dzięki temu ocaleje. Bał się teraz otrzymanej dawki, choć Parsons ocenił ją raptem na czterdzieści remów. Clinton był jednak policjantem i biorąc się w garść, wyjął z dłoni Dawkinsa pomietaną kartkę.

Okazało się, że ma przed sobą listę numerów rejestracyjnych. Jeden z nich był zakreślony i opatrzony znakiem zapytania.

- Co to? - zapytał Clinton, przepychając się przed pielęgniarkę, która usiłowała podłączyć wyszarpniętą kroplówkę.

- Furgon - wybełkotał ranny, który mimo głuchoty zrozumiał pytanie. - Wpuściłem. Prosiłem sierżanta, niech sprawdzi, ale... Południowy wjazd, koło wozów transmisji. Furgon z ABC, mały, dwóch gości. Wpuściłem. Nie było ich na liście.

- Południowy wjazd, kojarzy pan coś? - zwrócił się Clinton do Parsonsa.

- Tam było epicentrum. - Parsons nachylił się nad rannym. - Jak wyglądali ci dwaj? - zapytał, wskazując na listę, a potem na siebie i na agenta Clintona.

- Biali, po trzydziestce, zwyczajni. Mówili, że są z Omahy... Mieli kopiarkę. Dziwiłem się, że z Omahy... powiedziałem sierżantowi, coś nie tak... Yankevich miał sprawdzić, zaraz jak...

- Panowie! - wtrącił się doktor. Ten człowiek jest umierający, muszę panów...

- Milczeć - przykazał mu Clinton.

- Co było w furgonie?

Dawkins odpowiedział pytającym spojrzeniem. Parsons pochwycił kartkę, narysował na niej samochód i dziabnął ołówkiem w papier. Półprzytomny Dawkins kiwnął głową.

- Wielkie pudło, metr na metr, z literami SONY. Mówili, że to kopiarka. Furgon niby z Omahy, ale... - Ranny wskazał palcem swoją listę.

Clinton natychmiast sprawdził rejestrację.

- Tablice z Kolorado!

- Wpuściłem - zdołał jeszcze wybełkotać Dawkins, nim omdlał.

- Metrowe pudło... - szepnął Parsons.

- Biegiem! - Clinton był już za progiem izby przyjęć. Najbliższy telefon znaleźli w recepcji, lecz wszystkie cztery aparaty były zajęte. Clinton wyjął z dłoni recepcjonistki słuchawkę, odwiesił i uzyskał sygnał.

- Co pan wyprawia?

- Zamknij się! - odpowiedział agent i zaczął szybko mówić do słuchawki. - Łączcie z Hoskinsem... Walt, mówi Clinton, dzwonię ze szpitala, proszę, żebyś sprawdził numery rejestracyjne. Stan Kolorado, E, R, P, pięć, dwa, zero. Podejrzana furgonetka na stadionie. Wewnątrz dwóch białych, po trzydziestce, bez znaków szczególnych. Świadek to policjant, stracił w tej chwili przytomność.

- Już się robi. Masz kogoś ze sobą?

- Tego Parsonsa z NEST-u.

- Jedźcie zaraz do mnie. Albo nie, zostańcie na miejscu, tylko się nie rozłączajcie. - Hoskins przełączył się na inną linię i z pamięci wystukał numer stanowego urzędu komunikacji. - Dzwonię z FBI. musicie mi jak najszybciej sprawdzić tablice. Komputer działa?

- Oczywiście - zapewnił agenta kobiecy głos.

- Numer brzmi Edward, Robert, Paul, pięć, dwa, zero. - Hoskins rozejrzał się po biurku. Gdzieś już widział ten numer rejestracyjny.

- Już sprawdzam. - Kobieta wystukała coś na klawiaturze. - Mam. Fabrycznie nowa furgonetka, zarejestrowana na Roberta Frienda z Roggen. Czy podać numer prawa jazdy pana Frienda?

- Jezusie! - wykrztusił Hoskins.

- Co tam pan mówi?

Agent wyrecytował numer prawa jazdy z motelu.

- Owszem, proszę pana, zgadza się.

- Mogłaby mi pani jeszcze sprawdzić dwa prawa jazdy?

- Oczywiście, proszę pana.

Kiedy Hoskins odczytał numery, urzędniczka przejrzała kartotekę.

- Pierwszy numer się nie zgadza. Drugiego też nie ma. Ale zaraz, przecież są prawie takie same jak...

- Wiem o tym. Dziękuję bardzo. - Hoskins odłożył słuchawkę i mruknął do siebie: - Dobra, Walt, myśl, ale szybko...

Potrzebował jeszcze dodatkowych danych od Clintona.

- Murray.

- Dan, tu Walt Hoskins. Dostałem wiadomości, które muszą do was trafić.

- Wal. - Nasz stary znajomy, Marvin Russell, zaparkował na stadionie furgonetkę. Facet z NEST-u potwierdził, że stała mniej więcej tam, gdzie wybuchła bomba. W samochodzie był jeszcze jeden, nie, zaraz... W samochodzie był z Russellem tylko jeden facet, więc drugi musiał prowadzić ten wynajęty osobowy. Co dalej? Wewnątrz furgonetki było wielkie pudło, a na bokach wóz miał znaki sieci ABC. Russella znaleziono martwego dwa kroki od stadionu. Pewnie zostawił furgon na parkingu i dał nogę. Moim zdaniem, Dan, ta bomba mogła się dostać na Skydome w ten sposób.

- Masz jeszcze coś, Walt?

- Zdjęcia z paszportów i resztę papierów tamtej dwójki.

- Ładuj na telefaks.

- Już się robi. - Hoskins ruszył natychmiast w stronę pomieszczeń łączności, a kiedy dopadł na korytarzu jednego z agentów, przekazał mu: - Znajdź mi gliniarzy z wydziału zabójstw w Denver, tych od sprawy Russella. Nie wiem, gdzie są, ale masz mi ich natychmiast odszukać.

- Znów myślisz, że to jednak terroryści? - zapytał szefa Pat O'Day. - Sądziłem, że bomba za silna na domową.

- Russell miał konszachty z terrorystami, więc tak sobie pomyślałem, że... O, kurczę! - szepnął Murray.

- Co się stało, Dan? .

- Połącz się z kartoteką, niech mi wyszukają w teczce Russella te zdjęcia z Aten. - Zastępca wicedyrektora FBI niecierpliwie czekał na wyniki. - Grecy dopytywali się u nas jakiś czas temu, bo na służbie zginął jeden z ich gliniarzy, więc przysłali nam zdjęcia... Wydawało mi się wówczas, że rozpoznaję Marvina, ale... W samochodzie siedział oprócz niego ktoś jeszcze. Na zdjęciu widać było tylko profil, tak coś sobie przypominam.

- Idzie telefaks z Denver - oznajmiła operatorka łączności.

- Proszę przynieść.

- Tutaj jest pierwsza strona.

Murray bardzo prędko miał już w ręce komplet stron.

- Bilet lotniczy. Popatrz, Pat, z przesiadką... O'Day pochwycił kartkę.

- Sprawdzę w komputerach.

- Kurwa, popatrz na to zdjęcie!

- Znajoma twarz?

- Wygląda jak... Bo ja wiem, Ismael Kati? Tego drugiego nie znam.

- Nie zgadzają się włosy, no i te wąsy- stwierdził O'Day, odwracając się od telefonu. -I trochę jakby za chudy. Lepiej zadzwońmy wpierw do kartoteki, niech sprawdzą ostatnie wiadomości o tym typku. Nie ma sensu wszczynać rabanu, dopóki się nie upewnimy.

- Racja - Murray podnosił już słuchawkę.

- Dobra nowina, panie prezydencie poinformował Fowlera generał Borstein ze swojego bunkra w czeluściach góry Cheyenne. - Nad środkową częścią ZSRR będzie zaraz przelatywał nasz KH-11. Na Syberii świta, pogoda też się wreszcie poprawiła, będzie się można dobrze przyjrzeć ich silosom raketowym. Satelita dostał już program, centrum rozpoznania przekaże obraz prosto do nas i do bunkra w Offut. - Ale już nie do mnie - Fowler skrzywił się, gdyż w bunkrze w Camp David brakowało niezbędnych urządzeń. Ciekawe przeoczenie. Linią łączności telewizyjnej z satelitą szpiegowskim prezydent dysponował, oczywiście, na pokładzie "Anioła", lecz nie skorzystał z okazji, żeby wysiąść, kiedy się jeszcze nadarzała. - Trudno, opowie mi pan, co widać. - Właśnie tak, panie prezydencie. Mogą to być dla nas bardzo cenne obserwacje - przyobiegał Fowlerowi Borstein.

- Mamy pierwszy obraz - rozległ się następny głos. - Panie prezydencie, mówi major Costello ze sztabu rozpoznania obrony powietrznej. Orbita jak na zamówienie, satelita przejdzie tuż nad stanowiskami czterech pułków raketowych, licząc od południa na północ: nad Dżangiz Tobe, Alieskiem, Uzurem i Gładkąją. Wszystkie bazy, prócz tej ostatniej, to stanowiska SS-18. Gładkąją to pułk SS-11, starocie. Pułk w Aliesku jest jednym z tych, które według porozumienia miały iść do demontażu, ale jakoś nie zdążył...

Poranne niebo nad Alieskiem było bezchmurne. Horyzont na północnym wschodzie pojaśniał, lecz żaden z żołnierzy strategicznych sił raketowych nawet nie spojrział w tamtą stronę. Oddział miał całe tygodnie opóźnienia w stosunku do harmonogramu, ostatnie zaś rozkazy nagliły do pracy dzień i noc nad rozbieraniem rakiet. Nie miał znaczenia nawet fakt, że polecenia o natychmiastowej likwidacji rakiet graniczyły z fantazją. Przy każdym z czterdziestu silosów raketowych czekał już

potężny opancerzony pojazd na grubych kołach. SS-18 (przez samych Rosjan nazywane RS-20, od słów Rakieta Strategiczna Numer Dwadzieścia) były stare i liczyły sobie ponad jedenaście lat. W gruncie rzeczy dlatego właśnie Rosjanie zgodzili się wycofać je z linii. Pociski napędzane były paliwem ciekłym. Zarówno paliwo, jak i utleniacz - niesymetryczna metylohydrazyna z dwuetyloaminą i czterotlenek wodoru - znano jako substancje żrące i szkodliwe, a stwierdzenie, że chemikalia te dają się magazynować, tylko częściowo odpowiadało prawdzie. Paliwa były rzeczywiście stabilniejsze od substancji wymagających bardzo niskich temperatur, lecz zetknięcie się z nimi kończyło się z reguły śmiercią, a ich reaktywność przekraczała najśmielsze oczekiwania. Najskuteczniejszym środkiem bezpieczeństwa okazało się zamknięcie każdej rakiety w stalowej kapsule, opuszczonej następnie do silosa niczym gigantyczny termos. Dzięki temu delikatna aparatura elektroniczna wyrzutni unikała kontaktu ze żrącym paliwem. Eksperci z amerykańskich służb wywiadowczych nie domyślali się, że Moskwa bawi się z dwupłynowymi paliwami nie ze względu na większą siłę ciągu, lecz z tej prostej przyczyny, iż radzieckie laboratoria spóźniały się o całe lata z wyprodukowaniem stabilnych paliw stałych o dużej mocy. Zmieniło się to dopiero od niedawna, wraz z wprowadzeniem nowych SS-25. SS-18, którym w NATO nadano złowrogi kryptonim SZATAN, choć imponowały mocą i rozmiarami, okazały się bronią kapryśną i bezlitosną dla obsługi. Żołnierze cieszyli się ogromnie, że wreszcie się ich pozbędą. Niejeden szeregowiec strategicznych sił rakietowych postradał życie podczas szkolenia czy konserwacji tych pocisków. To samo mogli powiedzieć Amerykanie o załogach swoich wyrzutni pocisków Titan II, przypominających budową SS-18. Wszystkie "ptaszki" z Alieska miały iść na złom, co tłumaczyło obecność ekip technicznych i wozów transportowych. Najpierw jednak trzeba było wymontować głowice jądrowe. Amerykańscy obserwatorzy mogli sobie śledzić rozbiórkę raket, lecz głowice nadal pozostały najlepiej strzeżonym elementem uzbrojenia. Pod czujnym okiem pułkownika niewielki dźwig zdjął z pocisku numer trzydzieści jeden dziobową osłonę, ukazując grupę głowic. Każdy stożkowaty MIRY (od angielskiego skrótu oznaczającego "niezależnie programowany ładownik") miał u podstawy czterdzieści centymetrów średnicy i półtorametrową wysokość od denka do ostrego czubka. Wewnątrz krył się trójstopniowy ładunek termojądrowy o mocy pół megatony. Żołnierze obchodzili się więc z głowicami z szacunkiem, na jaki w oczywisty sposób zasługiwały.

- Oho, mamy pierwsze zdjęcia wyrzutni - usłyszał Fowler głos majora Costello. - Słaby ruch... Panie prezydencie, skupiliśmy obraz dosłownie na kilku silosach, tych, które najlepiej widać. Teren jest mocno zalesiony, ale przecież znamy kąt orbity, wiemy, które wyrzutnie będzie widać... Dobrze, widzę silos zero pięć w Tobe... Nic niezwykłego się nie dzieje... Widzę wartowników... Jakoś ich więcej niż zwykle... Widzę pięciu, nie, siedmiu ludzi... W podczerwieni dobrze się dają odróżnić, zimno tam jak cholera, panie prezydencie... Nic poza tym. Nic niezwykłego... W porządku, przenoszę obraz na Aliesk. O, rany!

- Co widzicie!?

- Wycelowaliśmy cztery kamery na cztery osobne silosy...

- To wozy techniczne - skomentował ze swojego bunkra generał Fremont. - Stoją przy wszystkich czterech silosach. Pokrywy silosów są otwarte, panie prezydencie.

- Co to oznacza?

Odpowiedzią zajął się major Costello:

- Panie prezydencie, w Aliesku stacjonują starsze osiemnastki, model dwa. Te same, które miały iść na złom, tyle że nie poszły. Mamy teraz w polu widzenia pięć silosów, przy każdym stoi wóz techniczny. Przy dwóch wyrzutniach kręcą się ludzie, robią coś przy raketach.

- Co to jest wóz techniczny? - dopytywała się Liz Elliot.

- Taki pojazd do transportu rakiet, z kompletem narzędzi obsługowych. Na jednego "ptaszka" wypada jeden taki pojazd, nie, nawet więcej. Potężne samochody, trochę jak nasze wozy strażackie. Mają skrzynie na narzędzia i osprzęt, i co tam jeszcze... Jim! Wygląda, że ściągnęli osłonę nosową. Tak! Widać wszystkie głowice, zupełnie wyraźnie. Widzę, jak grzebią przy głowicach jądrowych... Ciekawe, co robią?

Fowler czuł, że za chwilę wpadnie w pasję. Z równym skutkiem mógł słuchać transmisji radiowej z meczu futbolowego.

- Mówcie, co to może oznaczać!

- Nie wiadomo, panie prezydencie... Satelita jest już nad pułkiem w Uzur. W Uzur spokój. W tej bazie stoją SS-18 model pięć, nowsze... Ani śladu wozów. Widać tylko wartowników. Panie prezydencie, w mojej ocenie wartowników jest więcej niż zwykle. Zaraz będziemy nad Gładką... Jeszcze parę minut...

- Po co są te wozy techniczne? - zapytał prezydent.

- Wygląda na to, że Rosjanie robią coś przy rakietach.

- Ale co robią, do cholery ciężkiej!? - ryknął Fowler do mikrofonu, Ton odpowiedzi daleki był tym razem od olimpijskiego spokoju sprzed kilku minut

- Panie prezydencie, tego nie jesteśmy w stanie sprawdzić.

- A co jesteście w stanie sprawdzić?

- Już mówiłem, panie prezydencie, że w Aliesku są stare rakiety, przy których zawsze jest dużo pracy. Miały iść na złom, i to już jakiś czas temu. We wszystkich trzech pułkach zauważyliśmy wzmocnione straże, ale tylko w Aliesku otwarto pokrywy silosów, i tylko tam przy rakietach stoją wozy techniczne. Więcej nic nie wiadomo.

- Panie prezydencie - odezwał się generał Borstein - Major Costello przekazał panu wszystko, co wiemy.

- Ale obiecywał mi pan, generale, że dowiemy się czegoś z tych zdjęć z satelity. No więc, czegośmy się dowiedzieli?!

- Panie prezydencie, te prace przy rakietach w Aliesku mogą coś oznaczać.

- Sam pan mówi, że nie wiadomo, co Rosjanie tam robią.

- Właśnie, nie wiadomo - potulnie przytaknął Borstein.

- Czy istnieje możliwość, że przygotowują te pociski do salwy?

- Owszem, taka możliwość istnieje.

- O, Boże.

- Robercie - przerwała doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Ja się bardzo boję!

- Nie mamy czasu na takie rozmowy, Elizabeth! - Fowler zebrał się w sobie. - Musimy panować nad nerwami i nad całą sytuacją. Musimy...

Musimy przekonać Narmonowa...

- Robercie! Dalej nic nie rozumiesz! Narmonowa już nie ma! Rozmawiamy z kimś innym, to jedyne sensowne wyjaśnienie! Nawet nie wiemy, z kim rozmawiamy!

- Ale co można na to poradzić?

- Nie wiem!

- Nieważne. Ktokolwiek tam siedzi, nie chce przecież wojny jądrowej! Tego nikt nie chce, chyba tylko jakiś szaleniec - zapewnił Elliot prezydent tonem ojca, który pociesza dziecko.

- Jesteś pewien? Robercie, jesteś tego zupełnie pewien? Próbowali nas przecież zabić!

- Nawet jeśli tak, teraz nie wolno nam o tym myśleć.

- Jak mam o tym nie myśleć? Jeśli już raz spróbowali, spróbują znowu! Czy ty tego nie

rozumiesz?

Stojąca kilka kroków za prezydentem Helen D'Agustino uświadomiła sobie, że nie omyliła się poprzedniego lata, odgadując charakter Liz Elliot. E-E rzeczywiście okazała się napastliwym tchórzem. Na kim, oprócz niej, mógł się teraz oprzeć prezydent? Fowler wstał z fotela i ruszył w stronę toalety. Pete Connor odprowadził go pod same drzwi, jako że nawet tych spacerów nie wolno prezydentom odbywać samemu. Daga przyjrzała się teraz uważnie Liz Elliot, zapytując się w myślach, jak nazwać taką twarz. Na obliczu doradczyni do spraw bezpieczeństwa nie malował się już nawet strach. Agentka D'Agustino bała się tak samo, jak wszyscy, ale żeby aż tak? Oskarżenie nie było jednak sprawiedliwe: D'Agustino nikt nie pytał o opinię, nikt nie kazał jej wyciągnąć sensownych wniosków z bezsensownej sytuacji. Sytuacja była zaś, zdaniem Dagi, kompletnie bezsensowna. Helen pocieszyła się myślą, że nie ją pytają o zdanie. To nie jej sprawa. To sprawa Liz Elliot.

- Złapałem kontakt! - zameldował jeden z hydroakustyków na pokładzie Diabła Morskiego jeden-trzy. - Boja numer trzy... Mam szum śrub... Pojedyncza śruba. Kontakt z atomowym okrętem podwodnym! Częstotliwość nie nasza, to nie amerykańska śruba.

- Złapałem go na czwórce - potwierdził drugi z akustyków. - Kolesiowi gdzieś się bardzo spieszy. Szum śruby daje mi powyżej dwudziestu, może i dwadzieścia pięć węzłów. Namiar na mojej boi trzy zero zero.

- Dobra! - padło ze stanowiska taktycznego. - Ustaliłem pozycję. Podajcie mi odchylenie.

- Teraz mają kurs dwa jeden zero! - zameldował pierwszy hydroakustyk. - Facet zakręca!

Dwie minuty później stało się jasne, że echo zmierza wprost ku USS "Maine"

- Jak to możliwe? - dopytywał się Jim Rosselli. Meldunek radiowy z bazy w Kodiak dotarł prosto do Narodowego Ośrodka Dowodzenia. Dowódca dywizjonu patrolowego nie wiedział, co robić, i z krzykiem dopominał się o instrukcje. Meldunek przyszedł opatrzony kodem RAKIETA. Kopia powędrowała do dowództwa sił morskich Pacyfiku, gdzie także dopraszano się o wskazówki.

- Co wam tak pilno? - zapytał, więc Barnes.

- Tamto echo ciągnie prosto w kierunku USS "Maine". Skąd wiedzieli, gdzie jest nasz okręt, do cholery?

- A my skąd wiemy o uszkodzeniach "Maine"?

- Bo wypuścili boję radiową... No, nie! Czy ta dupa nie umiała zmienić pozycji?

- Przekażesz to prezydentowi, co? - zapytał pułkownik Barnes.

- Tak myślę - westchnął Rosselli, sięgając po telefon.

- Tu prezydent.

- Melduje się komandor Jim Rosselli z Narodowego Ośrodka Dowodzenia. W Zatoce Alaski mamy uszkodzony okręt podwodny typu Ohio, USS "Maine", z raketami strategicznymi na pokładzie. Okręt ma uszkodzoną śrubę, stracił zdolność manewru. Prosto na "Maine" sunie radziecki niszczyciel podwodny, jest już z dziesięć mil od naszych. Mamy w tym rejonie oriona P-3C do zwalczania okrętów podwodnych, już wytropili tych Rosjan. Sir, jakie są rozkazy?

- Myślałem, że nie potrafią odnaleźć naszych okrętów raketowych?

- Nikt tego nie potrafi, panie prezydencie, ale w tym przypadku musieli wypelengować, no, złapać namiar "Maine", kiedy nasi wzywali pomocy przez radio. Powtarzam, "Maine" to okręt raketowy, należy do zintegrowanego planu i ma pogotowie DEFCON-DWA, więc ma także prawo się bronić. Dlatego orion eskortuje go z powietrza. Proszę nam powiedzieć, co robić.

- Jak ważny jest dla nas ten "Maine"? - zapytał Fowler.

- Mowa o okręcie strategicznym, sir - wyjaśnił mu tym razem generał Freemont. - Ich pociski stanowią część planu strategicznego, i to niemałą.

Na pokładzie jest prawie dwieście głowic jądrowych, bardzo celnych, Jeżeli Rosjanie zatopią "Maine", będzie z nami źle.

- Naprawdę źle?

- Tak, bo zrobi się potężna dziura w naszym planie strategicznym. "Maine" ma na pokładzie rakiety D-5 z siłą przeciwuderzenia. Te tridenty mają spaść na radzieckie pułki rakiet strategicznych i ośrodki dowodzenia krajem. Jeżeli "Maine" zatoni, miną całe godziny, zanim załatamy te dziurę.

- Komandorze Rosselli, pan służy w marynarce wojennej, zgadza się?

- Tak, panie prezydencie. Muszę dodać, że jeszcze kilka miesięcy temu byłem na "Maine" dowódcą załogi "złotej".

- Jak szybko musimy podjąć decyzję?

- Akuła płynie z prędkością dwudziestu pięciu węzłów, a jest w tej chwili ponad dwadzieścia kilometrów od okrętu. Teoretycznie mogą już z tej odległości wystrzelić torpedy.

- Jakich mam w takim razie opcje? '

- Może pan nakazać atak albo wstrzymać się od ataku - odparł Rosselli.

- Generale Fremont?

- Panie prezydencie... Nie, mam jeszcze pytanie do komandora.

- Słucham, generale.

- Czy wiadomo na pewno, że Rosjanie płyną umyślnie w stronę USS "Maine"?

- Namiary nie pozostawiają co do tego wątpliwości, sir.

- Panie prezydencie, moim zdaniem, musimy bronić naszych środków bojowych, Rosjanom nie spodoba się atak na jeden z ich okrętów, ale chodzi o jednostkę patrolową, nie strategiczną. Jeżeli nas oskarżą o napaść, mamy usprawiedliwienie. Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego kazali swoim obrać ten kurs. Zdają sobie przecież sprawę, że podniesiemy alarm?

- Komandorze Rosselli, ma pan moje upoważnienie. Niech samolot zaatakuje i zniszczy tych Rosjan.

- Tak jest - odpowiedział Rosselli i podniósł drugą słuchawkę. - SZARY NIEDŹWIEDŹ, tu POPIERSIE - tak brzmiał najnowszy kryptonim Narodowego Ośrodka Dowodzenia. - Naczelne dowództwo zatwierdza, powtarzam, zatwierdza wasz plan ataku. Odbiór.

- POPIERSIE, tu SZARY NIEDŹWIEDŹ, odebraliśmy zgodę na atak.

- Potwierdzam.

- Zrozumiałem. Wyłączam się.

Orion zawrócił. Skutki złej pogody zaczęli już odczuwać nawet piloci. Chociaż zasadniczo trwała jeszcze dzienna pora, niskie chmury i sztorm upodobały lot do podróży mrocznym i pełnym wybojów korytarzem. Pogoda była pechowa, lecz na szczęście akuła działała po dyletancku, gnając pełną prędkością pod warstwą styku wód. Nie sposób więc było utracić styczności. Dowódca dyktował pilotom kurs ze stanowiska taktycznego w tylnej części kadłuba. Z ogona oriona - czyli przerobionego pasażerskiego lockheeda electra - wystawał czujnik precyzyjnego wykrywacza anomalii magnetycznych. Magnetometr wyłapywał zmiany ziemskiego pola magnetycznego, także i te powodowane obecnością tysiąca ton żelaza pod powierzchnią wody.

- Wariat, wariat, wariat, zrzućmy świecę! - zameldował kodem rozpoznawczym operator i nacisnął guzik zwalniający boję dymną. Pilot natychmiast zawrócił maszynę w lewo, by wyznaczyć następny punkt. Chwilę później po zrzuceniu nowego sygnału znów zakręcili w lewo.

- Hej tam, na tyle, jak wyglądamy? - zapytał pilot.

- Trzymamy kontakt, atomowy, podwodny. Mamy pewność, że radziecki. Moim zdaniem, nie ma na co czekać.

- To jazda - ucieszył się pilot, podczas gdy drugi wymamrotał tylko: - Jezu Chryste.

- Otworzyć luk.

- Otwieram luk torpedowy. Zabezpieczenia zdjęte, zapalnik na miejscu, broń gotowa.

- Poczekać, już ją nastawiam - zgłosił się dowódca. - Można zrzucać. Zadanie było aż nazbyt proste. Pilot naprowadził samolot na kierunek wyznaczony przez trzy pławy dymne, układające się niemal dokładnie w linii prostej. Minał pierwszą, drugą, potem trzecią...

- Zrzucać! Jeszcze nie, jeszcze nie... Już! - Pilot dodał gazu i poderwał maszynę sto metrów wyżej.

Od kadłuba oderwała się torpeda przeciwpodwodna Mark 50, której lot spowalniał spadochron, odłączany automatycznie po uderzeniu w wodę. Nowa, bardzo skomplikowana broń miała zamiast hałaśliwych śrub ogonowych bezszelestny pędnik wodny, a pokładowy komputer włączał systemy dopiero po osiągnięciu docelowej głębokości stu sześćdziesięciu metrów.

Dubinin uznał, że jeszcze parę tysięcy metrów i pora będzie zwolnić. W duchu gratulował sobie pokerowej zagrywki. Domysł, że amerykański okręt podwodny będzie się trzymał przy powierzchni, brzmiał całkiem rozsądnie. Jeżeli radziecki dowódca miał rację, to pędząc całą mocą reaktora tuż pod warstwą styku, czyli na głębokości stu dziesięciu metrów, unikał wykrycia swojego okrętu przez "Maine", a szumy powierzchniowe pozwalały mu skrycie podejść do celu. Komandor gratulował sobie zmysłu taktycznego.

- Sonar, torpedy po prawej burcie! - wrzasnął ze swojego przedziału podporucznik Ryków.

- Ster w lewo. Naprzód! Gdzie ta torpeda?

- Wysokość kątowna piętnaście! Pod nami! - zawołał Ryków.

- Wynurzenie alarmowe! Stery głębokości na plus! Nowy kurs trzy zero zero! - rozkazał Dubinin, wbiegając do przedziału sonaru. - Co się dzieje, do czorta?

Ryków był śmiertelnie blady.

- Nie słyszę śrub, tylko ten cholerny namiernik... Oddała się... Nie, teraz nas złapał!

- Środki pozoracyjne! Trzy puszki! - rozkazał Dubinin.

- Wystrzelone!

Operatorzy środków przeciwtorpedowych na "Admirale Łuninie" wystrzelili jedną po drugiej trzy piętnastocentymetrowe puszki z substancją uwalniającą gaz. W wodzie zaroilo się od bąbli, które miały upozorować obecność nieruchomego celu. Torpeda Mark 50 odnalazła już okręt i zaczynała się odwracać w jego stronę.

- Wyszliśmy na sto metrów - zameldował starpom. - Prędkość dwadzieścia osiem węzłów.

- Wyrównać na piętnastu metrach, jak wyskoczymy nad powierzchnię, nic nie szkodzi!

- Zrozumiałem. Dwadzieścia dziewięć węzłów!

- Straciłem echo. Nasza pława została za bardzo z boku, nic nie słyszać! - Ryków bezradnie wznosił ręce do góry.

- W takim razie czekajmy cierpliwie - doradził mu Dubinin. Dowcip był mizerny, ale właśnie za takie odezwania hydroakustycy uwielbiali dowódcę.

- Nasi z oriona musieli zaatakować. Słyszę sonar ultradźwiękowy, bardzo daleko, kierunek dwa cztery zero. Z naszej torpedy Mark 50.

- Będzie spokój z Rosjanami - ucieszył się Ricks. - I dzięki Bogu.



- Wyszliśmy na pięćdziesiąt metrów, wyrównując przegłębienie, stery dziesięć na plus. Prędkość trzydzieści jeden.

- Pozoracja nie pomogła - oznajmił Rykow. Hol pławy hydroakustycznej wyprostował się. Za rufą nadal słyhać było namiernik torpedy.

- W ogóle nie ma szumu śrub?

- W ogóle. Nawet przy tej prędkości na pewno bym usłyszał.

- Pewnie ten nowy typ.

- Mark 50? Podobno sprytna z niej rybka.

- Niedługo się przekonamy. A pamiętasz, Jewgienij, że na górze kołyszę? - uśmiechnął się Dubinin do pierwszego oficera.

Starpom z wirtuozerią prowadził okręt ku powierzchni, lecz nawet przy jego talentach dziesięciometrowe fale i wodne doliny gwarantowały, że "Łunin" wyjdzie na powierzchnię - "przebiję lustro". Kiedy okręt wyrównał przegłębienie, torpeda była zaledwie trzysta metrów za rufą. Wśród nowej generacji "inteligentnych" pocisków amerykańskich, przeciwpodwodny mark 50 był po prostu geniuszem. Torpeda zidentyfikowała trafnie i zlekceważyła środki pozoracyjne, jakie minutę wcześniej kazał wystrzelić Dubinin, a jej potężna echosonda nadal szperała za celem, aby wykonać zadanie. Rosjanom pomogły jednak prawa fizyki. Uważa się powszechnie, że impuls echosondy odbija się od metalowego kadłuba okrętu, lecz to nieprawda. Impulsy odbijają się od powietrza we wnętrzu łodzi podwodnej. Mówiąc jeszcze ściślej, fale dźwiękowe nie potrafią przeskoczyć bariery między wodą a powietrzem. Komputer wewnątrz mark 50 rozpoznawał każdy styk wody z powietrzem jako kadłub. Kiedy więc torpeda mknęła za swoją ofiarą, jej przyrządy wykryły nagle wszędzie dookoła potężne kadłuby, ciągnące się przez cały horyzont akustyczny: fale morskie. Broń zaprogramowano wprawdzie w taki sposób, by ignorowała płaską powierzchnię styku i nie dawała się zmylić na małej głębokości, konstruktorzy nie przewidzieli jednak tego, co zrobi ich torpeda wśród sztormowych fal: Mark 50 wybrała najbliższy "kadłub", ruszyła ku niemu i całym pędem, niczym łosoś, wyskoczyła w powietrze. Następna fala zakryła torpedę, która znów rozpoznała ten sam kształt i znowu wyskoczyła w górę. Tym razem spadła w wodę pod kątem, a turbulencja zmieniła jej kierunek. Torpeda pomknęła na północ równoległe do fal, wyczuwając na prawo i na lewo obecność potężnych okrętów. Potem skręciła w lewo, znowu wyskoczyła w powietrze i trzasnęła w kolejną falę tak mocno, że zadziałał jej zapalnik uderzeniowy.

- O mały włos! - oznajmił Ryków.

- Ale gdzie tam. Podeszła najwyżej na tysiąc metrów. - Kapitan zajrzał do centrali i polecił: - Zwolnić do pięciu węzłów, zanurzenie trzydzieści.

- Trafiliśmy?

- Nie wiem - usłyszał dowódca. - Wynurzyli się błyskawicznie, torpeda pognała za nimi, pokręciła się przy powierzchni - Hydroakustyk przesunął palcem po ekranie. - No, a potem wybuchła, mniej więcej tam, gdzie zgubiliśmy akułę w szumach powierzchniowych. Nie słyhać żadnych trzasków konstrukcji, nic. Moim zdaniem, chybiła.

- Namiar i odległość od celu? - zażądał informacji Dubinin.

- Około dziewięciu tysięcy metrów, kierunek zero pięć zero - odrzekł pierwszy oficer. - Jaki mamy plan, komandorze?

- Odnaleźć i zniszczyć cel - oznajmił komandor Walentin Borisowicz Dubinin.

- Jak to?

- Zostaliśmy zaatakowani. Te skurwysyny chciały nas zatopić!
- Torpedę zrzucił samolot - przypomniał oficer.
- Nie słyszałem nad głową żadnych samolotów. Ktoś nas zaatakował. Będziemy się bronić.

- I co?

Inspektor Pat O'Day gorączkowo notował informacje. Jak wszyscy poważni przewoźnicy, Linie lotnicze American posługiwały się systemem komputerowym. Mając w ręku numer biletu i numer lotu FBI mogło wysledzić każdego.

- Dobrze, chwileczkę - oznajmił kobiecie na drugim końcu linii i odwrócił się do szefa. - Dan, linia sprzedawała tylko sześć biletów pierwszej klasy z Denver do Dallas-Fort Worth. Samolot był prawie pusty, ale jeszcze nie wystartował, bo w Dallas nadal śnieg i oblodzone pasy startowe. Znaleźliśmy nazwiska dwóch pasażerów, którzy zamiast przez Dallas, poleciecieli przez Miami. Do Meksyku, w Dallas mieli się tylko przesiadać. Obydwaj wykupili z Miami bilety na DC-10 do Meksyku. Samolot już wystartował, za godzinę będzie na miejscu.

- Zawrócić go z trasy?
- Podobno już się nie da, za mało paliwa.
- Godzina czasu! - Murray zaklął głośno.

O'Day przetarł kufakiem oczy. Bał się w tej chwili tak samo, jak wszyscy mieszkańcy Ameryki, albo i bardziej, bo siedząc w centrali FBI miał po temu dobre powody. Jednak inspektor Patrick Sean O'Day ze wszystkich sił próbował nie myśleć teraz o głupstwach i skoncentrować się na zadaniu. Dowody, które miał w ręku, były mizerne. Poszlaki, nie dowody. O'Day podczas dwudziestu lat pracy w Biurze poznał mnóstwo podobnych zbiegów okoliczności. Spotkał się też ze sprawami, które zawdzięczały rozwiązanie jeszcze mizerniejszemu materiałowi dowodowemu. Trzeba wycisnąć maksimum z tego, co się ma. Agenci mieli zaś w ręku bilety.

- Wiesz co, Dan?

Do sali wpadła kobieta-goniec z wydziału kartotek i podała Murrayowi dwie teczki. Zastępca wicedyrektora FBI otworzył na początek materiały o Russellu i wygrzebał spośród papierów zdjęcie z Aten. Potem do zdjęć paszportowych z motelu dodał względnie świeżą fotografię Ismaela Katiego.

- Co powiesz, Pat?
- To paszportowe trochę podobne do Katiego, chociaż gość jest za chudy... Kości policzkowe i oczy by się zgadzały, wąsy już nie. Ten na paszportowym wyraźnie łysieje. Może to i on...
- Ale co z tymi oczami?
- Oczy się zgadzają, Dan. Nos też. Tak, to Kati. Ten drugi klient to kto?
- Nie mamy nazwiska, tylko tych parę klatek z Aten. Jasna skóra, brunet, ładnie przystrzyżony. Fryzura ta sama, wysokość czoła też. -Murray porównał rysopisy, na prawie jazdy i w paszporcie. - Wzrost, kurdupel. Budowa... Wszystko by się zgadzało, Pat.
- Też myślę, że to oni. Na osiemdziesiąt procent. Kto jest naszym attache prawnym w Meksyku?
- Bernie Montgomery. Gównu, nic z tego! Bernie jest w Waszyngtonie, miał się spotkać z Billem.

- To co, Langley?
- Chyba tylko. - Murray połączył się z CIA. - Gdzie jest Ryan?
- Przy telefonie, Dan. Co dają?
- Wygrzebaliśmy trochę danych. Pierwsza sprawa: Marvin Russell, Siuks, członek Związku

Wojowników, który zniknął nam z oczu pod koniec zeszłego roku, myśleliśmy, że w Europie, odnalazł się dziś w Denver z podejrzanym gardłem. Razem z nim nocowało dwóch facetów, odlecieli dziś po południu. Mamy zdjęcie pierwszego, ale nie mamy nazwiska. Drugi to chyba Ismael Kati.

Ryan pomyślał, że zna tego skurwysyna.

- Dokąd odlecieli?

- Z tego, co wiemy, są jeszcze na pokładzie DC-10 linii American, lecą z Miami do Meksyku z biletami pierwszej klasy. Za godzinę będą na lotnisku.

- I co, widzisz tu jakiś związek?

- Na stadionie parkował furgon zarejestrowany na alias Russella, czyli na Roberta Frienda z Roggen w Kolorado. Na miejscu zbrodni znaleźliśmy dwa komplety fałszywych dokumentów, najprawdopodobniej własność Katiego i jego współnika. Poszlak jest na pewno dosyć, żeby ich obu aresztować pod zarzutem morderstwa.

Jack skrzywił się. Gdyby sytuacja nie była tak rozpaczliwa, może by się nawet roześmiał.

- Ładne mi morderstwo. Więc jak, chcesz ich sam aresztować?

- A masz lepszy pomysł? Ryan milczał przez chwilę.

- Może i mam. Poczekaj, nie wyłączaj się.

Z drugiego telefonu Jack połączył się z ambasadą Stanów Zjednoczonych w Meksyku.

- Mówi Ryan, proszę z szefem placówki CIA. Tony? Tu Jack Ryan. Masz tam jeszcze u siebie Clarka? Świetnie, daj mi go zaraz.

- Rany boskie, Jack, co się stało w...

- Zamknij się teraz John i posłuchaj. Mam dla ciebie zadanie. Najbliższym samolotem American z Miami, mniej więcej za godzinę, przylatuje dwóch gości. Za parę minut przefaksujemy ci zdjęcia. Naszym zdaniem, wybuch to ich sprawka.

- Więc jednak terroryści?

- Tak się nam wydaje, John. Musimy raz dwa capnąć tę dwójkę.

- Mogą być kłopoty z miejscową policją - ostrzegł Clark. - Będą krzywo patrzeć na strzelaninę.

- Ambasador jest jeszcze w budynku?

- Chyba tak.

- Przełącz mnie do niego i zaczekaj.

- Się robi.

- Sekretariat ambasadora - rozległ się w słuchawce dziewczęcy głos.

- Tu centrala CIA. Muszę w tej chwili znaleźć ambasadora!

- Łączę - oznajmiła sekretarka. Ryan podziwiał jej zimną krew.

- Tak, o co chodzi?

- Panie ambasadorze, mówi Jack Ryan, zastępca dyrektora CIA...

- To nie jest szyfrowa linia...

- Wiem o tym! Proszę się zamknąć i posłuchać. Samolotem linii American przybędzie zaraz do Meksyku dwóch ludzi. Musimy ich zgarnąć i najszybciej, jak się da, odesłać do Waszyngtonu.

- Nasi obywatele?

- Nie. Podejrzewamy, że terroryści.

- Jednym słowem, trzeba ich aresztować, ale do tego musimy uzgodnić sprawę z miejscowymi organami i...

- Nie ma czasu!

- Ryan, nam nie wolno organizować takich akcji bez wiedzy władz. Meksyk się zwyczajnie nie

zgodzi.

- Panie ambasadorze, żądam, żeby pan w tej chwili zadzwonił do prezydenta Meksyku i oświadczył mu, że mają nam pójść na rękę, i że to sprawa życia i śmierci. Jeżeli się nie zgodzi od razu, ma pan mu coś powiedzieć. Proszę to sobie dokładnie zapisać. Niech mu pan powie, że wiemy, kto mu będzie przysyłał emeryturę. Powie mu pan tak? Dokładnie tak, jak mówię. "Wiemy, kto mu będzie przysyłał emeryturę".

- Ale co to znaczy?

- Znaczy, co znaczy. Ma pan mu dokładnie to powtórzyć, zrozumiano?

- Chwileczkę. Mało mnie interesują panów sztuczki...

- Panie ambasadorze, jeżeli nie zrobi pan dokładnie tego, co powiedziałem, każę swoim ludziom dać panu w głowę, wtedy zadzwoni do prezydenta szef placówki.

- Nie do mnie takie pogróżki!

- Właśnie, że do ciebie, przyjacielu, a jeżeli sobie, kurwa, myślisz, że żartuję, spróbuj nie posłuchać!

- Grzeczniej, Jack! - ostrzegł Ryana Ben Goodley. Ryan oderwał wzrok od konsoli.

- Panie ambasadorze, najmocniej przepraszam. Mamy bardzo napiętą sytuację, sam pan rozumie. W Denver wybuchła bomba atomowa, ci dwaj z lotniska to nasz jedyny trop, więc nie ma czasu na uprzejmości. Proszę, niech mi pan w tym pomoże. Bardzo proszę.

- Zgoda.

Ryan odetchnął z ulgą.

- Świetnie. Proszę jeszcze powtórzyć, jak pan będzie dzwonił, że nasz człowiek, John Clark, za parę minut zgłosi się do sił bezpieczeństwa w porcie lotniczym. Panie ambasadorze, brak mi słów, żeby opisać, jakie to dla nas ważne. Proszę, niech pan zadzwoni.

- Już dzwonię. A wy spróbujcie tam u siebie trochę ochłonać - zauważył zawodowy dyplomata.

- Próbujemy, ale sam pan wie. Czy pańska sekretarka mogłaby mnie przełączyć z powrotem do szefa placówki? Dziękuję. - Ryan przeniósł wzrok na Goodleya. - Gdybym znów coś zaczął, trzaśnij mnie w ten głupi kaczan, Ben.

- Tu Clark.

- Faksujemy ci parę zdjęć, razem z nazwiskami i numerami miejsc w samolocie. Załatwione, zanim ich capniesz, masz się tylko zgłosić u szefa ochrony lotniska. Nasz samolot ciągle czeka? - Czeka.

- Jak ich już zgarniesz, ładuj do kabiny i pędź do nas.

- Zrobione, Jack. Gonimy na lotnisko.

Ryan nadusił widełki i przełączył się na linię Murraya.

- Prześlij telefaksem wszystko, co masz, do szefa mojej placówki w Meksyku. Mam na miejscu dwóch funkcjonariuszy, i to dobrych, bo Clarka i Chaveza.

- Clarka? - zapytał Murray, wypisując O'Dayowi numer telefaksu. - Czy to ten sam, który...

- Tenże sam.

- Oby się znów sprawił.

Z taktycznego punktu widzenia zadanie było skomplikowane, bo Dubinin miał nad głową samolot do walki z okrętami podwodnymi i nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Gdzieś w przedzie czaił się raketowy okręt podwodny, który komandor postanowił zatopić. Zgodnie z rozkazem miał się bronić tylko w wypadku ataku. Wystrzelono jednak w jego kierunku uzbrojoną torpedę, co zupełnie odmieniało postać rzeczy. Komandor powinien natychmiast wezwać przez radio

dowództwo floty i poprosić o instrukcje lub przynajmniej powiadomić o swoich zamiarach, lecz wobec krążącego w górze samolotu krok ten byłby równoznaczny z samobójstwem. Jak na jeden dzień, Dubinin miał już dosyć spotkań ze śmiercią. Storpedowanie "Admirała Łunina" mogło oznaczać tylko jedno, mianowicie, że Amerykanie planują napaść na ZSRR. Pogwałcili to, o czym tak lubili zawsze trąbić, to jest prawo do swobodnej żeglugi. Zaatakowali okręt Dubinina na wodach międzynarodowych, zanim zdążył podejść na odległość, która umożliwia napad. Znaczyło to, że ktoś uznał, że jest z ZSRR w stanie wojny. Dubinin wzruszył ramionami. Skoro tak...

Holowana pława hydroakustyczna zawisała teraz o wiele niżej niż sam okręt. Obsługa sonaru skupiła się na zadaniu, jak nigdy w życiu.

- Kontakt! - zawołał podporucznik Rykow. - Echo ha sonarze, kierunek jeden jeden trzy, pojedyncza śruba... Hałasuje jak po awarii maszyn...

- Na pewno siedzi w zanurzeniu, nie na wierzchu?

- Sto procent... Żegluga nawodna przeniosła się daleko na południe, unikają strefy sztormowej. Szum odpowiada dokładnie częstotliwości reaktora na podwodnym... Hałasuje, naprawdę jak uszkodzony... Idzie powoli na południe... Nowy kierunek jeden jeden pięć.

Walentin Borisowicz odwrócił się i krzyknął w kierunku centrali:

- Przepuszczalna odległość od celu?

- Siedem tysięcy metrów!

- Strasznie daleki strzał... Mówicie, idzie na południe? Prędkość?

- Trudno powiedzieć... Na pewno poniżej sześciu węzłów... Echo za słabe, nie mogę wychwycić częstotliwości śruby.

- Możemy już nie powtórzyć tego strzału - szepnął sam do siebie Dubinin i powrócił do centrali okrętu. - Torpedysta! Nastawić rybkę na kurs jeden jeden pięć, wstępna głębokość poszukiwań siedemdziesiąt metrów, zapalnik uaktywnić... Na czterech tysiącach metrów.

- Tak jest. - Podporucznik naniósł polecenia na konsoli przelicznika torpedowego. - Nastawiam pierwszą wyrzutnię. Torpeda gotowa i uzbrojona! Zewnętrzna pokrywa wyrzutni zamknięta!

Dubinin wymienił spojrzenie z pierwszym oficerem. Jego starpom, na co dzień osoba tak trzeźwa - prawie nie pił nawet na oficjalnych bankietach - skinął głową. Komandor nie potrzebował jego aprobaty, lecz i tak był mu wdzięczny za ten gest.

- Otworzyć pokrywę wyrzutni.

- Pokrywa otwarta. - Oficer torpedowy zdjął plastikowe wieko ze spustu wyrzutni.

- Pal.

Podporucznik nacisnął guzik na konsoli.

- Torpeda poszła.

- Centrala, tu sonar! Echo, echo, kierunek jeden siedem pięć. Torpeda w wodzie, kierunek jeden dziewięć pięć!

- Cała naprzód! - wrzasnął Ricks do sternika.

- Komandorze, nie! - rozdarł się Claggett - Sternik! Wstrzymać rozkaz!

- Co?!

Młodzik przy kole sterowym miał lat dziewiętnaście i nigdy nie słyszał, by ktoś sprzeciwił się rozkazowi dowódcy okrętu.

- Co mam robić, sir?

- Komandorze, jeżeli da pan całą moc, za piętnaście sekund trzaśnie wał!

- O, kurwa, racja. - Twarz Ricksa w czerwonym świetle lampek bojowych w centrali przybrała

purpurową barwę. - Przekazać maszynowni: najwyższa bezpieczna prędkość. Sternik, ster dziesięć stopni w prawo, zwrot na północ, nowy kurs zero zero zero.

- Ster dziesięć stopni w prawo - drżącym głosem potwierdził chłopiec i zakręcił kołem. Strach jest zaraźliwy jak dżuma. - Ster dziesięć w prawo, docelowy kurs zero zero zero.

Ricks przełknął ślinę i potwierdził:

- Tak trzymać.

- Centrala, tu sonar. Nowy namiar torpedy, kierunek jeden dziewięć zero, torpeda przechodzi w prawo, echosonda torpedy jeszcze milczy.

- Dziękuję - odpowiedział za dowódcę Claggett.

- Bez pławy ogonowej zaraz zgubimy to echo.

- Zgadzam się, komandorze. Może byśmy dali znać orionowi, co się dzieje?

- Dobry pomysł. Wysunąć antenę!

- "Maine" wzywa Diabła Morskiego jeden-trzy!

- "Maine", tu jeden-trzy, ciągle oceniamy skutki tej naszej torpedy i...

- Jeden-trzy, mamy torpedę w wodzie za nami, kierunek jeden osiem zero. Musieliście chybić. Zaczniecie czesać na południe od naszej pozycji. Moim zdaniem, akula strzeliła w nasz symulator.

- Zrozumiałem, idę czesać. - Dowódca załogi przekazał natychmiast bazie w Kodiaku, że w głębinach rozpoczęła się bitwa.

- Panie prezydencie - zaczął Ryan. - Wydaje mi się, że uzyskaliśmy cenne informacje.

Ryan siedział przed swoją konsolą z rękoma na blacie. Spocone dłonie pozostawiały na plastiku wilgotne plamy. Mimo to Goodley i tak zazdrościł Ryanowi opanowania.

- Co znowu? - zapytał szorstko Fowler. Słyszając ten ton, Ryan spuścił głowę.

- Panie prezydencie, FBI podało nam, że mają potwierdzone informacje o obecności w Denver dwóch, może nawet trzech terrorystów. Dwaj z nich opuścili dziś Denver, udając się do Meksyku. Mam na miejscu swoich ludzi, którzy spróbują zatrzymać podejrzanych.

- Chwileczkę - powstrzymał go Fowler. - Przecież dobrze wiemy, że tego nie zrobili terroryści.

- Panie Ryan, mówi generał Fremont. Skąd FBI wzięło takie informacje?

- Nie znam wszystkich szczegółów, ale agenci dowiedzieli się, że na miejscu wybuchu stał podejrzany wóz, bodajże furgonetka. Sprawdziliśmy rejestrację, właściciel... Właściciela zamordowano, a pozostała dwójka kupiła bilety do Meksyku i... - Zaraz! - przerwał wkrótce dowódca sił strategicznych. - Jakim cudem ktokolwiek mógł ocaleć, skoro rąbnęła tam stukilotonowa głowica? Człowieku, na litość boską, to jakieś bajki...

- Generale, według ostatnich ocen z FBI, ta bomba miała najwyżej piętnaście kiloton, a poza tym...

- Z FBI? - zdumiał się w bunkrze NORAD-u generał Borstein. -A co oni się na tym znają? Wszystko jedno, piętnaście kiloton tak samo zmiecie wszystkich dookoła. Panie prezydencie, nie możemy dać wiary tym informacjom.

- Panie prezydencie, tu Narodowy Ośrodek Obrony - usłyszał Ryan na tej samej linii. - Dostaliśmy radiogram z bazy w Kodiaku. Radziecki okręt podwodny zaatakował USS "Maine" i wystrzelił torpedę. "Maine" usiłuje uniknąć trafienia.

Jack usłyszał jeszcze czyjeś niewyraźne słowa.

- Panie prezydencie - odezwał się natychmiast Fremont. - To zdarzenie bardzo źle nam wróży.

- Zdaję sobie z tego sprawę, generale - odrzekł nieomal szeptem Fowler. - Generale: SNAPCOUNT.

- Co oni bredzą? - zdumiał się po cichu Goodley.

- To błąd, panie prezydencie. Mamy w ręku pewne informacje! Chciał pan od nas informacji, i oto są! - wykrztusił z siebie pospiesznie Ryan, znów prawie tracąc panowanie nad sobą. Rozłożone na konsoli ręce zdążył już zacisnąć w pięści. Przyłapał się jednak na tym i opanował w ostatniej chwili. - Panie prezydencie, mamy sprawdzone informacje.

- Wygląda na to, panie Ryan, że od samego początku zwodzi mnie pan i oszukuje - oznajmił Fowler głosem, który zatracił wszelkie ludzkie brzmienie. Połączenie umilkło po raz ostatni.

Sygnal alarmowy rozesłano natychmiast tuzinem linii. Liczba dublujących się przekaźników, ich znane położenie i zwięzłość komunikatu w połączeniu z podobieństwami szyfru dały stronie radzieckiej wiele do myślenia, zanim nawet radiogram trafił do komputerów KGB. Pojedyncze słowo komunikatu dotarło do bunkra dowodzenia pod Kremlem niewiele sekund później. Gołowko wyrwał kartkę z dalekopisu i oznajmił po prostu:

- SNAPCOUNT.

- O co chodzi? - spytał Nannonow.

- To umówione hasło - odrzekł Gołowko, któremu pobieleły wargi. - Termin wziął się bodajże z amerykańskiego futbolu. Zanim główny napastnik wprowadzi piłkę do gry, odlicza snapcount z innymi zawodnikami.

- Nie rozumiem - padły słowa Narmonowa.

- Dawniej Amerykanie na pełną gotowość sił strategicznych używali hasła CYNGIEL. Przynajmniej od razu dawało się zrozumieć, o co idzie, nie? - Zastępca przewodniczącego KGB ciągnął jakby przez sen: - Dla Amerykanina snapcount znaczy mniej więcej to samo, więc mogę stąd wysnuć tylko jeden wniosek.

- Tak.





# ŻMIJA I MIECZ

PREZYDENCIE NARMONOW:

PRZESYŁAM PANU, BĄDŹ PAŃSKIEMU NASTĘPCY, NINIEJSZE OSTRZEŻENIE.

OTRZYMALIŚMY PRZED CHWILĄ MELDUNEK, ŻE RADZIECKI OKRĘT PODWODNY ATAKUJE NASZ OKRĘT Z RAKIETAMI STRATEGICZNYMI. NAPAŚĆ NA NASZE ŚRODKI STRATEGICZNE NIE BĘDZIE TOLEROWANA I MOŻNA JĄ ROZUMIEĆ TYLKO JAKO WSTĘP DO OGÓLNEGO ATAKU NA STANY ZJEDNOCZONE.

INFORMUJĘ TAKŻE, IŻ NASZE SIŁY STRATEGICZNE OSIĄGNEŁY NAJWYŻSZĄ GOTOWOŚĆ BOJOWĄ. JESTEŚMY GOTOWI SIĘ BRONIĆ.

JEŻELI SERIO DEKLARUJE PAN WASZĄ NIEWINNOŚĆ, APELUJĘ O WSTRZYMANIE SIĘ OD WSZELKICH AKTÓW AGRESJI, DOPÓKI CZAS.

- "Następcę"? Co oni wypisują, do cholery! - Narmonow pomilczał chwilę, po czym zwrócił się do Gołowki: - Powiedzcie mi, co się tu dzieje? Czy ten Fowler jest chory? Może zwariował? Co to za okręty podwodne? - Prezydent ZSRR rozwarł usta jak ryba i ciężko dysząc czekał na odpowiedź.

- Mieliśmy doniesienie z Pacyfiku o uszkodzonym amerykańskim okręcie z raketami, więc wysłaliśmy w pobliże naszą jednostkę, żeby sprawdzić. Nie wyrażaliśmy zgody na żaden atak - zapewnił go minister obrony.

- W jakich okolicznościach nasi mogliby działać na własną rękę?

- W żadnych. Bez rozkazu z Moskwy wolno im działać wyłącznie w obronie własnej - oświadczył minister obrony i odwrócił się, nie mogąc mieć spojrzenia prezydenta. Nie miał ochoty się więcej odzywać, lecz nie było innego wyboru. - Moim zdaniem, sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Panie prezydencie! - Na progu stał chorąży wojsk lądowych. - Przyniosłem "piłkę".

Żołnierz otworzył teczkę-dyplomatkę i wyjął z niej skoroszyt o brzegach zalepionych czerwoną taśmą. Fowler przewrócił kartki, szukając początku. Tytuł instrukcji brzmiał:

Zintegrowany Plan Operacyjny

opcja zaczepna

"METEOR"

- No więc, co to takiego SNAPCOUNT? - dopytywał się Goodley.

- Najwyższe możliwe pogotowie, Ben. Pistolet wycelowany, palec zaczyna naciskać na spust.

- Jak się to w ogóle stało, że...

- Daj sobie spokój, Ben! Nieważne jak, skoro już wdepnęliśmy w to gówno. - Ryan podniósł się z fotela i zaczął krążyć po sali. - Ludzie, musimy zaraz coś wymyślić, bo inaczej... - Trzeba przekonać Fowlera... - Zaczął oficer dyżurny.

- Nie przekonasz go - przerwał ochryplym głosem Goodley. - Nie przekonasz go, bo nie słucha.

- Sekretarz stanu i sekretarz obrony nie pomogą nam, bo nie żyją - dodał Ryan.

- Gdzie jest wiceprezydent? Aha, w samolocie.

- Dobra myśl, Ben... Mamy z nim połączenie? Jasne, że mamy! - Ryan przycisnął właściwy guzik.

- Tu KNEECAP.

- Tu CIA, mówi Ryan, zastępca dyrektora. Muszę porozmawiać z wiceprezydentem.
- Sekundkę, proszę pana. - Okazało się, że "sekundka" nie trwała długo.
- Mówi Roger Durling. Witaj, Ryan.
- Panie wiceprezydencie! Jest taka sprawa - zaczął Ryan.
- Co się stało? Mam tu kopie depeesz z gorącej linii. Nerwowe, ale zupełnie znośne, aż tu nagle, że dwadzieścia minut temu, masz! Co się dzieje?
- Już mówię. Prezydent wyobraził sobie, że w Związku Radzieckim nastąpił zamach stanu.
- Co? Kto mu naopowiadał takich bzdur?
- Głównie ja sam - przyznał Ryan. - To ja jestem tym kretynem, który mu sprzedał takie informacje. Nieważne, nie o to chodzi. Ważne, że prezydent już mnie nie słucha.
- Ku swojemu zdumieniu Ryan usłyszał krótki, gorzki śmiech.
- Ucieszę pana, ale mnie Bob także specjalnie nie słucha.
- Panie wiceprezydencie, musimy jakoś do niego przemówić. Mam w ręku dane, z których wynika, że wybuch to robota terrorystów.
- Niech pan mówi.
- Jack przez minutę streszczał Durlingowi odkrycia FBI.
- Słabe te pańskie dowody - zauważył wiceprezydent.
- Może i słabe, ale nic więcej nie wiemy. Lepsze to niż reszta informacji, jakie mamy.
- Dobrze, pomyślmy chwilę. Potrzebna mi pańska ocena sytuacji.
- W tej chwili mogę powiedzieć tyle, że prezydent się myli. Naprawdę rozmawia cały czas z Narmonowem. W Moskwie już zaczyna świtać. Prezydent Narmonow zarwał noc, jest tak samo wystraszony jak my, a z ostatniej depeszy wynika, że się zastanawia, czy prezydent Fowler aby nie zwariował. Bardzo złe połączenie czynników. Otrzymujemy w dodatku meldunki o izolowanych starciach między siłami USA i ZSRR. Bóg wie, co się tam naprawdę dzieje, ale obie strony odczytują te zajścia jako napaść. Moim zdaniem, wszystko bierze się ze zwykłego zamieszania. Wysunięte siły obu stron wpadają na siebie, a ponieważ mają stan pogotowia, z miejsca zaczynają strzelać. Mechanizm sam się nakręca.
- Zgoda, wydaje mi się, że ma pan rację. Co dalej?
- Ktoś musi uspokoić całe zamieszanie, i to jak najprędzej. Uważam, że powinien pan porozmawiać z prezydentem. Przestał odbierać moje telefony, Talbot i Bunker nie żyją, więc kto go może teraz wesprzeć?
- Arnie Van Damm?
- Kurwa, zapomniałem o nim! - Ryan był wściekły na siebie. - Gdzie się podział Arnie?
- Nie wiem, ale zapytam Tajną Służbę, oni go już raz dwa znajdą. A co z Liz?
- To właśnie ona wpadła na ten kapitalny pomysł, że Narmonow zniknął z Kremla.
- Głupia klempa - zauważył Durling, który zmarnował mnóstwo wysiłku i kapitału politycznego, by uzyskać dla Charliego Aldena stanowisko doradcy. - No, dobrze, spróbuję się połączyć z Fowlerem. Niech pan poczeka.
- Dobrze.
  
- Wiceprezydent na linii numer sześć, panie prezydencie. Fowler wcisnął szóstkę.
- Tylko się streszczaj, Roger.
- Bob, uważam, że musimy jakoś zapanować nad całą sytuacją.
- A myślisz, że co tu robię?!
- Durling wcisnął się głębiej w obity skórą fotel lotniczy i przymknął oczy. Wystarczył mu już

sam ton odpowiedzi Fowlera.

- Bob, moim zdaniem, zamiast cokolwiek naprawić, tylko pogorszyłeś sytuację. Pomyśl przez chwilę spokojnie, zastanów się, przejdź po pokoju - pomyśl! Nie ma podstaw, żeby podejrzewać o ten wybuch właśnie Rosjan. Przed chwilą rozmawiałem z CIA, powiedzieli mi...

- Ryan ci powiedział?

- Tak, przedstawił mi fakty, więc...

- Ryan kłamie w żywe oczy.

- Gówno prawda, Bob. - Durling umyślnie przemawiał tonem pełnym spokoju i rozsądku. -

Zawodowcy nie kłamią.

- Wiem, Roger, że chcesz jak najlepiej, ale nie mamy tu czasu na psychoanalizę. Lada chwila Rosjanie mogą nam spuścić na głowę rakiety. Ciesz się, że przynajmniej ty jeden ocalejesz. Życzę szczęścia, Roger. Chwileczkę. Nowa depesza na gorącej linii.

PREZYDENCIE FOWLER:

PISZĘ DO PANA JA SAM, ANDRIEJ ILJICZ NARMONOW.

ZWIĄZEK RADZIECKI NIE PODJĄŁ ŻADNYCH AGRESYWNYCH DZIAŁAŃ PRZECIWKO STANOM ZJEDNOCZONYM - JAKICHKOLWIEK. NIE MAMY ŻADNEGO INTERESU W TYM, ABY KRZYWDZIĆ PAŃSKI KRAJ. CHCEMY, ABY NAS NIE NIEPOKOJONO, CHCEMY ŻYĆ W POKOJU.

NIE UPOWAŻNIŁEM NIKOGO DO AKCJI PRZECIWKO AMERYKAŃSKIM SIŁOM ZBROJNYM ANI OBYWATEŁOM, A MIMO TO SŁYSZYMY OD PANA POGRÓŻKI. JEŻELI NAS PAN ZAATAKUJE, NIE POZOSTAJEMY DŁUŻNI, A WÓWCZAS ZGINĄ MILIONY LUDZI. CZY BĘDZIE TO DZIEŁEM PRZYPADKU?

WYBÓR NALEŻY DO PANA. NIE UMIEM PANA POWSTRZYMAĆ OD IRRACJONALNYCH DECYZJI. MAM WIĘC TYLKO NADZIEJĘ, ŻE ODZYSKA PAN SAMOKONTROLĘ. ZA DUŻO LUDZI RYZYKUJE ŻYCIEM, BY PAN ALBO JA MÓGŁ DZIAŁAĆ IRRACJONALNIE.

- Przynajmniej nie odcięli nas od gorącej linii - ucieszył się Goodley.

- Prawda, jaka pomocna depesza? - zwrócił się Ryan do obecnych. - Fowler dopiero teraz się wścieknie. Skończyły się żarty. Osobie irracjonalnej nie wolno otwarcie zarzucać, że traci rozum, bo wtedy...

- Ryan, mówi Durling!

Jack aż podskoczył na fotelu, wciskając guzik.

- Tak, panie wiceprezydencie?

- Nic z tego. Nie chciał mnie wysłuchać. Potem przysłała ta nowa depesza. Fowlerowi niezbyt się spodobała.

- Czy przynajmniej może się pan połączyć z siłami strategicznymi?

- Niestety, nie. Linia SAC jest w tej chwili sprzężona z łącznością obrony powietrznej i z Camp David. Powiem panu, Jack, że w tym cały szkopuł. Prezydent wie, że w Camp David stanowi łatwy cel, więc się boi.

- To co z tego? Wszyscy się boimy, nie?

W słuchawce zapadła na sekundę cisza. Ryan nie wiedział teraz, czy siedzącego w bezpiecznym samolocie Durlinga nie gryzie z tego powodu sumienie.

W zakładach w Rocky Flats załadowano próbki opadu promieniotwórczego z bomby do

spektrometru gamma. Analiza trwała dłużej, niż myślano, bo okazało się, że są kłopoty ze sprzętem. Technicy w ołowiowych rękawicach metrowymi szczypcami wyjęli zza szyby próbki i czekali, aż obsługa uruchomi spektrometr.

- Mam pierwszą. Uważajcie, bo cholernie aktywna.

Aparatura miała dwie końcówki: ekran katodowy i drukarkę z papierową taśmą. Spektrometr mierzył energię fotoelektronów wytwarzanych wewnątrz aparatury przez emanujące z próbki promieniowanie gamma. Dokładne określenie stanu energetycznego elektronów pozwalało zidentyfikować wszystkie pierwiastki i ich izotopy w obrębie próbki. Na wydruku poszczególne pierwiastki miały postać linii lub krzywych, natomiast o ich proporcjach informowała względna intensywność rozmaitych poziomów energetycznych, przedstawiana na osi wysokości krzywych. Dokładniejsze badania wymagały załadowania próbek do wnętrza niewielkiego reaktora w celu powtórnego ich wzbudzenia, lecz na razie wystarczyła prostsza aparatura.

Laborant przełączył się na kanał promieniowania beta.

- O, kurczę, patrzcie tylko, jaka gruba linia trytu! Mówicie, że jaką moc miała ta bomba?

- Poniżej piętnastu kilo.

- Ciekawe, doktorze, bo cała próbka zapieprzona trylem. O, patrzcie tu. - Laborant, kandydat do magisterium z fizyki, zanotował wyniki w brulionie i przełączył się z powrotem na kanał gamma.

- Lećmy dalej... Pluton, widzę trochę 239 i 240. Śladowo neptun, ameryk, gadolin, curium, promet, uran... Głównie U-235, trochę 238... Wiecie, ludzie? Na mój nos skomplikowane diabelstwo.

- Skisła - stwierdził ekspert z NEST-u, odczytując wyniki pomiarów. - To resztki niewybuchu, a nie żadna bomba domowej roboty. Tyle trytu... Rany boskie, to miał być ładunek dwustopniowy, za dużo trytu na atomówkę z podwyższoną mocą. Kurwa, nic, tylko bomba wodorowa!

Laborant zmienił nastawienie przyrządów, by dokładniej przyjrzeć się próbce.

- Patrzcie na proporcję 239 do 240.

- Gdzie księga?

Na półce vis a vis konsoli spektrometru leżał grubaśny skoroszyt, oprawiony w czerwony plastik.

- Savannah River - domyślił się laborant - Tylko ich reaktor zapaskudzał materiał gadolinem... W Hanford mieli zawsze inny skład domieszek... Tam z kolei zawsze było za dużo prometu.

- Co ty bredzisz?

- Szczera prawda - zapewnił laborant pozostałych. - Moje magisterium będzie właśnie o szkodliwych domieszkach w reaktorach powielających. Zresztą sami czytajcie, co tu jest napisane! - dodał, wskazując na "księgę".

Ekspert z NEST-u przekartkował spis treści i odnalazł właściwą stronę.

- Prawie się zgadza! Zgadza się. Ile było, mówiłeś, tego gadolinu w próbce?

- Zero przecinek zero pięć osiem razy dziesięć do minus siódmej, z dokładnością do dwóch tysięcznych.

- Matko Boska! - ekspert przyciągnął ku sobie księgę danych.

- Reaktor w Savannah River... Ale to niemożliwe!

- Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy. Dla plutonu doskonały rocznik. Nasz materiał. Z naszych pierdolonych reaktorów.

Szef ekspertów NEST-u zamrugnął oczami, lecz, chcąc nie chcąc, musiał uwierzyć w odkrycie.

- Nie ma co, muszę zadzwonić z tym do Waszyngtonu.

- Niemożliwe - zapewnił go laborant, uściślający tymczasem pomiary. - Wszystkie międzymiastowe przerwane.

- A gdzie Larry?

- W szpitalu Aurora, razem z ludźmi z FBI. Zapisałem jego numer na takim karteluszk, gdzieś tu leżał. Larry chyba dzwonił do Waszyngtonu, przez łącza FBI.

- Murray.

- Tu Hoskins. Dzwonili do mnie w tej chwili z Rocky Flats. Dan, posłuchaj, ktoś tu zwariował. Faceci z NEST-u twierdzą, że pluton z tej bomby pochodzi z amerykańskiego reaktora. Kazałem im powtórzyć pomiary, ich szef na to, że on też kazał im to samo. Pluton wyprodukowano w reaktorze elektrowni jądrowej w Savannah River w lutym tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, dokładniej w reaktorze K. NEST wie nawet, z której części reaktora pochodzi materiał. Coś niesamowitego, naprawdę, jakby z książki czytali! Najpierw im powiedziałem, że bredzą, ale to w końcu eksperci, więc chyba wiedzą, co mówią.

- Nie wiesz, Walt, jakim cudem ktoś ma mi w to uwierzyć?

- Ja ci tylko powtarzam, czego się dowiedziałem od ekspertów.

- Muszę się sam połączyć z NEST-em.

- Niby w jaki sposób, przecież telefony nieczynne. Daj mi parę minut, to ich znajdę przez naszą sieć.

- Dobra, tylko się pospiesz. - Dan? Jak tam?

- Słuchaj, Jack, z naszego biura w Denver dzwoniли eksperci NEST-u. Materiał tej bomby był amerykański.

- Co?

- Posłuchaj, Jack, nie ty pierwszy się zdziwiłeś. Zespół NEST-u zebrał próbki opadu, zanalizował je i stwierdził, że ten cały uran, nie, pluton pochodzi z naszej elektrowni Savannah River, z sześćdziesiątego ósmego roku. Szef grupy ekspertów ma się zaraz zjawić w mojej centrali w Denver. Międzymiastowe przerwane, ale mogę was połączyć przez nasze linie, sam sobie z nim pogadasz.

Ryan zamienił spojrzenie z szefem pionu naukowo-technicznego.

- I co ty na to?

- Savannah River... Mieli tam różne afery, pięćsetkilowe ZBS.

- Zetbees?

- Zaginięcie bez śladu, taki skrót. Zginął im materiał radioaktywny.

- Terrorysty - oznajmił Ryan z pełnym przekonaniem.

- Zaczyna mi na to wyglądać - zgodził się ekspert CIA.

- Święty Boże! W takiej chwili przerwać ze mną połączenie! Trudno, pozostawał jeszcze Durling.

- Nie mogę w to uwierzyć - oświadczył wiceprezydent

- Ależ to sprawdzone dane, prosto od grupy NEST z Rocky Flats. Pewne, naukowe dane. Sam nie chciałem w to uwierzyć, ale takie są obiektywne fakty.

Durling mógłby w tej chwili przysiąc, że słyszy w słuchawce błagalną modlitwę Ryana.

- Panie wiceprezydencie! Stwierdzam z całą pewnością, że bomba nie była rosyjska! Najważniejsze, że nie rosyjska, a tego jesteśmy pewni! Proszę zaraz przekazać tę wiadomość prezydentowi.

- Już go wzywam. - Durling skinął na sierżanta z łączności.

- Słucham cię, Roger - przywitał Durlinga prezydent.

- Dostaliśmy w tej chwili bardzo ważne informacje.

- Mianowicie? - zapytał prezydent głosem tak zmęczonym, jak gdyby stała nad nim śmierć.

- Wiadomość pochodzi z CIA, ale Langley dostało ją od FBI. Eksperci NEST-u zidentyfikowali materiał rozszczepialny z bomby jako na pewno nie rosyjski, a najprawdopodobniej amerykański.

- To brednia! - oświadczył Borstein. - Nie zginęła nam ani jedna głowica. Już my umiemy ich upilnować!

- Powiedz mi, Roger, czy dostałeś tę wiadomość od Ryana?

- Tak, Bob. Od niego.

Durling usłyszał w słuchawce przeciągłe westchnienie i słowa:

- To byłoby tyle.

Kiedy wiceprezydent odkładał słuchawkę, przekonał się, że drżą mu ręce.

- Nie uwierzył.

- Musi nam uwierzyć! Taka jest prawda!

- Nie wiem, jak to zrobić, Jack. Miał pan rację, Fowler nikogo już nie słucha.

- Nowa depesza na gorącej linii, sir. PREZYDENCIE NARMONOW - zaczął czytać Jack.

OSKARŻA MNIE PAN O IRRACJONALIZM. MAMY TYMCZASEM DWIEŚCIE TYSIĘCY ZABITYCH, ZAATAKOWANO NASZE SIŁY W BERLINIE, NASZE OKRĘTY NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM I NA PACYFIKU...

- Czuję, że robi to lada moment. Niech to szlag! Mamy w ręku wszystkie dane, żeby uniknąć katastrofy, ale co z tego, kiedy... - Nie wiem już, co robić - rozległy się w głośniku słowa Durlinga. - Te cholerne depesze z gorącej linii pogarszają tylko sytuację, zamiast ją rozładować, a poza tym...

- Gorąca linia, od niej się wszystko zaczęło - stwierdził Jack, nadstawiając uszu. - Ben, umiesz prowadzić samochód po śniegu?

- Umiem, a dlaczego?

- No, to biegiem! - Ryan wypadł z sali. Złapali z Benem windę na parter i wpadli do biura przepustek.

- Kluczyki od terenówki!

- Już panu daję! - Bardzo wystraszony młody człowiek rzucił wicedyrektorowi kluczyki. Oddział ochrony trzymał swoje wozy tuż obok dyrektorskiego parkingu. Drzwi błękitnego samochodu GMC Jimmy z napędem na cztery koła stały otworem.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Goodley, wskakując na fotel kierowcy.

- Do Pentagonu, wejście od strony rzeki. Tylko gazem!

- Jak się to stało?

Torpeda zatoczyła krąg wokół jakiegoś podwodnego obiektu, lecz nie eksplodowała. Później skończyło się jej paliwo.

- Obiekt miał za małą masę, by uruchomić detonator magnetyczny... Za mały na bezpośrednie trafienie. Jednym słowem, mamidło - domyślił się Dubinin i zwrócił się do marynarza: - Gdzie wydruk tamtego komunikatu? No właśnie, meldowali o uszkodzeniach śruby. Niech to diabli! Namierzaliśmy uszkodzoną maszynownię, a nie śrubę.

Komandor trzasnął pięścią w stół nawigacyjny z taką siłą, że rozciął sobie skórę.

- Zwrot na północ, włączyć echosondę.

- O, kurwa. Centrala, tu sonar, aktywna echosonda niskiej częstotliwości na kierunku jeden dziewięć zero.

- Przygotować wyrzutnie!

- Sir, jeśli włączymy silnik zaburtowy, przyspieszymy o te dwa, trzy węzły - przypomniał Claggett.

- Za dużo hałasu - uciał Ricks.

- Ależ komandorze, siedzimy w szumach powierzchniowych, więc wysokie częstotliwości silnika nic tu i tak nie zmieniają. Ich echosonda ma niską częstotliwość, zresztą wykryje nas niezależnie od tego, czy będziemy cicho czy głośno. Musimy się tylko oderwać od akuty. Jeżeli podejdzie za blisko, nasz orion nie będzie już mógł nam dopomóc.

- Musimy go dopaść...

- Zrobimy błąd, komandorze. Obowiązuje nas SNAPCOUNT, więc jeśli przyjdzie rozkaz, żeby dać salwy, będziemy się musieli podporządkować. Sonar powie nam najwyżej, gdzie szukać przeciwnika. Musimy się oderwać i wyjść z zasięgu ich czujników, ale nie wolno nam ryzykować strzału.

- Powiedziałem, nie! Torpedysta, przygotować broń.

- Rozkaz.

- Łączność, zawiadomić oriona, niech idą na pomoc.

- Lecimy z ostatnią, pułkowniku.

- Wcale sprawnie wam poszło - przyznał dowódca pułku.

- Chłopcy nie mają kiedy wyjść z wprawy - przytaknął stojący obok major. Dźwig wyciągał dziesiątą i ostatnią głowicę z jednej z raket SS-18 z Alieska. - Tylko ostrożnie, sierżancie - zdążył jeszcze przestrzec.

Winien był lód. Niewiele minut wcześniej śnieżny tuman sypnął na pokrywę wyrzutni i kapsułę SS-18. Tupanie niezliczonych butów roztopiło śnieg, który na mrozie stężał jednak wkrótce w niewidzialną, cienką jak papier warstwę lodu. Sierżant potknął się, zstępując ze składanego pomostu i wypuścił z ręki masywny klucz. Narzędzie odbiło się od żelaznej poręczy i zawirowało jak pałka żonglera. Sierżant usiłował pochwycić klucz w powietrzu, lecz chybił. Narzędzie zniknęło w gardzieli silosu.

- Wiać! - ryknął pułkownik. Sierżant nie potrzebował dalszej zachęty. Również kapral w kabine dźwigu zdążył tylko odwrócić wysięgnik z głowicą od silosu i wyskoczył z pojazdu. Nikomu nie trzeba było tłumaczyć, że mają biec pod wiatr.

Klucz zdążył już spaść prawie na dno silosu, lecz po drodze odbił się od okucia w ścianie i trafił w powłokę pierwszego stopnia rakiety, dziurawiąc ją w dwóch miejscach. Powłoka stanowiła zarazem ściankę zbiorników paliwa i utleniacza. Obie substancje zaczęły się ulatniać przez wyrwy, tworząc małe obłoczki. Wyciekło wprawdzie tylko po kilka gramów paliwa i utleniacza, lecz były to substancje hipergoliczne, to jest eksplodowały przy zetknięciu się ze sobą. Zetknęły się zaś w dwie minuty po tym, jak klucz wypadł z ręki sierżanta.

Wybuch był potężny, o czym mógł się przekonać pułkownik, powalony na ziemię dwieście metrów od silosu. Oficer instynktownie skulił się za pniem grubej sosny, czekając, aż przetoczy się fala nadciśnienia. Kiedy podniósł wzrok, ujrzał nad silosem pióropusz ognia. Wszystkim podwładnym udało się wyjść z życiem, co dla pułkownika graniczyło z cudem. Nic dziwnego, że oficer wpadł w szampański humor, jak często bywa, kiedy ktoś zdoła uniknąć śmierci.

- No, przynajmniej o tę ракетę przestaną nas dręczyć Amerykanie!

Satelity obserwacyjne wspomagania wojsk bez przerwy śledziły teraz sytuację w radzieckich wyrzutniach ракет strategicznych. Rozbłysk energii wyglądał zupełnie jednoznacznie. Sygnał poszedł

natychmiast do anteny w Alice Springs w Australii, a stamtąd z powrotem do wojskowego satelity łącznościowego, który odbił komunikat do Ameryki Północnej. Operacja potrwiała niewiele ponad pół sekundy.

- Prawdopodobne odpalenie rakiety! Prawdopodobnie rakiet Alieska!

Dla generała Joego Borsteina sytuacja odmieniła się natychmiast, całą uwagę skupił teraz na ekranie, myśląc z rozpaczą, że jednak się stało, pomimo wszystkich przemian, zmian, traktatów i rewolucji. Stało się jednak; jemu zaś przyjdzie teraz obserwować wszystko minuta za minutą, do chwili, kiedy przeznaczona mu SS-18 rozerwie się nad górą Cheyenne. Czym innym było zrzucić bomby na most Paula Doumera czy wymiatać myśliwce nad Niemcami... To koniec.

Dlatego głos generała brzmiał chropawo jak tarka:

- Widzę tylko jeden punkt... Gdzie "ptaszek"?

- Nie ma, nie ma, nie ma - włączyła się kobieta-kapitan. - Za duży rozbłysk, wygląda na eksplozję wyrzutni. Nie widzę, powtarzam, nie widzę rakiety. Powtarzam, nie wystrzelono rakiety.

Borstein spostrzegł, że drżą mu ręce. Nie drżały mu nigdy, nawet gdy go zestrzelili, nawet wtedy, gdy rozbił się w bazie Edwards, ani wówczas, gdy prowadził samoloty w pogodę zbyt parszywą nawet na gradobicie.

Generał spojrzął na podwładnych i wyczytał w ich twarzach to samo, co przed chwilą sam poczuł w żołądku. Do tej pory swą nierealnością sytuacja przypominała straszliwy, mrozący krew w żyłach film, lecz teraz film stał się realnością. Borstein podniósł słuchawkę i połączył się z SAC, wyłączając zrazem "złotą linię" łączącą go z Camp David.

- Pete, widziałeś to wszystko?

- Pewnie, że widziałem.

- Tak "sobie myślę, Pete, że trzeba by się trochę uspokoić. Prezydent zaczyna pękać.

Dowódca sił strategicznych zawahał się, zanim odpowiedział:

- Sam już zaczynałem pękać, ale się wzięłem w garść.

- Wiem, jak to jest, Pete.

- Co się dzieje, do diabła?

Borstein włączył swoją linię do Camp David.

- Nie wiemy, panie prezydencie. Naszym zdaniem w pułku rakiet strategicznych w Aliesku nastąpiła eksplozja. Przez chwilę sami nie wiedzieliśmy, czy to nie już, ale żadna rakiet nie wystartowała - powtarzam, panie prezydencie, nie lecą w naszą stronę żadne rakiety. Z całą pewnością fałszywy alarm.

- Ale co to znaczy?

- Nie wiemy, panie prezydencie. Mogło być tak, że w czasie przeglądu czy konserwacji rakiet doszło do wypadku. Przedtem też się to zdarzało. Mieliśmy takie same problemy z naszymi titanami II. Panie prezydencie?

- Słucham.

- Panie prezydencie, moim zdaniem, trzeba trochę uspokoić sytuację.

A to niby w jaki sposób?! Kto mi zaręczy, że nie chodziło o przygotowania do ataku?

Jazda autostradą George'a Washingtona poszła gładko. Mimo zasp Goodley nie zwalniał terenówką poniżej sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i ani razu nie wpadł w poślizg, omijając porzucone na szosie samochody niczym kierowca wyścigowy na torze w Daytona. Zatrzymał się dopiero przed wejściem do Pentagonu, gdzie obok cywilnego strażnika stał teraz żołnierz z M-16 gotowym do strzału.



- CIA! - oznajmił Goodley.

- Poczekaj! - Ryan wręczył mu swoją legitymację. - Wepchnij w otwór. Bramka powinna się otworzyć.

Goodley zrobił, co mu kazano. Rzeczywiście, plastikowa legitymacja Ryana miała na magnetycznym pasku kod, który otwierał nawet bramkę Pentagonu. Zapora podniosła się, a szlaban od strony wjazdu opadł. Droga wolna. Wartownik skinął tylko głową. Skoro przepustka działa, wszystko jest na pewno okay.

- Prosto, aż do pierwszych drzwi.

- Mam zaparkować?

- Zawracanie głowy! Biegiem za mną!

Okazało się, że również strażę za wejściem rzeczonym podwoiły czujność. Ryan próbował przejść bramkę wykrywacza metalu, który włączył się, wyczuwając drobne pieniądze w jego kieszeni. Jack z wściekłością cisnął monety na podłogę.

- Narodowy Ośrodek Dowodzenia?

- Proszę za mną.

Przystępu do NOD-u broniła pancerna szyba, za którą czuwała Murzynka w stopniu sierżanta, uzbrojona w rewolwer.

- CIA. Musimy wejść do środka - wyłuszczył sprawę Jack i przytknął plastikową legitymację do czarnej płytki przy drzwiach. I tym razem magnetyczny kod zadziałał.

- Kim pan jest? - zapytał dyżurujący bosman z marynarki wojennej.

- Zastępcą dyrektora CIA. Proszę mnie zaprowadzić do najstarszego stopniem.

- Za mną, proszę. Dowodzi w tej chwili komandor Jim Rosselli.

- Komandor?! A gdzie generałowie?

- Generał Wilkes gdzieś przepadł, za diabła nie możemy go znaleźć! - Bosman zniknął za uchylonymi drzwiami.

Wewnątrz Ryan ujrzał komandora z marynarki wojennej i podpułkownika lotnictwa. Nad nimi wisiała tablica świetlna, a obok stał rząd dyrektorskich telefonów.

- Rosselli to pan?

- To ja. A pan?

- Jack Ryan, zastępca szefa CIA.

- Wybrałeś sobie kiepski moment na wizytę, kolego - mruknął podpułkownik Barnes.

- Jakież zmiany?

- Przed chwilą wyglądało, że Rosjanie odpalili raketę...

- Chryste Panie!

- ... ale nie wykryliśmy "ptaszka", chyba eksplodował im silos. Ma pan dla nas coś ciekawego?

- Otwórzcie mi linię do ośrodka dowodzenia FBI. Panowie, muszę z wami zamienić dwa słowa.

- Pan oszalał - stwierdził Rosselli dwie minuty później.

- Może i tak. - Ryan podniósł słuchawkę. - Dan, mówi Jack.

- Gdzie ty się podziewasz, do cholery? Dopiero co dzwoniłem do Langley.

- Jestem w Pentagonie. Wiesz coś nowego o tej bombie?

- Nie wyłączaj się, mam na linii doktora Parsonsa, to nasz ekspert z NEST-u. Proszę mówić.

- Dobrze. Halo, tu Jack Ryan, zastępca dyrektora CIA. Co pan dla mnie ma?

- Bombę zbudowano z amerykańskiego plutonu. Mamy całkowitą pewność co do tego, nasi sprawdzali próbki po cztery razy. Pluton z Savannah River, z lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, reaktor K.

- Na pewno? - napierał Jack, modląc się w duchu o pozytywną odpowiedź.

- Na pewno. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale to nasz materiał.

- Co dalej?

- Murray mówił mi, że mieliście kłopot z określeniem mocy ładunku.

Dobra, byłem tam, na miejscu, słyszy mnie pan? Bomba niewielka, poniżej piętnastu - piętnastu - kiloton. Parę osób przeżyło wybuch. Niewiele, ale widziałem je na własne oczy. Nie mam pojęcia, dlaczego tak spieprzyliśmy wstępną analizę, ale jak mówię, widziałem wszystko na własne oczy i powtarzam, bomba była mała. Inna sprawa, że wygląda mi na niewypał wodorówki, ale dopiero sprawdzamy ten trop. Najważniejsze jest to, co powiedziałem: materiał w bombie był amerykański. Mamy co do tego sto procent pewności.

Rosselli nachylił się nad konsolą, sprawdzając, czy Ryan rzeczywiście rozmawia przez specjalną linię z centralą FBI.

- Chwileczkę, proszę pana. Mówi komandor Rosselli z marynarki. Mam magisterium z fizyki jądrowej i chciałbym się upewnić co do tych danych. Proszę mi podać proporcję 239 do 240 w próbkach.

- Chwileczkę, już podaję. O, mam. 239 było dziewięć osiem przecinek dziewięć trzy. 240 zero przecinek cztery pięć. Mam panu podać wartości pierwiastków śladowych?

- Dziękuję, to mi wystarczy. - Rosselli podniósł głowę i szepnął: - Gość albo mówi prawdę, albo kłamie jak skurwysyn.

Miło, że jesteśmy tego samego zdania, komandorze. Mam do pana jedną prośbę.

- Jaką?

- Potrzebny mi dostęp do gorącej linii.

- Nie mogę panu na to zezwolić.

- A śledził pan wszystkie depesze z linii, komandorze?

- Powiedziałem "nie". Nie miałem czasu, na świecie toczą się trzy bitwy naraz, a poza tym...

- Chodźmy się rozejrzeć.

Ryan sam się zdziwił, że nigdy dotychczas nie był w pomieszczeniach gorącej linii. Na osobnej tablicy ujrzał teksty wszystkich poprzednich depesz. Sześć osób personelu miało śmiertelnie blade twarze.

- Matko święta, Ernie... - Zaczął znów Rosselli.

- Nowe depesze? - zapytał z miejsca Ryan.

- Żadnych, od czasu tej naszej, sprzed dwudziestu minut. - Wszystko szło jak trzeba, kiedy tu zaglądałem, zaraz po wybuchu.

- O mój Boże! - Rosselli dokopał się do ostatniej z depesz.

- Prezydent goni w piętękę - oznajmił Jack. - Nie chce przyjmować informacji ani ode mnie, ani od wiceprezydenta Durlinga. Mój pomysł jest prosty, uważacie? Znam prezydenta Narmonowa, a Narmonow zna mnie. Z tym, co przyniosłem, i z wiadomościami z FBI, może uda nam się coś zwojować, komandorze. Bo jeżeli się nie uda...

- Niemożliwe - uciął z miejsca Rosselli.

- A to dlaczego? - Choć serce waliło mu jak oszalałe, Jack zmusił się do równego oddechu. Spokój, spokój, przede wszystkim spokój...

- Sir, cała zasada tej linii polega na tym, że tylko dwóch ludzi...

- Z których jeden nie może się doliczyć klepek. Komandorze, zdaje pan sobie sprawę z sytuacji. Nie mogę pana do niczego zmusić, proszę tylko, żeby pan wszystko przemyślał. Przed chwilą sięgnął pan po rozum do głowy. Może by tak jeszcze raz? - przekonywał spokojnie Jack.

- Pójdziemy za to siedzieć, panie komandorze - przestrzegł nadzorca linii.

- Żeby pójść siedzieć, trzeba najpierw żyć - przerwał Jack. - Prezydent ogłosił przed chwilą SNAPCOUNT. Nie muszę nikomu mówić, co to znaczy. Komandorze Rosselli, pan jest tu najstarszy stopniem i do pana należy decyzja.

- Muszę mieć wgląd w każdą depeszę, którą puści pan na komputer.

- Rozumie się. Czy mogę sam wystukać tekst?

- Owszem. Pan będzie pisał, my przeniesiemy tekst na drugi komputer i zaszyfrujemy przed wysyłką.

Sierżant piechoty morskiej zwolnił fotel. Jack usiadł przy klawiaturze

i zapalił papierosa, lekceważąc zakazy straszące ze ściany.

ANDRIEJU ILJICZU, pisał powoli. TU JACK RYAN. CZY NADAL SAM PAN PALI W KOMINKU W SWOJEJ DACZY?

- Może być?

Rosselli skinął głową pod adresem podoficera, który siedział u boku Ryana.

- Wyślijcie.

- A to co znowu? - zdumiał się minister obrony. Cztery głowy pochyliły się nad ekranem. Major sił lądowych tłumaczył już komunikat.

- Coś się nie zgadza - oznajmił oficer z łączności. - To nie jest...

- Wyślijcie odpowiedź: "Czy pamięta pan, kto bandażował panu kolano?"

- Co?

- Wysłać, nie gadać! - rozkazał Narmonow. Na odpowiedź czekali dwie minuty.

POMÓGŁ MI WÓWCZAS PAŃSKI OFICER OCHRONY ANATOLIJ, ALE SPODNIE I TAK DIABLI WZIĘLI.

- To Ryan.

- Lepiej się upewnijmy - Gołowko wciąż nie dowierzał. Tłumacz przebiegł wzrokiem ekran.

- Odpisali: "A jak zdrowie naszego przyjaciela?"

Ryan schylił się nad klawiaturą:

PRZYJACIELA POCHOWALIŚMY Z HONORAMI W CAMP DAVID.

- Co to za bzdury? - zapytał Rosselli.

- Odpowiedź zna może dwudziestu ludzi na całym świecie. Narmonow chce się upewnić, że to naprawdę ja - wyjaśnił Jack, rozczapierzając palce nad klawiszami.

- To jakaś bujda na resorach.

- Nie szkodzi. Bujda, nie bujda, nikomu od niej nie stanie się krzywda - burknął Jack.

- Wysłać.

- Co to za brednie? - wrzasnął Fowler. - Kto to wysłał?

- Sir, mieliśmy telefon od prezydenta. Poleciał nam...

- Nie zwracać uwagi - brzmiała chłodna odpowiedź Jacka.

- Ale jak to? Nie mogę, do diabła!

- Komandorze, prezydent nie panuje już nad sytuacją. Jeżeli go pan posłucha i odetnie mnie od linii, zginie pańska rodzina, moja, i w ogóle mnóstwo ludzi. Przysięgał pan na wierność konstytucji, a nie prezydentowi. Niech pan sobie przejrzy kolejne depesze z linii i powie mi, kto ma rację, ja czy on!

- Moskwa się odezwała - przerwał im tłumacz. - "Ryan, co się dzieje?"

## PREZYDENCIE NARMONOW:

PADLIŚMY OFIARĄ ZAMACHU TERRORYSTYCZNEGO. PO POCZĄTKOWYM ZAMIESZANIU UDAŁO NAM SIĘ UZYSKAĆ DANE, KTÓRE NIEZBICIE WSKAZUJĄ, SKĄD POCHODZIŁA BROŃ. MAMY WIĘC PEWNOŚĆ, ŻE NIE BYŁA TO BOMBA RADZIECKA. POWTARZAM, MAMY PEWNOŚĆ, ŻE TO NIE RADZIECKA BOMBA. PRÓBUJEMY WŁAŚNIE PRZECHWYCIĆ TERRORYSTÓW. BYĆ MOŻE UDA NAM SIĘ ICH UJĄĆ W CIĄGU NAJBLIŻSZYCH KILKU MINUT.

- Wyślijcie odpowiedź: “Dlaczego wasz prezydent oskarżył właśnie nas?”

Linia znowu na dwie minuty zamilkła.

## PREZYDENCIE NARMONOW:

PADLIŚMY OFIARĄ POTĘŻNEGO ZAMIESZANIA. W OSTATNIM CZASIE OTRZYMYWALIŚMY RAPORTY NA TEMAT PRZESILENIA POLITYCZNEGO W ZSRR. DONIESIENIA TE BYŁY FAŁSZYWE, LECZ POSIAŁY WŚRÓD NAS ZAMĘT. CO WIĘCEJ, POBOCZNE INCYDENTY DODATKOWO ZAOGNIŁY SYTUACJĘ PO OBU STRONACH.

- Co racja, to racja.

- Pete, natychmiast wyślij ludzi do Pentagonu, niech aresztują tego typa!

Connor nie był w stanie przeciwstawić się prezydentowi, więc mimo spojrzenia, jakim go obdarzyła Helen D'Agustino, zatelefonował do głównej kwatery Tajnej Służby i przekazał polecenie.

- Pyta nas: “Co pro... Co pan proponuje?”

PROSZĘ JEDYNNIE O TO, BYŚCIE NAM ZAUFALI I POZWOLILI ZAUFAC SOBIE. MUSIMY RAZEM WYCOFAĆ SIĘ ZNAD KRAWĘDZI. PROPONUJĘ, BY OBYE STRONY OBNIŻYŁY STAN POGOTOWIA W SIŁACH STRATEGICZNYCH, I ABY WOJSKA KONWENCJONALNE ALBO ZATRZYMAŁY DZIAŁANIA, ALBO TEŻ WYCOFAŁY SIĘ, JEŚLI W ICH BEZPOŚREDNIM POBLIŻU ZNAJDUJĄ SIĘ ODDZIAŁY RADZIECKIE CZY AMERYKAŃSKIE. JEŚLI TO MOŻLIWE, POWINNA TEŻ USTAĆ WYMIANA OGNIJA PO OBU STRONACH.

- I co pan na to?

- Wysłać.

- Może to podstęp? - zawahał się minister obrony. - Cóż by innego, jak nie podstęp?

- Gołowko?

- Moim zdaniem, to rzeczywiście Ryan. Zagrał w otwarte karty. Tylko czy uda mu się przekonać prezydenta?

Narmonow znów zaczął krążyć po pomieszczeniu. Jeszcze raz pomyślał o historii, o Mikołaju II...

- A jeżeli obniżymy pogotowie?

- Wtedy, jeśli nas zaatakują, będziemy im mogli przeciwstawić zaledwie połowę sił.

- Czy połowa wystarczy? - Narmonow dostrzegł nagle szansę, znalazł wyjście i modlił się o to, by dało się nim przejść. - Czy zniszczymy ich połową sił?

- No... - Minister obrony skinął głową. - Naturalnie, ładunków mamy tyle, że wystarczy na zniszczenie dwóch Ameryk. Tamci nazywają taki stan overkill.

- Sir, radziecka odpowiedź brzmi:

RYAN, NA MÓJ ROZKAZ, WYSLANY RÓWNOCZEŚNIE Z DEPEŚZĄ, KTÓRĄ PAN CZYTA, RADZIECKIE SIŁY STRATEGICZNE OBNIŻAJĄ POGOTOWIE. NA PEWIEN CZAS UTRZYMYMY POGOTOWIE OBRONNE, LECZ SIŁY STRATEGICZNE WRACAJĄ DO STANU NIEZNACZNIE TYLKO PRZEWYŻSZAJĄCEGO POKOJOWY. JEŻELI UCZYNICIE TO SAMO ZE SWEJ STRONY, PROONUJĘ W CIĄGU NAJBLIŻSZYCH PIĘCIU GODZIN STOPNIOWE ODSZTĘPOWANIE OD KONFRONTACJI ZBROJNEJ.

Jack stuknął czołem o klawiaturę, odbijając na ekranie kilka przypadkowych liter.

- Dajcie mi szklankę wody. Jakoś mi zaschło w gardle.

- Panie prezydencie? - odezwał się Fremont.

- Słucham, generale.

- Nieistotne, jak do tego doszło, ale, moim zdaniem, pomysł jest rozsądny.

Bob Fowler w skrytości ducha miał ochotę cisnąć filiżanką w ścianę, lecz się opanował.

Nieważne przecież, jak się to stało. To znaczy ważne, ale w tej chwili nieistotne.

- Co mi pan proponuje?

- Musimy się ostatecznie upewnić o zamiarach Rosjan, więc odczekamy trochę, a kiedy stwierdzimy, że naprawdę odstępują, sami także będziemy mogli się wycofać. Na początek, już w tej chwili, możemy odwołać SNAPCOUNT, co w niczym, tak naprawdę, nie zmniejszy naszej opcji zaczepnej.

- Generale Borstein?

- Zgadzam się całkowicie - oznajmił szef obrony powietrznej.

- Generale Fremont: wyrażam zgodę.

- Dziękuję, panie prezydencie. Zaraz się tym zajmiemy. - Generał Peter Fremont z lotnictwa Stanów Zjednoczonych, naczelny dowódca Strategicznych Sił Powietrznych, odwrócił się i rzekł do swojego szefa sztabu do spraw operacyjnych: - Kontynuować pogotowie. Rakiety mają być nacelowane, ale pozostać na ziemi. Z palcem na spuście łatwo o nieszczęście.

- Mam kontakt... Kierunek trzy pięć dwa... Odległość siedem tysięcy sześćset metrów.

Załoga czekała na ten meldunek od kilku minut.

- Przygotować się. Torpeda bezprzewodowa, detonator uaktywnić cztery tysiące metrów od wyrzutni. - Mówiąc to, Dubinin bezwiednie spojrzął w górę. Nie miał gwarancji, że krążący nad powierzchnią samolot nie zrzucił już kolejnej torpedy.

- Gotowe! - zawołał prawie natychmiast oficer torpedowy.

- Pal!

- Komandorze, komunikat na ultradługich - zachrzęścił przez telefon wewnętrzny głos oficera łączności.

- Komunikat z ogłoszeniem o końcu świata - westchnął komandor. - Trudno, my zrobiliśmy, co trzeba.

Przyjemnie byłoby żyć z wiarą, że akcja ocaliła życie wielu ludziom, lecz Dubinin nie żywił podobnych złudzeń. Torpedując "Maine" pozwalali radzieckim siłom zabić więcej Amerykanów, a to niezupełnie to samo. Broń atomowa w każdej postaci okazywała się wcieleniem zła.

- Zanurzenie?

Dubinin potrząsnął głową.

- Nie, tutaj będzie bezpieczniej. Ich torpedy mają większe kłopoty z turbulencją powierzchniową, niż myślałem. Zwrot w prawo, docelowy kurs zero dziewięć zero. Wyłączyć echosondę. Prędkość dziesięć węzłów.

Głośnik ścienny znowu zachrypiał:

- Odszyfrowaliśmy komunikat. Pięć liter, kod "wstrzymać się od wszelkich akcji"!
- Wynurzenie, antena w górę. Szybko!

Meksykańska policja okazała się nadzwyczaj skora do współpracy, w czym dopomogła jeszcze płynna hiszpańszczyzna Clarka i Chaveza. Czterech tajniaków z Policji Federalnej czekało wraz z agentami CIA w hali przylotów. W pobliżu zaczęła się kolejna czwórka tajniaków, z ukrytą w zanadru ręczną bronią maszynową.

- Trochę za mało ludzi, żeby zgarnąć tamtych, jak trzeba - zaniepokoił się najstarszy stopniem Federal.

- Lepiej poczekać, aż wyjdą z samolotu - zgodził się Clark.
- Muy bien, Senior. Jak pan myśli, mają broń?
- Powiem panu, że chyba nie. Pistolet tylko przeszkadza w podróży.
- Czy to wszystko ma coś wspólnego z... No, z Denver?

Clark zmierzył policjanta spojrzeniem i przytaknął.

- Tak się nam wydaje. - Bardzom ciekaw, jak wyglądają tacy ludzie. - Policjant miał oczywiście na myśli wyraz oczu, bo twarze poszukiwanych poznał już z fotografii.

DC-10 przysunął się do wylotu rękawa i wyłączył wszystkie trzy silniki. Obsługa przesunęła rękaw o kilkadziesiąt centymetrów, tak, aby przytykał wylotem do drzwi samolotu.

- Lecieli pierwszą klasą - przypomniał bez potrzeby Clark.

- Si. Linia lotnicza powiedziała nam, że w pierwszej siedzi piętnastu pasażerów, tych z ekonomicznej zatrzyma się na pokładzie. Proszę sobie nie myśleć, Senior Clark, że pracuje pan z amatorami.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Proszę mi wybaczyć, jeżeli bezwiednie sprawiłem takie wrażenie, Teniente.

- Panowie są z CIA, nie?
- Tego nie wolno mi powiedzieć.
- W takim razie jasne, że z CIA. Co z nimi zrobicie?
- Porozmawiamy - odrzekł Clark po prostu.

Lotniskowa hostesa otworzyła drzwi z hali do rękawa. Po obu stronach przejścia stanęli funkcjonariusze z Policji Federalnej, przezornie rozpinając marynarki. Clark modlił się o to, by obyło się bez strzelaniny. Z rękawa wyszli pierwsi pasażerowie, jak zwykle witani okrzykami bliskich, czekających za barierką.

- Bingo! - oznajmił cicho Clark. Porucznik z policji poprawił sobie krawat, dając w ten sposób znak tajniakom w przejściu. Wychodząc na samym końcu, dwójka pasażerów ułatwiła zadanie policji. Clark zauważył, że Kati jest blady i wygląda na chorego. Może rzucało nimi podczas lotu? John przestąpił barierkę, a Chavez ruszył w ślad za nim, uśmiechając się i wyciągając ramiona do jednego z pasażerów, który patrzył na nich nie rozumiejącym wzrokiem.

- Ernesto! - zawołał Clark i ruszył ku obcemu.
- Chyba myli mnie pan z...

Clark bez słowa wyminął pasażera z Miami.

Hosni zareagował bez refleksu, otępiały od długiego lotu z Ameryki i uspokojony myślą, że

udało mu się zwać. Zanim zdołał rzucić się do ucieczki, ktoś podciął mu od tyłu nogi. Drugi policjant przystawił mu lufę do potylicy, a trzeci skuł go kajdankami i podniósł z posadzki.

- Niech mnie chudy byk! - zdumiał się Chavez. - To ty miałeś w torbie książki! Chyba się już widzieliśmy, koteczku.

- Kati - orzekł Clark na widok drugiego aresztanta. Obu gruntownie obmacano. Nie mieli broni. - Od lat marzyłem o tym spotkaniu.

Clark zabrał aresztantom bilety. Bagażem miała się zająć meksykańska policja. Funkcjonariusze błyskawicznie wyprowadzili zatrzymanych. Biznesmeni i turyści, którzy przybyli do Meksyku, mieli dowiedzieć się o dziwnym incydencie dopiero od oczekujących rodzin.

- Gładko poszło, poruczniku - pochwalił Clark oficera, który dowodził akcją.

- Mówiłem, że znamy się na tym.

- Czy ktoś z pana ludzi mógłby zadzwonić do ambasady i przekazać, że wzięliśmy obu żywcem?

- Oczywiście.

Ósemka mężczyzn zaczęła w osobnej salce na bagaż. W walizkach mógł się kryć dalszy materiał dowodowy, a poza tym nie było pośpiechu. Meksykański porucznik bacznie się przyjrzał obu zatrzymanym, lecz nie ujrzał niczego, czym ich twarze mogłyby się różnić od twarzy setek innych morderców, jakich oglądał. Porucznik poczuł dziwne rozczarowanie, choć instynkt dobrego policjanta kazał mu wybić sobie z głowy podobne uczucia. W walizkach znaleziono tylko rzeczy osobiste, nie licząc pudełek z lekami, nawet nie narkotykami. Policja wypożyczyła z dyrekcji lotniska mikrobus, by odwieźć aresztantów na pokład gulfstreama.

- Mam nadzieję, że podobało się panom w Meksyku - rzekł porucznik na pożegnanie.

- Co się tu, kurczę, dzieje? - zapytała kobieta-pilot. Miała na sobie cywilne ubranie, lecz na co dzień nosiła mundur majora lotnictwa.

- Proszę pani, sprawa jest tego rodzaju - zaczął Clark. - Pani z kolegą macie poprowadzić samolot do bazy Andrews. My z kolegą utniemy sobie tymczasem pogawędkę z dwójką panów w kabinie. Nie będzie pani zaglądać, słuchać, ani nawet myśleć o tym, co się dzieje z tyłu.

- Ale co...

- Widzę, że pani myśli, majorze. Zabraniam pani w ogóle myśleć o tej sprawie. Czy wyraziłem się jasno, czy mam powtórzyć?

- Już rozumiem.

- W takim razie wypieprzajmy stąd zaraz.

Dwójka pilotów zniknęła w kabinie. Z kolei para łącznościowców w przodzie samolotu zasiadła przy aparaturze i zaciągnęła kotarę, pozostawiając pasażerów w głównej kabinie samych.

Clark odwracając się zauważył, że zatrzymani wymieniają spojrzenia. Nie spodobało mu się to wcale, toteż zdjął Katiemu krawat i zawiązał nim terroryście oczy. Chavez uczynił to samo ze swoim podopiecznym. Następnie agenci zakneblowali obu Arabów, a Clark poszedł na przód samolotu w poszukiwaniu zatyczek do uszu. Wreszcie agenci usadzili zatrzymanych w fotelach w dwóch przeciwległych kątach kabiny i czekali, aż samolot wystartuje. John w skrytości ducha nie znosił tortur, lecz musiał wyciągnąć z zatrzymanych informacje i nie wahał się użyć w tym celu wszelkich metod.

Torpeda w wodzie!

- O, rany, są tuż za nami! - Ricks odwrócił się do sternika. - Wycisnąć, ile się da, z maszyn, zwrot w lewo na kurs dwa siedem zero. Panie pierwszy, odpowiedzieć torpedą!

- Aye! Wyrzutnia! - zawołał Claggett - Kierunek jeden osiem zero, detonator uaktywnić na trzech tysiącach, początkowa głębokość poszukiwawcza sześćdziesiąt!

- Gotowe!

- Uzgodnić kurs i strzelać.

- Trzecia wyrzutnia wypaliła, sir!

Claggett uciekł się do standardowej taktyki. Torpeda wystrzelona prosto w kierunku przeciwnika mogła go przynajmniej zmusić do przecięcia przewodów kontrolnych, kierujących jego własną torpedą. Ricks był już w przedziale sonaru.

- Nie usłyszeliśmy echa z wyrzutni, panie komandorze, torpedę też wyłowiliśmy dopiero po chwili. Szumy powierzchniowe...

- Zejść w głębinę? - Ricks spojrzał pytająco na Claggetta.

- Nie, te szumy przy powierzchni mogą nas uratować.

- Jak chcesz, Szkot... przedtem też miałeś rację. Trzeba było uruchomić zaburtowy.

- Komunikat na ELF, sir. SNAPCOUNT odwołany.

- Odwołany? - wymamrotał z niedowierzaniem Ricks.

- Tak jest. Odwołany.

- Pocieszyli nas, nie ma co - odezwał się Claggett.

- I co teraz? - zapytał sam siebie dowódca stanowiska taktycznego z oriona. Depesza, którą trzymał w ręku, nie miała najmniejszego sensu.

- Mamy tego skurwysyna!

- Określić namiar.

- Sir, strzelili torpedą w "Maine"!

- Wiem, ale zabronili nam atakować.

- Ktoś upadł na głowę!

- Zgadza się - odburknął oficer.

- Prędkość?

- Sześć węzłów. Maszynownia melduje, że łożyska wału ledwo się trzymają.

- Gdyby tak przyspieszyć... - Ricks zmarszczył czoło.

- ... to cała maszyna się rozleci - przytaknęła Claggett. - Uważam, że pora na środki pozoracji.

- Wystrzelić.

- Wyrzutnie, wypuścić puszkę. - Claggett odwrócił się od telefonu wewnętrznego. - Idziemy za wolno, nic nam nie przyjdzie z tego zwrotu.

- Moim zdaniem, szansę są pół na pół.

- Mogło być gorzej. Tylko dlaczego, u licha, odwołali SNAPCOUNT? - dodał pierwszy oficer, wpatrzony w ekran hydrolokatora.

- Myślę, panie pierwszy, że wojny nie będzie. Niezbyt się popisałem, co?

- Eee, tam, kapitanie. A kto mógł, kurwa, przypuścić, że stanie się właśnie tak?

Ricks spojrzał na zastępcę.

- Dziękuję, panie pierwszy.

- Torpeda uaktywniła się, maca echosondą, kierunek jeden sześć zero.

- Torpeda, amerykański typ Marie 48, kierunek trzy cztery pięć, uaktywniła się!

- Cała naprzód, kurs bez zmian - rozkazał Dubinin.



- Pozoracja? - padło pytanie starpoma. Komandor zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, nie. Jesteśmy na granicy nasłuchu... Zmiana kursu tylko zwabi torpedę. Na pewno pomogą szумы. Zdaniem sztabu, nie ma mowy o bitwach w taką pogodę, bo przyrzady się niszczą - przypomniał Dubinin.

- Komandorze, sygnał z satelity, do wszystkich jednostek: "Niezwłocznie przerwać działania bojowe i oderwać się od przeciwnika. Podejmować walkę tylko w obronie własnej".

- Pójdę pod sąd wojenny - zauważył cichym głosem Walentin Borisowicz Dubinin.

- Nie zrobiliście nic złego, wasze decyzje były słuszne na każdym etapie...

- Dziękuję. Liczę, że to samo powtórzycie na rozprawie.

- Zmiana sygnału! Zmiana kierunku, torpeda skręciła na zachód, nie w naszą stronę - zameldował Rykow. - Musieli zaprogramować pierwszy zakręt w prawo. - Dzięki Bogu, że nie w lewo. Chyba ocalejemy. Gdyby jeszcze nasza torpeda chybiła...

- Przybliży się. Prawdopodobnie schwyciła nas w wiązkę. Echosonda pracuje bez przerwy!

- Mniej niż dwa tysiące metrów - odezwał się Claggett. Claggett tylko westchnął.

- Więcej środków pozoracyjnych! Wypuszczać bez przerwy, do diabła!

Sytuacja taktyczna pogarszała się z każdą sekundą. "Maine" poruszał się zbyt wolno, by wykonać skuteczny unik. Puszki pozoracyjne wypełniły odmet bankami gazu, lecz chociaż pozoracja mogła zwabić rosyjską torpedę w bok, (a tylko na to mogli liczyć marynarze z USS "Maine") smutna prawda pozostawała wciąż taka sama: przecinając kurtynę gazowych baniek, torpeda powtórnie odnajdywała okręt swoim hydrolokatorem. Ricks i reszta załogi łudzili się jeszcze, że nieprzerwany strumień baniek zaleje milionami danych pokładowy komputer torpedy. Na nic więcej nie można było liczyć.

- Trzymajmy się blisko powierzchni - dodał Ricks. Claggett spojrział na niego i skinął głową na znak, że rozumie.

- Nie pomaga, panie komandorze. Zgubiłem torpedę za rufą, w szumach!

- Wynurzyć okręt! - zawołał Ricks. - Szasowanie alarmowe zbiorników!

- Jak się ustawić?

- Skończyły mi się pomysły, panie pierwszy.

- Zwrot w lewo, równoległe do fal?

- Zgoda, niech pan wyda rozkaz. Claggett przeszedł do centrali.

- Peryskop w górę!

Błyskawiczne spojrzenie pozwoliło mu się zorientować w kursie okrętu względem fal.

- Zwrot w prawo, docelowy kurs zero pięć pięć!

USS "Maine" po raz ostatni wychynał na powierzchnię, pośród jedenastometrowych fal i w niemal zupełnej ciemności. Obły kadłub zakołysał się na wzburzonej wodzie, a zwrot trwał niezmiernie powoli.

Pozoracja okazała się pomyłką. Chociaż rosyjska torpeda miała w głowicy aktywną echosondę, kierowała się głównie turbulencją za rufą okrętu. Namiernik dziobowy śledził więc obecność baniek powietrza, a szereg puszek pozoracyjnych stanowił doskonały drogowskaz. Ślad urywał się w miejscu, gdzie "Maine" wyszedł na powierzchnię, pozostawiając strumień baniek w głębinie. Również i tutaj zadecydowały względy czysto techniczne. Turbulencja powierzchniowa zmyliła komputer torpedy, która zaczęła krążyć tuż pod powierzchnią, poszukując celu. Za trzecim okrążeniem broń wykryła w górze, pośród mylących kształtów, niezwykle twarde echo. Torpeda odwróciła się w tamtym kierunku, a jednocześnie włączył się jej zapalnik magnetyczny. Rosyjska

broń okazała się prymitywniejsza od amerykańskich torped Mark 50: jej minimalne zanurzenie wynosiło dwadzieścia metrów, nie mogła więc wypłynąć na powierzchnię. Jednak wytwarzane przez torpedę aktywne pole magnetyczne rozciągało się dookoła niczym niewidzialna pajęczyna, a kiedy porządek sieci zakłóciła obecność masy metalu...

Tysiackilogramowa głowica eksplodowała niecałe osiemnaście metrów od i tak już okaleczonej rufy USS "Maine". Okręt o wyporności dwudziestu tysięcy ton zatrzęsł się jak trafiony taranem.

Wewnątrz rozbrzmiały natychmiast sygnały alarmowe.

- PRZECIEK PRZECIEK PRZECIEK W MASZYNOWNI!

Ricks złapał za telefon wewnętrzny.

- Jak duży?

- Niech wszyscy wyskakują z okrętu, sir!

- Opuścić okręt! Przygotować kombinezony ratunkowe! Radio, nadać depezę, okręt uszkodzony, toniemy, podać pozycję.

- Pilna depeza do komandora Rossellego!

Ryan ledwie podniósł głowę. Wypił wodę, a potem jakiś gazowany napój. Czegokolwiek dotyczyła depeza, marynarz będzie już wiedział, co robić.

- Ryan to pan? - zapytał go mężczyzna w garniturze. Za sobą miał dwóch pomocników.

- Doktor Ryan, owszem.

- Jesteśmy z Tajnej Służby. Prezydent polecił nam pana aresztować.

Jack tylko się roześmiał.

- A niby za co?

Agent z miejsca zrobił zakłopotaną minę.

- Tego nam nie powiedział, proszę pana.

- Nie jestem gliniarzem, ale miałem ojca gliniarza. Moim zdaniem, nie możecie mnie aresztować bezpodstawnie. Takie jest prawo, może pan sobie przypomni. Konstytucja "chroni, ocala i broni", czy jak tam.

Agent natychmiast spostrzegł, że ma związane ręce. Z jednej strony musiał wykonać polecenie góry, z drugiej zawodowa etyka nie pozwalała mu złamać prawa.

- Tak rozkazał prezydent...

- Coś panu powiem. Ja sobie tu spokojnie posiedzę, a pan niech z tego telefonu zadzwoni do prezydenta i dowie się dokładnie, o co chodzi. I tak się nigdzie nie wybieram. - Jack zapalił kolejnego papierosa i podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Cześć, mała.

- Jack! Powiedz mi, co się dzieje.

- Wszystko dobrze. Mieliśmy tu trochę napięcia, ale udało się uspokoić sytuację, Cath. Przepraszam, ale będę tu musiał zostać jeszcze przez jakiś czas, z tym, że nic się złego nie dzieje. Daję ci słowo, Cathy.

- Na pewno?

- Martw się lepiej o nowe dziecko, a o reszcie zapomnij. To rozkaz.

- Rzeczywiście, Jack, spóźniam się z okresem. Niby tylko jeden dzień, ale...

- Świetnie. - Jack rozsiadł się w fotelu, zamknął oczy i uśmiechnął się w rozmarzeniu. - Chciałabyś pewnie dziewczynkę, co?

- Tak.

- W takim razie ja też chcę dziewczynkę. Kochanie, mam tu mnóstwo praw, ale mówię poważnie, możesz się przestać bać. Muszę lecieć. No, cześć. - Jack odłożył słuchawkę i mruknął: - Dobrze, że pamiętałem.

- Prezydent chciałby z panem mówić. - Starszy agent podał Ryanowi słuchawkę.

Jack miał ochotę zapytać, skąd ta pewność, że on sam ma ochotę rozmawiać z prezydentem, lecz zmilczał. Zawodowcom nie przystoją takie odzywki.

- Tu Ryan, panie prezydencie.

- Niech pan mówi, czego się pan dowiedział - zaczął szorstkim tonem Fowler.

- Proszę mi dać tak z piętnaście minut, panie prezydencie, będę mógł przedstawić pełny raport. Dan Murray z FBI wie dokładnie tyle, co ja, poza tym muszę się połączyć z moimi agentami. To jak, za kwadrans?

- Jak pan chce.

- Dziękuję, panie prezydencie. - Ryan oddał tajniakowi słuchawkę i połączył się z ośrodkiem operacyjnym CIA. - Mówi Ryan. Czy Clark f przechwycił kogo trzeba?

- To otwarta linia, panie dyrektorze.

- Co mnie to obchodzi, proszę mi odpowiadać na pytanie.

- Tak, panie dyrektorze, udało się, lecą już z powrotem. Nie mamy połączenia z samolotem, bo to wojskowa maszyna.

- Kto najlepiej umiałby ocenić wybuch?

- Chwileczkę. - Oficer dyżurny przekazał pytanie szefowi pionu naukowo-technicznego. - Podobno doktor Lowell z ośrodka Lawrence-Livermore.

- Niech się zbiera. Najbliższa baza lotnicza to chyba Travis. Znajdźcie dla niego szybko samolot. - Ryan odwiesił słuchawkę i zwracając się do oficera nadzorującego gorącą linię, rzekł:

- Ze stolicy Meksyku wystartował przed chwilą nasz VC-20, leci do Andrews. Na pokładzie ma dwóch agentów i dwóch... innych facetów.

Muszę nawiązać z nimi łączność. Może mógłby pan znaleźć kogoś, kto mi w tym pomoże?

- Stąd nie da się połączyć z samolotem. Trzeba iść do sali konferencyjnej po drugiej stronie. Ryan wstał.

- Panowie pozwolą ze mną - zwrócił się do agentów z Tajnej Służby.

Rozczarowanie Katiego nie miało początkowo granic, lecz zaraz uświadomił sobie, że podobne myślenie to błąd. Śmierć i tak zaglądała mu w oczy, a śmierć jest śmiercią, niezależnie od przyczyny. Gdyby udało mu się uciec... Ale się nie udało.

- No, dobrze. Porozmawiajmy.

- Nie rozumiem - odpowiedział Kati po arabsku.

- Trochę nie chwytam twego akcentu - rzekł na to wielce z siebie zadowolony Clark. - Mnie uczył języka Saudyjczyk. Proszę mówić pomału i wyraźnie.

Kati drgnął mimo woli, słysząc ojczysty język. Postanowił odpowiedzieć po angielsku, by pokazać, że i on coś potrafi.

- Nie powiem wam ani słowa.

- Jasne, że powiesz.

Kati zdawał sobie sprawę, że musi opierać się, jak można najdłużej. Gra była warta świeczki.



# ZEMSTA MODREDA

Dubinin nie miał wielkiego wyboru. Kiedy tylko upewnił się, że amerykańska torpeda zatонуła, podniósł antenę satelitarną i przesłał za jej pośrednictwem meldunek. Amerykański P-3 zrzucił wokół jednostki aktywne boje akustyczne, lecz nie zaatakował, co potwierdziło najgorsze pomysły komandora. Swoim czynem popełnił pospolite morderstwo. Gdy nadeszło potwierdzenie meldunku, zawrócił okręt i całą naprzód ruszył w kierunku, gdzie nastąpiła eksplozja. Marynarz nie może postąpić inaczej.

DO PREZYDENTA FOWLERA:

Z ŻALEM ZAWIADAMIAM, ŻE RADZIECKI OKRĘT PODWODNY BRONIĄC SIĘ ZAATAKOWAŁ I PRAWDOPODOBNIIE USZKODZIŁ PODWODNY OKRĘT AMERYKAŃSKI. Z INFORMACJI WYNIKA, ŻE INCYDENT NASTĄPIŁ TUŻ PRZED WYSŁANIEM PRZEZE MNIE ROZKAZU PRZERWANIA OGNIA. NIE WYSUWAM ŻADNYCH USPRAWIEDLIWIENI WOBEC TEJ POMYŁKI. W SPRAWIE INCYDENTU PODJĘTE ZOSTANĘ ŚLEDZTWO, A JEŻELI FAKTY WYKAŻĄ WINĘ KAPITANA NASZEJ JEDNOSTKI, SPOTKA GO SUROWA KARA.

- Co teraz?

- Moim zdaniem, panie prezydencie, trzeba potwierdzić odbiór, podziękować za wiadomość i machnąć ręką na sprawę - brzmiała odpowiedź Jacka.

- Słusznie. Dziękuję. - Słuchawka znowu zamilkła.

- Mój okręt! - warknął Rosselli.

- Właśnie. Ponura ta wiadomość - przytaknął Ryan. - Sam pływałem raz i drugi na okrętach podwodnych, z Bartem Mancuso. Zna go pan?

- To dowódca naszego dywizjonu w Bangor. Ryan okręcił się w fotelu.

- Coś takiego! Nie wiedziałem. Przykro mi, komandorze, ale co się stało, to się stało.

- Wiem, wiem - przyznał cicho Rosselli. - Przy odrobinie szczęścia może uda się przynajmniej zdjąć załogę z pokładu...

Jackson, któremu kończyło się powoli paliwo, chciał już zawracać na pokład "Theodore'a Roosevelta", gdzie czekał uzbrojony klucz bombowców gotowych do misji strategicznej. Zanim maszyny wystartowały, nadeszły nowe rozkazy. Grupa uderzeniowa niezwłocznie zwiększyła prędkość, wydłużając dystans, jaki ją dzielił od formacji rosyjskiej. Jacksonowi nie przyszło nawet do głowy porównywać ten manewr z ucieczką. Hawkeye przekazał z powietrza ostrzeżenie, że Rosjanie zawrócili na zachód, być może skręcając pod wiatr, by wypuścić samoloty. Jednak mimo że cztery myśliwce krążyły w górze, nie opuszczały nieba nad formacją rosyjskich okrętów i wraz z nią zmierzały na zachód. Rosjanie włączyli radiolokatory ostrzegania, lecz nie uruchomili radarów naprowadzania rakiet na cel, co dla Jacksona również było pomyślną oznaką. Robby zastanawiał się czy to, co widzi, stanowi koniec drugiej wojny w jego karierze. Może i tak. Zawrócił tomcata, mając Sancheza na skrzydle. Nad okrętami czuwać miała przez kilka następnych godzin czwórka innych F-14, tak na wszelki wypadek.

Jackson przylepił się do pokładu dokładnie w chwili, kiedy na dziobie okrętu lądował śmigłowiec ratowniczy. Gdy wysiadł z samolotu, trzech rozbitków znajdowało się już w szpitalu

okrętowym. Pilot pospieszył na dół, by sprawdzić, co to za jedni i co się w ogóle dzieje. Po kilku minutach wiedział już, że tym razem nie będzie malował na kadłubie nowych sylwetek na znak zwycięstwa. Ładne zwycięstwo!

Berlin uspokoił się o wiele pręcej, niżby ktokolwiek przypuścił. Idąca na odsiecz kolumna marszowa 11 Pułku Kawalerii Pancernej już po trzydziestu kilometrach dostała nowe dyspozycje i zjechała z autostrady, by czekać. W samym Berlinie pierwsza otrzymała rozkazy brygada amerykańska, która wycofała się do koszar w zachodniej części miasta. Rosjanie wysłali przodem spieszonych zwiadowców, sprawdzając, co się dzieje, lecz ponieważ rozkaz wznowienia ataku wciąż nie nadchodził, czujnie trwali w miejscu. Wkrótce w rejonie walk zaroilo się od samochodów policyjnych, co wielce ubawiło żołnierzy. Dwadzieścia minut po otrzymaniu rozkazów przez Amerykanów, również Moskwie udało się uzyskać łączność z Berlinem. Rosjanie wycofali się z powrotem na pozycje obronne, gdzie znaleziono tymczasem pewną liczbę zwłok, w tym ciała dowódcy pułku i jego zastępcy, a także trzech załóg czołgowych. Wszyscy żołnierze zostali zastrzeleni z broni ręcznej. Najważniejszego odkrycia dokonał jednak berliński policjant, który pierwszy zbadał wraki ciężarówki i łazika, rozszarpane pociskami 25 mm z działka w bradleyu. "Rosjanie" nie żyli co do ostatniego, lecz żaden z nich nie miał na szyi tabliczki tożsamości. Policjant z miejsca zadzwonił po posiłki. Ekipa natychmiast wyruszyła z komisariatu. Twarze dwóch spośród zabitych wydały się gliniarzowi dziwnie znajome, choć za nic nie potrafił sobie, uświadomić dlaczego.

- Jack!

- O, cześć, Arnie! Siadaj.

- Co tu się dzieje, Jack?

Ryan tylko pokręcił głową. Czuł się jak na karuzeli. Rozsądek przypominał mu co i rusz, że zginęło sześćdziesiąt tysięcy ludzi, lecz z drugiej strony ulga wobec faktu, że zapobiegł tragedii po stokroć gorszej, wprawiała go w rodzaj upojenia.

- Na razie nie mamy pewności, Arnie. Najważniejsze fakty znasz.

- Prezydent przemawiał jak zza grobu.

Odchrząknięcie.

- Trzeba go było słyszeć parę godzin temu: Stracił głowę, Arnie.

- Aż tak z nim źle?

Jack skinął głową.

- Bardzo źle. - I po chwili: - Może każdy by stracił głowę na jego miejscu, może nikt, tak naprawdę, nie jest w stanie sobie poradzić z czymś podobnym, ale... Chłopie, taki jest jego obowiązek.

- A wiesz, stary mówił mi raz, jaki jest wdzięczny Reaganowi i spółce za te wszystkie zmiany, za sam fakt, że coś takiego przestało być realną możliwością.

- Słuchaj no, dopóki istnieją te zabawki, możliwość istnieje.

- Doradzasz całkowite rozbrownienie? - skrzywił się Van Damm. Ryan znów podniósł wzrok.

Zawroty głowy przeszły same.

- Dawno temu wyzbyłem się podobnych złudzeń, Arnie. Mówię tylko, że jeśli taka sytuacja jest możliwa, trzeba jeszcze raz się zastanowić nad tym wszystkim. A Fowler się nie zastanawiał, nie raczył nawet spojrzeć na nasze gry wojenne. Taki był pewny, że nic się nie stanie! Ale się stało, i co?

- Jak się spisała Liz?

- Nawet nie pytaj. Szef potrzebował dobrej rady, ale od Liz się jej nie doczekał.

- A od ciebie?

- Mnie nie chciał nawet słuchać. Myślę, że to trochę i moja wina.

- Najważniejsze, że już po wszystkim.

- Tak, po wszystkim... - Jack znów pokiwał głową.

- Telefon, panie Ryan. Jack wziął słuchawkę do ręki.

- Mówi Ryan. Tak, rozumiem. Nie spiesz się tak. - Przez kilka minut Jack słuchał uważnie i notował coś na kolanie. - Dzięki, John.

- Co tam notowałeś?

- Wyznania grzesznika. Macie pod ręką śmigłowiec?

- Stoi na placu, po drugiej stronie - pospieszył z informacją agent Tajnej Służby.

Ryan wspiął się do kabiny VH-60 i zapiął pasy. Obok niego usiadł Van Damm i trójka agentów. Maszyna wystartowała, gdy tylko znaleźli się w środku. Na niebie pojaśniało już. Wiatr nadal zacinał, lecz na zachodzie zaczynały prześwitywać gwiazdy.

- Gdzie wiceprezydent? - spytał Van Damm.

- Na pokładzie "Anioła" - odrzekł agent. - Zaczeka jeszcze sześć godzin, dopóki się nie upewnimy, że wszystko w porządku.

Jack nie zwracał nawet na nich uwagi. Nacisnął na uszy słuchawki ochronne i korzystając z okazji rozparł się w fotelu, by gapić się w przestrzeń. Z radością spostrzegł, że śmigłowiec jest wyposażony w podręczny barek. Jak miło jest podróżować w taki sposób.

- Chcieli wszcząć wojnę jądrową? - powtórzył Chavez.

- Przynajmniej tak mówią - burknął Clark, myjąc starannie ręce. Poszło im nawet łatwo. Katiemu wystarczyło złamać cztery palce. Najważniejsza była nie liczba złamań, lecz sposób, w jaki się manewrowało strzaskanymi kośćmi. Hosni - dowiedzieli się przy okazji, jak ma na nazwisko drugi Arab - opierał się dłużej, lecz powtórzył niemal identyczną historię.

- Sam też to słyszałem, ale, stary...

- Ambitne skurwysyny, nie? - Clark wrzucił do foliowej torby trochę kostek lodu i zaniósł je do kabiny, by położyć Katiemu na dłoni. Wyciągnął już potrzebne informacje, a przy tym nie był sadystą. Przyszło mu do głowy, że najrozsądniejszą rzeczą byłoby wziąć obu pojmanych za kark i wypieprzyć ich przez drzwi samolotu, lecz i to nie należało do niego. Obaj terroryści siedzieli przykuci kajdankami do foteli. Clark rozsiadł się z tyłu, w taki sposób, by mieć oko na Arabów. W kabinie leciał też ich bagaż. Clark postanowił skorzystać z wolnej chwili i na spokojnie przetrząsnąć zawartość walizek.

- Dzień dobry, panie Ryan - Prezydent i tym razem nie wstał z fotela. - Cześć, Arnie.

- Kiepski ten dzień, Bob - zrewanżował się Van Damm.

- Kiepski - przyznał Fowler, który bardzo się postarzał przez tę noc. Choć brzmiało to jak frazes, prezydent rzeczywiście miał pożółkłą cerę i głęboko wpadnięte, podsinięte oczy. Chociaż zwykle przywiązywał taką wagę do wyglądu, miał też zmierzwiłone włosy. - Ryan, złapał ich pan?

- Tak, panie prezydencie. Dwóch naszych agentów operacyjnych ujęło winnych w Meksyku. Nazwiska terrorystów to Ismael Kati i Ibrahim Hosni. Kim jest Kati, nie muszę panu mówić. Szukaliśmy tego człowieka od wielu lat. Współwinny zamachu w Bejrucie, dwa zamachy na samolot, mnóstwo innych spraw, głównie akcji przeciwko Izraelowi. Hosni to jego podwładny, z zawodu chyba inżynier. W jakiś sposób udało im się skonstruować bombę.

- Za czyje pieniądze? - spytał prezydent.

- Musieliśmy, to jest nasz agent musiał wydusić z nich te informacje. Zasadniczo jest to naruszenie...

W oczach Fowlera pojawił się dziwny błysk.

- Przebaczam pańskim agentom! No, kto ich popierał?

- Wyznali nam, że za wszystko płacił i wspierał w rozmaity sposób ajatollah Mahmud Hadzi Daryei.

- Iran. - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. W oczach Fowlera znów pojawiło się życie.

- Zgadza się. Jak pan wie, Iran nie jest zachwycony wynikiem naszych działań w Zatoce, a oprócz tego... Moi ludzie wydobyli z zatrzymanych, że plan składał się z dwóch części. Po pierwsze, bomba w Denver, i po drugie, zajścia w Berlinie. Razem z nimi współdziałał jeszcze jeden facet, Günther Bock, dawniej członek Frakcji Armii Czerwonej. Jego żonę aresztowano w Niemczech w ubiegłym roku, powiesiła się w więzieniu. Celem akcji, panie prezydencie, było popchnąć nas i Rosjan do wymiany ciosów atomowych, a przynajmniej na tyle zepsuć wzajemne stosunki, by nad Zatokę Perską powrócił chaos. Leżałoby to w interesie Iranu, tak przynajmniej miał to sobie wyobrażać Daryei.

- Skąd wzięli tę bombę?

- Mówią, że izraelska. To znaczy, stara bomba izraelska - poprawił się Ryan. - Wygląda na to, że Izrael zgubił ją w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Musimy wszystko sprawdzić w Tel Awiwie, ale wyjaśnienie trzyma się kupy. Pluton w bombie pochodzi z reaktora w Savannah River, prawdopodobnie jakaś część materiału zaginionego wiele lat temu. Podejrzewaliśmy od dawna, że pierwszą generację swoich atomówek Izraelczycy wyprodukowali z naszych materiałów.

Fowler wstał z fotela.

Więc powiada mi pan, że wszystkiemu winien jakiś zasrany mułła?! Że nie dość mu było uśmiercić sto tysięcy Amerykanów? Że chciał na dodatek sprowokować wojnę jądrową?!

- Tak wynika z naszych informacji.

- Gdzie go znajdzie?

- Tak się składa, panie prezydencie, że wiemy o ajatollahu całkiem sporo, zwłaszcza że wspierał już kilka ugrupowań terrorystycznych. Poza tym był w świecie islamu najzagorzalszym przeciwnikiem Traktatu Watykańskiego, a kiedy nowy układ ujawnił swoje zalety, ucierpiał na tym prestiż Daryeiego, który wpadł w złość. Daryei mieszka w mieście Kom w Iranie. Frakcja polityczna ajatollaha traci na znaczeniu, na tyle, że były już pierwsze próby zamachu na jego życie.

- Czy można zaufać tej wersji? - Moim zdaniem tak, panie prezydencie.

- A czy pana zdaniem Daryei odważyłby się na coś takiego? Oficjalnie chciałbym oświadczyć, że tak, moim zdaniem, mógłby się odważyć.

- Więc powiada pan, że ajatollah mieszka w Kom?

- Owszem. Kom to miasto o bogatej tradycji religijnej, dla szyitów bardzo ważny ośrodek kultu. Nie znam dokładnej liczby ludności, ale na pewno przekracza sto tysięcy.

- Zna pan miejsce w tym Kom, gdzie mieszka Daryei?

- Na tym polega kłopot Ajatollah często zmienia rezydencje. W zeszłym roku omal nie stracił życia w zamachu i zapamiętał tę lekcję. Dlatego nigdy nie nocuje dwa razy w tym samym miejscu, tak słyszeliśmy. Ogranicza te wędrowniki do jednej z dzielnic miasta, ale dokładny adres mogę podać tylko w sporym przybliżeniu.

- Więc to on jest winien?

- Wszystko na to wskazuje, panie prezydencie. Tak wynika z naszych najlepszych danych.



- Ale pan potrafi go zlokalizować tylko z dokładnością do kilometra, czy coś takiego, tak?

- Tak jest.

Fowler namyślał się przez parę sekund, lecz kiedy przemówił, Ryan poczuł, jak krew ścina mu się w łód.

- Nie potrzeba dokładnego adresu.

PREZYDENCIE NARMONOW:

UDAŁO NAM SIĘ UJAĆ TERRORYSTÓW I USTALIĆ ROZMIARY ICH AKCJI...

- Czy to możliwe?

- Moim zdaniem, całkiem prawdopodobne - padła odpowiedź Gołowki - Daryei to fanatyk, nienawidzi Amerykanów.

- I ci barbarzyńcy próbowali nas wpędzić w...

- Niech Amerykanie sami zadecydują, co robić - doradził Gołowko. – Kto, jak nie oni, poniósł najcięższe straty? - Zdajecie sobie sprawę, co postanowi ich prezydent?

- Tak, towarzyszu prezydencie. Wiem to tak samo dobrze, jak wy.

PREZYDENCIE FOWLER:

ZAMIERZAMY DOKŁADNIE ZBADAĆ WSZYSTKIE FAKTY, LECZ JUŻ TERAZ PRZYJMUJĘ PAŃSKIE WYJAŚNIENIE JAKO PRAWDZIWE. UMYWAMY RĘCE OD TEJ SPRAWY. NIE BĘDIEMY ZGŁASZAĆ ZASTRZEŻEŃ, NIEZALEŻNIE OD CHARAKTERU AKCJI ODWETOWEJ, JAKĄ PAN PODEJMIE, ZARÓWNO DZIŚ, JAK I W PRZYSZŁOŚCI. SZALEŃCY. CHCIELI WASZEJ I NASZEJ ZGUBY. NIECH SIĘ SMAŻĄ W PIEKLE.

- Rany boskie, Andruszka - wymruczał Ryan, dopowiadając w myśli: - Nic dodać, nic ująć. - Prezydent bez słowa odczytał depezę, jaką ujrzał na ekranie.

Ryan odnosił do tej pory wrażenie, że Narmonow, w odróżnieniu od Fowlera, panuje nad emocjami, lecz teraz sytuacja wyglądała dokładnie odwrotnie. Fowler siedział z kamienną twarzą w fotelu i spokojnym wzrokiem spoglądał na obecnych. Potem oznajmił:

- Niech to się stanie nauczka dla świata. Będziemy mieli pewność, że nikt się już nie poważy na podobny czyn.

Zapaliła się lampka kolejnej linii telefonicznej.

- FBI, panie prezydencie.

-Tak?

- Panie prezydencie, mówi Murray. Otrzymaliśmy pilną depezę z Bundeskriminalamt, to znaczy z niemieckiej federalnej policji kryminalnej. We wschodnim Berlinie znaleźli ciało Günthera Bocka, w mundurze pułkownika Armii Radzieckiej. Razem z nim leżało jeszcze dziewięć ciał, wszystkie w takich samych mundurach. Wygląda na to, że jeden z zabitych to były pułkownik ze Stasi. Potwierdzają się informacje, które dostaliśmy od Katiego i tego drugiego Araba.

- Murray, potrzebna mi pańska opinia. Czy jest pan pewien, że te zeznania są prawdziwe?

- Ogólnie mówiąc, panie prezydencie, kiedy już raz zgarniemy takich facetów, zaczynają śpiewać jak kanarki. Terrorysty to nie mafia, tam już nie obowiązuje prawo omerty.

- Dziękuję, panie Murray. - Prezydent przeniósł wzrok na Ryana. - I co pan na to?

- Wygląda, że wydobyliśmy z nich całą prawdę.

- Nareszcie się w czymś zgadzamy. - Fowler nacisnął guzik linii do dowództwa sił

strategicznych.

- Generale Fremont?

- Słucham, panie prezydencie?

- Ile czasu panu potrzeba, żeby od nowa wycelować raketę? Chcę zaatakować miasto w Iranie.

- Co takiego?

- Wyjaśni panu wszystko wicedyrektor Ryan.

- A to skurwysyny - zabrał głos Fremont w imieniu całego sztabu.

- Owszem, generale, i dlatego żądam głowy człowieka odpowiedzialnego za atak. Chcę go uśmiercić w taki sposób, by inni zapamiętali to sobie po wsze czasy. Irański przywódca wszczął wojnę ze Stanami Zjednoczonymi. Chcę odwetu dokładnie na miarę tego uczynku. Proszę wycelować jedną z raket w miasto Kom. Ile czasu panu potrzeba?

- Co najmniej dziesięć minut, panie prezydencie. Muszę najpierw, uhhh, sprawdzić, co trzeba, z oficerami w polu. - Dowódca SAC wyłączył mikrofon i sam do siebie rzekł: - O mój Boże.

- Pete! - napomniał go szef sztabu do spraw operacyjnych. - Ten facet ma rację. Skurwysyn prawie nas pozabijał - nas i Ruskich! Dla zysku, dla politycznych!

- Nie podoba mi się ten rozkaz.

- Ale musisz wycelować pocisk. Proponuję minutemana III z bazy w Minot. Trzy głowice zmiotą miasto, że śladu nie zostanie. Daj mi tylko dziesięć minut.

Fremont skinął głową.

- Przecież można zaczekać, panie prezydencie.

- Nie mam zamiaru czekać nie wiadomo na co, panie Ryan. Wie pan, zrobili ci ludzie, wie pan także, dlaczego. Wypowiedzieli nam wojnę...

- To był zamach terrorystyczny!

- Terroryzm państwowy a wojna to jedno i to samo. Sam pan tak pisał sześć lat temu w swojej ekspertyzie!

Jack nie miał pojęcia, że Fowler zna ten dokument, toteż zdziwił się, że wdepnął na własną minę.

- Owszem, panie prezydencie, napisałem tak, ale...

- Ten świątobliwy starzec próbował zgładzić, co ja mówię, zgładził tysiące Amerykanów. Nie dość na tym, próbował jeszcze sprowokować nas i Rosjan do zgładzenia kolejnych dwustu milionów! Prawie mu się udało!

- To także prawda, panie prezydencie, ale...

Fowler przerwał Ryanowi ruchem dłoni i ciągnął tonem spokojnym, jak u człowieka, który powziął już odpowiednią decyzję.

- Wypowiedziano nam wojnę. Odplączę się tą samą monetą. Postanowione. Od tego jestem prezydentem i naczelnym dowódcą sił zbrojnych, żeby strzec i bronić bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. To ja decyduję o tym, co ma robić armia mojego państwa. Wiem, kto zgładził tysiące naszych obywateli przy użyciu bomby atomowej i zdecydowałem, że zemścimy się w ten sam sposób. W świetle konstytucji jest to moje prawo i obowiązek.

- Ale naród amerykański... - próbował wtrącić Van Damm. Fowler wpadł we wściekłość, choć na krótko.

- Naród amerykański żąda ode mnie konkretnych działań! Ale nie jest to jedyny powód. Muszę coś zrobić. Muszę odpowiedzieć w taki sposób, żeby nikt nie... Żeby nikt się już nie odważył na coś podobnego!

- Taką decyzję trzeba dobrze przemyśleć.

- Przemyślałem ją, Arnoldzie.

Ryan spojrział na Pete'a Connora i Helen D'Agustino, którzy z zadziwiającą wprawą potrafili maskować prawdziwe uczucia. Reszta obecnych w pokoju aprobowała zamiar Fowlera, i czego Jack zdawał sobie sprawę, podobnie jak z faktu, że nie jest w stanie klócić się z prezydentem. Spojrział więc tylko na zegar, zastanawiając się, co będzie dalej.

- Panie prezydencie, mówi generał Fremont.

- Czuwam, generale. - Panie prezydencie, zmieniliśmy współrzędne celu dla pocisku Minuteman III w Dakocie Północnej na miasto, które pan wymienił. Chciałem... Czy dobrze pan przemyślał tę decyzję?

- Generale, to ja jestem naczelnym dowódcą sił zbrojnych. Czy rakieta jest gotowa do odpalenia?

- Wystrzelenie zabierze minutę od chwili wydania przez pana rozkazu.

- Wydaję rozkaz.

- To nie takie proste, panie prezydencie. Muszę się upewnić, że to pan. Instruowaliśmy pana na temat procedury.

Fowler sięgnął po portfel i wyjął plastikową plakietkę podobną do karty kredytowej. Na plastiku widniało dziesięć szeregów cyfr, po osiem cyfr w każdym. Jedyne Fowler wiedział, który szereg trzeba odczytać.

- Trzy, trzy, sześć, zero, cztery, dwa, zero, dziewięć.

- Potwierdzam pański kod rozpoznawczy. Teraz, panie prezydencie, musimy potwierdzić rozkaz.

- Jak to?

- O wystrzeleniu rakiet nie może decydować jedna osoba. W wypadku bezpośredniego ataku na nasz kraj tym drugim człowiekiem mógłbym być ja sam, ale w sytuacji, jaka istnieje, rozkaz musi potwierdzić ktoś z mojej listy.

- Jest tu ze mną szef sztabu Białego Domu.

- To nie tak, panie prezydencie. Zasada głosi, że osoby z listy muszą zostać wybrane w głosowaniu albo zatwierdzone przez Kongres, w tym wypadku przez Senat, jak na przykład sekretarze departamentów.

- Ja też jestem na liście - wtrącił się Jack.

- Czy mówię z doktorem Ryanem, zastępcą dyrektora CIA?

- Tak jest, generale.

- Dyrektorem Ryan, mówi dowódca sił strategicznych - Fremont przemawiał głosem, który dziwnie przypominał komputerowe rozkazy dowództwa SAC. - Otrzymałem rozkaz użycia broni jądrowej. Proszę o potwierdzenie tego rozkazu po uprzednim sprawdzeniu tożsamości. Czy mógłby pan odczytać swój kod rozpoznawczy?

Jack sięgnął po swoją tabliczkę i odczytał szereg ośmiu cyfr. Przez głośnik słychać było, jak Fremont lub ktoś z jego ludzi szeleści kartkami książki kodowej.

- Potwierdzam, że pański kod rozpoznawczy należy do doktora Jacka Patricka Ryana, zastępcy dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Jack spojrział na Fowlera. Wiedział, że jeśli odmówi, prezydent wezwie kogoś innego. Prosta sprawa, prawda? A poza tym, czy Fowler się mylił? Czy naprawdę omylił się w decyzji?

- Na moją odpowiedzialność, Jack. - Prezydent stanął u boku Ryana i wsparł się na jego ramieniu. - Ty tylko potwierdzasz.

- Doktorze Ryan, tu dowódca SAC. Powtarzam, otrzymałem od prezydenta rozkaz ataku

jądrowego i proszę o potwierdzenie.

Ryan znów obrzucił prezydenta wzrokiem i nachylił się do mikrofonu. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

- Mówi Jack Patrick Ryan do dowódcy sił strategicznych. Jestem zastępcą dyrektora CIA. - Jack umilkł i prędko ciągnął dalej: - Generale, nie potwierdzam tego rozkazu. Powtarzam, generale, ten rozkaz jest nieważny. Proszę powtórzyć!

- Doktorze Ryan, zrozumiałem, brak potwierdzenia rozkazu. - Zgadza się - Jack mówił coraz głośniej. - Generale, moim obowiązkiem jest zawiadomić pana, że według mego rozeznania prezydent nie jest poczytalny. Powtarzam, prezydent jest niepoczytalny. Proszę rozważyć tę informację, jeżeli otrzyma pan ponownie rozkaz ataku. - Jack oparł dłonie o blat, wziął głęboki oddech i wstał na równe nogi. Fowler nie spieszył się z reakcją, lecz kiedy zrozumiał, co się stało, przyskoczył do Jacka i wykrzyczał mu prosto w twarz:

- Ryan, rozkazuję panu...!

Jack po raz ostatni dał upust wściekłości.

- Co mi rozkazujesz! Zabić sto tysięcy ludzi? Za co?

- Za to, co zrobili...

- Za to, co im prawie pozwoliłeś zrobić! - Ryan dźgnął palcem w pierś prezydenta. - To ty spierdoliłeś sprawę! To ty zapędziłeś nas nad przepaść, a teraz chcesz wymordować całe miasto ze złości, z urażonej dumy, żeby się odegrać! Żeby pokazać, że nie jesteś byle popychadłem! Dlatego chcesz zabijać, może nie? MOŻE NIE! Fowler był błydy jak trup. Ryan zaś dodał cichszym głosem:

- Taki powód to za mało, żeby pozbawić życia tysiące ludzi. Sam dobrze wiem, bo zdarzyło mi się zabijać, kiedy musiałem. Jeśli trzeba sprzątnąć tego Irańczyka, zrobimy to, ale proszę nie liczyć, że dla jednej głowy zgładzę sto tysięcy.

Ryan odstąpił, rzucił swoją legitymację na biurko i wyszedł z pokoju.

- O, Jezu! - odezwał się Chuck Timmons, który słuchał tej rozmowy włączony mikrofon. Słuchał jej cały sztab sił strategicznych.

- No, tak - bąknął Fremont. - I dzięki Bogu. Rozbroić mi zaraz tę raketę!

Dowódca SAC musiał się teraz dobrze zastanowić. Nie pamiętał, czy Kongres nadal obraduje, lecz nie miało to wielkiego znaczenia. Rozkazał więc łącznościowcom wezwać przewodniczących i przywódców mniejszości w komisjach sił zbrojnych Izby Reprezentantów i Senatu. Kiedy cała czwórka mogła już rozmawiać jednocześnie, Fremont zadzwonił do wiceprezydenta, który nadal czekał, krążąc na pokładzie "Anioła".

- Jack?

Ryan odwrócił głowę.

- Co tam, Arnie?

- Dlaczego?

- Bo nie przypadkiem decydować muszą dwie osoby. W mieście jest sto tysięcy ludzi, albo i więcej. Nie pamiętam, jakie jest duże - ciągnął Jack, zapatrzony w chłodne, bezchmurne niebo. - Nie chcę go mieć na sumieniu. Jeżeli zamierzamy zgładzić Daryeiego, są inne sposoby. Wystarczająco skuteczne, by wykończyć zdrajcę. Jack dmuchnął dymem w górę.

- Moim zdaniem, miałeś rację. Pamiętaj, że ci to mówię.

- Wielkie dzięki. - Jack odwrócił się do Van Damma i po dłuższym milczeniu zapytał: - Ale, ale. Gdzie nasza Liz?

- Dali jej środki i zapakowali do łóżka. Nie popisała się, co?

- A kto się popisał, Arnie? Tyle, że mieliśmy szczęście. Możesz powtórzyć prezydentowi, że rezygnuję ze stanowiska poczynając od, powiedzmy od piątku. Tak samo dobra data, jak inna. O mojego zastępcę niech się inni martwią.

Szef sztabu przy prezydencie pomilczał, po czym wrócił do dręczącej go sprawy.

- Zdajesz sobie przecież sprawę, co tu rozpętałeś?

- Chcesz powiedzieć, Arnie, że kryzys konstytucyjny? Nie pierwszy raz, Arnie, nie pierwszy raz.

- Jack pstryknął niedopałkiem w śnieg. - Podrzucicie mnie tym śmigłowcem do Andrews, co?

- Zaraz się tym zajmę.

Kiedy lecieli już nad terytorium amerykańskim, Clarkowi przyszła do głowy nowa myśl. Wszystkie te lekarstwa w walizce Katiego. Prednizon, kompazin. Prednizon to steroid, używany często do zwalczania skutków... Clark wstał z fotela i przyjrzał się Katiemu. Mimo opaski na oczach dało się zauważyć różnicę między schwytanym a jego ostatnimi fotografiami. Kati wychudł, tracił włosy. Clark zrozumiał, że Arab umiera na raka. Co to może oznaczać? Agent połączył się z centralą i przekazał tę informację dalej.

Gulfstream wylądował z kilkuminutowym opóźnieniem. Ryan ocknął się na kanapie w salonie dla ważnych osobistości w południowym skrzydle zabudowań Andrews. Obok niego siedział Murray, który nawet nie zmrużył oka. Trzy wozy z FBI już czekały. Clark, Chavez, Kati i Hosni wsiedli do nich, po czym kolumna terenówek z napędem na cztery koła ruszyła do Waszyngtonu.

- Co z nimi zrobimy? - zapytał Murray.

- Mam już pomysł, ale najpierw chcę coś sprawdzić.

- Co takiego?

- Macie w gmachu Hoovera salę przesłuchań?

- Tam nie, ale znajdzie się jakaś w naszym oddziale okręgowym, w Buzzard's Point. Daliście im chińską narkozę? - zaciekał się Murray.

- A jak. Powiedziałem Clarkowi, że ma ich uspić, nim im wytnie jajka. Ryan odwrócił się, słysząc huk. "Anioł Zagłady" lądował na tym samym pasie startowym zero jeden, od którego oderwał się dziesięć godzin wcześniej. Najwyraźniej pogotowie strategiczne zakończyło się prędzej, niż zapowiadano.

"Admirał Łunin" wynurzył się wśród rac świetlnych i pław dymnych zrzuconych przez P-3. Odległość nie pozwalała na wysłanie z lądu śmigłowców ratowniczych, szczególnie w taką pogodę. Ocean nadal się burzył, a światła było jak na lekarstwo, lecz okręt Dubinina był jedyną jednostką w tym rejonie. Toteż komandor dołożył wszelkich starań, by zorganizować sprawną akcję ratowniczą.

Sala przesłuchań była pomieszczeniem o wymiarach trzy na trzy metry, wyposażonym w toporny stół i pięć zwyczajnych krzeseł. Obywano się w niej bez luster, przez które da się obserwować przesłuchiwanego. Wyświechtana sztuczka musiała ustąpić miejsca dwóm światłowodom, podłączonym do miniaturowych kamer, po jednej w wyłączniku oświetlenia i w widniejącej w futrynie dziurce po gwoździu. Terrorystów posadzono na krzesłach. Obaj wyglądali na półżywych ze zmęczenia, a ich połamane palce przynosiły ujmę zawodowej etyce FBI. Murray postanowił jednak zamilczeć na ten temat. Clark i Chavez wyszli w poszukiwaniu kawy.

- Widzicie, nie udało się - zaczął Ryan. - Waszyngton nadal istnieje.

- A Denver? - odezwał się Hosni. - Wiemy o Denver.

- Owszem, uszkodziliście tam to i owo, ale winowajcy już zapłacili swoją cenę.

- Co to znaczy? - zapytał Kati.

- Znaczy to tyle, że miasto Kom przestało istnieć. Wasz przyjaciel Daryei tłumaczy się już przed obliczem Allacha.

Ryan domyślił się później, że zdecydowało zmęczenie, najpotężniejszy z ludzkich wrogów, gorszy jeszcze niż tępy ból w dłoni. Wiadomość ani trochę nie przeraziła Katiego. Co gorsza, Arab pozwolił sobie na kolejny błąd.

- Zostaliście odtąd wrogami całego islamu. Wszystko, coście uczynili dla pokoju na Wschodzie - na nic! Sami tego chcieliście.

- A więc o to wam chodziło? - zdumiał się potężnie Ryan, który miał szansę zdrzemnąć się dwie godziny. - O, mój Boże?

- Ty i twój Bóg. - Kati splunął.

- Coście zrobili z Marvinem Russellem? - zadał pytanie Murray.

- Zabiliśmy. To zwykły niewierny - wyjaśnił mu Kati.

- Czy to prawda? - Murray przeniósł wzrok na Hosniego. - Zabiliście gościa swojego obozu?

- Tkwiał z nami parę miesięcy, i co z tego? Nie mogliśmy się obejść bez pomocy tego idioty.

- A potem go zabiliście.

- Jego i dwieście tysięcy innych.

- Może się mylę - zaczął Jack - ale pamiętam, że jest w Koranie taki werset: "Jeżeli człowiek wnidzie do waszego namiotu i będzie pożywać waszą sól, choćby okazał się niewiernym, będziecie go chronić".

- Kiepsko pan cytuje, a zresztą, co pana obchodzi Koran?

- Żebyś się nie zdziwił.



# WIECZORNA BRYZA

Następnym rozmówcą Ryana był Arnie Van Damm. Ryan wyjaśnił mu przez telefon, czego się dowiedział.

- Rany boskie! Chcieli poświęcić...

- Właśnie, a w dodatku prawie im się udało - przytaknął ochryplym głosem Ryan. - Spryciarze, co?

- Sam mu to powiem.

- Muszę zrobić z tego sprawę, Arnie. Zawiadomić wiceprezydenta.

- Rozumiem.

- I jeszcze jedno.

- Co takiego?

Prośba spotkała się z przychylnym przyjęciem głównie dlatego, że nikomu nie udało się wpaść na lepszy pomysł. Kiedy dwójce terrorystów opatrzono dłonie, posadzono ich w osobnych celach w areszcie FBI.

- Co o tym myślisz, Dan?

- Myślę... Chryste panie, Jack, od takich pomysłów człowiek zapomina języka w gębie.

- Facet ma raka - pospieszył z wyjaśnieniem Clark. - Pomyślał sobie, że jeśli już umierać, to w towarzystwie. Wierny do grobowej deski, co?

- Co z nimi zrobicie? - zapytał Murray.

- Ustawodawstwo federalne nie przewiduje kary śmierci, prawda?

- Nie, tak samo jak prawa stanu Kolorado. Sprawdziłem. - Murray dopiero po chwili zrozumiał, do czego zmierza Ryan. - Ahaaa...

Gołowko miał spore trudności z odnalezieniem Ryana przez telefon. Leżące na biurku pośród reszty papierzyk doniesienie doktora Moisiejewa wprowadziło go w pomieszenie. Kiedy jednak Gołowko poznał plany Jacka, bez trudności udało się wyznaczyć spotkanie.

Jedynym chyba pomyślnym zdarzeniem owego tygodnia była akcja ratunkowa. "Admirał Łunin" wpłynął do portu Kodiak o świcie. Po przycumowaniu do nabrzeża Rosjanie wypuścili rozbitków na ląd. Ze stu pięćdziesięciu siedmiu marynarzy z "Maine" zdążyła opuścić okręt tylko setka. Załoga Dubinina wyłowiła osiemdziesięciu jeden marynarzy i jednaście ciał, w tym zwłoki komandora Harry'ego Ricksa. Zawodowcy ocenili tę akcję jako niewiarygodny popis sztuki żeglowania, choć gazety i telewizja zajęły się sprawą dopiero, kiedy radziecki okręt wyszedł z portu. Podporucznik Ken Shaw dobiegł do telefonu jako jeden z pierwszych i zadzwonił do domu.

W podróży z bazy Andrews towarzyszył im doktor Woodrow Lowell z instytutu Lawrence'a-Livermore'a, niedźwiedziowaty brodac, którego z racji czupryny zwano Rudym. Lowell spędził w Denver sześć godzin, oceniając zniszczenia.

- Mam do pana pytanie - zagadnął go Jack. - Jak to możliwe, żeby oceny siły wybuchu tak bardzo odbiegały od rzeczywistości? Byliśmy już prawie pewni, że winni są Rosjanie.

- Wszystko przez ten parking - brzmiało wyjaśnienie Lowella. - Nawierzchnia zrobiona jest z mieszaniny żwiru i asfaltu, więc eksplozja uwolniła z jej górnej warstwy rozmaite złożone



węglowodory i zapaliła je, jak w wielkiej bombie paliwowo-powietrznej. Z kolei para wodna - ze śniegu roztopionego błyskiem - również weszła w reakcję i uwolniła energię. Skutek był taki, że powstała kula ognista o średnicy dwukrotnie większej niż atomowa. Dodajmy jeszcze fakt, że znaczną porcję energii odbił śnieg i już mamy wyjaśnienie, dlaczego emisja w przestrzeń wydawała się tak potężna. Każdy by się nabrał. Później asfalt znowu pomieszał wam szyki, bo bardzo szybko wypromieniowywał pozostałe ciepło. Krótko mówiąc, pozorna emisja energetyczna była znacznie wyższa niż wskazywałaby na to faktyczna siła wybuchu. Mam panu powiedzieć coś okropnego?

- Śmiało.

- Ta bomba skisła.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że wybuch powinien być o wiele większy. Nie wiemy, dlaczego tak się nie stało. W śladach bomby roilo się od trytu. Ładunek miał mieć moc co najmniej dziesięć razy większą niż to, cośmy widzieli.

- Czyli...

- Dokładnie tak. Gdyby bomba zadziałała, jak trzeba...

- To znaczy, znowu mieliśmy szczęście, tak?

- Jeżeli to chce pan nazywać szczęściem, owszem.

Jackowi mimo wszystko udało się przespać większą część lotu.

Rankiem samolot dotknął kołami pasa lotniska w Beer Szewie. Ekipa ruszyła do Jerozolimy pod eskortą izraelskich wojskowych. Prasa dowiedziała się jakimś cudem o przybyciu Amerykanów, lecz nie mogła ich nękać, przynajmniej na terenie bazy izraelskiego lotnictwa wojskowego. Pytania miały się zacząć później. Przed poczekalnią dla gości stał już książę Ali bin Szejk.

- Wasza wysokość - skłonił głowę Jack Ryan. - Dziękuję za przybycie.

- Jakże mógłbym odmówić? - Ali wręczył mu płachtę dziennika. Jack przebiegł wzrokiem tytuły.

- Sam też się nie spodziewałem, że sprawa długo pozostanie w tajemnicy.

- A więc to prawda?

- Prawda, książę.

- I pan powstrzymał tragedię?

- Czy powstrzymałem? - Jack wzruszył ramionami. - Nie chciałem po prostu... Nie, prawdę mówiąc, Ali... Domyśliłem się, na szczęście... Nieprawda, dowiedziałem się dopiero później. Po prostu, nie chciałem się podpisać pod czymś takim, i tyle. Teraz to już bez znaczenia, wasza wysokość. Musimy się brać do roboty. Czy możemy liczyć na pomoc waszej wysokości?

- Proś, o co chcesz, przyjacielu.

- Iwanie Jemietowiczu! Wasza książęca wysokość! - przywitał ich Gołowko.

- Witaj. Siergiej. Cześć, Awi.

Rosjanin zbliżył się, krocząc obok generała Ben Jakoba.

- Słuchaj, Jack - przerwał przywitania Clark. - Weź i zapędź swoje towarzystwo gdzieś dalej, bo jeden pocisk z mózdzierza i będziemy oglądać zbiorowy pogrzeb szpiegów.

- Pozwólcie. - Awi poprowadził przybyłych do wnętrza budynku. Gołowko poinformował ich o tym, czego się dowiedział.

- Ten człowiek jeszcze żyje? - zapytał Ben Jakob.

- Męczy się jak potępieniec, ale żyje. Zostało mu parę dni.

- Nie mogę pojechać do Damaszku - zmartwił się Awi.

- Nie mówiliście nam nic o zgubionej atomówce - przerwał mu Ryan.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Prasa nic jeszcze nie wywahała, ale za dzień, dwa, wszystko się wyda. Nigdy nie przyszło wam do głowy, Awi, powiadomić nas o tej bombie. Nie wiesz, jakie to dla nas ważne, czy co? - zdenerwował się Ryan.

- Uznaliśmy, że się rozpadła. Próbowaliśmy jej szukać, ale...

- Geologia - włączył się do rozmowy doktor Lowell. - Wzgórza Golan są pochodzenia wulkanicznego, pełno tam skał bazaltowych, więc i promieniowanie tła jest całkiem spore. Trudno znaleźć radioaktywny punkt, ale trzeba nam było powiedzieć wcześniej. Mamy w Livennore rozmaite sztuczki i sprzęt, o którym mało kto słyszał.

- Przepraszam, ale już się stało - uciął generał Ben Jakob. - Lecicie zatem do Damaszku?

Do Syrii udali się samolotem księcia Alego, boeingiem 727, którego załoga, jak dowiedział się Jack, składała się wyłącznie z byłych pilotów Skrzydła Prezydenckiego. Pierwszą klasą podróżowało się fantastycznie. Misja miała charakter tajny, a Syryjczycy dokładali wszelkich starań, by się udała. Przedstawiciele ambasad USA, ZSRR i Arabii Saudyjskiej wzięli udział w krótkim spotkaniu na terenie syryjskiego MSZ, po czym cała grupa udała się do szpitala.

Jack ujrzał, jak niewiele pozostało z potężnego niegdyś mężczyzny. Arab zmieniał się powoli w martwe, gnijące mięso. Skórę miał siną, mimo przewodu tlenowego doprowadzonego pod sam nos. Wszyscy odwiedzający musieli włożyć stroje ochronne. Ryan wołał nie podchodzić zbyt blisko. Przesłuchaniem zajął się książę Ali.

- Wiesz, dlaczego tu stoję? Umierający pokiwał głową.

- Jeśli masz jeszcze nadzieję ujrzeć Allacha, powiedz mi wszystko, co wiesz.

Kolumna wozów bojowych z 10 Pułku Kawalerii przemieszczała się z pustyni Negew do Libanu, mając nad głową pełny dywizjon F-16 i drugi dywizjon tomcatów z pokładu "Theodore'a Roosevelta". Siły rozwinęła również armia syryjska, choć arabskie lotnictwo trzymało się z daleka od trasy przemarszu. Bliski Wschód dobrze sobie zapamiętał, ile jest warte amerykańskie lotnictwo. Pokaz siły był jednoznaczny i z góry obezwładniał każdego przeciwnika, głosząc wszem i wobec, że nikt nie zatrzyma pancernej kolumny. Wozy wjechały między niewysokie wzgórza i ruszyły połą drogą w górę doliny. Umierający, bojąc się o swą duszę, zaznaczył na mapie położenie obiektu, toteż już po godzinnych poszukiwaniach jadało się trafić na kryjówkę. Saperzy odnaleźli wewnątrz i sprawdzili, czy nie ma w nim min, po czym pozwolili wejść do środka innym.

- Wielki Boże! - Doktor Lowell omiół ciemne wnętrze snopem z potężnej latarki. Nowi saperzy przetrząsnęli pomieszczenie, sprawdzając kable przy maszynach i starannie przetrząsając szuflady i stoły. Dopiero gdy skończyli, dopuścili resztę osób poza drzwi. Lowell zabrał się z miejsca do pracy. Znalezione rysunki techniczne zabrał na dwór, by się im przyjrzeć przy świetle.

- Wiecie - zauważył po kwadransie skupionego milczenia - nigdy bym nie przypuszczał, że to takie łatwe. Łudziliśmy się zawsze, że trzeba najpierw... - urwał i dodał: - Właśnie, łudziliśmy się, i tyle.

- Co pan ma na myśli?

- To, że bomba miała mieć moc pół megatony.

- Czyli, gdyby wybuchła jak trzeba, bylibyśmy pewni, że to Rosjanie - dopowiedział Jack. - A wtedy nikt by nas nie powstrzymał i nie byłoby już nas na świecie.

- Tak, właśnie. Musimy chyba urealnić nasze oceny zagrożeń.

- Znaleziliśmy coś, doktorze - zawołał oficer sił lądowych. Doktor Lowell powrócił do wnętrza, lecz zaraz cofnął się, by włożyć kombinezon ochronny.

- Taka wielka? - Gołowko zapatrzył się w rysunki techniczne.

- Mądrale, co? Nawet nie wiesz, ile miałem kłopotu, żeby przekonać prezydenta... Nieważne, do niczego nie musiałem go przekonywać, przepraszam. Gdyby bomba była większa, sam bym uwierzył tym raportom.

- A jakim to raportom? - zaciekawiał się Gołowko.

- Może zawrzemy małą transakcję?

- Jeśli chcesz...

- Macie w ręku kogoś, kto się nam przyda - zaczął Jack.

- Lialina?

- Tak.

- Lialin zdradził ojczyznę i zapłaci za to.

- Po pierwsze, Siergieju, nie wyjawiał nam nic, co mogłoby zaszkodzić ZSRR. Taka była umowa. Dostawaliśmy tylko materiały z OSTU, jego japońskiej siatki. Po drugie, gdyby nie on i jego materiały, nie rozmawialibyśmy w tej chwili. Wypuść go.

- W zamian za co?

- Mamy agenta, który doniósł nam, że wasza generalicja szantażuje Narmonowa i dla większego efektu nie może się doliczyć głowic jądrowych w magazynach. Właśnie dlatego mieliśmy podejrzenia, że to wasza bomba.

- Ależ to kłamstwo!

- Co z tego, skoro przekonywające. Sam prawie mu uwierzyłem - ciągnął Ryan. - Prezydent i doktor Elliot uwierzyli agentowi bez zastrzeżeń, więc nic dziwnego, że wszystko tak się pokiełbało. Sam bym najchętniej wygarbował gnojce skórkę, ale dałbym zły przykład innym agentom... Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w moim gabinecie, Siergieju? Jeżeli chcesz poznać to nazwisko, musisz zapłacić.

- Rozstrzelamy tego faceta - obiecał Gołowko.

- Nie da rady.

- Jak to nie da rady?

- Przerwaliśmy z nim łączność, a poza tym, powiedziałem ci tylko, że nam nakłamał. Jeżeli sprzedał nam fałszywe informacje, nawet w twoim kraju nie stanowi to aktu szpiegostwa, nie? Lepiej go nie zabijać. Zrozumiesz, o co mi chodzi, jeśli zawrzemy umowę.

Pierwszy zastępca przewodniczącego KGB zastanawiał się przez chwilę.

- Dobrze, dostaniecie Lialina... Za trzy dni. Masz na to moje słowo, Jack.

- Nasz agent nosi kryptonim ŻAGIEL. Oleg Kiryłowicz...

- Kadyszew? Kadyszew?!

- Chyba cię nie rozczarowałem? Postaw się na moim miejscu, dopiero zobaczysz.

- Mówisz mi prawdę, tak? Bez żadnych sztuczek?

- Na to daję ci słowo honoru. Sam chętnie bym go zobaczył pod murem, ale to polityk, który w dodatku nie zajmował się szpiegostwem, więc co zrobić. Wymyślcie dla niego coś ciekawego. Znajdźcie mu posadę hycła gdzieś daleko - zaproponował Ryan.

Gołowko pokiwał głową.

- Załatwione.

- Dobrze się z tobą rozmawia o interesach, Siergieju. Szkoda, że tak wypadło z Lialinem.

- Dlaczego "szkoda"? - zdumiał się Gołowko.

- Informacje, które przysłał... Przydałyby się i nam, i wam. Szkoda tracić takie źródło...

- Nie puszczamy się na takie interesy, Jack, ale doceniam twoje poczucie humoru.

W tejże chwili z podziemnej kryjówki wychynął doktor Lowell z ołowianym kubelkiem w ręku.

- Co pan tam ma?

- Chyba resztki plutonu. Chcecie się przyjrzeć? Skończycie jak nasz przyjaciel w Damaszku. -

Lowell wręczył pojemnik jednemu z żołnierzy i wydał dowódcy saperów serię poleceń: - Opróżnić wnętrze, wszystko zapakować w skrzynie i wysłać. Upewnijcie się dziesięć razy, że nic nie zostało w środku.

- Tak jest - zapewnił pułkownik. - A co z próbką?

Cztery godziny później grupa znalazła się w Dimonie, gdzie mieści się izraelski "doświadczalny" reaktor atomowy, wyposażony w spektrometr promieniowania gamma. Kiedy technicy przeprowadzali serię prób, Lowell, kręcąc głową, znów pochylił się nad rysunkami. Ryanowi schemat przypominał plan komputerowego układu scalonego czy inne kompletnie niezrozumiałe urządzenie.

- Wielka i prymitywna. Nasze bomby tej samej mocy są cztery razy mniejsze... Ale niech pan pomyśli, ile czasu zabrało nam zbudowanie mechanizmu o takiej samej mocy i takich rozmiarach? - Lowell oderwał się od rysunków. - Dziesięć lat. Ci zrobili to w górskiej jaskini w pięć miesięcy. Prawda, doktorze Ryan, że świat idzie naprzód?

- Nie miałem pojęcia... Zawsze sobie wyobrażałem, że terrorystyczny ładunek jądrowy... Ale dlaczego zawiódł?

- Prawdopodobnie coś im nie wyszło z trytem. Nam też w latach pięćdziesiątych skisły dwie bomby, zakażone helem. Mało kto o tym wie. Nie mam lepszego wytłumaczenia. Musiałbym dokładniej przestudiować projekt, urządzić symulację komputerową, ale tak na oko, bombę zbudowali prawdziwi fachowcy. O, dziękuję. - Lowell wziął z rąk izraelskiego laboranta wydruk ze spektrometru, przyjrzał się i z niedowierzaniem, cichym głosem potwierdził:

- Savannah River, reaktor K, tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy rok. Naprawdę doskonały rocznik.

- Ten sam materiał? Na pewno?

- Pewnie, że ten sam. Izraelczycy opisali mi tę zagubioną bombę i masę ładunku plutonowego. Oprócz tych okrawków, wszystko poszło tutaj - Lowell stuknął palcem w płachty rysunków. - Wszystko, co do grama. Mamy spokój.

Na jakiś czas - dodał jeszcze.

Idąc za nawykiem z lat studiów na prawie i administracji, zastępca wicedyrektor FBI Dan Murray z zainteresowaniem przyglądał się debacie. Dziwił go trochę fakt, że zamiast sędziów biorą w niej udział kapłani, ale co tam, najważniejsze, że rozprawa się posuwa. Proces rzeczywiście trwał zaledwie jeden dzień. Rozprawa była sprawiedliwa i odbyła się w podziwu godnym tempie. Wyrok też nie wzbudził sprzeciwu Murraya.

Również do Rijadu polecili boeingiem księcia Alego, zostawiając transportowiec z amerykańskiego lotnictwa w bazie w Beer Szewie. Wyrok miał być wykonany w majestacie prawa, czyli bez pośpiechu. Znalazł się więc czas na modlitwę i pojednanie, tym bardziej, że nikt nie chciał sprawić wrażenia, iż traktuje skazańców w specjalny sposób. Dzięki temu wszyscy mieli czas posiedzieć i spokojnie pomyśleć. Niespokojny był tylko Ryan; spotkała go bowiem kolejna niespodzianka, w postaci człowieka, którego książę Ali przyprowadził do amerykańskiej kwatery.

- Jestem Mahmud Hadzi Daryei - przedstawił się przybysz, bez potrzeby, jako że Jack dobrze

znał jego twarz z kartoteki w CIA. Wiedział również, iż ajatollah nie rozmawiał z Amerykaninem od czasów rządów szacha Rezy Pahlawiego.

- Co mogę dla imama zrobić? - zapytał Jack Ryan. Tłumaczeniem zajął się książe Ali.

- Czy to prawda? Czy to prawda, co mi powiedziano? O to chciałem zapytać.

- Owszem, prawda.

- A dlaczego miałbym panu wierzyć? - Kapłan dobiegał siedemdziesiątki, miał głęboko pooraną twarz i gniewne, czarne oczy.

- W takim razie po co imam pyta?

- Nie pochwalam braku grzeczności.

- A ja nie pochwalam zamachów na amerykańskich obywateli - odparł Ryan.

- Nie miałem z tym nic wspólnego, o czym pan dobrze wie.

- Tak, teraz już wiem. Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy gdyby tamci zwrócili się do imama o pomoc, udzieliłby jej imam?

- Nie - padła odpowiedź Daryeiego.

- Dlaczego miałbym w to uwierzyć?

- Bo zbrodnia na tyłu ludziach, nawet niewiernych, obraża Allacha.

- A poza tym - dodał Ryan - dobrze wiecie, jaka byłaby nasza reakcja.

- Oskarżacie mnie, że byłbym zdolny do takiego czynu?

- Wy sami oskarżacie nas co chwila o podobne sprawy. Jednak w tym wypadku omyliliście się.

- Pan mnie nienawidzi.

- Pewnie, że nie kocham - przyznał Jack bez ogródek. - Jest imam wrogiem mojego kraju, w przeszłości popierał imam tych, co mordowali moich współobywateli. Cieszyła imama śmierć ludzi, których nawet nie widział imam na oczy.

- Ale mimo to pan nie pozwolił prezydentowi mnie zgładzić.

- To nieścista informacja. Nie pozwoliłem prezydentowi zniszczyć miasta.

- Dlaczego?

- Jeżeli rzeczywiście uważa się imam za naznaczonego przez Boga, takie pytanie po prostu nie przystoi.

- Ale pan należy do niewiernych!

- Nieprawda. Wierzę podobnie jak imam, choć na trochę inną modłę. Czy rzeczywiście aż tak się różnimy? Książe Ali jest innego zdania. Dlaczego tak bardzo przeraża imama pokój? Czy bardziej od nienawiści boicie się wdzięczności? Dobrze, zapytał imam dlaczego, więc mu odpowiem. Kazano mi współuczestniczyć w zagładzie niewinnych ludzi. Nie mogłem wziąć takiego uczynku na sumienie. Po prostu. Nawet gdy chodziło o śmierć osób, które uważam za pogan. Czy tak trudno to imamowi zrozumieć?

Książe Ali powiedział jeszcze coś, czego nie zechciał przetłumaczyć - zapewne cytat z Koranu. Cokolwiek usłyszał od niego Daryei, skinął głową i po raz ostatni przemówił do Ryana.

- Pomyślę o tym. Do widzenia.

Durling po raz pierwszy rozparł się w fotelu. W drugim końcu gabinetu czuwał Arnold Van Damm.

- Świetnie pan sobie poradził z tym wszystkim.

- Nie mieliśmy innego wyjścia, jak postąpić w ten sposób.

- Też tak myślę. A więc to dziś?

- Dzisiaj.

- Ryan nadzoruje sprawę? - zapytał jeszcze Durling, przerzucając kartki ze sprawozdaniem.
- Pomyślałem, że tak będzie najlepiej.
- Muszę z nim porozmawiać, jak wróci.
- Jak to, nie słyszał pan? - Ryan złożył rezygnację. Od dziś już tu nie pracuje - oznajmił Van Damm.
- Co mi pan tu plecie?
- Ryan złożył dymisję - powtórzył Van Damm. Durling pogroził mu placem.
- Zanim się pan ulotni, proszę mu powtórzyć, że chcę go widzieć w tym gabinecie.
- Tak, panie prezydencie.

Egzekucję wyznaczono na sobotę w południe, sześć dni po wybuchu bomby. Na rynku zgromadził się tłum, między który wprowadzono Hosniego i Katiego. Dano im czas na modlitwę. Jack po raz pierwszy miał okazję obserwować publiczną kaźń. Murray stał nieruchomo ze ściągniętą twarzą. Clark, Chavez i inni ochroniarze skupili się na obserwacji tłumy.

- Jakie to niewspółmierne do winy - zauważył Jack, kiedy zaczynała się egzekucja.

- Nieprawda! Świat wyciągnie z tego naukę – oświadczył z namaszczeniem książę Ali. - Ludzie dowiedzą się czegoś. Na naszych oczach wymierzona zostanie sprawiedliwość. To lekcja dla wszystkich.

- Też mi lekcja. - Mówiąc to, Ryan spojrzał na resztę towarzystwa na dachu budynku. Miał czas zastanowić się nad wszystkim, lecz zrozumiał najwyżej - no, właśnie, co? Nie wiedział. Zrobił, co do niego należało, ale co z tego?

- Niepotrzebna śmierć sześćdziesięciu tysięcy ludzi ma położyć kres wojnom, które nie powinny być mieć miejsca. Czy tak ma według ciebie wyglądać historia, Ali?

- Wszyscy umrzemy, Jack, ale może nie w takiej liczbie naraz, insz Allah. Zapobiegłeś tragedii, ustrzegłeś nas przed czymś jeszcze gorszym. To, co zrobiłeś, przyjacielu... Niech Najwyższy czuwa zawsze nad tobą.

- Ja bym tam potwierdził rozkaz - zauważył Awi, wstydzając się własnej szczerości. - A potem? Może palnąłbym sobie w łeb, kto wie? – Jednego jestem pewien: nie zdobyłbym się na to, żeby odmówić.

- Ani ja - przyznał Gołowko.

Zamiast odpowiedzieć, Ryan znów spojrzał na plac w dole - Przegapił pierwszego, lecz wcale się tym nie martwił.

Wszystko odbyło się tak, jak trzeba, chociaż Kati wiedział, co się stanie. Jak w wielu sytuacjach, i tutaj decydowały o wszystkim odruchy. Kiedy żołnierz kolnął Katiego mieczem w bok, zaledwie przebijając skórę, Arab z miejsca wyprężył kark, bezwiednie wyciągając szyję. Kapitan saudyjskich Sił Specjalnych zamachnął się mieczem. Jack domyślił się, że oficer musiał długo ćwiczyć ten gest, gdyż miecz odrąbał od razu głowę skazańca, ruchem tak zwodniczo potężnym, jak pas baletmistrza - Głowa Katiego odskoczyła o dobry metr, a z naczyń wstrząsanego drgawkami ciała trysnęła krew. Ręce i nogi skazańca szarpnęły więzy, lecz i to było już tylko odruchem. Bijące wciąż serce wypompowywało krew miarowym rytmem, w wysiłku, by zachować życie, które już zgasło. Wreszcie i ten potok ustał, a po Katim pozostały jedynie rozwłóczony szczątki i krwawa plama na bruku. Saudyjski kapitan otarł klingę o belę materiału, przypominającego jedwab i schował ją do złotolitej pochwy, po czym ruszył przed siebie, a ludzie rozstąpili się przed nim.

Tłum nie wiwatował. Odwrotnie, kaźń dokonała się w zupełnej ciszy, którą przerwało tylko zbiorowe westchnienie i nieliczne modlitwy, mruczone przez co pobożniejszych gapiów. Za czyje

dusze się modlono, wiedzieli tylko ofiarnicy i ich Bóg. Pierwsze szeregi zaczęły prędko opuszczać plac. Do barierki podchodzili teraz ci, którzy nie mogli się wcześniej dopchać na sam przód, lecz i oni patrzyli tylko przez chwilę, po czym odchodzili do swoich zajęć. Po przepisanym czasie zabierze się ciała i wyprawi im pochówek w myśl wskazań religii, którą zhańbili obaj skazańcy.

Jack nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy smucić. Naoglądał się już śmierci, co do tego nie miał wątpliwości. Wobec tej egzekucji czuł jednak w sercu dziwną obojętność i zastanawiał się, czy to dobry znak.

- Pytałeś, Jack, jak powstaje historia - zagadnął go książę Ali. - Właśnie tak, jak przed chwilą na placu.

- To znaczy jak?

- Sam wiesz bez naszego tłumaczenia - uciął Gołowko.

Ci, którzy wszczęli wojnę albo próbowali ją zacząć, oddali głowy na rynku miasta jak pospolicci zbrodniarze, pomyślał Jack. Nawet niezły precedens na przyszłość.

- Może i racja. Może następnym razem ktoś dwa razy się zastanowi, nim coś zrobi.

Nareszcie przyszedł czas, by świat się opamiętał.

- We wszystkich naszych krajach - ciągnął Ali - miecz jest symbolem sprawiedliwości... Może to staroświeckie myślenie, zabytek z czasów, kiedy mężczyźni zachowywali się jak mężczyźni, ale miecz ciągle się przydaje.

- Tnie równo - przytaknął Gołowko.

- Powiadasz więc, Jack, że rzuciłeś służbę rządową? - zapytał Ali po chwili. Ryan podobnie jak wszyscy odwrócił się od miejsca kaźni.

- Rzuciłem, wasza wysokość.

- Innymi słowy, nie obowiązują cię już te wszystkie idiotyczne zasady i przepisy. Doskonale. - Ali odwrócił się, a zza jego pleców jak wyczarowany wynurzył się oficer Sił Specjalnych. Salut, jakim przywitał księcia Alego, mógłby zaimponować samemu Kiplingowi. W ślad za oficerem pojawił się miecz z pochwą ze złotej taśmy, inkrustowanej klejnotami. Jelec był ze złota, a rękojeść z kości słoniowej. Widać było miejsca, w których wytarły ją pokolenia mocarnych szermierzy. Miecz stanowił broń godną królów.

- Ma trzysta lat - zwrócił się do Ryana książę Ali. - Moi przodkowie nosili go w czas wojny i pokoju. Ma nawet swoje imię: w angielskim potrafię je oddać tylko słowami "wieczorna bryza". Oczywiście, prawdziwa nazwa ma dużo więcej znaczeń. Proszę przyjąć go od nas, doktorze, jako pamiątkę po tych, którzy zginęli i tych, którzy tylko dzięki panu ocaleli. Ten miecz zabijał po wielokroć. Jego Królewska Wysokość orzekł, iż pora, by przestał zabijać.

Ryan przyjął zakrzywione ostrze z rąk księcia. Złota pochwa była pocięta i poobijana, pełna śladów setek burz piaskowych i starć, lecz Jack ujrzał swoje odbicie mniej wykrzywione, niż się tego obawiał, a kiedy wyciągnął do połowy klingę, przekonał się, że stal jest jasna jak lustro i wciąż nosi ślady młota kowala z Damaszku, który uczynił z niej straszliwy i potężny oręż. Ryana zdziwiła tak wielka dwoistość rzeczy, uśmiechnął się więc bezwiednie: przedmiot tak piękny służy do tak przerażających celów. Los bywa ironiczny, ale przecież...

Wiedział, że zatrzyma miecz, powiesi go na honorowym miejscu i będzie go od czasu do czasu oglądał, wspominając uczynki klingi i swoje własne. Może więc...

- Pora, by przestał zabijać? - Ryan schował miecz do pochwy i opuścił ją wzdłuż boku. - Tak, Wasza Wysokość. Na nas wszystkich już pora.

KONIEC